



Jennifer Crusie

Zgrywa

Rozdział pierwszy

Matylda Goodnight cofnęła się, przyjrzała swojemu ostatniemu dziełu i doszła do wniosku, że spośród wszystkich zbrodni, które popełniła w ciągu trzydziestu czterech lat życia, to właśnie namalowanie na ścianie jadalni Klarysy Donnelly repliki słoneczników van Gogha, sięgającej od podłogi aż po sufit, zaprowadzi ją do piekieł. Bóg wybaczy jej może Wenus Botticellego w jakiejś łazience w stanie Iowa, scenę batalistyczną Uccella, którą pokryła ścianę sali posiedzeń w New Jersey, a nawet orgię Boscha w sypialni w stanie Utah - te jednak monstrualnie wielkie, jaskrawe słoneczniki okażą się ostatnią kroplą, która przepelni czarę. „Dałem ci spory talent - powie do niej Bóg w dzień Sądu Ostatecznego - a oto co z nim uczyniłaś!”.

Poczuła duszności, upewniła się, że ma w kieszeni inhalator.

Stojąca obok niej Klarysa otuliła szczupłe ramiona szenilowym sweterkiem i popatrzyła zmrużonymi oczami na brązowawożółte kwiaty.

- Jest dokładnie taki sam jak oryginał, prawda?

- Tak - potwierdziła Matylda niechętnie i wręczyła jej reprodukcję.

- Te kwiaty wyglądają... na takie... rozgniewane - powiedziała Klarysa.

- No cóż. - Matylda zamknęła pudełko z farbami. - On był wariatem.

Klarysa kiwnęła głową.

- Słyszałam o tym. O jego uchu także.

- A tak, to głośna historia. - Matylda zdjęła obszerną bluzkę, w której malowała. - A teraz poproszę o czek.

- A podpisałaś fresk? - zapytała Klarysa. - Koniecznie go podpisz. Wszyscy muszą wiedzieć, że to naprawdę fresk Matyldy Weroniki.

- Podpisałam.

Matylda wskazała poplamionym farbą płóciennym bucikiem dół obrazu, gdzie nagryzmoła „Matylda Weronika”.

- O tam. Pójdę już...

- Nie podpisałaś go nazwiskiem van Gogha, prawda? - Klarysa schyliła się. - Czy w takim wypadku byłby to falsyfikat?

- Nie, chyba że w karierze van Gogha istniałby okres fresków malowanych w Kentucky, o którym nie mamy pojęcia. - Matylda usiłowała odetchnąć głęboko. - Więc co z tym czekiem?

- Napisz swoje nazwisko większymi literami - powiedziała Klarysa, prostując się. - Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że ty to namalowałaś. Będę też tutaj trzymała to czasopismo. Żeby wiedzieli, że to dzieło Matyldy Weroniki.

Entuzjazm Klarysy dla niej jako „markowej” malarzicy już dawno stracił swoją atrakcyjność, Matylda zmieniła więc temat.

- No cóż, Spot okazał się w tym wszystkim najlepszy.

Kiwnęła głową w stronę nadmiernie wydłużonego pieska Klarysy; każdy właściciel powinien być zadowolony, gdy mówi się o jego pupilu.

- Ogon psa prawie zasłania twoje nazwisko - stwierdziła Klarysa.

Matylda popatrzyła na drżącego u jej stóp Spota ponad oprawką zsuniętych na czubek nosa okularów. Malując psa na ścianie, zrobiła mu małą operację plastyczną, bo wytrzeszczone oczy Spota były osadzone bardzo blisko siebie, a nos zakończony ostro jak czubek noża. Złamała też nieco szarość jego ciemnej kędzierzawej sierści, żeby piesek nie przypominał tak bardzo zmutowanego wilka w miniaturze.

- Musisz jeszcze raz podpisać - powtórzyła Klarysa. - Podpisz u góry. I większymi literami.

- Nie - zaprotestowała Matylda. - Wszyscy i tak zauważą podpis, bo będą porównywali Spota prawdziwego i namalowanego. Ludzie zawsze tak robią, patrzą na psa, a potem na obraz...

- Wcale nie - powiedziała tryumfującym tonem Klarysa. - Bo Spot dzisiaj wraca do schroniska.

- Oddajesz własnego psa do schroniska?

Spot przyciskał się do nóg Matyldy tak mocno, że pasemka sierści czepiały się jej dżinsów.

- To nie jest mój pies. Ty zawsze malujesz psy na freskach...

- Ależ wcale nie - zaprzeczyła Matylda.

- ...tak pisali w tym czasopiśmie, więc ja też musiałam mieć psa, bo inaczej ludzie nie uwierzyliby, że to prawdziwe dzieło Matyldy Weroniki. Pojechałam do schroniska i wzięłam jedyne rasowego psa, jakiego tam mieli.

- Spot jest rasowy?

- Jest srebrzyście cętkowanym jamnikiem długowłosym - odrzekła Klarysa. - W schronisku będzie mu dobrze. Przyzwyczał się do tamtejszych warunków. Ja jestem trzecią osobą, która go wzięła do siebie.

Matylda wyjęła inhalator i parę razy głęboko zaczerpnęła powietrza.

No tak, wszystko tutaj trzymało się kupy. Klarysa była kobietą dokładnie tego pokroju - zdolną do tego, żeby wypożyczyć ze schroniska to zmodyfikowane genetycznie stworzenie, mające stanowić fałszywie ciepły akcent jej fałszywego postimpresjonistycznego ściennego malowidła. Spot patrzył teraz na nią, dygocząc - równie żalony, jak brzydki.

Nie uratuję cię - pomyślała Matylda, zatykając inhalator - nie mogę uratować wszystkich, mam astmę i nie chcę psa, zwłaszcza takiego, który zachowuje się tak, jakby zażywał kokę, i wygląda tak, jakby się w niej tarzał.

- Podpisz jeszcze raz tutaj u góry - upierała się Klarysa. - Przyniosę ci coś do pisania.

- Nie - Matylda nie zamierzała ustąpić. - Już podpisałam. A teraz proszę o czek.

- No cóż, nie wiem... ten podpis - zaczęła Klarysa, Matylda poprawiła więc okulary i spojrzała na nią wzrokiem twardym jak stal.

Klarysa kiwnęła głową.

- Idę, już idę...

Pozostawszy sam na sam ze Spotem, Matylda próbowała wymyślić dla niego coś innego niż schronisko. Oto był fresk, kolejny sukces, kolejna suma, która pomniejszy rodzinny dług, kolejne dwa tygodnie życia poświęcone zrynkowaniu z mistrzów...

W tej chwili zadzwonił jej telefon komórkowy, kładąc kres tej próbie pozytywnego myślenia. Matylda przytknęła go do ucha.

- Halo.

- Matyldo - usłyszała głos matki - mamy problem.

- No cóż - odrzekła Matylda, wpatrując się w słoneczniki. - Kto by się spodziewał.

- Duży problem - powiedziała Gwen, a Matyldę zaskoczył poważny ton jej głosu.

Gwennie uwielbiała bowiem słodkie bułeczki oraz krzyżówki i daleko jej było do powagi.

- Okej, cokolwiek to jest, znajdziemy rozwiązanie.

Matylda znowu popatrzyła na psa, który odwzajemnił się jej się pełnym rozpaczycy spojrzeniem.

- O co chodzi?

- Nadine sprzedała obraz Scarlet.

Matylda poczuła ściskanie w żołądku. Przyciskając komórkę do ucha, usłyszała słowa swojej szesnastoletniej siostrzenicy: „Wciąż nie rozumiem, co w tym złego” i przeszedł ją zimny dreszcz.

- Nie ma już żadnych obrazów Scarlet. - Matylda usiłowała odetchnąć głęboko i przewyciężyć mdłości. - Tata sprzedał wszystkie.

- Z wyjątkiem pierwszego - mówiła Gwen. - Pamiętasz? Nie mógł go sprzedać, bo na tym obrazie jest nasz dom. Nadine znalazła go w suterenie. A kobieta, która go kupiła, nie chce go oddać. Prosiłam ją o to.

Wróciła Klarysa z czekiem. Matylda wzięła go.

- Dziękuję - powiedziała, a potem rzuciła do telefonu: - Poproś jeszcze raz.

- Próbowałam. Odłożyła słuchawkę, a kiedy zadzwoniłam ponownie, zgłosił się Mason Phipps. Ona u niego mieszka. - Gwen zaczęła mówić wolniej. - Mason przyjaźnił się z twoim ojcem. To on powiedział tej kobiecie o Scarlet i o galerii. I zaprosił mnie dziś na obiad.

- Och, to dobrze. Dzięki temu przynajmniej jedna z nas zje solidny posiłek.

- Pomyślałam, że pójdę i będę go zabawiała, a tymczasem ty zakradniesz się do jego domu i zabierzesz ten obraz. I znowu ukryjemy go w suterenie.

Matylda odwróciła się plecami do Klarysy i wyszeptwała do telefonu:

- Czy zdajesz sobie sprawę, że w więzieniu nie karmią słodkimi bułeczkami? - Spróbowała głęboko odetchnąć, zmagając się z mdłościami. - Kiedy go odzyskamy, spalimy go. Gdybym wiedziała, że on jest...

- Czy coś nie w porządku? - zapytała stojąca za plecami Matyldy Klarysa.

- Nie, nie - odrzekła Matylda. - Wszystko gra. - A potem znowu powiedziała do telefonu: - Wracam do domu. Będę za cztery godziny. Nie róbcie nic, dopóki nie przyjadę.

- My nigdy nic bez ciebie nie robimy - oznajmiła Gwen i rozłączyła się.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało. - Klarysa miała wyraz twarzy osoby chciwej informacji.

- Wszystko jest zawsze okej - odrzekła cierpko Matylda. - Dzięki mnie. To ja doprowadzam wszelkie sprawy do doskonałego porządku. - Wetknęła czek do kieszeni koszulowej bluzki i spojrziała na Spota, który drżał u jej stóp. - I dlatego właśnie biorę tego psa.

- Co takiego? - zdziwiła się Klarysa, ale Matylda już zdążyła wziąć Spota na rękę.

Wydłużone ciało psa przewieszało się jej przez ramię, a krótkie nóżki usiłowały znaleźć dla siebie oparcie na jej biodrze.

- Oszczędzi ci to jazdy do schroniska. Miłego dnia.

Zapakowała pudło z farbami i psa do starej zdezelowanej furgonetki, kipiąc z irytacji; doznawała równocześnie jakiegoś innego uczucia, którego tak do końca nie rozpoznawała, a które mogło być lękiem. Pozostawiało kwaśny smak w ustach, który jej się bynajmniej nie podobał. Pies, siedzący już na siedzeniu dla pasażera, także kipiał.

- Och, uspokój się - powiedziała do niego i uruchomiła silnik.

- Wszystko jest lepsze od więzienia. - Spot popatrzył na nią dziwnie.

- To znaczy od schroniska. Miałam na myśli schronisko.

Mówiła do niego przez całą drogę. Gdy wjeżdżała na ogrodzony teren wokół Galerii Goodnightów, Spot spał, a ona sama była znacznie spokojniejsza. Wyłączyła silnik. Pies obudził się gwałtownie i aż podskoczył. Jego szeroko otwarte oczy przypominały kamienne kulki do gry. Matylda zaniósła go, ciężko dyszącego ze strachu, do niezbyt eleganckiego biura galerii i postawiła na podłodze przed dwiema ładnymi niebieskookimi blondynkami - swoją matką i siostrzenicą. Aż dziwne, jak one obie różnią się ode mnie - pomyślała. Ze stojącej za blondynkami szafy grającej dobiegały głosy Three Degrees śpiewających *No, No, Not Again*.

- To jest Spot - powiedziała Matylda do Gwen i Nadine. - Mam zamiar znaleźć mu dom, w którym ludzie będą go traktowali przyzwoicie i nie dopuszczą się zdrady za jego plecami.

- Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała Nadine, a na jej twarzy okolonej jasnymi kędziorami malował się wyraz buntu.

Miała na sobie czarny podkoszulek z napisem UGRYŻ MNIE zrobionym gotyckim pismem, ale i tak wyglądała jak poirytowana Shirley Temple.

- Nikt mi nie powiedział, że nie wolno nam sprzedawać obrazów. Jesteśmy przecież galerią sztuki. - Przykucnęła, żeby pogłaskać Spota, który się cofnął, wciąż ciężko dysząc i rozglądając się wkoło, jakby szukał drogi ucieczki. - Co temu psu jest?

- Myślę, że niejedno - rzekła Matylda. - No więc, jak to było z tym obrazem?

- Kiedy ty byłaś w Iowa - zwróciła się do niej Gwen - Nadine wróciła do domu za późno, po ustalonej godzinie, i Andrew za karę kazał jej posprzątać suterенę.

Matylda odetchnęła głęboko, a przez myśl przemknęło jej parę słów, które mogłaby powiedzieć swemu ekszwaagrowi.

- Możesz się tak nie wściekać - odezwała się Nadine. - Tata nie wpuścił mnie do tej zamkniętej części. Nadal nie wiem, co tam jest.

- Magazyn.

- Aha.

Nadine wzniosła oczy do nieba.

- Nadine. - Matylda poprawiła okulary i spojrzała na siostrzenicę, a Nadine przełknęła ślinę i usiadła trochę bardziej prosto. - Radzę ci, nie przeciągaj struny. Teraz mów o obrazie.

- Tata kazał mi wysprzątać ten magazyn na tyłach - oznajmiła Nadine. - Mówił, że ty tam sprzątałaś, kiedy byłaś w moim wieku. Magazyn był całkiem odjazdowy, zwłaszcza łóżko, kiedy je wyczyściliśmy i ustawiliśmy...

- My? - powiedziała pytająco Matylda.

- To znaczy Ethan i ja - wyjaśniła Nadine. - Przecież chyba nie sądzisz, że wycyściłam wszystko sama?

- Więc Ethan wie.

Matylda pomyślała, że Andrew zasługuje na męki piekielne - za zbrodniczą wręcz głupotę, która kazała mu posłać do sutereny nie tylko swoją córkę, ale także jej kolegę.

- No cóż, wie, że są tam meble, tak - potwierdziła Nadine. - O co właściwie chodzi z tą suterенą? Przecież tam są tylko meble.

- Słusznie. - Matylda poczuła, że znowu jej ciężko oddychać, i wyjęła inhalator. - Czy w twojej narracji zbliżamy się już do obrazu?

- Obraz był w suterenie - powiedziała Nadine. - Zawinięty w papier i wetknięty do szafki. Do tej z turkusowymi małpami. Czy to naprawdę ty namalowałaś wszystkie te zwierzęta?

- To jest zupełny chłam. Przechodziłam wtedy taki okres. - Matylda nacisnęła inhalator. - Więc wyciągnęłaś obraz - i co dalej?

- Uzналиśmy, że obraz jest dobry - stwierdziła Nadine.

- I dlatego go sprzedaliście.

- Nie. Włożyliśmy go z powrotem do szafki, przykryliśmy wszystko pokrowcami i poszliśmy do pubu. A potem, dzisiaj, babcia musiała iść do banku, a ta pani Lewis przyszła i spytała, czy mamy jakieś obrazy namalowane przez malarzkę o imieniu Scarlet. Powiedziałam, że nie, że mamy tylko rzeczy Dorcas Finster. - Nadine zwróciła się do Gwen. - Czy my się ich kiedykolwiek pozbędziemy? Wiem, że ona tu mieszka, ale te jej obrazy są takie przygnębiające i sędzę, że moglibyśmy...

- Nadine - upomniała ją Matylda.

- Okej. - Nadine założyła ręce na piersi. - Więc ta pani Lewis nie zainteresowała się obrazami Dorcas i stwierdziła, że chce kupić obrazy, które wyglądają tak, jakby namalowało je dziecko. Zaczęła coś mówić o niebie w szachownicę i o gwiazdach, a Ethan, który był tu wtedy, zauważył: „To znaczy takie jak ten, który znaleźliśmy w suterenie”. No i ona uparła się, że nie wyjdzie, dopóki go jej nie pokażemy.

- Więc to Ethan wpadł na ten pomysł - powiedziała Matylda.

- Ethan, a może ja. - Nadine wzniosła oczy do nieba. - Nie jestem pewna. Zapytaj Ethana.

- Mówisz tak, jakby Ethan nie był gotów położyć się dla ciebie na rozżarzonych węglach - skomentowała Matylda. - Więc poszliście i wzięliście obraz...

- Ona zaproponowała mi za niego sto dolarów, a ja się nie zgodziłam. - Nadine była wyraźnie z siebie zadowolona.

- Mimo to obrazu nie ma - zauważyła Matylda.

- Ona proponowała coraz wyższe sumy, a ja powtarzałam „Nie”, ale kiedy doszła do tysiąca dolarów, złamałam się - opowiadała dalej Nadine. - Czy ktoś mi może powiedzieć, dlaczego postąpiłam źle?

- Nie.

Gwen opadła na kanapę obok wnuczki. Jasnooka, siwiejąca, z chłopcą figurą, wyglądała tak, jak Nadine mogłaby wyglądać za lat czterdzieści.

- Gdzie jest twoja mama? - zapytała Matylda Nadine, a potem zwróciła się do Gwen: - Dlaczego Ewa nie pilnowała galerii?

- Miała zebranie. Nauczycieli szkoły letniej. Znowu uczestniczy w jakiejś zbiórce pieniędzy. Słuchaj, ta Lewis nie ma zamiaru go zwrócić. A my, im więcej robimy szumu, tym bardziej podejrzenie wyglądamy.

- Podejrzenie w jakim sensie? - zapytała Nadine. - Nikt mi nigdy nic nie mówi. - Schyliła się i podniosła psa z wypłowiałego dywanu, a on znowu zaczął dygotać. - Skoro mi nic nie mówicie, to nie możecie mnie winić, kiedy coś spieprzę.

Zadarła głowę i spojrzała wyzywająco na Matyldę, głaszcząc równocześnie psa. A Matylda pomyślała: ma rację. Przysunęła sobie wiekowe krzesło, tak żeby znajdować się twarzą w twarz z Nadine, i usiadła, krzywiąc się, gdy krzesło zaskrzypiało.

- Dobra, no to jedziemy.

- Nie - powiedziała Gwen. - Ona ma szesnaście lat.

- Tak? A ile miałam ja? - zapytała Matylda. - Ja wiedziałam o tym od zawsze.

- Halo! - Nadine pomachała im ręką. - Ja też tutaj jestem. Co wiedziałas od zawsze?

- Czy pamiętasz, jak doskonale prosperowała galeria, kiedy prowadził ją dziadek? - zaczęła Matylda.

- Nie - odrzekła Nadine. - Byłam mała, kiedy umarł. I sprawy galerii raczej mnie nie interesowały.

Wypuściła z rąk Spota, który zeskoczył z jej kolan, plasnął o dywan, zaraz się pozbierał i oparł łapami o Matyldę.

- No cóż, jednym ze źródeł naszych sukcesów było to, że dziadek czasami sprzedawał podróbki - oznajmiła Matylda beznamiętnie.

- O - powiedziała Nadine.

- Świetnie - skomentowała to Gwen, zaciskając nerwowo dłonie. - Im więcej osób o tym wie, tym lepiej.

- Ja nikomu nie powiem - obiecała Nadine.

- Niektóre oryginały były namalowane przez człowieka o nazwisku Homer Hodge - brnęła dalej Matylda. - Dziadek całkiem legalnie zarobił na nim dużo pieniędzy. Ale potem pokłócił się z Homerem, który przestał wstawiać swoje prace do galerii. Wtedy dziadek wpadł na genialny pomysł: wymyślił córkę Homera imieniem Scarlet i sprzedał pięć jej obrazów, robiąc wiele szumu wokół tego, że nosiła nazwisko Hodge.

Gwen skulona na kanapie wpatrywała się w sufit, kręcąc głową.

- Wymyślił córkę? - powtórzyła Nadine. - Super.

- Nie, wcale nie super. - Matylda podniosła z podłogi Spota, bo chcąc przedstawić dalszy ciąg, potrzebowała czegoś, czego mogłaby się uchwycić, a piesek westchnął i zwinął swe długie, kudłate ciało na jej kolanach. - Obraz, który sprzedawaś, to była pierwsza praca Scarlet, sfalszowany obraz fałszywej artystki. A to jest oszustwo, za które możemy pójść do więzienia. Ludzie zorientują się, że to fałszywka, bo Homer pochodził z farmy w Ohio, a na obrazie, który sprzedawaś, jest nasz dom.

- Rzeczywiście, wydawał mi się znajomy - powiedziała Nadine.

- Kiedy się zorientują, że ten obraz jest podróbką, zaczną przychodzić do galerii i zadawać pytania. - Matylda poczuła, że ją mdli. - Może się zdarzyć, że przyjrzą się wszystkim obrazom sprzedanym im przez dziadka za wiele tysięcy dolarów i przekonają się, że niektóre z nich to falsyfikaty. Wtedy zażądają zwrotu pieniędzy. A my pieniędzy nie mamy. Możemy też za to pójść do więzienia i stracić galerię, a także cały ten dom, co by było równoznaczne ze znalezieniem się na bruku.

- Chwileczkę - ożywiła się Nadine, wcale nie przerażona wieścią, że jej dziadek był oszustem i że sama być może wkrótce będzie żyła w rynsztoku. - Ja nie miałam pojęcia, że to falsyfikat. Jediną osobą, która o tym wiedziała, był dziadek. Nic nam nie zrobią. Możemy zwalić winę na niego. On przecież nie żyje!

- Ja od pięciu lat myślę mniej więcej tak samo - powiedziała Gwen, wciąż wpatrując się w sufit.

- Jest to być może niezły plan. To się jednak nie uda - Matyldę mdliło coraz bardziej. - Galeria jako firma musi przyjąć na siebie odpowiedzialność. A poza tym jest jeszcze jedna osoba, która o wszystkim wiedziała i która może pójść do więzienia. To osoba, która namalowała te obrazy.

- Och. - Nadine skamieniała. - A kto je namalował?

- Oczywiście ja. - Matylda znowu wyjęła inhalator.

Davy Dempsey potrzebował czterech dni na zorientowanie się, że jego były doradca finansowy przeniósł się z Miami na Florydzie do Columbus w stanie Ohio. Teraz, oparty o framugę drzwi małej taniej restauracyjki, patrzył, jak tenże doradca, czyli ścigana przez niego ofiara, bierze szklankę, przygląda się jej brzegowi, a następnie wyciera go serwetką. Ronald Abbott, znany także jako Rabbit, urodził się po prostu po to, by zostać frajerem. Błady, mięczakowaty, z cofniętym podbródkiem, był tak pewny własnego geniuszu w sprawach dotyczących pieniędzy, sztuki i życia w ogóle, że z największą łatwością można go było okantować. Co sprawiało, że to, iż zagarnął wszystkie pieniądze Davy'ego, było podwójnie denerwujące.

Davy przeszedł przez salę i usiadł naprzeciwko niego, a Ronald podniósł wzrok znad szklanki z wodą, po czym, ogarnięty paniką, wlał w siebie jej zawartość jednym haustem.

- Cześć, Rabbit. - Davy obserwował z satysfakcją, jak jego ofiara się krztusi. - Gdzie u diabła są moje trzy miliony dolarów?

Ronald wciąż się krztusił - w gardle utknęły mu woda z kranu, poczucie winy i przerażenie.

- Wiesz doskonale, że nie każdy potrafi wieść życie przestępcy - kontynuował Davy, biorąc frytkę z talerza Ronalda. - Żeby to zrobić, człowiek musi lubić ryzyko. A ty nie lubisz ryzyka, prawda, Rabbit?

Ronald przełknął.

- To twoja wina.

- Moja wina, bo nie powinienem był ci ufać? - Davy kiwnął głową, przeżuując frytkę. - Słuszna uwaga. To się nigdy nie powtórzy. Ale chcę odzyskać te pieniądze. Całe trzy miliony. Plus drobne.

Wziął kolejną frytkę. Restauracyjka nie wyglądała na dobrą, kucharz jednak najwyraźniej znał się na przyrządzaniu kartofli.

- To nie były twoje pieniądze. Ty je ukradłeś. - Ronald rozejrzał się bojaźliwie. - Gdzie Simon? Czy jest tutaj?

- Simon został w Miami. Stłukę cię na kwaśne jabłko własnoręcznie, bez jego pomocy. Ty dobrze wiesz, że to były moje pieniądze. Widziałeś, jak je zarabiam, na tych samych akcjach, co ty...

- Milion, z którym zaczęłaś, nie był twój - przypomniał Ronald, a Davy znieruchomiał na wspomnienie pięknej rozwścieczonej blondynki, z którą nie widział się od trzech lat.

- Clea - powiedział i pokręcił głową.

- A widzisz. Nawet temu nie przecyzysz. - Ronald pałał świętym oburzeniem. - Ukradłeś ojcu tej biedaczki jej spadek.

Davy z westchnieniem sięgnął po sól. Jeżeli Rabbit zdefraudował pieniądze, bo był zadurzony w Clei, to trudno go będzie ostudzić.

- Ta kobieta nie jest żadną biedaczką. Ona jest pazerna. Odziedziczyła sporo po pierwszym mężu, a ostatnio słyszałem, że wyszła za jakiegoś starego bogacza z Bahamów.

- Ukradłeś jej pieniądze. - Ronald upierał się przy swoim. - Ona jest niewinna.

Davy przyciągnął jego talerz do siebie i sięgnął po keczup.

- Słuchaj Rabbit, wiem, że ona jest świetna w łóżku, ale wiem także, że ty sam nie wierzysz w to, co mówisz.

Ronald wyprostował się.

- Mówisz o kobiecie, którą kocham.

- Clea nie jest w twoim typie - stwierdził ponuro Davy. - Tobie się tylko zdaje, że możesz kochać kobietę taką jak ona, ale wierz mi: wkrótce się okaże, że ją tylko wynajmowałeś - do chwili gdy nadarzy się ktoś inny, kto zechce ją kupić.

To powiedziawszy, Davy polał keczupem resztkę frytek RONALDA.

- Ja w nią wierzę - oznajmił Ronald.

- Wierzyłeś także, że ta dobra passa z akcjami będzie trwała wiecznie. Mój ojciec mówi: jeżeli coś wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe...

- My nie mówimy w tej chwili o pieniądzach - zaprotestował Rabbit. - Ona mnie kocha.

- Każdy, kto rozmawia o Clei, mówi o pieniądzach. Ją obchodzą tylko pieniądze.

- Cleę obchodzi jej sztuka - oznajmił Ronald.

- Jej sztuka? To ona sztuką nazywa jeden niskobudżetowy film i dwa pornosy? To ma być sztuka?

- Nie. - Ronald robił teraz wrażenie zmieszanego. - Sztuką jest to, czym ona się zajmuje. Ja ją dzięki temu poznałem. Poznałem ją w prywatnym muzeum sztuki należącym do jej rodziny, gdy pomagałem ocenić wartość kolekcji jej zmarłego męża.

- Zmarłego? - Davy roześmiał się. - Wyobraź sobie, że jestem zdumiony. Chłopie, jej rodzina nie ma żadnego muzeum sztuki, a ona zwróciła się do ciebie, kiedy się dowiedziała, że masz dostęp do moich kont. Na co umarł ten ostatni facet? - Davy podniósł w górę kolejną frytkę. - Nie, poczekaj, niech zgadnę. To był zawał.

- Śmierć była bardzo nagła - powiedział Ronald.

- Tak, tak zawsze bywa z mężami Clei - stwierdził Davy. - Dam ci radę: nie żęń się z nią. Jej jest świetnie w czarnym kolorze.

Ronald spróbował wysunąć dumnie do przodu swój cofnięty podbródek.

- Ona mnie uprzedzała, że nie zostawisz na niej suchej nitki. Mówiła, że będziesz jej groził i rozgłaszał kłamstwa na temat jej przeszłości. Ty jesteś zawodowym kłamcą, Davy, dlatego więc miałbym wierzyć...

Davy pokręcił głową.

- Na ten temat nie muszę kłamać. Prawda jest wystarczająco ponura. Słuchaj, jeżeli chcesz popełnić samobójstwo, to śmierć w łóżku Clei jest tak samo dobra jak każda inna. Ale najpierw musisz mi oddać forszę. Ja nie lubię być biedny. Bieda ogranicza moje horyzonty.

- Ja nie mam tych pieniędzy - powiedział Ronald z obrażoną miną. - Zwróciłem je prawowitej właścicielce.

Davy usiadł wygodniej i popatrzył na niego z mieszaniną politowania i irytacji.

- Już zdążyłeś je oddać... No i kiedy się z nią ostatnio widziałeś? Ronald poczerwieniał.

- Cztery dni temu. Ona jest bardzo zajęta.

- Dałeś jej pieniądze, jak tylko znalazły się w twoich rękach, a ona natychmiast zrobiła się zajęta.

- Nie - zaprzeczył Ronald. - Ona tworzy kolekcję. Stworzenie kolekcji leży w naszych planach.

- Clea kolekcjonuje dzieła sztuki?

- A widzisz. - Ronald był zadowolony z siebie. - Po prostu jej nie rozumiesz.

- Dzieła sztuki nie przynoszą dostatecznej ilości szybkich pieniędzy. - Davy, marszcząc brwi, odepchnął pusty talerz Ronalda i sięgnął po jego filiżankę z kawą. - A poza tym kolekcjonowanie sztuki to większy hazard niż gra na giełdzie. Sztuka to nie jest dobry sposób na robienie pieniędzy.

Kawa była letnia i smakowo kłóciła się z frytkami. Rabbitowi brak było kulinarnego wyczucia.

- Jej nie chodzi o pieniądze - oburzył się. - Ona się zakochała w malarstwie ludowym.

- Clea się nie zakochuje. Clea idzie za pieniędzmi. Gdzieś w tym wszystkim jest facet z forszą. I chorym sercem. A jak jest z twoim sercem, Rabbit? Cieszysz się dobrym zdrowiem?

- Doskonałym - powiedział kwaśno Ronald.

- To dla niej jeszcze jeden powód, żeby cię rzucić - oznajmił Davy. - Straciłeś własny majątek wskutek gwałtownego załamania na giełdzie, a poza tym niełatwo cię będzie zabić. Więc kim jest facet, z którym ona spędza czas? Kim jest ten z furą forsy, słabym sercem i wielką kolekcją dzieł sztuki? Ronald nawet nie drgnął.

- Wiesz, co ci powiem? - mówił dalej Davy. - Gdybyś mi nie ukradł trzech milionów, tobym ci współczuł. Więc kto to jest?

- Mason Phipps - wydusił wreszcie Ronald. - On zarządzał finansami Cyryła. Clea zobaczyła jego kolekcję sztuki ludowej podczas jakiegoś przyjęcia odbywającego się w jego domu w Miami.

- A wkrótce potem obejrzała sobie też jego własną osobę w całej okazałości. - Davy rozsiadł się wygodnie. Oto jeszcze raz potwierdzała się jego niepocholebna opinia na temat rodzaju ludzkiego w ogóle, a Clei w szczególności. - Co za wspaniała dziewczyna. Dowiaduje się o kolekcji, tak więc delikwenta omotuje, że doprowadza go na ślubny kobierzec i do wczesnego grobu.

- Mason nie jest jeszcze taki stary. Ma pięćdziesiąt parę lat.

- Ten, którego śmierci z jej rąk byłem świadkiem, miał czterdzieści parę. Cyryl był jej ostatnią ofiarą, jak sądzę?

- Ona nie zabiła swojego męża - powiedział Ronald. - Cyryl miał osiemdziesiąt dziewięć lat. Zmarł śmiercią naturalną. A poza tym ona nie grała w pornosach. Grała w filmach artystycznych. I ona kocha...

- Wychodzić ze wszystkiego czyściutka - dokończył Davy. - Jak z samochodowej myjni. Widzę, że ją reklamujesz jak najlepszy proszek do prania, ale pamiętaj, że to jest Clea. Zresztą nie musisz mi wierzyć na słowo. Przekonaj się na własnej skórze.

- Ja nie...

- Ale najpierw pomożesz mi odzyskać moje pieniądze. Ronald usiadł prosto.

- Z całą pewnością tego nie uczynię. Davy popatrzył na niego z politowaniem.

- Posłuchaj, Rabbit, możesz przestać blefować. Trzymam cię w garści. Jeżeli poinformuję policję federalną o tym, co zrobiłeś, to masz przechlapane. Rozumiem, dlaczego straciłeś głowę dla Clei, sam zmarnowałem dwa lata na romansowanie z nią, ale teraz musisz się otrząsnąć z tego zadurzenia. Ja natomiast muszę odzyskać swoje pieniądze. A ty albo mi w tym pomożesz, albo znikniesz na bardzo długi czas. Czy ona jest dla ciebie naprawdę tego warta? Zwłaszcza jeżeli weźmiesz pod uwagę, że nie zadzwoniła do ciebie od chwili, gdy te pieniądze znalazły się w jej rękach?

Podczas całej tej przemowy Ronald siedział bez ruchu. Nie drgnął też przez parę chwil po jej zakończeniu. Davy obserwował jego nieruchomą twarz, mając pewność, że za tą maską bez wyrazu obracają się jakieś tryby. Po tem Ronald odezwał się.

- Powiadasz, że ona kocha wychodzić ze wszystkiego czyściutka? Davy kiwnął głową.

- Więc ty i ona... Davy kiwnął głową.

- I sądzisz, że ona i Mason... Davy kiwnął głową.

- Ja nie wiem, jak odzyskać te pieniądze - wyszeptał Ronald.

- A ja wiem - stwierdził Davy. - Opowiedz mi o Clei i dziełach sztuki.

Ronald zaczął mówić o Masonie Phippsie i o jego kolekcji ludowego malarstwa; o tym, że Clea jeździ wszędzie za Masonem, kompletując własną kolekcję, i że teraz u niego mieszka, że obiecała zadzwonić i że zadzwoni, kiedy tylko nadarzy się po temu okazja.

- Jest bardzo zajęta swoją kolekcją - zapewniał Ronald. - Zabiera jej to mnóstwo czasu, bo Mason musi ją tak wiele nauczyć.

Nie jestem w stanie pojąć, jak człowiek do tego stopnia łatwowierny potrafił dotychczas żyć z przestępczego procederu - pomyślał Davy. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę, że ten komentarz jest nie fair. Bo Clea potrafiła wręcz wyzerować u mężczyzny wszelkie procesy myślowe. Bóg wie, że i na niego samego, Davy'ego Dempseya, parę razy podziałała w ten sposób.

Tymczasem Ronald ciągnął swoją opowieść o Clei-kolekcjonerce sztuki. Davy rozsiadł się wygodniej i zaczął kombinować. Doszedł do wniosku, że trzeba wycygnąć od Ronalda jej adres i numer konta. Potem wystarczyłoby zdobyć jej laptop, dostać się do twardego dysku, odgadnąć hasło - a znając Cleę, można było mieć pewność, że stosuje jedno i to samo hasło dla wszelkich operacji - i przelać pieniądze na własne konto. Nie był to zwykły kant, ale przedsięwzięcie dość ryzykowne, a Davy lubił ryzyko, chociaż niespecjalnie tęsknił za łamaniem prawa. Ostatnio bowiem żył z nim w zgodzie. Dojrzał i popełnianie przestępstw nie ekscytowało go już tak bardzo jak dawniej.

- Słucham? - zapytał Ronald.

- Nic nie mówiłem.

- Ciężko oddychasz.

- To astma - skłamał Davy. - Daj mi jej adres i numer konta. Ronald zmarszczył brwi.

- Nie sądzę, by to było etyczne.

- Posłuchaj, Rabbit - Davy mówił twardo - etyka i ty nie macie ze sobą nic wspólnego. Dlatego właśnie wpakowałeś się w cały ten bajzel. Daj mi ten cholerny adres i numer.

Ronald po chwili wahania wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki długopis i notes i zaczął przepisywać żądane informacje.

- Dziękuję, Rabbit. - Davy wziął kartkę wyrwaną z notesu Ronalda. A potem, wstając, dodał:

- Nie wyjeżdżaj z miasta. Niczego już więcej nie kradnij. I pod żadnym pozorem nie dzwoń do Clei.

- Cholera jasna - zaklął Ronald. - Zrobię to, na co będę miał ochotę.

- Nie - zaprzeczył Davy. - Nie zrobisz.

Ich oczy się spotkały i Ronald odwrócił wzrok.

- No. - Davy poklepał go po ramieniu. - Trzymaj się z daleka od Clei, a wszystko będzie okej. Masz przed sobą dobrą przyszłość.

- Przynajmniej, że ukradłeś jej te pieniądze, ty oszuście - powiedział Ronald.

- Oczywiście, że je ukradłem - odrzekł Davy i oddalił się z zamiarem obrabowania najpiękniejszej kobiety, z jaką w życiu spał. Obrabowania jej ponownie.

Pomysł, by włamać się do domu Masona Phippsa, nie był najlepszy, ale Matyldzie nic innego nie przyszło do głowy. Teraz, skradając się ciemną nocą przez hol, miała coraz więcej wątpliwości. Prawdę mówiąc, Pan Bóg nie stworzył jej do tego rodzaju roboty. Była emerytowaną producentką falsyfikatów, a nie złodziejką. Dom był całkiem opuszczony, tylko w kuchni znajdował się właściciel firmy cateringowej, który dostarczył jedzenie, a w jadalni odbywał się właśnie ów obiad, na który została zaproszona Gwennie. Panująca tu pustka przerażała Matyldę. Udajesz cały ten strach - skomentowałby to jej tata, ona jednak miała powód, by się bać. Przeszukała już pusty pokój bilaradowy, pustą bibliotekę i pustą oranżerię, a teraz stała w opuszczonym holu i myślała: I któż by zgadł, że oto w tym holu stoi panna Scarlet? Panna Scarlet... Tak, tak. To były piękne dni - po prostu Wiek Złoty. Mężczyźni byli wtedy mężczyznami, a kobiety nie musiały osobiście włamywać się do cudzych domów. Przydałby się jej teraz jeden z tych staromodnych facetów, którzy ratują kobiety z wszelkiej opresji, a także dla nich kradną.

Och, weź się w garść - przywołała się do porządku. Po czym weszła po cichu na górę i otwierała kolejne drzwi prowadzące do kolejnych pokoi, dopóki nie znalazła sypialni, w której porozrzucane były jedwabne części garderoby, a w powietrzu unosił się zapach perfum. Tu mieszkała kobieta, jaką ona sama nigdy się nie stanie. Choćby z tej prostej przyczyny, że brakuje jej na to pieniędzy.

Na biurku coś błyszczało. Matylda, mrużąc oczy, przyjrzała się temu czemuś przez okulary. Była to krawędź laptopa. Clea Lewis zamknęła laptop, nie wyłączając go. Co za niedbalstwo - pomyślała Matylda, lustrując wzrokiem to, co ta kobieta posiadała i o co wcale nie dbała. Clea Lewis w żadnym wypadku nie zasługiwała na to, żeby być właścicielką obrazu namalowanego przez Scarlet.

Na dole zadzwonił telefon. Matylda zaczęła się spieszyć. Obeszła szybko cały pokój. W słabym świetle latarni sączącym się przez zasłony sprawdziła za meblami i pod łóżkiem. Tam gdzie nie docierało światło, szukała po omacku. Ten obraz Scarlet nie był wcale taki mały - pomyślała, stając przed czworgiem drewnianych drzwi, za którymi znajdowała się garderoba. Gdzie u diabła ta Clea go schowała?

Matylda otworzyła pierwsze i drugie drzwi garderoby, po czym rozsunęła ubrania, żeby sprawdzić w głębi.

A wtedy... zobaczyła stojącego tam mężczyznę.

Obróciła się na pięcie, chcąc rzucić się do ucieczki, ale mężczyzna był szybszy. Zatkanął jej dłonią usta, obejmując ją od tyłu i przyciskając gwałtownie do siebie. Matylda wierzgnęła, a jej obuta stopa trafiła go w gołeń. Mężczyzna zaklął, stracił równowagę i - upadając - pociągnął ją na dywan. Ważył chyba tonę.

- Okej - powiedział jej uspokajająco do ucha, podczas gdy ona, przyciśnięta potężnym ciałem, próbowała oderwać jego dłoń od ust. - Nie panikujmy.

Nie mogę oddychać! - Matylda wciągnęła powietrze przez nos, czując przy tym zapach kurzu z dywanu.

- Ponieważ ja nie jestem facetem tego pokroju - ciągnął swoją kwestię mężczyzna. - Nie zamierzam popełnić przestępstwa. No, w każdym razie nie w stosunku do pani.

Miał uchwyt jak imadło. Przycisnął dłoń mocniej do jej ust i Matyldzie zabrakło tchu. Poczowała skurcz mięśni, pociemniało jej w oczach i ogarnęła ją znajoma panika.

- Muszę mieć po prostu pewność, że pani nie będzie krzyżeć - powiedział.

Tymczasem ona miała pewność, że się udusi. Zresztą zawsze wiedziała, że to pewnego dnia nastąpi, że jej podstępne płuca zdradzą tak samo jak wszystko inne, co odziedziczyła po Goodnightach. Nie chciała jednak umierać, popełniając właśnie przestępstwo, napadnięta przez jakiegoś typa spod ciemnej gwiazdy. Gdy jej płuca zamieniały się w kamień, a jego głos ucichł, zrobiła jedyną rzecz, która przysła jej do głowy. Ugryzła go z całej siły.

Rozdział drugi

Na dole Gwen kończyła jeść obiad i uśmiechała się do uroczego, pucolowatego Masona Phippsa. Usiłowała przy tym myśleć o pejzażu, który Mason jej pokazywał, a nie o swojej młodszej córce buszującej w tej chwili gdzieś w tym domu w poszukiwaniu dowodu świadczącego o jej zmarnowanej młodości.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Mason, a Gwen z wysiłkiem ponownie skupiła uwagę na nim. - To jest Corot. - Mason pogładził palcem ramę. - Tony nie był tego pewien, ale ja powiedziałem: „Nie, nie, to jest Corot”. I po ekspertyzie okazało się, że miałem rację. Bo to naprawdę jest Corot.

To jest Goodnight - pomyślała Gwen, głośno jednak powiedziała:

- Bardzo piękny.

- Jakież to były dobre czasy, kiedy razem z Tonym kolekcjonowaliśmy obrazy - rozrzewnił się Mason, a Gwen dodała w myślach: Dla Tony'ego z całą pewnością tak.

Słuchała jednym uchem monologu Masona rozwodzącego się nad dobrymi dawnymi czasami. Ten obiad trwał już całe wieki. Ona, Gwen, przez ten czas z pewnością zdążyłaby rozwiązać całą dużą krzyżówkę. Jedną z tych trudniejszych.

- Ja wolę sztukę ludową - odezwała się blondynka siedząca przy drugim końcu stołu.

Gwen spojrzała na nią. Clea Lewis była śliczna jak wiosenny poranek, pod warunkiem, że ten ostatni mógłby mieć czterdziestkę z okładem i być istotą naprawdę cudownie zadbaną.

- Sztuka ludowa - powtórzyła Gwen uprzejmie. - To bardzo interesujące.

- Tak. Ja wciąż ją kolekcjonuję - oznajmił Mason. - Ale bez Tony'ego to nie to samo. Tony to dopiero miał życie. Kupował obrazy, prowadził galerię, był gospodarzem tych wszystkich wernisaży.

Zazdrość w głosie Masona była wprost namacalna, a Gwen pomyślała: Tak, Tony naprawdę świetnie sobie żył.

- No i miał też ciebie i dziewczęta - dodał Mason, uśmiechając się do niej. - Mała Ewa i malutka Matylda. Jak one się mają?

Ewa jest rozwiedziona od chwili, gdy wydał się sekret jej męża, a Matylda zrezygnowała z produkcji falsyfikatów na rzecz włamań - tego oczywiście Gwen nie mogła powiedzieć głośno.

- Świetnie.

- Ty, Gwennie, byłaś zawsze tym, co on miał w życiu najlepszego - zapewnił ją Mason. - Nie masz nic przeciwko temu, żebym mówił do ciebie „Gwennie”, prawda? Tak jak Tony? Zawsze tak cię nazywam w myślach.

- Naturalnie nie mam nic przeciwko temu - odrzekła Gwen, myśląc równocześnie: Tak, mam bardzo wiele przeciwko temu, i cholernie dużo z tego mi przychodzi.

- Mason i ja poznaliśmy się na otwarciu wystawy w muzeum - włączyła się do rozmowy Clea, której było z tym wspomnieniem niezmiernie do twarzy i która cała składała się z rozmarzonych błękitnych oczu, mlecznobiałej

cery oraz jedwabistych blond włosów. Gwen miała ochotę cisnąć w nią talerzem. - Babka mojego zmarłego męża ufundowała Muzeum Hortensji Gardner Lewis - mówiła dalej Clea. - Stanowiło ono pasję Cyryla. - Tu uśmiechnęła się do Masona. - Ja wprost nie potrafię oprzeć się mężczyznom z pasją.

- Cyryl był wspaniałym człowiekiem - stwierdził Mason. - Byliśmy dla siebie więcej niż współnikami w interesach, byliśmy wielkimi przyjaciółmi. Pomagałem mu tak, jak Tony pomagał mnie.

Och, Boże, mam nadzieję, że to nieprawda - skomentowała to w myśli Gwen i wzięła do ręki kieliszek z winem.

- Muzeum Hortensji Gardner Lewis?

Próbowała sobie przypomnieć, czy Tony kiedykolwiek sprzedał coś do tego przybytku sztuki. Właściciele prywatnych muzeów bywają tacy naiwni.

- To niewielkie muzeum - wyjaśnił Mason, po czym dodał: - Powiększyło się oczywiście, gdy mu ofiarowałem swoją kolekcję prac Homera Hodge'a.

Gwen zachłysnęła się winem.

- A teraz przyjechałem do domu, żeby uzupełnić moją nową kolekcję o prace malarki z południa Ohio, córki Homera, Scarlet - mówił dalej Mason, podczas gdy Gwen usiłowała sprawić wrażenie, że wcale się nie zachłysnęła, tylko złapał ją kaszel. - Pamiętasz Scarlet Hodge?

- Mhm - odrzekła Gwen i ponownie zajęła się winem.

- Zgodnie z tym, co Tony stwierdził w swoim wywiadzie z osiemdziesiątego siódmego roku, ona namalowała tylko sześć obrazów.

- Mason pochylił się w stronę Gwen. - O ile dobrze pamiętam, Tony miał wyłączne prawa do jej prac.

- Będzie deser? - zapytała Gwen. - Uwielbiam desery.

- Jada pani desery? - powiedziała Clea z widocznym przerażeniem, a Gwen z wdzięcznością zwróciła się do niej:

- Kiedy tylko nadarza się po temu okazja - rzekła. - Jeżeli to możliwe, zjadam dwa.

- I dobrze robisz. - Mason nie dał się odwieść od tematu. - Miałem nadzieję zajrzeć do waszego archiwum. Bo chcę się skontaktować z innymi kolekcjonerami, którzy kupowali obrazy Scarlet.

- Informacje zwarte w archiwum są poufne - oznajmiła Gwen.

- Nie mogę ich udostępniać. Byłoby to nieprofesjonalne. Więc co, teraz deser?

Clea od dłuższej chwili stuknęła w swoją szklankę, najwyraźniej usiłując wezwać człowieka od cateringu, który wreszcie się pojawił.

- Tomasz, deser - zadysponowała Clea.

Tomasz - nie po raz pierwszy tego wieczora - wymienił spojrzenia z Gwen.

- Oczywiście, poufne - powtórzył Mason. - Ale może ty mogłabyś zrobić to za mnie. To znaczy skontaktować się z tymi osobami, zawiadomić je, że ktoś jest zainteresowany kupnem. Zapłacę ci prowizję.

- Ależ, Masonie - Clea próbowała przywołać go do porządku - pani przysła tu na obiad, a nie po to, żebyś ją dręczył.

Mason popatrzył przez stół, a jego spojrzenie stało się nagle twarde. Clea zamilkła.

- No i naprawdę bardzo bym chciał - mówił dalej, zwracając się znowu do Gwen - spotkać się ze Scarlet. Pragnę napisać o niej artykuł, nic profesjonalnego oczywiście - roześmiał się aż nazbyt skromnie, a Gwen przeraziła się: Artykuł? Och nie. - Czy wiesz, gdzie ona przebywa? - zakończył Mason pytaniem.

Na górze. Okrada właśnie twoją kochankę - pomyślała Gwen.

- Sądzę, że nie żyje - powiedziała głośno.

- Ależ była tak młoda - zaprotestował Mason. - Miała zaledwie kilkanaście lat. Jak umarła?

Gwen przypomniała sobie, jak Matylda siedemnaście lat temu cisnęła ostatnim płótnem w Tony'ego i wymaszerowała z pokoju.

- Została zamordowana. Przez jakiegoś drania spod ciemnej gwiazdy. - Gwen uśmiechnęła się wesoło do Masona. - I nie mam pojęcia, co się działo później.

- To fascynujące - powiedział Mason, pochylając się w przód.

- Nie dla Homera ani Scarlet - stwierdziła Gwen w chwili, gdy Tomasz wniósł sernik. - Dla nich to po prostu horror. O, świetnie, z czekoladą. Mój ulubiony.

Siedząca obok Clea powstrzymała się od okazania pogardy, a Gwen wbiła widelczyk w kawałek sernika, modląc się, by nie usłyszeć już ani słowa o Homerze i Scarlet Hodge'ach.

- To kiedy mogę wpaść do galerii i porozmawiać z tobą na temat Scarlet? - zapytał Mason.

- Pyszny sernik. - Gwen nie przerywała jedzenia.

Davy nastawił się, że to będzie Clea, kiedy więc upadł na kogoś miękkiego i pulchnego, był mile zaskoczony. To z całą pewnością nie Clea - pomyślał, unieruchamiając tę osobę w ciemnościach na dywanie i próbując rozmawiać z nią rozsądnie, jak dorosły z dorosłym. Przez dziesięć sekund dawał też wspaniały pokaz męskiego opanowania, jednak tylko do chwili gdy ona go ugryzła. Wtedy raptownie cofnął rękę i tłumiąc okrzyk bólu, powstrzymał się od zadania jej ciosu. Walka na pięści nie leżała jednak w jego interesie, zwłaszcza z kimś, kto nie grał fair.

- Była pani szczepiona przeciw wściekliwości? - zapytał szeptem, rozcierając dłoni.

Leżała pod nim, podparta jedną ręką, chwytając głośno powietrze i szukając czegoś po kieszeniach, a daszek bejsbolówki zasłaniał w ciemności jej twarz. Davy usłyszał świst, a potem jeszcze jeden gwałtowny wdech i pochylił się nad nią, żeby sprawdzić, czy nic jej nie jest. A ona wyszeptała z wściekłością:

- Dotknij mnie, a zacznę krzyczeć.

- Nie zacznie pani - odrzekł, także szeptem. - Gdyby miała pani krzyknąć, już by to pani zrobiła.

Odetchnęła ciężko i dźwignęła się z podłogi. Widział ją niewyraźnie, gdy go odepchnęła. Wstając, chwycił ją za rękaw.

- Spokojnie. Nie mogę jeszcze pozwolić pani odejść. Jeszcze nie...

- Nic mnie to nie obchodzi. - Spróbowała wyrwać rękaw z jego dłoni. - Proszę mnie puścić. Ja muszę stąd wyjść.

- Nie. - Przyciągnął do siebie jej ramię i poczuł leciutki zapach czegoś słodkawego. - Myśl o tym, że pani gdzieś tam na zewnątrz będzie o tym rozmawiać z glinami, nie...

- Słuchaj no, ty idioto - przerwała z wściekłością, usiłując oswobodzić ramię z jego uścisku. - Nie wiem, kim pan jest. Nie wiem nawet, jak pan wygląda. Jak więc mogłabym komukolwiek o panu powiedzieć?

- Słuszna uwaga.

Davy przyciągnął ją do okna, odsłonił zasłonę, by wpuścić światło z ulicy, sam przy tym trzymał się w cieniu.

- Chwileczkę! - Ubrana była w niezbyt schludny, zapięty pod szyję żakiet w orientalnym stylu i piorunowała go wzrokiem. Jej dziwnie jasne oczy błyszczały zza sześciokątnych szkieł okularów, które upodabniały ją do żuka. - Czy pan zwariował? - syknęła. - A jeśli tam na dworze ktoś jest?

Szarpnęła się znowu, a on puścił jej ramię, nie chcąc go wykręcić.

- Dlaczego się pani tak ubrała? - zapytał ciągle szeptem. - Wybiera się pani na mecz jakiegoś chińskiego bejsbolu?

Wyminęła go, a on zerwał jej z głowy bejsbolówkę i doznał rozczarowania, bo jej włosy okazały się za krótkie, żeby opaść na ramiona ciemną falą. Trzymał bejsbolówkę wysoko nad jej głową, ona tymczasem jeszcze raz odetchnęła głęboko i zawróciła.

- Czy przyszło panu do głowy, że to nie jest zabawa?

- Nie. - Davy wpatrywał się w jej ciemne krótkie kędziory, sterczące na głowie jak małe różki. - Coś takiego zawsze jest rodzajem zabawy. Bo w przeciwnym razie dlaczego by się pani za to brała?

- Proszę mi oddać czapkę - powiedziała Matylda, a gdy on podniósł bejsbolówkę jeszcze wyżej, poprawiła na nosie okulary i ponownie spiorunowała go wzrokiem.

- Nie - odrzekł. - A to, co przed chwilą powiedziałem, było pytaniem. Z jakiego powodu pani tu się znalazła?

Matylda zmarszczyła brwi, patrząc na niego jeszcze groźniej.

- No więc dlaczego? - nie ustępował. - Proszę mówić.

Pokręciła głową, najwidoczniej zniechęcona.

- Och, spuśćmy na to zasłonę. Niech ją pan sobie weźmie.

Ruszyła w stronę drzwi, ale on szybkim ruchem objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Powiedz mi, Mulan, co ty knujesz - wyszeptał jej do ucha, gdy tymczasem ona usiłowała wyrwać się z jego objęć. - Chciałbym być dżentelmenem, ale stawka jest wysoka.

Nagle przestała się wrywać, a on odetchnął głębiej. Cynamon! Jej włosy pachniały cynamonem i wanilią, tak jak bułeczki, które jego siostra piekla w niedzielne poranki. Matylda odwróciła się w jego objęciach, by stanąć z nim twarzą w twarz, a on odebrał to jako miły gest.

- Dżentelmenem? - powiedziała niskim głosem, a Davy poczuł, że ogarnia go popłoch. - Przydałby mi się staromodny dżentelmen.

- Ja nim nie jestem. - Davy rozluźnił uścisk i cofnął się w stronę garderoby. - Ja jestem chamek żyjącym w dwudziestym pierwszym wieku.

Przysunęła się do niego bliżej, a on znowu się cofnął i potknął o buty Clei.

- Chcę pana prosić o przysługę - szepnęła, zadzierając w górę głowę, popychając go między ubrania Clei i przypierając do ściany. Gdyby nie to, że przyciskając się do niego, była taka sztywna, jej niski, schrypnięty głos przyprawiłby go o szybsze bicie serca i przyjemny szum w głowie.

Jeżeli chcesz mnie uwieść, to musisz trochę zmięknąć - pomyślał, ale nie odepchnął jej, bo pachniała jak najlepsze poranki jego życia.

- Nie jestem dobra w tych rzeczach - wyszeptała, kładąc mu lekko drżącą dłoń na piersi.

Nie ma żartów. - Davy'emu przyszło do głowy, że zdarzało mu się trzymać w ręku kantówkę, która była bardziej giętka niż ta kobieta.

- Podczas gdy ty - chwyciła go za koszulę - jesteś w tym świetny.

- Okej, pani rzeczywiście nie jest w tym dobra - zgodził się z nią, nie podnosząc głosu. - Za bardzo pani przyciska do muru. Czego pani chce? - Usłyszał w ciemności z lekka drżące westchnienie, uświadomił sobie, że ona się boi, i objął ją ramieniem. - W porządku - powiedział bez zastanowienia.

- Istnieje obraz - odezwała się. - Kwadratowy, o boku długości osiemnastu cali. Przedstawia scenę miejską pod wygwieżdżonym niebem w szachownicy. Ten obraz znajduje się gdzieś w tym domu.

- Obraz - powtórzył Davy, domyślając się, co teraz nastąpi.

- Ukradnij go dla mnie - wyszeptała, a jego ręce automatycznie objęły ją ciaśniej, wyczuwając całą jej ciepłą miękkość pod śliskim zakietem.

No cóż, szanse na to, że ona spełni to, co zdawała się obiecywać, równały się zeru, a poza tym była złodziejką - co nie rokowało zbyt dobrze - i prosiła go, żeby coś dla niej ukradł - co było gorsze niż cokolwiek, co mu do tyłeczka zrobiła, nie wyłączając ukąszenia i kopniaka w goleń. Inteligentny facet powiedziałby „Nie” i uciekł z tego domu, wywlekając ją wraz z sobą, żeby nie mogła go zakapować.

Ale... ostatnio życie było takie nudne.

A poza tym ona się bała.

- Spełnisz moją prośbę? - zapytała z rozchylonymi wargami, przyciskając się do niego mocniej.

- Oczywiście - odrzekł i pocałował ją delikatnie, pragnąc, by smakowała cynamonem. Był zaskoczony, że jej usta są chłodne jak mięta, a sekundę później zdumiał się niepomiernie, bo ona, unosząc głowę, odwzajemniła pocałunek, a koniuszek jej języka spotkał się z jego językiem. Zacieśnił uścisk i pocałował ją jeszcze raz.

- Vilma Kaplan - szepnęła, odrywając usta od jej ust, ale w tejże chwili ona, ogarnięta paniką, odskoczyła.

On także usłyszał kroki za drzwiami i omal jej nie przewrócił, rzucając się ku drzwiom garderoby, żeby je zamknąć, zanim ktoś wejdzie do pokoju.

Okej, to jest znak - pomyślał. - Znak, że mam się trzymać z daleka od tej kobiety i od jej języka. Gdy jednak chwilę później ona, stojąc tuż obok niego, westchnęła, ponownie ją objął.

Dzięki Bogu, ona jest brunetką - przemknęło mu przez myśl, gdy słuchał, jak Clea szeleści w sypialni. - A mnie życie rujnują zawsze blondynki.

Piętnaście minut wcześniej Clea Lewis patrzyła, jak Gwen Goodnight pożera sernik, i zastanawiała się, w jaki sposób odseparować tę babę od Masona - na zawsze i, jeżeli to się okaże konieczne, nawet najdrastyczniejszymi środkami. Obie te czynności przerwał jej Tomasz.

- Przepraszam panią? - odezwał się od drzwi, a Clea zwróciła się w jego stronę. Zachowała przy tym przyjemny wyraz twarzy. Mason lubił, gdy się wyskakiwało ze skóry, by być miłym dla służby. A poza tym w przyszłości firma cateringowa mogła im być potrzebna.

- Jest do pani telefon - poinformował Tomasz.

- Dziękuję, Tomasz - powiedziała Clea, po czym, zwracając się do Masona i do tego babska z galerii, dodała tonem nad wyraz uprzejmym: - Bardzo przepraszam.

- Ależ wszystko jest w najlepszym porządku - odrzekł Mason, szczęśliwy, że znowu rozmawia o sztuce.

Mason nie był zbyt atrakcyjny, był jednak ogromnie bogaty, więc uśmiech, który posłała mu Clea, promieniował szczerością.

Gwen Goodnight natomiast otworzyła szeroko swoje bładoniebieskie oczy, które nie umywały się nawet do oczu Clei, o czym Clea doskonale wiedziała, bo zdążyła je ze sobą porównać.

- Nie ma problemu - zwróciła się Gwen do Clei. - Ktokolwiek to jest, proszę go od nas pozdrowić.

Clea kiwnęła głową i odsunęła krzesło, nie odrywając oczu od swej rozmówczynie. Gwen miała kurze łapki i mało już doskonały owal twarzy, ale znała się na sztuce, a co więcej, Mason uważał ją za osobę czarującą. „Gwen Goodnight - powiedział, kiedy odsłuchiwał wiadomość od niej. - Czarująca kobietka. Prawie o niej zapomniałem. Zaprosiłem ją na obiad”. A teraz owa Gwen Goodnight siedziała z nimi przy stole.

Na szczęście jednak wyglądała na swój wiek, co było z jej strony po prostu nieostrożnością.

- Halo? - powiedziała Clea, podniósłszy słuchawkę.

- Clea? To ty, kochanie? - odezwał się męski głos.

- Kto mówi? - zapytała zirytowana.

Brakowało tylko tego, żeby Mason usłyszał, że jakiś facet mówi do niej „kochanie”!

- Ronald - odrzekł głos, najwyraźniej urażony.

- Czego chcesz?

Clea, stojąc przy telefonie, wyciągnęła szyję, żeby zajrzeć do jadalni. Mason wciąż pochylał się w stronę Gwen. Boże drogi, przecież ja załatwiłam temu człowiekowi usługi firmy cateringowej - pomyślała wzburzona, choć prawda była taka, że wynajęła faceta, który zjawił się pod drzwiami, zabiegając o jakąkolwiek pracę, po tym, jak uświadomiła sobie, że Mason spodziewa się po niej, iż zajmie się obiadem. A tymczasem - myślała dalej - on teraz wykorzystuje zorganizowany przeze mnie obiad do tego, żeby flirtować z inną kobietą. Gdzie tu lojalność? Gdzie wdzięczność i uznanie?

- Wiem, że nie chciałaś, żebym dzwonił - mówił zdenerwowany Ronald - ale to jest ważne. Davy Dempsey nas znalazł.

- Co takiego?

Clea rozejrzała się, jakby chcąc sprawdzić, czy Davy nie stoi tuż obok, szczerząc zęby w tym swoim ohydny uśmiechu.

- Jakoś nas wytropił. Wiedział nawet, gdzie ty jesteś. Nie mam pojęcia skąd. Groził mi, żebym siedział cicho. Ale ja musiałem ci o tym powiedzieć. Nic mnie nie obchodzi, niech mnie nawet zabije. Musiałem ci o tym powiedzieć, bo cię kocham.

- Jak on się dowiedział o miejscu mojego pobytu? - zapytała Clea tonem smagającym jak bicz. Boże Wszechmogący, ależ ona ma szczęście do mężczyzn! Wszyscy ją zawodzą. Davy, Zane, Cyryl... - Przecież nie wiedział, gdzie jestem. On śledził ciebie. A ty co, zostawiłaś mu swój nowy adres?

- Ja, mówiąc ci o tym, ogromnie wiele ryzykuję - powiedział Ronald, tonem najgłębszej urazy. - On jest niebezpieczny. Groził, że mnie zabije. Gdybym cię tak nie kochał...

- To jest oszust, a nie płatny morderca. - Clea przypomniała sobie Davy'ego, przystojnego, przebiegłego i nieprzejednanego, i rozejrzała się ponownie po pustym holu, myśląc intensywnie. Ten drań mógł być wszędzie, mógł wszędzie szukać swoich pieniędzy. Koniecznie trzeba się go pozbyć. Powinien to wykonać Ronald. To jego

wina, że Davy znajduje się gdzieś w pobliżu. - Jeżeli jest taki groźny, to dlaczego naprowadziłeś go na mój ślad? - Clea pozwoliła, żeby głos jej zadrżał. - Och, Ronaldzie, już nigdy nie będę ci mogła zaufać...

- Cleo...

Panika sprawiła, że Ronald powiedział to zdławionym głosem.

- ... chyba że mi pomożesz. - Clea zniżyła głos i przybrała ton obiecujący. - Chyba że udowodnisz swoją miłość do mnie, ratując mnie, Ronaldzie. Gdybyś to zrobił, wiedziałabym, że my...

- Zrobię dla ciebie wszystko. - Ronald oddychał coraz szybciej.

- Wszystko. Powinniśmy o tym porozmawiać. Pozwól mi zobaczyć się z sobą. Gdybyśmy mogli...

- Najpierw musisz udowodnić, że mnie kochasz. - Clea wyciągnęła szyję, żeby się upewnić, czy Gwen nie wdrapała się Masonowi na kolana. Boże, mężczyznom nie można ufać.

- Spotkamy się - powiedział Ronald już całkiem bez tchu. - Po...

- Nie mogę się z tobą spotkać w sytuacji, gdy w pobliżu znajduje się Davy.

- Cleo, błagam...

- Pozbądź się Davy'ego, a wtedy porozmawiamy - powiedziała Clea. - Muszę kończyć...

- Zaczekaj, zaczekaj, ja mam plan - oznajmił Ronald pośpiesznie.

- Sądzę, że mogę go przekonać, żeby ci zostawił ten milion, który ci ukradł, i żeby wziął tylko te pieniądze, które z jego pomocą zarobił. Pierwszy milion słusznie ci się...

- Wszystkie te pieniądze są moje - stwierdziła stanowczo Clea, a wściekłość sprawiła, że podniosła głos.

Naprawdę, gdzie ten człowiek ma rozum? Na ile, jego zdaniem, wystarczy jej milion przy tym trybie życia? Zresztą przy każdym trybie życia. Clea zniżyła znowu głos, wydając z siebie pomruk, który sprawiał, że mężczyźni psychicznie silniejsi od Ronalda drżeli z podniecenia.

- Wiesz o tym dobrze, kochanie, wiesz, że to prawda.

- Oczywiście - odrzekł machinalnie Ronald. - Jeżeli jednak on ci zostawi...

- On mi nic nie zostawi - przerwała Clea. - Ja go znam, z nim nie można dojść do ładu. Pozbądź się go, a wtedy będziemy już zawsze razem. Muszę jeszcze tylko kupić kilka obrazów, Ronaldzie. Jeszcze tylko miesiąc. Miesiąc, nie więcej, a będziemy znowu razem. I staniemy się właścicielami pięknej kolekcji dzieł sztuki.

- Miesiąc? - Ronald odetchnął głęboko. - Ja nie...

- Ale tylko pod warunkiem, że pozbędziesz się Davy'ego - powiedziała Clea. - Dopóki on się kręci w pobliżu, nie będziemy razem, w żadnym wypadku.

Na drugim końcu linii telefonicznej zaległa cisza, a Clea znowu wyciągnęła szyję, żeby sprawdzić, co się dzieje w jadalni. Gwen śmiała się właśnie z czegoś, co mówił Mason. Och, ta baba to prawdziwa hiena. No i owal ma już zdecydowanie kiepski. Clea podciągnęła sobie podbródek. Za dużo w tym miejscu i w tym, i człowiek zaczyna wyglądać jak...

- Co właściwie - rozciągał wyrazy Ronald - masz na myśli, mówiąc „pozbyć się”?

W jadalni Gwen położyła dłoń na ramieniu Masona, a Clea wyjaśniła:

- Że masz go usunąć z horyzontu.

- To znaczy zabić go?

Clea przestała piorunować wzrokiem Gwen i Masona i zastanowiła się przez chwilę. Śmierć to coś nieco bardziej drastycznego niż to, co miała na myśli, ale śmierć sprawiłaby, że Davy zostałby na dobre usunięty z jej dro-

gi. No i może Ronald mógłby za popełnione przez siebie morderstwo obarczyć winą Gwen. To rozwiązałoby wszystkie problemy.

Z drugiej jednak strony chodziło tu o Davy'ego. A Davy - kiedyś, dawno temu - był dla niej dobry.

Do diabła, niech Ronald sam się domyśli.

- Ronaldzie, albo mnie kochasz, albo nie.

- On ma rodzinę - powiedział Ronald. - Prawdziwą rodzinę. Co tydzień dzwoni do siostry. Nie sądzę, żebym mógł...

- No to mnie nie dostaniesz - odrzekła Clea. - Jeżeli nie chcesz zająć się takim drobiazgiem, to nie mogę ufać, że się mną zaopiekujesz, a to z kolei oznacza, że nie mogę z tobą spędzić reszty życia. Zdradziłeś mnie, Ronaldzie, przysłałeś tutaj tego okropnego człowieka, a teraz nie chcesz mnie uratować. Jestem tak wytracona z równowagi, że nie mogę z tobą dłużej rozmawiać.

- Cleo...

- Żegnaj na zawsze, Ronaldzie. - Clea rozłączyła się, przerywając potok jego próśb.

Zanim to jednak uczyniła, usłyszała w jego głosie ton rozpacz, który oznaczał, że chwycił przynętę.

Teraz musiała tylko poczekać, aż Ronald wepchnie Davy'ego pod autobus albo usunie go w jakiś inny sposób. Ronald ją kocha i to zrobi. To żaden problem. Pod warunkiem, że Davy'ego nie ma jeszcze w tym domu. Nie może go tutaj być, prawda? Do diabła, powinna była wyciągnąć z Ronalda więcej szczegółów.

Clea jeszcze raz zajrzała do jadalni, po czym udała się na górę do swojej sypialni, żeby się upewnić, czy Davy jej przypadkiem właśnie nie okrada. No cóż, taki jest świat - pomyślała. - Kobieta musi prawie wszystko robić sama.

Okej, okej - myślała Matylda, starając się stać jak najspokojniej. - Musi być z tego jakieś wyjście. Trzeba tylko zwolnić tempo i dobrze się zastanowić. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Tlen jest naprawdę ważny, zwłaszcza gdy się ma astmę. Brak tlenu sprawia, że człowiek traci przytomność, słabnie. Odetchnęła ponownie, a stojący obok niej całujący bandyta objął ją ramieniem.

Jakie to urocze. Swoją drogą, on musi ją uważać za kompletną idiotkę. Albo za dziwkę. Pocałowała go przecież. Zanurzając się w ciemną anonimowość garderoby, pomyślała: Och, dzięki Bogu, on mi pomoże, i odwzajemniła jego pocałunek. Jest dziwką-idiotką. Ale przecież on jest złodziejem, nie ma więc prawa się wywyższać.

Muszę częściej spędzać czas poza domem - to była kolejna myśl. Sześć miesięcy celibatu wystarczyło, żeby całowała się z jęczyzkiem z jakimś włamywaczem - i to w trakcie popełniania przestępstwa.

W sypialni Clea Lewis zamknęła z trzaskiem szufladę. Matylda zamarła. Bandyta przycisnął jej ramię, a ona bezskutecznie usiłowała nie czuć się pocieszona. Ten człowiek był oszustem - o dziwo, nie odbierało mu to jednak atrakcyjności w jej oczach. Krew Goodnightów - pomyślała. Podobieństwa się przyciągają.

Bandyta przesunął się delikatnie. Zrozumiała, że usiłuje przemieścić się wraz z nią w drugi koniec garderoby - ten bardziej oddalony od pierwszych dwojga drzwi.

Słusznie! - Zrobiła krok w bok, a on razem z nią przesunął się wzdłuż ściany. Jego ciepła dłoń spoczęła na jej plecach w momencie, gdy drzwi garderoby się otworzyły.

Clea przesuwiała ubrania wiszące dokładnie tam, gdzie przed chwilą stali. Matyldzie przeleciało przed oczami całe życie: sfalszowane obrazy i freski-falsyfikaty mieszały się z rodzinnymi scenami. Przesunęła głowę o ułamek cała w stronę mężczyzny i dotknęła czołem jego ramienia. Dotychczas zawsze to ona kogoś ratowała. Dziś jed-

nak ten człowiek mógł uratować ją. Był tak samo obciążony różnymi winami, być może nawet bardziej - a więc istniała możliwość, że wypłucze ich z tej sytuacji.

Clea zakończyła przegląd ubrań i zamknęła drzwi garderoby. Matylda, dygocząc, odetchnęła z ulgą, poczuła zapach mydła oraz bawełny i spróbowała opanować drżenie. Do jej uszu dobiegł odgłos zamykanych drzwi sypialni. Jej towarzysz powiedział z ulgą:

- No.

I otworzył drzwi garderoby.

Szkoda, tutaj jest tak bezpiecznie - pomyślała Matylda, wyszła jednak za nim na zewnątrz.

- No cóż - wyszeptała, gdy znajdowali się już w sypialni Clei - naprawdę doce...

- Cholera! - zaklął mężczyzna dość głośno, a wzrok Matyldy pobiegł w ślad za jego spojrzeniem i padł na biurko, na którym nie było już laptopa. - Przepraszam - zwrócił się do niej, tym razem po cichu.

- A za co? - zdziwiła się Matylda. - Ja sama od ośmiu godzin mam ochotę kłać na czym świat stoi. - Zaczepnęła powietrza. Na głowie miał jej czarną bejsbolówkę, tę, którą pożyczyła od Andrew, tę, na której białymi nićmi wyszyte było słowo „SUKA”. W porządku, niech ją sobie zatrzyma na pamiątkę. - No cóż - powiedziała - było wspaniale, ale...

- Trzy przecznice stąd jest niedroga restauracja - przerwał jej. - Tam się spotkamy.

- Co takiego? - wyszeptała Matylda. - Po co? Proszę posłuchać, jeżeli to z powodu pocałunku, to przepraszam, ale ja...

- Chodzi o obraz - odrzekł mężczyzna również szeptem, próbując skierować ją w stronę drzwi.

- Wie pan - Matylda próbowała się opierać. - Nie powinnam pana o to prosić. Ten obraz to nie pański problem. Ja...

Pochylił się nad nią - silny i rosły w przyćmionym świetle, a ona zamilkła.

- Vilmo, nie wiem, z czego ty żyjesz, wiem jednak, że nie z kradzieży. Idź i zaczekaj na mnie w tej restauracji.

- Ależ nie, naprawdę...

- Chcesz tu zostać i dalej przeszukiwać ten dom?

Matylda poczuła, że znowu łapia ją duszności. Co za kretyńka ze mnie, pomyślała i odrzekła:

- Nie.

- Więc idź. - Skierował ją w stronę drzwi. - A jeżeli cię złapią, to mnie tu nie widziałś.

- Och, żeby to była prawda... - Po tych słowach Matylda wymknęła się za drzwi, czując się równocześnie jak idiotka i życiowa ofiara.

Wróciwszy do galerii, Gwen podeszła prosto do szafki wiszącej nad kontuarem i wyciągnęła stamtąd butelkę. Butelka okazała się pusta. Nie było w niej ani kropli wódki.

- Cholera. - Gwen wrzuciła butelkę do śmieci, gotowa poturbować osobę, która ją opróżniła. Nie był to raczej Andrew ani Jeff, bo oni trzymali gorzałę we własnym mieszkaniu. Ewa też raczej nie wykończyła butelki. A Nadine miała dość rozumu, żeby nie robić takich rzeczy.

Musiałam sama to zrobić - pomyślała Gwen. - No świetnie, zawsze chciałam być cierpiącą na amnezję podstarzałą pijaczką. Poszukała w szafie grającej czegoś uspokajającego i nastawiła *Do You Know the Way to San Jose*.

Dionne była dobra na wszystko. San Jose także byłoby dobre. Każde miejsce na świecie byłoby lepsze niż to, w którym się właśnie znajdowała.

Opadła na skórzaną kanapę i próbowała nie myśleć o Matyldzie uwięzionej w tamtym cholernym domu. Potrzebne jej wakacje, chociaż wyjechać będzie mogła dopiero za jakiś czas. Ewa skończy studia pedagogiczne nie wcześniej niż za rok. A Nadine za trzy lata zacznie studiować.

Wszedł Andrew ze szklanką w dłoni, a krok w krok za nim dreptał Spot.

Za dwadzieścia lat zdechnie ten pies.

- A, jesteś - powiedział Andrew, stawiając szklankę na kontuarze. Było w niej pół cała przezroczystego płynu. Gwen zapytała:

- Czy to jest wódka?

- Tak. - Andrew uśmiechnął się do niej, nie zauważając wcale aluzji. Wyglądał jak jeden z tych filmowych przystojniaków z lat sześćdziesiątych, choć, być może, przyczyną tego wrażenia był makijaż oczu.

- Nadine mówi, że Matylda wróciła i przywiozła jego. - Wskazał gestem psa, który zaskomlał cichutko i opadł na dywan. - Czy ona znowu wyjechała? - Andrew otworzył lodówkę pod kontuarem i wyjął karton soku pomarańczowo-ananasowego. - Aha, i dzwonili z banku.

Hipoteka zostanie spłacona za dwadzieścia sześć lat. Ona będzie miała wtedy siedemdziesiąt dziewięć lat i prawdopodobnie straci już ochotę na jakiegokolwiek wyjazdu. Oznacza to także, że - dla zabicia czasu przed śmiercią - będzie potrzebowała trzystu broszur z krzyżówkami. Prawdopodobnie taka ich liczba w ogóle nie istnieje.

- Gwennie? - zagadnął Andrew, nalewając sobie soku do szklanki.

- Wciąż masz tusz na rękach - poinformowała go. Andrew kiwnął głową.

- W pracy było piekło. Ewa, będąc jeszcze Luizą, postanowiła wyjść z restauracji, a ja - gdy wychodziła - musiałem wyrwać ją ze szponów jakiegoś faceta. Luiza nie ma gustu, jeżeli chodzi o mężczyzn.

- Ależ skąd, ona ma gust, tylko ten gust różni się od twojego - powiedziała Gwen.

Andrew usiadł obok niej na kanapie.

- Boże, jak dobrze być w domu. Aha, Nadine mówiła, że sprzedała jakiś obraz za tysiąc dolarów. Ależ wychowaliśmy bachora, co? Jeżeli ona sprzeda jeszcze ze sześćset obrazów, Ewa będzie mogła przestać przez cztery wieczory w tygodniu wcielać się w Luizę, a ty zostaniesz zabezpieczona do końca życia.

- Ewa lubi być Luizą - powiedziała Gwen. - A ten obraz to było dzieło Scarlet. Matylda jest teraz w domu Masona Phippsa. I odzyskuje go na drodze kradzieży.

- Oj, nie zwracaj głowy, Gwennie. - Andrew wyglądał na zirytowanego. - Myślałem, że naszym największym problemem jest Luiza.

- Luiza nie jest problemem. A ty daj mi tę wódkę z soldem, jeżeli nie masz zamiaru jej wypić. Miałam okropny wieczór, a teraz robi się jeszcze gorzej. Matylda wciąż nie wraca i czuję, że ją przyłapali. Jeżeli tak się stało, to trudno będzie wyjaśnić, co robiła w domu Masona, nie rujnując przy tym całego naszego życia. - Gwen rozejrzała się z zalem po biurze urządzonej starymi meblami. - Ja bym się pogodziła z takim obrotem sprawy, pod warunkiem że nie pójdę do więzienia.

Andrew wręczył jej szklankę.

- Dobry z ciebie chłopak, Andrew - pochwaliła go. - A teraz idź i przynieś butelkę.

Matylda siedziała w restauracji, bębniąc palcami po stoliku, na którym stała filiżanka kawy. Bębniła tak, dopóki facet z sąsiedniego boksu nie poprosił, żeby przestała. Matylda odwróciła głowę, żeby spojrzeć na zegar wiszący na tylnej ścianie. Upłynęła już ponad godzina. Może Clea Lewis przyłapała Davy'ego. Może on informuje właśnie Cleę, że jakaś kobieta chciała ukraść obraz. Może dał policjantom jej bejsbolówkę. Może...

- Cześć, Vilma - powiedział Davy, wsuwając się do boksu. - Tęskniłaś za mną?

Rozdział trzeci

Matylda wyciągnęła stopę spod worka marynarskiego, który Davy cisnął pod stół.

- Czy my się znamy?

- Tak - odparł, sadowiąc się przy stoliku. - Godzinę temu penetrowałaś językiem wnętrze moich ust. Czy ci za to podziękowałem?

Spojrzała na niego zza szkieł, mrużąc przy tym oczy. Na pierwszy rzut oka wyglądał przeciętnie - był ciemnowłosym facetem o łagodnym obejściu, w rogowych okularach i podniszczonej marynarce w nijakim kolorze. Jedyną rzeczą, która w jego wyglądzie przyciągała wzrok, była bejsbolówka zwędzona u Clei.

Ale błysk w jego oczach i zarys jego szczęki sprawiały, że Matylda drżała z podniecenia.

- Czy o to chodziło? - zapytał, a ona poczuła, że pod stolikiem coś obija się o jej nogę.

Sięgnęła ręką i wymacała papierowe opakowanie, a pod nim krawędź obrazu, i doznała takiej ulgi, że aż zamknęła oczy.

- Dziękuję. Wybaczam panu wszystko.

- Wszystko, to znaczy co? Czy to, że uratowałem pani skórę?

- To, że napadł pan na mnie w garderobie.

Papier w rogu był oddarty i Matylda zobaczyła pod nim wygwieżdżone niebo w szachownicy. Z całą pewnością jej własne wygwieżdżone niebo. Dzięki, dziękuję - powtórzyła w myślach.

- To pani mnie zaatakowała - bronił się Davy. - Ja tam byłem pierwszy. Formalnie rzecz biorąc, Vilmo, ta garderoba była moja.

- Kto to jest Vilma? - zapytała Matylda, a jej zainteresowanie błyskiem w jego oczach zmalowało.

- Nikt już późną nocą nie ogląda filmów. To wina kablówek.

Świetnie, jest interesujący - pomyślała Matylda i uśmiechnęła się do niego promiennie.

- No cóż, wie pan, to był wspólny wyciecznik. Dzięki za pomoc.

Chciała wysunąć się z boksu, ale on położył nogę na siedzeniu, zagrządzając jej drogę.

- Chwileczkę - odezwał się. - Jest mi pani coś winna. Kim pani jest i dlaczego zabierała się pani do grzebania w garderobie Clei?

- Nie - zaprotestowała Matylda, próbując odepchnąć jego nogę.

- Tak - nie ustępował.

- Jeżeli zrobię scenę... - Przerwała.

Siedziała przecież w boksie w restauracji, a pod stolikiem miała trefny obraz. Nie mogła sobie pozwolić na awanturę. Ktoś mógłby do nich podejść i zapytać: „A co to jest?” i wtedy ona musiałaby udzielić wyjaśnień. A

wszystko było lepsze niż wyjaśnienia dotyczące obrazów Scarlet, wszystko, nawet to chamisko ze swoim błyskiem w oczach.

- A proszę bardzo, niech ją pani robi - powiedział. - Dobra wiadomość jest taka, że mnie nic nie obchodzi, co pani knuje. Chcę tylko informacji. Kim pani jest i...

Podeszła kelnerka z dzbankiem kawy, a on jakby skurczył się w swojej niepozornej marynarce.

- Można dostać hamburgera? - zapytał kelnerkę, a ona, nie zaszczycając go spojrzeniem, wyciągnęła bloczek.

Jeżeli na drugi dzień ktoś by ją o niego zapytał, nie pamiętałaby go wcale, co było zdumiewające, bo on stanowił naprawdę nie lada okaz.

- I kawę proszę - dodał.

Kelnerka kiwnęła głową, włożyła bloczek do kieszeni fartuszka, nalała do pełna Matyldzie i odeszła, wciąż nie zaszczycając Davy'ego spojrzeniem.

- A teraz - zwrócił się Davy do Matyldy - nazwisko!

Matylda usiadła wygodniej i po krótkiej chwili zastanowienia odrzekła:

- Mów mi Vilma. Obraz jest mój. Pani Lewis zabrała go i nie chciała zwrócić, więc musiałam wejść do jej domu i go odzyskać.

- Ukradła go? - zapytał. - To do niej niepodobne.

- Kupiła - wyjaśniła Matylda - ale nie zapłaciła.

- A, to do niej podobne - stwierdził, a Matylda powiedziała sobie w duchu: Dobrze ją znasz, i jej myśli na temat Clei, które nigdy nie odznaczały się ciepłem, stały się jeszcze mniej serdeczne.

- A ty kim jesteś? - odezwała się. - I co tam robisz?

- Jestem konsultantem pewnej elitarnej agencji egzekwującej prawo. - Patrzył na nią ponad oprawkami okularów. - Mów mi Bond. James...

- Ale śmieszne - skomentowała to Matylda.

Kelnerka przyniosła Davy'emu kawę, a kiedy się oddaliła, on zapytał:

- A dlaczego nie zawiadomiłaś policji?

- To by było takie nieprzyjemne. - Matylda podniosła głowę. - Zresztą ona mogłaby powiedzieć, że wzięła obraz z możliwością zwrotu.

- A zatem, chcąc uniknąć nieprzyjemnej sytuacji, wzięłaś się na sposób. - Pokiwał głową. - Wrócimy do tego. A kto okleił zamek taśmą, żeby ci ułatwić zadanie?

- Co takiego? - zapytała Matylda, otwierając szeroko oczy, tak jak to czyniły Gwen i Ewa, kiedy chciały sprawić wrażenie całkiem niewinnych.

Strzelił palcami.

- Betty Boop.

- Co takiego? - powtórzyła Matylda, tym razem naprawdę nie wiedząc, o co chodzi.

- To postać, którą mi przypominasz. Kręcone włosy, oczy jak u żuka, usta jak u lalki. Moja siostra przebrała się za nią kiedyś na Halloween.

- Fascynujące. - Matylda ściągnęła brwi nad „oczami jak u żuka”. - Mogę już iść?

- Nie, Betty, nie możesz. Próbując dostać się do domu, w którym mieszka Clea, usiłowałem otwierać różne drzwi po kolei. Wszystkie były zamknięte na klucz poza jednymi - bocznymi. Zamek tych drzwi zalepiony był taśmą klejącą, więc się nie zamykał. Kto ułatwił ci w ten sposób zadanie?

- Nie mam pojęcia, o czym...

- Posłuchaj, Betty, możesz przestać kłamać. Chcę się tylko dowiedzieć, kogo ty znasz w tym domu, i także poznać tę osobę.

Kelnerka przyniosła hamburgera, położyła na stoliku rachunek, po czym odeszła.

- Nie znam nikogo w tym domu - oświadczyła Matylda, gdy tymczasem on zabrał się do hamburgera, pożerając go z prędkością światła. - To ja sama poszłam tam w dzień i zakleiłam zamek.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem ponad oprawkami okularów, a ona zamilkła.

- Coś ci poradzę - oznajmił tonem, w którym zabrzmiała wyraźna groźba. - Nie kłam, gdy ze mną rozmawiasz. Bo to strata twojego czasu i nadużywanie mojej cierpliwości.

- No proszę. - Matylda jakoś nie przejęła się jego słowami. Kiwnął głową i ponownie wgrzyzł się w hamburgera.

- Ze mną nigdy nie udaje się nic osiągnąć, idąc w zaparte - powiedział, gdy już przełknął, tonem prawie lekkim. - To dziwne, bo ja sam jestem mistrzem od takich gier.

Uśmiechnął się do niej, a Matylda dostrzegła groźbę w jego oczach i poczuła ściskanie w gardle.

- Więc jak? Masz ochotę przeciągać strunę? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Matylda. - Okej, powiem prawdę. Ktoś zakleił zamek, żeby mi pomóc, ale ten ktoś nie pracuje w tym domu. Sądzę, że tam nie ma żadnych pracowników ani służby. Mieszkają tam tylko Mason Phipps i Clea Lewis. Ale raczej nie można mieć pewności, że dom jest o jakiejś określonej porze pusty.

Davy usiadł wygodniej i przyglądał się jej z wyrazem twarzy, który można by uznać za aprobujący.

- Więc zorganizowałaś obiad. Nieglupio.

- Dziękuję. - Matylda postukała palcem w jego but. - Czy teraz mogę już iść?

- Nie. - Nie zdejmował nogi z siedzenia. - Clea kupiła od ciebie ten obraz. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia - odrzekła Matylda. - Myślę, że jej się spodobał.

- A dlaczego ty musisz go odzyskać?

- Nie - zaprotestowała Matylda. - Ta informacja ci się nie przyda.

- Ja jednak czuję, że mi się przyda. - Odsunął pusty talerz, a Matylda aż zmrużyła oczy ze zdziwienia. Musiał być głodny jak wilk, skoro pochłonął hamburgera w takim zawrotnym tempie. - Odpakujmy go.

- Nie, nie będziemy go odpakowywać. - Matylda wyprostowała się. - Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że mnie przyłapałeś, ale ja nie mam powiązań z Cleą Lewis, nie znam jej i nie powiem ci już nic więcej. - Podniosła dumnie głowę. - Jeżeli to ci nie wystarczy, wydaj mnie policji.

Popatrzył na nią smutno.

- Betty, ja nie jestem facetem tego pokroju, nie wydaję nikogo policji. - Przerwał, tak jakby sobie coś przypomniał. - No cóż, w każdym razie nie jestem facetem, który wydaje policji osoby takie jak ty.

Wziął filiżankę z kawą i uśmiechnął się do niej.

- Dzięki. - Matylda starała się nie zwracać uwagi na to, że serce zabiło jej mocniej. - Jesteś prawdziwym księciem z bajki. Weź nogę.

Sączył kawę, ani na chwilę nie odrywając od niej oczu.

- Nie jesteś złodziejką. Gdybyś próbowała żyć z kradzieży, umarłabyś z głodu, a jest oczywiste, że nie głodujesz.

- Chwileczkę, co ty sobie... - powiedziała Matylda.

- Nie chciałem cię obrazić. Zauważyłem to, kiedy przewróciłem cię na dywan. - Zdjął nogę z siedzenia i wyszedł z boksu. Zdjął bejsbolówkę i włożył ją Matyldzie na głowę nieco na bakier. - Okej. Ta rozmowa jeszcze nie jest zakończona. - Sięgnął pod stół po worek marynarski. - Zostań tu, Betty. Kiedy wrócę, zaczniemy od początku.

O nie, co to, to nie - pomyślała Matylda, patrząc, jak odchodzi - przygarbiony i nijaki. Poprawiła na głowie bejsbolówkę. Tymczasem on skręcił do holu, gdzie były toalety. Odczekała jeszcze minutę, po czym wyszła z boksu i ruszyła ku drzwiom, ściskając pod pachą obraz.

Po drodze dogoniła ją kelnerka.

- Chwileczkę. Kto zapłaci za hamburgera?

- On - odrzekła Matylda.

- On wyszedł. - Kelnerka zastąpiła jej drogę. - Wyszedł tylnym wyjściem.

- A to drań - rzuciła rozwścieczona Matylda. - Zostawił mi rachunek do zapłacenia!

- Pogratulować takiego faceta - uśmiechnęła się ironicznie kelnerka. - Razem z kawą to będzie dziewięć osiemdziesiąt siedem.

- Palant.

Matylda rozzłoszczona szukała w portmonetce pieniędzy. Myślała o tym draniu tak ciepło, a teraz okazało się, że to było wprost żalosne. No cóż, powinna się cieszyć, że zniknął już z jej życia.

I że odzyskała swoją Scarlet. Na tę myśl czuła lekkie mdłości, jednak dobrze było mieć ją z powrotem. Naprawdę.

- Dziękuję - powiedziała do kelnerki i ruszyła ku drzwiom, ciesząc się, że cudem uniknęła nieszczęścia.

Po drugiej stronie ulicy Davy, oparty o ścianę budynku, ukrywał się w cieniu. Przepraszam cię za to, Betty - pomyślał, widząc, jak kelnerka łapie ją przy drzwiach. Betty wyszła z restauracji i rozejrzała się w obie strony, bez wątplenia szukając go wzrokiem. Tymczasem on stał bez ruchu i patrzył, jak ona zarzuca sobie torebkę na ramię, ściska obraz pod pachą i maszeruje przed siebie. To jasne, że nie jest stworzona do przestępstwa, pomyślał, ruszając za nią.

Cztery przecznice dalej Betty skręciła w boczną uliczkę, a Davy przyspieszył, pragnąc ją dogonić, i nagle znalazł się zupełnie sam w jakimś zaułku. Plując sobie w brodę, że nie obserwował jej uważniej, zawrócił i rozejrzał się wkoło.

W miejscu, w którym się znalazł, nie było nic ciekawego poza ceglanym budynkiem z dość obskurną wystawą sklepową, z której sączyło się słabe światło. Davy podszedł do wystawy i zajrzał przez szybę. W sklepie było ciemno, jednak w tylnej ścianie pomieszczenia zobaczył drzwi z oświetlonym okienkiem. W środku poruszali się jacyś ludzie. A poprzez półmrok frontowej części Davy dostrzegł dwa dobrze namalowane, ale przygnębiające pejzaże morskie.

Obrazy.

To nie jest zbieg okoliczności - pomyślał i cofnął się, żeby się przyjrzeć oblażącemu z farby szyldowi. Trudno go było odczytać, bo złote litery wypływały, jednak po minucie Davy przesyłabizował: GALERIA GOODNIGHTÓW.

A więc ta złodziejka Betty miała powiązania z galerią sztuki. Davy zauważył jakiś niewielki napis w dolnym rogu okna wystawowego, podszedł więc bliżej, żeby go odczytać.

Umeblowane mieszkanie do wynajęcia - głosił napis. - Bliższe informacje na miejscu.

Davy obejrzał się przez ramię. Zrobił się nagle ostrożny, przypominając sobie dewizę ojca: jeżeli wszystko jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, wycofuj się. Pomyślał o Betty, o jej jasnych oczach patrzących zza upodabniających ją do żuka okularów, o tych oczach, które nie zdradzały niczego, uświadomił też sobie, jak niezręcznie próbowała go uwieść, tam, u Clei, i jak w restauracji całkiem bez finezji wykręcała się od odpowiedzi. Doszedł do wniosku, że raczej nie przyprowadziła go tu celowo.

Z drugiej jednak strony, to los mógł działać za niego. Davy wystarczająco długo grał w bilard, żeby wiedzieć, że gdy człowiek musi wybierać pomiędzy zręcznością i umiejętnościami a szczęściem, powinien zdawać się na szczęście; zbyt długo był też oszustem, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że gdy człowiek musi wybierać między doskonałym planem a szczęśliwym zrządzeniem losu, powinien zdać się na los. Teraz jednak znalazł się w sytuacji, w której górę brały zręczność i umiejętności oraz plany.

Sytuacja ta wymagała pewnego zastanowienia, a jemu potrzebny był pewien kapitał, poszedł więc poszukać lokalu ze stołem bilardowym. Betty mogła zaczekać.

Wiedział już przecież, gdzie jej szukać.

Pięć minut wcześniej Matylda dostała się tylnym wejściem do galerii i udała się do biura. Gwen leżała wyciągnięta na skórzanej zniszczonej kanapie, a jej jasne włosy błyszczały w świetle padającym z grającej szafy, z której wydobywały się dźwięki *Don't Say Nothin' Bad About My Baby* wykonywanej przez grupę The Cookies. Spot zerwał się na równe nogi z wytartego dywanu i rzucił się w stronę Matyldy. Matylda złapała psa w chwili, gdy Gwen usiadła tak raptownie, że omal nie zsunęła się z kanapy.

- Gdzie byłaś? Mój Boże, ja już myślałam, że...

- Wiem. - Matylda usiłowała opanować merdanie psiego ogona, nie upuszczając obrazu. - Sprawa rozwiązana. Patrz!

Podniosła w górę owinięty w papier kwadrat, a Gwen opadła z powrotem na poduszki.

- Dzięki Bogu.

Gwen wzniosła oczy do sufitu.

Matylda upuściła obraz na kanapę i podniosła szalejącego psa, Oparła go sobie na ramieniu i próbowała uspokoić, bo popadł niemal w stan hiperwentylacji.

- Wiem - powtórzyła, poklepując go jak dziecko i ciesząc się, że tak szaleńczo jej potrzebuje. - Nie mogę uwierzyć, że jest już po wszystkim.

- Wcale nie jest - stwierdziła Gwen.

Zanim Matylda zdążyła coś odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i do biura wszedł Andrew, a za nim wkroczyła Ewa, ubrana w fioletową piżamę i zmechaczone kaptcie.

- Słyszeliśmy, jak wchodzisz. - Andrew uściśnął Matyldę z siłą niedźwiedzia, miażdżąc przy tym psa. - Tęskniliśmy za tobą, ty kryminalistko.

- Matylda na moment oparła się o niego, rozkoszując się uściskiem jego ramion, w tej samej jednak chwili pies wydał stłumiony jęk i Andrew ją puścił.

- Teraz ja. - Ewa odsunęła swojego eksmeża, żeby również uściskać Matyldę. - Tak bardzo za tobą tęskniliśmy - powiedziała stłumionym głosem, wtulając twarz w szyję siostry.

- Ja też za wami tęskniłam. - Matylda poklepała Ewę po plecach.

- Nie macie pojęcia, jak bardzo chcę z wami porozmawiać. Ewa odsunęła się.

- A co się stało? Jeżeli chodzi o pieniądze, to nam ich nie brakuje. Nadine sprzedała jakiś stary obraz za tysiąc dolarów!

- No tak - powiedziała Matylda. - Wiem. Ale to fatalnie, bo ten obraz to dzieło Scarlet.

- No to co? - Wzrok Ewy padł na obraz leżący na kanapie. - Czy to on? Dlaczego tu wrócił?

- Bo to falsyfikat.

- Dlaczego on ma być falsyfikatem? - Ewa wzięła obraz i zaczęła oddzierać taśmę, którą był oklejony. - Czy dlatego, że ty podpisałaś go: „Scarlet”? No to co z tego? - wzruszyła ramionami. - Imię Scarlet to coś w rodzaju pseudonimu artystycznego. Takiego jak w moim przypadku Luiza. Przecież pisarze też podpisują się pseudonimami, prawda? - Spojrzała na Matyldę. - Piszą pod fałszywymi nazwiskami, żeby nie tracić prywatności. Ty, malując, robiłaś to samo.

- Ogłosiliśmy wszem i wobec, że Scarlet jest córką Homera. Ludzie kupowali jej obrazy ze względu na niego.

- Ja sędzę, że obrazy były świetne. - Ewa zmagala się z taśmą

- Moim zdaniem ludzie dlatego właśnie je kupowali, wcale nie ze względu na tego starego Homera.

- Och, Homer nie był taki zły - odezwała się Gwen. Matylda podniosła głowę.

- Teraz to już nie ma znaczenia - powiedziała. - Jesteśmy bezpieczni.

- Wcale nie - zaprzeczyła Gwen.

Ewa zrezygnowała z odrywania taśmy i zaczęła zdzierać papier.

- Mason szuka pozostałych obrazów Scarlet - oznajmiła Gwen, a Matylda, czując ściskanie w żołądku, przytuliła mocniej psa

- Chce o niej pisać. Dotychczas znalazł tylko jeden wywiad z nią przeprowadzony przez ojca. Chce, żebym mu o niej opowiedziała. I chce z nią porozmawiać.

- Ty nic nie pamiętasz - przykazała jej Matylda, a pies zaczął się wiercić w jej ramionach. - Odzyskaliśmy obraz, więc...

- Nie sędzę - wtrąciła się Ewa, zrzuciwszy papier na podłogę i patrząc na płótno.

- Co takiego? - zapytała Matylda, a Ewa odwróciła obraz, żeby Gwen i Matylda mogły go zobaczyć.

- Na tym, o którym mówiła mi Nadine, był nasz dom - powiedziała, wskazując małe tłuste krowy urozmaicające krajobraz. - Nie wspominała nic o krowach.

Matylda spojrzała na obraz i zrobiło jej się duszno. Krowy.

Gwen popatrzyła na Matyldę.

- To nie jest obraz, który Nadine sprzedała Clei Lewis. Ukradłaś nie ten.

- Byłam pewna, że ten facet sprowadzi na nas kłopoty. - Matylda wpatrywała się w krowy, stawiając jednocześnie psa na podłodze. Właściwie to nie były nawet jej krowy; bo to ojciec - a nie ona - wpadł na pomysł ich namalowania.

- Facet? - powtórzył Andrew. - Jaki facet?

Ojciec powiedział: „Scarlet to dziewczyna ze wsi. Nie mieszka w naszym domu. Na litość boską, czy ty chcesz zepsuć całą transakcję? Ona maluje, no nie wiem, krowy. Idź, namaluj krowy”.

I Matylda namalowała - tłuste małe krowy ze złotymi filigranowymi skrzydłami, krowy fruujące po całym pejzażu, który trzymała teraz Ewa.

Po pejzażu, który ktoś kupił.

Legalnie, zgodnie z prawem.

Matylda grzebała gwałtownie w kieszeni, szukając znowu inhalatora. Za często go używam, pomyślała. Moja astma wymknęła się spod kontroli.

Krowy.

- Jaki facet? - nalegał Andrew.

- Ten cham, którego spotkałam w garderobie Clei. - Matylda wzięła obraz od Ewy i postawiła go na starym mahoniowym biurku ojca, opierając o ścianę. - On go dla mnie ukradł.

- Jest ktoś oprócz nas, kto o tym wie? - zapytała Gwen. - I to ten ktoś go ukradł?

- On już i tak okradał ten dom, kiedy go tam zastałam.

Matylda dotknęła obrazu, przypominając sobie, jak świetnie się bawiła, malując te tłuste masywne krowy unoszące się na niewiarygodnie delikatnych skrzydłach - cienkie pociągnięcia farbą wyglądały jak koronka zasnuwająca niebo w szachownicy. To było trudne, ale sprawiało wielką frajdę.

- Gdzie on teraz jest? - zapytała Gwen. - Czy będzie mówił?

- Nie. - Matylda odwróciła się od krów. - On już należy do przeszłości. Skup się na prawdziwym problemie.

- Ukradł nie ten obraz - powiedział Andrew. - To niedobrze. To jest chyba poważne przestępstwo. Zapytam Jeffa.

- Nie zapytasz go. - Matylda ponownie objęła dowództwo. - To jest jedna z wielu rzeczy, o których Jeff nie powinien wiedzieć. Przynajmniej do chwili, gdy ja zostanę aresztowana i będę go potrzebowała jako obrońcy. Wtedy mu powiemy. - Spojrzała na krowy unoszące się na skrzydłach i nie poddała się ich urokowi. - Ten obraz to też dzieło Scarlet.

Gwen opadła na oparcie kanapy.

- Tak myślałam. Należy do Masona. Mówił, że je kolekcjonuje.

- No to będzie naprawdę wściekły, gdy się przekona, że zniknął - powiedział Andrew.

- Nie masz powodu do obaw, Andrew - uspokoiła go Matylda.

- Bo, rozwodząc się, nabyłeś kartę bezpłatnego zwolnienia od odpowiedzialności prawnej. Nie musisz grać w tę grę wraz z nami.

- Andrew? - zagadnęła Ewa, a on podszedł i usiadł obok niej.

- Jestem, kochanie. - Objął ją ramieniem. - I zawsze będę. Matylda o tym wie. Ona tylko tak zrzędzi.

Tak - pomyślała Matylda. - I prawdopodobnie właśnie dlatego nikt mnie nie obejmuje. Andrew zmarszczył brwi.

- Chociaż nie mogę mówić za Jeffa. Wiecie, jacy są prawnicy.

- Jeff nie zawiedzie - zwróciła się do niego Gwen. - On cię kocha. Nie opuszcza się tych, których się kocha.

Wypowiedziała te słowa tak, że zabrzmiały jak wyrok dożywotniego więzienia.

- Nie martwcie się - odezwała się Matyllda. - Już ja coś wymyślę. Ja to załatwię.

Wzięła obraz.

- Może skłonisz tego faceta z garderoby do kolejnej kradzieży - zasugerowała Ewa.

Właśnie, tego faceta, który ją nazywał Vilma.

- Gwennie, czy słyszałaś kiedyś o Vilmie Kaplan? - zwróciła się do matki. - To postać z jakiegoś filmu pokazywanego późną nocą.

- Oczywiście - odrzekła Gwen. - Vilma Kaplan, Kłębek Chuci. To postać ze starego filmu Mela Brooksa.

Matyllda zamknęła oczy. Świetnie. Spieprzyła wszystko, a na dodatek całowała się namiętnie z facecjonistą.

- Nigdy więcej nie zobaczę się z tym facetem - zapewniła Ewę i zesłała na dół do sutereny, by - wraz z całą przeszłością - pogrzebać tam krowy.

Oparty o ścianę w jednym z ekskluzywnych pubów dzielnicy Brewery, Davy wciskał cyferki telefonu komórkowego, podczas gdy jeleń, z którym przed chwilą grał w bilard, napawał się widokiem wygranych właśnie dwudziestu dolarów.

- Będę chyba potrzebował pomocy - powiedział Davy, gdy telefon odebrał jego najlepszy kumpel.

- W pobiciu Rabbita? - zapytał Simon swoim z lekka brytyjskim akcentem.

- Nie. Rabbit to już nie problem.

- Ale on nie jest martwy, co? - upewnił się Simon tonem, który bynajmniej nie wskazywał na to, że los Rabbita go obchodzi.

- Nie, tylko nieuleczalnie głupi. Oddał wszystkie moje pieniądze pewnej kobiecie.

- To całkiem sprawiedliwe. Bo przecież ty wzięłeś je też od kobiety.

- To właśnie tej kobiecie on je dał.

- Co wyjaśnia, dlaczego obrabował ciebie, a nie mnie - skomentował Simon. - Uważał, że naprawia wyrządzone zło. Poczciwy Rabbit. Zakuta pała. A czego potrzebujesz ode mnie? Bo wiesz, swoim telefonem przerwałeś mi pewną czynność.

- Czy to ktoś, kogo znam?

- Rebeka.

- No tak, brunetki - skomentował Davy. - Potrzebny ci odwyk. Program dwunastu kroków.

- Podczas gdy twoja skłonność do blondynek to...

- To po prostu dobry gust. Przekonałem Rabbita, żeby mi dał numer konta Clei. Teraz potrzebne mi hasło, które z pewnością znajdę w jej laptopie.

- Ja się zupełnie nie znam na komputerach.

- Ale doskonale znasz się na złodziejstwie - powiedział Davy. Zaległa przydługa cisza, a następnie Simon rzekł ze słabo skrywaną zazdrością:

- Masz zamiar ukraść jej komputer?

- Nie - odrzekł Davy. - Muszę z nim tylko pobyc sam na sam. Clea mieszka teraz u swojego męża in spe, więc wszedłem do jego domu i...

- Jak to wszedłeś do jego domu? - Brytyjski akcent Simona jakby zanikał, gdy w jego tonie brzmiało napięcie. - Wszedłeś, kiedy w domu ktoś był?

- Dlatego właśnie tam wszedłem - wyjaśniał cierpliwie Davy. - Gdyby nie było tam nikogo, dom byłby zamknięty.

- I to jest właśnie powód, dla którego za działalność przestępczą nie powinni się brać amatorzy - stwierdził Simon. - Przyznałeś się właśnie do włamania o znamionach domagających się zaostrzenia kary. Wpędziłoby cię to w prawdziwe kłopoty, ponieważ jednak nikogo fizycznie nie zaatakowałeś, dobry prawnik mógłby cię wybronić i dostałbyś tylko parę lat.

Davy przypomniał sobie, jak powalił Betty na dywan, i postanowił nie zwierzać się z tego Simonowi.

- Problem polega na tym - mówił dalej Simon - że musiałbyś spędzić te lata w więzieniu, ty głupcze. Powiedz przynajmniej, że miałeś na sobie rękawiczki.

- Działłem pod wpływem impulsu.

- Służba Informacyjna Amerykańskich Sił Zbrojnych ma twoje odciski. A poza tym wyobraź sobie, jak zachwyceni będą w FBI, kiedy się dowiedzą, że ich konsultant do spraw oszustw został włamywaczem. Powiedz mi, gdzie jesteś, a przyjadę i udzielę ci bezpośredniej lekcji.

- Nie powiem ci. Bo ty rzuciłeś picie. Muszę tylko wiedzieć...

- Nie mam zamiaru wracać do picia - odrzekł Simon. - Ale wolę udzielać rad bezpośrednio niż przez ten cholerny telefon komórkowy. Poza tym chcę poznać Cleę. Jeżeli udało jej się uwieść ciebie i Rabbita, to znaczy, że ma szeroki zasięg. Powiedz mi, ona jest dobra?

- W łóżku? - Davy przywołał wspomnienia. - Fenomenalna. Ale później tracisz życie.

- Ty jednak przeżyłeś. Gdzie mieszkasz?

Davy przypomniał sobie napis: MIESZKANIE DO WYNAJĘCIA i pomyślał, że, być może, nadeszła chwila, żeby zaufać losowi.

- W tej chwili nigdzie. Jutro - nad galerią sztuki. Parę przecznic od Clei. W German Village.

- Dlaczego właśnie tam?

- To dziwne, ale tam znajduje się brunetka, którą muszę lepiej poznać. Wygląda jak Betty Boop.

- No wiesz. - Simon był ubawiony. - Może w tej sprawie też mógłbym ci pomóc.

- Nie. Jesteś człowiekiem śmiertelnie znudzonym, a podniecają cię tylko włamania.

- Podczas gdy ty pojechałeś za Rabbitem do Ohio, bo przestępstwo cię wcale nie interesuje.

- Ja to zrobiłem, żeby odzyskać swoje pieniądze. - Davy był święcie oburzony.

- Gdyby ci chodziło o pieniądze, zadzwoniłbyś do FBI. Jesteś tam, bo potrzebna ci podnieta płynąca z tego, że gonisz królika. To całkiem zrozumiałe. Przyjadę jutro.

- Nie, nie przyjeżdżaj - zaprotestował Davy. - Zostań na miejscu, powiedz mi tylko, jak mam się dostać do tego cholernego domu.

- Czy tam jest alarm?

- Nie sędzę. Nie ma informujących o tym napisów.

- Wybierz okno w piwnicy na tyłach domu - udzielał instrukcji Simon. - Oni w końcu to zauważą, ale wtedy będzie już dawno po fakcie i do niczego im się to nie przyda. Włóż rękawiczki. I zadbaj o to, by mieszkanie, które wynajmiesz, miało dwie sypialnie.

- Nie - powiedział Davy, ale Simon już się rozłączył.

Davy wetknął telefon do kieszeni marynarki.

- Zagrasz tę drugą partyjkę, synu? - zawołał jego jeleń od stołu bilardowego.

- Och tak, już idę. - Davy udawał, że się ociąga. - Ale muszę się odegrać. Może podwyższymy stawkę?

- Oczywiście - odrzekł jeleń, nie spodziewając się niczego, a Davy usiłował zignorować fakt, że krew zaczyna mu żywiej krążyć. Oszukiwanie przy bilardzie nie było czynem nielegalnym. Był więc wciąż całkiem czysty. Nie istniał zatem powód, żeby się podniecać.

- Ty rozpoczynasz grę - powiedział jeleń, a Davy poczuł jednak gwałtowne przyspieszenie pulsu i wziął kij.

Na dole, w chłodnej suterenie, głęboko pod Galerią Goodnightów, Matylda stanęła przed zamkniętymi drzwiami dawnej pracowni ojca. Spot niespokojnie węszył u jej stóp. Matylda spojrzała ponownie na swoje krowy i usłyszała głos ojca. „No cóż, to jest falsyfikat, ale ci idioci, którzy zachwycają się obrazami Homera, kupią go”.

Myśl o zamknięciu tych krów w suterenie wydała się jej niewłaściwa. Ojciec miał rację, to jest falsyfikat, jednakże...

Przeszła przez hol wraz z psem drepczącym pod nogami i otworzyła drzwi magazynu, który zajmował drugą połowę nieskazitelnie białej sutereny. Gdy zapaliła światło, jej oczom ukazały się chroniące przed kurzem pokrowce, kurzu jednak nigdzie nie zauważyła. Nadine wysprzątała wszystko doskonale, a reszty dokonywał oczyszczacz powietrza. Matylda pociągnęła za najbliższą płachtę i odkryła fotel babuni pomalowany w poskręcane w sploty węże, tworzące niesamowite zielone, fioletowe i niebieskie desenie zarówno na samej konstrukcji fotela, jak i na tapicerce. Płonące węzowe oczka mrugały do niej, a wijące się języki wysuwały się z pyszczków. Matylda odwzajemniła się węzom szerokim uśmiechem - wbrew sobie oczarowana ich widokiem. A potem zaczęła zaglądać pod kolejne pokrowce, szukając swoich prac z okresu sprzed Scarlet. I znalazła: stół pomalowany w czerwone kłapouche psy, komodę w żółtawozielone ślimaki, kilka krzeseł nie od kompletu w żółto-pomarańczowe motyle tworzące taneczne kręgi i mrugające do niej jasnoblękitnymi oczami. Pies chodził za nią cierpliwie, gdy znajdowała coraz to inne zwierzęta trzepoczące ku niej powiekami i gdy mówiła sobie lekceważąco, że wszystko to takie dziecięce barachło.

A potem przypomniała sobie, jak miała szesnaście lat i jak ojciec znalazł wszystkie te rzeczy w magazynie. „To ja poświęciłem dziesięć lat na to, żeby cię nauczyć malować - powiedział wtedy - a ty robisz takie rzeczy?”.

- Barachło - powtórzyła i przykryła swoje dzieła.

W tylnej części magazynu znalazła ostatnią pracę, którą wykonała W tamtym okresie - tę, którą Andrew nazywał Łóżem Kuszenia. Jego pokryta wymalowanymi liśćmi rama była teraz wypucowana przez Nadine i Ethana. Na łożu znajdował się materac, a pasująca do całości narzuta, którą wykonała Gwen, leżała złożona u wezglowia. Pies wskoczył na łoże i usiadł w jego nogach, drżąc z lekka w podmuchu z klimatyzatora, a Matylda poklepała go delikatnie, rozmyślając nad pracami, które wykonała, zanim została Scarlet Hodge i Matyldą Weroniką. Na wezglowiu widniały pokryte liśćmi rozłożone ramiona Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego, a pod ich gałęziami nagi Adam o włosach koloru blond uśmiechał się szeroko do ciemnowłosej Ewy, której krótkie loczki wijące się wokół głowy przypominały znaki zapytania. Za nimi, w namalowanych zaroślach, grasowały zwierzęta - fioletowe węże, niebieskie małpy i pomarańczowe flamingi, takie jak na pozostałych meblach; wszystkie one mrugały i uśmiechały się szeroko do pierwszych postaci ludzkich, które namalowała Matylda z własnej wyobraźni, nie kopiując Ich z dzieł dawnych mistrzów. Panowała tu atmosfera nieskrępowanej wolności i szaleństwa, nietowarzysząca nigdy „prawdziwym obrazom”.

Teraz nie umiałabym tak malować - westchnęła. - Teraz za dużo wiem. Było z tym tak jak z seksem - kiedy człowiek dowiedział się, jak wiele ma do stracenia, nie potrafił już tego robić w sposób całkowicie nieskrępowany.

Matylda oparła krowy o wezgłowie łóżka i pomyślała o pozostałych pięciu obrazach Scarlet, krążących gdzieś po świecie, a także o tym, że tropi je Mason. Uświadomiła sobie przy tym z całkowitą jasnością coś, co wiedziała od chwili, gdy Gwennie rzuciła swoją bombę - uświadomiła sobie mianowicie, że nie będzie bezpieczna, dopóki nie odzyska wszystkich tych obrazów.

- Do diabła - powiedziała na głos, a pies wsunął nos pod jej dłoń, rozpraszając ją nieco. - Jutro znajdę ci dom - zapewniła go, poklepując, i w tejże chwili aż podskoczyła, bo za jej plecami rozległ się głos Ewy:

- To on u nas nie zostanie?

- Okropnie mnie przestraszyłaś. - Matylda przycisnęła do siebie psa.

- Przepraszam.

Ewa przemknęła między pokrowcami, by usiąść w nogach łóżka. Jej fioletowa piżama kontrastowała przyjemnie z pomalowanym w zielone liście wezgłowiem. W dłoni trzymała dużą tabliczkę czekolady z migdałami, co Matylda zauważyła z zainteresowaniem.

- Nadine bardzo chce go zatrzymać. - Ewa odłamała kawałek czekolady, rozdzierając papier, i rzuciła resztę Matyldzie. - Nazwała go Steve.

Matylda postawiła psa na łóżku i wzięła czekoladę.

- Steve?

Popatrzyła na pieska o oczach jak paciorki i szpiczastym nosie, który chciwie wpatrywał się w czekoladę w jej dłoni.

- On nie jest głodny - stwierdziła Ewa. - Nadine kupiła mu markową karmę dla psów i cztery rodzaje sucharków.

- Tak, ale Steve?

- Nadine z Ethanem i Burtonem znowu oglądali *Fargo* i Nadine doszła do wniosku, że pies wygląda jak Steve Busceni.

Matylda odłamała kawałek czekolady i spojrzała na psa.

- Tylko mały kawałeczek.

Ugryzła czekoladę i czując w ustach woskową słodycz, poczuła także, że zniknęło gdzieś dwadzieścia lat jej życia. Znajdowała się z Ewą w łóżku; szeptały do siebie ponad podartymi brązowymi papierkami, na których widniały srebrne napisy. Tabliczki czekolady były w tamtych czasach zdecydowanie większe. A ona czuła się zdecydowanie lepiej.

- Kim u diabła jest Burton?

- To najnowszy chłopak Nadine. Bardzo ładny. Bez poczucia humoru. Prowadzi zespół. A Nadine śpiewa w tym zespole.

- Nie przetrwa, jeżeli się nie śmieje.

Matylda siadła u wezgłowia łóżka, a pies przysunął się do niej.

- Mam nadzieję, że nie przetrwa. To nudziarz. - Ewa zaczęła cmokać na psa. - No chodź tu, Steve.

Pies powoli podpełznął do niej, a ona wyciągnęła się, podpierając głowę jedną ręką, a drapiąc go drugą.

- No to - zagadnęła z niewinną miną - powiedz mi wszystko, Kłębku Chuci.

Rozdział czwarty

- Nie mam nic do powiedzenia - odrzekła Matylda, zaczerpnąwszy tchu. - A co się właściwie dzieje z tobą i Andrew?

Podniosła narzutę i przykryła nią Ewę i psa. Ewa spojrzała na nią z uśmiechem.

- Daj spokój, Vilmo...

Matylda odłamała następny kawałek czekolady.

- Z jakiego powodu Andrew się denerwuje? - nie ustępowała.

- Z powodu Luizy - wyjaśniła Ewa. - Wiesz, przy barze siedział taki facet, wydawał mi się zabawny, a ponieważ skończyłam już robotę, napiłam się trochę. To znaczy napiła się Luiza. Nie sądzę, bym była w jego typie. Nigdy nie jestem w typie facetów, na których zwracam uwagę. - Wzruszyła ramionami. - Andrew jest nadopiekuńczy.

- On nie jest nadopiekuńczy, on jest po prostu zaborczy - skomentowała to Matylda. - Chce, żebyś jako słodka Ewunia siedziała w domu, gdzie nic ci nie grozi.

- Jeżeli tak, to nie powinien mi płacić za to, że wcielam się w Luizę - powiedziała Ewa, kładąc się na wznak. - Nienawidzę, gdy zachowuje się tak, że zaczynam się czuć winna. A swoją drogą nie zdarzyło się nigdy, żeby był zazdrosny o ciebie i Scotta.

- Bo o mnie nigdy nie bywa zazdrosny. - Mówiąc to, Matylda nawijała sobie na palce sierść psa.

- Wiedział przecież, że Scott nie jest facetem dla ciebie. Wiedział też, że to, co było między wami, nie będzie trwało. - Ewa wyciągnęła rękę. - Daj mi czekoladę.

Matylda rzuciła jej tabliczkę.

- Scott był ideałem - stwierdziła i poklepała narzutę. - Chodź tu, Steve.

Pies przebiegł po łóżku i z niezadarnym klapnięciem wylądował na jej kolanach, a ona roześmiała się z radości, że tak ją lubi.

- Widzisz, on naprawdę nazywa się Steve - ucieszyła się Ewa.

- A wracając do twoich spraw, to nie sądzę, żeby tobie potrzebny był facet-ideał. Myślę, że w tobie siedzi jakaś Luiza. Chyba pragniesz włamywacza.

Matylda pogłaskała psa.

- Ależ ja w najmniejszym stopniu nie przypominam Luizy.

- Tak jak Barbara Stanwyck w *The Lady Eve* - kontynuowała Ewa, nie zwracając uwagi na słowa Matyldy. - Ona w tym filmie twierdzi, że chce, żeby facet ją zaskakiwał - tak jak jakiś włamywacz. - Ewa podparła się na łokciu, jedząc czekoladę i patrząc na Matyldę szeroko otwartymi, niewinnymi niebieskimi oczami.

- Opowiedz o tym twoim włamywaczu. Był napalony?

- Więc Andrew jest na ciebie wściekły - usiłowała zmienić temat Matylda, biorąc psa w ramiona.

- Było dobrze, co? - Ewa ułamała kolejny kawałek czekolady.

- Czy on okazał się ideałem?

- Nie. - Matylda przypomniała sobie pocałunek w garderobie i przeszedł ją dreszcz. - Absolutnie nie.

- Oooch - Ewa uśmiechnęła się szeroko. - To wspaniale.

- No widzisz, dlatego właśnie nie powinnam rozmawiać z tobą o facetach - stwierdziła Matylda. - Ty mnie zachęcasz do zła, a ja pakuję się w kłopoty.

- Akurat - powiedziała Ewa.

- Daj mi tę cholerną czekoladę - rozkazała Matylda, pozwalając Steve'owi umościć się na łóżku, a Ewa rzucała jej tabliczkę.

- Więc dlaczego on ukradł dla ciebie ten obraz?

- Sądzę, że było mu mnie żal.

Matylda ułamała kolejny kawałek czekolady.

- A skąd jemu przyszło do głowy, że ty jesteś Kłębkim Chuci? - zapytała Ewa. - No dalej. Gadaj.

- Nie mam nic do powiedzenia. - Matylda uśmiechnęła się mimo woli.

- Ma-tylda ma swój sek-ret - zanuciła Ewa, a Steve nastawił uszu.

- Oj, Ewo, ile ty masz lat? - Matylda przybrała ton osoby dojrzałej.

- Trzydzieści pięć, ale nie spotykam włamywaczy i nie robię z nimi Bóg wie czego.

- No więc całowałam się z nim - powiedziała Matylda i roześmiała się, gdy Ewa pisnęła z zachwytu, a Steve odskoczył.

- Powiedz coś więcej - zażądała Ewa.

- Kiedy nie ma o czym mówić - Matylda starała się mówić pewnie.

- Otworzyłam drzwi garderoby, a on mnie napadł, wskutek czego dostałam ataku astmy. A potem go ugryzłam. On skrytykował mój ubiór, powiedział, że nie jest żadnym dżentelmenem, i pocałował mnie.

- Ooo, ooch - wykrzyknęła Ewa. - I jak było?

- Cholernie podniecająco. - Tutaj, w suterenie, Matylda czuła się wystarczająco bezpiecznie, by mówić prawdę. - Pocałowaliśmy się z jęczyzkiem.

- No taak - powiedziała Ewa, a Matylda znowu się roześmiała.

- To nie była moja wina - stwierdziła, odłamując kolejny kawałek czekolady. - Bałam się, wydawało mi się, że on uratuje mnie przed katastrofą.

- Wdzięczność okazuje się, mówiąc „dziękuję bardzo”, a nie „pozwól, że polizę ci migdałki”.

- To adrenalina. Musiała znaleźć jakieś ujście. I znalazła. Poprzez moje usta. A poza tym miałam pewność, że więcej go nie spotkam, no i znajdowaliśmy się w ciemnej garderobie, więc to tak, jakbym to nie była ja - Matylda cieszyła się, że jej słowa brzmią tak rozsądnie.

- I nie spotkałaś go więcej? - Ewa była wyraźnie rozczarowana.

- Widziałam się z nim przez dwadzieścia minut w taniej restauracji, gdzie mi groził. Powiedział też, że mam oczy jak u żuka, a potem odszedł, zostawiając mi rachunek do zapłacenia.

- To oburzające - stwierdziła Ewa. - Wręcz chamskie. Za czasów naszej matki było inaczej.

- Właśnie - zgodziła się Matylda, dochodząc do wniosku, że już za długo rozmawiają o jej grzechach. - Czy Gwennie ostatnio nie wydaje ci się dziwna? - zagadnęła.

- Gwennie zawsze wydaje mi się dziwna. - Ewa usiadła. - I jest to jeden z licznych powodów, dla których ją kocham. Opowiadałam ci, jak poszła do sklepu Eddiego Bauera i kupiła tam pięć swetrów - jeden dla ciebie, jeden dla siebie, jeden dla Nadine, jeden dla mnie i jeden dla Luizy? Powiedziałam jej: „Gwennie, w ten sposób dwa są dla mnie”, a ona na to: „Nie bądź śmieszna, kochanie, ty nigdy nie włożyłabyś czarnego”.

- Święta prawda - potaknęła Matylda. - Chociaż ja nigdy nie myślałam o Luizie jako o osobie ubierającej się u Eddiego Bauera.

- Dlatego właśnie potrzebny ci ten facet, a nie Scott. Potrzebny ci włamywacz pracujący nocą, a nie prawnik pracujący w dzień. Luiza w tobie potrzebuje tego faceta tak samo, jak Luiza we mnie potrzebuje czarnego swetra.

- We mnie nie ma żadnej Luizy.

Matylda poczuła się tym faktem nieco przygnębiona. Wstała, wręczyła Ewie ostatni kawałek czekolady i postawiła Steve'a na podłodze.

- W każdej kobiecie jest trochę Luizy. To, że twoja nosi imię Vilma, wcale nie oznacza, że to nie Luiza.

- A poza tym, mnie nie jest potrzebny włamywacz pracujący nocą. - Matylda przypomniała sobie swoje własne kompromitujące zachowanie, przypomniała sobie, jak prosiła tego faceta, żeby ją uratował. - Ten facet wydobyla na powierzchnię moje najgorsze cechy.

- Te cechy są właśnie niczym innym jak twoją Luizą - stwierdziła Ewa z aprobatą. - Uwolnij ją. Ja naprawdę nie wiem, co bym robiła bez swojej. Gdy mam już ochotę wyć, przychodzi środa i Luiza rozładowuje całą moją wściekłość.

- No tak - powiedziała Matylda. - Ale ja nie uczę w szkole podstawowej, ja maluję freski. To bardzo spokojne zajęcie. Nie ma we mnie wściekłości, którą muszę rozładować.

- Zapamiętaj sobie trzy zasady - Ewa mówiła dalej, tak jakby Matylda nie odezwała się słowem. - Po pierwsze, Luiza wychodzi na świat jedynie w cztery wieczory w tygodniu; po drugie, nigdy nie odbywa stosunków seksualnych w domu, a po trzecie, nigdy nikogo nie informuje, że jest tobą.

- Nie jest za późno na terapię - oznajmiła Matylda. - Jej koszty można by z pewnością pokryć z twojego nauczycielskiego ubezpieczenia.

- Ale po co? - Ewa wstała z łóżka i poprawiła na sobie piżamę. - Ja jestem szczęśliwa. I mam dwa swetry.

- No to świetnie. Posłuchaj, ten facet w garderobie nie był aż tak podniecający. Przesadziłam.

- Wiesz co? Całe to twoje gadanie nie pozwala ci doznawać w życiu dobrych rzeczy. Nie doznasz ich nigdy.

- Doznałam ich już trochę - zaprotestowała Matylda z rozdrażnieniem. - Mój seks ze Scottem był wspaniały. Miałam orgazm za każdym razem. - Steve położył łapy na jej nodze, wzięła go więc na ręce. - Tego faceta powinno się wynosić pod niebiosa.

- Był zbyt spokojny - stwierdziła Ewa. - Czy ty kiedykolwiek miałaś wrażenie, że umrzesz, jeżeli go nie będziesz miała?

- Powtarzam ci po raz ostatni: we mnie nie ma żadnej Luizy. Ani nawet Scarlet. - Matylda wręczyła psa Ewie i przykryła łóżko pokrowcem, zakrywając wezglowie, narzutę i obraz. - Ja mam obowiązki. Muszę się wykazać sprytem. Muszę ukraść ten obraz.

Na myśl o tym czuła lekkie mdłości, ale być może spowodowała je zbyt duża ilość zjedzonej czekolady.

- Dlatego właśnie nie powinnaś była pozwolić odejść temu włamywaczowi - powiedziała Ewa.

- A co ja miałam do pozwalania? To on pozbył się mnie. - Na twarzy Matyldy pojawił się wymuszony uśmiech. - I dzięki Bogu, że tak się stało.

- No tak - przyznała Ewa - bo te wspaniałe pocałunki mogły ci się w końcu znudzić. Myślę, Vilmo, że na górze jest jeszcze czekolada.

Matylda westchnęła.

- Zaprowadź mnie tam, Luiz.

Na drugi dzień rano o dziewiątej Gwen nalała sobie kawy, włączyła szafę grającą, która zagrała jej ładną wiązanekę Bacharacha, wyjęła słodką ananasowo-pomarańczową bułeczkę z torby na pieczywo, którą zostawił Andrew, zanim udał się na jogging, a następnie weszła do galerii, gdzie na marmurowym kontuarze leżała jej krzyżówka. Z prawej strony przez popękana szybę nad oknem wystawowym wlewało się światło słońca, a obluzowana płytka na suficie poruszała się cicho w podmuchu z klimatyzatora. Za plecami Gwen Jackie De Shannon śpiewała *Come and Get Me (Przyjdź i zabierz mnie)*, a Gwen pomyślała: Akurat! Ja utknęłam tutaj na wieki.

Definicja słowa, które miała właśnie wpisać w kratki krzyżówki, brzmiała: „popularna niegdyś marka samochodu”, co niezmiennie oznaczało „Nash”. Gwen nie mogła pojąć dlaczego. Przecież w dawnych czasach nie brakowało innych popularnych marek. Wpisała słowo, ale to dawało jej zaledwie dwie, a może cztery potrzebne litery. A niech to diabli.

Dobrze, dalej. Film z Rayem Millandem z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku. Na dwanaście liter.

- Cholera.

- Och, babciu, co za język - rozległ się za jej plecami głos Nadine.

Gwen odwróciła się i zobaczyła wnuczkę, która paradowała w czarnej skórzanej kurtce; na jej głowie sterczały czarne nastroszone włosy; nosiła też biały makijaż mima, a oczy miała jak szop pracz. U jej boku stał Burton, jej aktualny chłopak, posepny jak przystało na lidera zespołu grającego gothic metal, a w ramionach trzymała Steve'a.

- Jest czerwiec - zwróciła się Gwen do Nadine, postanawiając zignorować Burtona, bo ten dzień i bez niego zaczynał się irytująco. - Więc może włożysz coś innego, a nie skórzaną kurtkę.

Burton wydał z siebie jeden z tych uniwersalnych dźwięków oznaczających „Och, odwal się, babciu”, a Gwen i teraz nie zwróciła na niego uwagi. Gdyby nie ten szyderczy uśmiech, byłby takim przystojnym chłopcem - pomyślała.

Z biura wyszedł Ethan. Jadł słodką bułeczkę i wyglądał całkiem nieatrakcyjnie.

- Zwędziłem jedną - powiedział, a jego koścista twarz pod strzechą rudych włosów wyrażała samą radość. - Ile jestem pani za nią winien?

Nastrój Gwen nieco się poprawił.

- Odpalę ci ją za darmo, jeżeli podpowiesz mi tytuł filmu z Rayem Millandem z pięćdziesiątego czwartego roku. Na dwanaście liter.

- *Stracony weekend* - Ethan wbił zęby w bułeczkę.

- Dobry z ciebie chłopak, Ethanie - pochwaliła go Gwen, choć tytuł nie pasował.

- To z tego powodu była ta „cholera”? - Nadine postawiła psa na podłodze i urwała sobie rozek bułeczki Ethana w chwili, gdy drzwi galerii się otworzyły. - Film z pięćdziesiątego czwartego roku? Przecież w końcu wpadła byś na ten tytuł.

- Tak, ale nazwisko Raya Millanda wszystko utrudnia.

Gwen odwróciła się, żeby sprawdzić, kto zabłąkał się do galerii. Oho! Sześć stóp wzrostu, ciemne włosy, okulary w rogowej oprawie, zakurzona marynarka i jeszcze bardziej zakurzony worek marynarski, a pomimo to zwracało się na tego faceta uwagę.

- Oferma - mruknął pod nosem Burton, a Gwen spojrzała w ciemne, bystre oczy nowo przybyłego i doszła do wniosku: Nie, wcale nie oferma, ale i tak jego pojawienie się wróży kłopoty.

- Ray Milland? Pięćdziesiąty czwarty rok? - zagadnął przybysz.

- Tak. - Gwen kiwnęła głową, a Steve szczerzył jeden raz z takim jakimś niskim i dźwięcznym vibrato, że Nadine powiedziała z zachwytem:

- Steve, ty jesteś muzykalny!

- *M jak morderca*. - Nowo przybyły wyciągnął rękę. - Cześć. Jestem Davy Dempsey.

Gwen zmarszczyła brwi, podała mu rękę i pomyślała: Jest czarujący. A to dobrze nie wróży. Zajrzała do broszury z krzyżówką. *M jak morderca* pasowało.

- O tak. - Uśmiechnęła się. - To już lepiej.

- Przykro mi, że nie zgadłem - odezwał się Ethan. - Czy mam oddać bułeczkę?

- Nie. - Gwen była wspaniałomyślna. - Masz szesnaście lat i podałeś tytuł jednego filmu. Masz u mnie słodkie bułeczki do końca życia.

- A zatem chce pan kupić jakiś obraz? - zwróciła się Nadine do Davy'ego, otwarcie taksując go wzrokiem.

Tymczasem on przyglądał się wiszącemu najbliżej dziełu Dorcas Finster - wyblakłemu obrazowi olejnemu przedstawiającemu trzech ponurych i wyglądających na złoczyńców rybaków szykujących się właśnie na cierpiącego na niestrawność tuńczyka.

- Panie woźny, jest to paskudne i, jak się zdaje, zepsute moralnie towarzystwo - powiedział.

- To tylko publiczność, Wysoki Sądzie. - Ethan uśmiechnął się szeroko.

Nowo przybyły odwzajemnił mu się tym samym.

- Co takiego? - zdziwiła się Gwen, nieco zaniepokojona.

Ten uśmiech, ta pewność siebie, ten błysk w oku. Kogo ten facet mi przypomina?

- To są cytaty z filmu - wyjaśniła Nadine. - Ethan spotkał właśnie drugiego maniaka, z którym będzie mógł grać w tę grę.

- Ofermy - wtrącił półgłosem Burton.

- Więc co pana do nas sprowadza? - zapytała, jak zawsze przytomna, Nadine.

- Mają państwo pokój do wynajęcia? - odpowiedział pytaniem na pytanie przybysz i ruchem głowy wskazał napis w oknie, a tymczasem

Steve zaczął obwąchiwać mu buty. - Wezmę cokolwiek, nawet poddasze.

- Na poddaszu mieszka ciocia Matylda - poinformowała go Nadine. - A ona nie lubi współlokatorów.

- Mamy kawalerkę - oznajmiła Gwen. - Umeblowaną, czystą, porządną, za osiemset dolarów, płatne za dwa miesiące z góry. Niech się pan nie martwi z powodu psa. On nie gryzie.

Taką przynajmniej mamy nadzieję, dodała w duchu.

- Zostanie pan dwa miesiące? - Nadine patrzyła podejrzliwie na worek marynarski przybysza.

- Prawdopodobnie nie - odrzekł Davy z promiennym uśmiechem. - W zasadzie znajduję się właśnie w drodze do Australii.

- *Popierajcie swojego szeryfa* - odezwał się Ethan.

- Tego nie znam. - Nadine podała rękę Davy'emu. - Ja jestem Nadine, a to jest moja babcia, Gwennie. To Burton, to Ethan, a to Steve, który obwąchuje panu stopę.

- Hej - Ethan zamachał bułeczką.

Burton patrzył spode łba. Steve usiadł i zaczął się drapać za uchem.

- Czy możemy już wreszcie iść? - zapytał Burton.

- Nie - warknęła Nadine i Burton zamilkł.

- Czy może mi pan przedstawić referencje? - zwróciła się Gwen do Davy'ego.

- Stąd nie mam żadnych. Ale z Florydy tak. Z Miami.

Floryda... - rozmarzyła się Gwen. Lazur migoczącej wody. Białe plaże. Alkoholowe drinki z miniaturowymi parasolkami. Zrobiłaby wszystko, żeby się tam znaleźć - nawet teraz, w czerwcu.

- Musimy już iść - powiedział Burton, obejmując Nadine.

Nadine wyglądała na zirytowaną, a tymczasem Ethan przeżuwał bułeczkę, nie zwracając na Burtona najmniejszej uwagi.

- Ta kurtka - zwróciła się Gwen do Nadine - należy do Luizy. Jeżeli się w niej spocisz, to trzeba będzie zapłacić kupę pieniędzy.

- Masz rację. - Nadine zrzuciła z ramion kurtkę, strącając równocześnie rękę Burtona. - Weź też włosy - do-dała, ściągając czarną perukę i uwalniając wilgotne blond kędziory, które rozsypały jej się wokół twarzy. - Czerwiec to nie miesiąc na gothic metal. Burton był zde gustowany. Ale to jest u niego stan permanentny - pomyślała Gwen. Najwyraźniej Nadine odziedziczyła legendarną skłonność kobiet z rodziny Goodnightów do nieznośnych mężczyzn. Gwen ponownie spojrzała na Davy'ego. Jest raczej niepożądane, żeby tego faceta poznała Luiza, pomyślała.

- Do zobaczenia, panie podróżniku - powiedziała Nadine do Davy'ego i wyszła wraz z Burtonem, który znowu ją obejmował.

Ethan niespiesznie podążał za nimi, kończąc swoją bułeczkę.

- No cóż - odezwała się Gwen. - Nadine to bardzo rezolutna młoda osoba.

Z biura, z szafy grającej dobiegły teraz początkowe dźwięki *Wishin' and Hopin'*.

- Dusty. - Davy słuchał z zadartą do góry głową. - Dobry znak. Czy wynajmiecie mi to mieszkanie?

Tysiąc sześćset dolarów to nie byle jaka suma - pomyślała Gwen i odrzekła:

- Tak.

Davy kiwnął głową.

- Jest tylko jeden problem.

Wiedziała, że tak będzie - przemknęło Gwen przez myśl.

- Wczoraj wieczorem, w pewnym barze, zostałem okradziony - mówił dalej Davy. - Głupio z mojej strony, że dałem się okraść. Niedługo ktoś przyśle mi pieniądze. Tymczasem jednak musiałem unieważnić wszystkie karty kredytowe i mam przy sobie tylko sto dolców.

Uśmiechnął się do Gwen, a ona machinalnie odwzajemniła się tym samym. Dobrze i to na początek. A przy tym w mieszkaniu nie ma nic wartego kradzieży.

Wzrok Gwen powędrował w bok, na pięknie namalowanych, lecz zdeprawowanych rybaków Dorcas.

W galerii także nic ma nic do ukradzenia - pomyślała.

- Jutro pieniądze powinny dotrzeć - ciągnął Davy. - Czy to pani odpowiada?

- Tak - dała za wygraną Gwen.

- Jest pani osobą o dobrym sercu - powiedział Davy i wręczył jej pięć dwudziestodolarówek.

Gwen wzięła pieniądze.

- Mieszkanie jest na trzecim piętrze. Wezmę klucz i zaprowadzę pana.

Wycofała się do biura i zaczęła szukać w szufladzie klucza do mieszkania numer 4B znajdującego się po przeciwnej stronie holu niż lokal zajmowany przez Dorcas. Mogła tego przybysza umieścić pod numerem 2B, ale to byłoby naprzeciwko jej własnego mieszkania. Dorcas zresztą i tak zawsze spodziewała się najgorszego. Gdyby ten człowiek okazał się mordercą zarabującym swoje ofiary siekierą, potwierdziłoby to tylko jej teorię na temat życia. Gwen wręczyła mu klucze.

- Dziękuję. Nie będzie pani tego żałowała. - Musiał dostrzec jakiś niepokój w jej wzroku, bo zatrzymał się i dodał: - Naprawdę. Wszystko jest w porządku - wskutek czego ona nabrała otuchy.

A w następnej chwili uświadomiła sobie, kogo ten człowiek jej przypomina. Tony'ego! Przypominał go jej we wszystkim, nawet w tym, że powiedział: „Nie będzie pani tego żałowała”. Bo Tony, oświadczając się, zapewnił ją w ten sam sposób: „Nie będziesz tego żałowała”. A ona przyjęła oświadczenia, wiedząc o nim niewiele ponad to, że zdawał się za nią szaleć. Wiedziała też, że jest chyba w ciąży, co potwierdziło się w odpowiednim czasie, gdy urodziła się Ewa.

- Halo! O co chodzi? - powiedział Davy, a ona spostrzegła, że się na niego gapi.

- Tędy - wskazała drogę i wyprowadziła go z galerii, zanim on zdążył zamienić się w Tony'ego i sprzedać jej obraz Dorcas Finster.

Davy nie wiedział, które jego słowa sprawiły, że Gwen Goodnight wlepiła w niego wzrok tak, jakby był Aniołem Śmierci. Zastanawiał się nad tym przez moment. Jednakże w chwili, gdy prowadziła go na trzecie piętro do mieszkania, zdawało mu się, że już jej przeszło. Idąc za nią, zauważył, że ścianom przydałoby się trochę farby. Mimo to hol był czysty i dobrze oświetlony, czego Davy nie mógłby powiedzieć o wielu innych miejscach, w których przemieszkował. Te obserwacje doprowadziły go do wniosku, że jego obecna gospodyni nie narzeka na nadmiar pieniędzy, ale jest pracowita. A ściślej, pracowitością odznacza się albo ona sama, albo ktoś inny w tym domu. I najprawdopodobniej nie jest to Nadine.

Davy uśmiechnął się do siebie, przypominając sobie kędzierzawe włosy Nadine, a także jej jasne błękitne oczy. Najwyraźniej ta dziewczyna i Betty mają jakieś wspólne, geny. A także Gwen. Gdyby je ustawić obok siebie, to wszystkie trzy, z tymi swoimi dziwnymi oczami, tworzyłyby scenę wyjętą żywcem z *Dzieci przeklętych*.

- Poznałem już pani wnuczkę - zagadnął Davy, gdy byli już na drugim piętrze. - A kiedy będę mógł poznać pani córkę?

- Wtedy kiedy pan odpocznie - odrzekła Gwen, nie oglądając się - bo moje córki potrafią być męczące.

Więc ma więcej niż jedną córkę - pomyślał Davy i omal nie wpadł na Gwen, która w tej właśnie chwili zatrzymała się trochę wyżej na schodach.

- Skąd pan wie, że mam córki? - zapytała.

- Cóż, Nadine musiała się skądś wziąć.

- Przecież mogłabym mieć syna.

- Po prostu udało mi się zgadnąć.

Nie wyglądało na to, że Gwen uspokoiły te słowa, ruszyła jednak po schodach, pokonała kolejną ich kondygnację i gestem wskazała Davy'emu drzwi po lewej stronie.

- Oto mieszkanie numer 4B.

Davy włożył klucz do dziurki i przekręcił go, zanim jednak zdążył wejść do środka, otworzyły się drzwi mieszkania 4A i stanęła w nich ni mniej, ni więcej tylko jakaś zjawa - podpierająca się pod boki.

- O, Dorcas. - Gwen uśmiechnęła się wesoło. - To jest Davy Dempsey, twój nowy sąsiad. Davy, to jest Dorcas Finster.

Dorcas była wysoka, szczupła, miała wygląd patrycjuszki i pachniała terpentyną oraz olejem lnianym. Przede wszystkim jednak była biała - miała krótkie białe włosy, śmiertelnie bladą skórę i nosiła biały kitel malarski. O kostki jej nóg otarł się równie biały jak ona kot, po czym usiadł na podeście.

- A to Ariadna - oznajmiła Gwen, kiwając głową w stronę kota.

- Miło mi panią poznać. - Davy nie miał wcale pewności, czy rzeczywiście jest mu miło.

Dorcas zmierzyła go od stóp do głów taksującym wzrokiem. Davy zauważył przy tym, że jej oczy nie są jasne i błękitne, wskutek czego poczuł pewną ulgę. Dorcas pokręciła głową.

- Uważaj na Luizę - powiedziała i zamknęła drzwi swojego mieszkania.

Ariadna siedziała dalej na podeście, bynajmniej nie wzruszona faktem, że pozostawiono ją samej sobie.

- Na Luizę? - powtórzył Davy, patrząc na Gwen. - Kto to jest Luiza?

- Dorcas lubi piorunujące efekty - wyjaśniła Gwen, a Davy spojrział na nią z niedowierzaniem. - Oto pański pokój.

W pokoju stały sfatygowana niebieska kanapa, stół pomalowany w niebieskie paski, dwa niebieskie krzesła, a we wnęce znajdowało się łóżko przykryte zwariowaną niebiesko-fioletową narzutą, nad którym wisiał oprawiony w ramę próbnik - kawałek materiału z próbkami haftu. Kiedy Davy otworzył drzwi znajdujące się obok łóżka, zobaczył małą łazienkę z prysznicem. Mieszkanko było niewielkie, skromne i czyste, znajdowało się blisko Clei i jeszcze bliżej Betty.

- Świetnie - powiedział Davy do Gwen, która rozglądała się uważnie po pokoju, chcąc się przekonać, czy o czymś nie zapomniała.

- Łatwo pana zadowolić - odrzekła, idąc ku drzwiom. - Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę mnie zawiadomić.

- Zrobię to z pewnością - szepnął Davy, gdy już zamknęła za sobą drzwi, a w następnej chwili pomyślał: Przyślij mi swoje córki; wczoraj wieczorem chyba poznałem jedną z nich.

Rzucił worek na podłogę i usiadł na łóżku, spodziewając się usłyszeć jęknięcie starych sprężyn, tymczasem poczuł pod sobą solidny materac. A niech cię, Gwennie - mruknął. Które jego słowa mogły ją urazić? Po chwili jego wzrok przyciągnęła narzuta. Próbował rozwikłać jej wzór - zwariowany, z mnóstwem żółtych koślawych rombów obramowanych szlaczkiem z wyraźnych białych trójkątów przypominających zęby. Patrząc na ten wzór, doszedł do wniosku, że albo sam jest niezrównoważony psychicznie, albo niezrównoważona psychicznie była osoba, która narzutę uszyła.

Wstał, żeby rozpakować worek, i spojrział na błękitno-zielony próbnik. Dostrzegł na nim równe rzędy jakichś liter i cyfr, a także scenę przedstawiającą dom stojący między dwoma drzewami. Przyjrzał się podpisowi:

„Gwen Goodnight. Jej dzieło. 1979”.

Spojrzął ponownie na narzutę, a potem na próbnik. Pod drzewami widniejącymi na próbniku coś było. Davy pochylił się, żeby lepiej zobaczyć, co to takiego.

I zobaczył wilki. Małe fioletowe wilki z drobnymi ostrymi białymi trójkątnymi zębami.

Gwen jest z pewnością matką Betty, pomyślał.

A potem rozpakował worek i wyszedł na zwiady. Chciał sprawdzić piwnicę Clei. Chciał też zjeść lunch i zadzwonić do Simona, którego nieobecność wydała mu się podejrzana. Wrócił po południu. Wyciągnął się na łóżku, żeby się zastanowić nad sytuacją, i zasnął. Obudziło go pukanie do drzwi.

Otworzył. Na progu stała Betty ze stosem ręczników.

- Gwennie sądziła, że pan... - zaczęła i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a on wciągnął ją do pokoju.

Potknęła się i zachwiała, a Davy, robiąc krok do tyłu, podtrzymał ją w chwili, gdy traciła równowagę.

- Ojej! - zawołała, a on zatkał jej usta dłonią, pociągnął ją na łóżko i przygniótł swoim ciałem.

- Pamiętasz, coś takiego już nam się kiedyś zdarzyło - powiedział, wciąż zakrywając jej usta. - Jeżeli nie chcesz, żeby wszyscy w tym domu dowiedzieli się, że jesteś włamywaczką, to mów cicho.

Spiorunowała go wzrokiem, nie mogąc wykrztusić słowa, a wtedy on zwrócił się do niej tonem swobodnej konwersacji:

- Nie wierzgaj. Nie gryź. No i pamiętaj: żadnego ataku astmy.

Leżąc na łóżku, zamierzyła się na niego kolanem, a on – próbując uniknąć ciosu - stoczył się z niej. Równocześnie zauważył, że przez otwarte drzwi obserwuje ich Dorcas. I że czyni to ze stoickim spokojem równym spokojowi Ariadny. Betty jednym ruchem zepchnęła go z łóżka. Po czym sama zerwała się na równe nogi. Stała teraz - rozwścieczona - poza zasięgiem jego ramion.

- Jak się tutaj dostałeś? Jak mnie znalazłeś? Co ty tutaj robisz?

- Wynajmuję pokój - odrzekł spokojnie Davy.

- O nie! - zaprotestowała i wybiegła.

Davy rzucił się za nią w pogoń, ponieważ jednak wpadła mu pod nogi Ariadna, dogonił ją dopiero na parterze.

- To właśnie - zakomunikowała Betty, wpadając do biura na ułamek sekundy przed nim - jest ten facet, którego spotkałam wczoraj wieczorem.

Po tych słowach na Davy'ego wytrzeszczyły oczy równocześnie trzy osoby. Były to: Gwen, jakaś ładna drobna blondynka bardzo podobna do Nadine oraz wysoki blondyn, który najwyraźniej od pierwszego wejrzenia zapałał do przybysza niechęcią. Za ich plecami, przed ogromną różowo-pomarańczową szafą grającą, z której wydobywał się głos kobiety śpiewającej *I'm into Something Good*, stał pies wabiący się Steve i przyglądał się Davy'emu nieufnie.

- Cześć. - Davy nie miał pojęcia, co robić dalej.

- Wynajęłaś pokój złodziejowi - zwróciła się Betty do Gwen.

- Wcale nie jestem złodziejem - zaprotestował Davy.

- O! - Gwen kiwnęła głową. - Wiedziałam, że z panem coś jest nie tak.

- Ach, więc pan jest tym włamywaczem z garderoby.

Drobna blondynka uśmiechnęła się do niego czarująco, a na jej policzkach pojawiły się dołeczki.

- Zatem to jest ten facet, co ukradł nie ten obraz, który trzeba? - zapytał wysoki blondyn, okazując Davy'emu piekielną wrogość.

- To włamanie to w moim życiu przypadek jednorazowy - wyjaśnił Davy drobnej blondynce.

- Wyrzuc go - powiedziała Betty do Gwen. - Oddaj mu pieniądze.

- Moglibyśmy go wykorzystać - odezwała się blondynka, a Davy pomyślał: Zrobię, co każesz, kochanie.

Drobna blondynka podała mu rękę.

- Jestem Ewa.

A ja Adam - przemknęło Davy'emu przez myśl.

- Jestem Davy - przedstawił się głośno i uściśnął jej dłoń. - Bardzo mi miło panią poznać.

- Jestem mamą Nadine - mówiła dalej blondynka, tryskając takim zdrowiem, jakiego Davy nie mógłby się spodziewać po kobiecie, która ma więcej niż dwadzieścia lat. - I siostrą Vilmy.

- A to Andrew, ojciec Nadine - powiedziała znacząco Gwen. Cholera - pomyślał Davy i puścił dłoń Ewy.

Skinął głową w stronę blondyna, który nie odwzajemnił mu się tym samym, co było naturalne, bo żaden mężczyzna nie lubi, żeby inny mężczyzna pożerał wzrokiem jego żonę.

- A Matyldę pan zna. - Gwen dopełniła prezentacji.

- Matyldę? - powtórzył Davy i uśmiechnął się szeroko.

- Tak - potwierdziła Matylda lodowatym tonem.

- A ty się wściekałaś, kiedy nazwałem cię Betty.

- Wcale się nie wściekałam - zaczęła - ja...

- Musimy odzyskać obraz. To jest bardzo ważne, prawda? - zapytał Andrew Matyldę.

- Tak - odrzekła Matylda. - Ale to ja go odzyskam. Andrew pokręcił głową.

- Nie. Ty już lepiej tam nie chodź. Niech zrobi to ten facet.

- Dzięki za zaufanie - odezwał się Davy. - Ale moja odpowiedź brzmi: nie!

- Nie? - Ewa wyglądała na zdruzgotaną. - Czy pański wyjazd do Australii nie może poczekać?

- Co takiego? - zdziwił się Davy.

- Nadine mówiła, że pan wyjeźdź...

- O! - Davy pokręcił głową. - Nie. Być może wyjeżdżam, ale nie do Australii.

Przyjemnie by było pocieszyć Ewę, ale przecież Andrew już i tak pałał do niego ogromną niechęcią.

- Ja już ukradłem dla ciebie obraz, pamiętasz? - zwrócił się Davy do Matyldy. - Był dokładnie taki, jak mówiłaś: kwadratowy, przedstawiał nocne niebo, gwiazdy...

- To nie pańska wina - stwierdziła sprawiedliwie Gwen. - One wyglądają...

- Mówiłam ci, że to ma być pejzaż miejski. - Ton Matyldy był lodowaty. - A na tym, który ukradłeś, są krowy.

- Matyldo, bądź tak miła - powiedziała Ewa - i opisz dokładnie ten, który ma być teraz ukradziony. Wtedy pan go ukradnie i skończą się wszystkie nasze problemy.

- Kochanie - Davy skierował wzrok ku Ewie - gdybym mógł ukraść drugi obraz, to zrobiłbym to. Tylko i wyłącznie dla ciebie. Ja jednak nie mogę tam wrócić.

- Dlaczego? - Teraz Matylda skupiła na sobie całą jego uwagę.

- Bo w domu może ktoś być - odrzekł. - A mnie ostatnio życie nauczyło, że wlamywanie się w takich okolicznościach to poroniony pomysł.

- Gdyby więc tam nikogo nie było, to mógłby pan to zrobić? - zapytała Gwen tonem świadczącym, że zmierzają do czegoś konkretnego.

- Tak.

Z szafy grającej dobiegały teraz dźwięki piosenki *You're No Good*.

- Bo wie pan, ja mogłabym wywabić ich z domu - mówiła dalej Gwen. - Mason chce zajrzeć do naszego archiwum. Więc na początek wyjmemy wszystko, co dotyczy Homera Hodge'a i zaproszę go tutaj. Clea przyjdzie z nim, żeby go pilnować, on będzie grzebał w papierach, a dom będzie pusty.

Teraz - zmieniając błyskawicznie taktykę - do ataku na Davy'ego ruszyła Matylda.

- Ty także nie wyniosłeś z domu Masona tego, po co tam przyszedłeś. Mógłbyś tam wejść, wziąć obraz, a także to, co...

- Nie. - Davy osadził ją w zapalających spojrzeniem.

Nie pojmował, jak to się działo, że bladobłękitne oczy Ewy są takie słodkie, a ładząco do nich podobne oczy Matyldy - tak lodowate.

- Dlaczego? - zdziwiła się Matylda.

- Bo nie mogę popełnić przestępstwa na rozkaz czworga zupełnie obcych ludzi. To groziłoby mi natychmiastowym aresztowaniem.

- Może nam pan zaufać - zapewniła go solennie Ewa.

- Pani być może tak - zwrócił się do niej Davy. - Ale pani siostra żywi do mnie sprzeczne uczucia. Już kilka razy próbowała zrobić mi krzywdę, łatwo jej więc przyjdzie wydać mnie glinom. Ona pójdzie ze mną.

- W porządku - powiedziała Matylda do Gwen. - Przeglądałam już większość pokoi, cała rzecz zajmie więc zaledwie kilka minut. Sprawdziłam wszystko, z wyjątkiem garderoby Clei i drugiego piętra.

- Nie sprawdziłaś garderoby? - zapytał Davy.

- Kiedy usiłowałam to zrobić, zostałam napadnięta - odrzekła Matylda.

- No cóż, ja tam też jeszcze nie szukałem. Krowy znalazłem piętro wyżej. W dużym pokoju pełnym zapakowanych obrazów. Wziąłem pierwszy, który miał odpowiedni kształt i rozmiary i na którym namalowane były gwiazdy.

- Ja zrobiłabym to samo. - Ewa kiwnęła głową, a Davy pomyślał: Jaka ona słodka.

- Więc ten właściwy obraz jest prawdopodobnie w garderobie. - Matylda odetchnęła głęboko. - Bierzmy się zatem do dzieła.

- Ja zadzwonię do Masona. - Gwen ruszyła do galerii. Davy uśmiechnął się do Ewy, a Andrew wziął ją pod rękę.

- Mamy coś do zrobienia - oznajmił, wyciągając Ewę z pokoju i nie spuszczać Davy'ego z oka.

Davy spojrział teraz na Matyldę, która stała, całkiem opuszczona, przed szafą grającą i mierzyła go takim wzrokiem, jakim patrzy się na syczącego gada.

- A więc, Betty - zagadnął wesoło Davy. - Poznajmy się bliżej.

- A niech to diabli! - Matylda opadła na kanapę.

Rozdział piąty

Wybrzmiały ostatnie taktę *You're No Good*. Davy rozglądał się po pokoju, średniej wielkości i zapchanym do ostatecznych granic. Znajdowały się tu ogromna, stara skórzana kanapa oraz równie wielkie i stare orzechowe biurko, które wyglądało tak, jakby kiedyś miało znaczną wartość. Sprzęty te umieszczono po obu stronach szafy grającej oraz dużego dębowego stołu, przy którym tkwiły zniszczone krzesła nie od kompletu. Wszystko to, łącznie z psem wabiącym się Steve, stało na bardzo pięknym i bardzo zniszczonym wschodnim dywanie.

- Macie problem z płynnością finansową? - zagadnął Davy Matyldę.

- Nie myśl, że nie doceniam tego, co dla mnie zrobiłeś - wykręciła się od odpowiedzi Matylda. - Dostaję tylko gęziej skórki na myśl, że dowiedziałeś się jakoś, gdzie mieszkam.

Zmarszczyła brwi, jej błękitne oczy patrzyły chłodno zza upodabniających ją do żuka okularów, a usta zaciśnięły się lekko.

- Wczoraj wieczorem poszedłem za tobą i dotarłem aż do tego domu - powiedział Davy i zatrzymał się przed fotografiami wiszącymi rzędem na ścianie.

- I to ma mnie uspokoić? - zapytała Matylda, gdy tymczasem on przyglądał się zbiorowi szkolnych portretów i zdjęć z wakacji. - Ty mnie przecież śledziłeś.

- To będzie dla ciebie nauka, że nie trzeba się całować po różnych garderobach - odrzekł. - Czy nie powinnaś przypadkiem zająć się kartoteką?

Matylda milczała przez chwilę za jego plecami, a w nim przez ten czas narastało napięcie. Potem jednak usłyszał, że ona przesuwa gwałtownie krzesło i otwiera szufladkę z fiszkami - wrócił więc do oglądania fotografii, pewny już, że go nie zaatakują od tyłu.

Fotografie zawieszano chyba bez jakiegoś określonego planu, bo podobizna anielskiego blond bobaska sąsiadowała ze zdjęciem trzech nastolatek z kręconymi włosami ubranych w szerokie spódnice z lat pięćdziesiątych. Nastolatki pochylały się ku sobie, śpiewając z zadartymi w górę głowami, a całość była niedbale podpisana piórem: „The Rayons”. Jedna z dziewcząt przypominała Ewę, to jednak nie mogła być ona. Ewa była zbyt młoda, by w latach pięćdziesiątych mieć kilkanaście lat. Jednak obok tej niby-Ewy...

- Boże drogi, ty na tym zdjęciu nosisz spódnice na halce, a na głowie masz tapir. - Davy odwrócił się i przyglądał Matyldzie. - Ile masz lat?

- To nie twój interes. - Matylda pochyliła się nad katalogiem z fiszkami, a Steve leżący na jej kolanach łypnął groźnie. - Zejdź z tematu mojej rodziny.

- Nie złość się - uspokajał ją Davy. - Gdybyś mi powiedziała, jak się nazywasz, kiedy cię grzecznie pytałem, nie musiałbym cię śledzić.

- To jest zdjęcie z popisu w szkole średniej. - Matylda zatrzasnęła szufladkę i otworzyła następną. - Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty. Kicz retro.

- A ty popisywałaś się...

- Śpiewem. I powiem ci, że nie za bardzo mi to szło.

- Śpiewałaś w tym zespole, tak? The Rayons? Matylda odetchnęła głęboko.

- Gwennie wychowała nas na muzyce grup dziewczęcych, takich jak The Chiffons - powiedziała i zaraz zmieniła temat. - Wiesz, to, że tu jesteś, sprawia, że ciarki mi chodzą po plecach.

- Vilmo, obdarzyłaś mnie francuskim pocałunkiem w ciemnej garderobie, a teraz masz pretensję, że przyszedłem za tobą aż tutaj?

- Ten pocałunek to wcale nie powód, dla którego tutaj przyszedłeś. - Matylda patrzyła na niego ponad oprawkami okularów. - Ty coś knujesz.

- No, widzę, że mnie bardzo dobrze znasz - stwierdził ironicznie Davy i powrócił do fotografii. - Kim jest ta trzecia dziewczyna? Czy to Luiza?

Cisza za jego plecami stała się wprost ogłuszająca.

- Luiza? - powtórzyła Matylda.

- Tak. Dorcas ostrzegła mnie przed nią. Kim jest ta Luiza?

- To... to moja... kuzynka - rzekła Matylda. - Pracuje wraz z Andrew w Double Take. Nie bywa tu zbyt często. Nie mieszka tutaj.

Paplała jak karabin maszynowy, co oznaczało, że kłamie. Że znowu kłamie.

- A co to jest Double Take?

- To klub, którego właścicielem jest Andrew. Występują tam paradyści. Wszelkiego rodzaju. A poza tym ludzie przychodzą w przebraniach. Jest też wieczór karaoke, w czwartki, naprawdę... - zamilkła nagle, tak jakby uświadomiła sobie, że za dużo mówi. - Musisz tam kiedyś pójść - zakończyła. - Tam nikt nie jest tym, na kogo wygląda.

Davy popatrzył znowu na fotografię trzech dziewcząt.

- Luiza nie przypomina zbyt cię i Ewy.

- To nie jest Luiza - powiedziała Matylda. - To Andrew.

- Nie! Ta dziewczyna w środku to Andrew? - Davy przyjrzał się dokładniej. I przekonał się, że to rzeczywiście Andrew. Kilkunastoletni Andrew z natapirowanymi włosami i w szerokiej spódnicy. To był Andrew, a na dodatek wydawało się, że jest ładniejszy od obu sióstr widniejących z nim na zdjęciu. - O! Prawdziwa z niego ślicznotka.

- Andrew to przystojny facet.

- A czy twoja siostra wie, że ty masz słabość do jej męża? - zapytał Davy.

- Miałam - poprawiła Matylda.

- Nie, ty wciąż jeszcze ją masz.

Davy przesunął się i przyjrzał jakiemuś nowszemu zdjęciu Andrew - tym razem przebranego za Marilyn Monroe.

- A poza tym Andrew to były mąż Ewy - mówiła dalej Matylda. - Są po rozwodzie. Ja miałam do niego słabość, ale to sprawa przeszłości.

- Nie sądzę - upierał się Davy, przesuając się w stronę zdjęć przedstawiających Nadine. Naprawdę prześlicznych. - Dlaczego oni się rozwiedli? - Oglądał nadal fotografie, dopóki nie znalazł ich zdjęcia ślubnego. - Czy dlatego, że ty stałaś się zaborczą?

Matylda otworzyła ostatnią szufladkę.

- Rozwiedli się, bo Andrew zakochał się w kimś innym.

- Andrew nie ma w głowie krzty oleju - powiedział Davy, patrząc na Ewę uśmiechającą się jak niewinny aniołek, z twarzą świeżą i czystą, ocienioną blond kędziorami.

- Andrew jest gejem - oznajmiła Matylda. - A Jeff to wspaniały facet.

- Nie wiedział o tym, zanim ożenił się z Ewą?

- Twierdzi, że nie. Mówi, że to Bóg w ten sposób sprawił, że urodziła się Nadine. - Matylda wyjęła fiszkę z ostatniej szufladki i wstając z krzesła, delikatnie postawiła Steve'a na podłodze. - To tyle. Muszę teraz pójść na dół. A ty nie jesteś tam zaproszony. Nie możesz także zostać tutaj.

- Powiedz mi więcej o tym obrazie - poprosił Davy, odwracając się i stając z Matyldą twarzą w twarz. - Dlaczego musimy go ukraść?

- Nie musisz tego wiedzieć. - Matylda ruszyła do wyjścia.

- Właśnie że muszę - upierał się Davy, chwytając ją za ramię.

- Jeżeli mam go ukraść, to potrzebne mi informacje. Kto go namalował?

Matylda odetchnęła głęboko, a potem spojrzała na niego gniewnie.

- O co chodzi? - zapytał Davy.

- Wiesz - powiedziała lodowatym tonem - są osoby, które boją mi się sprzeciwić.

- Co za szkoda, że żadnej z nich tutaj nie ma - zakpił Davy.

- Kto namalował ten obraz?

- Scarlet Hodge.

Davy popatrzył na nią zdumiony.

- Ktoś nadał bezbronnej dziecinie imię Scarlet? Zresztą można i tak. - Wzruszył ramionami. - Zwłaszcza że Gwennie nazwała ciebie Matyldą.

- To mój ojciec wybrał dla mnie imię Matylda - sprostowała.

- Po mojej prababce. Mógłbyś więc okazać trochę szacunku.

- Aha. A jak masz na drugie imię?

- Weronika - odrzekła, a gdy cisza się przedłużała, dodała: - Po Ronnie Spector, tej, co śpiewa *Be My Baby*.

- Współczuję ci - skomentował to Davy.

- Omal nie zostałam Artemesią Dionne - oznajmiła Matylda.

- A ty możesz swoje współczucie zachować dla siebie.

- Okej - odrzekł Davy. - Więc te obrazy namalowała Scarlet, a Clea kupiła jeden z nich. Kto jest właścicielem tego drugiego?

Matylda wzruszyła ramionami.

- Mason Phipps, jak sędzę.

- Oddamy go zatem właścicielowi - stwierdził Davy i zauważył, że Matylda sztywnieje. - Posłuchaj, Betty - powiedział surowo - ty masz u siebie coś, co nie należy do ciebie. A to niedobrze.

Matylda wytrzymała jego spojrzenie, nie mrugając nawet okiem. W tej chwili do pokoju weszła Gwen. Było widoczne, że jest spięta do ostatecznych granic.

- Ustalono - powiedziała. - Oni będą tutaj o ósmej. Mason jest zachwycony. - Jej ton świadczył o tym, że sama bynajmniej zachwycona nie jest. - Znalazłaś papiery?

- Właśnie szłam po nie na dół - odrzekła Matylda, równie spięta jak ona.

Obie wyglądały ponuro.

- Nie jesteście przyzwyczajone do popełniania przestępstw, co dziewczyny? - zagadnął Davy.

- Oczywiście, że nie, na Boga! Nie! - wykrzyknęła Gwen i wróciła do galerii.

- Możesz już iść - zwróciła się Matylda do Davy'ego, a on pomyślał: Co ja tu robię? Przecież mógłbym się w tej chwili uganiać za rozwiedzioną Ewą.

Po czym spojrział w szalone oczy Matyldy i ta uparta i trudna a równocześnie doprowadzona do rozpaczyny osóbka wydała mu się znacznie bardziej interesująca niż Ewa. Zwłaszcza że potrafiła wspaniale całować.

- A więc - powiedział, zsuwając się po drzwiach, o które był oparty plecami, i siadając na podłodze. - Zaczynaj mówić, Matyldo Weroniko. Opowiedz mi wszystko.

Tymczasem w innej części miasta Clea siedziała w sypialni przy toalecie i pieniała się na Masona. Pieniała się, bo Mason był zauroczony tą straszną babą. Tą Gwen Goodnight.

Gdyby Gwen była dwudziestolatka, miałyby to jakiś sens, pomyślała Clea i spojrziała w lustro. Sama też nie była młoda, miała czterdzieści pięć lat i skrupulatne dbanie o siebie nie mogło tego zmienić. No cóż, roztrwonila swoją młodość w sposób przerażający. Pragnęli jej bowiem różni bogaci mężczyźni, tymczasem ona chciała być aktorką. Chciała pokazać wszystkim, że jest kimś.

Problem polegał jednak na tym, że osobie pragnącej być kimś potrzebne są pieniądze.

Nie masz już wiele czasu - zwróciła się bez ogródek do swego odbicia w lustrze. - Dokonywałaś głupich wyborów, a teraz nieubłagane tyka ci zegar. Mason to będzie mężczyzna twojego życia. Bierz się więc do rzeczy, ty idiotko.

Ogrom pogardy, którą żywiła do samej siebie, sprawił, że zmarszczyła brwi. To natychmiast dodało jej dziesięć lat. Wygładziła więc czoło, tłumiąc gniew.

Ale zaraz, zastanówmy się dobrze - Clea wyprostowała się i obdarzyła własne odbicie uśmiechem. - Moją rywalką nie jest dwudziestolatka, jest nią Gwen. A Gwen jest stara. Może więc Masonowi wcale nie chodzi o nią, tylko o tę jej cholerną galerię? Ale skoro tak, to dlaczego on jej po prostu nie kupi? Ach, ci mężczyźni. Zadzwoń! telefon. Clea z wściekłością podniosła słuchawkę.

- Cleo! - powiedział Ronald. - Kochanie!

Co on mi tu chrzani - pomyślała Clea, a potem wycodziła przez zęby:

- Ronaldzie, powiedz, że Davy Dempsey udał się w podróż do Tybetu!

- Do Tybetu? - zdziwił się Ronald. - Dlaczego akurat tam?

- Miałeś się go pozbyć, Ronaldzie - mówiła z naciskiem Clea. i Sprawiasz mi ogromny zawód.

- Ja nie mam pojęcia, gdzie on jest. - Ronald wpadł w panikę.

- Ale wszystko jest w porządku. Rozmawiałem z kimś...

- Ja nie chcę, żebyś ty z kimkolwiek rozmawiał! Chcę, żebyś się go pozbył! Nie dzwoń do mnie, dopóki on nie zostanie usunięty.

- Ale ja...

Clea rozłączyła się, z dziką satysfakcją trzaskając słuchawką. Telefony, w których kończąc rozmowę, trzeba nacisnąć guziczek, z pewnością nie przyjmą się na dłuższą metę. Ludziom potrzebne są widełki, o które można walić słuchawką, informując w ten sposób różnych idiotów, że przebrali miarę. Idiotów takich jak Ronald - pomyślała, mrużąc oczy. I Gwen Goodnight.

Potrzebny jej był plan awaryjny. Przez chwilę stuknęła butem o podłogę, a potem podniosła słuchawkę i wybrała numer.

- Ronald? - powiedziała sekundę później, tonem znacznie łagodniejszym. - Przepraszam. Wiesz, ja po prostu tak bardzo się martwię z powodu Davy'ego. - Na drugim końcu linii Ronald wydawał z siebie uspokajające dźwięki. - Istnieje pewien sposób, w jaki mógłbyś mi pomóc. Ty przecież tak dużo wiesz, znasz tylu ludzi. Bądź kochany i wyszukaj mi wszelkie informacje na temat Gwen Goodnight oraz Galerii Goodnightów. Zwłaszcza na temat Gwen Goodnight.

- Ronald bełkotał coś, wychodząc wprost z siebie. - Mógłbyś to zrobić? Och, dziękuję ci, kochanie. Będę o tobie myślała.

Rozłączyła się. On mi coś znajdzie - przemknęło jej przez myśl. Ronald miał bowiem jedną dobrą cechę. Potrafił działać sprawnie.

Wzrok Clei ponownie padł na odbicie w lustrze. Znowu zmarszczone czoło! Wyglądam na czterdziestkę! Ogarnęła ją panika, na twarzy odmalowało się przerażenie. Nie starzeje się przecież. To niemożliwe! Jeszcze nie! Jest bez pieniędzy. A nie może przecież zostać sama i w biedzie! Odetchnęła głęboko, a następnie ponownie - i z uśmiechem - podniosła wzrok.

Z lustra odwzajemnił ten uśmiech anioł.

- Nie rób tego więcej - zwróciła się Clea do lustra, a potem poszła do garderoby, żeby poszukać ubioru, który spowoduje, że Mason zapomni o wszelkich galeriach, no i o tym babsztylu noszącym imię Gwen.

Matylda, marszcząc brwi, spojrzała na Davy'ego, który siedząc bez ruchu pod drzwiami, uniemożliwiał jej ucieczkę. A przy tym wszystkim, jak na śledzącego ludzi złodzieja, wyglądał cholernie dobrze.

- Nie chcę z tobą rozmawiać. Rusz się.

Davy uśmiechnął się do niej, zadzierając w górę głowę.

- Powiedz mi, Matyldo, czy twój tata był troszeczkę nieuczciwy?

- Licz się ze słowami! - Matylda wyprostowała się, czyniąc ruch, który, miała nadzieję, wyrażał oburzenie. - Posłuchaj no, mój ojciec miał nieskazitelną reputację. Cała moja rodzina cieszy się taką reputacją od pokoleń. My nosimy nazwisko Goodnight.

- To się wam chwali.

Davy po raz pierwszy wydawał się nieco zaskoczony. Steve podszedł bliżej i obwąchał go, a on wziął go na kolana i zasłonił się nim jak tarczą.

- Mój ojciec ostrzegał klientów w wypadku niektórych obrazów - ciągnęła swój wątek Matylda. - Doradzał im, żeby zaczekali, zgromadzili większą dokumentację...

Przerwała, bo Davy wyraźnie się jej słowami zainteresował.

- Dokumentacja - powtórzył. - To z niej dowiadywał się, czy jakiś obraz nie jest przypadkiem fałszyfikatem?

- Sprawdzał proveniencję obrazu - powiedziała Matylda z przesadną godnością. - Dociekał, skąd obraz pochodzi, kto pierwszy go sprzedał, dostawał listy od byłych właścicieli. On...

- Musiał więc w każdym wypadku zaufać wielu ludziom. - Davy poklepał Steve'a. - Jeden oszust w całym tym łańcuszku wystarczył, żeby sprawić, że prawda była znana tylko malarzowi.

Matylda prychnęła.

- Ufać nie można nawet malarzowi. Picasso, gdy mu przedstawiano do weryfikacji obrazy, które mu się nie podobały, wypierał się ich autorstwa. A gdy jakiś obraz namalował ktoś inny, a jemu się ten obraz podobał...

- To twierdził, że sam jest jego autorem - dokończył Davy. - To się trzyma kupy.

- Tylko wtedy, kiedy człowiek jest nieuczciwy. - Matylda mówiła to ze świętym oburzeniem.

- Ale przecież autentyczność obrazu można stwierdzić innymi sposobami? Naukowymi. Jest analiza chemiczna.

- Czasami tak - potwierdziła Matylda. - Zręczni fałszerze zeskrobują farbę ze starych płócien, mielą ją na proszek i mieszają z własnymi farbami. To się jednak da wykryć. Zatem klient, który okaże cierpliwość i zaczeka na ekspertyzę, może uniknąć kupna falsyfikatu. Jeżeli jednak ktoś już obraz kupił, to...

- Nie chce słyszeć o wynikach takiej ekspertyzy - dokończył Davy.

- Właśnie. - Matylda zmarszczyła brwi. - Ty się na tym znasz?

- Nikt nie lubi wychodzić na głupca - powiedział Davy. - Taki klient woli więc raczej uwierzyć w to, że obraz jest autentyczny, niż ścigać tego, który go oszukał.

Matylda wzruszyła ramionami.

- Mnie jakoś takich ludzi nie żal. Bo jeżeli ktoś naprawdę dany obraz kocha, to co mu za różnica, czy to autentyk, podróbka, czy falsyfikat? A jeżeli obraz mu się nie podoba, to nie powinien był go kupować.

- Taki ktoś zasługuje więc na to, żeby go oszukać - skomentował to Davy. - Już to kiedyś słyszałem.

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie Matylda. - Nikt nie zasługuje na to, żeby go oszukiwać.

- Powiedziałaś: „podróbka czy falsyfikat” - powtórzył Davy. - Ja myślałem, że to to samo.

Matylda przyjrzała mu się uważnie, zastanawiając się, jak się go pozbyć.

- Falsyfikat jest fałszywy od samego początku, stworzony z zamiarem sfalszowania - odrzekła. - Natomiast podróbka to coś, co było tworzone w dobrej wierze i co ktoś zafalszował, po to, żeby wyglądało na to, czym w istocie nie jest. A teraz naprawdę muszę już iść.

- Widzę, że wiesz o tych rzeczach naprawdę sporo. Uśmiech Davy'ego był uśmiechem człowieka szczerego i uczciwego. Czyli doskonałym falsyfikatem.

- To jest po prostu nasza rodzinna profesja. Nikt nie wie lepiej, jak działają oszuści, niż uczciwi ludzie zajmujący się tą samą dziedziną co oni. Słuchaj, ja mam pracę do wykonania.

- Więc co jest najdoskonalszym oszustwem w dziedzinie sztuki? - zapytał Davy, wciąż siedząc pod drzwiami. - Na czym polega nierozpoznawalna podróbka?

Matylda zmarszczyła brwi.

- Masz zamiar zająć się fałszowaniem dzieł sztuki?

- Taka podróbka, której nie da się wykryć - drażył temat Davy.

- Odpowiedz na moje pytanie, a wypuszczę cię.

- Najdoskonalszym oszustwem w dziedzinie sztuki nie jest podróbka, tylko falsyfikat - wyjaśniła Matylda. - Falsyfikat współczesny malarzowi. - Gdy Davy pokręcił głową, dodała: - To znaczy falsyfikat namalowany w epoce, w której tworzył dany malarz.

- A co, jeżeli człowiek nie miał przodka, który tworzył falsyfikaty? Co wtedy będzie najlepszym oszustwem?

Matylda westchnęła.

- Był taki facet - powiedziała. - Nazywał się Brigido Lara. On sfalszował całą cywilizację.

Davy uśmiechnął się szeroko.

- O. To musiał być podobny do mnie.

- Tak - potwierdziła Matylda. - Był dokładnie taki jak ty. Pozbawiony moralnych skrupułów i strachu.

- Co on takiego zrobił?

Matylda zawahała się, a Davy założył ręce na piersi. Matylda ponownie westchnęła, próbując go zawstydzić i skłonić do tego, żeby ją wypuścił, gdy to jednak nie poskutkowało, mówiła dalej:

- No dobrze, kiedy w latach osiemdziesiątych zapanowała moda na ceramikę prekolumbijską, on zaczął tworzyć piękne obiekty ceramiczne i rozgłaszać, że to dzieła członków jakiegoś nowo odkrytego plemienia. Twierdził też, że sam jest największym znawcą tego plemienia.

- To mi naprawdę imponuje - stwierdził Davy. - W jaki sposób przyłapano go na tym oszustwie?

- Nikt go nie przyłapał - odrzekła Matylda. - W końcu sam się przyznał.

- I nawet wtedy mnóstwo ludzi mu nie uwierzyło - domyślił się Davy.

- Jego ceramika była naprawdę piękna. Lara został ekspertem od prekolumbijskich podróbek. To stary sposób polegający na wysłaniu złodzieja w pogoń za złodziejami.

- Aż trudno w to uwierzyć. - Davy nie patrzył Matyldzie w oczy.

- Mój tata miał przez pewien czas jedną jego pracę. Ale potem ktoś go przekonał, żeby ją sprzedał.

- A poinformował nabywcę, że to fałszywka? - zapytał Davy.

- Oczywiście - odparła Matylda, znowu spięta.

- A teraz powiedz mi, Matyldo - Davy patrzył na nią uważnie - czy my mamy odzyskać na drodze kradzieży podróbkę czy falszyfikat? - Matylda skamieniała, a Davy, widząc to, pokręcił głową.

- Posłuchaj, dziecino - ciągnął - to musi być jedno albo drugie. Inaczej nie starałabyś się z taką desperacją odzyskać tego obrazu.

- Obrazy Scarlet są autentykami - zapewniła Matylda. - A ty Co ty chcesz ukraść z domu Masona?

- Nie mówimy w tej chwili o mnie - odrzekł Davy.

- Teraz już mówimy - Matylda była nieugięta. - Chyba że się zgodzisz, że żadne z nas nie musi wcale wiedzieć, co kombinuje to drugie.

- Może porozmawiamy o tym później.

Pochylił się w przód, zamierzając wstać, a Steve wygramolił się z jego podolka, żeby podążyć za Matyldą.

- Najprawdopodobniej wcale tego nie zrobimy - powiedziała Matylda. - Bo dla nas nie ma żadnego „później”. Kiedy wrócimy od Masona, natychmiast się stąd wyniesiesz. I życzę ci przyjemnej zabawy w Australii.

Co powiedziawszy, otworzyła z rozmachem drzwi, wałąc nimi Davy'ego w plecy i nie doznając przy tym krzty poczucia winy.

Davy obserwował, jak Matylda - ze Steve'em u nogi - otwiera kluczem drzwi sutereny, a potem zamyka je za sobą, odcinając mu drogę. Hm, suterena zamykana na klucz. No cóż, to oczywiste, że rodzina Goodnightów ma swoje sekrety. Davy zastanawiał się, czy świadomość tego faktu może mu się do czegoś przydać, i doszedł do wniosku, że to, co kryje się w suterenie, cokolwiek to jest, stanowi problem Matyldy, a nie jego, i że tak powinno pozostać. A teraz - pomyślał - trzeba by pójść coś zjeść. Niejedno bowiem wskazuje na to, że przed północą znajdę się w więzieniu. Zanim więc to nastąpi, dobrze będzie skorzystać z usług którejs z niezłych restauracji w German Village.

O wpół do ósmej, już po posiłku, wrócił do swego mieszkania. Drzwi zostawił uchylone: chciał słyszeć, kiedy Matylda podejdzie z zamiarem przypuszczenia na niego ataku. Potem włączył telefon komórkowy i zadzwonił ponownie do Simona, ponieważ jednak nikt nie odbierał, zostawił wiadomość, że potrzebuje tysiąca pięciuset dola-

rów. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie Simon znajduje się w tej chwili. I doszedł do wniosku, że bez wątpienia z jakąś brunetką. Następnie, ponieważ był piątek, wybrał numer swojej siostry. Po drugim sygnale telefon odebrała jego siostrzenica Dillie.

- Świetnie, że dzwonisz - powiedziała - bo potrzebna mi rada jakiegoś faceta.

- Aha - odrzekł Davy. - Rezerwuję sobie prawo do wycofania się z tej rozmowy.

- Nie bądź mięczakiem. Jamie Barclay wycofała się z drużyny softballowej. Mówi, że chłopcy nie lubią dziewczyn, które z nimi rywalizują. Mama twierdzi, że to bzdura. Ale to podobne do mamy. Znasz ją przecież. Natomiast mama Jamie mówi, że to prawda. A ona była żoną wielu facetów. Więc ja muszę wiedzieć. Czy to jest prawda? Nie wygłaszaj mi tylko takiej pozalekcyjnej pogadanki.

- No cóż, odpowiedź brzmi: i tak, i nie. - Davy z pewnym trudem próbował za nią nadażyć. - Są faceci, którzy tego nie lubią. Ale moim zdaniem nie o to chodzi. Lubisz grać w softball, prawda?

- Tak - zawahała się Dillie. - Ale...

- To powiedz mi, który palant zdoła cię zmusić do zrezygnowania z czegoś, co lubisz, i to tylko w tym celu, żeby on miał lepsze samopoczucie?

- Aha, no tak - powiedziała Dillie. - To brzmi słusznie, ale...

- Wpadł ci w oko jakiś siódmoklasista?

- Nie - zaprzeczyła. - On jest w mojej klasie. Ma na imię Jordan.

- I nie chce, żebyś grała?

- Nie pytałam go o to. On nie wie, że go lubię. Nie ma pojęcia, że ja w ogóle istnieję.

- Dobra, rozumiem. - Davy zastanowił się przez chwilę. - Sądzę, że powinnaś na to spojrzeć z szerszej perspektywy. Ten facet, kimkolwiek on jest, stanowi worek treningowy.

- Słucham?

- Bardzo niewiele osób wiąże się z kimś, w kim się zakochało w wieku lat dwunastu. Co nie znaczy, że to, co czujesz, nie jest autentyczne, że nie może sprawiać bólu czy że jest bez znaczenia. W zasadzie jednak mówiąc o tym, mówimy o worku treningowym służącym do trenowania wspaniałego sportu zwanego miłością.

Dillie wydała z siebie jęk.

- Tak więc ten Jordan to sprawa chwilowa. A softball to sprawa na stałe. Jeżeli zechcesz, będziesz mogła w niego grać zawsze. Softball to nie żaden worek treningowy. Rzeczy, które uwielbiasz, nigdy nim nie są.

- Okej, tak, świetnie. - Dillie okazywała nadmierną wręcz cierpliwość - ale ja lubię Jordana. Rozumiesz?

- Tak. - Davy wznosił oczy do nieba i westchnął. - Wyjaśnię ci coś, więc słuchaj uważnie. I w żadnym wypadku nie mów mamie, że ci to powiedziałem. Ani, broń Boże, tacie. Bo nie pozwoliliby mi się do ciebie więcej zbliżyć.

- Dobra - zgodziła się Dillie. - Super.

- Od ludzi można uzyskać wszystko, pod warunkiem że się właściwie do nich podejdziesz. Ale trzeba działać w sposób przemyślany i zawsze bardzo uważnie obserwować tę drugą osobę. Trzeba więcej myśleć o niej niż o sobie. Trzeba tę osobę poznać.

- Czy to coś w rodzaju reguły trzech? - zapytała Dillie tonem sceptycznym.

- Nie - odrzekł Davy. - Nic z tych rzeczy. Jest to... no, jest to taki podstawowy bajer znany każdemu Dempseyowi od przedszkola. Pięć kroków. Naucz się ich na pamięć. Nie zapisuj, tylko wbij je sobie do głowy.

- Okej. - Dillie zamieniła się w słuch. - Wal.

- Po pierwsze, zmusz jelenia, żeby się uśmiechnął. W twoim wypadku jeleniem jest Jordan.

- Mam. Zmusić go do uśmiechu. Jak?

- Ty uśmiechnij się do niego. Ludzie zwykle na uśmiech odpowiadają uśmiechem. A skoro już się uśmiechną, odprężają się.

- Dobra. Po pierwsze uśmiech.

- Po drugie, zmusz go, żeby odpowiedział „tak”. Na jakiegokolwiek pytanie. Zapytaj, czy ogląda zapasy albo czy po szkole idzie w coś pograć. Niech to będzie cokolwiek, ale niech on powie „tak”.

- Dobrze - zgodziła się Dillie. - Ale ja nie rozumiem...

- Jeżeli skłonisz kogoś do powiedzenia „tak” w jakiegokolwiek sprawie, to jest prawdopodobne, że będzie on wciąż mówił ci „tak”. Ustanawiasz w ten sposób wzorzec postępowania, rozumiesz? Ta osoba zaczyna kojarzyć sobie rozmowę z tobą z tym, że sama mówi „tak”. A w końcu, po trzecie, spraw, żeby ten ktoś czuł w stosunku do ciebie wyższość. Dzięki temu stanie się bardziej pewny siebie, a co za tym idzie - nieostrożny.

- A jak to zrobić?

- Zadaj mu pytanie, na które będzie umiał odpowiedzieć. Poczuj się wtedy mądrzejszy od ciebie.

- Dobra - powiedziała Dillie. - To takie dziewczynskie, nie?

- Nie - zaprzeczył Davy. - Tu nie chodzi o to, że dziewczyny są głupie, a chłopcy mądrzy. Tu chodzi o uśpienie jego czujności, o wytworzenie u niego fałszywego poczucia bezpieczeństwa. To jest taki bajer. Bajerujesz tego biednego przygłupa. Co oczywiście jest nie fair, bo ty, będąc dziewczyną, trzymasz wszystkie karty. Ale oprócz tego, że jesteś dziewczyną, należysz też do rodziny Dempseyów. Więc on naprawdę źle trafił.

- Okej. Po pierwsze, uśmiech; po drugie, tak; po trzecie, poczucie wyższości.

- Teraz on czuje się z tobą dobrze - ciągnął wykład Davy. - A ty chcesz wzmocnić to jego uczucie. Więc po czwarte, coś mu ofiarowujesz. Na przykład jakiś komplement. Albo pół batonika, który przyniosłaś sobie na lunch. Coś, co sprawi, że zacznie uważać siebie za górującego nad tobą w rozmowie.

- Dobrze. - Ton Dillie zdradzał pewne zmieszanie.

- I wtedy ruszasz do prawdziwego ataku - mówił dalej Davy. - Krok piąty: prosisz go o coś, czego pragniesz, w taki jednak sposób, żeby on pomyślał, że ty, biorąc to od niego, wyświadczasz mu przysługę.

- Ja chcę wiedzieć, czy on mnie lubi.

- Przetłumacz to na jakiś konkret. Czy chcesz, żeby zaprosił cię do kina? Żeby cię odprowadził do domu? Żeby ci dał swoją czapkę? Czego chcesz?

- Chcę, żeby mnie lubił. - Dillie była konsekwentna.

- On cię prawdopodobnie lubi, ty jesteś sympatycznym dzieciakiem. To cel zbyt niesprecyzowany. Uświadom sobie, czego chcesz konkretnie. A tymczasem ćwicz tę metodę na różnych osobach, dopóki nie zacznie się sprawdzać. Tylko uważaj: na nikim, kto nazywa się Dempsey.

- Na Jamie Barclay - zaproponowała Dillie.

- Dobrze - pochwalił Davy. - Ale nigdy nie przesadzaj. Jeżeli metoda nie działa, zrezygnuj i innego dnia zastosuj inny sposób. I nie mów o tej metodzie Jamie Barclay, bo jest to metoda przeznaczona tylko dla Dempseyów.

- W porządku - zgodziła się Dillie. - Kocham cię, wujku.

- Ja ciebie też, Dill - zapewnił ją Davy. - Jeżeli twój worek treningowy okaże się niewypałem, to przyjadę i spuszczę mu lanie. A teraz pozwól mi porozmawiać z mamą.

- Nie ma jej w domu. Jest na zebraniu.

- Okej, powiedz, że ją pozdrawiam. Powiedz, że u mnie wszystko w porządku i że zadzwonię w przyszłym tygodniu.

- Będzie zła, że jej nie było - powiedziała Dillie. - Daj mi lepiej swój numer. Ale nie komórki. Zawsze ją wyłączasz, a mamę to wkurza. Jaki jest numer do twojego mieszkania?

- Nie dam ci go - oświadczył Davy, wyobrażając sobie, jak Sophie rozmawia z Matyldą. - Powiedz jej, że nie chciałem ci go dać.

Dillie milczała przez chwilę, a następnie stwierdziła:

- No tak, to mnie uwolni od kłopotu. Już słyszę, jak mama mówi: „Nie ma problemu, zaufam mu, bo nigdy mnie nie okłamał”.

Davy uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo z ciebie dowcipna młoda osoba. Powiedz jej, że niedługo przyjadę.

- Przyjedziesz nas odwiedzić?

- Tak - potwierdził Davy.

- Świetnie - ucieszyła się Dillie. - Nauczysz mnie jeszcze innych takich sposobów. W szkole niczego takiego nie uczą.

- Spodziewam się.

- Szkoda, że nie mogę o tym nikomu powiedzieć. Nie powiem, bo wiem, że masz rację. Ty zawsze masz rację.

Davy roześmiał się.

- Słucham? - zapytała niewinnie Dillie.

- Powiedziałem ci, nigdy nie przesadzaj - odrzekł Davy. - Ale to było niezłe.

- To było łatwe. - Dillie była zadowolona z siebie. - Już prawie miałam twój numer telefonu.

- Nie byłaś nawet tego bliska, Dill. Tu nie chodzi o rzucanie podkową do celu. Jeżeli nie zrealizujesz wszystkich pięciu kroków, nie masz nic. Przesadziłaś i nie myślałaś o swoim jeleniu. Ja zawsze mam rację? Daj spokój.

- O - powiedziała Dillie. - Powinnam była poprzestać na tym, że jesteś super.

- Au! - zawołał Davy.

- To jest naprawdę ekstra - stwierdziła Dillie. - Myślę jednak, że będę popełniała błędy. To znaczy, kiedy coś schrzań, to będę o tym wiedziała, ale wtedy będziesz mi potrzebny ty, żeby mi powiedzieć, gdzie popełniłam błąd. Tak jak przed chwilą.

- Dill?

- Tak, wujku?

- Mówiłem ci, zaprzestań prób, kiedy jeleni zrobi się podejrzliwy. Nic dam ci swojego numeru telefonu, chociaż sugerujesz, że chcesz do mnie dzwonić z prośbą o radę. I zmieniłem decyzję. Nie mów mamie, że dzwoniłem. I w ogóle nie rozmawialiśmy. Wymaż to z pamięci.

- Co mam wymazać? - zapytała Dillie i rozłączyła się.

- No cóż, to było naprawdę pouczające - odezwała się Matylda, która stała oparta o framugę drzwi. - Z kim rozmawiałeś?

- Z moją siostrzenicą. - Davy wyłączył telefon. - To niegrzecznie podsłuchiwać.

- Ile to dziecko ma lat? - zapytała Matylda.

- Dwanaście - odparł Davy.

- A jak ty zarabiasz na życie?

- Handlując - odrzekł. - I jak było w suterenie?

Uśmiech zniknął z jej twarzy, wyprostowała się, znowu spięta.

- Mason i Clea właśnie przyjechali. Czy mógłbyś przejść do rzeczy? - Spojrzała niecierpliwie na schody. - Chcę to mieć za sobą. I chcę, żeby ciebie już tu nie było.

Davy włożył telefon do kieszeni marynarki i założył ręce na piersi, obserwując Matyldę. Wciąż przypominała mu żuka. Korciło go, żeby w staroświecki sposób zdjąć jej z nosa okulary i powiedzieć: „Panno Goodnight, jest pani śliczna”. Wiedział jednak, że ona prawdopodobnie wykręciłaby mu rękę i odzyskała okulary, zanim zdążyłby dokończyć zdanie.

- No więc jak? - nalegała.

A poza tym ona chyba wcale nie jest śliczna. Śliczna jest jej siostra Ewa. A ona jest... Pochylił głowę, próbując znaleźć właściwe słowo.

- Czy mógłbyś...

- Betty - przerwał jej w pół zdania. - Ukradłem dla ciebie jeden obraz i wkrótce ukradnę drugi, chociaż wcale nie muszę tego robić, i pomimo że mam do upieczenia własną pieczeń. Czekam więc, aż przestaniesz okazywać mi wrogość. To irytujące i, szczerze mówiąc, nudne.

Patrzył, jak bierze głęboki oddech i jak wygładza się jej zmarszczone czoło. Wciąż nie znajdował właściwych słów, za pomocą których mógłby ją opisać. Jednak patzenie na nią bez wątplenia sprawiało mu przyjemność.

Matylda kiwnęła głową.

- Masz rację. - Podeszła do łóżka i usiadła obok niego, przy czym materac ugiął się pod nią, windując Davy'ego nieco w górę. - Zachowuję się tak, bo cała ta sytuacja doprowadza mnie do szału. Widzisz, ja wprost nie znośę polegać na innych, szukać u nich ratunku, nie znośę być niesamodzielną, po prostu tego nienawidzę. A tymczasem za każdym razem, kiedy ty się pojawiaasz, szukam u ciebie oparcia.

- „Niesamodzielną” to nie jest pierwsze słowo, które się nasuwa na myśl o tobie - powiedział Davy.

- Dlatego wyzywam się na tobie - tłumaczyła dalej Matylda. - Ty na to nie zasługujesz. Przepraszam. Naprawdę. Przykro mi.

Davy kiwnął głową, zaskoczony jej szczerością.

- Przeprosiny przyjęte.

- A poza tym nienawidzę kraść - wyznała Matylda, głęboko zdeprimowana.

- No cóż - rzekł Davy - zawsze wierzyłem, że dokonany we właściwy sposób rabunek z bronią w rękę nie musi być wcale doświadczeniem nieprzyjemnym. - Spojrzała na niego, tak jakby stracił zmysły, a on dodał: - To jest cytat z filmu. *Thelma i Louise*.

- Cytat z filmu. Aha.

- Cytowanie filmów to takie rodzinne hobby.

Siedząc tak obok niego, z szeroko otwartymi oczami patrzącymi zza szkieł okularów, z miękkimi i niesfor-
nymi ciemnymi kędziorami, wyglądała prawie uroczo.

- Dziwna jest myśl, że masz rodzinę - powiedziała nagle.

- A co ty myślałaś? - zapytał zirytowany Davy. - Że mnie wyhodowano jak kulturę bakterii?

- Nie, nie. Nie to miałam na myśli - pospieszyła z wyjaśnieniem Matylda. - Chciałam tylko powiedzieć, że
wyglądasz na samotnika. No wiesz, kojarzysz mi się z Libertym Valance'em.

- Dzięki. Zawsze chciałem zostać bezwzględnym zabójcą. Matylda sprawiała wrażenie szczerze zaskocz-
nej.

- Jak to?

- Liberty Valance. Lee Marvin.

- Nie, nie. Ja miałam na myśli Gene'a Pitneya. Davy zmarszczył brwi.

- A kto to jest Gene Pitney?

- To facet, który śpiewa *The Man Who Shot Liberty Valance*. - Patrzyli na siebie, nie rozumiejąc się absolut-
nie, dopóki ona nie dodała: - No nic. Cofam to. Możemy iść?

- Masz mnie więc bardziej za takiego Johna Wayne'a niż za Lee Marvina. - Davy wzruszył ramionami. -
Dobrze. - Wstał i wskazał gestem drzwi. - Chcesz iść kraść, Thelmo? A może wolałabyś być Louise?

Matylda podniosła na niego wzrok, zaskoczona.

- Nie wiem, kim chcę być - odrzekła i minęła go, idąc ku drzwiom.

- No to jest nas dwoje. - Davy wyczuł delikatny zapach cynamonu. - Bo ja też nie wiem, kim chcę, żebyś by-
ła.

Rozdział szósty

- Nie mogę uwierzyć, że zbiliśmy szybę - powiedziała Matylda pół godziny później, usiłując nie poddać się
panice, gdy tymczasem Davy zamykał za obojgiem drzwi sypialni Clei. - Bo nawet w przypadku okna od piwnicy
był to akt wandalizmu.

- To ja zbiłem szybę - odrzekł Davy. - I ja wszedłem przez okno do środka. I ja cię potem wpuściłem do tego
domu. A mimo to, jak dotąd, nie usłyszałem słowa „dziękuję”.

- Dziękuję - westchnęła Matylda. - O Boże.

- Oj, Betty, ty naprawdę nie jesteś sprawną włamywaczką - stwierdził Davy. - Idź teraz i poszukaj w garde-
robie. Jeżeli obrazu tam nie ma, będziesz musiała pójść na górę.

To powiedziawszy, podszedł do komody Clei i zaczął przepatrywać szuflady. Matylda tymczasem otworzyła
ponownie drzwi garderoby.

- Fuj. Te perfumy.

- Obsession - mruknął Davy, otwierając kolejną szufladę.

- Poznajesz z takiej odległości?

- Nie, ona ich po prostu zawsze używa.

Davy trzymał w ręce kilka sztuk leciutkiej jak mgielka bielizny - jedwabnej i nader kosztownej.

- Od dawna ją znasz? - Matylda czuła, że ogarnia ją irytacja.

- Od dawna. Znalazłaś już obraz?

Matylda zaczerpnęła powietrza i wsunęła się do garderoby. Ten cholerny schowek jest taki wielki - pomyślała i podeszła aż do ściany, starając się nie deptać po butach Clei. Szukała po omacku kwadratowego dowodu na to, że jest fałszerką. W pewnej chwili usłyszała, że Davy przesuwa ubrania Clei.

- Potrzebne mi światło - powiedziała, a on w tej samej chwili zamknął drzwi garderoby. - Zaraz, co ty robisz - usiłowała zaprotestować, oglądając się przez ramię, ale on natychmiast zatkał jej usta dłonią.

- Zamknij się, Betty - wyszeptał jej do ucha. - Ktoś jest w holu.

Matylda zamarła. Po sekundzie usłyszała, że drzwi sypialni się otwierają. Masz ci los - pomyślała zirytowana. Ach ta Gwennie, miała nam wyświadczyć tak drobną przysługę, a tymczasem...

Davy odsłonił jej usta, a ona odetchnęła głęboko, starając się nie wpaść w panikę, bo to z pewnością doprowadziłoby ją do ataku astmy. Davy położył dłoń na jej karku i poklepał ją lekko, tak jak poklepywał Steve'a, gdy chciał go uspokoić, a ona, z bijącym sercem i starając się nie rzezić, przycisnęła się do niego mocniej.

Na zewnątrz, w sypialni, ktoś z trzaskiem zamknął szufladę. Matylda aż podskoczyła i chwyciła Davy'ego za koszulę na piersi. Uspokajające poklepywanie stało się nieco energiczniejsze, a jej przemknęło przez myśl: Dopóki jestem tutaj, nic mi nie grozi, bo nikt oprócz niego nie wie, że się tu znajduję. Objęła Davy'ego, wdzięczna za jego obecność. Poklepywanie ustało, a potem oboje stali bez ruchu przez całe długie wieki. Matyldzie robiło się coraz cieplej, tymczasem osoba znajdująca się w sypialni wciąż chrobotła i szeleściła. W pewnej chwili Matylda poczuła, że dłoń Davy'ego zsuwa się w dół. Sekundę później ta dłoń leżała już - płaska i gorąca - na jej plecach. Gdzieś w splocie słonecznym Matyldy coś się poruszyło, a całe jej ciało ogarnęła fala gorąca. Matylda czekała, aż Davy przyciągnie ją do siebie. On jednak tego nie uczynił. Matylda podniosła głowę w ciemności. Davy pochylił się nad nią, a jej oddech stał się urywany. Ich usta spotkały się, a ciała przywarły do siebie. Ramiona Davy'ego objęły Matyldę ciasniej i wtedy ona, już po raz drugi w tej garderobie, pocałowała go mocno.

A on odwzajemnił jej pocałunek i uczynił to tak namiętnie, że Matyldzie zabrakło tchu. Ten facet potrafi cholernie dobrze całować - przemknęło jej przez myśl. Davy opierał się teraz o tylną ścianę garderoby, a ona zanurzyła się cała w rozkoszne ciepło. Coś mi się zdaje, że za rzadko takie rzeczy robię - pomyślała, odrywając się od niego i chwytając powietrze ustami. Potem jednak przywarła do niego znowu, pragnąc coraz więcej i więcej. Nie zważając już na nic, wypuściła na wolność swoją Luizę, która, być może, nosiła imię Vilma.

W tejsze chwili otworzyły się drzwi garderoby. Ktoś zaczął grzebać w butach Clei i nagle chwycił Matyldę za kostkę. A ona, ogarnięta paniką, wierzgnęła odruchowo, waląc nogą w jakiś twardy przedmiot. Skutek był taki, że na podłogę zważyło się coś ciężkiego.

- Świetnie. - Davy wypuścił Matyldę z uścisku, rozsunał ubrania i ukląkł, żeby zobaczyć, kto leży na podłodze. - Cholera - zaklął.

Po czym dał krok ponad ciałem i wywłókł je za ramiona z garderoby.

Matylda także wyszła na zewnątrz, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by nie poddać się panice.

- Czy on jest martwy? - zapytała.

- Nie. - odrzekł Davy - Tylko nieprzytomny. Ty kopiesz jak muł, Matyldo.

- Okropnie się zdenerwowałam, bo chwycił mnie nagle za kostkę.

- No cóż, wobec tego muszę pamiętać, żeby nigdy tego nie robić. Chryste Panie, ależ mu dokopałaś! - Davy wstał ze zmarszczonymi brwiami. - Wiesz, kto to jest?

Matylda schyliła się ostrożnie, chcąc się przyjrzeć leżącemu. Był to cherlawy trzydziestolatek o ciemnych włosach. Na jego skroni tworzył się właśnie podbiegnięty krwią wielki guz.

- Nie, nigdy przedtem go nie widziałam - odparła.

- Dobra. - Davy wziął ją za ramię i skierował ku drzwiom. - Wychodzimy.

- Co takiego? - Matylda potknęła się, próbując rzucić okiem ponad ramieniem Davy'ego. - Nie możemy przecież tak po prostu go zostawić...

- Ty możesz. - Szli do holu, a potem w dół po schodach. Jego dłoń zaciśnięta na jej ramieniu przypominała imadło. - To miał być mały skok, a zrobiło się z niego poważne przestępstwo - powiedział. - Zabieraj się stąd, idź prosto do domu i z nikim nie rozmawiaj.

- A ty? - zapytała Matylda. - Przecież cię nie zostawię...

- To, co mówisz, jest naprawdę urocze. - Davy poprowadził ją przez hol do kuchni, a potem otworzył kuchenne drzwi. - Ale do widzenia!

Wypchnął ją za drzwi i zatrzaskał je za nią, a ona, stojąc na schodkach, drżała cała wśród ciepłej czerwcowej nocy. No i nie miała wyjścia - musiała wrócić do domu.

Tymczasem Gwen zazdrościła jej z całego serca, bo przecież włamywanie się do domu Masona i Clei było czymś znacznie atrakcyjniejszym niż tkwienie z nimi we własnym domu.

- Boże, ileż my tutaj przeżyliśmy! - Mason rozglądał się po galerii. - Do dziś dźwięczy mi w uszach grzmiący śmiech Tony'ego. Ach, co to był za facet!

Rzeczywiście, co za facet - pomyślała Gwen, rozkładając przed Masonem dokumenty z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Siedząca po drugiej stronie stołu Clea obserwowała ją bardzo uważnie. Gwen nie miała pojęcia dlaczego.

- Pamiętasz otwarcie wystawy, którą urządził nowym impresjonistom? W osiemdziesiątym drugim. - Mason uśmiechnął się do Gwen. - Miał wtedy na sobie błękitną brokatową kamizelkę. Ty natomiast byłaś ubrana w czarną suknię bez pleców, a w uszach miałaś złote kolczyki wielkości talerzy. Nigdy tego nie zapomnę.

Gwen lekko się wyprostowała, zaskoczona tym wspomnieniem.

- Byłaś niesamowita, Gwennie. - Mason rozpromienił się, w przeciwieństwie do Clei, która przypominała teraz gradową chmurę.

- Krążyłaś wśród tłumu, ludzie, patrząc na ciebie, uśmiechali się, a my z Tonym staliśmy tam, przy drzwiach... - Tu wskazał głową drzwi biura. - I obserwowaliśmy cię. Wiesz, co on wtedy powiedział?

- Nie. - Gwen usiłowała konsekwentnie myśleć o Tonym jako o sukinsynu.

- Powiedział: „Jestem najszcześniejszym sukinsynem pod słońcem” - mówił dalej Mason. - A ja mu na to: „Oj, rzeczywiście”.

Przed oczami Gwen stanął Tony z ich wczesnego okresu, Tony, który śmiał się do niej, który otaczał ją miłością i tak bardzo ją podniecał. Natychmiast jednak postarała się odsunąć od siebie te wspomnienia i powrócić do wspomnień z lat późniejszych, kiedy Tony był człowiekiem zrozpaczonym, bo interesy galerii stały źle. Popadał wtedy w ponure nastroje, śmiał się bardzo rzadko i zmuszał Matyldę do malowania obrazów Scarlet.

- Był wspaniałym facetem - powiedział Mason. - I stworzył wspaniałą galerię.

- Tak - zgodziła się Gwen. - A więc dokumenty z roku osiemdziesiątego ósmego są tutaj. To właśnie wtedy sprzedawaliśmy obrazy Scarlet.

- Cudownie. - Mason przysunął do siebie papiery. - Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak działa galeria. Ten budynek należy do jej aktywów, prawda? Kupno nieruchomości to zawsze dobre posunięcie.

Kto wie, czy nie powinniśmy tego budynku oddać wierzycielom - pomyślała Gwen. - Albo spalić i uwolnić się od całego tego interesu.

- A jakie są inne aktywa galerii? - zapytał Mason, biorąc kolejną teczkę z dokumentami.

- Słucham? - ocknęła się Gwen.

- Aktywa - powtórzył Mason. - Oprócz budynku i zawartości magazynu. Jak ta galeria działa? Jakie są jeszcze inne jej aktywa?

- Yyy, nie ma żadnych - powiedziała Gwen, zmieszana. - Obrazy są oddane w komis.

- No cóż, do jej aktywów należy jej dobra opinia, oczywiście - zauważył Mason.

- O tak - zgodziła się Gwen. - Dobra opinia o Goodnightach. Ich dobre imię.

- Boże, jak ja zazdrościłem Tony'emu - rozmarzył się Mason.

- Tej galerii, tych przyjęć, tego uroku osobistego. - Tu uśmiechnął się do Gwen. - No i żony.

Clea poruszyła się niespokojnie.

Gwen podziękowała Masonowi niepewnym uśmiechem i przypomniała sobie, jak Tony ją przedstawiał: „To moja żona, Gwennie” - mówił nieodmiennie. Aż pewnego wieczoru ona powiedziała: „Czy nie mógłbyś choć raz przedstawić mnie jako Gwen, twoją żonę?” a on wytrzeszczył na nią oczy, nie pojmując, o co jej chodzi.

- Kiedy usłyszałem, że zmarł, nie mogłem w to uwierzyć - mówił dalej Mason. - Napisałem wtedy do ciebie, ale właściwie nie potrafiłem wyrazić tego, co czułem.

- Twój list był piękny. - Gwen wcale go sobie nie przypominała, dostała wtedy tak wiele listów.

- Pewnie nigdy się z tego nie otrząsniesz - wtrąciła smutno Clea i oboje z Masonem popatrzyli współczująco na zaskoczoną Gwen.

- Cóż, taka właśnie jest prawdziwa miłość.

Clea położyła dłoń na rękawie Masona i uśmiechnęła się do niego marzycielsko, a Mason patrzył na nią, nie wierząc własnym oczom. Mam nadzieję, że ona jest dobra w łóżku - pomyślała Gwen.

- Na pewno jest ci bardzo trudno. Teraz, kiedy musisz prowadzić galerię sama - zauważył Mason, biorąc do ręki pierwszy skoroszyt.

- Ja mam rodzinę - odrzekła Gwen, starając się robić wrażenie osoby bardzo dzielnej. - A więc te dokumenty...

Godzinę później Mason zapytał:

- Czy to są wszystkie dokumenty z roku osiemdziesiątego ósmego? Jesteś tego pewna?

- Raczej tak - odrzekła Gwen i natychmiast uświadomiła sobie, że skoro Mason już skończył, to pójdzie do domu. - Ale wiesz, Tony był dość niedbały. Lepiej więc sprawdź rok osiemdziesiąty siódmy i osiemdziesiąty dziewiąty. Zaraz przyniosę papiery.

Mason, zadowolony, kiwnął głową, Clea westchnęła, a Gwen udała się do biura. Spiesz się, Matyldo - pomyślała. - Nie mogę ich tu trzymać wiecznie. Bo te wspomnienia cholernie boją.

Matylda dotarła już do domu i weszła do biura. Gwen wraz z Masonem i Cleą znajdowali się w galerii. Matylda usiadła na brzegu kanapy, wciąż jeszcze dygocząc. Do biura weszła Gwen. Za nią dreptał Steve, który na widok Matyldy rzucił się ku niej w ekstazie.

- Nie mam pojęcia, co temu człowiekowi jest - oznajmiła Gwen w chwili, gdy Matylda brała na ręce Steve'a.
- Przegląda dokumenty i znajduje w tym przyjemność. Jest jak dziecko. Zachowuje się tak, jakby przez całe życie marzył o przeglądaniu archiwum tej galerii - dodała jeszcze, ale przyjrząwszy się Matyldzie, przerwała. - Co się stało? Czy coś poszło nie tak?

- Wszystko poszło nie tak. - Matylda opadła na kanapę, próbując czerpać pocieszenie z wydłużonego ciała wierzącego się pieska.

- Tam był jakiś człowiek. Nigdy przedtem go nie widziałam. Znokautowałam go przypadkiem. Davy został, bo chce to jakoś załatwić. I na pewno go złapią.

- Okej. - Gwen wyglądała na całkiem wytrąconą z równowagi.

- Uspokój się. Nie panikuj, boto takie nie w twoim stylu. Przerażasz mnie swoim zachowaniem.

Co powiedziawszy, podeszła do kredensu, wyjęła butelkę wódki i nalała sporą jej ilość do szklanki.

- O Boże, dzięki. - Matylda wypuściła z objęć Steve'a i wyciągnęła rękę w chwili, gdy Gwen wychyliła wódkę jednym haustem.

- Ty też chcesz? - zapytała.

- Tak - odrzekła Matylda. - Posłuchaj, ja nie mogę zrobić tego powtórnie. Po prostu nie mogę jeszcze raz wejść do czyjegoś domu i kraść. Nie jestem do tego stworzona. Załatwię to jakoś inaczej.

- Dobrze. - Gwen wręczyła jej szklankę i butelkę. - W porządku. Wymyślimy coś innego. Gdzie Davy?

- Już mówiłam, że tam został. - Głos Matyldy łamał się niepokojąco. - A mnie kazał wyjść. Och, Gwennie, przez niego są same kłopoty, ale ja nie chcę, żeby z mojego powodu poszedł do więzienia.

Drżącą ręką nalała sobie wódki.

- Davy wcale nie jest źródłem kłopotów - zaprotestowała Gwen.

- Czy sądzisz, że on...

- Gwennie! - dobiegł z galerii głos Masona. - Czy wiesz, że Tony sprzedawał obrazy do Muzeum Hortensji Gardner Lewis?

- Naprawdę? - odkrzyknęła Gwen. - No popatrz. On mnie doprowadza do szału - zwróciła się przyciszonym głosem do Matyldy,

- Sądzi, że cały ten kram to taki Disneyland. Czy muszę go wciąż jeszcze tutaj zatrzymywać?

- Tak - odparła z naciskiem Matylda. - Dopóki Davy nie wróci cały i zdrowy. Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić. Przecież on tam... - Wychyliła wódkę do dna i uspokoiła się nieco, czując, jak alkohol krąży jej w żyłach. - Chcesz jeszcze jednego?

- Nie. - Gwen przez oszklone drzwi patrzyła na Masona. - Muszę tam pójść i udawać, że nic się nie stało. Udawać, że mi się tu podoba. Udawać, że nie zbiera mi się na wymioty, kiedy on gada o starych dobrych czasach.

- Gwennie? - Matyldę zaskoczył aż taki gniew w jej głosie. Gwen pokręciła głową.

- Mam dzisiaj zły dzień.

- Ja też - stwierdziła Matylda, a Steve wpakował jej się znowu na kolana. - Nie jestem stworzona do popełniania przestępstw.

- Zawsze byłaś bardziej moją córką niż córką ojca - rzuciła Gwen i poszła do galerii.

- Wcale nic - zaprzeczyła Matylda żałośnie, ale Gwen już nie było.

W tejże chwili do biura wszedł Davy i nogą zamknął za sobą drzwi. Wyglądał na wykończonego, a pod pachą trzymał zawinięty w szary papier kwadratowy przedmiot. Matylda zapomniała o bożym świecie i skoczyła na równe nogi, wskutek czego Steve zsunął się na kanapę.

- Nic ci się nie stało? - zapytała, przyciskając szklanekę i butelkę do piersi Davy'ego.

- Nic.

Pokazał jej obraz, a ona zobaczyła oddarty róg papieru, pod którym widniało niebo i fragment ceglaneanego budynku. Davy położył obraz na stole i wziął butelkę.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że tam zostałeś - powiedziała Matylda. - Nie mieści mi się w głowie, że...

Davy pociągnął łyk z butelki, a ona, po niewczasie, podała mu szklanekę.

- Jak było? - zapytała. - Czy on odzyskał przytomność? Nie złapali cię? Nic ci się nie stało?

- Zamknij się, Betty. - Davy, nalawszy trochę wódki, podał jej szklanekę. - Wciągnąłem go do pustego pokoju, odszukałem twój obraz i wyszedłem. Nie jestem stworzony do złodziejskiego rzemiosła. Nie róbmy więcej takich rzeczy.

- Ależ oczywiście, ja też nie chcę takich rzeczy robić - zgodziła się Matylda. - I popatrz, zdobyłeś ten obraz! Davy, świetna robota, naprawdę świetna robota.

- Obejrzałem go, zanim wziąłem - powiedział Davy. - Gwiazdy i domy - dodał krótko.

Matylda chwyciła szklanekę z wódką. Z wdzięczności aż zamknęła oczy. Nie chciała nawet patrzeć na ten obraz, nie chciała widzieć żadnego z obrazów Scarlet, nie chciała już nigdy oglądać ich na oczy. Chciała wrócić do swego dawnego, nudnego trybu życia wypełnionego malowaniem fresków.

- Och, dzięki Ci, Boże.

- Zaraz, chwileczkę - zaprotestował Davy. - A ja? Matylda otworzyła oczy.

- Tobie też dziękuję - powiedziała. - Przepraszam, że byłam taka wredna, przepraszam za te wszystkie okropne rzeczy, które ci powiedziałam, przepraszam...

- Rozumiem. Przepraszasz mnie za wszystko. - Mówił teraz głosem spokojnym, a na jego twarzy igrał smętny półuśmieszek. - Jesteś interesującą kobietą, Matyldo Weroniko.

- Och nie. Matylda Weronika to wredne, lubiące rządzić ludźmi babsko. To taka dominująca suka.

Matylda odwróciła wzrok, patrząc w stronę galerii.

- To też - przyznał Davy. - Gdzie jest Gwennie?

- W galerii... - zaczęła Matylda i przerwała.

Przerwała, bo przez okienko w drzwiach do biura zaglądała właśnie Clea Lewis, na której twarzy malowało się zdumienie.

- Gdzie? - zapytał Davy, a jego spojrzenie pobiegło za wzrokiem Matyldy. - O, do diabła - szepnął i uniósł butelkę w geście toastu. - Cześć, dziecinko - powitał nowo przybyłą, a Clea, patrząc na niego zmrużonymi oczami, gwałtownym ruchem głowy wskazała drzwi prowadzące z galerii na ulicę. - O tak, chcę z tobą porozmawiać - oznajmił Davy, stawiając butelkę na stole. - Zaraz wracam - zwrócił się do Matyldy i wyszedł.

Matylda usiadła na kanapie i wzięła na ręce Steve'a, który zaczął lizać ją po brodzie. Pomyślała, że ten osobnik, który tak desperacko ją kocha, który zawsze się cieszy na jej widok i który nigdy jej nie denerwuje, zasługuje na to, by go docenić.

- Cieszę się, że u nas zostajesz, Steve - powiedziała i przytuliła go mocniej. - Jesteś jedynym porządnym facetem, jakiego znam.

Clea stała na chodniku przed galerią, tupiąc niecierpliwie nogą.

- Co ty tu robisz? - warknęła na Davy'ego, gdy ten znalazł się obok niej. - Próbujesz zniszczyć mi życie?

- Twoje życie mnie nie interesuje - odparł Davy. - Chcę odzyskać moje pieniądze. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a ona przygotowała się już na jakieś obraźliwe słowa, tymczasem on powiedział: - Wyglądasz naprawdę bardzo dobrze, Cleo.

- Dziękuję - odrzekła nieco udobruchana i pomyślała, że on także, jak na zdradzieckiego sukinsyna, wygląda nie najgorzej. - Posłuchaj no, Davy, te pieniądze są moje - oznajmiła. - Ukradłeś mi je trzy lata temu. Wiesz doskonale, że tak było. One są moje.

- Nie wszystkie. - Davy założył ręce na piersi i oparł się o wystawę. - A poza tym ty byłaś moją dłużniczką. Rzuciłaś mnie przecież. Ja wziąłem więc twoje pieniądze. To wyrównało między nami rachunki, do czasu gdy...

- Rzuciłaś mnie - przyznała. - Ale to było ileś lat temu. Zapomnij o tym, Davy. I żyj dalej.

- Zdradziłaś mnie. - W tonie Davy'ego znać było narastające napięcie.

- Och nie, nie zdradziłam cię - zaprzeczyła Clea z rozdrażnieniem. - Posłuchaj, ja jestem kobietą piękną, czarującą, kosztowną i najinteligentniejszą w całych Stanach.

- To prawda - zgodził się Davy nieco zaskoczony jej słowami. - Ale...

- Ale nie jestem wierna, tak? - dokończyła za niego Clea. - Nie jestem. I nigdy nie byłam. Bo wierność nie ma sensu. Jeżeli w moim życiu pojawia się ktoś nowy, zdolny roztoczyć nade mną lepszą opiekę, to z nim odchodzę. To jest po prostu rozsądne.

- Być może - powiedział Davy - ale cholernie okrutne w stosunku do faceta, z którym byłaś związana.

- Związana? - zapytała Clea, zdumiona. - Z jakiego powodu uważałeś, że ty i ja tworzyliśmy związek?

- Mieszkaliśmy przecież razem. Myślałem...

- No i co z tego? - zachnęła się Clea i założyła ręce na piersi. Jacyż ci mężczyźni są upierdliwi - pomyślała. Chodzi im wyłącznie o siebie. - Ty patrzyłeś na mnie i widziałeś jedynie to, co chciałeś widzieć: wierną seksowną dziewczynę. Nie chciałeś mnie poznać, chciałeś mnie tylko mieć. No cóż, miałeś mnie przez pewien czas. Ale to się skończyło. - Davy patrzył na nią tak, jakby mówiła po chińsku, wyraziła się więc jaśniej: - Posłuchaj, Davy, ja nie jestem odpowiedzialna za to, że mnie nie znasz. To nie moja wina, że nigdy nie zastanawiałeś się...

- Och, daj spokój - przerwał jej Davy. - My przecież mieszkaliśmy razem.

Clea wzruszyła ramionami.

- Zaoszczędziłam dzięki temu mnóstwo pieniędzy, bo nie musiałam płacić czynszu. Ale to nie oznacza, że łączył nas bliski związek. Czy ja kiedykolwiek powiedziałam: „Davy, jesteś dla mnie tym jedynym”?

- Nie - przyznał Davy.

- Czy kiedykolwiek powiedziałam: „Nigdy cię nie opuszczę, będę z tobą zawsze, jesteś miłością mojego życia”?

- To, co mówisz, jest naprawdę przygnębiające. - Davy oparł się znów o okno wystawowe.

- A ty wściekasz się na mnie za to, że nie jestem taka, jakbyś chciał. Ale wiedz, że ja także jestem na ciebie wściekła. Bo chciałam, żebyś był bogaty, a ty byłeś bez pieniędzy. Wskutek czego musiałam się związać z tym drańskim Zane'em.

- Gdybyś była mi wierna, nie musiałabyś tego robić - zauważył Davy.

- Nie musiałabym, gdybyś ty miał pieniądze - poprawiła go Clea. - To twoja wina. Ale czy ja rzucam na ciebie oskarżenia? Nie. Ja po prostu żyję dalej. I ty powinienesz robić to samo.

- Bardzo bym chciał - odrzekł Davy. - Oddaj mi te moje cholerne pieniądze.

- Te pieniądze są moje - powtórzyła Clea. - Ty mi je ukradłeś. Zabrałeś mi mój rodzinny dom.

- Och, proszę cię, tylko nie to. Gdybyś tylko mogła, spaliłabyś ten swój dom rodzinny. Nienawidziłaś go przecież.

- Ale mogłam go spieniężyć! - warknęła Clea.

Tymczasem Davy mówił dalej, swoim zwyczajem nie zwracając uwagi na jej słowa.

- Ukradłem ci tylko jedną trzecią tej sumy, którą później Rabbit zdefraudował dla ciebie. Zatrzymaj więc tę początkową sumę, a resztę mi oddaj. Do diabła, Cleo, byłaś żoną dwóch bogatych facetów. Te pieniądze nie są ci potrzebne.

- Akurat, ty wiesz, co mi jest potrzebne, a co nie! Nie masz o tym zielonego pojęcia. - Clea cofnęła się i pomyślała gorzko: Nie byłam wcale żoną dwóch bogatych facetów, byłam żoną dwóch biednych facetów, a w każdym razie takich, którzy umarli w biedzie. I nie życzę sobie, żeby to ktoś komentował. - To są moje pieniądze - powtórzyła z uporem - a co więcej, te pieniądze są mi potrzebne. - W tej samej chwili przez okno galerii zobaczyła, że Mason bierze za rękę Gwen. - Ja chcę wyjść za mąż, a bogaci mężczyźni nie żenią się z biednymi kobietami.

Wzrok Davy'ego pobiegł za jej spojrzeniem.

- Myślisz, że wyjdiesz za tego faceta? O nie. Faceci tacy jak on żenią się z kobietami takimi jak Jackie, a nie takimi jak Marilyn. On cię tylko zwodzi.

- Widzę, że nie zbywa ci na dowcipie - powiedziała ironicznie Clea. - Otóż wiedz, że on zamierza się ze mną ożenić. Przywiózł mnie tutaj, do swojego domu w Ohio.

- Co czyni z niego kolejnego mężczyznę, który przetransportował cię przez granicę stanu w niemoralnym celu - oświadczył Davy.

- Ja sam także znajduję się w ich gronie.

- Ale nigdy więcej nie powtórzysz tego wyczynu - stwierdziła Clea. - A teraz wyjedź stąd.

- Ty naprawdę sądzisz, że ja wyjadę? - zapytał Davy.

- Nie masz wyboru. - Clea podniosła dumnie głowę. - Nie możesz nic w tej sprawie zrobić.

Davy uśmiechnął się do niej, a ją przeszedł zimny dreszcz, bo przypomniała sobie, że on jest zdolny do wielu działań, niekoniecznie zgodnych z prawem.

- Nie wydawaj moich pieniędzy - rozkazał. - Ja się po nie zgłoszę. To powiedziawszy, wszedł do domu.

- Tylko spróbuj - rzuciła Clea w pustkę wyludnionej ulicy.

Nie dość, że była bez grosza, że się starzała i że Mason ją ignorował, zajmując się kobietą o dziesięć lat od niej starszą, to zwałił jej się na kark Davy Dempsey. No cóż, będzie musiała stać się po prostu bardziej miła dla Ronalda, a wtedy on weźmie Davy'ego na cel. Tak, na Ronalda można liczyć, choć z drugiej strony to za jego sprawą Davy dowiedział się o jej miejscu pobytu. Winę za całą tę sytuację ponosi jednak przede wszystkim Davy, który nie potrafił zaopiekować się nią jak należy. Mason też tego nie potrafi i na dodatek nie kwapi się jakoś do ślubu. Clea spojrzała przez okno wystawowe i zobaczyła, że Mason, pochylając się w stronę Gwen, rozmawia z nią z wielką powagą.

Ach, ci mężczyźni! - pomyślała i weszła do środka z niezłomnym zamiarem odzyskania własnej przyszłości.

Gdy Davy ponownie pojawił się w biurze, Matylda siedziała na kanapie ze Steve'em na kolanach i trzecią szklanką wódki w dłoni, przy czym teraz wódka, dla lepszego smaku, zmieszana była z sokiem pomarańczowym.

- Wiesz, Davy, ty nie powiedziałeś mi, czego szukasz w pokoju Clei. - Matylda starała się nie okazać rozdrażnienia.

- Pieniądzy - odrzekł Davy krótko i wziął butelkę. - Moich pieniędzy. Clea uwiodła mojego doradcę finansowego, skłaniając go do sprzeniewierzenia całej mojej forsy.

- Miałeś tyle pieniędzy, że mogłeś sobie pozwolić na doradcę finansowego? - zapytała z podziwem Matylda.

- To był mój kolega. - Davy rozejrzał się za szklanką. Matylda wstała i sięgnęła po nią do kredensu, tymczasem pozostawiony przez nią na kanapie Steve zaczął dygotać ze strachu.

- Czym ty się właściwie zajmujesz? Razem z tym swoim kolegą?

- Udzielaniem konsultacji. - Davy wziął od niej szklankę. - Ten kolega obiecał, że mi pokaże, jak mam podwoić swoje pieniądze, a potem je nawet potroił - mówił dalej Davy, nalewając sobie wódki.

- On się nazywa Ronald Abbott. Tym, co go niezbyt lubią, znany jest także jako Rabbit. A to ze względu na umiejętność rycia pod ludźmi, tak jak ryje królik kopiący norę, i dobierania się do zawartości cudzych kont bankowych. Byłem mu wdzięczny za potrojenie moich pieniędzy i zrobiłem się nieostrożny.

Matylda wciąż miała wątpliwości, czy to wszystko prawda.

- A jak on zdołał dostać się do twojego konta?

- Rabbit to finansowy geniusz. Konta bankowe są dla niego czymś w rodzaju pudełek z zabawkami. Lubi je otwierać i bawić się ich zawartością. Ja nie mogę nawet udawać, że potrafię tyle co on. Mogę cię tylko zapewnić, że dzięki jego radom robiłem pieniądze.

- Rozumiem teraz, dokąd mogło cię zaprowadzić pokładane w nim zaufanie - skomentowała Matylda, sadwiąc się znowu na kanapie i uspokajając Steve'a. - Tak, zdaje mi się, że to rozumiem. No, ale większość doradców finansowych to nie oszuści, prawda?

- Szczerze mówiąc, Rabbit jest notowany - oznajmił Davy. - Facetom, którzy tak jak on robią duże pieniądze, zwykle zdarza się gdzieś pójść na skróty.

- Więc on jest notowany - powtórzyła Matylda, nie wierząc własnym uszom. - Zaufałeś człowiekowi, o którym wiedziałeś, że jest nieuczciwy?

- Każdy jest jakoś nieuczciwy - odrzekł Davy. - Cały dowcip polega na tym, że trzeba się przekonać, w jakim sensie. A potem należy się tylko upewnić, że konsekwencje jego nieuczciwości są tak ogromne, że człowiek ten i tak pozostaje czysty.

- O! - Matylda próbowała sprawiać wrażenie osoby nieskazitelnej. - Ale w wypadku Rabbita ta zasada najwyraźniej się nie sprawdziła, tak?

- Ależ sprawdziła się. I sprawdzała się, dopóki nie pojawił się ktoś, kto miał marchewkę większą od mojego kija.

- Aż tak wielka była ta marchewka? - zdumiała się Matylda.

- Popatrz, popatrz. Czy ja znam tę osobę? Czy mogę ją poznać?

- To Clea. - Davy ruchem głowy wskazał galerię, gdzie Clea obdarzała właśnie Masona promiennym uśmiechem.

- O! - powiedziała jeszcze raz Matylda, podążając wzrokiem za spojrzeniem Davy'ego. - No cóż. Tak. Ona rzeczywiście ma dużą marchewkę.

Davy zmarszczył brwi.

- No wiesz, materiał, który zgromadziłem w tej sprawie...

- Skoro zgromadziłeś jakiś materiał, to dlaczego nie zadzwonisz na policję? - zapytała Matylda.

- Zadzwonić na policję? Świetny pomysł! Zrobię to pod warunkiem, że najpierw ty zadzwonisz na policję w sprawie obrazu Scarlet.

Matylda już miała powiedzieć: Aha, a zatem coś w tym wszystkim nie gra. Taka uwaga oznaczałaby jednak, że z obrazami Scarlet także jest coś nie tak. Dlatego darowała ją sobie.

- Skoro nie chcesz iść na policję, to zmusz Rabbita, żeby odebrał twoje pieniądze Clei. Przecież to on je sprzeniewierzył...

- Oczywiście - przytaknął ironicznie Davy. - Będę spiskował z Rabbitem, bo on jest taki lojalny, że nigdy mnie nie zdradzi. O nie. Co to, to nie.

- Masz więc problem - stwierdziła Matylda.

- Mam wiele problemów. Ale najpierw chcę załatwić sprawę pieniędzy.

Matylda kiwnęła głową i napiła się wódki.

- To słuszna decyzja. Pieniądze prawdopodobnie rozwiążą wszystkie pozostałe problemy. W moim przypadku z pewnością by tak było.

- A w moim nie - zaprzeczył Davy.

Matylda ponownie rzuciła okiem przez oszklone drzwi galerii, gdzie Clea ciągnęła właśnie niezadowolonego Masona do wyjścia.

- Dlaczego właśnie na ciebie?

- Słucham? - zapytał Davy, wstawiając butelkę do szafki.

- Dlaczego Clea nasłała Rabbita właśnie na ciebie?

- Dlatego że ja miałem pieniądze.

- Mnóstwo ludzi ma pieniądze - rzekła Matylda tonem sceptycznym.

- No i w przeszłości łączyło mnie coś z Cleą. - Davy obserwował minidramat za drzwiami. - A także z Rabbitem.

- O, to z Rabbitem też spałeś? - pytanie Matyldy było jawnie złośliwe.

- Nie spałem z nim, tylko pewnego razu się z nim nie zgodziłem - odrzekł Davy. - Graliśmy na giełdzie, a ja obserwując notowania, stwierdziłem: „To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe”. I przypomniał mi się wtedy mój tata.

- Tata? Ten, co się zajmował handlem?

- Mój tata, Michael Dempsey. - Davy odwrócił się ku niej i zasalutował w powietrzu szklanką. - Niech go Bóg błogosławi, gdziekolwiek się teraz znajduje. Byleby nie był ze mną. - Davy zastanowił się przez chwilę. - Ani z moimi siostrami. On ma wiele wad, ale głupota nie jest jedną z nich. Zawsze powtarza: „Jeżeli coś wygląda na zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, wycofuj się”.

- Coś mi się wydaje, że twój tata jest bardzo podobny do ciebie.

- O nie - zaprzeczył stanowczo Davy. - On wcale mnie nie przypomina. Ani ja jego.

- Okej! - Matylda napiła się. Davy kiwnął głową.

- Powiedziałem więc do Rabbita: „Słuchaj, Rabbit, wypłaczone mi z tego”. A on wdał się ze mną w dyskusję. W końcu jednak zakupił dla mnie bezpieczne akcje i obligacje. A potem przez sześć miesięcy szydził ze mnie, bo na rynku panowała hossza, dzięki czemu zarabiał miliony.

- Ooo - brzmiał komentarz Matyldy.

- Tak. A potem był krach i Rabbit stracił wszystko, a ja wciąż miałem w garści to, co zainwestowałem. - Davy westchnął. - Tak naprawdę to on nigdy mi tego nie wybaczył.

- Więc sprzeniewierzył te pieniądze...

- I dał je Clei, co jest powodem, dla którego ja uciekłem się do kradzieży, ten jeden jedyny raz w moim nieskazitelnym życiu - zakończył opowieść Davy.

A więc ten facet nie jest oszustem - pomyślała Matylda i doszła do wniosku, że to przygnębiające.

- Czy dzisiaj odzyskałeś swoje pieniądze?

- Nie. Znalazłem tylko twój obraz i uciekłem.

- A teraz Clea spotkała cię u nas. I wie już, że tutaj jesteś i że pojawiłeś się po to, żeby odzyskać pieniądze.

- Tak.

Matylda usiadła wygodniej na kanapie, czując nagle, że jest wykończona.

- A więc całkowicie spieprzyliśmy twoje życie - powiedziała.

- Nie, Vilmo - odrzekł Davy, nie sprawiając wrażenia, że się martwi. - Ja je spieprzyłem sam. Zanim cię poznałem.

Matylda poczuła, że znów żywi do niego te ciepłe uczucia, których doznawała w garderobie. Chociaż zresztą może to było działanie wódki? Albo może spowodowała to ulga po odzyskaniu obrazu? Cokolwiek to było, stanowiło znaczny postęp w stosunku do paniki i poczucia winy, więc Matylda - chcąc to uczcić - napiła się znowu.

- Myślałam, że oni już nigdy sobie nie pójda - powiedziała Gwen, wchodząc do biura od strony galerii. - Gdyby Clea nie dostała napadu szału, wciąż by tu jeszcze tkwili. Mason był wprost zafascynowany... - Tu przerwała, widząc Davy'ego. - O świetnie, że już pan wrócił. Matylda tak się martwiła.

- Naprawdę, martwiłaś się? - Davy spojrzał na Matyldę.

- Wcale się nie martwiłam - zaprzeczyła, podnosząc szklankę. - Nie czułabym się wcale winna, gdybyś ty, ratując mnie z tarapatów, sam w nie wpadł - dodała żartobliwie i westchnęła: - O Boże, nie daj mi nigdy więcej przeżywać czegoś takiego.

- Czy... - zaczęła Gwen, a Matylda gestem dłoni wskazała zawinięty w papier kwadrat leżący na stole.

- Davy przyniósł to, na czym zależało nam. Nie przyniósł jednak tego, na czym zależało jemu samemu.

- Noc jest jeszcze młoda. - Davy nie odrywał od niej oczu.

- Nie, nie. Pan tam już więcej nie pójdzie - zaprotestowała Gwen.

- My panu pomożemy zdobyć to, na czym panu zależy. Cokolwiek by to było. Ale nie wróci pan tam już dziś w nocy, bo oni za chwilę będą w domu.

Davy poklepał ją po ramieniu.

- Proszę się tak o mnie nie zamartwiać. Ze mną jest wszystko w porządku.

- To świetnie. - Gwen wzięła swoją broszurę z krzyżówkami.

- Miałam okropny wieczór. Mason oszalał na punkcie tego domu i chce tu przyjść ponownie. Boże drogi, nie sądzę, bym mogła jeszcze raz wytrzymać coś takiego. Kładę się teraz do łóżka z krzyżówką i mam zamiar zapomnieć o tym wszystkim.

- To dobry plan - pochwaliła ją Matylda, patrząc czujnie na Davy'ego, który jak na człowieka bez grosza był w doskonałym humorze.

Odrobina wódki sprawiła, że odzyskał rezon. A to nie wróżyło dobrze.

Gdy za Gwen zamknęły się drzwi, Davy usiadł na kanapie obok Matyldy i wziął jej szklanekę.

- Ile już wypijaś?

- Nie pamiętam - odrzekła. - Chyba dwie. A dlaczego pytasz?

- Jesteś pijana?

- Nie - zaprzeczyła. - Ja wiem, na ile mogę sobie...

- To dobrze.

Davy postawił szklanekę na stole.

- ... sobie pozwolić...

- Brawo!

Davy objął Matyldę ramieniem.

- ... i... - Głos Matyldy zamarł, gdy Davy przysunął się bliżej.

- Dobra - mówiła dalej - jeżeli chodzi ci o to, co było w garderobie...

Nie dokończyła, bo Davy ją pocałował.

Rozdział siódmy

Pocałunek Davy'ego miał smak wódki i katastrofy, a Matylda, odwzajemniając go, pomyślała: Nigdy więcej nie wejdę z tym facetem do garderoby. Davy wsunął dłoń pod jej trykotową koszulkę.

- Wiesz... - zaczęła Matylda, zdając sobie sprawę, że powinna powiedzieć: Ja nie jestem dziewczyną tego pokroju, i wiedząc równocześnie, że nią przecież jest.

Poczuła, że jego kciuk wsuwa się już pod jej stanik. Luiza byłaby tym facetem zachwycona! Przyszło jej do głowy, że gdyby zaczęła udawać Luizę, doświadczyłyby wreszcie dzikiego, zmysłowego, szalonego seksu. Mów mi Scarlet, przemknęło jej przez myśl.

Davy pochylił się, a jego gorące usta dotknęły jej szyi.

Nie, nie tak. Mów mi Luizo.

Dłonie Davy'ego zawędrowały już na jej plecy. Przyciągał ją do siebie, podciągając jej równocześnie koszulkę. Znajdowała się w jego objęciach i było jej rozkosznie ciepło.

Nie, nie, pomyślała. Nie będę udawała, że jestem Luizą, bo przecież nie mogę się zapomnieć, nie mogę dopuścić do tego, że szczytując, zawołam mimo woli: „To ja namalowałam obrazy Scarlet!”.

Davy ugryzł ją delikatnie w szyję, a ona, drżąc na całym ciele, wciągnęła gwałtownie powietrze.

Bo gdybym tak zawołała - myślała dalej - Davy z pewnością usłyszałby moje słowa i zapamiętał je sobie bardzo dobrze.

Davy napierał na nią tak, że wcisnęła się plecami w poręcz kanapy.

Z drugiej strony, myślała dalej, Luiza nigdy w takich sytuacjach nie krzyczy: „Jestem Ewa”. Może więc wszystko doskonale by się udało.

Steve zeskoczył z kanapy na dywan i przyglądał im się z wyraźną pogardą.

Tak, tak, Steve, ja też jestem tym zbulwersowana - pomyślała Matylda, a Davy znowu ją pocałował. Matylda przytuliła się do niego mocniej, nie było w tym jednak tej dzikości, o której sobie roiła. No cóż, najwyraźniej brakowało jej garderoby... Gdyby robili to w garderobie, to...

Davy, przycisnął ją znowu do poręczy kanapy. Matylda przesunęła się trochę, a on pocałował ją w brzuch, próbując wpasować jej pośladki między poduszki. Wtedy ją opuściło rozkoszne ciepło. Nic z tego nie będzie!

Chyba że on zechce całować się i pieścić przez całą noc. Może wtedy...

Poczuła między udami jego dłoń. Wcale nie miał zamiaru postępować tak, jak sobie życzyła!

No ale przynajmniej nie zabłąkał się jeszcze pod stanik. Może powiem mu „tak” po prostu po to, żeby mnie przytulał. I może przekonam go, żebyśmy to robili całkowicie ubrani...

Davy odpiął jej stanik, a następnie zaczął ją lizać, posuwając się w górę, ku piersiom.

Nie - pomyślała Matylda - to nie działa, i obciągnęła trykotową koszulkę, zahaczając dłonią o czubek jego głowy.

- Co jest? - zapytał.

- Myślałam... - zaczęła.

- Przestań myśleć - rozkazał i pocałował ją znowu, a ona uświadomiła sobie, jak to się stało, że w ogóle wyładowała na wznak na tej kanapie. Powód był oczywisty - usta Davy'ego, jego rewelacyjne usta.

Och dalej, Luizo, idź na całość - powiedziała sobie. - Z pewnością dobrze ci to zrobi.

Davy przesunął dłoń pod jej stanikiem, a ona zastanowiła się, czy nie warto by jęknąć. Jęknięcie byłoby lepsze od sapania. To ostatnie mogło bowiem skończyć się atakiem astmy. A atak astmy to byłby koniec. Z atakiem astmy wyszłaby na idiotkę w toplesie. Poprawiła na nosie okulary. Jęcząc z całą determinacją.

Wtedy usta Davy'ego - delikatne i gorące - przyłgnęły do jej piersi, a ona - znacznie głośniejsze niż zamierzała i najzupełniej szczerze - wykrzyknęła:

- Och!

Davy uniósł głowę. Ich oczy się spotkały.

- Przepraszam... - Matylda poczuła, że oblewa się rumieńcem.

Davy uśmiechnął się do niej uśmiechem mężczyzny, który za chwilę będzie kochał się z kobietą.

- Nic nie szkodzi - powiedział.

Uniósł się nieco, pochylił nad nią, wyciągnął rękę i zaczął na oślep naciskać guziki grającej szafy. Muzyka rozległa się w chwili, gdy ponownie do niej przywarł.

- À propos, co to jest?

- Nie rozumiem - powiedziała Matylda, wpadając w panikę na myśl, że on właśnie odkrył, że z nią coś jest nie tak. - O co ci chodzi?

- O tę piosenkę - odrzekł, słuchając kołyszącej jak morskie fale melodii.

- To *Wonderful Summer* - powiedziała Matylda w chwili, gdy Robin Ward zaczęła śpiewać. - Jedna z moich ulubionych.

- Nigdy jej nie słyszałem - stwierdził Davy, co ją nieco zirytowało.

A potem ich usta znowu się złączyły. Matylda objęła Davy'ego za szyję, starając się z całych sił wywołać w sobie tamten żar, który czuła w garderobie. Jednak wbrew własnym wysiłkom i pomimo upływających minut nie poczuła nic prócz umiarkowanego ciepła. Tymczasem dłoń Davy'ego zawędrowała w okolicę zamka błyskawicznego jej dżinsów. Oho, to jest niebezpieczne, pomyślała Matylda, bo mam zbyt wiele do stracenia. Stanowczo zbyt wiele, by wpuszczać do środka kogoś takiego jak Davy Dempsey.

Robin skończyła śpiewać i w pokoju zaległa cisza. A wśród tej ciszy rozległ się potężny zgrzyt rozpinanego suwaka.

Po czym Davy sięgnął ponad głowę Matyldy i nacisnął na oślep z pół tuzina kolejnych guzików. Gdy zespół The Essexes zaczął śpiewać *Easier Said Than Done*, Matylda powiedziała:

- Wiesz...

- Później - przerwał jej Davy i wsunął dłoń pod jej dżinsy.

- Hola. Chwileczkę.

Matylda zamknęła oczy i postanowiła, że za chwilę go odepchnie. Zaraz jednak zmieniła decyzję i pomyślała, że jeżeli on będzie działał tak, jak działał w tej chwili, to może ostatecznie pozbyć się części garderoby.

Davy podciągnął w górę jej trykotową koszulkę, ona jednak szarpnęła ją, nie pozwalając zdjąć jej sobie przez głowę. Biodra Davy'ego przywarły do jej bioder, a ona zamknawszy oczy i powtarzając sobie „Luiza Luiza Luiza”, starała się czerpać z tego przyjemność. Poczwała, że Davy ściąga z niej dżinsy i wślizguje się między jej nogi. Oj, lepiej nie. - Ogarnął ją popłoch. - Kontrola urodzin! - zabrzmiał w jej głowie dzwonek alarmowy.

- Zaczekaj - poprosiła Davy'ego, otwierając oczy. - Ja nie mam... Ale on pokazał jej kondom i przywarł do jej ust.

Nie mogę teraz zaprotestować - pomyślała. - Jeżeli to zrobię, będziemy musieli o tym porozmawiać. A to będzie straszne.

Spróbowała więc wprowadzić się w odpowiedni nastrój. Myślała, o jego ramionach i o tym, że tak wspaniale całuje, a także o tym, że rozkosznie jest leżeć tak w jego uścisku. Wszystko to sprawiło ją w tak żarliwy trans, że gdy poczuła go w sobie, nie doznała wcale bólu.

Jęknęła jednak dla efektu - bardziej zdziwiona niż zaszokowana faktem, że stało się to, co się stało. Oto, co się dzieje - powiedziała sobie - gdy człowiek się nie pilnuje i daje się wziąć z zaskoczenia.

Luiza na pewno poczułaby coś więcej. I pewnie by przy tym sapała. Ale Luiza nie ma przecież astmy.

Pragnąc dorównać Luizie, zaczęła poruszać się rytmicznie wraz z Davym. Przychodziło jej to jednak z trudem, bo wciąż zsuwała się z kanapy. Próbując chwycić się oparcia, złapała Davy'ego za nos.

Błagam cię, Davy, niech ci się tylko nie puści krew z nosa! On jednak, nie zwracając na nic uwagi, robił dalej swoje.

Co za determinacja - pomyślała Matylda. - Dobra, nie ma żadnej Luizy. Odpręż się i kończ i nigdy więcej nie spotykaj się z tym facetem. Straciła nadzieję na to, że się kiedykolwiek zgają. Przestała podejmować próby dostosowania się do jego rytmu. I w tej samej chwili wszystko zaczęło iść lepiej. Davy zwiększył tempo, a ona zaczęła sobie wyobrażać własne kurczące się mięśnie. Serce biło jej coraz mocniej i coraz lepiej radziła sobie z jękami. W pewnym momencie Davy natrafił na jakiś czuły punkt w jej wnętrzu, a ją ogarnął entuzjazm: Chwileczkę, to może być... ale w tej samej chwili on zadrzał w jej ramionach i było już po wszystkim. Do diabła - powiedziała sobie w duchu Matylda i wydała całą serię jęków i westchnień mających oznaczać „O mój Boże, jak było dobrze”.

I na tym zakończyła seans wcielania się w swoją Luizę.

Tymczasem Pippy Shannon śpiewała *I Pretend*. Nasza piosenka - pomyślała Matylda.

Steve spał na dywanie obok kanapy, nieświadomy ich istnienia. Ma rację, pomyślała Matylda, ja też, zamiast całej tej gimnastyki, powinnam się była zdrzemnąć.

W tej chwili Davy uniósł się, podparł jedną ręką i spojrzał jej w oczy.

- Więc co to było? - zapytał, wciąż ciężko dysząc i sprawiając wrażenie wściekłego. - Podróbka czy falsyfikat?

- Ale...

Matylda próbowała usiąść, a on pokręcił tylko głową.

- Żadna z ciebie aktorka - stwierdził i znowu opadł na nią.

- Gra wstępna była w porządku - oświadczyła rzeczowym tonem.

- Ale zakończenie do bani.

- Przykro mi - odrzekł, choć było oczywiste, że wcale mu przykro nie jest, i odsunął się od niej, a ona, patrząc w sufit, podciągnęła dżinsy. Davy pozbył się kondomu i włożył ubranie.

- Nie wiem, jak mam ci dziękować - odezwała się Matylda, gdy i ona już się ubrała, i spojrzała na Davy'ego szeroko otwartymi oczami. - Było wspaniale.

Davy pokręcił na to głową i odwrócił się.

- Dobranoc, Matyldo, zobaczymy się rano. Ojej - pomyślała, a on powiedział:

- Słuchaj, nie oszukuj, bo to okropne dla nas obojga.

- Ty przynajmniej wydawałeś takie odgłosy, jakby ci było wspaniale - powiedziała Matylda tonem urazy.

Davy pokręcił znowu głową i ruszył ku drzwiom.

Kiedy wyszedł, Steve wskoczył na kanapę, a Matylda poklepała go, usiłując zwalić całą winę na Davy'ego. Wrodzone poczucie sprawiedliwości jednak jej na to nie pozwoliło. Okej, nie było dobrze - przyznała w duchu. - I to z mojej winy. Chciałam być Luizą, ale mi to nie wyszło. Byłam podróbką i to daleką od doskonałości.

I spięta, do cholery. Co do tego nie miała wątpliwości. A Davy, jeżeli jest wytrawnym kochankiem, poznał, że coś jest nie tak.

Doszedłszy do takiego wniosku, postanowiła o nim zapomnieć i zrelaksować się przy muzyce. Wcisnęła guzik szafy grającej i położyła się na kanapie, a Steve wszedł jej na brzuch i rozwalił się tam z nosem pod jej brodą.

- Nie ty jeden robisz to dziś wieczorem - powiedziała do niego, a gdy spojrzał na nią z uwielbieniem, złitowała się i poklepała go lekko. - Dobry z ciebie facet, Steve. Niezaspokojony emocjonalnie, ale dobry.

Davy pod tym względem różnił się od niego całkowicie. Musiała mu to przyznać. Był absolutnie samowystarczalny. Davy nigdy nie kazałby jej wybierać między sobą a jej własną rodziną. Nigdy by się też nie oświadczył, to było oczywiste. Na tym właśnie polegał problem z niezależnością, która rzadko szła w parze z zaangażowaniem uczuciowym i oddaniem. Zresztą ona tych rzeczy i tak nie potrzebowała, bo miała wokół siebie wystarczającą liczbę osób, którymi musiała się opiekować.

Może właśnie dlatego nie tęsknię za Scottem - pomyślała, a potem postarała się zapomnieć i o Scotcie, i o Davym, i o kiepskim seksie - wcale nie dlatego, że wszystko to ją gryzło. Wyrzuciła to po prostu z pamięci i dała się ogarnąć muzyce. Słuchała jej do chwili, gdy Andrew i Luiza weszli tylnymi drzwiami i znaleźli się na schodach. Jeżeli oni są już w domu, to znaczy, że minęła północ - zauważyła Matylda.

Podniosła się z kanapy w momencie, gdy szafa zaczęła grać *The Kind of Boy You Can't Forget* i wzięła ze stołu obraz.

- No cóż, popatrzmy - powiedziała. - To przecież od ciebie zaczął się cały ten kram.

Zdarła papier i... osłupiała, wpatrując się w kielichy żółtych kwiatów pyszniące się pod niebem w szachownicę. Tymczasem Raindrops szczebiotały *I ain't got over it yet*.

Kwiaty. Nie domy, tylko kwiaty. Cholera jasna, on znowu ukradł nie ten obraz, co trzeba! Matylda omal nie pękła ze złości. Ruszyła zdecydowanie w stronę schodów.

Stawiała stopy na kolejnych stopniach, tak jakby każdy z nich był głową Davy'ego. W ten sposób, ciężkim krokiem, przebyła trzy piętra, a Steve dreptał wytrwale za nią.

- Otwieraj! - rozkazała, waląc w drzwi i nie przejmując się tym, że wszyscy ją mogą usłyszeć.

Davy otworzył po dłuższej chwili. Był ubrany jedynie w czarne bokserki, zaspany i zirytowany.

- Posłuchaj Matyldo, jeżeli chodzi ci o to, co zaszło na kanapie, to nie chcę nawet słyszeć...

Matylda pokazała mu obraz.

- Mówiłam przecież: miasto! - warknęła, mając ochotę rozerwać go na strzępy. - A to są kwiaty!

Davy wziął obraz w ręce, po czym oddał go jej, pokazując palcem domy stojące w oddali.

- To są domy. Widzisz? Te małe czerwone obiekty. Więc to jest miasto.

- Zgadza się: one są małe - odwarknęła Matylda. - I znajdują się w tle. A każdy przecież wie, że kiedy się mówi miasto, ma się na myśli duże miasto. Ma się na myśli, że tematem obrazu jest miasto.

- To prawda - powiedziała Dorcas, która, stojąc w drzwiach, przyglądała się płótnu. - A to jest obraz przedstawiający kwiaty. Kwiaty są jego tematem.

- Dziękuję ci, Dorcas - zwróciła się do niej Matylda - ale idź sobie.

- To takie do ciebie podobne - stwierdził Davy, nie zwracając uwagi na Dorcas. - Napadasz na mnie, a przecież w tym wszystkim chodzi o coś, na czym ty się doskonale znasz, a o czym ja nie mam pojęcia. No cóż, nie wiem, kim jest Gene Pitney, więc to moja wina.

- *Town Without Pity* - dobiegł z dołu głos Gwen. - Co tam się dzieje?

Davy odwrócił się raptownie w jej kierunku.

- Co pani tutaj robi? - zapytał, spoglądając w dół.

- Ja tutaj mieszkam - odrzekła Gwen. - Dlaczego wykrzykuje pan nazwisko Gene'a Pitneya?

- *True Love Never Runs Smooth* - odezwała się z za jej pleców jaskrawo wymalowana Luiza, machając czarną peruką chińskiej lalki i spoglądając w stronę obrazu.

- *Only Love Can Break a Heart* - powiedział Andrew z za pleców Luizy.

- *One Fine Day* - dodała Dorcas z za pleców Matyldy.

- To piosenka The Chiffons - poprawiła ją Matylda, mając ich wszystkich serdecznie dosyć. - Czy zechcieliście wrócić do łóżek?

- To nie ja wrzeszczałam w holu - rzekła Dorcas i zamknęła drzwi swojego pokoju.

- Ma rację - przytaknęła Gwen. - Co się tutaj dzieje?

- Czy Gene Pitney jest obiektem krytyki Davy'ego? - zapytała Nadine stojąca na samym dole. - Bo mnie się zdaje, że skoro tak, to Davy ma rację.

- Gene Pitney nie jest tu przedmiotem sporu - odparł Davy, mierząc Matyldę lodowatym spojrzeniem. - Chodzi tu o osobę, która nie udziela innym informacji potrzebnej do wykonania zadania.

- Jakiego zadania? - Luiza patrzyła oczyma ciemnymi dzięki szklom kontaktowym. - Czy to ten obraz? - Matylda odwróciła obraz tak, że Luiza mogła go zobaczyć. - Och. Nie. To nie ten.

- Znowu wziął pan nie ten obraz, który trzeba? - Gwen była wyraźnie rozczarowana.

- Cześć - powiedział zaciekawiony Davy, przyglądając się Luizie stojącej w przyćmionym świetle lampy zwisającej z sufitu.

Przeszła mu nagle cała irytacja, przestał też być taki zaspany. Matylda miała ochotę kopnąć go w kostkę.

- Cześć.

Luiza wręczyła obraz Gwen, zmierzyła Davy'ego od stóp do głów spojrzeniem ciemnych oczu, po czym - stąpając na czterocalowych obcasach - wycofała się na dół po ciemnych schodach. Najprawdopodobniej próbowała uciec, zanim Davy zorientuje się, że jest Ewą.

Davy odprowadził ją wzrokiem, a tymczasem Matylda wzięła obraz z rąk Gwen.

- Jeżeli skończyliście już na mnie wrzeszczeć - wyszczał Davy, gdy po Luizie nie było już śladu - to chciałbym pójść do łóżka. Sam.

- Nie ma problemu - odwarknęła mu na to Matylda, a wtedy on zatrzasnął jej przed nosem drzwi.

- Więc wieczór się udał, nieprawdaż? - zagadnęła Gwen.

- Nic - odrzekła Matylda. - Wieczór był do dupy. Ale nie martw się, już ja znajdę sposób na to, żeby odzyskać właściwy obraz.

Zeszła po schodach wraz z podążającym za nią krok w krok Steve'em, zatrzasnęła za sobą drzwi biura, cisnęła obraz na stół i opadła ciężko na kanapę, zdecydowana nie płakać. To był okropny, naprawdę straszny wieczór. Poczula, że twarz jej się wykrzywia w żalonym grymasie. To był... Weszła Luiza - długonoga na wysmukłych obcasach.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

- Świetnie. - Matylda omal nie wybuchnęła płaczem.

- Chryste Panie. - Luiza usiadła obok i objęła ją ramieniem, a jej długie czerwone paznokcie spoczęły niby płatki kwiatów na trykotowej koszulce Matyldy. - Jest aż tak źle? Co on takiego zrobił?

- Nie chodzi o niego, chodzi o mnie. - Matylda usiłowała wypogodzić twarz, ale wykrzywiła się jeszcze bardziej. - Boże, jestem beznadziejna.

- Lepiej weź się w garść - powiedziała Luiza. - Bo przecież to ty trzymasz nas wszystkich w kupie. Co się stało?

Matylda odetchnęła głęboko.

- Kiepski seks.

- Naprawdę? - Luiza, zafrasowana, rozsiadła się wygodniej. - Myślałam, że on jest w tym świetny. Ma w oczach to coś. No i bardzo ładne ciało.

- Z tobą pewnie byłby świetny. - Matylda była zgnębiona. - To ja po prostu nie byłam w nastroju.

- Więc dlaczego nie zaprotestowałaś?

- Bo z początku miałam ochotę. Naprawdę. Problem w tym, że Davy jest bystry, on wszystko zauważa, więc człowiek musi się pilnować. A poza tym zadziałał czynnik skrępowania. To znaczy, ja go prawie nie znam. - Matylda odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Luizę. - To brzmi głupio, prawda?

- Nie - zaprzeczyła Luiza. - Właśnie to jest powodem, dla którego Ewa nigdy nie uprawia seksu. Zawsze sądzi, że tak naprawdę nie zna faceta, a poza tym przypomina sobie, że istnieje Nadine, i co ona sobie pomyśli. No i oczywiście wie, że Andrew będzie tego faceta nienawidził, i dochodzi do wniosku, że właściwie nie warto.

- Ewa uprawia seks - powiedziała stanowczo Matylda. - Wtedy kiedy jest tobą.

- To ja uprawiam seks. I to wtedy, kiedy mam na to ochotę - poprawiła ja Luiza. - Ewa nie robi tego nigdy. Zresztą upłynęło już tyle czasu, że ona by nawet tego nie potrafiła. - Luiza uniosła raptownie głowę, patrząc uważnie na Matyldę. - Wiesz, ty naprawdę powinnaś pomyśleć o sprawieniu sobie Luizy.

- Próbowałam - odrzekła Matylda, zirytowana. - I właśnie dlatego wpadłam w cały ten bałagan. Próbowałam, ale nie potrafiłam sprawić, żeby to zadziałało. Myślałam: Co będzie, jeżeli szczytując, zawołam: „Ja produkuję falsyfikaty!”. Przecież wykończyłabym w ten sposób nas wszystkich.

- Ty musisz przestać myśleć. - Luiza wyciągnęła się na kanapie, położyła ozdobione cekinami i przyrodziane w wysokie obcasy stopy na kolanach Matyldy i z przyjemnością przyjrzała się czerwonym paseczkom okalającym kostki. - Więc najpierw było dobrze, co? A w którym momencie on wszystko schrzanił?

- No cóż, mieliśmy przerwę - powiedziała Matylda z goryczą.

- Pocałowałam go w garderobie, a wtedy on powiedział „Chwileczkę” i wysłał mnie do domu, a sam ukradł obraz. No a potem wrócił tutaj, napił się, porozmawiał z Cleą Lewis i...

- Ten facet to kretyn. Dlaczego nie wziął cię w garderobie, kiedy byłaś napalona?

- Dlatego że wtedy wylądowałby w więzieniu. - Matylda przypomniła sobie z ogromnym poczuciem winy faceta, którego znokautowała. - Ja to dobrze rozumiem.

- Dobra. Zanim on wrócił do domu, ty zdążyłaś ochłonać. Więc dlaczego nie powiedziałaś mu: „Nie dzisiaj, Dempsey”?

- Bo było mi tak dobrze w jego ramionach... - Matylda rozczuliła się nad sobą na to wspomnienie. - I dlatego że chciałam być Luizą. Davy najpierw, zamiast flirtować ze mną, wyszedł na ulicę z Cleą Lewis, ale potem wrócił i wyglądał wprost zabójczo. No wiesz, on...

- Wiem - Luiza mówiła to z wielkim entuzjazmem.

- Pocałował mnie, a ja pomyślałam: „Och, do diabła”. Taki był początek. Ale koniec okazał się do bani. No, a teraz jestem wściekła.

Luiza wzruszyła ramionami.

- Więc zejdź na ziemię i po prostu zajmij się tym. Gdzie twój wibrator?

- To nie o to chodzi - powiedziała Matylda. - Ja jestem na niego wściekła z powodu obrazu, a nie z powodu nieudanego seksu.

- Nie sądzę. Poczujesz się znacznie lepiej, jeżeli sama się zaspokoisz. Albo idź, walnij w jego drzwi i zmuś go, żeby skończył to, co zaczął.

- Ależ on to skończył. Dotarliśmy do samego końca. I możesz go sobie teraz wziąć - dodała. - Jest twój.

- Wykluczone. - Luiza zdjęła nogi z kolan Matyldy i wstała z kanapy. - On jest twój. Ja nie uprawiam kłusownictwa.

W tej chwili rozległo się walenie w drzwi od ulicy. Obie odwróciły głowy, chcąc spojrzeć przez okienko w drzwiach biura.

- Nie otwieraj - wyszeptała Matylda. - Jest późno.

Luiza szła już jednak ku drzwiom. Matylda ruszyła więc za nią.

- Witam pana uprzejmie - powiedziała Luiza do nowo przybyłego, a Matylda, patrząc na niego, pomyślała: No cóż, wcale się nie dziwię, że Luiza tak go wita.

Przybysz był ciemnowłosy i wysoki, był też właścicielem klasycznie pięknej twarzy o wydatnych kościach policzkowych. Ubiór miał przy tym nienaganny. Matyldzie przemknęła przez głowę myśl, że seks z tym facetem byłby z pewnością zdecydowanym krokiem naprzód w porównaniu z jej nieudanym zbliżeniem z Davym.

- Czy pragnie pan kupić piękny pejzaż morski? - zagadnęła Luiza, zgrywając się na Mae West i cofając się o krok, żeby go wpuścić do środka.

Nowo przybyły przyglądał się najbliższemu obrazowi Dorcas Finster, a tymczasem Steve obwąchiwał mu buty.

- Nie, dziękuję.

- Mądre posunięcie - brzmiał komentarz Matyldy.

Przybysz uśmiechnął się do niej czarującym uśmiechem bożyszczka kobiet i oznajmił:

- Przyjechałem, żeby zapłacić kaucję za swego przyjaciela, Davy'ego Dempseya. On tu mieszka, prawda?

- Ach, jest pan zatem przyjacielem Davy'ego - powiedziała Matylda.

- A Davy jest pani dłużny tę sumę. - Piękny mężczyzna wręczył jej kopertę.

Matylda otworzyła ją i znalazła w środku piętnaście szeleszczących studolarowych banknotów.

- Och, rzeczywiście - powiedziała, myśląc równocześnie: Do diabła. Pospieszyłam się i przespałam z niewłaściwym facetem. Nie zczekałam, aż pojawi się ten właściwy.

- Czy on tutaj jest? - zapytał przyjaciel Davy'ego. - A tak przy okazji, ja nazywam się Simon.

- Davy nic nam o panu nie wspominał. Luiza przysunęła się bliżej.

- On nigdy tego nie robi, kochanie - odrzekł Simon, zaglądając jej głęboko w oczy i uśmiechając się uwodzicielsko. - Nigdy.

Matylda westchnęła, a Simon przeniósł wzrok na nią.

- Dwie brunetki - powiedział. - Którą z was Davy poznał najpierw?

- Matyldę. - Luiza wzięła go pod ramię. - Ja jestem Luiza. Zaprowadzę pana na górę do jego pokoju.

Matylda pomyślała natychmiast, że trzeba interweniować, ale zaraz doszła do wniosku, że to nie ma sensu. Ona sama jest przecież tutaj, na dole, a Davy znajduje się w swoim pokoju, Simon jest więc bezpieczny, chyba że Luiza zdąży go zgwałcić na schodach. Pomyślała też z satysfakcją, że dostali tysiąc pięćset dolarów, po czym włożyła pieniądze do kasetki znajdującej się w biurze. Uczyniła to, kiedy Luiza wraz z Simonem była już na schodach, a następnie jej wzrok padł znowu na obraz przedstawiający kwiaty.

Do diabła.

Mason prędzej czy później zauważy, że z jego domu znikają obrazy, i z pewnością nie da sobie wytłumaczyć, że dzieje się tak przez głupotę Davy'ego. Na myśl o Davym Matylda zacisnęła zęby, choć dobrze wiedziała, że wszystko to nie było wcale jego winą.

Jej złość brała się stąd, że wtedy, na kanapie, pod sam koniec omal nie doszło do tego, na myśl o czym ogarniał ją taki żar jak w garderobie. Zaklęła jeszcze raz: Do diabła!

A potem zaniósła obraz przedstawiający kwiaty do sutereny i wsunęła go pod narzutę, pod którą znajdowały się już krowy. Następnie - wraz ze Steve'em jak zwykle deptającym jej po piętach - udała się na górę i stanęła przed drzwiami mieszkania Davy'ego. Może Luiza ma rację, myślała gorączkowo, może gdybym mu powiedziała: „Wiesz, ja byłam już tego bliska”, Davy byłby skłonny spróbować jeszcze raz. I może wówczas...

Zza drzwi dobiegł chichot Luizy mogący oznaczać tylko jedno... Davy musiał gdzieś wyjść - pomyślała Matylda. - Nawet Luiza nie robiłaby tego we trójkę. Chociaż... kto wie. A niech to diabli! - zaklęła w duchu i poszła na poddasze. Otworzyła szufladę komody i odszukała prezent, który dziesięć lat temu, na gwiazdkę, podarowała jej Ewa. Bogu dzięki, wybierała go Luiza - pomyślała, włączając przedmiot do kontaktu. - Luiza, czyli jedyna osoba w tym domu, która wie, co robi.

Ograwszy kolejnego frajera w bilard, Davy przynajmniej częściowo odzyskał dobry humor. Dlatego gdy po powrocie do swego mieszkania zastał tam Simona w łóżku z Luizą, powiedział tylko:

- Okej. Świetnie.

A potem wyszedł i stanął w holu. Doszedł do wniosku, że ktoś musi zapłacić za tę okropną noc, po czym udał się na poddasze, zapukał do drzwi Matyldy i wkroczył do środka.

- Chryste Panie - wyszeptał, zatrzymując się tuż za progiem.

Pokój bowiem był ogromny i cały biały. Biały był tu sufit, białe były ściany, podłoga i ciężkie łoże z baldachimem stojące na środku. A Matylda siedziała wśród tego wszystkiego, zmęczona, ale odprężona, w łagodnej poświacie sączącej się ze świetlików, i miała na sobie coś, co wyglądało jak biały podkoszulek. Jej włosy stanowiły w tym wnętrzu jedyny ciemny akcent. A wnętrze było najbardziej lodowatym wnętrzem, jakie Davy widział w życiu. Co współgrało z dyspozycją jego właścicielki.

- Ten pokój przypomina chłodnię na mięso - zauważył.

- Wejdz - zaprosiła go Matylda, marszcząc brwi. - Nie zwracaj sobie głowy pukaniem do drzwi. To przecież tylko mój pokój.

Gdy wypowiadała te słowa, Steve wystawił głowę spod białej narzuty i zmierzył Davy'ego podejrzliwym spojrzeniem. Davy pokręcił głową.

- Biały podkoszulek. Człowiek jest tym, w czym śpi. - Zamknął za sobą drzwi i spojrzał na Steve'a. - No i tym, z czym śpi.

- Dziękuję - powiedziała Matylda. - Mam wrażenie, że Steve to poważny krok naprzód w porównaniu z facetem, z którym spałam ostatnio. Co cię tu sprowadza?

- To, że Luiza pokazuje Simonowi coś więcej niż tylko mój pokój - odrzekł. - Myślałem, żeby się przespać w holu, ale ona zachowuje się bardzo hałaśliwie. Co z kolei przywiodło mi na myśl ciebie.

- No tak. - Matylda westchnęła. - Powinnam była ich pilnować. Nic sądziłam jednak, że Luiza rzuci się na całkiem obcego faceta.

- A co takiego nasuwa ci myśl, że to ona jest stroną, która się rzuciła? - Davy zbliżył się do łóżka, rozpiął suwak swoich dżinsów i zdjął je. - Simonowi nieraz zdarza się podejmować szybkie działania. Z której strony łóżka chcesz być?

- My zajmiemy lewą - powiedziała Matylda, przesuając się wraz ze Steve'em. - Luizie także nieraz zdarza się działać szybko.

Davy wsunął się do łóżka.

- Jeżeli Luiza jest osobą tego rodzaju, to dlaczego nie podjęła działania w stosunku do mnie? - zapytał.

- Bo ty spałeś ze mną - oznajmiła Matylda. - A jej zdarza się także być lojalną.

- A skąd wic, że ze sobą spaliśmy?

- Ja jej to powiedziałam.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Jesteśmy z Luizą bardzo sobie bliskie. - Matylda położyła się na wznak i zapatrzyła w świetlik. - To ja powinnam była pokazać Simonowi ten pokój. On jest znacznie bardziej w moim typie niż w typie Luizy.

- Nie skorzystałabyś na tym. - Davy założył ręce pod głowę. - Ponieważ Simon również bywa lojalny.

- A skąd on mógł wiedzieć, że z tobą spałam? Przecież dopiero co się tu zjawił.

- Mógł to wyczuć

- Aha, wyczuć. - Matylda ponownie spojrzała w sufit. - Jesteś niezmiernie miły.

Na twarzy Davy'ego, wbrew jego woli, pojawił się szeroki uśmiech.

- Nieźle sobie nawzajem zależliśmy za skórę, co?

- To i tak nie ma żadnego znaczenia. - Matylda wsunęła się pod kołdrę. - Ty i ja jesteśmy skazani na to, żeby zostać najlepszymi przyjaciółmi.

- Co takiego?

- Zawsze tak było. Luiza to Meg Ryan, a ja jestem Carrie Fisher. Ona jest Melanie Griffith, a ja Joan Cusack. Ona jest piękną heroiną, która łączy swoje losy z zabójczo przystojnym facetem, a ja dowcipną przyjaciółką, która udziela dobrych rad.

- Ruth Hussey w *Filadelfijskiej historii*. - Davy odwrócił głowę i popatrzył na Matyldę. Jej ciemne włosy rozsypały się na poduszce, a pod kołdrą rysowały się wszystkie krągłości jej ciała. Davy uświadomił sobie, że nie potrafi się na nią wściekać. A poza tym był pewien, że ona pod tym swoim podkoszulkiem jest naga. - Dowcipne przyjaciółki są znacznie zabawniejsze. Co do mnie, to nigdy nie mogłem pojąć, co Cary widzi w Katherine Hepburn, kiedy Ruth, dowcipkując, stoi tuż obok z aparatem fotograficznym. Bo to przecież Ruth jest dziewczyną z charakterem.

Matylda zmarszczyła brwi.

- Ja sądziłam, że to była Celeste Holm.

- Twój sąd był błędny. Celeste grała w *Wyższych sferach*. Zresztą też miała charakter.

- Nie sądzę, żeby Cary szukał w kobiecie charakteru - stwierdziła Matylda. - Moim zdaniem on szukał urody i seksapilu.

- Ruth i Celeste były seksowne - oznajmił Davy. - Celeste była przy tym typem kobiety, na którą można liczyć. W obronie przyjaciela kropnęłaby kogoś w łeb tym swoim aparatem.

- No świetnie - powiedziała Matylda. - Ty natomiast jesteś Ralphem Bellamym z *Dziewczyny Piętaszka*. Poczciwym facetem, na którym można polegać - dokończyła tonem, który mówił: No i jak ci się to podoba?

- Ja nie jestem żadnym Ralphem Bellamym - odrzekł Davy. - Jestem Carym Grantem. Radzę ci, kobieto, lepiej uważaj.

- Jeżeli tak, to co robisz w łóżku z Celeste Holm?

- Idę po rozum do głowy - odrzekł Davy. - Katherine Hepburn najprawdopodobniej okazała się upierdliwa.

- Ale ich seks był wspaniały - zauważyła Matylda. - Czego nie można powiedzieć o naszym.

- Ja bawiłem się dość dobrze - powiedział Davy łagodnym tonem. - A teraz, skoro już tu jestem, chcę spróbować ponownie. A ty?

- O tak, tak - zadrwiła Matylda. - Gdy tak rozmawiamy, mam nieodpartą chęć krzyknąć: „Bierz mnie, Ralphie, i gwałć!”.

- To była tylko propozycja - stwierdził Davy.

- Na którą ja odpowiadam: „Dziękuję, nie”. To by mogło zdenerwować Steve'a. Dobranoc, Ralphie.

- Dobranoc, Celeste. Twoja strata.

Matylda odsunęła się od niego. Leżeli teraz w łagodnym świetle sączącym się przez świetlik, a oddzielał ich od siebie Steve. Leżeli spokojnie, dopóki Davy nie usłyszał westchnienia Matyldy.

- Posłuchaj, jeżeli nie możesz przeze mnie spać, to ja wrócę na dół - szepnął, bo czuł się winny. - Im to przecież nie może już zająć zbyt wiele czasu.

- Nie znasz Luizy - odparła Matylda, leżąc plecami do niego.

- Wszystko w porządku. Możesz zostać.

Davy wpatrywał się w świetliki, mając ochotę udusić Simona. Po pewnym czasie Matylda odwróciła się twarzą do niego, blada od księżycowej poświaty, i patrząc na niego łagodnie, przyznała:

- To była moja wina.

- Co było twoją winą? To że Simon śpi z Luizą? Skąd miałaś wiedzieć, że on jest pozbawiony zasad moralnych?

- Nie, nie o to mi chodzi. Chodzi mi o ten nasz kiepski seks.

- Matylda podparła się na łokciu, patrząc Davy'emu w oczy, a jemu, gdy zobaczył zarys jej piersi pod podkoszulkiem, przeszła nagle cała złość. - Wiem, że sprawiam wrażenie osoby panującej nad sobą - mówiła bardzo poważnie - ale to błaga. To fałszerstwo. Ja wszystko fałszuję. Jestem urodzoną fałszerką.

- Matyldo - powiedział Davy - nie jesteś żadną urodzoną fałszerką. Robisz w danym momencie to, co robisz, bo tak układają się okoliczności. Kiedy będziesz gotowa na wspaniały seks, daj mi znać. A do tego czasu leż spokojnie i nie demonstruj mi tego, co masz pod podkoszulkiem.

- Przepraszam. - Matylda wsunęła się pod kołdrę, niepokojąc tym Steve'a.

Tak, tak, Steve, ona mnie też niepokoi - pomyślał Davy. - Teraz to już na pewno nie zasnę. Może by zacząć liczyć barany? Albo obrazy? Tyle ich jest naokoło.

- Matyldo? Ile jest tych obrazów Scarlet Hodge? Zawahała się, ale odpowiedziała:

- Sześć.

- Zanim więc trafię na właściwy, mogę to spieszyć jeszcze trzy razy?

Matylda usiadła.

- Masz zamiar próbować nadal?

Popatrzył na krągłości rysujące się pod podkoszulkiem i bardzo dobrze widoczne w świetle księżyca.

- Tak - odrzekł.

- Bo ja mam wszystko zapisane. Papiery są w biurze - powiedziała z zapalem Matylda. - Możemy się dowiedzieć, gdzie każdy z tych obrazów się znajduje.

Davy przestał wpatrywać się w podkoszulek.

- Chcesz odzyskać wszystkie te obrazy?

- Tak - powiedziała stanowczo. - Dotychczas tego nie chciałam, ale dziś uświadomiłam sobie, że chcę. - Umilkła, a Davy był pewny: Zaraz skłamię. - One są wybrakowane - oznajmiła. - Wiem, że za dużo od ciebie wymagam, ale...

Pochyliła się nad nim, a on poczuł nikły zapach cynamonu i wanilii. Poczul także bijące od niej ciepło i nie dosłyszał części słów.

- ... przepraszam, że byłam taka okropna - zakończyła Matylda. - Naprawdę. Wiem, że byłam dla ciebie straszna.

Nie tknął jej, ale kosztowało go to bardzo wiele.

- Zrekompensujesz mi to później. - Odwrócił się, a potem, czując, że ona wsuwa się pod koldrę tuż obok niego, pomyślał: Jezus Maria, muszę natychmiast stąd wyjść.

- Mam zamiar ci to zrekompensować - oznajmiła. - Pomogę ci odzyskać pieniądze. Przysięgam.

- To dobrze. Ale dlaczego pachniesz deserem?

- Słucham? A! To moje mydło. Nazywa się „Bułeczki cynamonowe”.

- Świetny wybór - zabrzmiał komentarz Davy'ego. - Śpij.

- Dziękuję - odrzekła. - Jestem ci wdzięczna.

Jak bardzo wdzięczna? - zastanowił się, a potem przypomniał sobie jej wady: miała skłonność do kąsania i kopania, była beznadziejna w łóżku, była brunetką...

- Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna - powiedziała Matylda bardzo cicho.

A on poprzysiął sobie, że spróbuje jeszcze raz.

Na drugi dzień rano Matylda obudziła się między Steve'em, który grzbietem dotykał jej brzucha, a Davym, który plecami dotykał jej pleców. Czterdzieści osiem godzin temu nie знаła żadnego z nich - pomyślała, zastanawiając się, czy obecna sytuacja stanowi postęp w stosunku do tego, co działo się w jej życiu przedtem.

Podparła się na łokciu. Steve leżał z odrzuconą do tyłu głową, oddychając przez nos, a jego drobne ząbki sterczały nad dolną wargą. Przodozgrzyz górny - zauważyła Matylda. - Zbyt długotrwały chów wsobny. Przeniosła wzrok na Davy'ego. Miał podkrążone oczy i oddychał przez otwarte usta, ale poza tym wyglądał doskonale. Nie nosił żadnych śladów chowu wsobnego, a właściwie, szczerze powiedziawszy, nie miał w ogóle żadnych wad. Poza tym, że był arogancki, że seks z nim okazał się kiepski i że w celu rozwiązania swoich problemów miał skłonność do uciekania się do kradzieży.

Jej własne wady były oczywiście identyczne. No i trzeba było do nich dodać jeszcze i to, że wskutek astmy najprawdopodobniej chrapała. Tak więc on okazywał się w sumie od niej lepszy. Doszedłszy do takiego wniosku, Matylda pokręciła głową i udała się do łazienki. Kiedy wzięła już prysznic i wróciła, Davy wciąż spał jak zabity, a Steve patrzył na nią żalonym spojrzeniem paciorkowatych oczu.

- Chodź - szepnęła do niego, zapinając koszulową bluzkę. - Wyprowadzę cię na spacer.

Dziesięć minut później weszła do biura, żeby sobie wziąć sok pomarańczowy. Zastała tam Nadine ubraną w piżamę w krowy. Nadine sięgała właśnie po karton z mlekiem.

- Cześć. - Matylda wyjęła sok z lodówki. Steve tymczasem odkrył swoje psie żarcie i miskę z wodą. - Jak się ma twój nowy chłopak?

- A, Burton. - Nadine powąchała karton z mlekiem i skrzywiła się. - On ma bardzo dobry zespół i nie kręci nosem na moje stroje, myślę więc, że się utrzyma.

Matylda włożyła do tosterka dwa kawałki pieczywa.

- Mama mówi, że brak mu poczucia humoru - powiedziała.

- To nieprawda. - Nadine podała jej karton z mlekiem. - Rzecz w tym, że jego poczucie humoru różni się od tego, które cechuje mamę.

Matylda powąchała karton.

- Wywal to. A od twojego?

- Raczej też. - Nadine wylała mleko do zlewu. - Ale i tak z nim długo nie będę, więc nie wygłaszaj mi kazań. Słuchaj, ciociu, kiedy ty uświadomiłaś sobie, że chcesz być malarką?

- Nigdy. - Matylda sięgnęła na półkę po masło orzechowe. - Kazano mi nią zostać. Nie zmieniaj tematu. Jeżeli nie śmiejesz się z tego samego co on, to...

- Mimo to jesteś dobrą malarką - powiedziała Nadine.

- Tak. - Matylda grzebała w szufladzie, ale znalazła tylko nóż do masła. Wzięła go. Wyglądał jak nóż do zeskrobywania farb. A do diabła, i tak można nim rozsmarować masło orzechowe. - Po prostu miałam szczęście. - Zasunęła z trzaskiem szufladę.

- Ale lubisz malować - ciągnęła wątek Nadine.

Matylda wzięła słoik w masłem orzechowym i zaczęła odkręcać wieczko. Była głodna jak wilk. Okazuje się, że nieco kiepskiego seksu potrafi człowiekowi obniżyć poziom cukru we krwi.

- Lubisz malować, prawda?

- Lubiałam - odrzekła Matylda. - No tak, lubię.

- Lubiałaś. - Nadine oparła się o kredens. - Ale już nie lubisz. Matylda wzruszyła ramionami.

- Fajnie było uczyć się malować. A potem malować meble.

- A także obrazy Scarlet - pomyślała i odkręciła wreszcie wieczko.

- Ale te freski zaczynają mi działać na nerwy. Na przykład ten w Kentucky. - Pokręciła głową. - Masz pojęcie, jak okropnie wyglądają słoneczniki van Gogha powiększone dziesięciokrotnie i stanowiące tło dla stołu w stylu Ludwika XV? To zbrodnia przeciw sztuce.

- Więc przestaniesz się tym zajmować?

- Nie przestanę. - Grzanka wyskoczyła z tosterka. Matylda chwyciła ją koniuszkami palców, starając się nie oparzyć. - Musimy spłacić hipotekę, a możemy to zrobić tylko dzięki freskom.

- Ale nie lubisz tego zajęcia - drażyła Nadine. - Ile więc jeszcze czasu upłynie, zanim przestaniesz je uprawiać i zaczniesz być szczęśliwa?

- Jeżeli będę robiła jeden fresk w ciągu dwóch tygodni? - Matylda wbiła nóż w masło orzechowe. - No, z piętnaście lat. Ukończenie studiów pedagogicznych przez twoją mamę być może trochę ten okres skróci. No a poza tym Double Take daje ostatnio lepsze zyski.

- Piętnaście lat - powtórzyła Nadine. - Będziesz wtedy czterdziestodwuletnią babą.

Matylda zmarszczyła brwi.

- Jak to się stało, że mówimy o freskach, a nie o Burtonie?

- Ja muszę wybrać właściwy zawód - odrzekła Nadine. - Nie chcę robić czegoś, czego nie lubię, tylko dlatego, że rodzina musi jeść.

- Spojrzała na słoik z masłem orzechowym. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby pracować na rodzinę, ale muszę robić coś, co lubię.

- Ty wcale nie musisz pracować na rodzinę. - Matylda wręczyła jej grzanekę z masłem orzechowym. - Ja to robię.

- Nie możesz tego robić wiecznie. Spójrzmy prawdzie w oczy: ja jestem następna w kolejce.

- Wcale nie. - Matylda przestała smarować następną grzanekę.

- Nie musisz...

- Zapobiegać temu, żeby mama, tata i babcia wylądowali w przytułku dla ubogich? - dokończyła Nadine. - Jeżeli nie ja, to kto? Double Take ledwie wychodzi na zero. Nauczyciele zarabiają mało. Babcia od śmierci dziadka zajmuje się tylko krzyżówkami, obrazy Dorcas się nie sprzedają. No a ty zwariujesz od tego malowania fresków, zanim ja skończę szkołę. Nie ma wyjścia.

- Ja się tym zajmę - powiedziała Matylda z powagą. - Naprawdę, Nadine. Ty nie będziesz...

- W porządku - przerwała Nadine. - Ja chcę to robić. Ale to musi być coś, co lubię. Bo nie chcę...

- Czego nie chcesz? - zapytała Matylda, pewna, że nie spodoba jej się to, co zaraz usłyszy.

- Nie chcę być taka nieszczęśliwa jak ty - wypaliła Nadine.

- Chcę, mając trzydzieści cztery lata, wciąż się śmiać.

- Ja się śmieję - oświadczyła Matylda.

- Kiedy? - spytała Nadine.

- Śmiałam się na *Buffy - postrachu wampirów*. To było w zeszły wtorek. Ryczałam ze śmiechu.

- Ja lubię śpiewać - oznajmiła Nadine. - A zespół Burtona jest dobry. Nawet tata tak sądzi, a on Burtona nie lubi. I Burton jest dla mnie dobry. Myślę więc, że właśnie w ten sposób mogłabym utrzymywać rodzinę.

- Wybrałaś Burtona, bo chcesz zarabiać jako piosenkarka? - Matylda pokręciła głową, biorąc szklankę z sosem i talerz z grzankami.

- Na twoim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowiła. A teraz muszę iść na dół i przygotować się do malowania następnego fresku. Możesz wziąć Steve'a?

- Oczywiście. - Nadine spojrzała na kudłatą głowę psa. - Steve może sobie popatrzeć, jak się ubieram.

- Zamknij oczy, Steve - rozkazała Matylda. - Aha, Nadine, gdy zobaczysz Davy'ego, powiedz mu, że zapiski dotyczące pozostałych obrazów są w górnej szufladzie biurka, dobrze?

- Oczywiście - powtórzyła Nadine. - Jakich pozostałych obrazów?

- Nie musisz tego wiedzieć. - Matylda ruszyła do suterenu, niosąc talerz, na którym stała szklanka. Zatrzymała się w drzwiach. - Nadine, ja nie jestem nieszczęśliwa.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Nadine, najwyraźniej dla świętego spokoju.

- Naprawdę - zapewniła ją Matylda i poszła pracować.

Rozdział ósmy

Na dole w suterenie Matylda zapaliła światło w pracowni ojca i po raz pierwszy w życiu zauważyła, jak bardzo błyszczą tutaj białe ściany i szafki, jak są lśniące i sterylne. „Ten pokój przypomina chłodnię na mięso” - powiedział Davy, gdy wszedł do jej białej sypialni. Teraz, rozglądając się po nieskazitelnej pracowni, zrozumiała, co miał na myśli. Monochromatyczna biel jest doskonała w pracowni pełnej obrazów, ale niezbyt dobra w pustym pokoju. Może wezmę sobie tydzień wolnego i namaluję dżunglę na poddaszu. Mięiste zielone liście pokryją ściany i wezglowie - tyle że tym razem nie będzie Adama i Ewy, bo oni są zbyt ckliwi. Tym razem dżungla będzie po to, żeby Steve miał się gdzie chować.

Po chwili otrząsnęła się z tych rojeń. Jeszcze przez całe lata nie będzie mogła sobie pozwolić na tydzień wolnego. A kiedy już się go doczeka, nie będzie malowała dżungli, bo to dobre dla dzieci. Dżunglę może sobie malować Nadine. A ona pomaluje sypialnię na przyjemny jasny błękit, na sufit rzuci może trochę gwiazd, a ściany pokryje chmurami. I będzie spała w niebie.

Nie, to też jest bez sensu. Czas zejść na ziemię. Matylda postawiła śniadanie na stole, podeszła do znajdujących się pod ścianą szuflad i wyciągnęła tę z napisem „Wiek XIX”. Przejrzała zawarte w niej reprodukcje i znalazła tę, która przedstawiała nenufary Moneta. Nenufary te wkrótce miały zaistnieć na ścianie pewnej łazienki w New Albany. Na szczęście fałszowanie impresjonistów nie zajmuje tyle czasu co podrabianie mistrzów renesansu, może uda jej się więc wykroić ten tydzień na pomalowanie własnego pokoju. Może na żółto. W słoneczniki, które zamiast kwiatów będą miały prawdziwe słońca...

- Oj nie, na miłość boską, nie - powiedziała głośno. - Nie namaluję żadnych słoneczników.

Położyła reprodukcję na stole, włączyła płytę Melissy Etheridge i zapaliła lampę. Lampa rzucała czyste białe światło niezafałszowujące kolorów. Matylda wzięła się do roboty. Słuchając, jak Melissa śpiewa *I'm the Only One*, skupiła się na pracy przynoszącej pieniądze. Była to dobra praca - pozwalała jej na niezależność, pozwalała malować, a ona malować lubiła. A przy tym, wykonując ją od piętnastu lat, zasługiwała sobie na opinię doskonałej malarzki - twórczyni fresków-falsyfikatów.

Życie mogło potraktować ją znacznie gorzej. Mogłaby przecież być od kogoś zależna finansowo, mogłaby mieć szefa, mogłaby być zmuszona do udawania, że kogoś lubi, po to tylko, by zdobyć środki do życia, a to byłoby piekło. Więc miała szczęście.

Spojrzała na reprodukcję i pomyślała: Nienawidzę Moneta. I zabrała się ponownie do roboty.

Trzy przecznice dalej Clea siedziała przy stole i bębniła paznokciami o filiżankę. Nie mogła nią przecież ciśnieć w Masona, okazując równocześnie całą tę pełną miłości serdeczność, której wymaga się od kobiety, jeśli mężczyzna ma pragnąć spotykać ją przy śniadaniu przez resztę swoich dni.

- Czy mogłabyś przestać? - zapytał Mason znad gazety.

- Och, przepraszam. Myślałam właśnie...

- To nie myśl - uciął Mason i wrócił do gazety.

Oj, niedobrze. A właściwie naprawdę źle. Oto Clea najpierw musiała spędzić cały wieczór w tej obskurnej galerii, patrząc, jak Mason wraz z Gwen Goodnight, podniecony i rozentuzjasmowany, przegląda jakieś stare papiery. A potem pojawił się Davy Dempsey. I na domiar wszystkiego, po powrocie do domu, Mason powiedział, że jest zbyt zmęczony, by uprawiać z nią seks. Coś trzeba z tym wszystkim zrobić - pomyślała Clea.

- Znowu bębniysz. - Mason złożył gazetę.

- Przepraszam. - Clea odsunęła filiżankę i uśmiechnęła się radośnie. - Więc co będziemy dzisiaj robić?

- No cóż, ja zajmę się pracą nad artykułem o Scarlet Hodge. A co ty będziesz robiła - nie mam pojęcia.

- O! - Clea usiłowała sprawiać wrażenie pogodnej i niezależnej. - Pójdę chyba do muzeum i obejrzę prace prymitywistów. Chcę zobaczyć, jak one się mają do kolekcji Cyryla.

- Świetnie, zrób to. - Ton Masona był oschły. - Choć kolekcja Cyryla nie ma wartości muzealnej.

- Jego zdaniem miała. - Clea uczyniła ogromny wysiłek, by nie przestać się uśmiechać.

W każdym razie tak Cyrylowi, przed jego śmiercią, powiedział Ronald. Prawdopodobnie się mylił, a oni - przy tak powolnym tempie działania firmy ubezpieczeniowej - zapewne nigdy się nie dowiedzą, czy miał rację, czy nie.

- No tak. Ale po jego śmierci nikt przecież tej kolekcji nie traktował poważnie. - Mason odsunął krzesło i wstał. - Przepraszam Cleo, nie chcę sprawić wrażenia, że nie darzę szacunkiem twojego zmarłego męża, ale on naprawdę nie był dobrym kolekcjonerem.

- Był dobrym człowiekiem - odparła Clea, zaskakując równocześnie siebie i Masona.

- To prawda - przyznał Mason, uśmiechając się do niej po raz pierwszy tego ranka.

- Jeśli mogę ci w czymś pomóc, to powiedz.

Clea pochyliła się w przód ruchem idealnej żony, prezentując przy tym ładny dekolt.

- Wiesz, jak mogłabyś mi pomóc? Clea pochyliła się jeszcze bardziej.

- Przygotowując śniadanie - dokończył Mason. - Od tygodnia poprzestajemy na grzankach i kawie. Umiesz smażyć omlety?

Uśmiech zastygł na twarzy Clei.

- Omlety?

- Ach, mniejsza z tym - Mason odwrócił się w stronę drzwi. - Może powinniśmy zatrudnić tego faceta od cateringu. Na cały etat. Jak on ma na imię?

- Tomasz. - Clea wciąż się uśmiechała.

- Może ten Tomasz robi też śniadania - rzekł Mason i poszedł na górę.

Clea poprawiła się na krześle. Też coś, śniadanie! On chce, żeby gotowała! Ona, osoba o nieskazitelnej cerze i doskonałej figurze, znająca wszystkie pozycje seksualne, o jakich może zamarzyć mężczyzna po pięćdziesiątce, osoba zawsze wesoła, wspierająca, umiejająca schlebiać i namiętna na zawołanie. Ten człowiek ma ją przy sobie i chce, żeby robiła śniadania?!

Przysięgam - powiedziała sobie - że gdybym miała dość pieniędzy, skończyłabym na zawsze z mężczyznami.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Może to Tomasz znowu szuka pracy. Gdyby został na cały etat, otwierałby także drzwi.

Tym razem jednak zrobiła to ona. I aż zamrugała na widok mężczyzny stojącego na schodkach. Wysokiego, ogorzałego, z czarnymi włosami siwiejącymi na skroniach, z szarymi oczami o lodowatym spojrzeniu i z kwadratową szczęką. Mężczyzna ten był na dodatek właścicielem ramion, na których kobieta mogłaby się oprzeć...

Ach, jak by było miło, gdybyś miał pieniądze - pomyślała Clea, lustrując go uważnie. Jego podniszczona tweedowa marynarka, znoszone dżinsy i buty, które widziały lepsze czasy, nie wskazywały jednak na to, że jest bogaty. Clea spojrzała mu w twarz.

- Nie mamy zamiaru nic kupować - powiedziała.

I już miała zamknąć drzwi, gdy on zablokował je stopą.

- Clea Lewis? - zapytał.

- Tak. - Clea poczuła zimny dreszcz.

Była pewna, że go nie zna, ale...

- Przysłała mnie Ronald Abbott - oznajmił mężczyzna. - W związku z pani problemem.

- Problemem? Jakim?

- Będzie lepiej, jeżeli wejdę - wycedził. - Im dłużej pani sąsiedzi widzą mnie na ganku, tym lepszymi będą świadkami.

- Świadcami? - powtórzyła słabym głosem Clea. O Boże, kazałam przecież Ronaldowi pozbyć się Davy'ego. Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Nie było to przyjemne.

- Jeżeli coś się nie uda - wyjaśnił.

Oj nie, ja na to nie zasługuję - pomyślała Clea. - Nie tak powinno wyglądać moje życie.

- A więc, proszę pani? Clea otworzyła drzwi.

Davy obudził się w świetnym humorze. Tak doskonale nie czuł się od miesięcy, a jego wesołość nie znikła nawet wtedy, gdy przewrócił się na drugi bok i przypomniał sobie, w jakiej znajduje się sytuacji. Był przecież bez grosza, sam i miał wkrótce udać się na poszukiwanie czterech obrazów, które go nie obchodziły. Trafwszy z łatwością do łazienki, wziął prysznic, ogolił się i ubrał bardzo szybko. Zmierzając już ku wyjściu, zauważył próbnik wiszący nad białym biurkiem Matyldy. Przyjrzał mu się uważnie. Zobaczył nagiego Adama i nagą Ewę stojących pod rozłożystym wyhaftowanym krzyżem drzewem, pod którym roilo się od małych zwierzątek szczerzących malutkie ząbki. Poniżej widniał czterowiersz:

Gdy Ewa zjadła jabłko,

Rozumu jej przybyło,

Lecz Bóg lubił głupie kobiety,

Więc Raju już nie było.

I podpis:

Gwen Goodnight. Jej dzieło.

Pamiętaj, bądź miły dla Gwennie - przykazał sobie Davy, a potem, skacząc po dwa stopnie, pobiegł szukać Matyldy i śniadania - choć niekoniecznie w tej właśnie kolejności.

Zamiast nich nad szklanką soku zastał w biurze Nadine, ubraną w podomkę w stylu vintage drukowaną w malutkie czerwone czajniki. W blond włosy dziewczyny wpleciona była czerwona wstążka, a jej usta jak u lalki pociągnięte zostały czerwoną szminką. Na nogach Nadine miała podkolanówki z czerwonymi piętami. Steve siedział u jej stóp, zafascynowany kokardkami u jej buczków. Trącał je nosem z wyraźnym zamiarem pożarcia jednej z nich.

- Wyglądasz dzisiaj jak Donna Reed - zwrócił się Davy do Nadine. - Gdzie ciocia Matylda?

- Pracuje w suterenie - odrzekła Nadine. - Steve, przestań. Mówiła, że zapiski na temat jakichś obrazów, które są panu potrzebne, znajdują się w górnej szufladzie biurka. A ja się zrobiłam na Lucy Ricardo. Donna nie za bardzo lubiła nadruki. Chce pan soku? Pomarańczowo-ananasowy. Babcia bardzo dba o to, by dostarczać naszym organizmom witaminy C.

- Mądra z niej kobieta - skomentował to Davy. - Proszę, nalej mi soku. - Nadine wyjęła z kredensu szklankę, a Davy aż się uśmiechnął, patrząc na nią, bo tak bardzo przypominała gospodynię domową z lat pięćdziesiątych. - Dokąd wychodzisz?

- Do dentysty. - Nadine nalewała mu soku. - Doktor Mark lubi, żeby wszystko było retro. Ma najbardziej odjazdowy neon i różne stare dentystyczne reklamy. To dla niego zrobiłam się na Lucy.

- Dentysta retro. - Davy okrążył stół, żeby się dostać do szuflady biurka. - No tak. Oczywiście.

- Robi wszystko bezboleśnie - rzekła Nadine. - A to jest najważniejsze. Goodnightowie są bardzo praktyczni. Davy popatrzył na zdjęcia The Rayons i na fotografie przedstawiające sceny z klubu Double Take.

- Tak, widzę - powiedział.

Otworzył szufladę i znalazł sześć związanych razem gumką kart katalogowych. Na tej, która znajdowała się na wierzchu, widniał napis „Scarlet Hodge”.

Nadine podała mu sok.

- Babcia zawsze mówi, że nie należy mylić polotu z brakiem praktycyzmu. - Spojrzała na niego poważnie ponad szklanką z sokiem. - To dwie różne rzeczy.

Davy wyjął karty katalogowe i zamknął szufladę.

- Więc ty jesteś w zasadzie czterdziestolatką przebraną za szesnastolatkę.

Nadine pokręciła głową.

- Ja jestem wolnym duchem. Proszę mnie nie oceniać na podstawie konwencjonalnych kryteriów.

- No tak, to byłoby z pewnością błędem.

Davy wetknął karty do kieszeni i skosztował soku. Sok był słodki, ale z charakterem. Jak Matylda.

Do biura wszedł Andrew, kiwnął Davy'emu głową, najwyraźniej niezadowolony, że go widzi, i postawił torbę z pieczywem przed Nadine.

- Na którą idziesz do dentysty? - zapytał.

- Za pół godziny. Pójdę pieszo. Wiesz, świeże powietrze. Jest bardzo zdrowe.

Andrew kiwnął głową i spojrzał na jej sukienkę.

- Ładna - powiedział. - W stylu Lucy.

- Dzięki - odrzekła Nadine, rozpromieniona. Dobry z niego ojciec - zauważył Davy.

- Chcesz zrobić dziś wieczorem próbę tej składanki Peggy Lee? - zapytał Andrew.

- Nie. - Nadine wbiła wzrok w sufit.

- Masz randkę z tym swoim pączkiem, co? - Andrew pokręcił głową, patrząc na Davy'ego. - Niech pan zaczeka, aż będzie pan miał córkę, która przyprowadza do domu chłopaków. W takiej sytuacji jedyne, co człowiekowi przychodzi do głowy, to pytanie: „Kiedy popełniłem błąd?”.

Może wtedy, kiedy się przebrałaś za Marilyn, pomyślał Davy i zaraz się zawstydził.

- Wcale pan go nie popełnił - powiedział głośno, żeby się zrehabilitować. - To wspaniała dziewczyna.

- Niech pan zaczeka, aż przyjdzie ten jej pączek - odrzekł Andrew.

- Chodzi o Burtona? - zapytał Davy, a Andrew kiwnął głową.

- Poznałem go - przypomniał Davy. - Współczuję.

- Zrób sobie grzankę z pełnoziarnistego pieczywa - zwrócił się Andrew do Nadine, idąc w stronę drzwi. - Potrzebny ci błonnik.

- Jadłam już grzanki z ciotką Matyldą. A Burton to nie żaden pączek - zaprotestowała Nadine, po raz pierwszy, od czasu gdy Davy ją poznał, sprawiając wrażenie, że jest nastolatką.

- Pączek? - zdziwił się Davy.

Nadine westchnęła, otworzyła kredens i wyjęła bochenek pełnoziarnistego chleba.

- Według babci na świecie istnieją dwa rodzaje mężczyzn: mężczyźni pączki i mężczyźni słodkie bułeczki.

- Czy w twojej rodzinie choć jedna osoba ma dobrze w głowie?

- Proszę zdefiniować określenie „dobrze w głowie”.

Nadine włożyła dwa kawałki pieczywa do żółtego tosteru Gwen.

- Mniejsza z tym - powiedział Davy. - No więc, pączki i słodkie bułeczki, tak?

- Tak. Pączki to faceci, na których widok cieknie ci z ust ślinka - wyjaśniła Nadine, wyjmując z kredensu słoik z masłem orzechowym. - Są wspaniali, chrupiący i pokryci czekoladową polewą. Widzisz takiego i już go pragniesz. A jeżeli go nie dostaniesz, to myślisz o tym przez cały dzień i wciąż starasz się o jego względy, bo to jest pączek.

- Kiedy twoje grzanki będą gotowe, zrób też parę dla mnie. - Davy poczuł nagle wilczy apetyt.

Nadine pchnęła w jego stronę torbę z pieczywem.

- Tam są bułeczki ananasowo-pomarańczowe. Davy wyłowił jedną.

- Lubicie takie?

- Lubimy takie kwaskowate.

- Wybrałem właśnie jedną z nich - rzekł Davy. - A więc na widok pączków leci ci ślinka.

- Właśnie. A słodkie bułeczki mają grudki, są niezgrabne, wszystkie jednakowe i bez czekoladowej polewy.

Davy popatrzył na swoją bułeczkę. Była złotawa i wcale nie miała grudek. Wzruszył ramionami, ułamał kawałek i skosztował. Była kwaskowata.

- I choć bułeczki bywają wspaniałe - kontynuowała Nadine - zwłaszcza te pomarańczowo-ananasowe, to nie są one pączkami.

- Więc pączki są dobre. - Davy próbował podtrzymać konwersację.

- No tak, na jedną noc - powiedziała Nadine w chwili, gdy jej grzanka wyskoczyła z tosteru. Włożyła dwa kawałki pieczywa dla Davy'ego, a potem posmarowała swoją grzankę grubą warstwą masła orzechowego. - Ale na drugi dzień rano taki pączek nie jest już chrupiący, jego polewa jest rozmazana na papierze, a nadzienie na wierzchu. Słowem jest lepki i okropny. Pączek nie jest w stanie przetrwać do rana.

- Aha - zrozumiał Davy. - Tymczasem bułeczka...

- Bułeczka jest na drugi dzień nawet lepsza - dokończyła Nadine.

- Bułeczki są na dłużej i zawsze świetnie smakują. Na ich widok nie mówi się natychmiast: „O Boże, muszę ją mieć”, ale po nocy, na drugi dzień rano, pragnie się ich nadal.

Nadine ugryzła grzankę mocnymi białymi zębami, które doskonale świadczyły o doktorze Marku.

- I Burton jest pączkiem - domyślił się Davy.

- Wyrok jeszcze nie zapadł - odrzekła Nadine z ustami pełnymi masła orzechowego. - Mnie on się wydaje dość bułeczkowaty. Być może jednak oszukuję sama siebie.

- Oszukujesz sama siebie - potwierdził Davy.

- Może tak, a może nie. - Z tosterka wyskoczyła grzanka Davy'ego.

- On mnie podnieca.

- W takim razie trzymaj się go. - Davy przechylił się przez stół i wziął grzankę. - Bo jest jednym spośród miliona.

- Taki właśnie mam plan. - Nadine wstawiła swoją szklankę do zlewu. - Muszę teraz umyć zęby. Bardzo miło było z panem porozmawiać. Aha, dziś rano na schodach poznałam pana kolegę, pana Simona. On też jest bardzo miły.

- Dzięki za pochlebną opinię. Powtórzę mu to - odrzekł Davy. A potem, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, zapytał: - A ja kim jestem: pączkiem czy bułeczką?

- W tej sprawie wyrok także jeszcze nie zapadł - oznajmiła Nadine, okrążając stół. - Babcia sądzi, że jest pan bułeczką udającą pączka. A tata, że pączkiem udającym bułeczkę.

- A ciocia Matylda?

- Ona twierdzi, że jest pan pączkiem i że ona sama się odchudza. Ale ja wiem, że z tym odchudzaniem to kłamstwo. - Nadine przyjrzała się Davy'emu uważnie. - Jeżeli jest pan pączkiem, to najprawdopodobniej pan wyjedzie, a nam będzie pana brakowało.

- Będzie wam mnie brakowało? - powtórzył Davy, zaskoczony.

- Tak. Jest całkiem możliwe, że pan by do nas dobrze pasował. Ale jeszcze za wcześnie, żeby o tym wyrokować. Więc niech pan będzie bułeczką.

Poklepała go po ramieniu i ruszyła ku drzwiom.

- Spróbuję - powiedział Davy, trochę zmieszany. - Hej, Nadine. Nadine, już zza drzwi, wsunęła głowę do biura.

- A czym jest Simon?

- Pączkiem - rzekła Nadine. - Pączkiem oprószonym cukrem.

- Za młoda jesteś, żeby cokolwiek wiedzieć o cukrze - Davy przybrał srogą minę.

Nadine wzniosła oczy do nieba.

- Nie ma pan zielonego pojęcia, na co ja jestem za młoda, dziadziu. - Odwróciła się i wpadła prosto na Simona.

- Cześć, Nadine - przywitał ją jak zwykle zadbany i czyniący wrażenie Brytyjczyka Simon.

Nadine zarumieniła się, kiwnęła mu głową i pobiegła na górę. Ale zaraz wróciła, żeby zapytać Davy'ego:

- Proszę pana, czy może pan popilnować Steve'a, kiedy ja będę u dentysty?

Davy popatrzył na Steve'a, który odwzajemnił mu się spojrzeniem zdecydowanie nieufnym.

- Oczywiście. Steve i ja spaliśmy w nocy w jednym łóżku. Jesteśmy kumplami.

Steve wciągnął powietrze przez nos i wydał dźwięk podobny do wycia klaksonu. Gdy Nadine już sobie poszła, Simon zapytał Davy'ego:

- Dlaczego ona się zarumieniła? Czy powiedziałem coś niegrzecznego?

- Nie. - Davy wręczył mu torbę z pieczywem. - Weź sobie słodką bułeczkę.

- Jest za wcześnie na słodycze - odrzekł Simon. - A propos, czy gdzieś w pobliżu znajduje się przyzwoita restauracja, w której można zjeść śniadanie?

- Ależ ty jesteś upierdliwy. Mieszkasz przecież w Stanach od dwudziestu lat. Odżywiaj się źle, do cholery.

- Miałeś niedobłą noc? - Simon odsunął od siebie torbę.

- Byłaby lepsza, gdybyś ty nie wmeldował się do mojego łóżka razem z tą swoją damą - skłamał Davy.

- Z Luizą - powiedział Simon tonem pełnym szacunku. - Uwielbiam Amerykanki.

- Luiza najprawdopodobniej nie jest typowa - orzekł Davy.

- Luiza jest tym, czym chce być - stwierdził Simon. - Jest osobą wyjątkowo utalentowaną.

- No to powiem ci, że masz szczęście.

Davy dopił swój sok i okrążył stół, żeby wstawić szklanekę do zlewu.

- Dlaczego jesteś taki opryskliwy? - zdziwił się Simon. - Czy nie spędziłeś tej nocy z tą swoją Betty Boop?

- Z Matyldą - sprostował Davy. - Tak, spędziłem.

- O - skomentował to Simon. - Czyżbym musiał ci współczuć?

- Nie tak do końca. Muszę jednak nad tym popracować - powiedział Davy. - Ale co ciebie tu sprowadza?

- Zadzwoił do mnie Rabbit. - Simon usadowił się wygodnie przy stole. - Miałem wrażenie, że jest trochę podenerwowany.

- Ja nie tknąłem go palcem - zastrzegł się Davy i odstawił sok na miejsce.

- Otóż wygląda na to, że według Rabbita ktoś dał na ciebie zlecenie. Davy zamknął lodówkę i zastanowił się nad tym.

- Zlecenie? Na mnie? Niee.

- Sugerował, że zrobiła to rozwścieczona kobieta, co rzecz całą czyni bardziej prawdopodobną. Niezmiernie mu też zależało na tym, żebyśmy my wiedzieli, że on nie ma z tym nic wspólnego.

- To cały Rabbit - rzekł Davy. - Usłyszysz coś i chce być kryty. Ale mnie nie oszuka. Matylda nie jest aż tak wkurzona - powiedział i nagle przypomniał sobie zeszły wieczór. - Och. Clea! - wyrwało mu się.

- Właśnie - potwierdził Simon. Davy oparł się o stół.

- No cóż, ona lubi, żeby mężczyźni wyświadczali jej przysługi. Ale nie sądzę, żeby kogoś na mnie napuściła. To nie jest jej modus operandi.

- Miałem wrażenie, że Rabbit mówi najzupełniej serio. Dlatego przyjechałem tu do ciebie - Simon miał poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

- Przyjechałeś tu do mnie, bo się nudziłeś - stwierdził Davy. - A skoro już tu jesteś, co zamierzasz robić? Bo ja nie mam czasu cię zabawiać, nawet z wdzięczności za to, że zapłaciłeś za mnie czynsz.

- Myślałem, że odwiedzę parę starych kątów...

- Na przykład więzienie?

- ... a potem zorientuję się, czy nie potrzebna ci przypadkiem „pomoc w sprawach z ko...

- Nie - uciął Davy.

- Oczywiście miałem na myśli tylko udzielanie rad - zaznaczył Simon.

- Posłuchaj, stary, jeżeli policja znowu cię na czymś przyłapie, to cię zamkną. Zdenerwowałeś mnie podczas tamtej rozmowy telefonicznej, ale zdenerwowałbym się jeszcze bardziej, gdybym cię zobaczył w drelichach.

- Czy masz zamiar ponownie dokonać włamania? - zapytał z powagą Simon.

- Tak - odrzekł Davy. - Nie mam wcale na to ochoty. Są jednak rzeczy, które muszę z tamtego domu doprowadzić. Ale nie tak zaraz. Zbyt swobodnie rozmawiałem z Cleą, będzie więc bardzo ostrożna. Muszę poczekać, aż zajmie się czymś innym. Jakieś parę dni.

- Będziesz mnie potrzebował - stwierdził Simon.

- Być może do pomocy przy samym włamaniu. Ale w środku już nie. Właściwie to możesz mi doradzać na odległość, z Miami.

- Więc mam opuścić Luizę? - zapytał Simon.

Davy usłyszał jakiś szelest przy drzwiach. Obejrzał się i zobaczył Ewę - niebieskooką blondynkę, świeżo wykąpaną i ubraną w różowy podkoszulek, w którym wyglądała młodziej niż własna córka.

- Dzień dobry, Ewo - powitał ją z uśmiechem. - To jest mój przyjaciel Simon.

- O. - Ewa podniosła oczy na Simona, zarumieniła się i odwróciła głowę. - Witam w Columbus.

Simon uśmiechnął się dobrodusznie.

- Columbus to piękne miasto.

- German Village jest ładną dzielnicą - zauważyła Ewa trochę głupio, po czym wyjęła z torby słodką bułeczkę i wycofała się w stronę drzwi. - Życzę miłego pobytu - rzuciła przez ramię.

- Kto to był? - zapytał Simon.

- Ewa. - Davy odprowadził ją wzrokiem. - Matka Nadine. I niezła babeczka.

- Nie wdawaj się w to, mój chłopcze - ostrzegł go Simon. - Nie sypiaj nigdy z kobietami, które mają dzieci. To może spowodować jedynie cierpienie i poczucie winy.

- Dziwna zasada - skomentował to Davy. - Ja mam prostszą: nie sypiaj nigdy z siostrami. - Pokręcił głową. - Musisz jednak przyznać, że Ewa jest piękna.

- Niezwykle piękna - przyznał Simon. - Ale daleko jej do Luizy.

Posadziwszy w salonie przysłanego przez Ronalda płatnego mordercę, Clea odchrząknęła i oznajmiła:

- Nie jestem pewna, co Ronald panu powiedział, panie...

- Brown. Jestem Ford Brown. Ronald powiedział mi, że ma pani kłopot, którym trzeba się zająć.

To rzekłszy, nowo przybyły rozsiadł się wygodniej w fotelu od Chippendale'a, a fotel zaskrzypiał.

- No cóż - zaczęła Clea, zaplatając dłonie na kolanach, żeby nie zdradzić się z ich drzeniem. - Jest pewien człowiek... Człowiek, z którym miałam do czynienia w przeszłości... Ale ja sądziłam, że to Ronald nim się zajmie.

- Ronald zajął się nim, bo przysłał do pani mnie. - Ford Brown wyciągnął nogi i założył ręce na piersi. - Co mam zrobić?

No i masz - pomyślała Clea. - Okazuje się, że wystarczy powiedzieć: „Zabij Davy'ego Dempseya” i będzie po kłopotcie. Człowiek, którego mam przed sobą, potrafi to zrobić. Nie ma co do tego wątpliwości. Najpewniej zabił w swoim życiu kilka tuzinów ludzi. A teraz znajduje się tutaj - w charakterze prezentu od Ronalda. Już ja sobie z Ronaldem porozmawiam!

- Proszę pani?

- Czy może pan spowodować, żeby ten człowiek trzymał się z daleka ode mnie? - zapytała. - Czy może pan go powstrzymać od zbliżania się do mnie?

- Na zawsze?

Clea poruszyła się w fotelu.

- No cóż, ja nie chcę go więcej widzieć. Nigdy więcej. Mężczyzna pokręcił głową.

- Musi mi pani powiedzieć wyraźnie, czego pani sobie życzy.

- Życzę sobie, żeby go pan powstrzymał od ścigania mnie - rzekła Clea, usiłując sprawiać wrażenie biedulki, której ktoś grozi. - Nie wiem, ile to by kosztowało...

- Pan Abbott już mi zapłacił podstawowe honorarium - stwierdził mężczyzna. - Wysokość ostatecznego rachunku będzie zależała od tego, jakie jest pani życzenie.

Clea zastanowiła się przez chwilę. Jej życzeniem było, żeby ktoś zepchnął Gwen Goodnight z mostu i wepchnął Davy'ego Dempseya pod autobus. Miała przed sobą faceta, który mógł wykonać oba te zadania. Spojrzała na niego, przygryzając wargę. Wyglądał na bardzo sprawnego w działaniu. Poznała więc w końcu mężczyznę, na którego mogła liczyć. Ironia polegała na tym, że tym mężczyzną był płatny morderca.

- A zatem, proszę pani...

- Zastanawiam się właśnie - powiedziała Clea. - Okej, może po kolei. Chcę, żeby pan tego człowieka obserwował. On się nazywa Davy Dempsey. Jeżeli się tutaj pojawi, usiłując wejść do tego domu, pan ma go od tego powstrzymać. Ma mnie pan przed nim chronić. Ten Davy Dempsey utrzymuje kontakty z pewną kobietą. A ona nosi nazwisko Gwen Goodnight. Sądzę, że oni we dwójkę chcą oszukać mojego narzeczonego. Więc niech pan ma na oku i ją.

- Kobietę? - zdziwił się Ford Brown.

- Powiedziałam: niech ją pan ma na oku - wyjaśniła Clea. - Po prostu - i nic więcej. Jeżeli ta kobieta zbliży się do Masona, ja muszę o tym wiedzieć, żeby go przed nią ochronić.

- Aha - upewniał się Ford Brown. - Chce pani, żebym obserwował...

- I Davy'ego Dempseya, i ją - dokończyła Clea. - Jeżeli któreś z nich zrobi coś podejrzanego, da mi pan znać. I niech ich pan trzyma z daleka ode mnie i od Masona. - Clea usiadła wygodniej. To brzmiało dobrze. Nikt nie miał stracić życia, a ona miała zostać sama z Masonem. - To tyle. Oczywiście jeżeli nie odkryje pan czegoś sprzecznego z prawem albo z zasadami moralnymi w postępowaniu tej Gwen Goodnight. Byłoby dobrze, gdyby tak się stało. Niech to będzie cokolwiek, ale niech będzie. - Ponieważ Ford Brown nie wyglądał na kogoś, na kim to wszystko zrobiło dobre wrażenie, Clea dodała: - Bo ja chcę przed nią ochronić Masona. Przed nią i przed Davym. To jest część pańskiego zadania.

- A gdzie mam ich szukać?

- Ona prowadzi Galerię Goodnightów. - Clea poinformowała go, gdzie znajduje się galeria. - Tam po raz ostatni widziałam też Davy'ego.

- A co, jeżeli będę miał jakieś wydatki? - zapytał Ford Brown.

- Zajmie się tym Ronald - odrzekła Clea, wstając. - Ma pan jakiś numer telefonu, pod którym będę mogła pana znaleźć?

- Podam go pani telefonicznie, kiedy znajdę sobie jakieś lokum - obiecał. - Ale najpierw potrzebne mi rysopisy tych osób. Clea usiadła, nie bardzo wiedząc, jak się go pozbyć.

- No cóż, Davy ma jakieś sześć stóp wzrostu, ciemne oczy, ciemne włosy, jest dobrze zbudowany - zająknęła się, przypominając go sobie - jest cholernie pewny siebie, uważa się niemal za Boga. Gwen ma około pięciu stóp i czterech cali, jest siwiejącą blondynką o wodnistoniebieskich oczach. Ciało nijakie. I w ogóle taka nijaka. Prowadzi galerię. - Clea uśmiechnęła się uśmiechem niewiniątka.

- Aha, no i nie wiem, co, poza śledzeniem mnie, Davy robi w tym mieście.

- Okej.

Clea zauważyła, że Ford Brown nie robił notatek. To pewnie dobrze - pomyślała - bo nie będzie żadnych dowodów. Ford wstał, żeby wyjść. Nareszcie, odetchnęła zadowolona.

- Zadzwoń pan do mnie, gdy coś się wydarzy? - zagadnęła, idąc za nim do drzwi.

- Nie - odrzekł. - Jeżeli coś się będzie miało wydarzyć, ja temu zapobiegnę.

- Świetnie. Wspaniale. Powodzenia.

Zamknęła za nim drzwi i odetchnęła ponownie. Czuła wielką ulgę, bo sobie poszedł, a także dlatego, że miał pilnować Davy'ego. Bóg wie, skąd Ronald go wytrzasnął. Ronald musi mieć swoje, nieznanne jej, tajemnice. Ale skoro już go wytrzasnął, jej kłopoty się skończyły.

Przez chwilę zastanawiała się, co ten Brown miał na myśli, mówiąc: „Ja temu zapobiegnę”. Skoro jednak nie powiedziała mu wprost, że chce, żeby Davy - całkiem martwy - znalazł się w jakimś rowie, to nie poniesie odpowiedzialności, jeżeli on tam rzeczywiście wyląduje.

W sumie udany poranek. Clea ruszyła na górę, żeby się ubrać na wizytę w muzeum, ale zaraz zwolniła kroku. Śniadanie. Trzeba znaleźć numer Tomasza. No cóż, wystarczy wynająć odpowiedniego człowieka, a życie potoczy się gładko.

Naprawdę to bardzo proste.

Była sobota, Gwen spała więc dłużej, ale w południe otworzyła galerię, nalala sobie kawy, włączyła szafę grającą, która zagrała składankę z lat osiemdziesiątych, wyjęła z torby z pieczywem ostatnią pomarańczowo-ananasową bułeczkę i zaniósła to swoje śniadanie, wraz z krzyżówką, na marmurowy kontuar w galerii. Światło słońca wlewało się do wnętrza przez popękana szybę nad oknem wystawowym, a obluźwana metalowa płytką na suficie telepała się lekko w podmuchu powietrza. Tyle lat - pomyślała Gwen. - Wykonuję te czynności stanowczo za długo. I bez wątpienia będę to czyniła przez aż nazbyt liczne kolejne lata. Rozejrzała się po galerii obwieszanej dziełami Dorcas Finster, pokręciła głową, a następnie pochyliła się nad krzyżówką.

Definicja kolejnego słowa, które miała wpisać w kratki, brzmiała: „podatny na grzech lub do niego skłonny”. Nic jej nie przychodziło do głowy. Może Davy będzie wiedział. Odgadł przecież wtedy ten tytuł filmu. No i z całą pewnością jego wiedza na temat grzechu jest więcej niż powierzchowna.

Szafa grająca zagrzmiała nagle głosami Weathergirls, a równocześnie rozległ się dzwonek u drzwi. Gwen podniosła wzrok. Mężczyzna, który właśnie wchodził, był wyższy i szerszy w ramionach od Davy'ego; ciemne włosy siewiały mu na skroniach, a jego twarz była obliczem osobnika wiodącego twarde życie.

- Ma pani pokój do wynajęcia? - zapytał głosem nie tak ostrym, jak się spodziewała, ale także nie łagodnym.

- Yyy, tak - odrzekła, usiłując nie zrobić kroku wstecz. Miała jednak ochotę się cofnąć, nie tyle dlatego, że mężczyzna był groźny, ile że był taki rosły i że zasłaniał całe światło z ulicy. - Będą mi potrzebne referencje...

- Te kwatery zarekomendowała mi pani Clea Lewis - oznajmił mężczyzna. - Ja nazywam się Ford Brown. Może pani zadzwonić do pani Lewis.

- O. - Wzrok Gwen powędrował w stronę telefonu. - Yyy... Mężczyzna wyjął portfel i otworzył go, a Gwen zobaczyła pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

- Osiemset za miesiąc - powiedziała. - I płatne za dwa miesiące z góry.

Mężczyzna odliczył banknoty, w tym kilka studolarówek, a ona patrzyła jak urzeczona. Cudownie! - pomyślała. Skąd u diabła Clea wzięła tego faceta?

- Czy pochodzi pan gdzieś stąd, panie...

- Brown - dokończył. - Nie.

Gwen czekała na dalszy ciąg z uśmiechem.

- Pochodzę z Miami - rzekł, wręczając jej banknoty.

- To tam musiał pan poznać Cleę - powiedziała wesoło Gwen.

Nie zareagował na to uśmiechem, a ona pomyślała: No, przynajmniej nie jest czarujący. Nie przypomina pod tym względem Davy'ego. Który także pochodzi z Miami.

- Zna pan Davy'ego Dempseya? - zapytała.

- Nie.

- On też pochodzi z Miami. - Gwen czuła, że wychodzi na idiotkę. - Tak jak pan. I jak Clea.

- Wy na zimę jeździcie na Florydę, a my na lato do Ohio - powiedział z miną śmiertelnie poważną.

- O! Dlaczego mielibyście na lato przyjeżdżać do Ohio? - zapytała, czekając, aż on stwierdzi: „To był żart”.

On tymczasem wyjaśnił:

- Bo tutaj jest chłodniej.

Spodziewała się, że powie coś więcej, ale on po prostu stał przed nią - wielki i cierpliwy. Było w tym coś perwersyjnego, a Gwen miała stanowczo dość perwersji. Oparła się o kontuar.

- Więc tam, gdzie pan mieszka, nie jest chłodno?

- Ja nie narzekam na upały.

- Klimatyzacja?

Cisza przedłużała się, w końcu oznajmił:

- Mieszkam na wodzie.

Aha, już, na pewno - pomyślała Gwen. - I dlatego przyjechałeś do Ohio, żeby zamieszkać w ciemnym mieszkanku, za które zapłacisz wygórowany czynsz.

- W apartamencie z widokiem na ocean? - próbowała zgadnąć.

- Na mojej łodzi.

- Na łodzi...

Biały piasek, lazur wody, alkoholowe drinki z miniaturowymi parasolkami. Chcę mieć łódź - rozmarzyła się Gwen i zaraz się zmytygowała. Gdzież by tę łódź trzymała?

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał Ford Brown.

- Nie, nie - pospiesznie zaprzeczyła Gwen. - Myślałam o pańskiej łodzi. Założę się, że woda jest tam lazurowa, piasek biały, a wszystkie drinki podaje się z miniaturowymi parasolkami.

- Moje nie.

- Aha, no tak. - Gwen popatrzyła na niego, nieco zirytowana. - Na tej łodzi jest koja i kuchnia, i wszystko, co potrzeba?

- Tak - potwierdził.

- I pan ją zostawił, żeby przyjechać do Ohio, bo...

- Mam tu pracę. Ale nie zabawię długo.

- O - powiedziała Gwen. - Dlaczego więc...

- Bo wynajęcie pokoju u pani jest tańsze niż hotel. - Nie dał jej dokończyć pytania. - Chociaż zbyt szybko to nie idzie.

- Przyniosę klucze. - Dopiero w biurze, grzebiąc w szufladzie, uświadomiła sobie, gdzie on będzie mieszkał. W mieszkaniu numer 2B. Czyli naprzeciwko niej.

Podniosła słuchawkę, znalazła karteczkę z numerem Masona przypiętą do tablicy korkowej, wykręciła numer i słuchając Weathergirls śpiewających *I feel stormy weather moving in*, obserwowała pana Browna przez oszklone drzwi prowadzące do galerii. Przyglądał się pejzażom morskimi namalowanym przez Dorcas Finster. Dzięki nim może nie będzie tęsknił za swoją łodzią. Bo one są w stanie każdego oglądającego zniechęcić do wody. I to na długi czas.

- Halo? - odezwała się Clea.

- Clea? Mówi Gwen Goodnight. Jest tu pewien mężczyzna. Nazywa się Ford Brown. Chce wynająć mieszkanie. Podał panią jako osobę, która...

- Znam go - oznajmiła Clea. - Jest w porządku.

- O. - Gwen znowu popatrzyła przez oszklone drzwi. Ale wcale się nie uspokoiła. - Dobrze. Dziękuję.

Clea za niego ręczyła, a on miał przy sobie tysiąc sześćset dolarów gotówką. No cóż, jeżeli on mnie zabije, to zasłużenie, bo się przecież sprzedałam - pomyślała Gwen i wróciła do swego gościa, czując, że od strony finansowej z nim poszło jej lepiej niż z Davym.

- Drzwi są na lewo - poinformowała go, wręczając mu klucze. - Zaprowadzę pana.

Kiwnął głową.

- Dzięki.

Gdy szedł za nią po schodach, czuła się nieswojo. A może los da mi jakiś znak, że wszystko jest w porządku? - pomyślała i, wiedzioną impulsem, odwróciła się.

- Nie zna pan przypadkiem słowa na osiem liter, które oznacza „zdolny do grzechu”? - zapytała.

- Nie, proszę pani - odrzekł, a wargi mu drgnęły.

- O. - Gwen wzruszyła ramionami, czując się jak idiotka. Zawsze się gubiła, gdy uśmiechał się do niej jakiś facet - nawet taki, którego się bała. - Tak tylko zapytałam. Bo widzi pan, ja rozwiązuję krzyżówki, a to hasło mnie dobiło.

Kiwnął głową.

Gwen westchnęła, a Ford Brown wszedł do pokoju, rozejrzał się bez słowa, podziękował za pomoc i zamknął drzwi. Ona natomiast została w holu, trochę tym wszystkim wytrącona z równowagi.

Wynajęłam pokój mordercy - pomyślała - który morduje siekierą i jest właścicielem łodzi. Obejrzała się. Niżej na schodach stała Matylda.

- Kto to był? - zapytała.

- Pan Brown - odrzekła Gwen, schodząc. - Wynajął właśnie mieszkanie numer 2B.

- Boże miłosierny. - Matylda weszła za matką do biura.

- Naprzeciwko ciebie. Gwennie, szczęście się w końcu do ciebie uśmiechnęło.

- To jest lokator - powiedziała Gwen z naciskiem.

- No cóż. Jestem za tym, żebyś się w to wdała.

- Tak jak ty? - zapytała Gwen, a Matylda zamilkła. Otworzyły się drzwi i z ulicy do galerii wkroczyła Nadine, przesuając językiem po zębach.

- Po dentyście człowiek zawsze czuje się dziwnie - oznajmiła.

- Pozdrowienia od doktora Marka. Wszyscy byli zachwyceni na wieść, że czyściłam zęby nicią. Co się znowu dzieje? - Popatrzyła ciekawie na babkę i ciotkę.

- Gwennie wynajęła właśnie ostatnie wolne mieszkanie - odrzekła Matylda. - Pewnemu zabójczemu facetowi.

- Simonowi? - dopytywała się Nadine.

- Kto to jest Simon? - chciała wiedzieć Gwen.

- To jeszcze jeden zabójczy facet - rzekła Matylda, marszcząc brwi. - Cóż, można stwierdzić, że mamy tu ich zatrzęsienie.

- Simon? - powtórzyła Gwen.

- To kolega pana Davy'ego - wyjaśniła Nadine. - Mieszka w jego pokoju. To on zapłacił za mieszkanie.

- Skoro tak, to gdzie mieszka Davy? - próbowała dociec Gwen.

- A co z tym panem Brownem? - domagała się informacji Matylda.

- Wydaje mi się, że z ciotką Matyldą - Nadine podzieliła się swoją wiedzą.

Gwen spojrzała na Matyldę, a ta na sufit.

- No tak - powiedziała Gwen. - A co do pana Browna, jestem pewna, że to człowiek bardzo miły. Ma w sobie coś z kowboja. Nosi imię Ford. Być może jego matka tuż przed porodem oglądała jakiś film Johna Forda.

- Ford Brown? - zastanowiła się Matylda, odrywając wzrok od sufitu. - Znasz jego drugie imię?

- Nie. - Gwen wróciła na swój stół z kontuarem. - Ale mam jego tysiąc sześćset dolarów.

- Jeżeli ono brzmi Madox, to wzięłyśmy sobie lokatora z fałszywą tożsamością - wyraziła przypuszczenie Matylda - albo też potomka słynnego malarza, ale to chyba mało prawdopodobne?

- Słynnego malarza? - powtórzyła Nadine. Gwen pokręciła głową.

- Albo syna wielbicielki samochodów. Nie popadajmy w paranoję. Co rzekłszy, wzięła do ręki broszurę z krzyżówkami.

- Ja idę teraz na próbę - oznajmiła Nadine. - Informujcie mnie o tym malarzu-kowboju.

- Będziesz pierwszą osobą, której dostarczymy informacji. Gwen zajęła się swoją krzyżówką.

- Wybieramy się z Davym po pewien obraz. - Matylda pocałowała matkę w policzek. - Zadzwoń, gdyby potrzebna nam była kaucja.

- Świetnie. - Gwen przebiegła wzrokiem listę definicji, a Matylda wyszła przez biuro.

Bogu niech będą dzięki za te krzyżówki. Są takie uspokajające. Skłonny do grzechu. Osiem liter. Ford Brown - pomyślała. Nie, to jest dziewięć. Pączek.

Przeszła do kolejnej definicji.

Rozdział dziewiąty

Na górze Davy, który przejrzał już zapiski dotyczące Scarlet, zastanawiał się właśnie nad swoją przyszłością.

- Słuchaj, Steve, zaczyna mi się podobać ten pokój - zwrócił się do psa, który tak samo jak on leżał rozwalony na białej narzucie. - Podobnie jak jego właścicielka, kryje w sobie nieskończone możliwości. - Steve westchnął i położył głowę między łapami, a Davy podrapał go za uszami. - Lubisz ją, prawda? Masz rację. Ona cię nigdy nie zawiedzie. U niej masz zapewnione sucharki i spanie na łóżku.

Steve przekrzywił łeb, słuchając uważnie, a Davy pomyślał o Matyldzie, która opiekuje się wszystkimi nokoło i która tak rozpaczliwie pragnie odzyskać te obrazy, bo nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział, że jej ojciec sprzedawał falsyfikaty.

W tych obrazach musi być coś złego, coś groźnego, musi w nich być coś, co zmusiło Matyldę do zejścia na drogę przestępstwa. Bo przestępstwo jako takie z całą pewnością nie leży w jej naturze. Davy zastanawiał się przez chwilę, jaką osobą byłaby Matylda, gdyby zamiast własnego ojca wychował ją jego rodziciel. I doszedł do wniosku, że różnica nie byłaby zbyt wielka, bo istnieją ludzie krystalicznie czysti. I Matylda do takich ludzi należy. Należy do ludzi, w których nie ma szaleństwa skłaniającego do wkroczenia na zakazane tereny, nie ma w ich krwi tego, co sprawia, że każdy nerw wibruje, a każdy dźwięk i zapach zostają wyolbrzymione do kolosalnych rozmiarów. Boże, jak mi tego brakuje - pomyślał. - Dzięki, tato, że mnie wychowałeś na faceta uzależnionego od adrenaliny. Tak, był od niej uzależniony, ale przynajmniej nie upodobił się do swego szanownego rodzica. To byłby dopiero prawdziwy horror.

Musi istnieć jakiś inny sposób - zastanawiał się - pozwalający człowiekowi tak się nakręcić. Sposób zgodny z prawem. Skoki na bungee. Nie, to głupie. Narkotyki. Nie, to nielegalne. Seks. No cóż, seks to Matylda. Okej, nie za bardzo im wyszło, nie była zachwycona, ale mogliby przecież spróbować jeszcze raz i tym razem spisałby się lepiej. Gdyby zechciała, mogłaby nawet gryźć, do czego - sądząc po makatkach Gwennie - jest genetycznie predysponowana. Davy zaczął rozmyślać o Matyldzie jako o substytucji przestępstwa, wskutek czego, gdy wraz ze Steve'em usłyszeli jej kroki na schodach, znajdował się w dość wesołym nastroju.

- Próbowaliśmy zgadnąć, gdzie jesteś - powiedział, gdy ukazała się w drzwiach, a Steve, merdając ogonem, usiadł na łóżku.

- Pracowałam - odrzekła Matylda. - Pamiętasz, ja jestem Matylda Weronika, twórczyni fresków. Z mojej pracy biorą się tutaj pieniądze na zapłacenie rachunków, mój chłopcze. - Cmoknęła na Steve'a.

- Cześć, szczeniaczku.

- Czy Weronika to ta wredna, lubiąca rządzić ludźmi, dominująca suka, o której wspomniałaś wczoraj wieczorem? - zapytał Davy, próbując ją sobie wyobrazić ubraną w skórę i cmokającą na kochanka. Okazało się to zaskakująco łatwe. Poklepał łóżko obok siebie.

- Chodź i porozmawiajmy o tych obrazach.

- Wszystko jest w tych zapiskach. - Usiadła obok niego, a Steve wszedł jej na kolana i westchnął uszczęśliwiony. - Pierwszym z nich był pejzaż miejski - powiedziała, drapiąc psa za uszami. - To właśnie ten pejzaż Nadine sprzedała Clei.

- I to właśnie jego wciąż nie mogę ukraść. - Davy patrzył, jak Steve przeciąga się z rozkoszą, poddając się pieszczocie.

- Na drugim obrazie były krowy, a na trzecim kwiaty - mówiła dalej Matylda. - Te udało ci się podprowadzić.

Poprawiła okulary i uśmiechnęła się do niego jakimś takim niesymetrycznym uśmiechem.

Był to pierwszy prawdziwy uśmiech, jakim go obdarzyła, a on pochylił się ku niej i poczuł ciepło bijące od jej ciała.

- Następnie były motyle - kontynuowała. - Obraz z motylami kupiła osoba nazwiskiem Susan Frost. Mieszkająca w Gahannie.

- Motyle - powtórzył Davy, zastanawiając się równocześnie, co zrobiłaby Matylda, gdyby on dotknął teraz jej ciepłego podbródka.

- A potem syreny - ciągnęła Matylda. - Syreny kupił facet nazwiskiem Robert Olafson, który mieszka w Westerville.

Może - pomyślał Davy - może nie czekać na zakończenie całej tej relacji. Może...

- No i ostatni, który, nie wiem jakim cudem, mojemu ojcu udało się sprzedać, przedstawia tancerzy - oznajmiła Matylda. - Ten dostał się w ręce państwa Johnstwa Brennerów.

- Dlaczego mówisz o cudzie? - Davy był zachwycony energią dźwięczącą w jej głosie.

- Bo na tym obrazie były takie smugi - odrzekła Matylda. - Ten obraz był uszkodzony. Ale tata i tak go sprzedał.

Mówiąc o tym, sprawiała wrażenie nieszczęśliwej, Davy postanowił więc zmienić temat.

- Okej, dzisiaj odzyskamy motyle - zakomunikował.

- A nie moglibyśmy dzisiaj odzyskać ich wszystkich? - zapytała Matylda. - Nie moglibyśmy ich po prostu odkupić?

- Oczywiście - rzekł Davy. - Pod warunkiem, że wszyscy ci ludzie zechcą je sprzedać. I że nie zażądamy więcej, niż my możemy wydać. Działajmy powoli i rozsądnie.

- O. - Matylda przełknęła ślinę. - A ja myślałam... no... myślałam, że ty możesz wszystko.

- Ponaglając cudotwórcę - pouczył ją Davy - otrzymuje się kiepskie cuda.

Matylda poprawiła zsuwające się okulary.

- A co zrobimy, jeżeli ktoś nie będzie chciał sprzedać obrazu?

- Przekonamy tego kogoś, żeby to zrobił. - Davy nie tracił humoru.

Matylda zmieniła się na twarzy.

- O co chodzi? - zapytał Davy.

- Mówisz dokładnie tak jak ktoś, kogo kiedyś znałam.

- Jak twój tata - domyślił się Davy.

- Nie - skłamała Matylda.

Kłamstwo jednak, jak zwykle, jej nie wyszło.

- Kto podrobił obrazy Scarlet, Matyldo?

- Obrazy Scarlet nie są falsyfikatami. - Matylda wstała. - Ale i tak musimy je odzyskać.

- Dobra - rzekł Davy, staczając się z łóżka. - Ale spróbuj tym razem nikogo nie kopnąć.

- O Boże, ja robię, co mogę, żeby o tym zapomnieć. - Matylda skrzywiła się. - Ale temu facetowi nic się nie stało, prawda?

- W gazecie nic o nim nie pisali - odrzekł Davy. - No a poza tym on nie ma prawa się skarżyć, bo sam też się włamywał. Z pewnością odzyskał przytomność i zmył się stamtąd jak najprędzej.

- Masz rację. - Matylda otworzyła drzwi sypialni, pozostawiając na łóżku nieutulonego w rozpacz Steve'a. - Jesteś pewien, że wiesz, jak to wszystko przeprowadzić?

- Oczywiście - zapewnił ją Davy. - Wiem doskonale.

Na dole w galerii Pippy Shannon śpiewała *He Is*. Zadzwoił telefon, a Gwen z obrzydzeniem odkryła równocześnie, że odpowiednikiem „ukochanej” jest „kicia”.

- Galeria Goodnightów - powiedziała do słuchawki, wciąż marszcząc brwi nad broszurą z krzyżówkami.

- Gwen? Tu Mason Phipps.

- O. - Gwen odłożyła broszurę, usiłując sprawiać wrażenie wesołego niewiniątka. - Witaj.

- Chciałem ci podziękować za wczorajszy wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie - skłamała Gwen. - Naprawdę. Było jak dawniej. Jak za dawnych dobrych lat.

- Pragnąłbym okazać ci wdzięczność, zapraszając cię jutro na późny lunch - powiedział Mason. - Możesz uwolnić się od galerii w niedzielę, prawda?

Ja nigdy w życiu nie uwolnię się od galerii.

- Nie wiem...

- Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś się mogła ze mną spotkać. Powiedzmy koło drugiej?

Gwen wydawało się, że ton, jakim mówi Mason, świadczy o jego bezradności. Biedny człowiek, on mieszka przecież z Cleą. A w takich okolicznościach każdy byłby psychicznie udręczony.

On na pewno będzie chciał rozmawiać o Tonym - pomyślała. - Ale z drugiej strony jeżeli nie zjem lunchu w jego towarzystwie, to zjem go w towarzystwie krzyżówki.

- Podaj mi słowo na osiem liter oznaczające „zdolny do grzechu”, a pójde z tobą na ten lunch - zwróciła się do Masona.

- Dobrze - zgodził się, nieco zaskoczony. - Masz jakieś litery?

- Zaczyna się na „w”, a kończy na „y”.

- Chwileczkę - powiedział, a ona poznała po jego głosie, że się uśmiecha. Jaki on miły. Powinnam pójść na ten lunch. - Może „występny”, co? - zaproponował w końcu Mason.

- Występny?

- No wiesz, grzech to inaczej występki. Gwen spojrzała w broszurę.

- Chwileczkę. - Wpisała litery. - A niech mnie!

- Pasuje? - zapytał Mason.

- Zjem z tobą lunch. - Roześmiała się na myśl o absurdalności tego wszystkiego. - Nie mogę uwierzyć, że trafiłeś. Sama nigdy bym na to nie wpadła.

- Miałem motywację - przypomniał Mason, a jego ton świadczył, że uśmiecha się jeszcze szerzej niż poprzednio.

- Podziwiam cię, naprawdę. - Gwen mówiła zupełnie szczerze.

Przez chwilę rozmawiali o krzyżówkach, Mason podziękował jeszcze raz za wczorajszy wieczór, a potem, odłożywszy już wreszcie słuchawkę, Gwen złapała się na tym, że nie może się doczekać spotkania. Ciekawe, czy to jest randka - pomyślała. - Co prawda, to tylko lunch. Ale Clei z nami nie będzie. Ciekawe...

Pippy kończyła właśnie śpiewać swoją piosenkę, gdy otworzyły się drzwi i Gwen zobaczyła Forda Browna, który w jej oczach miał na zawsze pozostać kowbojem kojarzącym się ze słowami: Och, kochanie, nie opuszczaj mnie.

Starła się nie zwracać uwagi na grającą jej w głowie muzykę.

- Czy na górze wszystko jest w porządku?

- W porządku - odrzekł krótko i rozejrzał się po galerii. - Ładnie tu.

Gwen popatrzyła na brudne ściany i popękane okno, a także na ciemną drewnianą podłogę.

- Mhm.

Jego wargi drgnęły ponownie, wykonując grymas, który jednak nie był tak do końca uśmiechem.

- Powiedziałem tak przez grzeczność.

- Ale taki komplement ma sens tylko wtedy, kiedy jest w nim ziarno prawdy. - Gwen zastanawiała się, do czego on zmierza.

Znała tego człowieka od niedawna, była jednak pewna, że on w tej chwili okazuje niezwykłą jak na siebie gadatliwość.

- Dlaczego tutaj tak nie jest? - zapytał i z rękami w kieszeniach przedfilował przed obrazami Dorcas Finster.

- To znaczy jak? Ładnie? - Gwen wzruszyła ramionami. - Z braku pieniędzy.

Ford zatrzymał się przed popękaną szybą.

- To - wskazał szybę ruchem głowy - nie kosztowałyby znów tak wiele.

- Czy pan jest przedsiębiorcą budowlanym?

- Można by tak powiedzieć. - Ford stanął przed nią. - Wybieram się na lunch. Gdzie jest pani ulubiona restauracja?

- Lunch - powtórzyła. Ford cierpliwie kiwnął głową.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest najlepsza restauracja, a ja się odwdzięczę, przynosząc pani lunch.

- Czyżbym wyglądała na głodną? Jest pan drugim facetem, który w ciągu ostatniego kwadransa proponuje, że mnie nakarmi.

- Człowiek musi jeść - powiedział Ford. - I o tej porze ludzie zwykle jadają lunch. Jest tak nawet na Florydzie.

- Co pan powie. A mnie się zdawało, że wy tam żywicie się owocami pływającymi w drinkach ozdobionych miniaturowymi parasolkami.

- O co chodzi z tymi parasolkami? Ciągłe pani o nich mówi.

- A... tak jakoś... kojarzą mi się z ochroną przed deszczem.

- Gwen wróciła do krzyżówki. - Niech pan spróbuje w Fire House. Mają tam świetne owoce morza. Poczuj się pan jak w domu.

Godzinę później Ford przyniósł jej piña coladę ozdobioną miniaturową parasolką.

- Z dodatkową porcją owoców - oznajmił, stawiając ją na kontuarze.

A potem poszedł na górę.

- Cholera - szepnęła zaskoczona Gwen i skosztowała. Piña colada była pyszna.

Po południu, siedząc już w samochodzie Jeffa, Davy powiedział do Matyldy:

- Zrobimy tak: ja podejść do drzwi. A ty będziesz mnie obserwowała. Zostaniesz w samochodzie, chyba że ja zrobię jedną z trzech rzeczy...

- Trzy rzeczy - zakonotowała sobie Matylda.

- Jeżeli przywołam cię gestem i zwrócę się do ciebie per Betty - graj słodką idiotkę. Ja będę tym, który dowodzi, będę cię traktował trochę protekcyjnie, a ty grzeb w torebce.

- W dużej torbie - poprawiła go Matylda, podnosząc swoją torbę w górę. - Czy Betty ma być słodką idiotką dlatego, że ja wtedy w garderobie wszystko schrzaniłam?

- Wcale nie schrzaniłaś wtedy wszystkiego - odrzekł. - W garderobie byłaś Vilma. Jeżeli zechcę mieć do czynienia z demonem seksu, nazwę cię Vilma. Niestety, nie przewiduję, żeby to nastąpiło dziś po południu. Jeżeli natomiast zwrócę się do ciebie imieniem Betty i powiem, że jesteśmy razem od roku, wręczysz frajerce banknot studolarowy, a potem zaczniesz szukać następnego.

- Frajerce?

- Uważaj - Davy mówił surowo. - Jeżeli powiem, że jesteśmy razem od roku...

- Wręczam frajerce studolarówkę i zaczynam szukać kolejnej - dokończyła Matylda.

- Tak. Jeżeli powiem, że jesteśmy razem od dwóch lat...

- Daję jej dwieście - pojęła Matylda.

- Świetnie.

- Ale dlaczego?

- Bo skoro już weźmie pieniądze, trudno jej będzie je zwrócić. Jeżeli wręczysz jej banknot, szukając drugiego, weźmie go machinalnie i złapie się na haczyk.

- A nie możemy po prostu zaproponować jej pieniędzy?

- Możemy. Ja zrobię to na wstępie. Jeżeli jednak to nie zadziała, włączysz się ty.

- Dobra. - Matylda skupiła się. - Po pierwsze, Betty. Słodka idiotka. Pieniądze.

- Po drugie, spojrzę na zegarek. Wtedy ty powiesz, że robi się późno i że musimy już jechać.

Matylda kiwnęła głową.

- Czy mam być miła?

- Orientuj się po moim zachowaniu. Jeżeli zwrócę się do ciebie jako do Weroniki i będę sprawiał wrażenie, że się ciebie boję, bądź po prostu jędzą. - Matylda westchnęła. - Jeżeli nazwę cię Betty i warknę na ciebie, ty masz dać sobą pomiatać. Załatwiamy sprawę na czas - jeżeli frajer się nie pośpieszy, to straci.

- Na czas. Okej. A co po trzecie?

- Po trzecie, ja zakładam ręce do tyłu, a wtedy ty się włączasz jako wróg.

- Wróg? - powtórzyła Matylda.

- Jeżeli nie będę w stanie sam obrobić frajera, muszę dać mu powód, dla którego on się ze mną sprzymierzy - tłumaczył Davy. - Najłatwiej jest to osiągnąć za pomocą wspólnego wroga. Tym wrogiem będziesz ty.

- Dobra - zgodziła się Matylda. - Co mam robić?

- Znowu kieruj się moim zachowaniem. Jeżeli nazwę cię Weroniką i dam sobą pomiatać, powiedz, że nie będę umiał zdobyć tego obrazu. Albo coś w tym rodzaju. Potraktuj mnie, jak przystało na wściekłą sukę. Powiedz, że byłaś pewna, że nie będę umiał tego załatwić. Naskocz na mnie.

- A w jaki sposób to działa? - zapytała Matylda, marszcząc brwi.

- Jeżeli ten ktoś, kto nam otworzy, mieszka z taką wściekłą suką, to stanie po mojej stronie. Jeżeli natomiast to on okaże się osobnikiem skłonny do znęcania się nad słabszymi, ja zwrócę się do ciebie per Betty, a ty zaczyniesz skamleć.

- Nie skamlałam przecież w garderobie:

- Nie skamlałaś, to prawda. Ale teraz zacznij skamleć. Bądź jak najbardziej irytująca. Stwórz sytuację, w której ten facet przy drzwiach pomyśli, że ja właściwie powinienem na ciebie naskoczyć. Zaczynij labiedzić, że ten głupi obraz nie jest nam potrzebny, że te pieniądze powinniśmy raczej wydać na ciebie.

- Okej, chyba rozumiem. - Matylda siedziała przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, a potem kiwnęła głową. - Betty to słodka idiotka, Weronika to dominująca wściekła suka, a Vilma to dziwka. Nic miałam pojęcia, że tak wiele o mnie myślisz.

- Matyldo, skup się - upomniął ją Davy. - Mam zamiar przeprowadzić wszystko tak, żebyś w ogóle nie musiała się włączać.

Lepiej będzie, jeżeli te cholerne obrazy po prostu kupimy. A poza tym bez względu na to, jak je zdobędziemy, im mniej będzie rozpoznawalnych twarzy związanych z całym przedsięwzięciem, tym lepiej. - To rzekłszy, spojrział w jej jasnoblękitne oczy i stracił na chwilę wątek. - Ciebie się łatwo zapamiętuje, Celeste.

- O - odrzekła Matylda. - Ja zaraz coś na to zaradzę, Ralphie. Zaczekaj chwilę.

Po tych słowach wysiadła z samochodu, a Davy opadł na oparcie. I co teraz? Gdy piętnaście minut później wciąż jej nie było, otworzył drzwiczki i też wysiadł. Znalazł ją w następnej chwili i nie wierzył własnym oczom.

Zaczesła ciemne kędziory do góry, ujmując je w gładki kok, i zdjęła okulary. Miała na sobie różowy obcisły sweterek oraz zielony szalik w kropki. Wyglądała na porządną, godną szacunku japiszonkę i zupełnie nie przypominała samej siebie.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Davy. - Jak ty to osiągnęłaś?

Matylda wsunęła się na przednie siedzenie.

- Zastosowałam piankę do układania włosów, tusz do rzęs, włożyłam ciemne szkła kontaktowe, a także sweterek, szalik i spodnie Ewy. Czy teraz mogę podejść z tobą do drzwi?

- Nie - odrzekł Davy. - Zostaniesz w samochodzie. Ale naprawdę jestem pod wrażeniem.

A także napalony - dodał w myśli. - Witaj, Vilmo.

- Tylko się nie podniecaj - zmytygowała go Matylda i wyciągnęła z torebki pierwszą kartę katalogową. - Jedźmy na spotkanie z panią Susan Frost, posiadaczką ślicznego obrazu Scarlet z motylami, za który zapłaciła pięćset dolarów. Ta pani mieszka w Gahannie. Jedźcie się tam drogą numer 670.

Dwadzieścia minut później Davy zatrzymał samochód przed porządnym parterowym domkiem w Gahannie.

- Okej. Masz pieniądze?

Matylda otworzyła portfel i wyjęła dziesięć szeleszczących studolarówek.

- Simon nie jest fałszerzem, prawda?

- Nie - odrzekł Davy. - Nie potrafi się w wystarczającym stopniu skoncentrować. A dlaczego pytasz?

- Bo to są pieniądze od niego. Te, którymi zapłacił za twoje mieszkanie.

- Za swoje mieszkanie - poprawił ją Davy. - Ja w tym mieszkaniu nie byłem od chwili, gdy się pojawił. Daj mi pięć banknotów, a może załatwię wszystko bez ciebie.

- Ten obraz przedstawia motyle - przypomniała Matylda, wręczając mu banknoty. - Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszła?

- Na pewno. - Davy otworzył drzwiczki. - Siedź w samochodzie i obserwuj mnie. Na wypadek gdybyś musiała się włączyć, ja jestem twoim mężem i mam na imię Steve.

- Dobra - powiedziała Matylda.

Drzwi domu otworzyła milcząca kobieta w wieku Gwennie. Davy uśmiechnął się do niej i natychmiast porzucił pomysł, by poprosić o obrazy na cele charytatywne. Był pewien, że ona zażąda pieniędzy i na dodatek wycisnie z nich, ile się da.

- Czy pani Frost?

- Tak. - Jej ton był podejrzliwy.

- Dzień dobry - zaczął Davy. - Nazywam się Steve Foster. Pani mnie nie zna, ale ciotka mojej żony odwiedzała panią kiedyś wraz ze swoją przyjaciółką. - Tu pokręcił głową. - Nie mogę sobie przypomnieć, jak ta przyjaciółka się nazywała.

- No i? - zagadnęła pani Frost.

- Przepraszam, że mówię tak nieskładnie. - Davy włożył ręce do kieszeni i uśmiechnął się rozbrajająco, jakby chciał powiedzieć: „Ale ze mnie idiota”. - Chyba jestem zdenerwowany.

- Czego pan chce? - zapytała pani Frost, a wyraz jej zaciśniętych ust nieco złagodniał.

- Dzisiaj przyjeżdża do nas ciotka mojej żony. - Davy zabrał się poważnie do rzeczy. - Kończy właśnie sześćdziesiąt lat. Była kiedyś dla Betty naprawdę bardzo dobra. Gdy przed laty odwiedziła panią, zobaczyła obraz z motylami. Z jej opowieści wynika, że na tym obrazie było także niebo w szachownicy. Ciotka mówiła, że przez całą wizytę patrzyła na ten obraz, a potem śniła o nim w nocy. Była nim zachwycona.

- Chyba ją pamiętam. - Wyraz twarzy pani Frost stał się nieco mniej podejrzliwy. - Czy jej przyjaciółka nazywa się Bernadette Lowell?

- Możliwe - odrzekł Davy, obserwując jej twarz z uśmiechem. - Chyba tak. Betty bardzo pragnie kupić ten obraz dla ciotki. Ale jest nieśmiała. To ona, siedzi tam w samochodzie. - Odwrócił się i pomachał ręką Matyldzie. - Byłaby taka szczęśliwa, a i ja byłbym zachwycony, widząc, że się cieszy.

- Nie mam pojęcia, co się z tym obrazem stało - powiedziała pani Frost, patrząc w stronę samochodu.

- Dzień dobry - odezwała się Matylda, podchodząc i stając obok Davy'ego, który, uśmiechnięty i pewny siebie, objął ją ramieniem.

- Nie wstydź się, Betty - rzekł, a Matylda zgarbiła się. - Pani Frost nie jest pewna, czy ma ten obraz. Nie wiedziała go od jakiegoś czasu...

- Och, ale my za niego zapłacimy! - zapewniła Matylda, udając idiotkę i szukając czegoś w torebce. - Wiem, że pani przeszkadzamy... - Wyjęła banknot studolarowy, na którego widok pani Frost zaświeciły się oczy. - Wiem, że to mało. - Matylda podała pani Frost banknot, który ta natychmiast chwyciła, po czym dalej szukała w torebce. - Przepraszam, jestem pewna, że mam tu jeszcze jeden...

- Zaraz. - Davy ścisnął ją lekko za ramię. - Pani nie jest nawet pewna, czy go ma. Być może...

Twarz pani Frost była teraz maską chciwości.

- Sprawdzę na poddaszu - powiedziała i odeszła, nie oddając Matyldzie banknotu.

- Jestem pewna, że on gdzieś tu jest - stwierdziła Matylda, pakując niemal głowę w czeluść torby.

- W porządku, kochanie. - Davy poklepał ją po ramieniu, dziwiąc się, że udawanie tak dobrze jej idzie. Może mylił się co do niej. Może Michael Dempsey wychowałby ją na oszustkę. Dzięki Bogu nie urodziła się w rodzinie Dempseyów. - Nie martw się, pani go szuka - zapewnił ją, a Matylda podniosła na niego wzrok z tak szczerym uśmiechem, że on ściskając mocniej jej ramię, jeszcze raz podziękował niebiosom, że nie pochodzi z jego rodziny.

- Och, mam nadzieję, że go znajdzie. - Matylda znowu zaczęła przeszukiwać swoją torbę. - Poczekaj, jest!

Wyjęła następną studolarówkę.

- To dobrze. Nie chowaj jej i postaraj się uspokoić.

Usiedli na najwyższym stopniu schodów i Matylda zaczęła opowiadać, jak bardzo ciocia ucieszy się z obrazu. Davy tymczasem obejmował ją ramieniem, czując ciepło jej ciała, i myślał: Cholera, to jest szczęście.

- Czy to ten? - odezwała się zza ich pleców pani Frost jakiś kwadrans później.

Davy podniósł głowę, a jego wzrok padł na zakurzony kwadratowy obraz przedstawiający najbardziej niesamowite motyle, jakie w życiu widział.

- Tak! - Matylda skoczyła na równe nogi. - Odpowiada dokładnie opisowi cioci. Och, cudownie. I proszę posłuchać... - Wyciągnęła rękę ze studolarówką - Znalazłam drugą setkę - dokończyła i wcisnęła ją w rękę pani Frost.

- Ale my, proszę państwa, zapłaciliśmy za ten obraz ponad tysiąc dolarów - wycedziła ta ostatnia.

- O. - Matylda, zdruzgotana, spojrzała na Davy'ego. - Steve, my nie możemy...

- No cóż, zaczekaj, kochanie - powiedział Davy i wyjął portfel. - Odliczył jedną dwudziestodolarówkę, jedną dziesięciodolarówkę oraz cztery banknoty dolarowe. - Możemy dać jeszcze trzydzieści cztery dolary - oznajmił, wręczając pani Frost banknoty i patrząc przepraszająco na Matyldę. - Zjemy po prostu w domu, zamiast zapraszać ciocię Gwen do restauracji. Ty zresztą gotujesz lepiej niż którykolwiek kucharz.

- Och, Steve - powiedziała Matylda i spuściła głowę. Davy przysiągłby, że się zarumieniła.

- Dobrze - odezwała się pani Frost, biorąc banknoty i najprawdopodobniej chcąc się pozbyć tych gości, zanim zrobią się jeszcze bardziej cikliwi. - Proszę.

- Och, dziękuję bardzo - wykrzyknęła Matylda, chwytając obraz.

- Och, ciocia będzie taka...

Pani Frost zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

- ... szczęśliwa - dokończyła Matylda tonem słodkim jak miód.

- Chodź, kochanie - rzekł Davy, biorąc ją pod ramię. - Wracamy do cioci.

Gdy znaleźli się już w samochodzie, Matylda stwierdziła:

- Ona wcale nie zapłaciła tysiąca dolarów.

- Okej. Ty też nie. - Davy oddał jej pięć stówek i włączył silnik.

- A co do tych motyli...

- Rany boskie! - Matylda przechyliła obraz tak, żeby padło na niego światło. - Nie widziałam tego obrazu od piętnastu lat.

- ... to Scarlet, malując je, musiała być nieco poirytowana - dokończył Davy, wyjeżdżając na drogę. - Wyglądają tak, jakby były zdolne pożreć całą krowę. I to w szybszym tempie niż pirania.

- Och. - Matylda przyjrzała się motylom. - Są trochę podenerwowane, prawda? No cóż, Scarlet miała pewne problemy.

- Wciąż obstajesz przy tym, żeby od razu jechać po następny obraz? - zapytał Davy.

- Nie! Wstrzymajmy się do jutra. Do tego czasu powinnam ochłonąć ze strachu. Nigdy w życiu tak się nie bałam jak dzisiaj.

Davy spojrział na nią zaskoczony.

- Nie było tego po tobie widać. Byłaś świetna.

- Naprawdę?

- Zupełnie jak aktorka.

- To dzięki Gwennie. - Matylda znowu patrzyła na motyle. - Obie z Ewą odgrywałyśmy Lady Makbet jeszcze w przedszkolu. A Nadine potrafiła to jeszcze wcześniej. Powinieneś usłyszeć, jak sepleniąc wypowiada słynny monolog. Była wprost niesamowita.

- No tak. - Davy rzucił okiem na profil Matyldy, która wciąż przyglądała się obrazowi. - To taki rodzinny talent.

- Ty też byłeś cholernie dobry - zapewniła go Matylda. - Sama Gwennie nie odegrałaby tego wszystkiego lepiej. Byłeś zadziwiający.

Oj Vilmo, ty nie masz zielonego pojęcia, co ja potrafię - pomyślał Davy.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna - powiedziała uroczyście Matylda.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł, obserwując drogę.

Matylda nastawiła się na to, że tej nocy Davy znowu się z nią prześpi, ale on wraz z Simonem udał się Bóg jeden wie dokąd. Poczuli się więc dziwnie opuszczona: uważała, że powinni byli przynajmniej uczcić dzisiejszy sukces. Nadine pojawiła się wkrótce po wyjściu obu mężczyzn. Spieszyła się na występ z zespołem Burtona, przekazała zatem Matyldzie Steve'a, który miał na nosie krwawiącą ciętą ranę.

- Co mu się stało? - spytała przerażona Matylda.

- Idąc na górę, spotkał Ariadnę - odpowiedziała Nadine, kręcąc głową nad delikwentem.

- I ona cię napadła, biedaku? Matylda przytuliła kudłate ciało Steve'a.

- Nie - wyjaśniła Nadine. - On się na nią rzucił i próbował... no... próbował ją bzyknąć.

Matylda przestała tulić psa do serca i spojrziała mu w oczy.

- Ależ Steve, to jest przecież kotka.

- A on jest facetem - przypomniała Nadine. - A ja spóźnię się na spotkanie z Burtonem. Gdzie Davy?

- Wyszedł z Simonem. - Matylda wciąż nie wiedziała, co zrobić ze Steve'em. - Wkrótce wróca.

Kiedy Luiza dotarła do domu o północy, nos Steve'a wyglądał już lepiej, a Simona i Davy'ego wciąż nie było. Zjawili się jednak pięć minut później, jak na komendę.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! - powiedziała Matylda, gdy Simon i Luiza zniknęli już na górze.

- Akurat, zbieg okoliczności. Simon przez cały wieczór patrzył na zegar. Ona musiała mu powiedzieć, o której kończy pracę.

To rzekłszy, udał się na górę, a gdy Matylda godzinę później weszła wraz ze Steve'em do sypialni, zastała go w swoim łóżku. Spał głęboko i wyglądał przy tym jak upadły anioł.

Świetnie - pomyślała. - Lucyfer pod moją kołdrą. Bo przecież nie w niebie nauczył się kantować ludzi.

Ale na drugi dzień rano, kiedy wróciła już ze spaceru ze Steve'em, doszła do wniosku, że Davy jest raczej aniołem niż szatanem.

- Dzień dobry - powitała Gwen i Ewę, wchodząc do biura. - Co słychać? - Nalała sobie soku, a tymczasem Steve zaatakował miskę z psim żarciem. Matka i siostra uważnie Matyldę obserwowały. - O co chodzi? - zapytała.

- W nocy Luiza odbyła rozmowę z Simonem - poinformowała ją Gwen.

- Tak?

Matylda, unosząc brwi, spojrzała na Ewę.

- On pracuje dla FBI - powiedziała Ewa, a Matylda z wrażenia klapnęła na krzesło.

- Po co tu przyjechał?

- Przyjechał tu, bo pracuje z Davym - odrzekła Ewa. Matylda przełknęła ślinę.

- Davy pracuje dla FBI? Ewa pokiwała głową.

- Luiza była tym zachwycona. A ja obudziłam się rano i uświadomiłam sobie, co to znaczy.

- Proszę cię, bądź miła dla Davy'ego - zwróciła się Gwen do Matyldy. - Nie wyprowadzaj go z równowagi.

- Ja tego wcale nie robię. - Matylda przygryzła wargę. - No, w każdym razie nie robiłam tego ostatnio. Ale wiecie, to by wyjaśniało, dlaczego tak świetnie mu szło, kiedy wycygnął ten obraz. Skoro pracuje dla FBI, to pewnie wie wszystko o różnych przestępstwach.

- A jak dobrze jest poinformowany na temat fałszerstw dzieł sztuki? - zapytała ponuro Ewa.

- Zadawał mi na ten temat mnóstwo pytań. Ale myślę, że chodziło mu tylko o takie ogólne informacje. Nie sądzę, żeby był tutaj... z mojego powodu. - Ponownie nerwowo przełknęła ślinę. - Poznaliśmy się przecież, buszując w garderobie Clei. Nie mógł tego zaplanować.

- A co on robił w tej garderobie? - zainteresowała się Ewa. - Czyżby FBI śledziło Cleę?

- Nie sądzę. Mówił, że Clea nakłoniła jego doradcę finansowego do zdefraudowania wszystkich jego pieniędzy. I że on chce te pieniądze odzyskać. Po to tu jest. To wyglądało na sprawę osobistą, a nie na jakąś misję o charakterze zawodowym.

- Jeżeli pracuje dla FBI, to dlaczego nie każe jej aresztować? - chciała wiedzieć Ewa.

- Nie mam pojęcia. - Matylda próbowała przetrawić wszystkie te informacje. - Może to część jakiegoś planu. Z niego jest przebiegły sukinsyn.

- Nie złość się na niego - poprosiła Gwen. - On powinien nas lubić.

- Do jasnej cholery. Ja przecież z nim spałam. A on nawet się nie zająknął o tym pieprzonym FBI. A czy przypadkiem Simon nie próbował zaimponować Luizie, żeby ją zaciągnąć do łóżka?

- Luiza w tym momencie była już w łóżku. - Ewa patrzyła w sufit.

- Znalazła tam kajdanki. Takie ładne. I zapytała, skąd on je ma.

- Świetnie - skomentowała to Matylda. - Dziś w nocy niech Luiza go spyta, po co tu przyjechał.

- Nie może tego zrobić - przypomniała Ewa. - Jest niedziela. Luiza nie istnieje aż do środy.

- Jej w ogóle tutaj nie powinno być. Czy masz zamiar mu powiedzieć, kim jesteś?

- Nie. Okazuje się, że on nie lubi sypiać z kobietami, które mają dzieci. Gdybym mu powiedziała, kim jestem, byłby wściekły. - Westchnęła. - Tak się zastanawiam... Może dobrze by było, gdyby Luiza nie pojawiła się tutaj w środę. Zostawię ją po prostu w klubie.

- No cóż, zastanów się, gdzie ona jest w tej chwili, bo Simon z całą pewnością będzie chciał to wiedzieć. - Matylda odstawiała szklankę z sokiem. - Mężczyźni zwykle tęsknią za kobietami, które podczas drugiej nocy przechodzą w fazę zabaw z kajdankami.

- Ja też będę za nim tęskniła. - Ewa była tak zgnębiona, że Matylda zdziwiła się w duchu: Ty? A nie Luiza?

- Za kim będziesz tęskniła? - zapytała Nadine, wchodząc. - Steve, biedaku, jak twój nosek?

Steve podniósł łeb znad miski z żarciem, raz szczerknął i wrócił do jedzenia.

- Ma śliczny głos, prawda? - Nadine wzięła karton z sokiem pomarańczowym. - Więc kto wyjeżdża?

- Nikt, kotku. - Ewa pocałowała ją w policzek. - Jak ci się śpiewało z Burtonem?

- Śpiewało mi się dobrze. Ale z Burtonem nie za bardzo. Chce się ze mną dziś zobaczyć, więc może mu przykro z tego powodu.

- A co on takiego zrobił? - Ewa weszła w niebezpieczną rolę matki.

- No więc - zaczęła Nadine, siadając przy stole - on zachowuje się jak wielki buntownik, ale w rzeczywistości jest całkiem konserwatywny. Nie podobała mu się sukienka w stylu Lucy.

- Co za głupek - brzmiał komentarz Ewy. - Ty w tej sukience wyglądasz świetnie.

- Wiem. - Nadine sprawiała wrażenie zakłopotanej. - Myślę, że chyba źle go oceniłam. Mężczyźni rzadko bywają tacy, na jakich wyglądają.

- Wiem coś o tym. - Matylda myślała o Davym śpiącym na górze w poczuciu bezpieczeństwa charakterystycznym dla kogoś zatrudnionego w służbie federalnej. Wzięła szklankę z sokiem. - Muszę popracować. Jutro zacznę robić tego Moneta w New Albany.

Zeszła do sutereny, zabierając Steve'a, żeby przypadkiem nie spotkał się znowu z Ariadną. Nie sądziła, by Davy zamierzał ją aresztować, nie była nawet pewna, czy on rzeczywiście pracuje dla FBI, mimo to stanowił zagrożenie. Tak myśląc, zamknęła się w pracowni ojca, przycięła płytę piankową do rozmiarów odpowiadających proporcjami ścianie w New Albany i zaczęła kłaść kolory nenufarów, równocześnie obsesyjnie myśląc o Davym.

- Powinien był mi powiedzieć - zwróciła się do Steve'a leżącego z głową opartą na łapach i wpatrującego się w nią cierpliwie. - Mówiłam mu, że maluję freski. A on, czy on był ze mną szczerzy? Nie, opowiadał, że zajmuje się handlem i udzielaniem konsultacji. Co to u diabła jest - udzielanie konsultacji?

Gdy dwie godziny później ktoś zapukał do drzwi pracowni, ona wciąż nie uwolniła się od tych myśli.

- O co chodzi? - Otworzyła drzwi i stwierdziła z ulgą, że to Andrew. - O! Cześć.

- Mogę z tobą porozmawiać? - Andrew wszedł i zamknął starannie drzwi.

- Oczywiście. Matylda wróciła do pracy.

- Chodzi o Simona. I Luizę.

- Posłuchaj, Andrew, pilnuj swojego nosa.

- Właściwie to nie mogę go o nic winić. - Andrew przysunął sobie stół i usiadł obok Matyldy. - Wygląda na miłego faceta, a poza tym to na pewno Luiza zrobiła pierwszy krok.

- Rzuciła się na niego już przy drzwiach. - Matylda wzięła pędzel. - Prawdziwy z niej kłębek chuci.

- Chodzi o to, że ona z nim śpi tutaj. Co będzie, kiedy odkryje to Nadine?

- Co ma odkryć? Przecież ona wie o istnieniu Luizy.

- Ale nie wie, że Luiza jest...

- Kim? - Matylda zanurzyła pędzel w ultramarynie.

- Ona myśli, że Luiza tylko śpiewa - dokończył Andrew.

- Posłuchaj, Andrew, dobry z ciebie chłop, ale idiota. Nadine dobrze wie, jaka jest Luiza. Nadine jest inteligentniejsza od nas wszystkich razem wziętych.

- Ale nie powinna tego widzieć. - Andrew poprawił się na stołku. - Wolałbym, żeby Ewa zrezygnowała z Luizy.

Matylda westchnęła.

- No tak. Ale wtedy kto będzie przyciągał publikę do twojego klubu?

Andrew zamrugął.

- No cóż, to niech będzie Luizą tam, w klubie. Tylko na scenie.

- Wiesz, Andrew... - Matylda odłożyła pędzel - że ty czasami mówisz jak heteryk?

- Słucham? - zapytał przerażony Andrew. - A co ja takiego powiedziałem?

- Chcesz, żeby Ewa była istotą z seksem tylko na twoje usługi. To jest do chrzanu, Andrew. Zrobiłeś jej świętostwo, a teraz chcesz, żeby grała zgodnie z twoimi zasadami.

- To, co mówisz, jest nie fair. Ja nie wiedziałem, że jestem gejem. Kiedy ją zapewniałem, że ją kocham, byłem szczery. Bo ja ją kocham.

- Aha. Skoro tak, to szanuj ją taką, jaka jest.

- Szanowałbym ją - rzekł Andrew, marszcząc brwi - gdybym wiedział, jaka ona jest. Wydaje mi się jednak, że ona sama tego nie wie.

- A więc to ona sama musi się w tym zorientować. To jest jej zadanie, a nie twoje.

Matylda wzięła pędzel.

- Słyszałem, że z Davym nie poszło ci dobrze - zagadnął Andrew. Matylda zacisnęła zęby.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ewa twierdzi, że na kanapie wam nie wyszło. Matylda spojrzała w sufit.

- Czy istnieje na świecie rodzina, której członkowie nie omawiają życia seksualnego innych członków? Bo jeżeli tak, to przenoszę się natychmiast na jej łono.

- Dlaczego ty nie wyszłaś za Scotta? - Andrew pokręcił głową. - Wasz seks był doskonały. Scott był dla ciebie idealny pod tym względem.

- A mimo to mnie rzucił. Czy chcesz porozmawiać na jeszcze inny, równie przygnębiający temat?

- Nie. - Andrew wstał. - Pomów z Ewą, dobrze?

- Nie muszę - powiedziała Matylda, stojąc do niego tyłem. - Ona już postanowiła trzymać Luizę w klubie.

Wszystkim twoim życzeniom stało się zadość.

- No to dobrze - ucieszył się Andrew i poszedł na górę. Poszedł, odczuwając wielką ulgę, a Matylda została na dole okropnie rozdrażniona.

Dobrze przynajmniej, że ten Monet jest łatwy do skopiowania. Zresztą on fałszował nenufary, produkując je na skalę przemysłową. Więc, malując je teraz na ścianie, Matylda nie miała aż tak wielkiego poczucia winy. Monet - gdyby ktoś mu dobrze zapłacił - zrobiłby to samo co ona.

Dlaczego nie wyszłaś za Scotta?

Matylda przerwała malowanie i spojrzała na rząd białych szafek, pełnych rodzinnych sekretów.

„Całe twoje życie to spłacanie ich hipoteki” - wyrzucał jej kiedyś Scott. On tego kompletnie nie rozumiał. Dlatego nie mogła za niego wyjść. I tak zdradziła przecież rodzinę, pragnąc żyć uczciwie i normalnie. Musiała to więc rodzinie zrekompensować, pilnując, żeby nikt z jej członków nie umarł z głodu, a także żeby nie został zaprzepaszczony wieloletni wysiłek ojca. To już nie potrwa zbyt długo. Może piętnaście lat. Da się wytrzymać. A Scott tego kompletnie nie rozumiał.

Nie rozumiał, bo nie miał pojęcia, że w suterenie znajdują się falsyfikaty będące plonem trzech wieków rodzinnej działalności.

Nie mogła mu przecież powiedzieć o całej ukrytej tam galerii Dürerów, Boucherów, Corotów i Bóg wie jakich jeszcze mistrzów. Nie mogła powiedzieć, że wszystkie te dzieła namalowali Goodnightowie, po większej części działając jeszcze pod nazwiskiem Giordano. I że każde z tych dzieł ma jakiś feler, z którego powodu nie można go sprzedać, nie narażając się na niebezpieczeństwo wykrycia. Nie mogła mu o tym wszystkim powiedzieć. Ani jemu, ani nikomu innemu. A przecież nie wychodzi się za kogoś, komu nie mówi się wszystkiego i do końca.

Matylda wstała i zaczęła myć pędzle. Po południu musiała odzyskać obraz, a facet, który miał jej w tym pomagać, pracował prawdopodobnie dla FBI.

- Bóg mi świadkiem, Steve - zwróciła się do psa - że po odzyskaniu tych obrazów nie zrobię już nigdy w życiu nic złego.

Pies popatrzył na nią sceptycznie, westchnęła więc i poszła na górę, żeby się przygotować do kolejnego szwindlu, który miała popełnić w towarzystwie domniemanego agenta federalnego.

Rozdział dziesiąty

Clea weszła do sypialni po torebkę. Wybierała się na wczesny lunch z Masonem. Wchodząc, zobaczyła Ronaldę stojącego nad nieprzytomnym Tomaszem.

- Co ty tu robisz? - Zamknęła za sobą drzwi. - I co zrobiłeś Tomaszowi?

- On był w twojej garderobie - Ronald przemawiał tonem pokrzywdzonej niewinności. - Przyłapałem go na kradzieży.

Clea z trudem powstrzymała się od znokautowania go za pomocą eleganckiej torebki od Gucciego.

- Ronaldzie, on tu sprzątał. To nasz nowy służący.

- O. - Ronald spojrzał na swoją ofiarę. - No cóż, lekko go tylko stuknąłem.

- Czym? Kijem bejsbolowym? - Clea przyjrzała się Tomaszowi, który oddychał i nie był ani blady, ani też purpurowy na twarzy, choć na jego czole widniał czerwony znak oraz potężny siniak. - Dlaczego uderzyłeś go dwa razy?

- Uderzyłem go raz. Siniaka miał już wcześniej. Clea wyprostowała się.

- Co masz zamiar z nim zrobić?

- Pozbędę się go. Ty nie musisz się o nic martwić.

- Wcale się go nie pozbędziesz, bo on musi dziś przygotować obiad. - Clea pokręciła głową nad bezdusznością Ronaldę, po czym dała krok ponad ciałem Tomasza, chcąc się dostać do toaletki.

- A poza tym co ty tutaj robisz? - zapytała, siadając i sprawdzając w lustrze stan swego starannego makijażu.
- Musiałem się z tobą zobaczyć. - Ronald popatrzył na nią z zachwytem, przysiadając obok niej na ławie przed lustrem. - Kochanie, wyglądasz przepięknie.
- Dziękuję - powiedziała machinalnie. - Jak się tu dostałeś?
- Tylne wejście nie było zamknięte. - Ronald objął ją ramieniem.
- Musiałem cię zobaczyć. Musiałem się upewnić, że masz się dobrze. Opiekuję się przecież tobą.
- Aha, tak! - Clea wyzwoliła się z jego objęć. - Znokautowałeś mi służącego, zanim on zdążył zrobić pranie, i przysłałeś mi płatnego mordercę. Wielkie dzięki!

Ronald sprawiał wrażenie głęboko dotkniętego.

- Myślałem, że potrzebny ci jest płatny... Tu zrobił nieokreślony gest dłonią.
- Co to, to nie. Chciałam tylko, żebyś posłał takiego osobnika do Davy'ego. Bezpośrednio do niego.
- A ja pragnąłem, żebyś wiedziała, że przyszedłem ci z pomocą
- oznajmił Ronald. - Zapłaciłem temu człowiekowi. Ty miałaś mu tylko powiedzieć, co ma zrobić...
- Rzeczywiście. To miłe z twojej strony, że mu zapłaciłeś. Dziękuję ci za to, Ronaldzie.
Ronald odprężył się.
- Ale następnym razem postępuj zgodnie z moimi życzeniami. Ten człowiek był straszny, Ronaldzie.
- Nie wiedziałem, że cię tak przestraszy. Rozmawiałem z nim przez telefon, a pieniądze przelałem ekspresowo na jego konto.

Clea spiorunowała go wzrokiem.

- Więc wiedziałeś, że posyłasz do mnie oszalałego seryjnego mordercę!

Ronald zamrugał zdezorientowany.

- Sądziłem, że tego właśnie pragniesz.

Skąd ja biorę takich facetów? - pomyślała Clea. - Czyżbym miała jakiś system naprowadzający, który ich do mnie przyciąga?

- Myślałem, że pójdziemy gdzieś razem, żeby to uczcić - powiedział Ronald, przysuwając się do niej. - Albo że zostaniemy w domu.

Clea odsunęła się.

- To nie jest dobra chwila na takie rzeczy, Ronaldzie. Może w przyszłym tygodniu. - Wstała. - A teraz naprawdę musisz stąd wyjść. - Spojrzała na leżące na podłodze bezwładne ciało. - I zrób coś z nim, zanim...

- Czy to jest jeden z tych obrazów, które kupiłeś? - zapytał Ronald.

Clea obejrzała się i zobaczyła obraz Scarlet Hodge oparty o ścianę. Ten, który właśnie wrócił z oprawy.

- Tak. To część mojej kolekcji.

- On mi się bardzo podoba - powiedział Ronald. - Masz doskonały gust.

Clea popatrzyła na obraz pełna wątpliwości. Wyglądał tak jakoś amatorsko i był bardzo kolorowy. Poza tym wiedziała przecież, że Ronald, ten idiota, nie umie właściwie ocenić dzieła sztuki.

- Jego autora cechuje bardzo swoisty styl - ciągnął wątek Ronald.

- Ile za niego zapłaciłeś?

- Tysiąc. - Clea wciąż była rozgoryczona tym faktem, choć nie wypisała jeszcze czeku dla Goodnightów. - I muszę ci powiedzieć, że jego autorka nie zdążyła stać się bardzo dobrą malarką. Namalowała tylko sześć obrazów.

- Ona nie żyje? - Ronald aż gwizdnął z podziwu. - To podwyższa wartość dzieła. Z pewnością dobrze na nim zarobisz. Powinniśmy go zawieźć do Miami. Tam są ludzie z prawdziwymi pieniędzmi.

- Wstał i objął Cleę. - Ty naprawdę masz oko, kochanie. Szkoda, że nie mogłaś kupić wszystkich sześciu.

Clea już miała mu powiedzieć, żeby nie zwracał się do niej „Kochanie”. Zanim jednak zdążyła to zrobić, on ją pocałował. Pocałunek był całkiem w porządku, ale ogromnie nie w porę. Clea jednak poddała mu się. No bo w końcu ten głupek zapłacił Fordowi. I obiecał dowiedzieć się wszystkiego o Gwen.

- Dowiedziałeś się czegoś o Gwen Goodnight? - zapytała, gdy tylko Ronald oderwał usta od jej ust.

Ronald zamrugał, nieco zaskoczony, ale odpowiedział:

- No cóż, ona nie ma ani grosza, a hipoteka ich domu jest potężnie obciążona.

- W jaki sposób może mi się przydać ta wiadomość? Clea uwolniła się z ramion Ronalda.

- Przydać - do czego?

- Znajdź na nią coś lepszego. Dowiedz się, że ona jest dziwką albo że zabiła męża. Znajdź mi coś, co ją wykończy, a razem z nią tę jej cholerną galerię!

- Nie sądzę, żeby ona była kobietą tego pokroju. - Ton Ronalda był pełen powątpiewania.

Clea przysunęła się bliżej i spojrzała mu w oczy, a on przełknął ślinę.

- Każda kobieta ma jakieś sekrety, Ronaldzie - powiedziała cicho. - Dowiedz się, jakie są sekrety Gwen Goodnight, a ja odkryję przed tobą swoje.

- Dobrze - wyjąkał słabym głosem Ronald.

Rozległo się pukanie do drzwi, zza których dobiegł głos Masona.

- Cleo?

Boże drogi! - Zniecierpliwiona Clea popchnęła Ronalda w stronę garderoby.

- Włącz tam - rozkazała. - Aż pod ścianę. I na prawo, do samego końca. To na wypadek, gdyby on zechciał otworzyć drzwi. I nie waż się wydać dźwięku.

- Ale... - zaczął Ronald, w tej samej chwili jednak zauważył jej minę.

A zauważywszy ją, kiwnął tylko głową i wycofał się do garderoby. Clea zamknęła za nim drzwi. Zaraz jednak przypomniała sobie o obrazie, otworzyła drzwi garderoby i wpakowała go do środka. Obraz był bowiem niespodzianką, urodzinowym prezentem dla

Masona - prezentem, który wraz z ciastem, winem i seksem stanowić miał rewanż za śliczny dziesięciokaratowy pierścionek zaręczynowy. Mason nie mógł więc go jeszcze zobaczyć. Bo mężczyzny nie należy nigdy ponaślać.

Uczyniwszy porządek z obrazem, Clea odwróciła się i omal nie runęła, potykając się o Tomasza.

Jezus Maria! Nie, Mason nie może wejść do tej sypialni. Clea chwyciła żakiet, dała krok ponad ciałem Tomasza i precyzyjnie się przez półotwarte drzwi, nie dopuszczając do tego, żeby Mason zajrzał do środka.

- Jesteś gotowa do wyjścia? - zapytał Mason.

- Oczywiście - odrzekła wesołym tonem kobiety, która zawsze wspiera swojego mężczyznę.

Gdy schodzili na dół, spojrzała na Masona kątem oka. Mogła mu powiedzieć, że Gwen Goodnight jest bez grosza, a galeria zadłużona. Nie wiedziała jednak, czy to go do Gwen zniechęci, czy też przeciwnie - zmobilizuje do pospieszenia jej na ratunek.

- Wyglądasz uroczo. - Mason uśmiechnął się.

Pospieszylby jej na ratunek - pomyślała Clea. Ronald musi zatem dogrzebać się czegoś poważniejszego.

- Dziękuję. - Pocałowała go w policzek.

Ona też musi się bardziej postarać. „Szkoda, że nie mogłaś kupić wszystkich sześciu”, powiedział Ronald. Mason z pewnością chciałby mieć wszystkie. Te sześć obrazów stanowiłoby cudowny prezent urodzinowy. Ciekawe, czy trudno byłoby je zdobyć? Może dać ogłoszenie w gazecie i przekonać się, czy ktoś tych bohomazów nie trzyma na poddaszu?

- Po lunchu mam umówione spotkanie. - Mason otworzył przed Cleą drzwiczki mercedesa. - Ale dziś wieczorem w muzeum jest otwarcie wystawy. Moglibyśmy pójść.

- Bardzo mi się tam podoba - zapewniła go Clea, myśląc równocześnie: Do diabła, znowu obrazy. Kiedy Mason już umrze, jej kolejny mąż będzie się zajmował czymś znośnym, na przykład modą.

Clea oczyma wyobraźni zobaczyła już siebie siedzącą w pierwszym rzędzie podczas wszystkich pokazów i uśmiechnęła się promiennie.

- Naprawdę, podoba ci się? - Mason poklepał ją po ręce. - Nie miałem o tym pojęcia.

- Och, jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiesz. - Clea rozsiadła się w mercedesie, snując dalsze plany.

Gdy Matylda, już po lunchu, zeszła na dół, zachowywała się z większą rezerwą niż zwykle. Davy pomyślał, że to z powodu włosów i ubrania. Tym razem była bowiem ciemnokim rudzielcem w niebieskim żakiecie i wyglądała na racjonalnie myślącą, nieprzystępną bizneswoman. Żeby ją trochę rozkrochmalić, Davy znalazł w radiu fale nadającą piosenki Shelby Lynne.

- Okropny ten żakiet - powiedział, gdy znalazła się już w samochodzie.

- Należy do Gwennie. - Matylda wpatrywała się w radio. - Ona raz starała się o posadę i poszła w tym żakiecie na rozmowę wstępną.

- Raz? - powtórzył Davy.

- Posada to nie jest rzecz w jej guście - wyjaśniła Matylda. - Masz dla mnie jakieś wskazówki?

- Te same co wczoraj. - Davy starał się nie gapić na jej oczy. Dziwne, jaki efekt mogą dawać szkła kontaktowe. - Brakuje mi twoich oczu - wyznał, a ona, zaskoczona, spojrzała na niego. I uśmiechnęła się tym swoim niesymetrycznym uśmiechem lalki.

Dobra jest - pomyślał Davy.

- Zobaczysz je ponownie, gdy zdobędziemy syreny. - Odprężyła się nieco i usiadła wygodniej.

- Syreny - powtórzył Davy i zapuścił motor. - Nie mogę się doczekać.

Olafsonowie mieszkali w solidnym małym domku otoczonym porządnym trawnikiem okolonym jeszcze porządniejszymi pasami betonu. Wzdłuż ścieżki rosły w pojedynczym rzędzie petunie posadzone w równych, sześciocalowych odstępach. Harmonię tej chorobliwie pedantycznej scenerii zakłócała tylko opona oparta o czyściutką białą ścianę garażu.

- Jedna osoba, która tu mieszka, lubi porządek - wywnioskował Davy. - A druga nie.

- Aha.

- Módl się, żeby otworzyła ta, która go nie lubi - zalecił jej Davy, wkładając okulary w rogowej oprawie - i żeby tej, która go lubi, nie było w domu.

- Już się modlę. - Matylda kiwnęła głową. - Zastanawiałam się, co się stało z tymi okularami - powiedziała.

- Tym razem nazywam się Steve Olson - poinformował ją Davy.

- A ty jesteś moją żoną. Przy odrobinie szczęścia poradzę sobie bez ciebie, jeżeli jednak nie uda mi się...

- Wtedy włączę się ja i wypieję petunie - dokończyła Matylda.

- Czy pamiętasz...

- Betty - słodką idiotkę, Weronikę - sukę i Vilnę - dziwkę.

- Prawdę mówiąc, lubię was wszystkie. - Davy poklepał ją po kolanie.

Drzwi otworzyła pani Olafson - kobieta duża, zwalista i patrząca wilkiem. Próżne nadzieje - pomyślał Davy - to jest strona lubiąca porządek i dominująca - i uśmiechnął się do niej.

- Dzień dobry - powiedział. - Nazywam się...

- Czy przyjechał pan po oponę? - zapytała pani Olafson słabym głosem. - Bo ja naprawdę muszę ją usunąć, zanim mąż wróci do domu.

- Och! - Davy zganił się w duchu za wyciągnięcie pochopnych wniosków. - Nie. Jeżeli jednak pani sobie życzy, mogę ją zabrać. Mam miejsce w bagażniku.

- To by było cudownie. - Czoło pani Olafson wypogodziło się.

- On się tak denerwował tą oponą, bo lubi porządek.

- Och! - powtórzył Davy. - Znam to aż za dobrze. Moja żona...

- Pokręcił głową. - Wie pani, czasami mam ochotę tak po prostu dla draki zdeptać całe linoleum.

Pani Olafson odetchnęła i uśmiechnęła się, a Davy pomyślał: Bingo!

- Nie chcę zajmować pani czasu - zaczął swoją opowieść. - Ale przyjeżdża do nas ciotka żony, która obchodzi sześćdziesiąte urodziny. I żona chce dla niej kupić obraz, który tutaj kiedyś widziała.

- Tutaj? - nikły uśmiech zniknął z twarzy pani Olafson. - Nie...

- Była tu kilka lat temu z przyjaciółką - mówił dalej Davy. - I widziała obraz przedstawiający syreny...

- O! - Pani Olafson zacisnęła usta. - To obraz, który należy do mojego męża.

Cholera - zaklął w duchu Davy.

- Moja żona naprawdę chce kupić ten obraz, proszę pani. Czy sądzi pani, że mąż zechce go sprzedać za dwieście dolarów?

- Nie sądzę. - Pani Olafson przemówiła tonem pełnym urazy. - On go raczej lubi.

Davy założył ręce do tyłu.

- O Boże. Dostanie mi się za to - powiedział.

Tymczasem Matylda wysiadła z samochodu i weszła na schodki, a pani Olafson zmarszczyła znowu brwi.

- No więc, Weroniko... - zaczął Davy i zauważył, że twarz Matyldy wykrzywia się w grymasie wściekłości.

- Dlaczego to u diabła trwa tak długo? - Matylda uderzyła go torebką po ramieniu. - Ciocia Gwen będzie musiała na nas czekać na lotnisku. A wiesz dobrze, że ja nie znoszę się spóźniać.

Davy roztarł sobie ramię.

- Tak, wiem, ale...

- Że też ja ciebie tu posłałam! - piekliła się Matylda. Po czym zwróciła się do pani Olafson: - Przepraszam za to zamieszanie, ale mój mąż nie potrafi nic załatwić. Zapłacimy pani za obraz sto dolarów. Gotówką.

Uśmiechnęła się, sprawiając wrażenie niezwykle zadowolonej z siebie, a pani Olafson przysunęła się bliżej do Davy'ego. świetnie sobie radzi - Davy był pełen uznania.

- Ależ, kochanie...

Przysunął się do pani Olafson, chowając głowę w ramiona.

- Zaproponowałeś więcej? - Matylda ziała oburzeniem. - Naprawdę, Steve...

- Wiem, Weroniko - wyjąkał Davy. - Wiem, że jesteś zdenerwowana. I masz rację... - Podniósł w górę ręce.

- Ale pani mówi, że jej mąż naprawdę bardzo ten obraz lubi.

- Ale on podoba się też mojej ciotce - wykrzyknęła napastliwie Matylda.

Davy posłał pani Olafson bezradne spojrzenie.

- Kochanie, jeżeli dasz mi szansę...

- Daję ci pięć minut - warknęła Matylda. - A potem jadę sama na lotnisko.

To rzekłszy, odmaszerowała zamaszystym krokiem, a Davy, patrząc na nią, pomyślał: Oto kobieta warta tyle złota, ile sama waży. A potem zwrócił się do pani Olafson:

- Moja żona w rzeczywistości jest bardzo miła, tylko teraz się zdenerwowała. Z powodu tego obrazu.

Pani Olafson pokręciła współczująco głową.

- Nie powinna pana tak traktować. Davy wzruszył ramionami.

- No cóż, co zrobić.

Pani Olafson kiwnęła głową.

- Proszę posłuchać! - Davy zabarwił swój ton lekką nutą rozpacz. - Czy sądzi pani, że mąż mógłby sprzedać ten obraz za dwieście pięćdziesiąt dolarów? Powiem Weronice, że kupiłem go za stówkę. Ona nie musi znać prawdy.

Pani Olafson sprawiała wrażenie rozdartej.

- On naprawdę lubi ten obraz. - Zmieniła się na twarzy. - Ale obraz jest obrzydliwy. Są na nim gołe syreny.

Davy zaczynał jej trochę współczuć.

- To musi być dla pani okropne. Pomyśleć, że dzień w dzień muni pani na to patrzeć.

- To jest okropne. To jest wstrętne.

- Gdyby pani mi go sprzedała, nie musiałyby pani już na niego patrzeć, a ja nie musiałbym... - Davy spojrzał w stronę samochodu, a Matylda nacisnęła klakson. Uwielbiam cię, Weroniko!

- A poza tym mąż zarobiłby trochę. Byłoby dobrze, gdyby tak się stało, prawda?

- Tak - odrzekła w zamyśleniu pani Olafson. - Od pewnego czasu zamierza oczyścić podjazd.

Davy popatrzył na nieskazitelny cement. Myśl, że miałyby poznać nieprzejednanego pana Olafsona z jego obsesją na punkcie czystości i obrzydliwych syren, napawała go niechęcią.

- Nie będzie pani miała w związku z tym kłopotów, prawda? - zagadnął, bo nagle ogarnęło go poczucie winy.

- Ależ nie - zaprzeczyła pani Olafson.

Davy wyjął portfel i zaczął przeliczać banknoty.

- Mam tu jeszcze dziesięciodolarówkę, pięciodolarówkę i dwa banknoty jednodolarowe. To razem sześćdziesiąt siedem. Czy myśli pani, że...

Tymczasem Matylda wysiadła z samochodu, zatrzasnęła drzwiczki i przeszła na stronę kierowcy.

- Jeszcze chwileczkę, kochanie - zawołał Davy tonem człowieka, którego ogarnęła panika.

- Przyniosę go. - Pani Olafson weszła do domu.

- Naprawdę tylko minutka - zaskomlał Davy, podchodząc do brzegu werandy i patrząc błagalnie na Matyldę. Matylda włączyła silnik, a on znowu zaczął ją sobie wyobrażać w skórzanym ubiorze sadystki.

W drzwiach stanęła pani Olafson i dała mu obraz, a on wręczył jej banknoty.

- Proszę przeliczyć. - Obejrzał się na Matyldę.

- Ja panu wierzę - rzekła pani Olafson. - Niech pan już idzie.

- Dziękuję! - Davy zbiegł po schodkach. - Proszę, kochanie - dodał bardzo głośno, wręczając obraz Matyldzie. - Jeszcze tylko jedna rzecz.

Matylda otworzyła drzwiczki i wzięła obraz, a Davy ruszył w stronę garażu.

- Gdzie ty idziesz, do cholery? - wrzasnęła Matylda tonem ostrym jak nóż.

- Chwileczkę, kotku.

Davy wziął oponę i pomachał pani Olafson, która patrzyła na niego rozpromieniona. A potem wrócił do swej żony-jędzy, która otworzyła bagażnik.

Cholera, dobrze się ożeniłem - pomyślał, wsiadając do samochodu.

Gdy byli już prawie na autostradzie, Davy powiedział: „Zatrzymaj się tutaj”, a Matylda posłuchała. Posłuszna kobieta - pochwalił w duchu. - I seksowna jak diabli.

- Dobra, o co cho... - zaczęła, a on pochylił się i pocałował ją mocno.

Matylda odwzajemniła pocałunek, a Davy na minutę zapomniał, jak się nazywa.

- Och! - Matylda chwyciła łąpczywie powietrze. - Naprawdę świetnie to robisz. Za co to było?

- Jesteś wspaniała! - On także odzyskał oddech.

- Naprawdę?

Znowu posłała mu ten niesymetryczny uśmiezek.

- Cudownie odgrywasz wściekłą sukę-sadystkę. Czy masz może na poddaszu jakieś łańcuchy?

- Jesteś obrzydliwy - zachichotała Matylda.

- To mi o czymś przypomina. - Davy wziął obraz z tylnego siedzenia.

Było na nim pełno krągłych, ciemnookich syren o różanych piersiach. Wszystkie one pływały w morzu w szachownicę i wyglądały kusząco i gniewnie, a przy tym całkiem zdrowo.

- O co chodzi? - zapytała Matylda, patrząc na obraz.

- Pani Olafson uważa, że ten obraz jest obrzydliwy. - Davy wyobraził sobie, jak syreny kołyszą się na morzu. - Ja tego nie widzę.

- Chodzi o nagie piersi. I o to, że się nie wstydzą.

- To kobiety w moim guście. Wyglądają trochę... - Davy poszukał właściwego słowa - agresywnie. Ale w dobrym sensie.

- Biedny pan Olafson. Stracił swoje syreny za marne dwieście pięćdziesiąt dolców.

- Podniosłem cenę do dwustu sześćdziesięciu siedmiu - sprostował Davy, wyobrażając sobie teraz Matyldę kołyszącą się na morskich falach. - Wiesz, te syreny wyglądają trochę jak ty.

Matylda odebrała mu obraz.

- To tylko twoja projekcja, Dempsey. Skup się na robocie. - Ze smutkiem przeciągnęła palcem po spienionej fali.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Davy.

- Wyśmienicie. - Odłożyła obraz na tylne siedzenie.

Kiedy wrócili do galerii, w biurze coś się działo. Gdy tam weszli, zastali Ewę i Gwen oraz jakiegoś nieznanego Davy'emu pulchnego młodzieńca. Wszyscy oni otaczali Nadine, która zalewała się łzami.

- Och, nie! - Matylda podeszła prosto do siostrzenicy.

- Co się stało? - zapytał Davy, rozglądając się za krwią i połamanymi kośćmi.

- Biedactwo - szepnęła Matylda, nie odwracając głowy.

- Ten cholerny kurdupel Burton ją rzucił - oznajmiła wojowniczo Ewa. - Sądzę, że powinno się go wykastrować.

- To później - powiedział ten nowy facet. - Najpierw pocieszenie, potem zemsta.

To musi być Jeff - pomyślał Davy.

- On nie był facetem dla ciebie, kochanie - odezwała się Gwen. - Brakowało mu duszy.

- Był wampirem. Klajstrowatym gnojkiem - dodał Jeff. - Biedactwo.

- Ale był taki słodki - zawodziła Nadine.

- To prawda - przyznała Matylda.

Gwen spiorunowała ją wzrokiem.

- W ten sposób jej nie pomagasz.

- Biedactwo - posłusznie powtórzyła za Jeffem Matylda. - Rzecz w tym, kochanie, że takie przystojniaki to zawsze pączki. Są tacy śliczni, że nie muszą zawierać błonnika. Spójrz na Davy'ego. To doskonały przykład.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Davy, udając oburzenie. - Ja mam mnóstwo błonnika.

Nadine pociągnęła nosem, ale przestała szlochać i spojrzała na niego.

- Ja - ciągnął Davy - jestem bułeczką.

- O nie! - wykrzyknęła Matylda.

- Beznadziejny pączek - włączyła się Gwen, a Nadine posłała Davy'emu zażawiony uśmiech.

- Bułeczka - upierał się Davy. - Żeby to udowodnić, znajdę Burtona i złoję mu skórę.

- Absolutny pączek. - Matylda odwróciła się do niego plecami. - Więc co ten Davy in spe powiedział na swoje usprawiedliwienie? Moje biedactwo.

- Kogo to obchodzi? - odezwał się Jeff. - To śmieć. Ty zasługujesz na kogoś lepszego. Moje biedactwo.

- Powiedział, że jestem zbyt ekscentryczna - skrzywiła się Nadine, a Davy nabrał ochoty, by naprawdę stłuc tego gówniarza na kwaśne jabłko.

- Okej - zwróciła się do niego Matylda. - Wlej mu.

- Nie... - Nadine pociągnęła nosem. - Ja miałam już tego naprawdę dość. Na jego koncert ubrałam się w sukienkę Lucy, a on mi dzisiaj mówi, że muszę przestać nosić takie cudaczne ciuchy albo koniec między nami.

- I ty wtedy powiedziałaś, że to koniec? - domyśliła się Matylda. Nadine kiwnęła głową.

- I bardzo dobrze zrobiłaś - pochwaliła córkę Ewa, a Jeff poklepał ją po plecach.

- Tak właśnie trzeba, mała.

- To nie jest facet, który zasługuje na dziewczynę nazwiskiem Goodnight - podsumował Davy.

- On był tylko garbem spowalniającym na wielkiej autostradzie miłości - zgodziła się Matylda.

- Wiem. - Nadine znowu pociągnęła nosem. - Ja nie płaczę z jego powodu. Po prostu muszę to z siebie wyrzucić.

- Oczywiście - włączyła się Gwen. - Zawsze trzeba z siebie takie rzeczy wyrzucać.

A Davy zastanowił się, czy jest taka emocja, której ktokolwiek z rodziny Goodnightów z siebie nie wyrzucił.

Ktokolwiek z wyjątkiem Matyldy. Patrzył, jak Matylda pociesza Nadine, i zastanawiał się, jaka była wtedy, gdy należała do zespołu The Rayons, gdy śpiewała i śmiała się wraz z Ewą i Andrew. I czy był taki czas, kiedy na jej twarzy gościł bez przerwy taki uśmiech, jakim obdarzyła go dzisiaj.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest? - zapytała wnuczkę Gwen. - Bo ja mogę zostać w domu.

- A dokąd ty się wybierasz? - chciała wiedzieć Matylda.

- Na późny lunch z Masonem Phippsem - wyjaśniła Ewa, unosząc w górę brwi. - To jest raaandka.

Oho - pomyślał Davy. - Clea nie będzie z tego zadowolona.

- Wcale nie - zaprzeczyła Gwen. - Mason chce porozmawiać o galerii. A ja po prostu zjem za darmo. Chyba że chcesz, żebym została - zwróciła się do Nadine.

Nadine pociągnęła nosem.

- Przynieś mi deser, jeżeli nie zjesz całego.

- W porządku - odrzekła Gwen i poszła do galerii.

- Lody - zaproponowała Ewa. - Jeff poprowadzi i wszyscy pojedziemy do Gratera.

- Dobry pomysł! - Nadine znowu pociągnęła nosem, a Davy miał nieodparte wrażenie, że dobrze się teraz bawi. No cóż, to świetnie - pomyślał.

Kierując się ku drzwiom, Jeff zatrzymał się przed Davym.

- Witaj w rodzinie. - Wyciągnął rękę. - Andrew mówi, że pomagasz Matyldzie rozwiązać jakiś problem.

- W rodzinie? - powtórzył Davy, ściskając Jeffowi dłoń.

- Każdy, kto uczestniczy w rozwiązywaniu problemów Goodnightów, należy do rodziny. A ja wcale nie chcę wiedzieć, o jaki problem chodzi. Dopóki nie jest potrzebna kaucja.

- Jeff jest prawnikiem - wyjaśniła Matylda.

- Taki ktoś się zawsze przyda - skomentował to Davy.

- Chwileczkę - rzekł Jeff. - Dziś wieczorem gramy w pokera. To nasz rodzinny sposób spędzania niedzielnych wieczorów. Ty uprawiasz hazard?

- Ooo, z pewnością, tylko skąd ja to wiem? - Matylda spojrzała w sufit.

A Davy popatrzył w jej dziwne jasne oczy i rzekł:

- Tak.

- Ja ostro gram - ostrzegła Matylda. - Nie stawiaj więc niczego, czego nie jesteś gotów stracić.

- To żaden problem. Ja nie mam nic do stracenia.

Matylda znowu uśmiechnęła się do Davy'ego tym swoim niesymetrycznym uśmiechem, a on poczuł zawrót głowy. Istniała możliwość, że przegra do tej kobiety ostatnią koszulę. I że uczyni to z ogromnym entuzjazmem.

Później jednak, siedząc przy pokerze wraz z Matyldą, Ewą, Gwen, Jeffem, Andrew oraz Masonem, któremu udało się uciec na godzinę od Clei, poczuł, że panuje nad sytuacją. Poker znajdował się na drugim miejscu po bilardzie wśród umiejętności, które Michael Dempsey wpoił swojemu potomstwu. A Tony Goodnight i tata Phipps nie wpoili jej swojemu. Pierwsze rozdanie wystarczyło, żeby się w tym zorientować. Wszyscy wzięli karty i patrzyli w nie przez chwilę. Po czym twarz każdego powiedziała wszystko: mina Gwen się wydłużyła, Ewa uśmiechnęła się, a potem zmarszczyła brwi dla niepoznaki, Andrew starał się siedzieć z kamienną twarzą, ale był najwyraźniej za-

chwycony, Mason usiadł wygodniej i założył ręce, bo był pewien, że ma dobre karty, a Matylda... Matylda patrzyła na Davy'ego.

Była w tym towarzystwie jedyną osobą, która, tak jak on, wiedziała, że w pokerze idzie o ludzi, z którymi się gra, a nie o karty, które się ma w rękę. Świetna dziewczyna - pomyślał Davy i patrzył, jak gra, blefując ze stoickim spokojem, przegrywając i wygrywając bez mrugnięcia okiem i bezustannie obserwując pozostałych graczy.

Nadine przyłączyła się do nich później i grała prawie tak dobrze jak Matylda, i także miała nadmierną skłonność do wiary w blefowanie. Davy, nabrawszy ją po raz trzeci, wystąpił ze swoją sentencją:

- Nadine, jeżeli coś wygląda na zbyt piękne, żeby było prawdziwe, wycofuj się.

- Ja jestem optymistką - odrzekła Nadine, zadzierając głowę.

- Lepiej być spryciarą - pouczył ją Davy.

Gra zakończyła się, gdy odpadli już wszyscy prócz Davy'ego i Ewy - gdy odpadł nawet Mason, którego niezłomny optymizm był wprost zdumiewający, zważywszy, że przegrywał we wszystkich kolejnych rozdaniach, wspaniale uzupełniając się z Gwen, która nie próbowała nawet ukrywać swoich reakcji na karty. Ewa usiłowała ograć Davy'ego za pomocą blefu, nie mając przy tym żadnych dobrych kart, o czym Davy doskonale wiedział, bo stuknęła palcem w swoją najgorszą kartę i wzdychała. Gdy zrobiła to po raz kolejny, Davy zorientował się, że Matylda zamknęła oczy ze współczuciem, i zastanowił się, jak się czuje ktoś, kto jest najinteligentniejszy w rodzinie, kto potrafi obserwować innych i grać sprytnie, podczas gdy pozostali, świetnie się bawiąc, wciąż sobie nie radzą.

Może już czas, żeby to ona zaczęła się bawić, pomyślał, zgarniając ostatnią pulę. I może to moim obowiązkiem, jako gościa, jest zadbać o to, żeby zaczęła się bawić.

Tak, muszę o to zadbać, choćby z samej wdzięczności.

- Więc jesteś dobrym graczem - zwróciła się Matylda do Davy'ego, gdy ten oddał wszystkie wygrane pieniądze Gwen. „To za bułeczki i sok pomarańczowy, które dotychczas wyjadałem i wypijałem za darmo” - powiedział.

Mason poszedł już do domu, do Clei, a reszta rodziny podryfowała do łóżek.

- Prawdziwy z ciebie Cool Hand Luke.

- Cool Hand Luke był skazańcem. - Davy otworzył lodówkę. - Jak robisz aluzje, to trzymaj się faktów.

- Dobrze. No, w każdym razie zdolny z ciebie pokerzysta. Taki jak Maverick.

- A, to trafne porównanie - zgodził się Davy. - Kiedy Gwennie uczyła cię grać różne role, mój tata, tak jak ojciec Mavericka, uczył mnie zachowywać pokerową twarz. - Podniósł karton z sokiem pomarańczowym. - Napijesz się?

- Tak. Wygląda na to, że twój tata to interesujący człowiek.

- Z wódką czy bez?

- Z wódką proszę.

Matylda podeszła do kanapy i usiadła, wyciągając przed siebie nogi. Dzięki Davy'emu odzyskała cztery obrazy. Był to prawie cud. Kiedy zgromadzi wszystkie sześc, rozpali ognisko i pozwoli, by ogień strawił jej przeszłość. Wymaże tę przeszłość całkowicie. I pójdzie do przodu, w przyszłość. Nie popełniając już więcej błędów.

O ile Davy jej nie aresztuje.

Davy usiadł obok niej.

- Pij, Celeste.

Matylda wzięła szklanekę i upiła łyk.

- Dobrze, Ralphie. - Uśmiechnęła się do niego, wdzięczna za obrazy, za drinka i w ogóle za to, że on istnieje. To naprawdę miły facet - pomyślała. - Naprawdę miły, mimo że być może pracuje dla FBI. - A twój tata... czym on się zajmuje?

- Irytowaniem otoczenia. - Davy rozsiadł się wygodniej. - A skoro mowa o rodzicach, to dlaczego Gwennie ma taką predylekcję do zębów?

- Co takiego? - Matylda nie spodziewała się takiego pytania.

- Na narzucie w moim pokoju są zęby - wyjaśnił. - A także na próbniku. O co tu chodzi?

- O! - zastanowiła się Matylda. - No cóż, sądzę, że za życia taty Gwennie miała w sobie wiele tłumionego gniewu. - Matylda zmarszczyła brwi. - To dziwne pytanie.

- Te zęby są dziwne - odrzekł Davy. - Tłumiony gniew. Ty na coś takiego nie cierpisz, Weroniko.

- Ja nie żyję z moim ojcem - odrzekła Matylda. - On był typem apodyktycznym. Gwen go kochała, ale miała trudności z ekspresją uczuć, zwłaszcza negatywnych. Im my byliśmy starsze, tym ściślej ojciec chciał nas kontrolować. I tym bardziej wściekła stawała się Gwen. Więc, dla odprężenia, zaczęła haftować krzyżykami. Zrobiła kilka próbników zgodnie z wzorami, a potem zaczęła różne rzeczy zmieniać i wkrótce pojawiły się na nich wszystkie te zwierzątka z zębami, które mnie się bardzo podobały.

- A narzuty?

- Po pewnym czasie próbniaki przestały na nią działać relaksująco, zaczęła więc robić narzuty. Najpierw robiła takie śliczne, zszywane z dziewięciu części. A później zaczęła je modyfikować, aż przekształciły się w takie zwiariowane patchworki. W końcu i na nich pojawiły się zęby, więc musiała zrezygnować także i z nich.

- I wtedy przerzuciła się na krzyżówki - próbował domyślić się Davy.

- Nie - zaprzeczyła Matylda. - Wtedy zaczęła malować numerowane obrazy.

Davy zakrztusił się drinkiem.

- Co?

- Numerowane obrazy. - Matylda uśmiechnęła się szeroko na samą myśl o nich. - Takie zestawy. Malowała je i wieszala w biurze, a on je zdejmował. Doprowadzały go do szału. Ale potem zaczęła i do nich wprowadzać te swoje modyfikacje i w końcu...

- Pozwól mi zgadnąć - przerwał Davy. - Zęby?

- Tak. - Matylda napiła się i popatrzyła na Davy'ego. - W suterenie muszą być pudła pełne tych obrazów. Po-tem zabrała się za proste krzyżówki, a potem za te trudniejsze.

- No i co, pojawiły się jakieś zęby?

- Jak dotąd, nie. Zęby zniknęły w okresie, gdy ja wyprowadziłam się z domu, to znaczy siedemnaście lat temu. A teraz tata nie żyje i ona nie jest już taka wściekła.

- No tak. - Davy patrzył na zdjęcia wiszące na przeciwległej ścianie. Jego profil był wspaniały - prosty nos, zdecydowanie zarysowana szczęka. - Masz ciekawą rodzinę, Matyldo.

Wspaniale się też uśmiechał. Właściwie, jak się tak dobrze zastanowić, wszystko w nim było wspaniałe. I przez cały dzień był cudowny, wypruwał sobie żyły, żeby odzyskać jej obraz, proponował, że stłucze na kwaśne jabłko Burtona, oddał Gwennie pieniądze za bułeczki. A ona? Ona odebrała mu szansę na odzyskanie pieniędzy i udawała orgazm wtedy na kanapie, a potem zrobiła się drażliwa, bo myślała, że on jest stróżem prawa. A powinna mu być wdzięczna. Pod warunkiem że jej nie wyda.

- Naprawdę jest mi przykro - powiedziała.
- Z jakiego powodu? - zapytał, sprawiając wrażenie zmieszanego.
- Z powodu twojej rodziny? Ja ich wszystkich lubię.
- Z powodu twoich pieniędzy. I z powodu piątku. Wiesz, o czym mówię. - Poklepała kanapę. - O tym tutaj. -

Napiła się znowu.

- Zapomnij o tym, Matyldo.
- To były przeprosiny. - Matylda wstała i dołała sobie wódki.
- Szczere, takie z głębi serca.
- Czy zawsze byłaś alkoholiczką? - zażartował Davy.

- Nie. - Matylda wzięła butelkę na kanapę, napiła się znowu wódki z soldem i zamknęła oczy, czując, jak alkohol wnika do organizmu. - Ty świetnie sobie z tym radzisz. To znaczy potrafisz doskonale skłaniać ludzi do tego, żeby ci coś dali.

- Dziękuję za pochwałę.

Davy zabrał jej butelkę.

- To dlatego że zajmujesz się handlem, prawda? - Matylda znowu się napiła. No dalej, powiedz mi prawdę - pomyślała.

- Handlem?
- No, tak mówiłeś.
- Mówiłem, że handlem zajmuje się mój ojciec.
- A ty czym?

Davy przyglądał się jej przez chwilę.

- Handlem - powiedział i dołał jej do pełna. Matylda westchnęła.
- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
- W moim przypadku to nieprawda.

Matylda znowu się napiła i czekała, co on powie dalej. Okej, nie ma zamiaru powiedzieć jej o FBI. To oczywiste. A ona nie ma talentów Luizy. Nie potrafi z ludzi wyciągać sekretów.

- Mam pytanie...

Davy czekał na dalszy ciąg, a ona znowu się do niego uśmiechnęła, całkiem zrelaksowana.

- Pytanie? - zachęcił ją.

- Tak. - Matylda napiła się i zebrała na odwagę. - Do jakiego stopnia byłam beznadziejna?

- Byłaś wspaniała. - Davy wyciągnął rękę, żeby postawić butelkę na stole. Piękne ramiona, zauważyła Matylda. Piękna sylwetka. To pewnie dlatego zatrudniło go FBI. - Masz prawdziwy talent do rozszyfrowywania ludzi. - Rozsiadł się wygodniej. - Sądzę, że pani Olafson...

- Mnie nie o to chodzi - przerwała Matylda. - Mnie chodzi o to, co było wtedy wieczorem na tej kanapie.

Czy byłam do niczego?

- Byłaś w porządku. - Davy nagle zrobił się ostrożny.

- Posłuchaj - powiedziała Matylda. - Ja zasługuję na to, żeby usłyszeć prawdę. Jesteśmy teraz współnikami. Jesteśmy Steve'em i Weroniką. Ralphem i Celeste. Tym, co był w garderobie, i Vilną. Powiedz mi prawdę. Davy westchnął.

- Dobrze. Byłaś okropna.

- Och. - Matylda wypięła do dna. - A ja miałam nadzieję, że chociaż przeciętna. No wiesz. Taka nie za dobra.

Davy gestem zaproponował jej butelkę.

- Dziękuję. - Wyciągnęła rękę ze szklanką.

- To była także moja wina. - Davy nalał ćwierć cala wódki do jej naczynia. - Czułem wciąż podniecenie po włamaniu do Clei i nie...

- To przeze mnie - rzekła Matylda. Davy wzruszył ramionami.

- No cóż, wiesz. Seks nie jest dla każdego. Może...

- Ja pragnę seksu - zwierzyła się Matylda. - Nie pragnę go tylko wtedy, kiedy w pokoju są faceci.

Davy spojrział na nią pytająco.

- Luiza wygląda na taką, co może z facetami i z kobietami - powiedział.

- Ja kobiet też nie pragnę. Davy kiwnął głową i napił się.

- Czy pragnienie seksu jest u ciebie ograniczone do jakiejś konkretnej sytuacji?

- Ja pragnę seksu, gdy jestem sama - odrzekła Matylda. - Bardzo interesują mnie mężczyźni. Bardzo. - Przypomniała sobie Davy'ego w garderobie i uzupełniła w myślach: Czasami nawet wtedy, gdy są w pobliżu. - Niekiedy nachodzą mnie takie myśli... no, takie niewłaściwe.

- Właśnie tymi myślami powinnaś podzielić się ze mną - oznajmił Davy znad szklanki z wódką.

Na przykład - pomyślała Matylda - nieraz mam wielką ochotę podejść do ciebie i powiedzieć „Pieprz mnie”. Po prostu po to, żeby to z siebie wyrzucić. Tylko że to, podobnie jak resztę sekretów, byłoby trudno wyjaśnić. A poza tym jak to: mam powiedzieć „pieprz mnie” do agenta FBI?

- Naprawdę, możesz mi powierzyć swój sekret - zapewnił ją Davy. - Ja jestem zupełnie wolny od uprzedzeń.

- Nie. Są sekrety, z których się nie można zwierzyć. - Westchnęła. - Są pewne rzeczy, na które mam ochotę. Kiedy jednak w pokoju jest ktoś drugi, trzeba wziąć pod uwagę tyle okoliczności.

Davy pokręcił głową.

- Wystarczy przecież powiedzieć: „Nie zapomnij o prezerwatywie” i „Nie zakrztuś się śliną”. A poza tym nie widzę problemu.

- O nie, nie. Trzeba na przykład zastanowić się, jak dobrze się zna tę drugą osobę. Uważam, że powinno się ją znać naprawdę dobrze, zanim ją się wpuści do wnętrza własnego ciała.

- Ja jestem tym, który wchodzi, a nie tym, który wpuszcza, dobrze mi więc idzie z nieznajomymi - oświadczył Davy, rozpierając się na kanapie.

- Słusznie. To moja przestrzeń ulega inwazji.

- Pragniesz faceta, który nie dokona inwazji na twoją przestrzeń?

- Teoretycznie nie. Teoretycznie pragnę faceta, który zajmie całą moją przestrzeń. Tylko że...

- Praktycznie...

- W świecie realnym... Najeźdźcy z Kosmosu to nie moja gra.

- Problem polega na tym - rzekł Davy - że ta gra to właśnie Najeźdźcy z Kosmosu. Wszystko inne to tylko wariacje na ten sam temat.

- Całkiem możliwe, że nigdy więcej nie będę się z nikim kochać. Staram się przekonać siebie, że seks to coś złego.

- Coś ci powiem. - Davy wziął znowu butelkę. - Idę o zakład...

- O zakład? - powtórzyła Matylda, patrząc, jak Davy dolewa jej jeszcze wódki. Sok ananasowo-pomarańczowy był teraz tylko mglistym wspomnieniem.

- Idę o zakład - powiedział, wręczając jej szklankę - że tu, na tej kanapie, będzie ci ze mną dobrze. Bez żadnych Najeźdźców.

- Aha - Matylda nie była tego taka pewna.

Obietnica brzmiała naprawdę nieźle, ale miała przecież do czynienia z Davym. Z drugiej jednak strony to Davy'ego naprawdę pragnęła. Wszystko, co było z nim związane, podniecało ją, nawet ta gadka o FBI. No cóż, może jest we mnie trochę Luizy - przemknęło jej przez myśl.

- Jeżeli wygrasz ten zakład - ciągnął Davy - to pomogę ci odzyskać pozostałe obrazy. Jeżeli ja zwyciężę, zagramy w Najeźdźców. - Zastanowił się przez chwilę. - Co oznacza, że tak czy tak wygrasz. To dla ciebie wspaniały interes, Vilmo.

- Litości! - Matylda chciała zostać uwiedziona, a nie okpiona. Davy ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie spotkałem w życiu kobiety, która bardziej obawiała się orgazmu.

- Ja się nie obawiam orgazmu! - Matylda była oburzona. - Miałam ich mnóstwo. Ja tylko...

- *Kiedy Harry poznał Sally* - wtrącił Davy. - Pierwsza scena w restauracji.

- To nie był cytat z filmu. Czy dla ciebie wszystko jest grą?

- Może nie wszystko, ale bardzo wiele rzeczy. - Davy spojrzął jej w oczy z uśmiechem, a ona pomyślała: O Boże. - Więc jak, chcesz się założyć czy idziemy spać?

- Zostały jeszcze dwa obrazy - powiedziała Matylda, a serce zaczęło jej bić szybciej.

- Piętnaście minut. Mierz mi czas.

Matylda wychyliła resztę wódki z zapachem pomarańczy, patrząc na Davy'ego ponad brzegiem szklanki. Dobrze jej się na niego patrzyło. Jeżeli nie otworzę ust, to co mam do stracenia prócz godności? Godności, która - spójrzmy prawdzie w oczy - przeminęła z wiatrem, gdy ostatnio baraszkowaliśmy na kanapie. Jeżeli tu chodzi tylko o orgazm, jeżeli nie wpuszczę go do środka, to może nie wymknie mi się żadne słowo na temat...

- Matyldo - odezwał się Davy. - Ja się tu starzeję.

Serce Matyldy waliło jak młotem. Przełknęła ślinę.

- Piętnaście minut?

- Tak.

Jeżeli nawet ponownie okaże się, że jest okropnie, potrwa to tylko piętnaście minut. A jeżeli będzie dobrze, to może ujawni się jej Luiza. Matylda odetchnęła głęboko - bo przymierzając się do seksu z Davym, nigdy nie miała dość tlenu - po czym kiwnęła głową.

- Zaczynaj - powiedziała.

Rozdział jedenasty

Davy wstał i pozamykał na klucz drzwi prowadzące do galerii i do holu, a Matylda zauważyła:

- Widzę, że jesteś bardzo troskliwy. Davy wyjął jej z ręki szklanę.
- Jesteś pijana - stwierdził. Matylda popatrzyła na niego z pogardą.
- Czy gdybym była trzeźwa, robiłabym to, co właśnie robię?
- Słuszna uwaga.

Podszedł do szafy grającej i zaczął na chybił trafił naciskać guziki.

- Co ty robisz?

Zespół The Exciters zaczął śpiewać: *Yeah, yeah, yeah*.

- To jest zagłuszanie - starał się przekrzyczeć muzykę. - Na wypadek, gdybyś naprawdę zaczęła jęczeć.
- Myślałam, że wszystko to okaże się bardziej romantyczne. No bo wiesz, tym razem już się raczej znamy.

Davy podszedł do niej i zdjął jej okulary.

- Chwileczkę - zaprotestowała Matylda.
- Rzeczywistość nie jest dla ciebie podniecająca - wyjaśnił. - Pozostań przy rozmytej ostrości.
- Hm, chyba masz rację - odrzekła Matylda, on tymczasem zgasił światło.

Teraz świeciła łagodnie tylko szafa grająca. Davy podszedł do Matyldy, wziął ją pod kolana i jednym ruchem położył na kanapie, plecami do poręczy.

- Jest okej, choć moim zdaniem powinienes jednak być bardziej romantyczny. - Matylda poprawiła się na skórzanym siedzeniu.

Udało jej się nie stoczyć z kanapy, mimo to on wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać - tak na wszelki wypadek. Jak prawdziwy dżentelmen.

- Oto moja propozycja. - Pochylił się nad nią. - Nic nie mów. I przestań myśleć. Prawdopodobnie nic innego jak to twoje gadanie nie pozwoliło ci nieraz w życiu doświadczyć orgazmu.

- Co ty sobie my... - zaczęła Matylda zirytowana, ale nie dokończyła, bo on ją pocałował. Jego usta były gorące i natarczywe, a ich żar wnikał wprost do jej mózgu.
- Robisz to naprawdę dobrze - powiedziała, gdy zaczął całować jej szyję.
- Wiem. - Wtulił twarz w jej ramię. - Bądź cicho.

Zaczął podciągać jej podkoszulek, ona jednak starała się mu przeszkodzić. Czy ma na sobie dobry stanik? Oczywiście nie ten z agrałkami, ale też nie ten zwykły, biały...

- Matyldo.
- Mhm?
- Ty myślisz.
- Wcale nie.
- Miałaś taką minę, jakbyś coś liczyła.

Matylda zsunęła się trochę niżej, a Davy w jakiś tajemniczy sposób znalazł się między jej nogami.

- Jak ty się tam dostałeś?
- Mam wprawę. Przestań myśleć.
- To były myśli związane z seksem. Zastawiałam się, czy mam na sobie dobry stanik.

Zanim zdążyła go powstrzymać, zdjął jej przez głowę podkoszulek, który zaczepił się o jej ucho. Wyzwoliła się, spojrzała na siebie i zobaczyła białą koronkę.

- Jest dobry - zapewnił ją Davy. - A teraz wyzeruj świadomość. I spróbuj nie zemdleć.

- Jak długo już to robimy? - zapytała Matylda. - Czy upłynęło piętnaście minut?

Davy pochylił się i polizał jej brzuch, a ona zamilkła. Podrażnił językiem jej pępek, rozpinając suwak spodni, a Matylda poczuła, że jej ciało ogarnia żar, co było zaskakujące, bo przecież razem z nią w pokoju znajdował się Davy, osobnik bardzo groźny.

Matylda spojrzała w sufit. Tym razem może być dobrze. Pod warunkiem, że nie będę otwierała ust. Myśleć pozytywnie - nakazała sobie.

- Jestem pewna - powiedziała głośno ku własnemu zaskoczeniu - jestem pewna, że pragnę najwspanialszego orgazmu w swoim życiu.

- Okej. - Davy zsunął jej dżinsy, a ona uniosła biodra, żeby mu to ułatwić, bo zdawała sobie sprawę, że te biodra sporo ważą. - Jaką uzyskałem dotychczas ocenę?

- Umiarkowanie dobrą - odrzekła. - Scott wiedział, co robić.

- Scott? - Davy podniósł na nią wzrok. - Kto to jest Scott?

- Mój były narzeczony.

- I dopiero teraz mi o nim mówisz?

- On jest były - rzekła Matylda. - Czy ja warczę na ciebie z powodu Clei? Nie.

Davy pokręcił głową.

- No dobra, jeżeli jest tylko umiarkowanie dobrze, to masz - powiedział i zabrał się znowu do rzeczy.

- Gadać jest łatwo - skomentowała to Matylda, ale w tej samej chwili jego ręka zakradła się między jej nogi, a policzek otarł o brzuch; gorące usta dotykały skóry, a ona poczuła, że się czerwieni, i to bynajmniej nie ze wstydu. Zgodnie z umową powstrzymywała się od myślenia. Kiedy Davy uniosł jej kolano, jej biodra uniosły się również, wychodząc na spotkanie jego dłoni, a potem ustom. Matylda aż zachłysnęła się powietrzem, gdy Davy polizał ją w środku, i chwyciła poręcz kanapy, by się wraz z nim nie zsunąć. Davy ponownie ją polizał, po czym zabrał się poważnie do rzeczy. Powoli, wskutek jego pieszczot, w niej narastało napięcie. Ten chłopak ma wspaniałe usta - powiedziała sobie. - A ja nie powinnam się w ogóle zastanawiać, gdzie one zawędrowały i którą część mojego ciała właśnie pieszczą.

Z grającej szafy płynął głos Betty Everett, śpiewającej *It's in his kiss*. Matylda poddała się znanej sobie melodii i nieznanym ustom Davy'ego. Teraz już zawsze słysząc tę piosenkę, będę pamiętała, co czułam w tej chwili - pomyślała. Ogarnął ją żar, oddychała z rozkoszą. W chwili gdy jej oddech stał się tak głośny, że można go było usłyszeć w holu, Davy wycofał się.

- Było świetnie - powiedziała Matylda, a tymczasem śpiewająca Betty zamilkła.

- Koniec - oznajmił Davy i ugryzł ją w udo od wewnętrznej strony.

Matylda podciągnęła się na łokciach.

- Umówiliśmy się, że... Davy wycelował w nią palcem.

- Piętnaście minut. A ty miałaś milczeć.

Matylda przypomniała sobie, gdzie znajdował się przed chwilą ten palec i zarumieniła się. A o tym, gdzie była teraz jego głowa, nie chciała nawet myśleć.

- Ale co... - zaczęła, próbując pozbyć się wstydu, ale w tej chwili z szafy popłynęły głosy The Sisters. Zaczęły śpiewać *All Grown Up*, a głowa Davy'ego ponownie zanurkowała w dół. Jego język poszedł w ruch, rozpalając Matyldę ponownie. Matylda, drżąc na całym ciele, czuła narastające podniecenie. Przyłgnęła do Davy'ego, a podniecenie narastało tak szybko i dawało jej taką rozkosz, że w chwili gdy Davy znowu się wycofał, ona trzepnęła go po ramieniu i krzyknęła:

- Nie przerywaj! Davy pokręcił głową.

- Powiniennem być cię zakneblować. - Pocałował ją w brzuch, a ona znowu zadrżała.

Powrócił do swoich czynności, po czym przerwał w chwili, gdy The Shirelles zaczęły śpiewać *Will You Love Me Tomorrow*.

- Ach ta muzyka - powiedział zirytowany, a potem kontynuował, tym razem nie przerywając. Jego szorstkie dłonie wędrowały po biodrach Matyldy, a ona, zaciskając swoje, coraz bardziej podniecona, chwyciła powietrze ustami, przykazując sobie: Nic nie mów. Aż w końcu jej ciało, dygocząc, wygięło się w łuk. Davy uniósł głowę i zmieniając pozycję, zaczął ją, ciągle jeszcze drżącą, całować w szyję. A gdy ona - wciąż przywierając do niego - uspokoiła się nieco, powiedział jej do ucha:

- Jeszcze minuta i wygrałem.

Och! Uświadomiła sobie niejasno, że The Shirelles zamilkły, że teraz Damita Jo śpiewa *I'll Save the Last Dance for You* i że członek Davy'ego jest twardy. Davy jeszcze raz uniósł jej kolano i wślizgnął się do jej wnętrza. No to dokonała się inwazja - pomyślała i odprężyła się z rozkoszą, obejmując Davy'ego z roztargnieniem. On tymczasem poruszał się rytmicznie, dążąc do samego szczytu. A gdy już go osiągnął, ją zalała fala gorąca i... tak na dobrą sprawę przestało ją obchodzić, co Davy robi.

Gdy po chwili odsunął się od niej, z początku nie wiedziała, co powiedzieć.

- Dziękuję - rzekła po dłuższym milczeniu, po czym wciągnęła dżinsy i rozejrzała się za podkoszulkiem.

- Wiesz co, Matyldo, ty się koncentrujesz na bardzo krótki czas - zauważył Davy, pozbywając się kondomu.
- Szczytujesz i zaraz cię nie ma.

- Ja tylko udawałam. - Wciągała podkoszulek, a kiedy on się roześmiał, dała spokój kłamstwom. - Okej, wygrałeś - przyznała, przymykając oczy. - Dziękuję.

- Ja też jestem ci wdzięczny - powiedział bardzo spokojnie Davy.

Ani na chwilę nie zakłóciłam jego skupienia - pomyślała Matylda. Było jej dobrze, no zgoda: wspaniale, mimo to jednak, jak zawsze po fackie, powiedziała w duchu do swego kochanka: Ty mnie nie znasz. Myślisz, że mnie miałeś, ale tak naprawdę wcale mnie nie znasz. Zresztą to świetnie, że mnie nie znasz. No i nie możesz mnie poznać. A żebyś mnie nie poznał, ja już więcej nie pójdę z tobą do łóżka. Może potrzebna mi terapia - zastanowiła się. - Może powinnam pójść na nią wraz z Gwennie i Luizą. Może wszystkie powinnyśmy odbyć terapię rodzinną.

- Znowu myślisz - stwierdził Davy, wciągając spodnie.

Matylda otworzyła oczy i spojrzała na niego z wymuszonym uśmiechem.

- Myślę, że teraz masz już z głowy sprawę odzyskiwania pozostałych obrazów.

- Ależ nie. Odzyskamy je. - Davy wstał, już całkiem ubrany. - Ale będę musiał działać szybko, bo wybieram się do Australii.

- W porządku - zgodziła się Matylda, nie dziwiąc się wcale, że mimo wszystko zanoszą się na to, że odzyska resztę obrazów. Bo przecież Davy dotrzymywał obietnic i osiągał wszystko, o co się starał. Dlatego właśnie - pomyślała - od tej chwili nie powinien starać się o mnie. Bo jest człowiekiem zbyt niebezpiecznym.

Z szafy dobiegały głosy The Paris Sisters śpiewających *I Love How You Love Me*. Ze słów piosenki wynikało, że piosenkarki nie są kobietami, które po seksualnym zbliżeniu miewają dziwne myśli. Matylda różniła się od nich pod tym względem i poczuła się z tego powodu nieco przygnębiona. Choć może u mnie jest to spowodowane przemęczeniem - znalazła wytłumaczenie. Ten dzień był długi. A orgazm potężny.

- Znowu masz tę okropną minę - zauważył Davy.

- Jestem naprawdę zmęczona. - Matylda wstała i zapięła dzinsy.

- No cóż, dobranoc.

- Celeste, śpimy przecież w tym samym łóżku - przypomniał Davy, gdy ona stała już z dłonią na klamce.

- Słusznie. A więc do zobaczenia w łóżku, Ralphie.

A potem pobiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie. Davy tymczasem stał na dole, kręcąc głową.

Na drugi dzień rano Matylda wstała, starając się nie obudzić Davy'ego. Nie mogła znaleźć Nadine, oddała więc Steve'a pod opiekę Gwen i poszła pracować. Gwen zdawała się nie mieć nic przeciwko Steve'owi.

- Różnorodność - powiedziała, patrząc na psiaka. - To mnie trzyma przy życiu.

- Dobrze się czujesz? - zapytała zaskoczona Matylda.

- Tak.

- Wczoraj wieczorem przy pokerze Mason był uroczy. - Matylda próbowała wysondować sprawę. - A jak się udał lunch?

- Było miło - odpowiedziała Gwen.

- To znaczy?

- Rozmawialiśmy o galerii. Zdaje się, że on bardzo jej pragnie. Gwen otworzyła broszurę z krzyżówkami.

- Może i my powinniśmy porozmawiać o galerii? - Matylda wzięła miniaturową żółtą parasolkę, którą Gwen wetknęła do pojemnika na ołówki. - Pijesz w pracy?

- Czy ty nie musisz przypadkiem dzisiaj malować?

- Muszę jedynie zagruntować ścianę. - Matylda patrzyła na broszurę, której marginesy pokryte były rysowniczkami przedstawiającymi miniaturowe parasolki. - A potem jedziemy z Davym po obraz. O co chodzi z tymi parasolkami?

- Jak się ma Davy? - zapytała Gwen. - Jest zadowolony!

- On śpi.

Matylda wstawiła parasolkę do pojemnika na ołówki i uciekła przez biuro. W swojej furgonetce zastała Nadine.

- Cześć - powiedziała.

- Chcę pojechać z tobą - oznajmiła Nadine, a ponieważ wciąż wyglądała na biedactwo, Matylda zgodziła się. Wsiadła.

- Rzecz polega na tym - zaczęła Nadine, gdy jechały na północ - że bez Burtona nic ma śpiewania.

- Istnieją pewnie inne zespoły. A ty masz wspaniały głos.

- Śpiewanie z zespołem mi nie odpowiada - skrzywiła się Nadine. - Wiem, że z tego są pieniądze. Ale temu wszystkiemu towarzyszy taki hałas, a piosenki są głupie i nikt ich nie słucha. To nie jest prawdziwa muzyka.

- Dobra. Chcesz, żebyśmy porozmawiała z tatą o występach w jego klubie?

- To miałyby się z celem - odrzekła Nadine - bo ja nie jestem pełnoletnia. Nie mogę tam śpiewać jeszcze przez dwa lata. Zresztą on by mi i tak nie pozwolił. Ale to nic, bo myślę, że mogłabym zostać malarką.

- O! - Matyldę olśniło. - No cóż, dzisiaj to nie będzie zbyt interesujące. Muszę zagruntować ścianę i przyrządzić się próbkom kolorów. Jutro będę kładła pierwszą warstwę farby. Jeżeli chcesz, możesz mi w tym pomóc.

- Dobrze - zgodziła się Nadine. - Ty nieźle na tym zarabiasz, prawda? No i przecież pisali o tobie w tym czasopiśmie.

- Tak, to mi pomogło. - Matylda przypomniała sobie Klarysę Donnelly i słoneczniki, a także czasopismo pozostawione w strategicznym punkcie. - Ale moja praca nie jest ekscytująca. To tak jak z twoim śpiewaniem w zespole. Maluję, ale nie uprawiam sztuki. Kopiuję cudze obrazy i przerabiam je na tapetę.

- Ale z tego są pieniądze.

- Ty nie musisz utrzymywać rodziny - zapewniła Matylda siostrzenicę.

- To prawda. Ale nie wydaje ci się, że mogłabym się tego nauczyć?

- Sądzę, że ty potrafisz robić wszystko.

- Super. - Nadine westchnęła. - Więc o co chodzi z tym panem Brownem?

- Słucham?

- Z tym panem Brownem. Kiedy się wprowadził, powiedziałaś babci, że twoim zdaniem jego nazwisko jest fałszywe. Czy powinniśmy się martwić z jego powodu?

- Nie. Jeżeli okaże się, że jest w związku z nim jakiś problem, ja się wszystkim zajmę.

- Wiesz, że mogę ci pomóc - zapewniła Nadine tonem osoby zrozpaczonej.

- Nadine, dlaczego ty nie chcesz być po prostu dzieckiem? Ciesz się, że jeszcze nim jesteś.

- Ty oczywiście nie pamiętasz, jak to jest, kiedy człowiek jest dzieckiem - znowu westchnęła Nadine i zapadła się w fotel.

Bycie dorosłym także ma swoje wady - pomyślała Matylda, skręcając.

Tymczasem Davy obudził się w jej sypialni, nie czując się bynajmniej tryumfotorem. Nie czuł się tak zwłaszcza wtedy, kiedy przewróciwszy się na drugi bok, przekonał się, że Matyldy przy nim nie ma. Spojrzał na zegar. Było po dziesiątej, a ona dzisiaj miała zacząć fresk. To, że jej nie ma, to nic takiego, a jednak...

Czyżby nagle zachciało ci się budzić z kobietą, z którą spałeś? - zadał sobie pytanie. Zwłaszcza z taką, która nie jest zadowolona z tego, co się działo w nocy? Ten fakt zbijał go z tropu, bo tym razem wszystko się przecież udało. No cóż, pomyślał, ta Celeste jest kobietą nader skomplikowaną.

Miejmy nadzieję, że udobrucha ją zdobycie piątego obrazu. Cały problem z kobietami - myślał dalej Davy - polega na tym, że wymagają one bezustannej obsługi, uwagi, kwiatów, telefonów...

- O do diabła - powiedział na głos, przypominając sobie o siostrze, która z pewnością próbowała się do niego dodzwonić.

Wstał z łóżka i sięgnął do kieszeni marynarki po telefon komórkowy. Chciał tylko sprawdzić wiadomości, ale telefon zadzwonił. Davy spojrział na numer. Nie znał go.

- Halo? - powiedział.

- Próbuję się do ciebie dodzwonić od kilku dni - odezwał się Ronald. - Nie powinieneś wyłączać komórki.
- A po co miałbym ją włączać? - Davy usiadł na łóżku. - Czy po to, żeby rozmawiać z tobą?
- Ja próbuję ci pomóc - oznajmił Ronald. - Zdajesz sobie sprawę, że Clea wie o twoim pobycie w Columbus.
- Jasne.
- No cóż, to nie ja ją o tym poinformowałem - oświadczył Ronald.
- Goń się, Rabbit.

Ronald, oburzony, zasapał do telefonu.

- Posłuchaj, Davy, usiłuję ci pomóc. Ona jest naprawdę wściekła. Jesteś zagrożony.
- Czyżby?
- Clea wynajęła płatnego mordercę - zdradził Ronald.
- Dobrze wiedzieć. - Davy spojrział na zegarek.
- Nie mówiłem ci o tym przedtem - ciągnął Ronald - ale jednym z powodów, dla których ona musiała otrzymać twoje pieniądze, było to, że mąż jej nic nie zostawił. Ona potrzebuje tych pieniędzy, Davy. A ty powinieneś opuścić miasto.

- Ona cię okłamuje, Rabbit - powiedział Davy tonem człowieka zmęczonego.

- Nie - zaprzeczył Ronald. - To jest prawda. Jej mąż miał wspaniałą kolekcję dzieł sztuki, ale magazyn, w którym znajdowała się ta kolekcja, spłonął. A firma ubezpieczeniowa nie chce płacić. Mąż Clei został wykończony. A Clea naprawdę potrzebuje twoich pieniędzy. Zostaw je jej i wyjedź.

- Podpalenie magazynu? Chryste Panie, toć to oszustwo stare jak świat. Nie uwierzę, że Clea... - Davy przerwał. - Zaraz, poczekaj. A skąd ty wiesz, że jej mąż miał tę kolekcję?

- Mówiłem ci już: po jego śmierci pomagałem Clei ją wycenić. Właśnie wtedy się poznaliśmy. Zwróciła się do mnie w nieszczęściu, a potem...

- Magazyn spłonął przed jego śmiercią, Rabbit. Sam tak powiedziałeś.

- O! No tak, ja pomagałem w tej wycenie przed jego śmiercią. Ale między Cleą i mną nic nie zaszło, dopóki...

- Cholera. Pomogłeś Clei spalić pusty magazyn, po to by mogła zainkasować pieniądze z ubezpieczenia. Gdzie te obrazy są w tej chwili?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Ronald był oburzony. - Ja usiłuję uratować ci życie. Wcale nie żartuję.

- Wiem, że nie żartujesz, bo po prostu nie masz poczucia humoru. Pozdrów ode mnie Cleę i powiedz jej, żeby nie paliła więcej żadnych magazynów. Czy ona ciągle robi te sztuczki z piórkiem i kostką lodu?

- Słucham?

- Oj, Rabbit, nie powiesz mi przecież, że dałeś jej trzy miliony, a ona nigdy ci tych sztuk nie pokazała.

- Doprawdy nie wiem, po co ja w ogóle do ciebie zadzwoniłem - zasapał Ronald. - Nie zasługujesz na to, żeby cię ratować.

- Zadzwoniłeś, bo nie chcesz być oskarżony, gdyby ktoś rzeczywiście próbował mnie zabić. Chronisz w ten sposób własną dupę. Jak zwykle zresztą. A ja nie zasługuję na większość rzeczy, które mi się zdarzają. I na to, żeby jakiś Judasz ukradł mi całą moją forszę.

- To nie była twoja forsa - powiedział machinalnie Ronald.

- Do widzenia, Rabbit. Zadzwon, kiedy Clea wynajmie jeszcze kogoś. Uwielbiam twoje informacje.

- Wynajęła służącego. - Głos RONALDA ociekał sarkazmem. - Zadzwoń, kiedy weźmie sobie psa.

- Służącego? - powtórzył DAVY. - A czy on mieszka w tym domu co ona?

- Chyba tak. A dlaczego pytasz?

Cholera - pomyślał DAVY. - Powinniśmy byli wcześniej zdobyć ten obraz. Teraz pojawiła się trzecia osoba, której trzeba się pozbyć z domu, a MASON i CLEA nie pojawią się raczej w galerii wraz ze służącym.

- DAVY? Jesteś tam jeszcze?

- Jak ten służący wygląda? - zapytał DAVY.

- Jest szczupły. Ma ciemne włosy. Wygląda głupkowato. CLEA na pewno nie poszłaby z nim do łóżka - RONALD ograniczył się do spraw zasadniczych i zignorował fakt, że gdyby zamiast „ciemnych włosów” wymienił „włosy blond”, opis ten mógłby się odnosić do niego samego.

- Ja chyba go znam - oznajmił DAVY do słuchawki, a w duchu dodał: To pewnie jego znokautowała MATYŁDA.

- Nie wyglądał na zbyt kompetentnego - mówił dalej RONALD. - Ale w dzisiejszych czasach trudno o dobrego służącego.

- Tak, wiem. Służący przeważnie człowieka okradają.

DAVY rozłączył się i zaczął opracowywać plan pozbycia się z domu tego służącego. Może dowie się, kiedy ma wolny wieczór. Jakiś sposób musi się znaleźć. A on sam, DAVY, mógłby mieć w życiu gorszego pecha. Mógłby na przykład urodzić się RABBITEM.

- O nie, nie mógłbym - powiedział na głos i poszedł wziąć prysznic.

Gdy MATYŁDA wróciła z lunchu, DAVY już na nią czekał. Wyruszyli do Clintonville po piąty obraz. MATYŁDA była znowu ruda. Dom państwa BRENNERÓW okazał się solidny i zadbane, ale nie odnowiony. Na ganku stały doniczki z roślinami, które DAVY określiliby jako rośliny babuni. Kobieta, która im otworzyła, nazwałaby natomiast miłą starszą panią, pod warunkiem jednak, że sam byłby miłym młodym człowiekiem. Ponieważ jednak sprawy miały się zgoła inaczej, dokonał oceny: Oto żeńska odmiana jelenia.

- Dzień dobry - zagadnął, uśmiechając się, jak przystało na miłego młodego człowieka, a pani BRENNER odwzajemniła się uśmiechem mówiąc: Co za miły młody człowiek. - Nazywam się STEVE BREWSTER i zbieram dzieła, które zasilą Kolekcję Sztuki dla MAS. Zwracamy się do różnych osób z prośbą o darowizny w postaci starych obrazów i oprawionych fotografii, które potem sprzedajemy na rzecz bezdomnych. - Pani BRENNER kiwnęła głową z uśmiechem.

- W „Dispatch” niedawno był o nas artykuł - skłamał DAVY. - Może pani czytała?

- Ależ tak - odrzekła, poprawiając okulary.

Boże, miej w opiece tę kobietę - pomyślał DAVY, a głośno powiedział:

- Czy pani nie miałaby przypadkiem jakichś starych obrazów? Tu uśmiechnął się szeroko.

- Ach Boże. - Odwzajemniła uśmiech. - Miałam ich mnóstwo na strychu, ale COLBY, bratanek męża, dokładnie mi tam wysprzątał. Odwiózł je chyba wszystkie na wysypisko.

Do diabła - zaklął w duchu DAVY, ale zachował miły wyraz twarzy:

- Bratanek pani męża okazał wielką troskę.

- Nie tak do końca. - Kobieta przestała się uśmiechać - bo policzył mi za to sporo. A poza tym na wysypisku też pobrano opłatę. Po tym wszystkim żałowałam, że nie zostawiłam obrazów na strychu.

Opłata na wysypisku! Co za oszust!

- A nie powiedział pani, które to wysypisko? Bo my często odzyskujemy różne przedmioty.
- Nie - pokręciła głową kobieta. - Wiem tylko, że było to wysypisko bardzo drogie.
- Czy mogłaby mi pani dać numer telefonu swojego bratanka? - Davy starał się, żeby jego głos nie brzmiał ponuro. - To wysypisko by się nam przydało. Do celów dobroczynnych.

- Oczywiście. - Pani Brenner zniknęła we wnętrzu domu, zostawiając drzwi otwarte.

Oj kochana - pomyślał Davy - kup sobie lepiej ostrego psa.

- Proszę. - Pani Brenner wróciła z karteczką i pięciodolarowym banknotem. - On mieszka w dobrej dzielnicy, w Dublinie.

Ta kreatura jest więc bogata, a mimo to oszukała własną ciotkę! Potraktujmy ją więc tak, jak na to zasługuje - powiedział sobie w duchu Davy.

- Zadzwoń do niego - rzekł na głos, uaktywniając swoją osobowość oszusta. - Przyślę pani pokwitowanie, odliczy pani sobie darowiznę od podatku.

Próbował wziąć karteczkę bez banknotu, ale pani Brenner wcisnęła mu go siłą.

- Och, proszę wziąć. Przykro mi, że nie mogę dać więcej. Proszę to wziąć. Przykro mi...

Boże miłosierny!

- Wykluczone - odrzekł głośno, biorąc tylko karteczkę. - Nasz statut zezwala nam na przyjmowanie jedynie dzieł sztuki. Jest pani stanowczo zbyt hojna.

- No cóż, ja wciąż mam dom - odrzekła. - A oni biedacy są bezdomni. A może jednak pan to weźmie? Może zje pan za to lunch? Powinien pan zostać wynagrodzony za swoje starania.

Davy popatrzył na nią smutno. Miał nieodpartą chęć powiedzieć: „Proszę posłuchać, niech pani nigdy nie daje domokrażcom, niech pani nie zostawia drzwi otwartych, gdy na ganku stoi obcy facet, który o coś prosi, i niech pani nigdy, ale to nigdy więcej nie wpuszcza do domu bratanka”. Powiedział jednak co innego:

- Naprawdę nie mogę. Ale doceniam pani gest. Życzę bardzo miłego dnia.

- Dziękuję. - Przyciskała do piersi pięciodolarówkę gestem, który świadczył o tym, że bardzo jej potrzebuje.
- Ja panu też życzę dobrego dnia.

Gdy Davy schodził po popękanych betonowych schodkach, zatrzasnęły się za nim siatkowe drzwi. Pomyślał, że dobrze by było odwiedzić Colby'ego w jego bogatej dzielnicy i sprzedać mu kawał ziemi na Florydzie. A potem wsiadł do samochodu i wybrał jego numer.

- Co robisz? - zapytała Matylda. - Czy ja się dzisiaj nie włączam?

Davy machnął tylko ręką, a w tej samej chwili telefon odebrała jakaś kobieta.

- Nie ma go w domu - odpowiedziała znużonym tonem na pytanie o Colby'ego. - Wróci późno.

- Zadzwoń jeszcze - rzekł Davy. - Interesują mnie pewne obrazy, które pan Colby zawiózł na wysypisko.
Czy pani nie wie przypadkiem, które to było wysypisko?

- Nie zawiózł żadnych obrazów na wysypisko - kobieta mówiła tonem osoby oburzonej na samą myśl o takim postępku. - On sprzedaje takie rzeczy na pchlim targu w South High.

- A czy tam właśnie w tej chwili przebywa? - Davy starał się zachować obojętny ton.

- W tej chwili jest w pracy. Pchli targ jest czynny w czwartki.

- Aha - próbował przeciągnąć rozmowę Davy, ale ona już się rozłączyła.

- Co się stało? - zapytała Matylda.

- Tacy faceci to po prostu śmiecie. No bo jak można okraść kogoś, kto nie może sobie pozwolić na to, żeby być okradzionym? To prawdziwi dranie. Ja ich po prostu nienawidzę.

Matylda milczała. Davy spojrział na nią uważnie i zauważył, że pobladła, a jej oczy za szklami okularów zrobiły się ogromne.

- Hej - powiedział uspokajająco - wszystko jest w porządku. Już ja się nim zajmę. Ale nie damy mu ani grosza.

- Okej - odpowiedziała Matylda słabym głosem.

- Odpręż się, Betty. - Davy poklepał ją po kolanie. - Ty po prostu nie jesteś stworzona do popełniania przestępstw.

- Oj nie. Naprawdę nie.

Co za szkoda - pomyślał i włączył silnik.

Matylda poszła spać o jedenastej, zdecydowana odmówić Davy'emu, jeżeli ten zaproponuje seks. A tego, że zaproponuje, była pewna, bo miał takie wesołe spojrzenie. Steve też wyglądał na wesołego. Gdy wszyscy troje, ona, Davy i Steve, znaleźli się na podeście drugiego piętra, otworzyły się drzwi mieszkania Dorcas.

- Czy moglibyście być trochę ciszej? - zapytała biała malarka.

- Ciszej? - zdziwiła się Matylda. - Przecież myśmy nic nie mówili.

- Teraz nie. Ale w piątek i w sobotę w nocy... - Dorcas pokręciła głową. - Przez te wasze jęki i wrzaski nic mogłam malować.

- To nie byliśmy my - wyjaśnił z żalem w głosie Davy. - To Simon i Luiza.

- Simon? - powtórzyła Dorcas, wypuszczając Ariadnę na podest.

- Kolega Davy'ego - wyjaśniła Matylda. - To się zdarzyło podczas weekendu. Luiza nie ma zamiaru...

W tej chwili Ariadna zaatakowała pazurami Steve'a. Matylda podniosła przerażonego psa, a Dorcas powiedziała tonem nagany:

- Ależ Ariadno!

- Za co ona atakuje tego psa? - chciał wiedzieć Davy.

- Za dawne zbrodnie. - Matylda oparła sobie Steve'a o ramię, patrząc równocześnie na Ariadnę.

- W porządku, Steve. Jej to przejdzie. Powiem Luizie, o co prosiłaś - zwróciła się do Dorcas i ruszyła na górę, a Davy poszedł za nią.

- Co Steve zrobił Ariadnie?

- Zalecał się do niej. - Matylda starała się mówić oględnie.

- O. - Davy obejrzał się na Ariadnę stojącą na podeście. - Czy ona nie przyznaje punktów za szczerość?

Matylda zrezygnowała z oględności.

- Próbował ją bzyknąć.

- Steve, ty idioto - powiedział Davy. - Powinieneś najpierw postawić jej parę drinków, upić ją po prostu.

Matylda wyobraziła sobie, jak Steve, oparty o ścianę na podeście, pyta Ariadnę, czy często tu bywa, i roześmiała się.

- A potem, kiedy już ją rozbawisz - mówił Davy do Steve'a - możesz zabierać się do rzeczy.

- Ja także mam pazury - ostrzegła Matylda.

- I zęby - dodał Davy. - Ale ja się nie boję.

- Macie ze Steve'em mnóstwo wspólnego. - Matylda wręczyła Davy'emu psa.

- A skoro już mowa o niebezpiecznych kobietach - zagadnął Davy, biorąc Steve'a pod pachę - to gdzie się podziewa Luiza? Bo Simon zaczyna przypuszczać, że jest ona wytworem jego wyobraźni.

- Luiza pojawi się w klubie w środę wieczorem. W niedzielę, poniedziałki i wtorki ma wolne.

Matylda otworzyła drzwi do sypialni i jej wzrok padł na łóżko - ogromne i białe w świetle księżyca.

- Luiza ma trzy wieczory wolne od seksu? - domagał się wyjaśnień Davy.

- Od występów w klubie - sprostowała Matylda. - Powiedz Simonowi, żeby uzbroił się w cierpliwość.

W bardzo wiele cierpliwości, bo ona już tutaj nie wróci - dodała w myśli.

- To jeszcze dwa dni. - Davy postawił Steve'a na podłodze. - Nie wiem, czy on jest aż tak cierpliwy. Ja bym na jego miejscu nie wytrzymał.

- To się postaraj.

- Więc dajesz mi kosza - domyślił się Davy.

- Jeśli chodzi ci o to, o czym myślę - tak, daję ci kosza.

- Ale czy wiesz, Vilmo, że odgrywanie kobiety nieprzystępnej może się na tobie zemścić?

- Ja niczego nie odgrywam. - Matylda zamknęła się w łazience, żeby się przebrać w piżamę. Bardziej lubiła spać w podkoszulkach, te jednak źle działały na Davy'ego.

Gdy wyszła, Davy był już w łóżku i sprawiał wrażenie zirytowanego. Matylda wsunęła się pod kołdrę, czując perwersyjne zadowolenie z jego obecności, po czym zrobiła miejsce dla Steve'a. Przytulnie i wygodnie - pomyślała, czując, jak pies przylega do niej całym kudłatym ciałem. A potem spojrzała na Davy'ego, który walczył z poduszką i bynajmniej nie wyglądał na człowieka, któremu jest wygodnie.

- Powiedz mi, Vilmo - zaczął, klepiąc poduszkę - dlaczego, skoro nic nie odgrywasz, wpuszczasz mnie znowu do łóżka?

- Wpuszczam cię do łóżka. A nie do wnętrza siebie. Są przecież jakieś granice.

- Jedynie w twojej wyobraźni. - Davy podłożył sobie poduszkę.

- Gdybym chciał znaleźć się w twoim wnętrzu, tobym się w nim znalazł. Macie tutaj okropne poduszki. Dlaczego? Czy Gwennie ich nie lubi?

- W jaki mianowicie sposób byś się tam znalazł? - Matylda zmierzyła Davy'ego wzrokiem pełnym pogardy.

- Mam wdzięk. - Davy znowu poruszył poduszkę. - Jutro kupię ci lepsze poduszki.

- Nie masz wcale wdzięku - zaprotestowała Matylda, ale zaraz, gwoli uczciwości dodała: - To znaczy, nie masz aż tyle wdzięku.

- Mam wdzięk, którego ty jeszcze nie doświadczyłaś - zapewnił ją Davy. - Nieograniczone jego zasoby, których jeszcze przed tobą nie zmanifestowałem.

Jeszcze raz klepnął swoją poduszkę.

- No cóż, uprzedź mnie, kiedy będziesz chciał je zmanifestować.

- Matylda wtuliła się we własną poduszkę. - Chcę się na to przygotować.

- To nic nie da. I tak cię wezmę. Jak ty to robisz?

- Co?

- Wtulasz się w tę poduszkę. - Davy zmarszczył brwi. - Dałaś mi o wiele gorszą.

- Nic ci nie dawałam. Sam wziąłeś.

- Pokaż. - Davy wyrwał jej poduszkę spod głowy, poklepał ją kilka razy i pokręcił głową. - Nie, ta jest też okropna - stwierdził i oznajmił: - Jutro kupujemy nowe.

- Ja lubię właśnie tę.

- Tobie się tylko tak wydaje. - Davy próbował się jakoś umościć.

- Kiedy wypróbujesz nową, będziesz na tę pluła.

- Będę ją i tak lubiła.

Davy pochylił się nad nią i rozkazał:

- Współpracuj ze mną, Matyldo. To ma fundamentalne znaczenie.

- Poduszki mają fundamentalne znaczenie? - zdziwiła się Matylda.

- Tak - potwierdził z taką powagą, że musiała się uśmiechnąć.

- Czy możesz powiedzieć, że istnieje najmniejsza choćby możliwość, iż jest na świecie lepsza poduszka niż ta znajdująca się właśnie pod twoją głową? - zapytał.

- No... - zaczęła Matylda, a on przysunął się do niej i dokończył:

- Jakaś możliwość pewnie istnieje, czy tak?

- Tak - zgodziła się.

- No więc jutro kupię ci nowe poduszki.

- Ja lubię właśnie te.

- A czy wiesz, że po roku użytkowania połowę wagi każdej poduszki stanowią drobinki kurzu?

Matylda usiadła raptownie.

- Co takiego?

- Przysięgam na Boga, że to prawda. - Davy ułożył się wreszcie. - Ile lat mają te poduszki?

- Były tu, kiedy wróciłam do domu pięć lat temu... - Matylda spojrzała na swoją z przerażeniem.

- Kupimy nowe - oznajmił Davy i cisnął swoją na podłogę.

- Och, ohyda! - Matylda zrobiła to samo.

- No i teraz nie mamy oczywiście na czym spać. Kochamy się? Matylda uśmiechnęła się szeroko.

- A więc na tym polega twój bezgraniczny wdzięk?

- Nie, nie na tym. Wykorzystałem cały jego zasób na gadanie o poduszkach. - Davy wstał z łóżka, wziął koszulę, zwinął ją w kulę i wrócił. - Myślałem, że wezmę cię z rozpędu.

- Jesteś żaloszny.

- Więc wciąż mówisz „nie”?

- Właśnie. Wciąż mówię „nie”.

- Mącisz mi w głowie.

Davy podłożył sobie koszulę pod głowę i odsunął się od niej. Matylda popatrzyła na widoczny w świetle księżycy piękny zarys jego silnych ramion.

- Wiem - powiedziała i też się odsunęła.

W środę rano Gwen otworzyła galerię, naląła sobie kawy, włączyła składankę utworów The Shirelles, wzięła z torby na pieczywo ananasowo-pomarańczową bułeczkę, zaniósła to wszystko - wraz z krzyżówką - na marmu-

rowy kontuar i pomyślała: Pewnego dnia umrę, a moje ciało będzie wciąż wykonywało te czynności. I nikt nic nie zauważy.

Słońce wlewało się przez popękana szybę nad oknem wystawowym, obłuzowana metalowa płytką na suficie brzęczała cicho w podmuchu powietrza, a The Shirelles śpiewały *I Met Him on Sunday*. Powinna wspomnieć o pękniętej szybie Simonowi, który - wyczerpawszy najwyraźniej wszystkie możliwości zażycia w Columbus rozrywki bez Luizy - chodził po całym domu i robił notatki dotyczące bezpieczeństwa.

- Ten dom to marzenie włamywacza - powiedział, a ona, wskazując obrazy Dorcas Finster, zapytała:

- I co ten włamywacz tutaj ukradnie?

Davy od dwóch dni był opryskliwy. Gwen sądziła, że albo z powodu swoich pieniędzy, albo z powodu Matyldy. Była też pewna, że - bez względu na powód - to niedobrze.

- On pracuje dla FBI - przypomniała Matyldzie. - Uszczęśliw go. Bez względu na koszty.

- Oj, nie najlepsza z ciebie matka - odrzekła jej na to Matylda.

Davy grywał gdzieś w bilard z ludźmi, którzy mieli zasobne portfele.

- Można to traktować jako źródło utrzymania - powiedziała mu Gwen, gdy pewnego wieczora dał jej kolejną sumę za bułeczki.

- A wtedy przestaloby człowieka cieszyć - zauważył i poszedł na górę do pokoju Matyldy.

Poza tym w domu był Ford, który codziennie z kamienną twarzą przynosił jej piña coladę, a czasami zostawał, żeby porozmawiać o galerii. Gwen pochlebiało, że Ford chce aż tyle o niej wiedzieć, a równocześnie zasmucało, że ma mu tak mało do powiedzenia. Dzięki piña coladzie znacznie mniej się jednak z tego powodu wstydziła. Miała teraz cztery parasolki - różową, niebieską, zieloną i żółtą. Trzymała je w pojemniku na ołówki i spoglądała na nie raz po raz. Tylko w ten sposób mogła się zbliżyć do lazuruwej wody i białego piasku.

To jest żalosne - pomyślała i przypomniała sobie Masona, który wpadł dwa razy - w poniedziałek i we wtorek - żeby jej podziękować za wspólny lunch, a potem z rozrzewnieniem rozprawiał o galerii. Najwyraźniej przygotowywał sobie grunt pod jakąś prośbę. A ona wiedziała już, co to za prośba. Była pewna, że Mason chce galerię kupić. Wielkie nieba! Nie może jej przecież sprzedać. Kontakty z Masonem i Fordem poszerzały przynajmniej jej życiowe horyzonty: teraz zamiast czekać z przyjemnością na codzienną krzyżówkę, mogła czekać na krzyżówkę, telefon Masona i papierową parasolkę od Forda.

- Prr mój koniu! Dość tego - powiedziała na głos i otworzyła broszurę z krzyżówkami.

W południe, zastąpiwszy słowo „esowaty” słowem „zygzakowaty”, słowo „nadmiar” słowem „nadwyżka” oraz słowo „owijać” słowem „pakować”, poczuła się znacznie lepiej. Wiedziała oczywiście, że każdy, kto zamiast „gadżet” powiedziałby „interes”, nie byłby całkiem przy zdrowych zmysłach, ale takie prawa rządziły krzyżówkami. Zirykowało ją także, że „przyciężkie ptaszyska” okazały się „sokołami”.

- Babciu?

Gwen podniosła wzrok znad broszury. Przed nią stała Nadine z uroczystą miną, a za nią Ethan.

- Myślałam, że pojechałaś malować fresk z Matyldą.

- Pojechałam - potwierdziła Nadine. - Ale wczoraj. Kładłyśmy pierwszą warstwę farby. Było nudno, nie zostaną więc malarką fresków.

- To pewnie dobrze - zastanowiła się Gwen. - A o co ci teraz chodzi?

Nadine spojrzała na Ethana.

- No, oboje z Ethanem martwimy się z powodu pana Browna.

- Dlaczego?

- Bo ciocia Matylda mówiła, że on nosi fałszywe nazwisko.

- Ciocia żartowała. - Gwen chciała wrócić do krzyżówki.

- Nie sądzę - powiedziała Nadine. - My z Ethanem założyliśmy podsłuch w jego telefonie.

Gwen podniosła raptownie głowę.

- Ależ Nadine!

- Wszystko jest w porządku, proszę pani - włączył się Ethan.

- Nie uszkodziliśmy aparatu.

- To było bardzo łatwe - oznajmiła Nadine. - Myślę teraz, że może zostanę detektywem.

- A ja myślę, że pójdziesz raczej do więzienia - krzyknęła Gwen.

- To jest sprzeczne z prawem. Macie natychmiast przestać.

- To nie my pójdziemy do więzienia - oświadczyła Nadine, a Ethan pokiwał głową. - Nie po tym, co usłyszeliśmy.

- A co usłyszeliście? - Gwen wcale nie chciała się tego dowiedzieć, bo podobały jej się te miniaturowe parasolki i smakowała piña colada.

- Pan Brown jest płatnym mordercą.

- O do diabła! - Gwen zamknęła broszurę z krzyżówkami.

- Dobrze. Wyłumacz mi to jeszcze raz - powiedziała Matylda po południu, kiedy wróciła do domu po położeniu pierwszej warstwy farby pod te cholerne nenufary. - Ford Brown jest płatnym mordercą?

- Nadine założyła podsłuch w telefonie znajdującym się w jego mieszkaniu, ale nie podłączyła magnetofonu.

- Gwen prawą ręką przykładła sobie lód do czoła, a w lewej trzymała drinka z fioletową parasolką. - Przysięga, że słyszała, jak on rozmawiał z Cleą Lewis o Davym, i że wyglądało na to, że planują go zabić.

Matylda usiadła obok Gwen na kanapie.

- No cóż, to możliwe. Clea zagarnęła pieniądze Davy'ego i wie, że on się po nie zgłosi. To chyba duża suma. Ale czy za zabicie agenta FBI nie grozi jakaś okropna kara?

- Boże - lamentowała Gwen. - A ja mu wynajęłam pokój. - Spojrzała na drinka, westchnęła i wypila łyk. - Trudno uwierzyć, ale jeszcze tydzień temu uważałam, że jakakolwiek zmiana w moim życiu będzie zmianą na lepsze.

- Wiesz, to po prostu nie wydaje się prawdopodobne - stwierdziła Matylda. - Jak zresztą i to, że Davy jest agentem FBI. A co mówi Davy?

- Przez cały dzień nie było go w domu - odrzekła Gwen. - Nie wiem, gdzie... - Wyprostowała się nagle. - Nie sądzisz chyba, że on już...

Rozdział dwunasty

- Nie - zaprzeczyła Matylda. - Nie tak łatwo go zabić. Porozmawiam z nim, kiedy wróci.

Gwen odłożyła na bok okład z lodu.

- A właściwie to co się między wami dzieje?

- Właściwie nic - odparła Matylda. - Pomagamy sobie wzajemnie odzyskać utraconą własność. Potem on pojedzie do Australii, a ja do Cleveland, żeby namalować *Rozgwieżdżoną noc* w jakiejś sypialni.

- Przykro mi. - Gwen wręczyła jej kompres, nie proponując drinka.

- Nie przejmuj się tak. Wolę taki układ. Wiesz przecież, że mężczyźni zawsze muszą wszystko spieszyć.

- To prawda - przyznała Gwen, patrząc na miniaturową parasolkę. - Problem w tym, że po prostu nie spodziewałam się pączka-mordercy.

- No cóż, zawsze zostaje ci jeszcze Mason. Wiem, że on jest z Clea. Moim zdaniem jednak ten związek nie przetrwa, bo Mason to człowiek zbyt uroczy.

- Mason pragnie nie mnie, tylko galerii - wyjaśniła Gwen. - Ja zostanę przy krzyżówkach. Są irytujące, ale nie zalecają się do człowieka po to, żeby nabyć jego własność, ani nie mordują nikomu lokatorów.

- Słuszna uwaga. - Matylda odprowadziła wzrokiem matkę, która udała się do galerii.

O dziesiątej zaczęła się martwić nawet Matylda. Ulżyło jej dopiero, gdy Davy pojawił się w drzwiach sypialni. W obu rękach trzymał dwie duże plastikowe torby.

- Poduszki - obwieścił wykładając ich zawartość na łóżko. - Cztery najlepsze poduszki, jakie można nabyć za pieniądze.

- Dziękuję. Jesteś bardzo troskliwy. Czy to możliwe, że ktoś wynajął osobnika, który ma cię zabić?

- Tak głosi plotka. - Davy zdjął koszulę. - Okropny dzień.

- Nadine już z tobą rozmawiała?

- Nadine?

- Założyła podsłuch w telefonie Forda Browna i sądzi teraz, że Clea Lewis wynajęła go, żeby cię zamordował.

- Ten kowboj ma mnie zamordować? - zdziwił się Davy. - Hm. Być może.

Wszedł spokojnie do łazienki i odkręcił wodę. Matylda miała ochotę czymś w niego cisnąć. Chwyciła poduszkę, ale zrobiło jej się żal. Poszła więc na dół poszukać poszewek. Gdy wróciła, Davy był już w łóżku, a Steve także znajdował się pod kołdrą.

- Chodź tutaj, Vilmo. - Davy zachęcająco poklepał pościel.

- Boli mnie głowa - wykręcała się Matylda. Rzuciła mu dwie poszewki.

- Jak dotąd żadna kobieta mi tego jeszcze nie powiedziała - rzekł Davy, biorąc poduszkę.

- Przyda ci się nowe doświadczenie - stwierdziła Matylda i oblekła swoje poduszki. A potem wsunęła się do łóżka i opadła na nie. - O, są naprawdę dobre.

- Ja też jestem dobry - pochwalił się Davy. - Właściwie o co tu chodzi? Przecież w niedzielę wszystko poszło jak należy.

Podłożył sobie jedną obleczoną poduszkę i wziął się za oblekanie drugiej.

- To prawda. - Matylda wsunęła się głębiej pod kołdrę. - Dziękuję. Dobranoc.

- Matyldo - poprosił Davy. - Mów do mnie. Matylda zmarszczyła brwi.

- Co mam mówić? Mówię ci, że ten facet chce cię zabić, a ty nawet nie mrugniesz. A poza tym, czym ty się zajmujesz zawodowo?

- Zabiłem prezydenta Paragwaju. I to widelcem.

- *Zabijanie na śniadanie* - przypomniała sobie Matylda. - Ale my nie gramy w filmie.

- Trudno mi uwierzyć, że Ford Brown ma zamiar mnie zamordować.

- Czy dlatego, że...

Davy wzruszył ramionami.

- No bo na co on czeka?

Matylda zastanowiła się.

- Może na instrukcje?

- No tak, to prawdopodobne - przyznał Davy. - Ale skoro to ma być ostania noc mojego życia, może byśmy...

- Nie - Matylda była stanowcza.

- Czy zechcesz mi to wyjaśnić?

- Mam chyba prawo nie chcieć.

- Masz. Ale ja chcę wiedzieć dlaczego. No dalej. - Uśmiechnął się do niej. - Mów.

Matylda pokręciła głową.

- Za bardzo się martwię tym, że Ford cię zastrzeli. Jeżeli będę pod tobą, może trafić i mnie.

- Nie, to fachowiec. - Davy pochylił się nad nią, wciąż z uśmiechem. - Powiem ci coś. Dziesięć minut. Pobię własny rekord.

- Naprawdę nie mam nastroju.

- Pięć minut.

- Davy!

Davy westchnął i usiadł, opierając się o nowe poduszki. Siedząc tak bez koszuli w świetle księżyca, wyglądał cholernie dobrze.

- Okej. Powiedz mi dlaczego, a obiecuję, że nie popełnię więcej tego straszego błędu, który musiałem popełnić ostatnio.

- Wiesz dobrze, że nie popełniłeś żadnego błędu.

Matylda wsunęła się głęboko pod kołdrę, ale Davy odkrył jej twarz.

- Trudno mi dosłyszeć, co mówisz pod kołdrą. Podsuń się wyżej i mów.

Matylda zamknęła oczy.

- Jutro maluję. Muszę się wyspać.

- Wykrztuś to wreszcie i miejmy to za sobą. Co spieprzyłem?

Matylda pomyślała: Powiem mu cokolwiek, a wtedy się zamknie i odsunęła kołdrę.

- Dobrą, ale obiecaj, że się nie obrazisz, nie wściekniesz i nie poczujesz urażony.

- O, nieźle się zanosi. - Davy wcale nie przejął się jej słowami.

- Słuchaj, jest powód, dla którego ludzie się okłamują. - Zabrzmiało to trochę złośliwie. - Kłamstwo pozwala im się nie pozabijać.

Davy wyciągnął jej poduszki spod głowy.

- Co robisz?

Davy ułożył poduszki u wezglowia i poklepał je.

- No dalej. Moje ego zniesie prawie wszystko.

- No cóż, to prawda. - Matylda usiadła i oparła się o poduszki. - Okej, ale sam tego chciałeś. Ja próbowałam być grzeczna... To jest żenujące.

- Więc wyrzuć to z siebie i miej to za sobą.

- No więc... właśnie o to chodzi, że to... Że ty. I seks. I to wszystko. Jest żenujące. I niebezpieczne. - Davy patrzył na nią tak, jakby chciał powiedzieć „postradałaś zmysły”. - Nie znam cię za dobrze, prawda? Poznałam cię przed pięcioma dniami. Nie wiem o tobie nic i nagle ty...

- I nagle ja... - powtórzył Davy, zdziwiony.

- No wiesz. - Matylda wskazała dolne partie swojego ciała. - Jesteś tam.

- No bo tam jest świetnie. Wiesz, ty za dużo myślisz. Matylda patrzyła przed siebie.

- Ja wiem, co czuję.

- A gdy się za dużo myśli - mówił Davy, tak jakby ona nie odezwała się słowem - to te rzeczy nigdy nie wychodzą.

- To nieprawda - zaprzeczyła Matylda tonem osoby doprowadzonej do rozpacz.

- Każdy człowiek, który myśli o tym, co naprawdę robi...

- I czego ja nie chcę robić.

- ... i jakie wydaje dźwięki... Matylda skrzywiła się.

- To mi nie przyszło do głowy.

- ... zaczyna się zastanawiać, co by było, gdyby to wszystko sfilmować...

- O Boże.

Matylda opadła na łóżko, starając się nie myśleć o filmie przedstawiającym to, co działo się na kanapie.

- ... chociaż co do mnie, to idę na to, jeżeli ty się zgodzisz. Matylda usiadła.

- Czyś ty zwariował?

- Dlaczego? - zapytał Davy, zaskoczony.

- Czy ty w ogóle skupiasz się na mojej osobie?

- No cóż, chciałbym. Ale ciebie boli głowa.

- Nie o takie skupienie mi chodzi. Chociaż i te rzeczy robisz, poświęcając niewiele uwagi...

- Chwileczkę - zaprotestował Davy. - Ja poświęciłem bardzo wiele uwagi...

- Tak, temu, co sam robiłeś. Ale nie mnie.

- Przecież robiłem to z tobą.

- Nie mówiłeś do mnie. Nie patrzyłeś mi w oczy.

- Miałem pełne usta - odrzekł zirytowany. - A moja głowa tkwiła między twoimi udami.

- Mówiłam, że nie spodoba ci się to, co powiem - mruknęła Matylda, rozpierając się na poduszkach.

- Okej, powiedzmy krótko. Miałaś orgazm, tak? Nie zgrywałaś się.

- To prawda.

Matylda zapatrzyła się w świetlik.

- I było dobrze, tak? Bardzo dobrze.

- Tak.

- No cóż, gwarantuję, że znowu tak będzie. - Davy czuł się bezradny.

- Ale ja nie chcę - rzekła Matylda. - O to mi chodzi, że nie chcę.

- Nie chcesz mieć orgazmu?

- Nie chcę mieć orgazmu z tobą - wyjaśniła. - Nie znam cię, jesteś obcy, jesteś groźny, aż nagle... znajdujesz się tam... a ja jęczę i zachowuję się jak idiotka, gadam Bóg wie co, a ty wchodzisz we mnie. I na drugi dzień nie mogę na ciebie patrzeć.

- Dobrze. Nie musimy ze sobą rozmawiać w ciągu dnia - przemówił Davy rozsądnie.

Matylda spiorunowała go wzrokiem.

- Czy to ma być śmieszne?

- Nie! - Davy był zdumiony. - Próbuję znaleźć dogodne wyjście z sytuacji. Przecież nie spotykasz się z nikim innym, kto ci to zapewnia.

Matylda znów spojrzała w świetlik.

- Mogę to sobie zapewnić sama.

- Ale nie tak jak ja.

Spojrzała na niego, zdumiona jego arogancją.

- Słuchaj, ja mogę zapewnić sobie takie orgazmy, które mnie wykatapultują z łóżka. Mój wibrator jest elektryczny. Włącza się go do kontaktu. A teraz: czy mogę się przespać? - przerwała, uświadomiwszy sobie, że w końcu go zatkąło. - Słuchaj, nie bierz tego do siebie...

- Wolisz wibrator niż mnie? - zapytał zdumiony.

- To jest dobry wibrator. - Próbowała złagodzić cios. - Nie taki na baterię. Włącza się go do kontaktu. - Davy nie odpowiadał, dodała więc: - Ewa dała mi go na gwiazdkę dziesięć lat temu, zatem mam go już jakiś czas i...

Zamilkła, obserwując jego minę.

- Pozostajesz zatem w długoletnim związku z elektrycznym urządzeniem - zakonkludował Davy.

- Chwileczkę. - Matylda wyprostowała się. - To urządzenie ma to do siebie, że nie muszę z nim rozmawiać. A poza tym ono mnie nigdy nie wprawia w zakłopotanie i nigdy mnie nie zawodzi.

- Mogłabyś to samo powiedzieć o mnie, gdybyś nie była, psiakrew, taka sztywna!

- Ja wcale nie jestem sztywna.

- Sztywna nie jest Luiza. A ty jesteś spięta do imentu. - Pokręcił głową. - Ewa podarowała ci wibrator. A co podarowała ci Luiza? Marynarza?

- Podarowały mi go razem - odrzekła Matylda lodowatym tonem. - Masz odpowiedź. Zadowolony?

- Dziwne, ale nie. - Davy odetchnął głęboko. - Słuchaj, to żaden problem. Jestem człowiekiem bez uprzedzeń. Może zrobimy to we trójkę?

- Co? - Matylda była oburzona.

- Ty, ja i ta maszynka - wyjaśnił Davy.

- Nie. - Matylda bohatercko powstrzymała się od ciśnięcia w niego jakimś przedmiotem. - Nie chcę we trójkę. A teraz: czy mogę iść spać?

- Kochanie, moim zdaniem ty się nigdy nie budzisz ze snu. Davy wstał z łóżka.

- No tak, oczywiście, skoro ciebie nie pragnę, to muszę być półtrupem. - Matylda wsunęła się pod kołdrę. -
Myśl o rozmiarach twojego ego zwała mnie po prostu z nóg.

Davy stanął nad nią jak kat.

- Kiedy ostatnio uprawiałaś seks? - indagował.

- W niedzielę - zamruczała Matylda spod kołdry.

- Z kimś innym, nie ze mną - drażył temat Davy z przesadną cierpliwością.

- To nie twój interes!

- Aha, nawet nie możesz sobie przypomnieć. - Davy wziął z podłogi dżinsy. - Jesteś do tego stopnia zajęta okazywaniem innym swojej dobroci, że nie pamiętasz, kiedy ostatnio grzeszyłaś.

- Ale pamiętam, kiedy ty grzeszyłeś i nie byłeś w tym dobry wymamrotała Matylda w kołdrę.

- Okej, świetnie. - Davy zapiął suwak dżinsów i złapał koszulę. Gdzie twoja torebka?

- Słucham? - Matylda usiadła, a on włożył koszulę i znalazł torebkę na toalecie. - Co ty robisz?

- Biorę dwadzieścia dolców - odburknął. - Odzyskasz je rano.

- To moje pieniądze! - zawołała Matylda, usiłując nie zauważyć, jak świetnie Davy wygląda w rozpiętej koszuli.

- Ty będziesz spała. Pieniądze ci niepotrzebne. Chyba że chciałabyś dać napiwek wibratorowi.

- Wiedziałam, że tego nie zniesiesz - powiedziała Matylda. - Wiedziałam, że tak zareagujesz. - A kiedy on, nie odpowiadając ani słowem, otworzył drzwi, dodała: - Chwileczkę, dokąd ty się wybierasz?

- Idę grać w bilard - warknął. - I mam zamiar dziś wieczór coś wygrać.

Co powiedziawszy, trzasnął drzwiami i wyszedł, unosząc z sobą jej dwadzieścia dolarów.

- Mężczyźni są tacy przewrażliwieni - zawołała za nim, starając się nie dopuszczać do siebie myśli o tym, jak bardzo jej się podoba, taki rozwścieczony w świetle księżycy.

Uderzyła pięścią poduszkę, którą od niego dostała. Naprawdę zmęczyła ją jego nonszalancja, a poza tym był zbyt niebezpieczny, żeby z nim spać. Tylko że...

Tylko że cholernie zabawnie wyglądał, kiedy się złościł. Matylda poznawała, że jest wściekły, po naprężonych mięśniach jego ramion. Nie musiała czekać, aż zacznie wrzeszczeć. A poza tym on naprawdę odznaczał się dużymi umiejętnościami.

O do diabła, nie mogę tak myśleć - zmytygowała się. Gdyby Davy został w sypialni jeszcze przez parę minut, namówiłby ją na ten seks we trójkę. Oto dlaczego był taki groźny - potrafił ją namówić na wszystko, na co tylko zechciał. Matylda leżała teraz, myśląc wciąż o nim. A im dłużej myślała, tym bardziej robiła się wściekła i tym mocniej kopała w deskę w nogach łóżka. Aż w końcu otworzyła szufladę toaletki i włączyła do kontaktu swojego najwierniejszego partnera.

I doszła do wniosku, że General Electric to koncern, który potrafi doskonale zaspokoić kobietę, nie pożyczając od niej pieniędzy ani nie trzaskając drzwiami.

Davy wycofał się z gry, gdy miał sto dolarów nadwyżki, przede wszystkim dlatego, że nadal był wściekły i przez to grał głupio.

- Oto co się dzieje, gdy człowiek zawróci sobie głowę kobietą - mruknął do siebie, a jego jeleni skwapliwie się z nim zgodził:

Davy wrócił do domu pieszo, ale nic mu to nie pomogło - złość go nie opuszczała. Nie chciało mu się wcale iść do Matyldy. O co tu chodzi, u diabła? - zastanowił się po raz nie wiadomo który.

W tej samej chwili jego wzrok padł na drzwi sutereny. Tam znajdowało się coś, co Matylda trzymała pod kluczem. No cóż, taka już ona była. Nie pozwalała nikomu wejść.

- Ale mnie pozwoli - powiedział sobie Davy i ruszył na górę. Walnął parę razy w drzwi wynajętego przez siebie pokoju.

- Co jest? - zapytał zaspany Simon, gdy w końcu otworzył.

- Zrób sobie przerwę - zwrócił się do niego Davy. - Musisz otworzyć zamek. Luiza przez pięć minut może się bez ciebie obejść.

- Luizy tu nie ma - odparł Simon. - Mam jednak wielkie nadzieje na jutro. Co chcesz otworzyć?

- Drzwi sutereny.

- To żaden problem. - Simon wrócił do pokoju.

Pojawił się ponownie z narzędziami. Schodzenie na dół zajęło mu więcej czasu niż otwieranie drzwi.

- Naprawdę szkoda, że poszedłeś na emeryturę - stwierdził Davy. - Jesteś prawdziwym artystą.

- Wiem. Ale nie lubię siedzieć w więzieniu. Zatem spodziewasz się znaleźć tutaj coś interesującego?

- Nie mam zielonego pojęcia. Chodźmy.

Davy zapalił światło. Spodziewał się zobaczyć jedną z tych okropnych suteren, jakie zwykle znajdują się pod starymi budynkami. Ujrzał jednak białe cementowe schody prowadzące do nieskazitelnego jasno oświetlonego holu.

- Tam z pewnością jest coś interesującego. - Simon mówił to z przekonaniem.

Davy zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz?

- Ktoś tu zainwestował pieniądze. Nie w ten zamek, ale... Minął Davy'ego i zszedł po schodach, a Davy po-
dążył za nim.

Schody kończyły się w krótkim holu, tak białym jak sypialnia Matyldy. Simon przystanął, nasłuchując.

- Oczyszczacz powietrza - zauważył.

- Tu jest chłodno.

Davy rozejrzał się. W holu było dwoje drzwi znajdujących się naprzeciwko siebie, a w jednym jego końcu stał rząd pustych regałów. Poza tym nie było nic.

- Panuje tu stała temperatura - powiedział Simon. - Trzymają tu coś cennego.

- Obrazy?

- Wydaje się to oczywiste. - Simon spojrzął na drzwi po lewej.

- Oho!

- O co chodzi? - zapytał Davy.

- Na ten zamek wydano sporo - odrzekł Simon, pochylając się.

- Czy potrafisz dostać się do środka?

- Jeżeli będę miał dość czasu i odpowiednią motywację, to tak. Ale nie mam ani jednego, ani drugiego. Zamek jest szyfrowany. Idź i wydobądź od Matyldy kombinację cyfr. Tak będzie znacznie prędzej.

- O, to ty nie znasz Matyldy. - Davy spojrzął na drugie drzwi. - A te? Możesz je otworzyć?

Simon obrócił gałkę i drzwi otworzyły się same.

- Pierwsza zasada: sprawdź, czy nie są otwarte.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego wszyscy dzisiaj krzyżują mi plany? - Davy otworzył drzwi na całą szerokość. Zapalił światło i zobaczył ogromne pomieszczenie, o ścianach, podłodze i suficie pomalowanych na biało, pełne białych płacht przykrywających Bóg raczy wiedzieć co. - Ta rodzinna awersja do koloru jest przerażająca.

Simon pokiwał głową.

- Ale Luiza nosi czerwone rzeczy. Tak mi się przynajmniej zdaje, bo trudno w ciemności rozróżnić kolory.

Davy popatrzył na niego zdziwiony.

- Luiza nie lubi zapalonego światła?

- To jest jedyna rzecz, której nie lubi - odrzekł Simon. - Zważywszy, że na wszystko poza tym się zgadza, nie należy narzekać.

- Widzę, że łatwo cię zadowolić. Davy zerwał pierwszy pokrowiec.

- Jezu! - wyrwało mu się mimo woli.

Z niebiesko-zielonego fotela babuni wpatrywały się w niego wężowe oczy. Tym, co w pierwszej chwili wziął za szlaczki, okazały się wężowe ciała wijące się na oparciu i siedzeniu. A każde z tych ciał pomalowane było intensywnym fioletem i srebrem. Małe wężowe główki zwracały się w jego stronę, uśmiechając się szeroko i spoglądając ciemnymi oczkami.

- To mi przypomina Luizę - powiedział Simon.

Davy zdarł kolejną płachtę i znalazł różową komodę pomalowaną w stokrotki o niebieskich środkach i wijących się żółtych płatkach upodabniających je do miniaturowych słońc.

- To mi przypomina Ewę. - Tym razem to Davy wyraził swoją opinię.

Podniósł następną płachtę i zobaczył stół pomalowany w niebieskie flamingi o chytrym spojrzeniu. Natomiast Simon odkrył kilka krzeseł nie od kompletu, na których ktoś wymalował ostentacyjnie kiczowate żółte i pomarańczowe motyle. Chodząc po całym pomieszczeniu, znaleźli jeszcze stół pomalowany w czerwono nakrapiane psy myśliwskie, komodę w żółtawozielone ślimaki oraz co najmniej tuzin podnóżków w żaby, ryby i myszy. Przechodząc od jednego perwersyjnie ozdobionego mebla do drugiego, dotarli do tylnej ściany i zerwawszy ostatni i największy pokrowiec, zobaczyli łóżko, na którego wezglowiu namalowane było drzewo o rozłożystych gałęziach. A pod nim dwie ludzkie postacie - blondyna i brunetkę.

Davy wybuchnął śmiechem.

- Okej, kupuję to łóżko dla mojej siostry. - Dlaczego? - zdziwił się Simon.

- Bo to jest ona i ten dupek, za którego wyszła. Ona będzie zachwycona, a on wściekły. Wspaniale.

- Nie sądzę, żeby to była Sophie - rzekł Simon. - Moim zdaniem to Matylda. I Andrew.

Davy przestał się śmiać.

- O! - Pokręcił głową. - Według mnie to nie jest nikt konkretny. Ale będą to Sophie i Phin.

- Ręcznie malowane łóżko... - Zastanowił się Simon. - To jest około tysiąca dolarów. Akurat suma, której ci brakuje.

- Co? - W Davym nagle obudziła się czujność.

- Ręcznie malowane meble - wyjaśnił Simon. - To są drogie rzeczy.

- Jak drogie? - zapytał Davy. Simon wzruszył ramionami.

- Są pracochlonne. Jestem pewien, że uzyskasz korzystną cenę... o co chodzi?

Davy rozglądał się po pomieszczeniu, próbując liczyć, a równocześnie intensywnie myśląc.

- Ile tu jest tych mebli? Simon wzruszył ramionami.

- Ze czterdzieści, może z pięćdziesiąt sztuk. A dlaczego pytasz?

- Sądzę, że epoka dzieł Dorcas Finster minęła - powiedział Davy i ruszył do drzwi.

Matylda spała głębokim snem, kiedy Davy zapalił światło i rzekł:

- Wstań, Śnieżko, musimy porozmawiać.

- Nie - zaprotestowała w półśnie, przykrywając głowę poduszką. - Nie, nie chcę seksu, nie.

- Zapewne cię zaskoczę, ale ja także nie. - Davy usiadł na łóżku i wyrwał jej poduszkę. - Obudź się, Judy, zrobimy wystawę!

Rozdział trzynasty

- Davy, ja muszę jutro pracować. - Matylda, mrużąc oczy, spojrzała na zegar. - O, do diabła. Nie jutro, tylko dzisiaj. Jest po północy.

- Te meble w suterenie... - zaczął Davy, a ona usiadła, całkiem już rozbudzona i bez tchu.

- Co ty robiłaś w suterenie?

- Sprzedamy te meble - rzekł Davy, a Steve, ciekawy, co się dzieje, wystawił nos spod kołdry.

Matylda usiłowała głęboko odetchnąć.

- Jak ty się tam dostałaś?

- Drzwi nie były zamknięte na klucz. Uważaj. Macie tam mnóstwo mebli.

- Drzwi były zamknięte na klucz. - Oddychała ciężko, a on zakrył jej usta dłonią.

- Słuchaj mnie bardzo uważnie - powiedział. - Wkrótce zrobimy wystawę tych mebli. I zaprosimy Masona na jej gospodarza. Clea przyjdzie z nim. I...

Matylda odepchnęła jego dłoń.

- I będziemy mogli pójść i ukraść naszą własność z ich domu. Dlaczego nie zaprosić ich po prostu na obiad?

- Bo oni teraz mają służbę - wyjaśnił Davy. - Prawdę mówiąc, poznałaś tę służbę. Znokautowałaś ją.

- O. - Matylda usiadła prosto, próbując oddychać głębiej i zmuszając Steve'a, żeby się posunął. - Ale co...

- Potrzebny ci będzie ktoś, kto na wernisaż zorganizuje przyjęcie. Zatrudnisz w tym celu właśnie służącego Clei i Masona.

- Musi istnieć jakiś prostszy sposób.

Brakowało jej tchu, Davy otworzył więc szufladę toaletki i wyjął inhalator.

- Nie istnieje taki, dzięki któremu zarobisz równocześnie pieniądze. W tej suterenie znajduje się mały majątek. ,,

Matylda posłużyła się inhalatorem, karcąc Davy'ego wzrokiem. Sprawiał wrażenie szczerego, ale on zawsze sprawiał takie wrażenie, nawet wtedy kiedy kłamał jak z nut.

- Davy, nikt nie zechce kupić tych mebli. To ja je pomalowałam, kiedy byłam jeszcze dzieckiem.

- Ty je pomalowałaś?

- Tak. - Nie miała nastroju do znoszenia kpin. - A dlaczego pytasz?

- Są naprawdę dobre.

- I to jest dla ciebie niespodzianka?

- Myślałem, że robisz tylko fresia. - Odsunął się trochę. - I nie widziałem żadnego z nich, nie miałem pojęcia, jak świetną jesteś malarką. Aha, i kupuję to łóżko.

- Po co ci ono? - W Matyldzie obudziła się czujność.

- Moja siostra obchodzi wkrótce rocznicę ślubu. Chcę jej zrobić prezent. Zapłacę ci, kiedy odzyskam pieniądze.

Matylda machnęła ręką.

- Weź je sobie. Zasłużyłeś. Ale co do tej wystawy...

- Tobie potrzebne są pieniądze. A tobie i mnie - zorganizowanie absorbującego zajęcia Masonowi, Clei i ich służącemu. I wystarczy nam do tego trochę farby i trochę reklamy - tłumaczył cierpliwie Davy, zdejmując koszulę. - Nie potrzeba sobie nad tym łamać głowy.

- Po co nam farba?

- Żeby pomalować galerię. - Davy odrzucił dzinsy i wmeldował się do łóżka, zmuszając Steve'a, żeby znowu się posunął. - Nie namówisz nikogo, żeby kupił podnózek za sto dolców, jeżeli galeria będzie wyglądała tak, jak wygląda. Jak cię widzą, tak cię piszą, kotku. Musimy sprawić, żeby ta galeria zmartwychwstała.

To rzekłszy, bardzo z siebie zadowolony, ułożył się na swoich nowych poduszkach.

- Nie.

Na samą myśl o wystawie Matyldzie brakowało tchu.

- Tak - upierał się Davy. - Nie wiem, dlaczego chcesz, żeby galeria zbankrutowała, ale to bez sensu. Tobie i mnie potrzebny jest wernisaż, żeby zająć czymś Masona, a poza tym tobie potrzebne są pieniądze.

- Ja wcale nie chcę, żeby galeria zbankrutowała. Matylda poczuła zwykle u siebie duszności.

- Jak to nie? Jesteś jedyną osobą w rodzinie, która ma dość inteligencji i energii, żeby poprowadzić galerię, a spędzasz cały czas poza domem, zostawiając na miejscu Gwennie usiłującą sprzedać dzieła Dorcas Finster. Właściwie dobijasz tę galerię.

- Wcale nie...

Matylda odetchnęła głęboko.

- Czym ja bym się nie przejmował - ciągnął Davy - gdyby nie to, że jest to świetny plan, Matyldo. To zbrodnia pozwolić mu się zmarnować.

Matylda na dźwięk słowa „zbrodnia” znowu sięgnęła po inhalator.

- Ze mnie jest żaden handlowiec.

- Ale ja jestem dobrym handlowcem - zapewnił ją Davy. - Sprzedamy te meble.

- Czy tylko dlatego, że to świetny plan i że jesteś handlowcem?

- Nie. - Po raz pierwszy od chwili, gdy ją obudził, sprawiał wrażenie niepewnego. - Matyldo, ja chcę sprzedać te meble. Ty nic z nimi nie robisz. Jak długo one tam stoją?

- Siedemnaście lat.

- Podaj choć jeden powód, dla którego nie powinniśmy ich spieniężyć.

Powód jest taki, że każdy, kto ma oko, zauważy, że te meble zostały pomalowane przez tę samą osobę, która namalowała obrazy Scarlet.

Na tę myśl Matylda poczuła ściskanie w żołądku.

- Czekam - nalegał Davy.

Z drugiej jednak strony bardzo mało osób widziało obrazy Scarlet. Davy je widział i nic nie zauważył. Clea je widziała, ale ona nie ma w ogóle oka. Mason je widział, ale, zafascynowany prawdziwą sztuką, nie uwierzyłby, że Scarlet pomalowała meble.

- Okej - wyszeptała Matylda. - Dobrze. Ale to ty powiesz o tym Gwennie. - Opadła na poduszki. - Bo ja jestem pewna, że to błąd.

- Brak ci wiary - powiedział Davy.

Po czym pochylił się nad nią, podniósł z podłogi dzinsy i wyciągnął coś z kieszeni. Następnie ciepłą dłonią wziął Matyldę pod brodę i zanim zdążyła zaprotestować, wsunął jej jakiś papier za pazuchę.

- Weź łapy.

Trzepnęła go po nich, ale odciągnęła podkoszulek i zajrzała sobie za dekolt. Tkwiły tam dwie dwudziestodolarówki i jedna dziesięciodolarówka.

- Nie biorę gotówki - oświadczyła.

- To twój dochód z tej dwudziestki, którą pożyczyłem - wyjaśnił. - Połowa mojej wygranej.

- Chyba powinnam oddelegować cię do gry w bilard. - Matylda wyciągnęła banknoty zza pazuchy.

- To zostawimy sobie w odwodzie - stwierdził Davy. - A najpierw sprzedamy meble.

Gdy Matylda obudziła się na drugi dzień rano, Davy'ego nie było. Zostawił jej jednak notatkę następującej treści: „Nie zapomnij powiedzieć Gwennie”.

Świetnie - pomyślała i poszła wraz ze Steve'em na dół, żeby napić się soku i zepsuć Gwennie cały dzień.

- Cześć - przywitała ją Gwen, gdy tylko weszła do biura. - Davy jeszcze żyje?

- Tak - potwierdziła Matylda i dodała: - To wcale nie jest śmieszne.

Ewa siedząca przy stole z ustami pełnymi słodkiego ciasta pomachała jej ręką.

- A jak Monet? - zapytała, przełknąwszy.

- Nudny jak flaki z olejem - skrzywiła się Matylda, a Steve usiadł u stóp Ewy, mając nadzieję na bułeczkę. - Zasluguje na to, by znajdować się na ścianie łazienki. A co do Davy'ego, to on chce zrobić wystawę moich starych mebli. Zgodziłam się na to. No, muszę jechać do pracy.

To rzekłszy, ruszyła ku drzwiom.

- Chwileczkę - zawołała Gwen ogarnięta paniką.

Matylda zawróciła więc z westchnieniem, żeby napić się soku i zdać matce i siostrze sprawozdanie z ostatniej nocy.

- On jest przekonany, że w ten sposób możemy wszystko odzyskać - tłumaczyła. - Dyskutowałam z nim, ale...

- Nie dyskutuj. - Ewa wzięła Steve'a na kolana, żeby go popieścić. Oni pracują dla FBI, co, moim zdaniem, jest bardzo seksy.

- I tu przemawia przez ciebie Luiza - zauważyła Matylda. - Weź się w garść, Ewo. Albo raczej - podziel się dokładniej.

- Jestem przeciw - powiedziała ponuro Gwen.

- Wiem - Matylda od początku wiedziała, że tak będzie.

- Mason będzie zachwycony - dodała Gwen jeszcze bardziej ponuro. - Będzie się tu panoszył. A poza tym zaczniesz się tu kręcić całe mnóstwo ludzi i ja nigdy już nie skończę żadnej krzyżówki.

- Wiem - powtórzyła Matylda.

- No, ale Mason nie jest przynajmniej płatnym mordercą - rzekła Gwen.

- I stawia lunch - dodała Ewa. - Mężczyzna, który płaci za jedzenie, jest super.

Gwen spojrzała gniewnie na Matyldę.

- Czy to możliwe, że oni we czwórkę bawią się nami? Że są w zмовie? - zapytała.

Matylda odwzajemniła się jej spojrzeniem ponad oprawkami okularów.

- Czy to możliwe, że Davy, Simon, Ford i Mason postanowili doprowadzić nas do obłędu? Oczywiście, dla czego nie. Ale ja muszę już iść. Oddajcie Steve'a pod opiekę Nadine, bądźcie miłe dla Davy'ego i nie pozwólcie Fordowi go zabić. Dochodzenie w sprawie morderstwa to ostatnia rzecz, której tu potrzebujemy.

- Mnie nie będzie w domu - oznajmiła Gwen. - Idę na lunch z Masonem. Obrysować trupa kredą będzie musiał ktoś inny.

- Wstała. - To będzie katastrofa.

Poszła do galerii, a Matylda odprowadziła ją wzrokiem, marszcząc brwi.

- Musimy coś z nią zrobić.

- To znaczy co? - zdziwiła się Ewa, tuląc Steve'a. - Uszczęśliwić ją może tylko wycieczka statkiem...

- Statkiem? - zdziwiła się Matylda.

- ... a sama wiesz, że ona się na nią nie wybierze. Nie zostawi nas samych.

- Ale dlaczego statkiem? Ewa wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Rysuje teraz wszędzie statki i łodzie. A w jej kubeczku na ołówki tkwi pięć miniaturowych parasolek.

- Statki, łodzie i parasolki. - Matylda westchnęła. - No cóż, dobrze że nie zęby. Muszę jechać do pracy. Davy planuje coś na popołudnie.

- Nagi seks? - zainteresowała się Ewa.

- Nie. My już tego nie robimy.

- Ja też. - Ton Ewy bynajmniej nie wskazywał na to, że jest uszczęśliwiona.

- Simon za tobą tęskni - powiedziała Matylda, pragnąc jej pomóc.

- Simon tęskni za Luizą. - Ewa postawiła Steve'a na podłodze.

- Mnie nawet nie zna.

- Jego strata - skomentowała to Matylda.

- No nie wiem. - Ewa odsunęła szklankę z sokiem i usiadła wygodniej. - Nie jestem znów taka interesująca.

W odróżnieniu od Luizy.

- Ewo, ty jesteś Luizą - powiedziała Matylda. - Może mogłabyś się w końcu scalić. Powiedz Simonowi prawdę.

Ewa zamknęła oczy.

- Jakaś część mojego ja tego pragnie. Myślę sobie: „On jest świetny w łóżku, lubi Nadine, byłby idealnym kochankiem, mężem i ojcem mojego dziecka”. To facet, który naprawdę mógłby mnie scalić.

- Więc mu powiedz.

Ewa spojrzała Matyldzie w oczy.

- A ty masz zamiar powiedzieć Davy'emu, że jesteś Scarlet?

- Nigdy! - odrzekła Matylda.

- No właśnie. Dokładnie to samo mówi mi druga część mojego ja. - Ewa wstała. - Może powinnam zrobić to co ty: pogrzebać Luizę w suterenie i nie pozwolić jej więcej oglądać światła dziennego.

- Zaraz, zaraz - zaprotestowała Matylda. - Ja jestem jedna. I nikt nie jest pogrzebany w suterenie.

- Powiedz to Scarlet - rzekła Ewa.

W południe Clea spotkała się z Ronaldem na lunchu w restauracji.

- Cóż, Ronaldzie, lepiej będzie dla ciebie, jeżeli wyjdę stąd zadowolona - powiedziała i usiadła przy stoliku w patio, zirytowana już samym faktem, że Mason udał się na jakieś spotkanie służbowe, nie mówiąc jej, dokąd idzie.

Miał cholernie dużo takich spotkań, przy czym ona była pewna, że są to spotkania z Gwen Goodnight. A teraz na dodatek Ronald stawiał jej lunch na słońcu. Na szczęście miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, który ją przed nim chronił. Wiedziała też, że w takich kapeluszach wygląda wprost cudownie. Poprawiła się na krześle i popatrzyła na inne kobiety, które siedziały, gawędząc, a słońce tymczasem niszczyło im cerę. Gdzie one mają rozum? - pomyślała.

- Wyjdiesz stąd zadowolona - zapewnił ją Ronald. - To najlepsza restauracja w German Village. No, jedna z najlepszych. Ona...

- Nie chodzi mi o jedzenie - przerwała Clea. - Chcę wiedzieć, co znalazłeś na Gwen Goodnight.

- O! - Ronald poprawił się na krześle. - To dlatego chciałaś się ze mną spotkać.

- Ronaldzie - Clea mówiła wolno i dobitnie. - Przeżywam bardzo nieudany tydzień. Powiedz mi przynajmniej, że Gwen Goodnight zmienia płęć i jest w rzeczywistości emerytowaną sprzedawczynią butów z Des Moines.

- Nie. Ona jest właścicielką galerii i nazywa się Gwen Goodnight - Ronald wyglądał na nieco zaskoczonego - a jej panięskie nazwisko brzmi Frasier. Była kiedyś aktorką i tancerką.

- Dobrze - rzekła Clea, trochę pocieszona. - Zatem w jej przeszłości musi być coś podejrzanego.

- Wcale nie - zaprzeczył Ronald. - Jej starsza córka urodziła się sześć miesięcy po ślubie, ale takie rzeczy nie stanowią już żadnego skandalu.

Clea patrzyła na niego lodowatym wzrokiem.

- Ronaldzie, ty mi w najmniejszym stopniu nie pomagasz.

- Dużo się dowiedziałem o Goodnightach - Ronald opowiadał dalej. - Zmienili nazwisko w roku 1948. Poprzednio nazywali się Giordano. Do Cleveland sprowadzili się w latach sześćdziesiątych.

- Mnie są potrzebne brudy, Ronaldzie - powiedziała z naciskiem Clea.

- Jedna osoba z rodziny siedziała w więzieniu za fałszowanie dzieł sztuki. To wtedy właśnie zmienili nazwisko.

- W roku 1948 - dokończyła Clea. - A masz coś z bieżącego stulecia?

- Właściwie nie. Oni nie popełnili niczego złego od śmierci męża Gwen, Anthony'ego. Mówiłem ci, galeria jest na ostatnich nogach.

I nic tam nie można znaleźć.

Clea z trudem powstrzymywała się od spoliczkowania RONALDA. Pomyślała jednak, że to, iż na Gwen Goodnight nic nie można znaleźć, nie jest jego winą. A poza tym zaczynała podejrzewać, że Ronald lubi, gdy go się źle traktuje.

- No cóż, Ronaldzie, dzięki za twoje starania. Ronald pochylił się nad stolikiem.

- Ja dla ciebie zrobiłbym wszystko, Cleo, ale czy nie moglibyśmy zapomnieć o tym, co się tu dzieje, wrócić do Miami i...

- Nie, Ronaldzie. Moja kolekcja sztuki jest właśnie tutaj - powiedziała Clea, a w duchu dodała: Mój przyszły mąż i jego pieniądze także.

- Czy znalazłaś pozostałe obrazy Scarlet Hodge? - zapytał Ronald.

- Nie. - Clea czuła gorycz na samą myśl o tym. - Ale znalazłam dwie osoby, które je sprzedały. Ktoś oprócz mnie kolekcjonuje te obrazy.

- Po co? - chciał wiedzieć Ronald.

Clea zastanowiła się. To dobre pytanie. Jedynym człowiekiem, który pragnął mieć te obrazy, był Mason. Do niego nie pasował jednak opis żadnego z kupujących, którzy byli wysokimi ciemnowłosymi mężczyznami pojawiającymi się z żoną - za każdym razem zupełnie inną... Na tę myśl Cleę coś tknęło. Wyprostowała się powoli.

- Davy Dempsey - powiedziała na głos.

- Ale po co jemu byłyby te obrazy? - wyraził wątpliwość Ronald.

- On nie interesuje się sztuką.

- On mieszka w galerii sztuki - odparła Clea. - Mówisz, że Gwen Goodnight była kiedyś aktorką, tak? To ona za każdym razem grała żonę. Oni razem coś kombinują.

- Ale przecież Davy powrócił na drogę życia zgodnego z prawem

- zauważył Ronald.

- Aha, już to widzę. Zupełnie tak samo jak ty. - Clea przygryzła wargę. - Nie, nie. On coś kombinuje razem z tą Gwen Goodnight. Założę się, że chcą okantować Masona. Posłużą się tymi obrazami i zmuszą go, żeby jej się oświadczył. A wtedy Gwen odwdzięczy się Davy'emu.

- To nie byłby kant w stylu Davy'ego - orzekł Ronald.

- Davy jest zdolny do wszystkiego.

- Nie - zaprotestował Ronald, a Clea spojrzała na niego zaskoczona. - Przykro mi, ale to nie w jego stylu.

- No to po co mu te obrazy?

- Nie wiem.

- To się dowiedz. - Clea wzięła menu, bo teraz, gdy dostrzegała pewien postęp, poczuła się lepiej.

- Nie - rzekł Ronald. Clea zmarszczyła brwi.

- Za pierwszym razem twoje „Nie” było interesujące, Ronaldzie. Ale teraz tylko irytuje.

- Ja nie jestem służącym, Cleo. Jestem twoim kochankiem. Zasługuję na odrobinę szacunku.

Clea namyślała się przez chwilę. Jej życie byłoby znacznie prostsze, gdyby mu pozwoliła odejść w siną dal. Ale z drugiej strony, on jest użyteczny. No i ma zapłacić za lunch.

- Masz rację, Ronaldzie. - Uśmiechnęła się do niego ze skruchą

- Masz najzupełniejszą rację. - Pochyliła się ku niemu, olśniewając go uśmiechem i dekoltem. - Ale dowiesz się, co knuje Davy, prawda? Zrobisz to dla mnie?

To rzekłszy, odetchnęła głęboko. Ronald uczynił to samo.

- Oczywiście. - Nie w głowie mu już były protesty.

- O, to świetnie. - Clea ponownie zagłębiła się w lekturze menu.

Tego dnia po południu, udając się na pchli targ, Davy pożyczył koszulę od Simona. Chciał wyglądać na osobnika zamożnego, ale nie bogatego, na kogoś, kogo Colby weźmie za uczciwego człowieka.

- Czy to musi być moja koszula? - zapytał Simon.

- Matylda nie ma nic, co by na mnie pasowało - odparł Davy.

- Do diabła, jedna noc bez Luizy, a ty już jesteś taki wścickły.

- Cztery noce - poprawił Simon. - Czy to cię dziwi?

- Co? To że kobieta unika cię przez cztery noce? Nie.

- Sprawdzalem ją przez FBI - rzekł Simon.

- Co takiego?

- Byłem ciekawy. Zrobiłem to nieformalnie.

- No świetnie. Wiesz doskonale, że Matylda coś kombinuje, i alarmujesz FBI?

- Oni i tak byli zaalarmowani - odpowiedział Simon. - Ktoś od nich już tu jest i zajmuje się nimi.

- Cholera jasna - zaklął Davy.

- Tu chodzi o coś większego - wyjaśnił Simon. - O jakiegoś bogatego starca, który zmarł po pożarze magazynu. Jego wnuk twierdzi, że to było podpalenie. Wygląda na to, że rodzina Goodnightów ma z tym zdecydowanie coś wspólnego.

- Pilnuj tej sprawy - nakazał Davy. - Jeżeli dowiesz się, że FBI ma coś na kogokolwiek z tej rodziny, daj mi koniecznie znać.

- Oczywiście. Ja przecież nie mam nic innego do roboty. Davy zszedł na dół i zastał tam zirytowaną Matyldę.

- Więc ja nie jadę? - zapytała, kiedy wziął kluczyło od samochodu Jeffa. - Specjalnie wróciłam wcześniej z pracy, a ty chcesz to zrobić sam, bez Betty i Weroniki?

- Trzymaj się blisko telefonu - poradził jej Davy. - Jeżeli będziesz mi potrzebna, zadzwonię. Aha, a ty - zwrócił się do Nadine, która usiłowała właśnie odebrać skarpetkę Steve'owi - ty też tutaj zostań. Możemy cię potrzebować.

- Do czego? - Nadine podniosła wzrok. - Będę grała?

- To nie jest gra, moje dziecko - powiedział Davy. - To jest sztuka.

- Aha, już - Nadine wróciła do Steve'a i skarpetki.

Gdy Davy go wreszcie odnalazł - z pomocą kobiety w różowym podkoszulku z napisem „My Little Pony” rozpaczliwie próbującej sprzedać „prawdziwe, ręcznie wykonane reprodukcje” - Colby stał na skraju targowiska. Wyglądał na kogoś, kto stara się sprawiać rażenie, że nie pasuje do tego otoczenia. Ubrany był w porządnie wyprasowaną koszulkę polo wpuszczoną w robocze spodnie, które bynajmniej nie maskowały jego brzuszka. Był w wieku, w którym wielu mężczyzn zaczyna łysieć, a na jego ustach igrał uśmiezek wyższości wynikający z niezłomnego przeświadczenia, że jest lepszy od wszystkich naokoło.

Bierzmy się do rzeczy - powiedział sobie w duchu Davy.

Po czym podszedł bliżej i zaczął przeglądać grafiki wystawione przez Colby'ego.

- Wszystko to są oryginalne dzieła sztuki. - Colby kłamał w żywe oczy z taką bezczelnością, że nawet Davy był tym zdziwiony.

- Bardziej interesują mnie obrazy - poinformował.

- Obrazy też mam. - Colby wskazał oprawione w ramy dzieła, z których tylko nieliczne można było nazwać obrazami.

- Chciałbym coś kolorowego - grymasił Davy, a Colby zaproponował mu martwą naturę z jaskrawofioletowymi winogronami oraz portret pomarańczowego klauna.

- Wie pan, co lubi moja żona? - zagadnął Davy. - Tancerzy. I niech pan sobie wyobrazi, że nie mogę znaleźć obrazu z tancerzami.

- Ja też takiego nie mam - odrzekł Colby z prawdziwym żalem. Cholera.

- A może ma pan coś podobnego. Na przykład ludzi tańczących w powietrzu? Może nawet fruujących?

- A, taki obraz mam - ucieszył się Colby. - Ale on nie ma ramy.

Zaczął szukać pod ladą, a Davy pomyślał: Nie ma szans, żeby to był właśnie...

W tejże chwili Colby podniósł w górę obraz Scarlet - ten z niebem w szachownicę i dwójgim ludzi o zamazanych głowach, którzy z całą pewnością nie tańczyli. O nie, mowa ich ciał wskazywała na coś zupełnie innego. No cóż, Scarlet z każdym kolejnym obrazem stawiała się bardziej interesująca.

- Jest trochę dziwny - rzekł Colby. - Ale kolorowy.

- Ma smugi - zauważył Davy. - Te głowy są zamazane. No, nie wiem. Ile pan za niego chce?

- No cóż, to oryginalne dzieło - oznajmił Colby. - Pięćset dolarów. Davy pokręcił głową.

- Głowy są zamazane.

- To oryginał - upierał się Colby.

- Pozwoli pan, że się zastanowię. - Davy oddalił się, zanim Colby zdążył obniżyć cenę. Wszedł w sąsiednią uliczkę, skąd między budkami mógł obserwować Colby'ego, i wystukał na komórce numer Matyldy.

- To ja - powiedział, gdy odebrała telefon. - On go ma. Szykujcie się razem z Nadine.

- Okej. Andrew powiedział, że popilnuje galerii. Jest coś, co powinnyśmy wiedzieć?

- Colby to idiota - poinformował ją Davy. - Pozwól mu zajrzeć sobie w dekolt i już go masz. Przywiązuje wielką wagę do ram. Słuchaj, kiedy tu się zjawicie, mam was nie poznać.

- Dobra. Jakies specjalne życzenia? Kabaretki? Dziwaczne kapelusze?

- Nadine ma wyglądać jak normalna nastolatka. - Davy usiłował nic wyobrazić sobie Matyldy w kabaretkach. - Wiem, że to trudne, ale ma wyglądać tak, żeby nie można jej było zapamiętać.

- Dobra - powtórzyła Matylda.

- A ty masz wyglądać jak marszandka. Odnosząca sukcesy i znudzona profesjonalistka. Bądź Weroniką z pieniędzmi.

- To moja życiowa rola - zachichotała Matylda. - Pod warunkiem, że się pominie pieniądze. A więc skorzystaj z moich aktorskich usług.

- Taki mam właśnie plan - zakończył rozmowę Davy.

Nadine przeszła samą siebie. Włożyła dzinsy i podkoszulek z Britney Spears, a na głowę miodowoblond perukę z końskim ogonem. Makijaż miała zrobiony tak nieumiejętnie, że wyglądała najzupełniej autentycznie - jak doskonała kopia zwykłej nastolatki.

- Wygląda na normalną dziewczynę - powiedział Davy do Matyldy, gdy, poinstruowawszy Nadine, posłał ją do Colby'ego.

- Wiem - odrzekła Matylda. - Byliśmy wszyscy bardzo z niej dumni. To jest tryumf iluzji.

- Ty też dobrze się spisałaś. - Davy zlustrował czerwone jedwabie Matyldy oraz jej dobrze przystrzyżoną perukę. - Nie myślałem o tobie jako o blondynce. Wyglądasz jak Gwennie. Ale masz znacznie więcej charakteru.

- Blondynki są gorące. - Matylda patrzyła, jak Nadine podchodzi do Colby'ego. - Ja jestem chłodna. Ona ma tylko zostawić u niego tę grafikę?

- Tak - potwierdził Davy. - Blondynki są gorące, tak? To może wkładałabyś tę perukę...

- Idąc z tobą do łóżka? Nie. - Matylda zmrużyła oczy. - Ona już tam jest.

Davy obejrzał się i zobaczył, że Nadine zwalnia kroku przed budką Colby'ego. Colby ożywił się, zachęcając ją uśmiechem. Nadine pokazała mu grafikę, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Colby pokręcił głową.

- Co to za grafika? - zapytał Davy.

- To dzieło Dorcas Finster. Jedna z jej zepsutych próbnych odbitek.

- Masz zamiar przekonać Colby'ego, że prace Dorcas mają wartość? - prychnął Davy. - No to gratuluję. Przepadliśmy.

- Nie, nie - uspokoiła go Matylda. - Dorcas jest naprawdę dobra. Tylko przygnębiająca.

Nadine mówiła coś dalej.

- Mam nadzieję, że Nadine nie przedobrzy.

- Och, odpręż się. - Matylda była pewna talentów siostrzenicy. - Żadna z nas nie szarżuje. Od kołyski potrafimy grać subtelnie.

Nadine stojąca przy budce Colby'ego zrobiła gest oznaczający „Proszę chwilę zaczekać”. Po czym położyła grafikę na ladzie i zaczęła się oddalać, a tymczasem Colby dawał jej znaki, żeby ją zabrała.

- Daj mu parę minut - powiedział Davy do Matyldy. - A potem podejdź i dokonaj odkrycia. Odkryj tę grafikę. Jest ona warta mnóstwo pieniędzy, ale ty będziesz usiłowała ukryć ten fakt.

- Ale Colby się zorientuje - dokończyła Matylda.

- Tak. A wtedy ty przyznasz, że jest warta parę tysięcy.

- Tysięcy? - powtórzyła Matylda z powątpiewaniem.

- No to kilkaset dolarów - ustąpił Davy. - Ty jesteś tutaj ekspertem. Będziesz gotowa dać mu za nią dużo pieniędzy.

- A co będzie, jeżeli on zgodzi się ją sprzedać?

- Nie zgodzi się - zapewnił Davy. - Nadine zaraz wróci i on o tym wie. Powie ci, że musi się wstrzymać, i każe ci przyjść jeszcze raz.

- Nie rozumiem, w jaki sposób, robiąc to wszystko, dostaniemy w swoje ręce obraz Scarlet.

- Nie musisz tego rozumieć. Idź tam i przekonaj Colby'ego, że zapłacisz za grafikę dużo pieniędzy.

- Dobrze - zgodziła się Matylda i ruszyła w stronę Colby'ego.

Colby wyraźnie ożywił się na jej widok, nie tylko dlatego, że wyglądała na osobę z pieniędzmi. Jesteś żoną, ty dupku - pomyślał Davy, gdy Colby pochylił się w stronę Matyldy, która zaśmiała się do niego. Co ona robi, u diabła? Miała być chłodną marszandką, a nie jakąś lafiryndą. Matylda oglądała obrazy, które Colby jej pokazywał, nie interesując się nimi; okazywała natomiast zainteresowanie osobą Colby'ego. On tymczasem promieniał. Dosyć -

pomyślał Davy - dosyć już tego. Nagle Matylda przestała się wdzięcznie przeginać, a mowa jej ciała zasygnalizowała czujność. Wzięła grafikę Nadine, a Davy zobaczył, jak z twarzy Colby'ego znika pożądanie, u pojawia się na niej wyraz chciwości. Czuł się tak, jakby oglądał niemy film: Matylda cofnęła się, gdy Colby zaczął ją wypytywać, zgarbiła się, przyznając, że grafika jest cenna, a potem zgarbił się Colby, widząc, że ona rozgląda się za właścicielką.

- Dobrze jej idzie, prawda? - odezwała się Nadine, a zaskoczony Davy aż podskoczył.

- Noo - przyznał. - Tobie też.

- Dziękuję - powiedziała Nadine. - I co teraz?

- Zaczekaj, aż ona odejdzie. A potem idź odebrać swoją grafikę. On zaproponuje ci za nią jakąś śmiesznie małą sumę. Powiedz „Nie”. Upieraj się, że jest warta więcej, że wiesz to od babci, która mówiła, że jest warta mnóstwo pieniędzy. A potem powiedz, że jeżeli on ma coś na wymianę, coś ładnego i kolorowego, co pasowałoby do twojego pokoju, to się zamienisz. Daj się namówić na obraz Scarlet. Następnie wrócisz do samochodu i zabierzemy się stąd.

- Świetnie - Nadine była gotowa do akcji. - Już? Davy spojrzał na budkę. Matylda zniknęła.

- Daj mu chwilę - polecił dziewczynie. - Niech porozmawia z kolejnym klientem. A potem idź.

Po dwóch kolejnych klientach Nadine ruszyła w stronę budki, a obok Davy'ego pojawiła się Matylda, jedząc hot doga.

- Jak idzie? - zagadnęła, wręczając mu drugiego.

- Dzięki. Idzie jak zawsze. - Davy rozwinął hot doga z papieru i ugryzł kęs. - Tak jak zaplanowałem.

- Dziwnie jest widzieć znowu te obrazy - zadumała się Matylda.

- Ty i Scarlet byliście sobie bliskie, prawda? - rzekł Davy, niezbyt tym zainteresowany.

Tymczasem Nadine podeszła do budki Colby'ego.

- Ja wcale jej nie znam - Matylda, podobnie jak Davy, patrzyła na Nadine. - Czy Nadine dobrze się spisuje?

- Mhm - przytaknął Davy z pełnymi ustami.

Kończyli hot dogi, podczas gdy Nadine zabawiała się z Colbym. Ona uśmiechała się, on pochylał się w przód. Ona wierciła palcami stopy dziurę w ziemi, on starał się ją przekonać. Ona wzruszała ramionami, on starał się jeszcze bardziej. W końcu Nadine wskazała palcem niebieską wazę.

- Co? - Davy czuł, że serce przestaje mu bić. - Nie chodzi o wazę, ty kretynko.

Colby pokręcił głową. Nadine poruszyła biodrami, najwidoczniej ożywiona, i wskazała obraz Scarlet. Colby sięgnął po obraz i zaczęli negocjować.

- Daj kobiecie prostą instrukcję, a ona... - zaczął Davy.

- Oj, na miłość boską - obruszyła się Matylda. - Ona wie, co robi. Zostaw jej trochę swobody.

Colby kręcił głową, wręczając Nadine niebieską wazę.

- No świetnie - złościł się Davy. - Mamy teraz wazę i nic wię...

W tej chwili Nadine wręczyła Colby'emu grafikę, a on jej obraz Scarlet.

- Widzisz? - powiedziała Matylda. - Mówiłam.

Nadine oddaliła się w podskokach, a Colby z satysfakcją patrzył na załazek swej fortuny.

- Co teraz? - zapytała Matylda.

- Teraz do samochodu i do domu - rzekł Davy. - Chociaż chciałbym Colby'emu wykrcić jeszcze jakiś numer.

- Jestem pewna, że coś wymyślisz.

Spojrzał na nią, podejrzewając, że żartuje, ale ona minę miała najzupełniej poważną.

- Tak sądzisz?

- Sądzę, że Colby to parowa. Sądzę też, że nie chciałabym być na miejscu osoby, którą ty namierzyłeś.

- Czy to nie zależałoby od celu, w którym ją namierzyłem? - zapytał Davy z szerokim uśmiechem.

- Jesteś beznadziejny - odrzekła Matylda i ruszyła w stronę samochodu.

- Mam go - oznajmiła minutę później Nadine, siadając na tylnym siedzeniu. - I popatrzcie na tę odlotową wazę.

- Następnym razem, gdy cię po coś pošlę - skarcił ją surowo Davy, wyjeżdżając z parkingu - nie improwizuj.

- Pokaż - zwróciła się do Nadine Matylda, wręczając jej hot doga. Nadine podała jej wazę.

- Podoba mi się - powiedziała, odpakowując lunch. - Stała tam wśród całego tego chlamu i błyszczała.

- Musisz działać w skupieniu - pouczył ją Davy. - Nie mówię tak dlatego, że mamy zamiar powtórzyć ten numer, ale...

Matylda odwróciła wazę i spojrzała na jej spód.

- To Rookwood. Tak trzymaj, Nadine.

- Ooo - zdziwiła się Nadine. - A co to jest Rookwood?

- Wytwórnia ceramiki artystycznej w Cincinnati - wyjaśniła Matylda, oddając jej wazę. - Twoja waza bardzo się nadaje na załazek kolekcji. Ten kretyn nie spojrzał nawet na znak graficzny wytwórni. Gównno wie o sztuce.

- To mogłem ci powiedzieć nawet ja - odezwał się Davy. - Kładł wielki nacisk na ramy.

- Ramy bywają nieraz bardzo cenne - powiedziała Matylda.

- Zwłaszcza oryginalne ramy dobrych obrazów.

- Których on nie posiada - dokończył Davy.

- Więc ile jest wart ten Rookwood? - Nadine wołała trzymać się konkretów.

- To zależy od przedmiotu i od jego wieku - odrzekła Matylda.

- Na spodzie jest kod oznaczający rok wykonania. Rozmiary i kształt też mają wpływ na wartość. No i stan, ale ta waza wygląda dobrze.

- Im starszy obiekt, tym lepiej? - Nadine zajrzała pod spód.

- Po pierwsze liczy się stan - tłumaczyła Matylda. - Potem wiek. A potem reszta. Gdy coś kolekcjonujesz, najważniejszy jest stan. To coś takiego jak lokalizacja nieruchomości.

- Więc ile? - nie ustępowała Nadine. Matylda wzruszyła ramionami.

- Pochodzi z roku 1914. Prawdopodobnie od pięciuset dolarów do kilku tysięcy.

Davy omal nie zjechał z drogi.

- Za wazę?

- Super - powiedziała Nadine.

- Za dzieło sztuki. Za piękną rzecz, która będzie cieszyła oko po wsze czasy.

- W tym biznesie możliwości osiągnięcia nieuczciwych zysków muszą być ogromne - wysnuł wniosek Davy, starając się o tym nie myśleć. Czuł się bowiem tak, jakby odkrył wspaniały nowy sport, nic mając talentu do jego uprawiania.

- Mnie o tym nic nie wiadomo - Matylda mówiła to, patrząc przez okno.

- To był świetny plan, panie Davy - skomplementowała go Nadine, tuląc wazę do twarzy Britney na podkoszulku. - Skąd pan wiedział, jak się to robi?

- To dobre pytanie - włączyła się Matylda, mrużąc oczy i patrząc na niego zza szkieł. - Skąd wiedziałeś, jak się to robi?

- Wyczytałem o tym w pewnej książce - odparł Davy. - Mamy zatem pięć, tak? Został jeszcze jeden.

- Ten Clei. - Matylda zdjęła perukę i podrapała się w czoło. - To będzie ostatnie podejście.

- Zatem za tydzień - stwierdził Davy.

- Moglibyśmy to zrobić wcześniej, gdyby nam się udało pozbyć służącego - powiedziała Matylda. - Mason naprawdę chce się dostać do archiwum Gwennie.

- I nie tylko do archiwum - dorzucił Davy. - Miejmy nadzieję, że Gwennie szybko dopnie swego, a Clea nic nie zauważy.

- Mason ma ochotę na babcię? - zapytała Nadine z tylnego siedzenia.

- Babcia jest seksy, mała - odrzekł Davy. - Co jest dla ciebie dobrą wiadomością, bo oznacza, że ty też będziesz seksy po pięćdziesiątce.

- Do tego czasu muszą upłynąć jeszcze wieki. - Nadine zajęła się znowu swoją wazą.

- To przychodzi prędzej, niż myślisz - wtrąciła Matylda.

- Dla ciebie, Celeste, to także dobra wiadomość.

- O nie, nie. Ja jestem córką tatusia. A kobiety Goodnightów są zawzięte i przypominają trolle.

- Wcale nie - zaprzeczył Davy, patrząc na jej kędziory i lodowate oczy. - Jesteś znowu taka jak Gwennie.

- Nie jestem. - Matylda stanowczo zamknęła dyskusję.

- No dobrze - powiedział Davy. - A co do przyszłego tygodnia: pojedziemy do domu Masona, odzyskamy twój obraz i moje pieniądze, a potem wrócimy do galerii i zrobimy furorę podczas pokazu. Będzie to wspaniały dzień. - Poklepał ją po kolanie. - Wcale nie będzie mi się chciało wyjeżdżać.

- Podczas jakiego pokazu? - zdziwiła się Nadine.

- Wyjeżdżać... - powtórzyła Matylda, tonem znacznie mniej stanowczym.

- Muszę w przyszły weekend odwiedzić siostrę... - Davy nie dodał „... i już nie wrócę”. - Ona i tak jest na mnie wściekła. Nie mogę tej wizyty odkładać.

- No tak. - Matylda trochę zbyt energicznie pokiwała głową.

- Podczas jakiego pokazu? - dopytywała się Nadine.

- Mamy zamiar sprzedać te meble z suterenu - wyjaśniła jej Matylda.

- Super - ucieszyła się Nadine. - Czy ja mogę w tym pomóc?

- Tak - odrzekł Davy. - Odegrasz jedną z głównych ról w tym przedsięwzięciu.

- Ja zawsze gram jedną z głównych ról - Nadine wyraźnie nie grzeszyła skromnością.

- A zatem - zwróciła się Matylda do Davy'ego - czy są jakieś instrukcje na przyszły czwartek? Chcesz, żebym się wcieliła w kogoś określonego?

- Tak. Bądź Vilną i włóż znowu ten śliski chiński kaftan. Pamiętam go dobrze.
- I pozostanie on tylko w twojej pamięci. - Matylda znowu wyglądała przez okno.
- Śliski chiński kaftan? - powtórzyła Nadine.
- Twoja ciotka to kobieta o wielu obliczach - wyjaśnił jej Davy, kątem oka obserwując Matyldę.
- Więc potem pan wyjeżdża? - zagadnęła Nadine. - Pewnie do Australii?
- Tak - orzekł Davy, odwracając się od Matyldy. - Do Australii.

Matylda umieściła obraz w suterenie i nie wspomniała już ani słowem o ich wyczynie, Davy zaczął więc planować pokaz mebli. Zatrudnił wszystkich - do skrobania ścian, malowania ich oraz mycia okien. Zaangażował nawet Simona, który pod nieobecność Luizy miał na zbyciu mnóstwo energii.

- Wiesz już coś o działaniach FBI dotyczących galerii? - zapytał go w piątek.

Simon pokręcił głową.

- Ale - powiedział - oni z pewnością kogoś tu mają.

Tej rodzinie rzeczywiście potrzebny jest dozorca - pomyślał Davy i poszedł na górę wziąć prysznic. Zmył z siebie mnóstwo farby, a wychodząc z łazienki, natknął się na Matyldę.

- Zamierzamy dziś wieczorem oglądać po raz setny *The Lady Eve* - oświadczyła, mijając go w drodze do łazienki. - To ulubiony film Luizy. Jeżeli chcesz go obejrzeć, to lepiej teraz zadzwoń do siostry.

- Dobrze.

Patrząc, jak zamykają się za nią drzwi łazienki, Davy przestał myśleć o FBI. Chwilę później rozległ się szum wody, a on zapragnął przyłączyć się do Matyldy. Ale zaraz uświadomił sobie, jak przykro by mu było, gdyby go wyrzuciła z traskiem, i zaczął wystukiwać numer.

- Hej - powiedział, gdy Sophie odebrała telefon. - Co sły...

- Gdzie ty jesteś? - wybuchnęła. - To nie do wiary. Rozmawiałeś z Dillie i nie...

- W Columbus. - Davy odsunął telefon od ucha.

- ... i nie raczyłeś zostawić numeru. W Columbus? To dwie godziny drogi stąd!

- Wiem. - Davy zachowywał niewzruszony spokój. - Przestań na mnie wrzeszczeć, kobieto. Co się z tobą dzieje?

- Mam piekielny tydzień - warknęła. - A jedyny człowiek, którego chciałabym zobaczyć, znajduje się o dwie godziny drogi ode mnie i nic zadał sobie trudu, żeby wpaść. Jak długo tam jesteś?

- Mniej więcej tydzień. - Davy skrócił nieco okres swojego pobytu. Tydzień?

- Okej, przestań krzyczeć, bo się rozłączę. Jak ci leci? Sophie jęknęła.

- Nawet nie pytaj.

- Dobra, a jak się ma Dempsey?

- Właśnie ząbkuje. A co ty robisz w Columbus?

- Nic, co by dla ciebie mogło być interesujące. Więc co u ciebie?

- Myślałam, że porzuciłeś drogę przestępstwa - powiedziała Sophie już znacznie ciszej.

- Porzucam - uściślił Davy. - Na mój gust jestem już praktycznie harcerzem. Na co się tak wściekasz? Powiedz mi wszystko.

- No więc... - zaczęła Sophie i skupiła się na własnych problemach.

Sophie mówiła, a Davy słuchał szumu wody i myślał o krągłościach Matyldy oraz o tym, jak zabawnie musi wyglądać namydlona.

- Słuchasz mnie? - zapytała Sophie.

- Tak - skłamał Davy.

Sophie kontynuowała, a on dalej słuchał odgłosów dobiegających z łazienki. Kiedyś znajdzie się tam razem z nią - pomyślał i natychmiast uświadomił sobie, że to nieprawda, bo gdy owo „kiedyś” już nastąpi, jego tutaj nie będzie.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Sophie, a równocześnie ucichł szum wody, Davy skupił się więc na rozmowie. - Dillie cię pozdrawia i mówi, że cię kocha. - Sophie zniżyła głos. - W zeszłym tygodniu przyprowadziła do domu jakiegoś chłopaka, który miał ją uczyć gry w softball...

- No, no - zdziwił się Davy tonem niewiniątka.

- ... i ten chłopak przychodzi tu codziennie po szkole, więc...

Sophie mówiła dalej. Matylda wyszła z łazienki otulona puchatym białym szlafrokiem i zdjęła z głowy ręcznik, co spowodowało, że rozsypały się jej wilgotne lśniące kędziory.

- ... nie przypominam sobie, czy my z Amy już w wieku lat dwunastu spotykałyśmy się z chłopakami. A ty pamiętasz?

- To nie ma znaczenia - odrzekł Davy. - Pytanie brzmi, czy dzisiejsze dzieciaki to robią. Zaczekaj chwilę. - Przykrył dłonią telefon. - W jakim wieku Nadine zaczęła przyprowadzać do domu chłopaków?

- Robiła to od urodzenia. - Matylda usiadła obok Davy'ego na łóżku. - Ona jest wnuczką Gwennie.

- No tak. Nie można liczyć na twoją pomoc. - Davy odsłonił telefon. - Słuchaj, oni grają w softball. Zostaw ich w spokoju.

- A kto tam z tobą jest? - zapytała Sophie. - Czy to kobieta? To kobieta, prawda?

- Czy to twoja siostra? - chciała wiedzieć Matylda.

- Tam jest kobieta - powiedziała Sophie. - Słyszę ją.

- To moja gospodyni. - Davy zajął Matyldzie za dekolt rozchylonego szlafroka. - Chce, żebym zapłacił za mieszkanie. Muszę jej dać pieniądze.

- Aha, już cię widzę - skomentowała to Matylda.

- Zaczekaj, nie rozłączaj się. Kiedy tu przyjedziesz? - nalegała Sophie.

- W przyszłą niedzielę. - Davy patrzył na ukryty pod materiałem frotté tyłeczek Matyldy, która tymczasem odwróciła się do niego plecami. - Najpierw muszę tu zakończyć pewne sprawy. Ale będę w przyszłą niedzielę. Przyśięgam. Mam dla ciebie prezent.

- Mniejsza o prezent. Przywieź swoją gospodynię.

- Raczej tego nie zrobię - odrzekł, gdy tymczasem Matylda zniknęła znowu w łazience. - Ona nie jest kobietą potulną.

- Lubię kobiety mało potulne - powiedziała Sophie.

- Ja też - odrzekł jej Davy. - Ja też.

Rozdział czternasty

Gdy następnego dnia rano Matylda zeszła na dół, Davy stał po drugiej stronie ulicy. W porannym słońcu wyglądał wspaniale - był taki rosy, czuło się, że można na nim polegać. Niedługo wyjedzie... A co mnie to obchodzi - pomyślała lekceważąco, wiedząc doskonale, że bardzo ją to obchodzi.

- Co jest? - zapytała, kiedy Davy przywołał ją gestem.

- Ostatnio Gwennie jest dla mnie lodowata - powiedział. - O co jej chodzi?

- Nie chce się przywiązywać na wypadek, gdyby Ford miał cię zabić - odrzekła Matylda. - Co ty tutaj robisz?

- Ona jest przeciwna całej tej imprezie, prawda?

Matylda westchnęła.

- Nie tak do końca.

- Ale dlaczego? Przecież nie znosi tego miejsca. Powinna być zadowolona ze wszystkiego, co...

- Tak wcale nie jest. - Matyldę zaskoczyło jego spostrzeżenie.

- ... przybliżyła ją do wolności.

- Chwileczkę, to jest jej dom.

- Moim zdaniem, ona pragnie opuścić gniazdo - stwierdził Davy.

- Czy chcesz powiedzieć, że to ma coś wspólnego ze statkami lub łodziami?

- Ze statkami lub łodziami? - zdziwił się Davy.

- Mniejsza z tym. Gwennie to przejdzie. Ale co ty robisz tutaj, na ulicy?

Davy spojrział zmrużonymi oczyma na fronton galerii.

- Czy pamiętasz, na jakie kolory były pomalowane te ściany? Dzieciaki dobrze wszystko oskrobały, ale nie odkryły zbyt wiele oryginalnej farby.

- Na taki ciemny granat z dodatkiem czerwieni. A litery były złote. Sądzę, że to była imitacja złotej folii.

- To raczej kosztowne - orzekł Davy.

- Rzeczywiście - zgodziła się Matylda. - Ale mniej kosztowne niż prawdziwa złota folia. Trudno też tę imitację nałożyć.

- To źle - zmartwił się Davy - bo będziemy musieli to zrobić.

- A nie możemy zrobić czegoś zupełnie nowego? - zapytała Matylda. - Myślałam o czerni z bielą...

- Nie - zaprotestował Davy. - Twój ojciec był postacią znaną w tym mieście, a my będziemy bazowali na jego reputacji. Odnawiamy to, co było tutaj kiedyś, kotku. Czerń i biel to nie to, zwłaszcza biel, bo tej w twoim życiu jest i tak za dużo.

- Zabawne - powiedziała Matylda. - Słuchaj, ja właśnie...

Ale Davy już przechodził przez jezdnię. Zaciągnął ją do sklepu z farbami, gdzie zakupili ich mnóstwo - białą, żeby pomalować ściany w środku - „To jest galeria, Davy, powinna być biała” - oraz jasnoblękitną i zieloną na fronton - „Nie będziemy sprzedawać tego co tato, więc powinniśmy być sobą” - przekonała Davy'ego Matylda. Kupili także złotą folię na litery, jak również pędzle, skrobaczki i dodatkową drabinę.

- Kto za to zapłaci? - chciała wiedzieć Matylda.

- Simon. Pożycz ci pieniądze. Możesz mu zwrócić z tego, co zainkasujesz podczas wystawy. Albo namówić Luizę, żeby wpadła. To by go bardzo rozweseliło.

Wrócili do galerii. Nadine z Gwen, Ethanem oraz jakimś nowym chłopakiem - ubranym w koszulę zapinaną na guziki i nieskazitelne spodnie khaki - już tam byli.

- To jest Kyle - przedstawiła go Nadine. - Poznaliśmy go w sklepie z meblami należącym do jego ojca. On tam pracuje.

- Miło cię poznać, Kyle. - Matyldę nieco zdziwiło, że uścisnął jej dłoń.

Stojąca za jego plecami Gwen przewróciła oczami i zajęła się swoją krzyżówką.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział Kyle, dżentelmen w każdym calu. - Muszę iść do pracy - zwrócił się do Nadine - ale później zadzwonię.

Pocałował ją w policzek i uprzejmie skinął głową Matyldzie i Davy'emu. Ethana zignorował.

- Temu dzieciakowi dobrze z oczu nie patrzy - powiedział Davy, gdy Kyle już sobie poszedł.

- Ależ on zachował się jak dżentelmen.

- A co wy robiliście w sklepie z meblami? - chciała wiedzieć Matylda.

- Pan Davy nas tam posłał, żebyśmy się zorientowali, jakie są ceny mebli malowanych ręcznie. A sklep ojca Kyle'a jest największy w mieście.

Nadine uśmiechnęła się na to wspomnienie. Ethan pokręcił głową.

- Nie zrozum mnie źle, kiedy powiem, że Kyle to diabeł, chociaż miły facet.

- Co takiego? - zdziwiła się Matylda.

- To z *Telepasji* - wyjaśnił Davy. - Staraj się nadażać.

- Dajcie spokój. - Nadine wzięła skrobaczkę. - Jesteście gorsi niż mój tata.

Wyszła na zewnątrz, usiadła i oskrobywała resztę frontowej ściany galerii. Jej kędzierzawa blond głowa była ledwie widoczna przez okno wystawowe.

- Mimo to mamy rację. - Ethan też wziął skrobaczkę.

- Czy wy dwaj wiecie o nim coś specjalnego? - zapytała Matylda, tak samo zirytowana jak Nadine. - Bo moim zdaniem on jest po prostu nudny.

- To fasada - oznajmił Davy.

- On jest wcielonym złem - oświadczył Ethan.

- A wy jesteście niespełna rozumu - podsumowała Matylda i wyszła na zewnątrz, żeby pomóc Nadine.

- Czy ty im wierzysz? - zwróciła się Nadine do ciotki.

- Rzecz w tym, że oni przeważnie mają rację.

- Wiem - powiedziała Nadine. - Ale tata Kyle'a prowadzi ten duży sklep meblowy, a Kyle naprawdę wie, co robi. On się nie obija.

- Umawiasz się z nim na randki z powodu sklepu meblowego?

- On mógłby mnie wiele nauczyć - odrzekła Nadine. - Myślę o tym, żeby zawodowo zająć się handlem detalicznym.

- Posłuchaj, Nadine, nie jest dobrze traktować randki jako drogę do kariery zawodowej.

Nadine popatrzyła na Matyldę pytająco.

- A ty nie randkujesz z Davym, żeby odzyskać obrazy?

- Ja w ogóle nie randkuję z Davym.

- Tylko z nim śpisz.

- Jedynie w sensie dosłownym. Nie jesteśmy kochankami. Nadine popatrzyła przez okno na Davy'ego.

- Dlaczego?

Matylda podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. Davy czytał coś w gazecie, którą pokazywał mu Ethan. I wyglądał na człowieka pewnego siebie, silnego i pełnego temperamentu.

Na typowego agenta służb federalnych.

- Mam swoje powody - wyjaśniła.

Davy pokręcił głową, po czym wraz z Ethanem wyszedł na zewnątrz i wręczył jej płachtę gazety.

- Rozkładałem papiery na podłodze przed malowaniem ścian w pomieszczeniach - zwrócił się Ethan do Matyldy - i nagle zobaczyłem to nazwisko.

Wskazał na ogłoszenie drobne znajdujące się w rubryce „Kupię”. Widniały w nim słowa: „Scarlet Hodge”. Matylda chwyciła gazetę, by przyjrzeć się bliżej ogłoszeniu, które brzmiało: „Poszukuję wszelkich obrazów Scarlet Hodge”. Poniżej był podany numer telefonu. Matylda spojrzała na Davy'ego.

- Mason? - zapytała, oddychając ciężko.

- Albo Clea. - Davy przyjrzał się dacie, z której była gazeta. - To gazeta ze środy. Bogu dzięki, że Colby nie czyta tych ogłoszeń.

- Mam nadzieję, że nikt ich nie czyta - powiedziała Matylda. - Bo niektórzy z ich czytelników byliby naprawdę wściekli.

Usiłowała wciągnąć powietrze do płuc. Przychodziło jej to z trudem, sięgnęła więc do kieszeni po inhalator, ale inhalatora tam nie było. Odetchnęła płytko.

Davy wziął od niej gazetę, złożył ją i wręczył Ethanowi.

- To, że niektórzy byliby wściekli, to nic dziwnego, bo na mnie zawsze ktoś się wścieka. - Pomógł wstać Matyldzie i skierował ją ku domowi. - Znajdź inhalator, zanim stracisz przytomność. Wszystko będzie dobrze. Poradzimy sobie.

- Ale... - zaczęła Matylda i zamilkła, bo uświadomiła sobie, że on powiedział: poradzimy sobie. My?

- Ja jestem cudotwórcą - zapewnił ją Davy. - Idź, pooddychaj, bo mamy pracę do wykonania.

- Dobrze. - Nieco uspokojona, poszła po inhalator.

Na drugi dzień zewnętrzne ściany galerii były oskrobane i czekały tylko na malowanie, a wewnętrzne pokryte pierwszą warstwą farby. Wnętrze galerii nie wyglądało już jak noclegownia, a Davy z przyjemnością oczekiwał na to, co teraz nastąpi. Miała tu bowiem powstać istna kopalnia złota dająca utalentowanemu kanciarzowi nieskończone możliwości. Przy czym - z tego, co Davy wiedział od Gwen na temat świata sztuki - możliwości owe wcale nie wymagały łamania prawa. Nie chodziło tu nawet o jakiś rodzaj prawdziwej gry hazardowej. Wszystko przypominało raczej grę w pokera z Goodnightami.

- Zatem dziś mamy pokera - rzekł Simon, wchodząc do galerii i przerywając rozmyślenia Davy'ego.

- Tak - odrzekł Davy. - Poker jest co niedziela. I, z wyjątkiem Matyldy, wszyscy oni grają beznadziejnie. Spróbuj ich nie ogrywać.

- Dlaczego? Czyżby po to, żebyś ty mógł to robić? - zapytał Simon. - Zresztą to nie ma znaczenia. Ja jestem tutaj z powodu Luizy.

- Ale w niedzielę Luiza tu nie ma.

- A właśnie że jest. I zostanie na noc. - Simon uśmiechał się optymistycznie.

- Pokazała się wczoraj? Moje gratulacje! Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek tak wyczekiwał na kobietę. Najwyraźniej Luiza jest w twoim życiu tą jedyną.

- Ale gdzie tam - zaprzeczył gwałtownie Simon. - Ona ma odpowiednie umiejętności, ale...

- Nie jest typem kobiety, z którą chciałbyś się ożenić? - dokończył Davy. - Wyobraź sobie, że jestem tym zaskoczony.

- Ja się nigdy nie ożenię - oznajmił Simon. - Jestem łajdakiem, nie pamiętasz?

- Tak jak my wszyscy - uzupełnił Davy.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do galerii wkroczył Kyle, bardzo szykowny, w koszuli i marynarce.

- O, Kyle - powiedział Davy przyjaznym tonem, myśląc równocześnie: Temu chłopakowi dobrze z oczu nie patrzy. - Masz dziś randkę?

Kyle kiwnął głową.

- Nadine chce obejrzeć sklep już po jego zamknięciu - wyjaśnił z nieznacznym uśmiechem. - Chce wszystko dokładnie zobaczyć.

- Ona jest bardzo nastawiona na zrobienie zawodowej kariery. - Davy czuł, że darzy Kyle'a jeszcze większą antypatią niż przedtem.

Widował w życiu taki uśmiech. We własnym lustrze.

Do galerii weszli Andrew i Jeff. Obaj taszczyli torby pełne zakupów.

- Jedzonko na niedzielnego pokera - powiedział wesoło Jeff. - To jedyny powód, dla którego gram.

Andrew zauważył Kyle'a.

- Przyszedłeś po Nadine?

- Tak, proszę pana. - Kyle, jak przystało na dżentelmena, wyciągnął rękę. - Jestem Kyle Winstock. Z Firmy Meblowej Winstocków.

Andrew uściśnął Kyle'owi dłoń, przyglądając mu się bardzo podejrzliwie.

- Powiem Nadine, że tu jesteś.

- Dziękuję panu - odrzekł Kyle, a uśmiech zniknął z jego twarzy. Popatrzył na wszystkich czterech mężczyzn i dodał: - Zaczekam na zewnątrz.

Gdy wyszedł, czterej mężczyźni popatrzyli po sobie.

- Pączek - rzekł Davy.

- Absolutny pączek - potwierdził Jeff.

- Moja córka ma skłonność do pączków - stwierdził Andrew.

- Co takiego? - zdziwił się Simon.

- Widzisz, na świecie istnieją dwa rodzaje mężczyzn - wyjaśnił mu Davy. - Dobrzy faceci i faceci, którym chodzi tylko o jedno. Dobrzy faceci to słodkie bułeczki, a...

- On jest pączkiem - dokończył Simon.

- Czy gaz łzawiący to nielegalny środek obrony? - zapytał Andrew. - Gwennie trzyma chyba jakiś pojemnik za kontuarem.

- A dlaczego nie porozmawiać po prostu z Nadine? - głosem rozsądku przemówił Jeff.

- Idźcie i porozmawiajcie - rzekł Davy. - A my zaczekamy tutaj. Gdy Andrew i Jeff zniknęli, odezwał się Simon:

- Moim zdaniem Nadine nie jest osobą, z którą należy o tym rozmawiać.

- Może więc należy przeprowadzić rozmowę z nim? Davy wskazał gestem Kyle'a stojącego na zewnątrz.

- Okej.

- Słuchaj, stary - zwrócił się Simon do Kyle'a, gdy znaleźli się obok niego i gdy on, z maską uprzejmości na twarzy, skierował na nich wzrok. - Mamy do ciebie słówko.

- Tak, proszę pana?

Kyle uśmiechnął się uśmiechem obywatela roku.

- Na temat Nadine - sprecyzował Davy. - Spróbuj się do niej przystawiać, a porachujemy ci kości.

Uśmiech zastygł na twarzy Kyle'a.

- Bo widzisz, Kyle - Simon wciąż był uprzejmy. - My ciebie znamy.

- Do diabła, my po prostu jesteśmy tacy sami jak ty - powiedział Davy.

- I bardzo się troszczymy o zdrowie i szczęście Nadine - mówił dalej Simon. - Jesteśmy, że tak powiem, jej honorowymi wujkami.

- Notowanymi na policji - dodał Davy.

- O! - rzekł Kyle.

- Chcemy więc, żebyś nas zapewnił - ciągnął Simon - że Nadine spędzi miły wieczór.

- I że nie będzie musiała użyć gazu łzawiącego - dopowiedział Davy.

- Bo jeżeli do tego dojdzie, my uznamy, że to nie w porządku - uśmiechnął się Simon.

- I wtedy porachujemy ci kości - zakończył Davy.

- O! - powtórzył Kyle, a w tej samej chwili z galerii wyszła Nadine.

- Jestem gotowa - zaszczębiotała wesoło. Przypominała prezent, który czeka na rozpakowanie.

- Tylko ją tknij, a umrzesz - szepnął Davy.

- Świetnie - rzekł Kyle, patrząc to na Simona, to na Davy'ego.

Nadine też na nich spojrzała, po czym wzięła Kyle'a pod rękę i rzekła:

- Zapomniałam ci powiedzieć, żebyś nie rozmawiał z tymi facetami.

- Mhm. - Kyle dał się poprowadzić do samochodu, a po drodze, całkiem spłoszony, jeszcze raz obejrzał się na Davy'ego i Simona.

- Czuję, że dobrze zrobiliśmy - stwierdził Simon.

- Ja też - odrzekł Davy. - Do pokera mamy jeszcze godzinę. Może drinka?

- Proszę bardzo, stary. - Simon otworzył drzwi. - Naprawdę zamierzasz porachować mu kości?

- Nie, niech Nadine zrobi to sama - wycofał się z obietnicy Davy, dostrzegając w środku Matyldę. - Bo do spraw kobiet Goodnightów lepiej się nie mieszać.

Tego wieczora w pokera zagrały dwie nowe osoby: Luiza i Ford. Ford był graczem takim, jak przewidywał Davy - czujnym, inteligentnym i bezwzględny, ale natknął się na pewne utrudnienie. Stanowiła je Gwennie. Ford koncentrował się doskonale, dopóki Gwennie nie poruszyła się lub nie odezwała. Gdy to uczyniła, tracił głowę. Davy siedział rozdarty: z jednej strony cała ta sytuacja dość go bawiła, a z drugiej martwił się o Gwen. Nie wiedział, kim jest Ford, ale był pewien, że to nie żaden łagodny kociak.

Gwennie zresztą także nie była łagodnym kociątkiem. Świadczyły o tym wszystkie te zęby.

Drugi problem stwarzała Luiza. Rozpraszała Simona do tego stopnia, że ten nie liczył się w grze - z pewnością oddałby wszystkie swoje pieniądze za to, by pójść z nią natychmiast na górę. Luiza działała także niepokojąco na wszystkie pozostałe osoby obecne przy stole - z wyjątkiem Jeffa. Sama zresztą - rozpraszając innych - także nie była skupiona. Interesowała się bardziej Simonem niż kartami. Skutek był taki, że po czterech rozdaniach Davy czuł irytację. Nie miał nic przeciwko temu, żeby wygrywać, pod warunkiem, że gra wymagała jakichś umiejętności. Ale przy takim napięciu, jakie panowało przy stole, wystarczyło po prostu wyciągnąć rękę i wziąć pieniądze, a nikt z graczy nawet by tego nie zauważył. Dotyczy to nawet Matyldy - stwierdził z obrzydzeniem Davy. Rozpoczynali właśnie piąte rozdanie, gdy do pokoju wkroczyła Nadine. Była wściekła. Davy usiłował sprawiać wrażenie niewiniątka, ona jednak przeszła go na wskroś spojrzeniem przypominającym błękitnobiałe światło lasera. Była bardzo podobna do rozwścieczonej Matyldy, Davy poczuł się więc jak w domu.

- Wcześniej wróciłaś - odezwał się Andrew, tasując karty. Gwennie poklepała Nadine, która stanęła obok niej.

- Coś źle poszło, kochanie?

- Poszłoby lepiej... - Nadine patrzyła na Davy'ego - ... gdyby ktoś nie groził mojemu chłopakowi.

Gwen spojrzała na Forda, który jak zwykle spokojnie odwzajemnił jej spojrzenie, a Davy zignorował Nadine, biorąc karty. Dama, dziewiątka, szóstka i czwórka. Chłam.

- Davy? - odezwała się siedząca obok niego Matylda.

- Nie moja kolej - rzekł Davy. - Teraz Gwennie.

- Chodzi o tę randkę - powiedziała Luiza, patrząc na Simona. - Który z was...

- Obaj - odezwała się Nadine, przenosząc wzrok z Simona na Davy'ego. - Powiedzieli, że spuszcza mu lanie.

- Ależ Davy! - upomniała go Matylda. Davy odłożył karty.

- Nie powiedzieliśmy tego. A trzeba było tak powiedzieć. Bo temu dzieciakowi dobrze z oczu nie patrzy.

- Co do tego nie ma wątpliwości - potwierdził Simon.

- Przyprowadź do domu dobrego chłopaka - rzekł Davy - a nie będziemy się wtrącać.

- To ja decyduję, który jest dobry! - wrzasnęła Nadine.

- Oj, chyba nie - łagodnie zaprzeczył Davy. - Wybrałaś przecież Burtona i Kyle'a.

- Tatusiu, porozmawiaj z nimi. Andrew podniósł dumnie głowę.

- Nadine wolno umawiać się, z kim chce, pod warunkiem że chłopak nie ma osiemnastu lat i nie jest notowany na policji.

Cholera! - pomyślał Davy, patrząc na Simona, który starał się nic mrugnąć nawet okiem. Ford także pozostał niewzruszony.

- I nigdy nie wtrącamy się do jej życia, ponieważ jej ufamy i ją podziwiamy - mówił dalej Andrew.

Nudine kiwnęła głową.

- Z wyjątkiem tego jednego razu, bo temu dzieciakowi naprawdę nie patrzy z oczu dobrze. - Andrew podniósł w górę kciuk. - Tak trzymać, chłopaki.

- Dziękuję - odetchnął z ulgą Davy. - Gramy w pokera, Nadine. To gra hazardowa, podobnie jak twoja randka. Przynies swoją świnkę z oszczędnościami.

- Zaczekajcie. - Luiza przybrała ton lwicy broniącej swoich małych. - Mamy cię żałować?

Nadine pokręciła głową.

- Oni mają rację - stwierdziła, przysuwając sobie krzesło. - On nic nie wie o muzyce. Nie ma pojęcia, kto to Dusty Springfield. Możecie w to uwierzyć?

- A nie mówiłem? - zwrócił się Davy do Matyldy.

- Czy moglibyśmy zająć się grą? - powiedział Simon, a wtedy wszyscy spojrzeli na niego.

- Spiesz się, stary? - zapytał go Davy. - Jeżeli tak, to szurnij swoje pieniądze do mnie, bo one i tak wylądają w mojej kieszeni.

- Po pierwsze, niech pan obieca, że pan nigdy więcej tego nie zrobi - zwróciła się do niego Nadine. - Żadnemu z moich chłopaków.

- Jaki sens mają obietnice? - rzekł Davy. - Ja jestem kłamcą. Grasz czy nie?

- Gram - odburknęła Nadine.

Davy rzucił swoje karty na środek stołu.

- Rozdaj jeszcze raz, Andrew. Twoja córka chce grać, na pewno więc wygram jej kieszonkowe.

Andrew zaczął zbierać karty.

- Panie i panowie, odłóżcie karty. Będzie nowe rozdanie.

- To nie w porządku - zaprotestowała Matylda, ale oddała karty.

- Oczywiście że nie, kochanie. - Davy pogłaskał ją po ramieniu.

- Grasz przecież ze mną. Andrew rozdał i wszyscy zaczęli brać karty - raczej z przyzwyczajenia niż kierowani zapalem do gry. Zresztą, pomyślał Davy, ja i tak wygram, chyba że Nadine zechce się zemścić, ale nawet wtedy...

Siedząca naprzeciwko niego Luiza postukała palcem w jedną ze swoich kart i westchnęła. Davy odłożył karty i zaczął się w nią wpatrywać.

- O co chodzi? - zapytała Ewa, spoglądając przez szkła kontaktowe Luizy.

- Ja się wycofuję. - Davy wstał. - I Matylda też.

- Co takiego? - Matylda nie zamierzała się zgodzić. - Chwileczkę, ja...

- No już, Betty - ponaglił ją Davy. - Powiedz rodzinie dobranoc. Matylda podniosła na niego wzrok.

- Dobranoc - powiedziała do gapiącej się na nią rodziny, po czym Davy poprowadził ją na górę do sypialni.

- Chodzi o Luizę - oznajmił, zamknąwszy drzwi.

- Oj, na miłość boską - rzekła Matylda. - To o to ten cały szum? Słuchaj, ja wiem, że ona pożera wzrokiem Simona. Ale jest przy zdrowych zmysłach, nie rzuci się na niego. Nie ma powodu...

- Luiza to Ewa - stwierdził Davy. - To jedna i ta sama osoba.

Matylda zamilkła. Jej szalone błękitne oczy otworzyły się szeroko, a Davy pomyślał: Zaraz skłamię.

- Nie wiem, o czym ty mówisz - rzekła. - Ewa jest na lekcji. Na zebraniu. No, gdzieś tam jest.

- Matyldo, kiedy ty przyjmiesz do wiadomości, że wiele rzeczy robisz doskonale, ale okłamać mnie nie potrafisz? Daj sobie spokój z tym gadaniem.

- Ależ... - zaczęła Matylda.

- Spójrz prawdzie w oczy - jeżeli ktoś się w tym połapie, ona nie będzie mogła tego ciągnąć. I tak robi to już zbyt długo.

Matylda westchnęła.

- No cóż, ona oszukiwała tylko ciebie i Simona - powiedziała, patrząc już normalnie. - Starła się nie stykać z tobą jako Luiza, a z Simonem jako Ewa. I żaden z was nie był dość uważny...

- Simon nie będzie tym uszczęśliwiony.

- Nie możesz mu o tym powiedzieć! - wykrzyknęła Matylda gwałtownie. - To nie twój interes.

- No cóż, ktoś musi to zrobić.

- Po co? - spytała Matylda, a on nie potrafił znaleźć odpowiedzi. - Gdy Simon się dowie, że ona jest Ewą, będzie to koniec między nimi. To Ewa jest osobą realną, a nie Luiza. One po prostu nie mogą istnieć w jednym i tym samym świecie. Poza tym Simon wyznaje tę głupią zasadę dotyczącą kobiet z dziećmi. A jak, jego zdaniem, kobiety stają się matkami?

Davy usiadł na łóżku.

- Okej, nie jestem przyzwyczajony działać jako jedyny osobnik pozostający przy zdrowych zmysłach, potraktuj mnie więc wyrozumiale. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że Ewie potrzebna jest terapia?

- Nie - zaprzeczyła Matylda. - Ewa doskonale wie, kim jest. Jest samotną matką pomagającą utrzymać rodzinę i zmuszoną radzić sobie z tym, że największa miłość jej życia żyje z facetem. Ewa nie może robić tego co Luiza, bo musi być praktyczna. Przez cztery wieczory w tygodniu jest jednak wolna, bo w klubie i w domu pojawia się Luiza. - Matylda zmarszczyła brwi. - Ale dziś nie powinno jej tu być, bo dziś jest niedziela. To, że tu jest, doprowadza nas wszystkich do szału, ponieważ ona łamie swoje własne zasady.

- To nie jest zdrowe - upierał się Davy. - A co do terapii, to być może powinna to być terapia grupowa. Po cenach zniżkowych dla rodzin.

- Przesadzasz. - Matylda usiadła obok niego na łóżku. - Posłuchaj, czy ty brałeś kiedyś udział w zabawie w Tłusty Czwartek?

- No tak - odrzekł, zachowując czujność.

- Przyjmij więc do wiadomości, że Ewa ma swój Tłusty Czwartek co tydzień, od czwartku do niedzieli. I przywdziewa maskę, lepszą niż maski większości ludzi.

- Czy jej kiedykolwiek mylą się te dwa wcielenia?

- Nie. Ludzie z reguły sądzą, że maski czynią z nich inne osoby, ale tak naprawdę w masce każdy jest tym, kim miał być naprawdę.

Moja siostra bez maski jest Ewą - porządną osobą poświęcającą się dla innych. A w masce - Luizą, bez reszty sobą, bez poczucia winy. W masce może robić wszystko. Tu chodzi o transformację, rozumiesz?

Na twarzy Matyldy pojawił się blady uśmiech, a Davy zaczerpnął tchu i poczuł, że pragnie jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Powiedz, że i ty masz swoją Luizę - poprosił. - Naprawdę chciałbym jej postawić drinka.

- Dowcipniś z ciebie. - Matylda odwróciła głowę. - Ja takich rzeczy nie robię.

- Tego się obawiałem - rzekł Davy. - Czy Nadine wie?

- Oczywiście. Wszyscy wiedzą. Poza tobą i Simonem.

- I Nadine dobrze się z tym czuje?

- A dlaczego by nie? - zdziwiła się Matylda. - Luiza nie jest narkomanką ani pijaczką. Nie molestuje też dzieci. Ona jest po prostu innym strojem, który wkłada na siebie Ewa.

- Strojem, który sypia z Simonem.

Matylda wzruszyła ramionami.

- No cóż, jak mawia Gwennie: kto nie stanowi dobrego przykładu, jest ponurym ostrzeżeniem.

- Aha! To szkoła wychowania w stylu Michaela Dempseya. Powiem Simonowi.

- I sądzisz, że on ci podziękuje? - zapytała zirytowana Matylda.

- Ja nie...

- Sądzisz, że on powie: „Dzięki, chłopie, za pozbawienie mnie najlepszego seksu w życiu”?

- To nie jest...

- Spójrz prawdzie w oczy. Chcesz to zrobić, bo uważasz, że tak trzeba, wcale nie dlatego, że to jest dobre dla Simona.

Davy zmarszczył brwi.

- Chcąc więc postąpić dobrze i właściwie, jestem egoistą i draniem?

- Tak - potwierdziła Matylda.

- Jestem pewien, że się mylisz. - Davy wstał. - Pozwól, że ci to kiedyś wyjaśnię.

- A do tego czasu milcz - rzekła Matylda. - Uczciwi ludzie tacy jak ty potrafią innym zgotować piekło.

W poniedziałek rano, pogodziwszy się wreszcie z tym, że galeria tak czy inaczej zostanie odnowiona, Gwen przysunęła sobie składaną drabinę i weszła na nią, zamierzając raz na zawsze zrobić porządek z tą metalową płytką na suficie. Oczywiście pomieszczenia galerii po prostu musiały być takie wysokie! Tony wyjaśnił jej kiedyś, że dzieła sztuki muszą oddychać. Ale skoro tak, to dzieła sztuki powinny same naprawiać sufit. Gwen weszła na szczyt drabiny i trzymając młotek za koniec trzonka, zamachnęła się. W tym samym momencie straciła równowagę i upuściła młotek. W ostatniej chwili chwyciła się drabiny i przeniosła ciężar ciała na lewo, ratując się przed upadkiem. Gdy odzyskała oddech, uświadomiła sobie, że nie usłyszała stuknięcia młotka o podłogę. Spojrzała w dół.

U stóp drabiny stał Ford - z młotkiem w dłoni, a wyraz jego twarzy mówił: „Co za kretynka z tej kobiety”.

- Chciałam to zrobić sama. - Gwen nie była w nastroju odpowiednim do znoszenia czyjejs pogardy.

- Dlaczego? - zdziwił się Ford.

- Bo patrzyłam na tę płytkę od lat, a ona kpiła sobie ze mnie. Chciałam ją przybić.

- Zostaw to mnie.

- To nie będzie to samo - oznajmiła Gwen.

- Nie masz innego wyjścia.

- Mam. Daj mi ten cholerny młotek.

- Nie.

- To mój młotek.

- Już nie - zaprzeczył.

- Ty nie jesteś przecież skory do zabawy - warknęła Gwen. - Dawaj ten młotek.

- To nie jest zabawa - zaprotestował Ford. - Ja zapobiegam obrażeniom ciała oraz możliwej śmierci. Omal mnie nim nie zabiłaś. Złaż z drabiny.

- Nie powinieneś był tam stać. - Gwen zmarszczyła brwi. - Dlaczego tam stałeś?

- Bo ty bardzo hałasujesz - wyjaśnił Ford. - Pomyślałem, że potrzebna ci pomoc.

- Wcale mi nie jest potrzebna. Ford westchnął.

- Zejdź z drabiny, Gwen. Pozwól mi spojrzeć na ten sufit. Zobaczę, co trzeba zrobić.

- Trzeba go rąbnąć młotkiem - rzekła Gwen z wściekłością i w tej samej chwili przypomniała sobie, jaka jest profesja Forda.

- Zejdź - powtórzył, a ona, przeklinając się w duchu za słowo rąbnąć", zeszła.

Wtedy on wszedł na drabinę. Był tak wysoki, że dotykał sufitu.

- Potrzebny jest gwóźdź - oświadczył i zszedł. - Stary gwóźdź wypadł. Rąbnięcie nic tu nie pomoże.

- Dobrze wiedzieć - powiedziała wesolutko Gwen.

- Gdzie trzymasz gwoździe?

- Gwoździe? - powtórzyła.

- Gdzie jest Davy?

- Na zewnątrz.

- Dobrze. Zajmij się czymś, co nie wymaga narzędzi.

- Chwileczkę - rzuciła, ale on już zmierzał do drzwi. - Skąd ci przyszło do głowy, że Davy ma gwoździe? - zapytała i równocześnie przez szybę wystawową dostrzegła, że Davy sięga do kieszeni koszuli i wręcza Fordowi coś, co wygląda jak gwoździe.

Czasami wprost nienawidzę mężczyzn - pomyślała. Ford wrócił, wszedł na drabinę, naprawił sufit dwoma precyzyjnymi uderzeniami młotka, po czym zszedł, złożył drabinę i odniósł ją na zaplecze.

- Ta drabina jest mi jeszcze potrzebna - zawołała za nim Gwen

- Nie po ostatnim twoim wyczynie - odrzekł Ford, wracając. - Co jeszcze trzeba zrobić?

- Nic - odpowiedziała, stając przed pękniętą szybą.

- Masz całówkę? - zapytał Ford.

- Bo co?

- Bo chcę wymierzyć tę szybę.

- Zamówiliśmy już kogoś, kto to zrobi - skłamała.

- Daj mi tę cholerną całówkę, Gwen!

Gwen skapitulowała i poszła do biura po to, czego żądał.

- Nie rozumiem, dlaczego to robisz - stwierdziła, wręczając mu całówkę.

- To ładny dom. - Rozłożył całówkę. - A ja lubię porządkować.

- Naprawdę? - zdziwiła się. Jak to się miało do jego profesji płatnego mordercy?

- Taki jest mój styl życia. Zapisz: dwadzieścia siedem i pół cala. Gwen przyniosła papier i zapisała.

- Twój styl życia polega na remontowaniu starych domów?

- Na trzydzieści dwa i ćwierć. - Ford złożył całówkę. - Nie. Mój styl życia to przywracanie sprawiedliwości na świecie.

Wręczył jej całówkę.

- O! Sprawiedliwości...

- I porządku - dodał Ford. - Gdzie jest najbliższy szklarz?

- Szklarz? - powtórzyła Gwen.

- Gdzie masz książkę telefoniczną? - zapytał Ford z bezgraniczną cierpliwością.

- Ja nie jestem idiotką - powiedziała Gwen.

- Wiem.

- To nie był mój pomysł.

- Wiem.

- Nie jestem nawet pewna, czy tego chcę - dodała. Ford przysiadł na brzegu stołu.

- To dlaczego pozwalasz im wprowadzać całe to zamieszanie?

- Bo potrzebne nam pieniądze. - Gwen rozejrzała się wkoło. - A galeria, jest odrapana. Matylda tego chce, a to ona tu wszystkim rządzi.

- Dlaczego nie wyjedziesz? Gwen spojrzała na niego zdziwiona.

- Mam wyjechać?

- No tak, na wakacje - potwierdził Ford.

- Na wakacje. - Gwen patrzyła na niego, nie mając pojęcia, co powiedzieć. - Dokąd miałabym wyjechać?

- Na Karaiby. Na Arubę. Nurkować z aparatem tlenowym.

- Ja nie umiem nurkować.

- Ja cię nauczę - powiedział, a jej zabrakło tchu. - To jest moje ostatnie zadanie - mówił dalej. - Potem idę na emeryturę i przenoszę się na stałe na południe. Zabieram swoją łódź na Arubę. Mogłabyś pojechać ze mną.

- Nurkować z aparatem tlenowym - powtórzyła Gwen, chwytając się tego konkretnego. - A czy to nie jest niebezpieczne? Czy ludzie przy tym nie umierają?

- Ludzie umierają we własnych łózkach, Gwen. Co nie znaczy, że nie chodzą spać. - Wstał. - To duża łódź. Jest na niej mnóstwo miejsca. Przyniosę ci szybę.

- Dziękuję. - Nadal nie mogła złapać tchu, a gdy już wyszedł, usiadła za kontuarem, popatrzyła na dziewięć kolorowych parasolek tkwiących w kubku na ołówki i pomyślała: Chcę tam pojechać.

No ale przecież to bez sensu. Nie może zostawić rodziny, poza tym nigdy w życiu nie pragnęła nurkować. A o Fordzie wie jedynie tyle, że jest płatnym mordercą, który przynosił jej piña coladę i naprawił sufit. Oczywiście, on idzie na emeryturę, a ona jest za tym, żeby wybaczać i zapominać o przeszłości. Jeżeli jednak jego ostatnia praca ma polegać na zamordowaniu Davy'ego, to stanowi to spory problem.

Do galerii weszła Matylda z puszką niebieskiej farby. Włosy sterczały jej we wszystkie strony.

- Dobrze się czujesz? - zwróciła się do Gwen. - Wyglądasz, jakbyś dostała obuchem w głowę.

- Czuję się świetnie - odrzekła Gwen. - Przestań się czesać palcami, bo włosy ci sterczą i wyglądasz jak dzi-kuska. - Matylda przyklepała włosy, nic to jednak nie pomogło, a Gwen zapytała: - Czy myślisz czasem o tym, by zostać w domu i przejąć galerię?

- Nie.

Matylda przyjrzała się własnemu odbiciu w szybie okiennej i znowu przyklepała włosy.

- Aha. - Gwen wyglądała na ogromnie rozczarowaną.

Uczucie rozczarowania ogarnęło ją, mimo że przecież z góry знаła odpowiedź Matyldy.

- Najpierw muszę jeszcze przez dziesięć lat malować freski - dokończyła Matylda. - A ty chcesz, żebym przejęła galerię?

- Nie. Ale nie chciałam też stać ci na zawadzie.

- Nikt mi nie stoi na zawadzie - powiedziała Matylda i wyniosła farbę na zewnątrz.

Powinam być taka jak ona - pomyślała Gwen i wyobraziła sobie, że oświadcza Fordowi: „Nikt mi nie stoi na zawadzie”. Dlaczego odbiorcą tego komunikatu miał być Ford, pozostawało dla niej tajemnicą. Powinna raczej

powiedzieć Masonowi: „Masonie, jesteś miłym człowiekiem, ale ja nie chcę, żebyś prowadził galerię”. Choć z drugiej strony, gdyby Mason wyciągnął ich z długów, cała rodzina byłaby wolna. Może więc należy oddać mu galerię? A przy okazji także siebie samą?

Rozmyślenia Gwen przerwał Davy, który pogwizdując, wszedł do środka i skierował się do biura.

Oczywiście - wróciła do swoich myśli, gdy zniknął - to by oznaczało, że nigdy nie zanurkuje z aparatem tlenowym. Ale rodzina będzie bezpieczna.

Na tym właśnie polega problem. Kobieta, która raz urodzi dziecko, nie myśli już nigdy w kategoriach „ja”, a zawsze w kategoriach „my”. Zawsze stawia sobie pytanie: „Co jest najlepsze dla nas?”.

I wybiera to coś, nawet wtedy, kiedy jest ono czymś najgorszym dla niej samej. Ona sama, Gwen, też jest matką. Ma dwie piękne córki i równie piękną wnuczkę i wszystkie one są w miarę szczęśliwe i zdrowe, a poza tym kochają się i wspierają nawzajem. Nie musi dzień w dzień chodzić do jakiejś okropnej pracy, może, kiedy tylko zechce, rozwiązywać krzyżówki i nikt jej nie mówi: „Gwennie, nie rób tego”. No, w każdym razie nikt jej tego nie mówi od pięciu lat. Zatem wszystko jest dobrze.

No tak - dobrze, choć nie tak do końca. Tony był typem apodyktycznym, to prawda, ale miał też swoje zalety. Na przykład seks. Jego śmierć to wielka strata. Ona czuje się dobrze w celibacie, ale ostatnio nagle zaczęło się tu pojawiać mnóstwo mężczyzn - no i ofert. Lunchów i piña colad. Może powinnam zastanowić się nad tym, coś zaplanować - pomyślała. - Mam dopiero pięćdziesiąt cztery lata. Mason jest mną zainteresowany, a Mason to mężczyzna stateczny, znający się na finansach i zachwycony galerią. Naprawdę nic prostszego. Gwen zamknęła oczy i zaczęła sobie wyobrażać życie z Masonem.

Zaraz jednak fantazja podsunęła jej inny obraz: nurkowanie z aparatem tlenowym, lazurowoszmaragdowe morze i kolorowe ryby - prawdziwe, ale przypominające te z obrazów Homera. Poczula też słońce na twarzy, wodę obmywającą ciało i zobaczyła Forda...

Och, na litość boską - skarciła sama siebie, po czym wstała i zaczęła przenosić do biura kolejne krzesła. Pozamiatała też podłogę. Do tego niepotrzebne jej były narzędzia. Nie wymagało to także zbytniego wysiłku myślowego.

Do galerii weszła Matylda z pędzlem w dłoni.

- Dobrze się czujesz? - zapytała matkę.

- Doskonale - odrzekła Gwen. - Nie można lepiej.

- Davy chce dzisiaj pomalować fasadę.

Matylda kiwnęła głową w stronę biura, gdzie Davy z niejakim powątpiewaniem spoglądał w puszkę z farbą, a Nadine ze zmarszczonymi brwiami zaglądała mu przez ramię.

- Będziemy chyba musieli zagrozić wejście.

- No to co z tego? Czyżby przychodziły tu tłumy? - Gwen nie widziała problemu. - Ja nie...

Nie dokończyła, bo przez drzwi od ulicy do galerii wszedł mężczyzna o ciemnorudych włosach i ciemnych oczach. W jego wyglądzie było coś bardzo znajomego.

- Witam - powiedziała Gwen, usiłując go sobie przypomnieć.

- Dzień dobry, kochanie - przywitał ją mężczyzna, a przerażonej Gwen przemknęło przez myśl, że to ktoś, z kim spała przed Tonym i o kim całkiem zapomniała. Wiek mężczyzny się zgadzał, można go było określić tak gdzieś między pięćdziesiątką a osiemdziesiątką.

- Czy ja pana znam? - zapytała Gwen, modląc się, żeby tak nie było.

- Mów mi Michael, kotku. - Miał minę takiego niewiniątka, że aż zmrużyła oczy. - Szukam Davy'ego Dempseya. Takiego wysokiego, z ciemnymi włosami. Czy on tutaj jest?

- Davy? - Gwen była kompletnie zaskoczona. - On jest w... - Tu przerwała, bo mężczyzna z serdecznym uśmiechem okrążył ją i otworzył drzwi biura. - Chwileczkę, proszę poczekać...

Davy znajdujący się w biurze podniósł wzrok i zamarł, a Gwen pomyślała: Czyżby to był drugi płatny morderca? Ilu ludzi u diabła chce zgładzić tego faceta?

- Powinienem być się tego spodziewać. - Mężczyzna zwrócił się do Davy'ego lekkim tonem: - Ja jestem ścigany, a ty sobie tutaj w takim wianuszku...

- W wianuszku? - zdziwiła się Gwen.

- On ma na myśli wianuszek trzech kobiet - wyjaśnił ponuro Davy. - Cześć, tato.

Rozdział piętnasty

- Jak ty mnie u diabła znalazłeś? - zapytał Davy Michaela, siedząc z nim przy stole w pokoju Simona.

Wydawało mu się przy tym dziwne, że na stole nic nie ma, jakby spodziewał się, że Michael natychmiast wyjmie talię kart i zacznie rozdawać.

- Znalazłem cię przez tego twojego kolegę, Simona - odrzekł Michael. - Przed paroma tygodniami zadzwoniłem do niego do Miami, bo cię szukałem.

- Ach, więc to on mnie wsypał. - Davy postanowił porozmawiać sobie później z Simonem.

- Wymagało to nieco perswazji - przyznał Michael.

Davy westchnął. No cóż, perswadował Michael, zatem Simon nie miał żadnych szans.

- A potem upłynęło trochę czasu, zanim się tu dostałem - mówił dalej Michael. - Miałem pewne zobowiązania. Poza tym Greyhound to nie concorde.

- Przyjechałeś autobusem? - Davy był oszołomiony. - To do ciebie niepodobne.

- Jestem chwilowo w kłopotach finansowych. - Po twarzy Michaela przemknął cień uśmiechu.

- W czwartek chętnie zapłacę za twojego dzisiejszego hamburgera. Do czego to doszło, mój ojciec jadający w fast foodach.

- Nie mogę rzucać się w oczy - rzekł Michael - bo wygląda na to, że jest na mnie nakaz aresztowania.

- To też jest do ciebie niepodobne. - Davy, całkiem się tym nie przejmując, rozsiadł się wygodniej. - Zwykle nie dajesz się złapać.

- Była pewna kobieta - rzekł Michael tajemniczo.

- Zawsze jest.

Michael uśmiechnął się szeroko.

- Mówi to ekspert od tych spraw. Pomyśleć, że przyjeżdżam tutaj i zastaję cię aż z trzema. Jesteś kropka w kropkę podobny do mnie, mój chłopcze.

- Nie jestem wcale do ciebie podobny - zaprzeczył Davy. Michael roześmiał się.

- Masz rację, nie jesteś do mnie podobny. Ty jesteś drugim mną. Spośród wszystkich moich dzieci ty będziesz po mnie dziedziczył.

- Świetnie - ucieszył się Davy. - Zawsze marzyłem, żeby mieć dwie talie znaczonych kart i fujarkę.

- No bo popatrz na Sophie - kontynuował Michael, tak jakby nie słyszał słów Davy'ego. - Od urodzenia miała smykałkę. Spojrzała na człowieka tymi wielkimi piwnymi oczami i wiedziała o nim wszystko. Ale nie miała serca do tego fachu.

- Sophie ma zasady moralne - odrzekł Davy, myśląc jednocześnie: I dlatego tak łatwo od niej uzyskać wszystko, co się tylko zechce, o czym ty wiesz doskonale.

- A nasza mała Amy przeciwnie, uwielbiała to zajęcie, ale brakowało jej smykałki. Była zbyt roztrzępana. Natomiast ty - ty się po prostu do tego urodziłeś. Masz i smykałkę, i serce. Masz wszystko, i mógłbyś być lepszy ode mnie, mógłbyś osiągnąć wielkość...

- Och, daj spokój. - Davy miał tego dość. - Spójrz tylko na siebie. Masz sześćdziesiąt lat i się ukrywasz, wywijasz różne szwindle, żeby mieć gdzie mieszkać, uprawiasz hazard, żeby mieć na motel. Taki jest twój przepis na wielkość?

- Ale w tym jest ruch - powiedział Michael. - Jak mawiał pewien Grek imieniem Nick.

- Tak, mawiał tak, kiedy był splukany i kiedy grał w pokera za ćwierć dolara - burknął Davy. - Tak mówił, zanim zmarł bez grosza przy duszy. Chcesz żyć tak jak on?

- Chcę po prostu żyć, a w tym jest życie. - Michael pochylił się nad stołem. - Człowiek, mój synu, powinien żyć, a nie marzyć o życiu. Nie powinien zaprzeczać, że urodził się do tego, do czego się urodził. Nie powinien też wysługiwać się FBI. - Pokręcił głową. - Ty tęsknisz za tym fachem. Nie wypieraj się, bo nie uwierzę. Co ty obecnie robisz tak dla czystej frajdy, mój chłopcze? Wijesz wianuszki?

- Dobra, dobra. Odczep się od pań Goodnight. A co do Gwen, zrozum to zalecenie jak najbardziej dosłownie. Ona ma stałego faceta z pieniędzmi, który chce się z nią ożenić. Trzymaj się od niej z daleka.

- Aaa tam. To nie dla niej - stwierdził Michael. - Kobiety pokroju Gwen Goodnight nie lubią stałych facetów.

- Ona zasługuje na kogoś, na kogo mogłaby liczyć - oznajmił Davy. - To znaczy nie na ciebie.

- Ona zasługuje na to, żeby się świetnie bawić. - Michael miał na ten temat swoje zdanie. - A świetną zabawę z całą pewnością mogę jej zapewnić ja. Poza tym ona, jak każdy z nas, nie może liczyć na nikogo. Ponieważ człowiek, mój synu, rodzi się sam i sam umiera. Poznaj więc lepiej samego siebie, bo jesteś jedyną osobą na świecie, która może to uczynić.

- Ja znam siebie - powiedział ponuro Davy - i jestem szczęśliwy.

- I pomyśleć, że twierdzisz tak po wszystkich moich naukach - rzekł ze smutkiem Michael. - Ile razy ci powtarzałem, że wygrać w karty da się z każdym, kto nie zna źródeł własnej słabości ani siły? Spójrz na siebie, ty udajesz kogoś, kim nie jesteś, nie wykorzystujesz własnego talentu. - Michael pokręcił głową. - Ale masz szczęście. Ja pojawiłem się tutaj we właściwym momencie.

- O tak, kiedy ty się pojawiaasz, wszyscy jesteśmy zachwyceni. Ale mam dla ciebie niespodziankę: ja już w to nie gram. Podobnie zresztą ja Sophie i Amy.

- Skoro tak, to nie *żyjesz*. Martwiłbym się tym, gdybym cię tak dobrze nie znał. Ale ja wiem, że ty wrócisz do fachu. Bo potrzebujesz ostrej gry.

- Posłuchaj, tato, czy ty przyjechałeś tu z jakiegoś określonego powodu? - zapytał Davy. - Czy tylko po to, żeby mnie wkurzyć?

- Wstąpiłem tu po drodze, bo jadę odwiedzić swego wnuka. - Michael rozsiadł się wygodnie.

Davy pomyślał o okropnym piekle, jakie Michael może zgotować Sophie. O tym, że może zniweczyć jej spokój oraz zrujnować jej reputację - a małe miasto, w którym Sophie mieszka, nigdy jej tego nie zapomni. Nie mówiąc już o tym, że Sophie zostanie bez pieniędzy, bo ojczulek ją oskubie.

- O nie, nie pojedziesz tam - powiedział stanowczo.

- Człowiek ma prawo odwiedzić wnuka. - Michael rozparł się na krześle. - Sophie może mnie potrzebować. Słyszałem, że dała mu imię po mnie.

- Dała mu na imię Dempsey, co wcale niekoniecznie oznacza ciebie. A ty masz się trzymać od niej z daleka, tak samo jak ja. Ona prowadzi dobre, zgodne z prawem życie, którego nam nie wolno spieprzyć. - Davy wstał. - Zabawa skończona. Natychmiast wyjeżdżasz.

- Myślałem, że obaj tam pojedziemy. - Michael nie ruszył się z miejsca. - W najbliższy weekend. Że urządzimy taki rodzinny zjazd i że ty mnie będziesz trzymał w karbach.

Tu uśmiechnął się do Davy'ego radośnie. Zbyt radośnie.

- Aha, więc ty nie wiesz, gdzie ona mieszka. - Davy odprężył się.

- Oczywiście że wiem. Ona mieszka tutaj, w Ohio.

- Ohio to duży stan. Może się zdziwisz, ale tak jest. Przeszukaj go sobie. Życzę ci przy tym miłej zabawy.

- Już ja się dowiem - zapowiedział Michael. - Boże drogi, chłopcze, przecież ja nie chcę jej skrzywdzić. Ja ją kocham. Ona w każdym calu przypomina matkę. I urodziła mi pierwszego wnuka. Chcę zobaczyć małego i poznać mężów moich córek.

Powiedział to tak szczerze, że Davy był pod wrażeniem.

- Ty kłamiesz w żywe oczy tak, jakbyś mówił szczerą prawdę. Dziwię się, jak policja nazbierała na ciebie tyle materiału, że mogła wydać nakaz aresztowania.

- Właściwie to wcale tak nie jest - zmienił wersję Michael. - Ja tylko tak nawijałem. Ale teraz mówię prawdę. Chcę zobaczyć małego.

- Ten mały urodził się rok temu. - Davy założył ręce na piersi i przyjrzał się ojcu ponuro. - Twoje córki wyszły za mąż trzy lata temu. Ty szukasz nie wnuka, tylko żywej gotówki, ciepłego łóżka i gorącego posiłku w miejscu, w którym nie dopadną cię stróża prawa. A skoro się tam znajdziesz, zaraz kogoś oszukasz. Sophie mieszka w małym mieście, więc wszyscy się zaraz o tym dowiedzą i ona będzie upokorzona. Poza tym mam dla ciebie wiadomość, która być może jeszcze do ciebie nie dotarła: Amy wyszła za gliniarza. Ja go znam. On nie jest sentymentalny. Nie będzie cię uważał za starego dziadka z fantazją. Jeżeli jest na ciebie nakaz, to cię bez mrugnięcia okiem zapuszkuje.

- Twój pogląd na ludzką naturę jest taki cyniczny - rzekł w zamyśleniu Michael.

- He, he, ciekawe dlaczego. - Davy poczuł się jak trzynastolatek.

- To przez tamtą kobietę. A ja cię przed nią ostrzegłem.

- Jaką kobietę? - zapytał Davy, zmieszany.

- Tę blondynę, Cleopatę - wyjaśnił Michael. - Tę, którą miałeś w Los Angeles. Trzymała cię na takiej smyczy, że nie oszwabiłbyś wtedy nawet dziecka ze szkoły niedzielnej. Związek z nią był dla ciebie czymś najgorszym pod słońcem. To pod jej wpływem zgorzkniałeś.

- Oj, chyba się mylisz. - Davy przyjrzał się ojcu. - Na moje życie miały wpływ sprawy znacznie bardziej mroczne.

- Gdzie ona jest teraz? Wciąż jest żoną tego faceta, dla którego cię rzuciła?

- Nie - odrzekł Davy. - Ona go zabiła. A potem wyszła za następnego i też go zabiła.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Michael. - Więc gdzie ona jest teraz?

- Tutaj.- stwierdził Davy. - Poluje na kolejnego.

- Wiedziałem. - Michael oparł się wygodniej. - Ty wciąż się za nią uganiasz.

- Nie - sprostował Davy. - Ja się uganiam za własnymi pieniędzmi, które są w jej rękach.

- Pozwoliłeś im się dostać w jej ręce? To wielka nieostrożność z twojej strony - zgaśnił go Michael. - Zostaw ją w spokoju. Machnij ręką na te pieniądze. Zarób sobie nowe.

- Dzięki za radę, ale wolałbym raczej odzyskać to, co do mnie należy.

- Wiesz co, to miejsce nie jest złe. - Michael rozejrzał się po pokoju. - Ta galeria to niezły kąsek. Mógłbyś tu coś zakombinować.

- Nie. - Davy próbował zapomnieć, że sam kiedyś tak myślał. - To jest czysty interes. A i ty także nie zrujnujesz rodziny Goodnightów.

- Więc co ty właściwie tu robisz?

- Za ich pośrednictwem chcę się dobrać do Clei - wyjaśnił Davy.

- Jej ta rodzina jest potrzebna do pewnych celów, a ja mogę te kobiety wykorzystać, żeby do niej dotrzeć.

- Oto potomek godny swego rodziciela - ucieszył się Michael. - A z którą z nich spędzasz noc? Ta mała jest za młoda, a Gwennie chodzi na stałe ze swoim facetem. Pozostaje brunetka w okularach.

- Pokiwał głową. - Może być. Domyślam się, że nie jest głupia. I że niezła z niej laska.

- Ach, jak ja cię nie znoszę - z głębi serca wyrwało się Davy'emu.

Ramiona Michaela zatrzęsyły się, co w jego przypadku oznaczało ryknięcie śmiechem.

- Tęskniłem za tobą, mój chłopcze - oświadczył.

- A ja za tobą nie. - Davy podszedł do drzwi i otworzył je. - A teraz opuścisz ten dom.

- Oj, nie sądzę. - Michael rozejrzał się wokoło. - To ładny pokój.

- To pokój Simona. I on go w pełni wykorzystuje.

- No to gdzie ty śpisz? - Michael wstał i kiwnął głową. - Aha. Z tą okularnicą. A Gwennie ma faceta na stałe.

- Co oznacza, że w tej gospodzie nie ma miejsca. - Davy wskazał hol. - Wynocha!

Michael podszedł powoli do drzwi.

- Sądzę, że do Sophie powinniśmy pojechać w następny weekend - powiedział i minął Davy'ego. - Sądzę...

W tejże chwili Dorcas otworzyła drzwi swojego mieszkania.

- Ja tu maluję - oświadczyła, piorunując Davy'ego wzrokiem.

- Artystka - odezwał się Michael, kręcąc z podziwem głową. - Nie pozwalamy pani się skupić. Przepraszam stokrotnie.

- Raz wystarczy - rzekła Dorcas. - Raz. A potem należy się zamknąć.

- Artystyczny temperament - skomentował to Michael. - Fascynujące. Czy mógłbym zobaczyć pani dzieła?

Dorcas aż zamrugwała ze zdziwienia.

- Pani Dorcas, to jest mój ojciec - dokonał prezentacji Davy. Jest kłamcą, oszustem i uwodzicielem. I szuka miejsca, w którym mógłby zamieszkać. Proszę go za wszelką cenę unikać.

- Michael Dempsey - przedstawił się Michael, biorąc ją za rękę.

- Dorcas. Co za śliczne imię. Po gaelicku oznacza lilię.

- Po grecku oznacza gazelę. - Dorcas nie cofnęła ręki, a Davy zauważył rumieniec na jej białych policzkach.

Dorcas wskazała głową Davy'ego. - Czy to, co on o panu mówi, to prawda?

- To smutne, ale tak - odparł Michael z uśmiechem. - Jestem absolutnie nie do uratowania.

Dorcas odwzajemniła uśmiech.

- Ale naprawdę chciałbym zobaczyć pani prace - mówił dalej Michael. - Rzadko spotykam artystów, a już nigdy artystów przy pracy. Mogę?

Davy'emu serce przestało bić, a Dorcas powiedziała:

- Tak.

- Proszę tego nie robić - zwrócił się do niej Davy.

- Oj, proszę przestać - odrzekła Dorcas, po czym cofnęła się i wpuściła Michaela do swego pokoju.

- Jezu Chryste - powiedział do siebie Davy i poszedł ostrzec rodzinę Goodnightów przed swoim rodzicielem.

Resztę tygodnia Davy spędził na malowaniu i przenoszeniu mebli. Nie spuszczał przy tym oka z Michaela, a Nadine i Ethan spełniali każde jego polecenie. Gwen - jeżeli nie z przyjemnością, to przynajmniej z właściwym sobie profesjonalizmem - zaplanowała wszystkie szczegóły wernisażu. Pilnowała też reklamy i zatroszczyła się o to, by na imprezie znalazł się dziennikarz, który napisze z niej sprawozdanie. Simon natomiast zajął się sprawami bezpieczeństwa. Brakowało mu wciąż Luizy, a we wtorek zabrakło mu też części ubrań.

- Twój tata pożyczył ode mnie koszulę - powiedział do Davy'ego. - Najwyraźniej żaden z was nie potrafi się spakować.

Matylda każdego dnia, po pracy nad freskiem, malowała galerię wraz z Davym. W pewnym momencie stwierdziła:

- Wiesz, ja nigdy nie mam dość malowania ścian.

- Nie musisz tego robić. Pracowałaś przecież przez cały dzień.

- Ale chcę dla ciebie zrobić chociaż to, bo ty się dla nas zaharowujesz.

- Możesz dla mnie zrobić coś zupełnie innego - zaczął Davy i przerwał, gdy ona spojrzała na niego groźnie ponad oprawkami okularów; nie chciał znowu usłyszeć o tym jej cholernym wibratorze. - Zresztą mniejsza o to.

Matylda kiwnęła głową i wróciła do malowania.

- Nie mogę uwierzyć, że twój tata, godzinę po tym, jak się tu zjawił, wprowadził się do Dorcas.

- No tak. On jest pozbawiony zasad moralnych.

- Ale sprawny w działaniu - zauważyła Matylda. - Tobie wmeldowanie się do mojego łóżka zajęło dwadzieścia cztery godziny.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Davy. - Gdybym chciał zrobić to wcześniej...

Matylda znowu popatrzyła na niego ponad oprawkami.

- Dobra - powiedział i zabrał się znowu do malowania.

Ewa, Jeff i Andrew biegali na posyłki, wykonywali drobne roboty i w ogóle dbali, żeby wszystko szło sprawnie, natomiast Ford włączał się, gdy trzeba było dokonać reperacji wymagającej prawdziwych umiejętności. I

czynił to szczególnie chętnie, gdy owa reperacja potrzebna była w pomieszczeniu, w którym przebywała Gwen. Pokazywał się nawet Mason, żeby monitorować całą akcję, tak zachwycony perspektywą wernisażu, że rozweselał wszystkich wkoło. No, może z wyjątkiem Forda. Wszyscy oni stanowili zespół. Być może nieco dziwny, ale zgrany.

Natomiast Michael to była całkiem inna sprawa. Davy przyłapał go na hazardowej grze w karty przed miejscową szkołą średnią. Zaciągnął go wtedy do domu, zagroził mu śmiercią i dał do wykonania specjalne zadanie.

- Gdzie Michael? - zapytała Matylda, wróciwszy z pracy w środę.

- Jeżeli nie pragniesz kłopotów, nie interesuj się nim - ostrzegł Davy.

- Ja go lubię - oświadczyła Matylda. - Nie powierzyłabym mu swoich pieniędzy, ale go lubię. Co z nim zrobiłeś?

- Upiekłem dwie pieczenie przy jednym ogniu. Powiedziałem mu o Colbym.

- No i?

- No i on dziś rano uzyskał od niego pięć tysięcy. W tej właśnie chwili połowę tego oddaje pani Brenner.

- Pięć tysięcy dolarów? - upewniła się Matylda.

- Staruszek jest w tym dobry. - Davy usiłował nie czuć dumy.

- Jeszcze raz: czym on się zajmuje?

- Handlem.

- Aha. Naprawdę sądzisz, że on da te pieniądze pani Brenner?

- Połowę - uściślił Davy. - On to zrobi z całą pewnością, bo ma silne poczucie sprawiedliwości. Jest tylko pozbawiony zasad moralnych.

- Wprost nie do wiary, jak tobie udało się zostać tak uczciwym czło... - Matylda umilkła, kręcąc głową.

- To po prostu cud - stwierdził Davy, po czym, zanim Bóg raził go swoim piorunem, wyszedł malować fasadę.

A potem Michael zadomowił się na dobre u Dorcas i zaczął schodzić do galerii, gdzie Davy nie spuszczał go z oka, podobnie zresztą jak Ford, który nie chciał, by Michael zbliżył się do Gwen.

- Ten Ford jest niegłupi - powiedział Davy do Gwen w dzień wernisażu. - Lubię go, choć on ma za zadanie mnie zabić.

- Proszę tak nie żartować. To jest zbyt denerwujące.

- Ale to tylko żarty, bo on mnie nie zabije. - Davy poklepał ją po ramieniu.

- Tego pan nie może wiedzieć.

- Oczywiście że mogę. Gdyby miał taki zamiar, zrobiłby to już dawno.

- Więc dlaczego jeszcze tu jest? - zapytała. - Z mojego powodu? Przecież to płatny morderca.

- Słyszałem, że tacy ludzie to świetni kochankowie. Faceci na balder z prawem są w tych rzeczach doskonali.

- A skoro już o tym mowa - wpadła mu w słowo Gwen. - Pański ojciec pożyczył ode mnie dwadzieścia dolarów.

- O do diabła! - Davy sięgnął po portfel.

- A potem przyniósł mi pięćdziesiąt - mówiła dalej Gwen - Oświadczył, że grał w bilard i że to jest mój udział w wygranej.

- O! Ale nie wetknął pani tych pieniędzy za podkoszulek?

- Oczywiście że nie. On jest dżentelmenem.

- Słusznie - potwierdził Davy i wrócił do biura, żeby zaplanować wieczorny skok.

Jakiś czas później, kiedy Gwen poszła na lunch z Masonem, zauważył, że Nadine stoi przy kontuarze w galerii. Śmiała się przy tym do Ethana, a przed nią leżały trzy karty.

- Co ty u diabła robisz, smarkulo?

- Pański tatuś nauczył mnie tej gry. Ona jest super. - Nadine przerzuciła karty. - Tu jest dama...

- Nadine - zwrócił się do niej Davy. - Mówiłem ci, trzymaj się z daleka od mojego ojca. W tę grę można wygrać jedynie, jeżeli się oszukuje. A to nie jest w porządku.

- Ja nie mam zamiaru grać na pieniądze - oświadczyła Nadine, udając, że jest zaszokowana.

Nic dziwnego, że tata nauczył ją grać - pomyślał Davy. - Ona ma do tego wrodzony talent.

- Po prostu o tym zapomnij.

- Kiedy mnie się to bardzo podoba. Wygrana jest pewna.

- Na świecie nie istnieją pewne wygrane.

- Nie? No to niech pan spróbuje mnie pobić.

Davy wyjął z kieszeni pięciodolarówkę i rozpostarł ją na stole.

- Gdzie jest twoja?

Nadine wyciągnęła rękę do Ethana, a on z westchnieniem wyjął banknot i wręczył go jej.

- Dostaniesz go z powrotem, Ethanie - zapewniła go.

- Nie licz na to, Ethanie - powiedział Davy. - Rozdawaj, Nadine.

Patrzył, jak Nadine tasuje karty, jak pokazuje damę i jak chowa ją w dłoni. Jak na kogoś, kto odbył zaledwie kilkugodzinną praktykę, radziła sobie doskonale.

- Okej. - Była bardzo pewna siebie. - Gdzie dama?

- Tu. - Davy położył palec na środkowej karcie.

- No cóż, sprawdźmy - powiedziała butnie, trzymając damę w rękawie.

- Sprawdźmy - powtórzył Davy i odwrócił ósemkę trefl leżącą po prawej stronie i czwórkę pik znajdującą się po lewej. - Spójrz. Żadna z nich nie jest damą, więc damą musi być ta środkowa karta.

To rzekłszy zabrał dwie pięciodolarówki.

- To nie fair! - Nadine była oburzona. Davy chwycił ją za nadgarstek.

- To także jest nie fair! - Wyjął jej damę z rękawa. - Pamiętaj, mam cię więcej nie widzieć z kartą w rękawie.

- A czy mogę to ćwiczyć na Ethanie?

- Ty już i tak dostatecznie wykorzystujesz Ethana. Nie musisz tego robić także przy kartach. Zajmij się lepiej malowaniem drzwi.

- Mam już dość malowania - kaprysiła Nadine.

- Utrzymujemy cię przy życiu, żebyś służyła temu statkowi - zwrócił się do niej Davy. - Wiosłuj pilnie i żyj.

- *Ben Hur*. - Ethan najwidoczniej nie przejmował się tym, że jest wykorzystywany.

- O rany - sarknęła Nadine i wpakowała sobie karty do kieszeni.

Davy poszedł do biura, gdzie zastał Matyldę.

- Twoja siostrzenica ma prawdziwą smykałkę do działalności przestępczej.

- A ja jestem pewna, że ty także potrafisz w to grać - zauważyła Matylda.

- Nie potrafię.
- Co za prawomyślny obywatel. Istny wzór dla nas wszystkich.
- Porozmawiajmy o jutrzejszym włamaniu - zmienił temat Davy.
- Stanowczo musisz włożyć ten chiński kaftan. On mi się bardzo podoba.

Tego wieczora Michaela nie można było nigdzie znaleźć. Na drugi dzień jednak, wybierając się wraz z Matyldą na ostatnie włamanie, Davy zastukał do drzwi Dorcas. Otworzył mu Michael.

- Nie ucz Nadine karcianyich sztuczek - przykazał Davy.
- Trzeba ich tego uczyć, gdy są młodzi - odrzekł Michael. - I to jest kolejny powód, dla którego ja muszę odwiedzić Sophie. Dempsey jest jeszcze trochę za mały, ale ona ma chyba pasierbicę?

- Dillie - potwierdził Davy. - Nie będziesz jej przecież uczył oszukiwać.

- Dlaczego nie miałbym tego robić?

- Bo... - Davy przerwał, przypominając sobie sprawę Dillie i tego chłopaka. - Bo nie.

- Bo ty już ją tego nauczyłeś, co? - Michael klepnął go po ramieniu. - Świetnie, chłopcze.

- Naprawdę wolałbym, żebyś tu nie przyjeżdżał. Zaczynam właśnie wieść życie uczciwego człowieka.

- Ładna ta czarna koszula - zauważył Michael. - Masz zamiar kogoś obrabować?

Davy nic nie odpowiedział, zamknął tylko na chwilę oczy, a potem zszedł na dół.

Galeria wyglądała pięknie, ale Gwen wprost nie mogła na nią patrzeć.

Spojrzała na zegarek. Zostało dziesięć minut do rozpoczęcia imprezy. Pomyślała, że gdyby zwymiotowała na kasę, to może pozwoliliby jej pójść na górę i zabrać się do rozwiązywania krzyżówek.

Zaraz jednak wzięła się w garść. Cała rodzina urobiła sobie ręce po łokcie, galeria lśniła, pełno w niej było barw i radości. Tę radość wnosiły meble Matyldy oraz piękny bufet przygotowany przez Tomasza. Poza tym wszystko to miało przynieść pieniądze. Tymczasem ona lamentuje, bo chce nurkować z aparatem tlenowym. Nie, nie, wcale nie chce nurkować. Chce pójść na górę, położyć się do łóżka i schować się wraz z głową pod kołdrę.

- Proszę pani? - wyrwał ją z zamyślenia Tomasz.

- Och, Tomaszu, przepraszam. - Starła się nie patrzeć na dwa żółtawe siniaki na jego czole. - Bufet wygląda cudownie.

- Czy mógłbym panią prosić o chwilę rozmowy? - zapytał, kładąc jej dłoń na ramieniu, co ją zaskoczyło do tego stopnia, że dała się zaprowadzić do biura. Tam Tomasz wyciągnął skórzaną pochewkę i pokazał jej odznakę. - Tomasz Lewis, z FBI - przedstawił się.

Gwen aż zmrużyła oczy.

- Pan jest z FBI?

- Ćśś. - Tomasz rozejrzał się. - Jestem tu w tajnej misji, proszę pani. Nikt nie może o tym wiedzieć. Potrafi pani dotrzymać tajemnicy?

No pewnie - pomyślała Gwen.

- Badam sprawę Clei Lewis - powiedział Tomasz, spoglądając czujnie na drzwi. - Istnieją bowiem domniemania, że ta osoba zamordowała swego męża.

- O!

To brzmiało całkiem prawdopodobnie.

- I ukradła jego kolekcję dzieł sztuki - mówił dalej Tomasz. - Cyryl Lewis był bardzo bogatym człowiekiem, lecz kiedy umarł, okazało się, że jego majątek właściwie nie istnieje.

- No cóż, Clea nie jest tania - zauważyła Gwen. - Może po prostu rozeszły im się pieniądze, może je wydali.

- Wydali je - potwierdził Tomasz. - Na obrazy. Cyryl Lewis w ciągu ostatniego roku życia wydał na obrazy dwa miliony dolarów.

- Och! - Gwen obliczyła w myśli wysokość prowizji.

- Obrazy były przechowywane w magazynie - ciągnął Tomasz.

- Ale magazyn spłonął doszczętnie na dzień przed śmiercią Cyryla Lewisa.

Wszystko to zaczynało przypominać marną sztukę radiową.

- I sądzi pan, że Clea go zabiła?

- Tak sądzę i nie byłby to pierwszy mąż, którego pozbawiła życia

- rzekł Tomasz. - Nie mogliśmy znaleźć przeciw niej dowodów, ale jej pierwszy mąż zmarł w bardzo podejrzanych okolicznościach. To bezwzględna kobieta. Mamy powody przypuszczać, że tutaj, do tego domu skierowała płatnego mordercę.

- Naprawdę? - Gwen udała bardzo zaskoczoną.

- Istnieją domniemania, że próbuje zabić swojego byłego kochanka.

- O Boże - przeraziła się Gwen, tym razem nic już nie udając.

Zastanowiła się, czy Matylda wie. Pewnie tak. Mało co uchodziło uwagi Matyldy.

- Powodem, dla którego rozmawiam z panią - kontynuował Tomasz - jest to, że ona okazuje duże zainteresowanie pani galerią.

- Ależ - zaczęła Gwen - ona jest...

- Gdyby próbowała sprzedać pani jakieś obrazy - mówił dalej Tomasz - chcielibyśmy o tym wiedzieć.

- Ja nie kupuję obrazów - wyjaśniła Gwen. - Galerie przyjmują dzieła sztuki w komis. My niczego nie kupujemy.

- Gdyby w ogóle rozmawiała z panią o obrazach, chcemy o tym wiedzieć.

- My?

- To znaczy Biuro Federalne.

- Aha. - Biuro Federalne. - No cóż, oczywiście, poinformuję państwa - odrzekła Gwen i pomyślała: Jeżeli ty jesteś z FBI, a Ford jest złoczyńcą, to ten kraj znalazł się w tarapatkach. Do diabła - dodała zaraz - jeżeli to jest stróż prawa, a Clea jest przestępczynią, to my jesteśmy w tarapatkach. - Czy pan dawno pracuje dla FBI?

- Nie. Ale mam pełne kwalifikacje.

- Świetnie - powiedziała Gwen. - A czy potrafi pan także zajmować się cateringiem, organizować przyjęcia?

- Kupuję jedzenie w restauracjach. - Tomasz był nieco zawstydzony. - Dzięki temu mam czas zajmować się sprawą.

- O, to wspaniale - skomentowała to Gwen, ożywiając się. - Więc mówi pan, że w restauracjach...

- Proszę o tym nikogo nie informować.

- Nie poinformuję absolutnie nikogo.

- I proszę mieć baczenie na te obrazy - zakończył Tomasz, otwierając drzwi galerii.

- To najbardziej interesująca historia, jaka mi się w życiu przytrafia - rzekła do siebie Gwen i weszła do galerii w chwili, gdy pojawił się tam pierwszy klient.

Pół godziny później Matylda obserwowała galerię przez oszklone drzwi biura. Czuła się przy tym dziwnie - jakby oglądała stary film. Widziała w swoim życiu blisko setkę takich pokazów - niektóre jeszcze jako mała dziewczynka. Wtedy musiała stawać na stołeczku, żeby zajrzeć do galerii przez okienko w drzwiach. A teraz, patrząc swobodnie, doszła do wniosku, że tym razem coś tu jest nie w porządku. Po chwili wiedziała już co. Otóż tym razem nikt nie stał na środku sali, śmiejąc się i, niby wodzirej, dyrygując całą imprezą.

W pewnej chwili nastąpiło wielkie wejście - do galerii wkroczył Mason w brokatowej kamizelce, prowadząc Cleę, wspaniałą w czarnej sukni bez pleców i w kolczykach w kształcie ogromnych kół. Mason zajął pozycję w samym środku sali. Śmiejąc się i gestykułując, wyglądał jak karykatura ojca Matyldy, a Matylda pomyślała; Biedak. On nie ma pojęcia, jak to się robi.

Do biura wszedł Davy.

- Oho, widzę, że Vilma ma na sobie ten chiński zakiet. Chyba nadszedł czas, by coś ukraść i całować się w garderobie - powiedział.

- Mason i Clea już przyszli - poinformowała go Matylda.

- No to idziemy. - Davy wziął kluczyki od samochodu Jeffa, zajrzał przez okienko w drzwiach i aż gwizdnął.

- Co jest? Wzrok Matyldy pobiegł za jego spojrzeniem.

Clea stała na środku w sukni bez pleców, uśmiechając się do Masona, a jej idealny profil przyćmiewał jedynie równie idealny zarys jej biustu.

- O! - Matylda postarała się o obojętny ton.

- Nic, nic, Weroniko. - Davy uśmiechnął się szeroko. - Ja tylko podziwiam krajobraz. Wiem, że to czarownica z piekła rodem.

- Tak, ale była dobra w łóżku, prawda? - Matylda obserwowała płynne i pełne gracji ruchy Clei. Nie lubię cię - pomyślała, a głośno dodała: - Lepsza ode mnie.

- Tak - przyznał Davy. - Możemy już iść?

- Dużo lepsza ode mnie? - domagała się szczegółów Matylda. Davy zamknął oczy.

- Dlaczego zadajesz takie pytania? Wiesz, że odpowiedź będzie nieprzyjemna.

- Odpowiedz.

Davy z westchnieniem zajrzał do galerii.

- Czy widzisz to, co stworzyłaś? Czy widzisz, że gdy malowałaś, każdy twój ruch był właściwy, bo bardzo się przykładałaś, a także dlatego, że masz ogromny talent?

- Dziękuję. - Matylda wbrew woli poczuła się wzruszona.

- Otóż Clea pieprzy się tak, jak ty malujesz.

- O! - brzmiał komentarz Matyldy.

- I jeżeli to cię może pocieszyć, prawdopodobnie maluje tak jak ty...

- Nigdy więcej mnie nie tkniesz! - wykrzyknęła Matylda.

- A były na to szanse, zanim to powiedziałem? - zdziwił się Davy. - No jak, możemy już iść?

- Oczywiście. - Teraz należało skupić się na tym, co jest naprawdę ważne.

Ważne było to, że ona odzyska obraz. A Davy pieniądze. Następnie przedstawienie się skończy - on pojedzie do Australii, a ona wróci do swojego miłego i spokojnego życia, którego treścią będzie malowanie fresków.

- O co chodzi? - zapytał Davy.

- Wiesz, zanim się tu pojawiłeś, ja byłam szczęśliwa - powiedziała Matylda i ruszyła do drzwi.

- Wcale nie byłaś. - Davy szedł tuż za nią. - Ty...

Wszedł Ethan ze Steve'em na rękach. Steve miał na sobie brokatową kamizelkę i czarną muszkę i wyglądał na nieco tym wszystkim skonfundowanego.

- To Nadine uszyła kamizelkę - wyjaśnił Ethan. - Mówiła, że to Zgodne z tradycją towarzyszącą wernisażom.

- To powinno dodać ducha Masonowi - uśmiechnęła się Matylda. - Tylko nikogo nie ugryź, Steve.

- Wychodzicie? - zapytał Ethan.

- Tak - potwierdził Davy. - My...

- No cóż, bawcie się dobrze, szturmując zamek - życzył im Ethan i wyniósł Steve'a do galerii.

Davy popatrzył na Matyldę.

- Czy wszyscy wiedzą, że my dziś popełniamy przestępstwo?

- Nie wie o tym Jeff. Zachowujemy go w odwodzie, na wypadek gdybyśmy potrzebowali obrońcy.

- Dobrze wiedzieć. - Davy wyszedł na parking. - Powinno tutaj być oświetlenie - zauważył, gdy siedzieli już w samochodzie.

- Powinniśmy na to mieć pieniądze - odrzekła Matylda. - Ale najpierw musimy zwrócić Simonowi za farby. No i spłacić hipotekę.

- Słusznie. I to ma być to idealne szczęśliwe życie, które ci zrujnowałem?

- No tak. - Matylda opadła na oparcie. - To nie twoja wina. Chociaż właściwie twoja.

- Ja nic nie...

- Zanim się pojawiłeś, nie wiedziałam, że jestem nieszczęśliwa. Po prostu pchałam kierat ze spuszczoną głową. A potem nagle ty ściskasz mnie w garderobie, a ja zdaję sobie sprawę, że czuję się okropnie, malując te freski, i że jestem beznadziejna w łóżku.

- To ty użyłaś słowa „beznadziejna”, nie ja - zwrócił uwagę Davy. - A poza tym chcę ci zapewnić trochę treningu.

Matylda popatrzyła na niego z westchnieniem.

- Nie byłam zadowolona, że odnawiasz galerię.

- Wiem.

- Ale teraz jestem. Galeria wygląda tak pięknie jak nigdy. A ja, patrząc na wszystkie te moje meble, mam znowu ochotę malować. I to mnie uszczęśliwia. Kiedy jednak ty wyjedziesz, wszystko się skończy. Nie ma na to ani czasu, ani... - Machnęła ręką. - Prowadzenie galerii wymaga obrotności. A rzutki i obrotny był tata. Natomiast Gwennie wróci po prostu do swoich krzyżówek, Nadine do randek dla kariery, ja do malowania fresków. Więc dziękuję ci za to, że mi zwróciłeś galerię, ale i tak rujnujesz mi życie.

- Wiem o tym - przyznał Davy. Matylda zmarszczyła brwi.

- Wcale nie wiesz.

- Wiem, wiem - powtórzył. - Wiem, że jesteś świetną malarką, wiem, że nie znosisz malować fresków, wiem, że kochasz rodzinę, wiem, że jesteś o coś wściekła na ojca, i wiem, że galeria to twoje miejsce na ziemi. Wiem to wszystko, bo cię znam.

Matyldzie zabrakło tchu.

- Nie tak dobrze, jak sądzisz. - Spojrzała w okno. - Czy nie powinniśmy już jechać?

- Słusznie. - Davy włączył silnik. - Tam będzie garderoba, Vilmo. A na razie panuj nad sobą.

- I jeszcze jedno - odezwała się Matylda.

- Co takiego?

- Jeżeli coś pójdzie nie tak, to zostaję z tobą. Tym razem nie zostawię cię samego, a ty nie wyrzucisz mnie za drzwi. Dzisiaj działamy razem.

Davy milczał przez chwilę.

- Okej - powiedział wreszcie.

- Ja tego nie chcę robić - ciągnęła Matylda. - Ale nie chcę też, żebyś robił to ty.

- Wiem - jeszcze raz powiedział Davy. - Ale to już ostatni raz. Dzisiaj to się skończy.

- Tak, wiem. - Matylda wciąż patrzyła przez okno. - Jedźmy.

Tymczasem Gwen, obserwując Masona, myślała: Ależ on rozkoszny! Może napuszczę Forda, żeby go zabił. To oczywiście nie był dobry żart, Gwen była jednak zdania, że dobrze by było spacyfikować Masona, bo psuł całą tę imprezę. A ona chciała, żeby impreza - skoro już się odbywała - była udana.

Obserwowała teraz, jak Mason wmawia jakiejś skonsternowanej kobiecie, że zakup komody pomalowanej w pomarańczowe zebry będzie dobrą inwestycją.

- Dzieła sztuki zyskują z czasem na wartości - zapewniał ją. Gwen wyszła więc zza kontuaru i wzięła go pod ramię.

- Mason, kochanie - upomniała go łagodnie.

- Chyba jednak wstrzymam się z zakupem - powiedziała kobieta, cofając się. - Czy mogę pogłaskać psa?

- Oczywiście! - odrzekła wesoło Gwen. Mason pokręcił głową.

- Ten pies wszystko popsuje - szepnął. - Czy nie możemy się go pozbyć? Kiedy on tu jest, nikt nie traktuje nas poważnie.

Poważnie? - pomyślała Gwen. - Przecież my sprzedajemy meble pomalowane w pomarańczowe zebry!

- Problem w tym - wyjaśniła - że te meble to nie inwestycja. Człowiek kupuje takie rzeczy, bo mu się podobają, a nie dlatego że one z czasem zyskają na wartości.

Mason popatrzył na nią z wielką serdecznością i poklepał ją po ramieniu.

- Zostaw to mnie, Gwennie. Ja wiem, co robię.

Wcale nie wiesz - zezłościła się w duchu Gwen. Ponieważ jednak on przestał już dręczyć tę biedną kobietę, wróciła za kontuar.

W głębi Michael uśmiechał się do klientki, która trzymała w rękach obraz Dorcas Finster, ale patrzyła na Michaela. Stał się prawdziwy cud: od początku imprezy Michaelowi udało się sprzedać trzy obrazy Dorcas. Może powinniśmy go tu zatrzymać i zatrudnić do prowadzenia galerii - przyszło Gwen do głowy. Zaraz jednak porzuciła ten pomysł, bo przecież Michael sprzedałby wszystko, łącznie ze Steve'em, a potem poszedłby w siną dal, zabierając ze sobą pieniądze. To uroczy człowiek - westchnęła Gwen - ale kompletnie pozbawiony zasad moralnych.

W innym końcu sali sprzedawała meble roześmiana Nadine. Swoim zachowaniem, a zwłaszcza osobistym urokiem, przypominała Tony'ego. Kobieta, z którą przez chwilę rozmawiała, podeszła właśnie do kontuaru i zapłaciła sto dolarów za podnózek z tańczącymi kotami, a Gwen zauważyła: Nadine ma do tego taki talent jak on. Potrafi sprzedać prawie wszystko.

Uśmiechnęła się do klientki, zainkasowała pieniądze i rozejrzała się za Masonem. Pograżony był właśnie w rozmowie z siwiejącym mężczyzną w garniturze. Dyskutowali o stole, na którym namalowane były czerwone psy myśliwskie. Gwen mogłaby przysiąc, że słyszy padające z ust Masona słowo inwestycja.

Zanościło się na długi wieczór. Oddam całą tę galerię za jedną piña coladę - pomyślała i poszła ratować nieszczęsnego klienta Masona.

Okno w piwnicy było wciąż rozbite, Matylda i Davy dostali się więc do środka bez problemu, po czym, tak jak poprzednio, udali się na górę do tonącej w ciemnościach garderoby Clei.

- Jest wręcz nostalgicznie. - Davy zawtórował myślom Matyldy. - Idź piętro wyżej do pokoju, w którym są obrazy, i znajdź swoją Scarlet. A ja w sypialni poszukam laptopa.

- Okej. - Matylda całkiem bez entuzjazmu spojrzała na ciemne schody.

- Chyba że chcesz wraz ze mną przeszukać garderobę. - W tonie Davy'ego brzmiała oczywista aluzja.

- Nie, nie. Idę na górę.

Spędziła tam kolejną godzinę z latarką, przeglądając całe tuziny obrazów. Niektóre były niezapakowane, więc, wiedzona ciekawością, oglądała je. Znajdowały się między nimi niezłe rzeczy, ale nie było nic nadzwyczajnego. Mason nie miał zbytniego drygu do kolekcjonowania obrazów - podobnie zresztą jak do czegokolwiek innego. Biedak - pomyślała Matylda. - Może Gwen go trochę rozrusza.

Po długich poszukiwaniach znalazła wreszcie jakiś kwadratowy obraz, ale odwinąwszy ostrożnie jego róg, przekonała się, że widniejące na nim niebo w szachownicę nie jest wcale jej niebem. Co to znaczy do diabła? - zdumiała się i odpakowała całość. Rozmiary się zgadzały, niebo było niebieskie i w szachownicę, ale obraz przedstawiał las, a ona nigdy w życiu nie namalowała lasu. Przeminięła latarkę i w rogu zauważyła podpis wykonany drukowanymi literami. HODGE.

Aha, to obraz Homera. Nigdy go nie widziała. Przez te wszystkie lata zapomniała, że niebo w szachownicę kopiowała z obrazów Homera, być może dlatego, że malowanie go sprawiało jej dużą przyjemność. No cóż, to by się zgadzało. Jest przecież fałszerką. Przesunęła światło latarki, chcąc się przekonać, co jeszcze mogła skopiować. Drzew z pewnością nie. Ale między ich pniami dostrzegła małe zwierzątka. Zawsze lubiła malować zwierzęta, choć nie takie - te były za małe i miały...

Drobne ostre białe zęby.

Rozdział szesnasty

- O Boże - powiedziała Matylda na głos i usiadła na podłodze.

To niemożliwe. To musi być zbieg okoliczności. Może po prostu było tak, że Gwennie pomysł na te swoje zęby zaczerpnęła od Homera. Jednak nie, ona je haftowała na długo przed jego pojawieniem się. Teraz będziemy musieli ukraść wszystkie obrazy Homera - przeraziła się Matylda, uświadamiając sobie równocześnie, że to niemożliwe. Niemożliwe, bo Homer Hodge namalował mnóstwo obrazów. To znaczy nie Homer - poprawiła się w myśli Matylda - tylko Gwennie. Gwennie namalowała ich mnóstwo. Niektóre znajdowały się nawet w muzeach. Nie było sposobu, by odzyskać je wszystkie.

Zatem Gwennie to Homer! Już samo to stanowiłoby ogromny problem, nawet gdyby jej obrazy nie znajdowały się w muzeach.

Matylda wstała i zapakowała obraz, żeby zabrać go ze sobą. Piętro niżej czekał na nią Davy.

- Nie mogłam znaleźć... - zaczęła i w tej samej chwili dostrzegła, że on trzyma w rękach poszukiwany przez nią kwadrat.

- Czy to ten? - zapytał Davy szeptem, wręczając go jej. - Możesz mi wierzyć albo nie, tym razem był w garderobie.

Matylda rozpakowała obraz. Jej wzrok padł na przedstawiony na nim dom.

- To ten - potwierdziła i ogarnął ją smutek.

Był to pierwszy obraz Scarlet - obraz, który dał początek całej tej okropnej historii. Chociaż nie, to wcale nie on ją zapoczątkował, bo Umiały przecież dzieła Gwennie.

- Czy ty się dobrze czujesz? - wyszeptał Davy.

Matylda zapakowała z powrotem obraz, zanim Davy zdążył się zorientować, że Scarlet namalowała dom, w którym znajduje się Galeria Goodnightów.

- Boże, co za ulga! - Matylda udawała uszczęśliwioną. - Nie wiem, jak ci dziękować. Teraz, kiedy masz już swoje pieniądze, możesz wyjechać. - Davy milczał. - Odzyskałeś pieniądze, prawda? - Podniosła na niego wzrok, w holu było jednak tak ciemno, że nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy.

- Nie - odrzekł. - Muszę wymyślić jakiś inny sposób na ich odzyskanie.

- Przykro mi - powiedziała Matylda najzupełniej szczerze. - Ja ci pomogę bez względu na koszty.

- Dobrze. A ten drugi pakunek, to co to jest?

- Pamiątka dla Gwennie - poinformowała go Matylda. - Jedźmy do domu.

Gdy wrócili już do galerii, Davy wniósł do środka zapakowany obraz Scarlet. Nie był pewien, co jest Matyldzie, wiedział jednak, że stało się coś złego. I że to coś musiało mieć związek z tym drugim obrazem. Może Matylda znalazła siódmy obraz Scarlet? Może trzeba będzie ukraść ich więcej? Może dla niego nie nadszedł jeszcze czas wyjazdu?

Ta ostatnia myśl wcale nie była irytująca.

Matylda podeszła prosto do Gwennie. Tymczasem Nadine pomachała ręką Davy'emu, a on przywołał ją gestem.

- Macie obraz? - spytała dziewczyna. - Czy to ten właściwy?

- Tak - potwierdził, obserwując Matyldę. - Potrzebny mi twój laptop.

- Dobra.

Nadine pobiegła na górę i wróciła z komputerem.

- Wejź do Internetu.

Nadine usłuchała.

- Coś jeszcze?

- Nie. - Davy usiadł do komputera. - A co tutaj słyhać?

- Pana tato jest niesamowity - powiedziała Nadine. - A Mason to dupa wołowa.

- Włączę się do akcji jutro - obiecał Davy. - A teraz jeszcze jedno: gdzie Gwennie trzyma wszystkie bankowe dokumenty?

- A co pan robi?

- Defrauduję twój fundusz edukacyjny.

- Oczywiście. Tak jakbym takowy posiadała. Dokumenty bankowe są w górnej szufladzie po lewej.

- Dzięki. Idź się bawić.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, Davy wszedł w swoje konto i spojrzał na saldo. Dwa i pół miliona - śliczna okrągła sumka. Na koncie Clei było trochę więcej, ale on lubił okrągłe sumy, przelał więc tylko tyle.

Sam nie wiedział dlaczego, ale posiadanie tej kwoty nie sprawiało mu tak wielkiej radości jak pozostawanie bez pieniędzy. Niektórzy ludzie nie są stworzeni dla bogactw - pomyślał. - Potrzebują podnieci, zastrzyku adrenalin.

Innym natomiast potrzebny jest fundusz na edukację.

Co pomyślawszy, uśmiechnął się do siebie i zaczął przelewać pieniądze.

- Jak leci? - zwróciła się Matylda do Gwen, gdy ta sprzedała krzesło z kacuzkami jakiejś zachwyconej nim kobiecie.

- Gdyby nie Mason, wszystko szłoby świetnie. Nie ma tłumów, ale... - Gwen przerwała, widząc obraz w rękach Matyldy. - Skąd to masz?

- Z magazynu Masona. Wydaje ci się znajomy?

- Oczywiście - odrzekła Gwen. - To obraz Homera Hodge'a.

- Nie, to obraz Gwen Goodnight - sprostowała Matylda.

- Nie, nie - zaprzeczyła Gwen. - Ja malowałam numerowane zestawy, a Homer takie rzeczy jak ten obraz.

- Gwennie, ja wiem... - zaczęła Matylda, ale nagle ją olśniło. - O, do diabła. Homer był taką twoją Luizą.

- Niezupełnie, kochanie. Homer nigdy nie uprawiał seksu.

- Davy ma rację - stwierdziła Matylda. - Potrzebna jest terapia grupowa. I to natychmiast.

- Homer był dla mnie czymś w rodzaju krzyżówek - wyjaśniła Gwen. - Był taką odskocznią, sposobem na odcięcie się od rzeczywistości. Ale potem się nim zmęczyłam. I przestałam malować.

- Tata musiał się zdenerwować.

- O tak, zdenerwował się - przyznała Gwen z uśmiechem.

- Nic mi o tym nie powiedziałaś. Wyprowadziłam się z domu przekonana, że Homer istniał.

- On nie był dla mnie specjalnym powodem do dumy - tłumaczyła Gwen. - Wszystko zaczęło się od tych numerowanych obrazów. Tony doszedł do wniosku, że jestem wspaniałym malarzem prymitywistą. Ale jemu to nie

wystarczyło. On chciał być drugim, Brigido Larą, chciał stworzyć własną dynastię artystów. I mieć do nich wyłączne prawa. - Gwen westchnęła. - Nie pozwolił nawet na to, żeby Homer był kobietą.

- Ale jak to się skończyło? - zapytała Matyllda. - Tata powiedział mi, że pokłócił się z Homerem.

- Bo tak było - potwierdziła Gwen. - Kiedy wymyślił dziecko Homera, tę Scarlet, byłam pewna, że on w te fałszerstwa wciągnie i ciebie. A przecież i bez tego unieszczęśliwił cię całym tym dziedzictwem Goodnightów. „Dlaczego nie możemy powiedzieć ludziom prawdy?” - pytałam, a on na to: „Bo na prawdzie się nie wzbogacimy”. Robił na Homerze cholernie duże pieniądze, ale to mu nie wystarczało. Chciał... musiał mieć też Scarlet.

- I wtedy ty przestałaś malować, a zaczęłam ja - domyśliła się Matyllda. - To dlatego nie chciał, żebym powiedziała ci o malowaniu obrazów Scarlet. Zabronił mi pisać o tym słowo.

- Nie wiedziałam, że je malujesz, aż do twojego wyjazdu. Nie wiedziałam aż do chwili, gdy zobaczyłam ten obraz ze smugami. Podpisał go za ciebie. I udało mu się go sprzedać.

- Nie mogę uwierzyć! Dlaczego ukrywałaś przede mną, że jesteś Homerem? Przysyłałaś mi pieniądze, mogłam więc nie wracać do domu, ale nigdy mi o tym nie powiedziałaś.

- Bo ja nie byłam Homerem. Homer był tylko maską. I to taką, która nie pasowała na mnie zbyt dobrze. Bo ja nie jestem mężczyzną.

- No tak, ale to nie dlatego mnie o tym nie poinformowałaś. Milczałaś, bo wiedziałaś, że jeżeli ja się o tym dowiem, to zostanę w domu. I będę dalej malowała obrazy Scarlet.

- Nie przypisuj mi takich zasług. Nie chroniłam ciebie. Malowałaś te piękne obrazy, a on zmuszał cię, żebyś je podpisywała cudzym nazwiskiem. Ja tego nie zauważyłam. Nie powstrzymałam go od zmuszania cię do tego. To nasz kolejny rodzinny koszmar.

- To nie do końca koszmar - uspokoiła ją Matyllda. Gwen popatrzyła na córkę uważnie.

- Czy zamierzasz nauczyć malować własne dzieci? - zapytała.

- Tak. Malować tak. Ale nie fałszować. Ten proceder skończył się na mnie.

- Zamierzasz więc znowu wyjechać?

- Nie. Zostanę. Dzięki Davy'emu, bo mi zwrócił galerię. Możemy tu robić coś dobrego. A poza tym chcę znowu zacząć malować. Własne obrazy. Chcę zostać w domu.

- A ja nie - oznajmiła Gwen. - Ja chcę wyjechać.

- O! No, dobrze...

- Nie ruszam się z tego miejsca od trzydziestu pięciu lat - stwierdziła Gwen.

- No tak. Rzeczywiście czas, żebyś wyjechała. Zdecydowanie tak.

- Ja wrócę.

- W porządku, mamó. Naprawdę.

- Oczywiście nie wiem, dokąd jądę.

- Wydaje mi się, że w takie miejsce, gdzie są statki, łodzie albo jachty.

- Jacht to by było to samo co Homer. Coś nierzeczywistego. A ta galeria jest rzeczywista.

To powiedziawszy, Gwen uśmiechnęła się do kobiety, która podeszła do nich z jakimś obrazem. Matyllda na widok tego dzieła otworzyła szeroko oczy.

- Sprzedajemy obrazy Dorcas Finster? - Jej zdumienie nie miało granic.

- Michael je sprzedaje - sprecyzowała Gwen. - Ja tylko inkasuję pieniądze. Dempseyowie potrafią sprzedać wszystko.

- Tak - przyznała Matylda i pomyślała, że w rękach Davy'ego znajduje się obraz Scarlet. - Porozmawiamy o tym jutro.

- Och nie, nie chciałabym o tym rozmawiać. - Gwen zainkasowała pieniądze.

Davy chodził po prawie pustym białym magazynie, odgłos jego kroków odbijał się echem od nagich ścian, a on czuł się świetnie. Odrzucił narzutę z Łoża Kuszenia. Pięć obrazów, no i ten szósty znajdujący się w jego rękach - wreszcie w komplecie. Rozpakował ten szósty i oparł go o ścianę. A obok ustawił pięć pozostałych. Miał przed sobą komplet dzieł Scarlet Hodge. Zrobił krok do tyłu.

Krowy, kwiaty, motyle, syreny, tancerze, no i ten ostatni - dom w mieście. Przyjrzał się ponownie. Obrazy tworzyły sekwencję: krowy przechodziły w kwiaty, które z kolei przechodziły w motyle. Jedynym wyjątkiem był pejzaż miejski. Ten powinien stać na początku. Zamierzając go przenieść, Davy przypatrzył mu się uważniej.

To był dom Goodnightów! Davy przypomniał sobie wszystkie te kolorowe, pełne radości meble, które przeniósł w ciągu tygodnia, i taką samą radość, kolory i światło zauważył w obrazach Scarlet, które miał przed sobą.

- To chyba jakiś żart - powiedział na głos, ustawiając pejzaż miejski na samym początku.

A potem, patrząc na sekwencję tych obrazów, na to, jak miasto przechodzi w wieś, jak morze przechodzi w nocne niebo, nie mógł się nadziwić. Jak mógł się nie zorientować, że wszystko to namalowała Matylda?

Usiadłszy na łóżku, pomyślał: Chryste Panie! Co za oszustka i kłamczucha. Wodziła mnie za nos przez całe dwa tygodnie.

I zapragnął jej tak bardzo, jak nigdy dotąd.

W następnej chwili usłyszał jej kroki na schodach, a kiedy stanęła w drzwiach w tym swoim chińskim zakiecie, w okularach upodabniających ją do żuka, ze sterzczącymi drobnymi kędziorami - zabrakło mu tchu.

A potem, gdy ona spojrzała na ustawione w jednym szeregu obrazy, przywitał ją słowami:

- Cześć, Scarlet.

Clea czuła się koszmarnie.

Po pierwsze, Mason w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Miał na sobie tę idiotyczną niebieską brokatową kamizelkę, na którą ona polowała po całym mieście, i zachowywał się jak cyrkowy konferansjer. Kupił dla niej szkaradne krzesło, na którym namalowane były słoneczniki i ptaki, a przecież ona nie miała pojęcia, co z czymś takim zrobić. Była gotowa zgodzić się na wiele ze strony mężczyzn, którzy się z nią żenili, ale spodziewała się po nich trochę godności. Cyryl miał godność, pomyślała teraz z żalem. Gdyby na dodatek posiadał jeszcze pieniądze, byłby idealnym mężem.

Na domiar złego dziwnie zachowywał się także Tomasz. Piorunował ją wciąż wzrokiem, stojąc po drugiej stronie bufetu zastawionego talerzami, na których ułożone były koreczki. Może cierpi na niestrawność - myślała Clea - bo bufet jest trochę zbyt tłusty. Albo boli go głowa - te siniaki nic wyglądają dobrze. Zresztą nic mnie to nie obchodzi, niech tylko przestanie mierzyć mnie złym okiem, bo to jest bardzo denerwujące.

Potem, ku jej zniecierpliwieniu, pojawił się Ronald i chciał ją wziąć pod ramię.

- Nie tutaj! - wyszeptała Clea i spojrzała na Masona, który na szczęście zajęty był własnym cyrkiem i nie zwracał na nią uwagi.

- Dowiedziałem się czegoś na temat galerii - odrzekł również szeptem Ronald, a ona pozwoliła się podprowadzić do koreczków.

- Z obrazami Scarlet Hodge wiąże się coś dziwnego - mówił dalej Ronald, nabrawszy na talerz istną furę koreczków. - Nie chodzi o to, że ktoś je kupuje, chodzi o to, że nie ma na ich temat żadnych informacji. Jeden artykuł w gazecie i nic więcej. Tony Goodnight sprzedał te obrazy, a potem już nigdy nie wspomniał o ich autorce.

- Ona umarła - powiedziała Clea z rozdrażnieniem.

- Akt jej zgonu nie istnieje. - Ronald ugryzł krewetkę.

- No to co? - Clea zauważyła wściekle spojrzenie Tomasza, powiedziała więc do niego: - Dość tego. - Gdy Tomasz wypogodził twarz, zwróciła się do RONALDA: - Czy to jest takie dziwne?

- To, że nie istnieje akt zgonu, oznacza, że dana osoba nie umarła.

- Może umarła gdzieś daleko - zastanowiła się Clea. - Może...

- Moim zdaniem ona w ogóle nie istniała - oznajmił Ronald. - Te krewetki są naprawdę...

- Co masz na myśli, mówiąc, że ona nie istniała?

- Sprawdziłem, że, tak jak aktu zgonu, nie ma też świadectwa urodzenia. Ani Homera, ani Scarlet.

- Kim jest Homer? - Clea traciła cierpliwość.

- To ojciec Scarlet - odrzekł Ronald. - Galeria Goodnightów zrobiła na nim kokosy, potem przestawiła się na Scarlet, a następnie przestała sprzedawać także jej obrazy. I od tamtego czasu podupadła. Miałaś rację, tutaj jest coś nie tak.

- Naprawdę? - Po raz pierwszy od chwili gdy Ronald ukradł dla niej pieniądze, Clea popatrzyła na niego z aprobatą. - Ronaldzie, jesteś cudowny.

Ronald poczerwieniał i zapomniał o krewetce.

- Cleo, ja... Ścisnęła go za ramię.

- Dowiedz się jak najwięcej i przyjdź do mnie jutro o dziesiątej. - Tu posłała mu spojrzenie spod rzes. - Do mojej sypialni.

- Dobrze. - Ronald omal nie upuścił talerza. - Będę. Ja... Mówił coś dalej, ale Clea dostrzegła właśnie Masona, który rozmawiał z Gwen.

- Muszę z kimś porozmawiać, Ronaldzie. - Poklepała go po ramieniu. - Zobaczymy się jutro.

- Cleo - upomniał ją ze złością.

Ale złość to był jego problem. Clea, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, podryfowała ku Masonowi. On musi się oświadczyć podczas weekendu - pomyślała - bo inaczej ja podejmę odpowiednie kroki. A jeżeli ta cholerna galeria wejdzie mi w paradę, wykorzystam odkrycie RONALDA.

I zniszczę - i galerię, i Gwen Goodnight.

Matylda stała nieruchomo w drzwiach.

- Domyśliłeś się, tak? - powiedziała w końcu ponuro.

- To wprost nie do wiary, że dopiero teraz. - Davy miał nadzieję, że wywoła uśmiech na jej twarzy. - Byłem głupi jak but. To przecież oczywiste.

- Nie było oczywiste, ale teraz jest - potwierdziła. - To tak samo jak z Luizą. Gdy człowiek pozna prawdę, wydaje się ona oczywista.

Była zdruzgotana, co stanowiło marny afrodyzjak. Davy poklepał łóżko.

- Przestań wyglądać jak śmierć i chodź tutaj.

Matylda westchnęła i usiadła obok niego. Podniosła ręce do góry, gestem poddania.

- Okej. Wtrąć mnie do więzienia. Davy popatrzył na jej przeguby.

- Jeżeli chcesz, żebym ci założył kajdanki, to dobrze, zrobię to, ale w zupełnie innym celu.

Matylda pokręciła głową.

- Wiem, że je masz. Simon powiedział Luizie, że pracujesz dla FBI.

Davy zamknął oczy. Miał wielką ochotę udusić Simona. Matylda opuściła ręce.

- I pomyśleć, że to ja cię tu przyprowadziłam. Sama sprowadziłam FBI na miejsce własnej zbrodni.

Davy odetchnął głęboko.

- Czy to z tego powodu odmawiasz mi od dwóch tygodni?

- No cóż, znajomość tego faktu nie pomogła mi w kontaktach z tobą. Cały czas myślałam, że powiem coś niechcący i że ty...

- Że co ja? Że cię z miejsca aresztuję? Och, ja zabiję tego Simona.

- Ty nie masz pojęcia, jak długo ja skrywałam tę tajemnicę. - Mówiąc to, Matylda patrzyła na obrazy.

- Ależ mam pojęcie. Całe siedemnaście lat. - Davy pokręcił głową. - Słuchaj, możesz się uspokoić. Luiza źle zrozumiała. My nie jesteśmy agentami. Nie zatrudniliby nas jako agentów, nawet gdybyśmy im dopłacali. Czasami konsultują się z nami. Ale agentami nie jesteśmy. Nikogo nie aresztujemy. Twój sekret jest bezpieczny.

Matylda przełknęła ślinę.

- A więc, żeby wszystko było jasne, ty mnie nie aresztujesz.

- Po pierwsze, nie mam do tego uprawnień - uspokajał ją Davy. - Mówiłem ci, nie jestem agentem. Po drugie, nikt nie złożył skargi, nie jesteś więc poszukiwana. A po trzecie, nie jestem nawet pewien, czy złamałaś prawo, bo nie wiem, czy namalowanie obrazów Scarlet to oszustwo.

Matylda westchnęła.

- Zresztą jeżeli nawet to jest oszustwo, mnie to absolutnie nie obchodzi. I wreszcie po czwarte, chcę, żebyś się rozebrała. Czujesz ulgę i jesteś mi wdzięczna, mam więc teraz u ciebie ogromne szanse. A poza tym twój wibrator jest na górze.

- Ty chcesz się ze mną kochać? - Matylda była pełna niedowierzania.

- Do diabła, tak. Tęsknię za twoimi ustami. Spojrzała na niego oszołomiona.

- A ja myślałam, że nie odezwiesz się już do mnie ani słowem. Davy prychnął.

- Nie ma takiej możliwości. Zdejmij ubranie, a ja, jeżeli chcesz, zacznę recytować limeryki.

Matylda położyła dłoń na jego ramieniu i popatrzyła na niego swoimi dziwnymi oczami, a potem uśmiechnęła się tym niesymetrycznym uśmiechem, który powodował u niego zawrót głowy, i Davy'emu zabrakło tchu.

- Nie obchodzi cię, że jestem fałszerką? - zapytała.

- Kochanie, ja przez trzydzieści pierwszych lat swojego życia oszukiwałem wszystko, co się rusza. Jak sądzisz, gdzie znalazło mnie FBI? W kościele?

- Więc ty też potrafisz kręcić.

- Jak pies ogonem.

- I mogę ci wyznać wszystko, a ty nie będziesz...

- Matyldo. - Davy czuł, jak jej dotknięcie rozpała mu krew. - Możesz mi nawet powiedzieć, że za szafą grającą schowałaś największy brylant świata.

- Och! Nie, nie, brylantu tam nie ma.

- Tak też myślałam. - Davy z westchnieniem splótł swoje palce ze szczupłymi chłodnymi palcami jej dłoni. - Nie mogę uwierzyć! Moja Scarlet, ty sądziłaś, że cię aresztuję?

- To byłoby sprawiedliwe, bo cię okłamałam.

- Nie, to wcale nie byłoby sprawiedliwe. My tak nie postępujemy. - Po tych słowach Matylda milczała tak długo, że Davy zająrzył jej w oczy. - O co chodzi?

- O to, że powiedziałaś „my” - wyszeptwała prawie bez tchu. - No cóż, jest jeszcze jedna rzecz.

Davy zamknął oczy i zaśmiał się.

- Oczywiście. Powiedz, o co chodzi, Scarlet. A wszystko załatwimy w jednej chwili.

- Chodzi o największy brylant świata.

Davy odwrócił głowę i zobaczył, że ona szeroko się uśmiecha.

- Jest w kredensie, za butelką wódki.

Davy zamrugał, niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Trudno go zobaczyć, bo ma ten sam kolor co wódka, a poza tym tam jest ciemno, ale... - Matylda uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - On tam jest. Pocałuj mnie.

Davy poszukał jej ust i zadrżał, kiedy ich języki się spotkały. A ona objęła go ramionami i opadła na łóżko, śmiejąc się i pociągając go za sobą.

- To niewiarygodne. - Rozpostarła ręce nad głową. - Ty wiesz. A ja jestem wolna!

- Świetnie. - Davy wsunął rękę pod jej żakiet. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

Znów go objęła i znów się uśmiechnęła.

- Już mi pomogłeś, Ralphie. Jesteś bohaterem. Boże, czuję się cudownie. Żadnych więcej sekretów. - Rozejrzała się po opustoszałej, białej suterenie. - W każdym razie przed tobą. - Pocałowała go mocno i zaczęła rozpinąć mu koszulę. - Mogę ci powiedzieć wszystko. Wszystko.

- O Boże, tak! - Próbował nie stracić głowy. Każda komórka jego ciała wołała: weź ją, ale się powstrzymał, bo chciał, żeby tym razem wszystko było tak jak trzeba.

- Sfałszowałam swój pierwszy obraz, kiedy miałam dwanaście lat. - Wciąż usiłowała rozpiąć mu koszulę. - Z tą koszulą jest coś nie tak.

Ściągnął koszulę przez głowę i wstrzymał oddech, gdy ona zaczęła pieścić językiem jego pierś.

- Mów dalej - zażądał, zabierając się do jej śliskiego żakietu.

- Kiedy miałam piętnaście lat, mój tata sprzedał Moneta, którego podrobiłam. - Zdjęła żakiet przez głowę, zanim on doszedł do drugiego kołeczka. - Teraz twoja kolej.

- Ja grywałem w trzy karty w szkółce niedzielnej. - Zdjął z niej podkoszulek. Została w czarnym staniku - krągłsza i ponętniejsza, niż się spodziewał.

- Dalej - zachęciła go.

- Gdy przyłapała mnie nauczycielka, powiedziałem, że robię to dla Pana Boga, i dostałem złotą odznakę.

Cała z czarnej koronki i krągłości, wychyliła się w jego stronę, gdy jednak wyciągnął rękę, powstrzymała go.

- Pokieruj mną - powiedziała.

- Nie bój się, idź za instynktem. Rano i tak będę miał dla ciebie szacunek.

Roześmiała się, ale cofnęła się trochę.

- Pokieruj mną - powtórzyła.

Dobrze. Pokieruje nią. Najpierw uśmiech, potem słówko „tak”. Pocałował ją i zaraz lekko ugryzł w szyję. A ona wstrzymała oddech.

- Jeszcze? - zapytał szeptem, a ona powiedziała:

- Tak.

Ugryzł ją mocniej, a ona zadrżała. Jej palce wpiły się w jego ramię. Pragnę cię już teraz - pomyślał, ale ona chciała, żeby nią kierował. Co dalej? Zastanówmy się. No tak, zrób tak, żeby miała poczucie własnej wyższości. Spojrzał na jej piękną twarz i pomyślał: Bóg wie, że jesteś wspaniała.

- Tak ze mną grać... Jesteś niesamowita.

Przyłgnęła do niego, oddychając głębiej, a on, dotykając jej gorących piersi, poczuł, że jest w niej wielkie napięcie.

- Astma? - zapytał, ale ona wyprowadziła go z błędu:

- Nie astma, tylko ty.

I przytuliła się do niego. A jego ogarnęło takie pożądanie, że nie dostrzegał już niczego prócz niej.

- Czy to jest właśnie to? - szepnęła mu do ucha Matylda. - Czy właśnie tak mną kierujesz?

Davy poczuł, że jej włosy pachną cynamonem, i pocałował ją w ramię. Jej palce powędrowały w dół po jego piersi. Pokręcił głową.

No dalej - powiedział sobie. Uśmiech, tak, musi się poczuć wspaniała, musi mieć poczucie własnej wyższości...

- Nie pamiętam dalszego ciągu. Scarlet, ty mi odbierasz rozum. Leżała pod nim cała rozpalona.

- Poproś mnie o cokolwiek, sprawiając równocześnie, żebym myślała, że to ty wyświadczasz mi przysługę.

- Dobrze - potwierdził. - Dzięki Bogu potrafisz podsłuchiwać pod drzwiami.

Przesunęła dłonią po jego brzuchu, a on znowu stracił wątek.

- Więc co mi zrobisz, Ralphie? - szepnęła.

- Celeste - zaczął, rozpaczliwie starając się coś wymyślić.

- Tak, Ralphie?

Pocałowała go, a jego znowu pochłonął żar bijący od jej ciała. A potem ona wsunęła rękę gdzieś nisko... i żar zaczął bić także od niego.

Odsunął się i popatrzył na nią surowo.

- Celeste, dla twego własnego dobra...

Uśmiechnęła się swoim niesymetrycznym uśmiechem, a jego oczy zasnuła mgła.

- Kierując się całą życzliwością mojego serca... - wyszeptał, a ona przywarła do niego, z ustami o milimetry od jego ust - ... mam zamiar wyleczyć cię z uzależnienia od wibratora.

- Uratuj mnie - zgodziła się Matylda, a on zagarnął jej usta wraz ze wszystkim, co posiadała.

Gwen obserwowała Cleę usiłującą wyprowadzić Masona. Impreza dobiegała końca. Nadine sprawiała wrażenie szczęśliwej, choć zmęczonej, w czym oczywiście nie było nic dziwnego, bo przez cały wieczór ciężko praco-

wała. Nawet Steve wyglądał na dość zadowolonego. Leżał rozwalony na fotelu malowanym w węże i czekał, aż kolejny gość podejdzie, żeby go pogłaskać. Luiza była już w klubie. Śpiewała wraz z Andrew. A Matylda odzyskała ostatni obraz Scarlet.

Wszyscy są bezpieczni - pomyślała Gwen. - Jest to dobra noc. Dlaczego więc mam ochotę walnąć kogoś podnóżkiem w niebieskie pancerniki?

- To było super! - Nadine podeszła do niej ze Steve'em w ramionach. - Musimy całą tę imprezę powtórzyć jutro wieczorem.

- Tak, wszystko się świetnie udało - odrzekła Gwen. - Jak się ma Steve?

- Był tym wszystkim zachwycony - powiedziała Nadine. - Wszyscy go głaskali, ludzie zwracali się do niego per Steve Goodnight. Każdy powtarzał „Dobry piesek, dobry”, a dziennikarz z „Dispatcha” zrobił mu zdjęcie. Steve jest urodzonym pieskiem galeryjnym. Mam rację, szczeniaczku?

Steve podniósł na nią wzrok ze zwykłą u siebie cierpliwością.

- I nikogo nie ugryzł - ciągnęła Nadine. - Nie próbował też bzyknąć Ariadny, kiedy Dorcas przyprowadziła ją na dół. Siedzieli razem na fotelu i wyglądali ślicznie. Ariadna tylko raz go trzepnęła. Ale on i wtedy siedział spokojnie.

- Dobry piesek - pochwaliła Gwen, a Steve westchnął.

- Idę z nim teraz na spacer. Czy wiesz, gdzie jest ciocia Matylda?

- Wróciła do domu. Musi już być w łóżku.

Otworzyły się drzwi i do biura wszedł nieco zaczerwieniony Mason.

- Czy mógłbym z tobą porozmawiać, Gwennie?

- Oczywiście - odrzekła Gwen. Byle krótko - dodała w myślach. Nadine stojąca za plecami Masona przewróciła oczami i wyprowadziła psa.

Mason kiwnął jej głową.

- To dobra dziewczyna - powiedział po jej wyjściu. - Ale dziś, moim zdaniem, była trochę nachalna.

I dzięki niej cała ta impreza zakończyła się sukcesem - pomyślała Gwen, a głośno powiedziała:

- Ona należy do rodziny Goodnightów. A Goodnightowie tacy są.

- Świetnie się bawiłem - obwieścił Mason.

- To dobrze.

Gwen siliła się na serdeczność, bo Mason był taki uroczy.

- I chciałbym spędzać więcej tak miłych chwil. - Wziął ją niezdarnie za rękę.

- O! - brzmiał komentarz Gwen.

- Uwielbiam ten dom - oznajmił. - A dziś się przekonałem, że to jest moje miejsce na ziemi. Pozwól, że zajmę miejsce Tony'ego i zaopiekuję się tobą.

- O! - powtórzyła Gwen. - Ale mnie nic nie brakuje. Ja mam rodzinę.

- To nie to samo. - Mason pochylił się ku niej. - Dopuść mnie do swojego życia, Gwennie. A przysięgam, że nie będziesz musiała już nigdy martwić się o pieniądze.

- Yyy. - Gwen rozejrzała się. - A gdzie jest Clea?

- W samochodzie. To już skończone. Zresztą i tak nie było zbyt wiele między nami. Po śmierci jej męża, po prostu z uprzejmości, zaprosiłem ja parę razy tu i tam. Nie miałem zamiaru...

- Masonie. - Gwen cofnęła się o krok. - Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- Ależ muszę, bo chcę, żebyś zrozumiała, że ona i ja...

- Posłuchaj, Masonie... - zaczęła Gwen.

- Tak jakoś wyszło, że z nią byłem, ale ona to nie ty - mówił dalej Mason. - Zaczynam też myśleć, że nie jest osobą, za którą ją uważałem. Sądzę, że mogła zabić Cyryla.

- Ależ... - próbowała wtrącić Gwen. Clea powinna szybko zadbać o własny wizerunek.

- Posłuchaj, ja wiem, że ta historia z Cleą dobrze o mnie nie świadczy - powiedział Mason. - Wiem, że nie jestem Tonym.

Gwen westchnęła.

- Prawdę mówiąc, to nie jest wada. Mason przysunął się do niej i pocałował ją.

Był to wspaniały pocałunek, czym Gwen była tak zdziwiona, go odwzajemniła. I zaraz pomyślała: Stanowczo zbyt długo tego nie robiłam.

Mason cofnął się i uśmiechnął, jak zawsze czarujący.

- Pragnąłem tego od wielu tygodni - wyznał. On rzeczywiście nie jest Tonym. Tony był pączkiem, a Ford... Ford to płatny morderca. Nie chcę już pączków, nigdy więcej - postanowiła i rzekła:

- Zrób to jeszcze raz.

Buleczki - wiedziała to na pewno - są lepsze niż namiętność. Mason obiecał, że zobaczą się jutro, i wyszedł z biura. W drzwiach pojawiła się Nadine.

- Ten człowiek cię pocałował - powiedziała.

- Tak - przyznała Gwen. - On chce nam pomóc prowadzić galerię.

Chce też pomóc w innych sprawach - dodała w myśli.

- Nie zgadzam się! - wykrzyknęła Nadine stanowczo, a tymczasem w drzwiach stanął Ethan

- Co takiego? - zapytała Gwen.

- Nie zgadzam się. Sami poprowadzimy galerię. Bez pomocy ludzi z zewnątrz. Galeria to rodzinny interes.

Gwen aż zamrugnęła, tak była zdumiona zaciętością Nadine.

- Ale przecież pomaga nam Ethan. Jemu na to pozwalasz.

- Ethan należy do rodziny - oświadczyła Nadine, a Ethan sprawiał wrażenie osobnika, który nie ma pojęcia, co z tym oświadczeniem począć. - On jest jak Davy.

- Davy? - Gwen pokręciła głową. - Kochanie, Davy lada chwila wyjeżdża.

- Nie. On zostanie i ożeni się z ciotką Matyldą. I będą prowadzili galerię, dopóki ja nie skończę studiów. Wtedy oni pójdą na emeryturę, a galerię będę prowadziła ja. Postanowiłam, że tak właśnie będzie wyglądała moja zawodowa kariera.

Gwen przysiadła na brzegu biurka.

- Nadine, skarbie, twoja ciotka nie cierpi galerii. A uwielbia freski. Co oznacza, że musi podróżować. A Davy to pączek. O ile wiem, oni... oni już nawet nie umawiają się na randki.

- Dorośli bywają tacy ślepi - westchnęła Nadine.

- Dorośli? - Gwen spojrzała na Ethana. - Ty sama jesteś dość krótkowzroczna.

Ethan wyszedł z biura.

- Ja widzę wszystko - stwierdziła Nadine.

- Ethan szaleje za tobą.

- Wiem.

- I nie jest to bynajmniej uczucie braterskie.

- Wiem - powtórzyła Nadine.

- No więc?

- Nie wiem. - Nadine zmarszczyła brwi. - Serce mi na jego widok nie wali. Rozumiesz?

Gwen przypomniała sobie Masona.

- Rozumiem.

- Co będzie, jeżeli zrobię odpowiedni krok, żeby sprawdzić, i okaże się, że nic z tego? Co wtedy? On jest moim najlepszym przyjacielem. Nie mogę go stracić. A jeżeli go okłamię, jeżeli będę udawała, on się zorientuje, bo zna mnie jak nikt na świecie. Przyjaźnimy się od lat.

- O! To naprawdę brzmi sensownie.

- A ty mylisz się co do Matyldy. Davy potrafi ją rozśmieszyć. Ona od dawna się nie śmiała. A teraz dzięki niemu śmieje się ciągle.

- Masz rację - zastanowiła się Gwen. - Ale wiesz, długotrwały związek nie polega na śmiechu.

- Założę się, że śmiech to dobry początek. Oni przed sobą nie udają. Znają się dobrze.

- Nie mają o sobie pojęcia - zaprzeczyła Gwen. - Ciocia Matylda ma dużo do ukrycia, a Davy to nie mini-strant.

- Ja wiem, co wiem - stwierdziła Nadine. - I sądzę, że nie powinnaś więcej całować pana Phippsa.

- Zaraz. Nawet babcie chodzą na randki. Gwen zirytowana wróciła do biura. Nadine poszła za nią.

- Wielka szkoda, że pan Ford okazał się płatnym mordercą.

- Nadine, ty wcale nie wiesz, czy tak jest. - Gwen poczuła się wyczerpana, bolała ją głowa. - Idę spać. - Skierowała się ku drzwiom.

- Może on zabija tylko tych, którzy i tak mają zginąć - snuła przypuszczenia Nadine. - Może ci, u których drzwi on się pojawia, zasługują na śmierć. Jak w *Zabijaniu na śniadanie*.

- Dobranoc, Nadine. - Gwen otworzyła drzwi. I zabrakło jej tchu.

W drzwiach stał Ford.

- Przepraszam. Jak się udała dzisiejsza impreza?

- Oho! - szepnęła tylko Nadine i wycofała się do galerii.

- Dość dobrze. - Gwen starała się oddychać spokojnie.

- Z ulicy wyglądało to nieźle - mówił Ford. - Widziałem przez okno.

Gwen kiwnęła głową.

- Dziękuję, było nieźle.

- Wszystko tu wygląda dobrze - stwierdził Ford.

- Dziękuję - powtórzyła Gwen, kiwając głową jak idiotka.

- Dobranoc - powiedział Ford.

- Dobranoc - odpowiedziała. Ford poszedł na górę.

Zaraz zemdleję. Muszę głęboko oddychać, na litość boską, oddychać głęboko - powtarzała sobie. - Co za idiotka ze mnie. Mason mnie pocałował i nic. A na widok Forda brak mi tchu?

- Jak myślisz, czy słyszał, co mówiłam? - zapytała Nadine, wracając do biura.

- Myślę, że on słyszy wszystko. Teraz idę spać. Jeżeli zmienisz zdanie w sprawie Ethana, nie kochaj się z nim na kanapie w biurze.

- Dobra, nie wepchnę też sobie fasoli do nosa - odrzekła Nadine zirytowana.

Gwen machnęła jej ręką i poszła do łóżka, żeby przez jakiś czas nie myśleć.

Matylda zrzuciła dzinsy i naga przytuliła się do także nagiego Davy'ego.

- Jest więcej... - zaczęła, czując żar jego ciała.

- O Boże, tak. - Davy przyciągnął ją do siebie.

- ... do powiedzenia na mój temat - dokończyła. Po czym zamknęła oczy, czując jego dłonie na swoich biodrach i pragnąc go jak najprędzej poczuć w sobie. - Dużo więcej.

- No to mów. - Davy pochylił głowę.

- Mój dziadek sprzedał obraz Pissarra do Metropolitan. - Wstrzymała oddech, gdy zaczął ssać jej pierś. Przechesała mu włosy palcami i wygięła się w łuk. - Boże. Namalował go mój pradziadek. Ten obraz jest naprawdę dobry.

Davy pocałował ją w szyję.

- Mój dziadek sprzedał na złom most Brooklyński - szepnął jej do ucha. - Trzy razy. - Ugryzł ją w ucho, a ona jęknęła. - Jednemu i temu samemu facetowi.

Matylda przeciągnęła językiem po pięknej linii jego obojczyka.

- Mój pradziadek oszukał Luwr. - Sięgnęła ręką w dół. - W Luwrze znajduje się dzieło namalowane przez kogoś z rodziny Goodnightów.

Znalazła jego twardego członek i pieściła go. Czyniła to, dopóki Davy nie chwycił jej za rękę.

- Przestań - powiedział bez tchu - albo wszystko się skończy, zanim ci opowiem o mojej kartotece policyjnej.

- To ona jest taka długa?

Pocałowała go, pieszcząc językiem jego usta i język.

- Nie. Twoja ręka jest taka gorąca. - Wsunął dłoń między jej uda. - Pamiętam to miejsce. Byłem tu kiedyś.

- Ale wtedy było inaczej. - Matylda zadrżała pod jego dotknięciem. - Już - wyszeptwała. - Już...

Wsunął do jej wnętrza palec, a ona krzyknęła.

- Mój pradziadek wyłudził od Vanderbilta linię kolejową - opowiadał jej prosto do ucha. - Jezu Chryste, Matyldo.

- Wiem, wiem. - Zamknęła oczy, przygryzła wargę i poddała się jego pieścizotom. - Posłuchaj. - Wstrzymała oddech i kołysała się wraz z rytmem jego dłoni. - Posłuchaj. Posłuchaj. Moja rodzina... to fałszerze... od... ooch, już, weź mnie.

Wygięła się w łuk, a on wsunął się do jej wnętrza. Krzycząc, zacisnęła się wokół niego. Ugryzła go w ramię, gdy on, kołysząc się, wnikał coraz głębiej. Ogarnął ją żar, drżała, dostosowując się do jego rytmu.

- Boże. Jak dobrze. Jeszcze. Jeszcze. Poruszała się wraz z nim, czując rosnący napór.

- Jestem fałszerką - szepnęła, a on przyciągnął ją mocniej do siebie i pulsującym ruchem wnikał jeszcze głębiej. - Moja rodzina... jest nieuczciwa... od czterech wieków. - Ugryzł ją w szyję, a ona zadrżała pod jego ciałem.

- Byliśmy nieuczciwi... od zawsze.

Uniósł się nad nią, prac jeszcze mocniej, aż zabrakło jej tchu, a potem z uśmiechem powiedział:

- Matyldo. Moja babka była Cyganką. Kradliśmy gwoździe z drzewa Krzyża Świętego. Przelicytuj mnie teraz.

Przewróciła się wraz z nim, tak że on leżał teraz na wznak, a ona siedząc okrakiem, czuła go głęboko w sobie.

- Ja namalowałam obrazy Scarlet. - Kołysała się wraz z nim aż do granicy przytomności. - Moja matka namalowała obrazy Homera. Moja babka Cassatta. Moja prababka...

- Chwała Bogu, że was było tak dużo. - Davy chwycił ją mocniej.

- Moja prababka... - Gdzieś tam głęboko w jej wnętrzu wszystko było napięte do ostateczności. Przerwała, smakując to napięcie. Zaraz zacznie krzyczeć! Och, teraz będzie tak dobrze - pomyślała i spojrzała na Davy'ego, który silny i gorący leżał pod nią, nie mając zamiaru przerywać.

- Tylko mi nie mów, że ona była uczciwa - powiedział Davy, ciężko dysząc - bo miałem nadzieję, że to potrwa całe stulecia.

Matylda pochyliła się powolnym ruchem, czując, jak krew gęstnieje jej w żyłach, i pocałowała go mocno i długo.

- Moja prababka Matylda - szepnęła, zaczynając się znowu poruszać - sprzedała fałszywego van Gogha... Mussoliniemu.

- To się jej chwali - wyszeptał Davy, obserwując ją.

- Ta podrobka była niedobra. - Znowu ogarnęło ją podniecenie.

Wygiął się pod nią, a ona aż się zachłysnęła, czując go głęboko w sobie.

- Była wprost okropna. - Wciągnęła powietrze, skóra jej zwilgotniała, gdy tak, czekając, nie odwracała wzroku od jego twarzy. - Każdy widział, że to podrobka. - Dobrze, pomyślała, gdy on się poruszył, jak dobrze. - On musiał być nienormalny.

Davy uniósł głowę, szukając jej ust.

- Czy ona była podobna do ciebie? - wyszeptał.

- Tak - potwierdziła, przymykając oczy. - Dobrze. Jak dobrze. Objął ją ramionami, a ona krzyknęła.

- Czy sprzedając mu go, była naga?

- Tak - odrzekła Matylda, zachłystując się żarem. - Tak.

- Ja też bym go kupił - rzekł Davy.

I pchnął, a ona wbiła paznokcie w jego ciało, gryząc go równocześnie w ramię, próbując go pożreć, wziąć w siebie, wchłonać go po wielokroć, raz za razem.

Gdy powróciła jej zdolność myślenia, uświadomiła sobie, że on, leżąc na niej, dygocze, że także miał orgazm, że dygoczą razem i że oboje nie pragną niczego prócz siebie nawzajem.

- Chryste Panie - powiedział w końcu Davy, próbując złapać oddech.

- Chcę jeszcze - Matylda także łapczywie chwytala powietrze.

- Tak. Ja też. Może w przyszłym tygodniu. - Dotknął ustami jej szyi.

- Było tak dobrze. - Matylda przeciągnęła się pod nim. - O Boże, naprawdę, naprawdę wspaniale.

- Czy wspomniałem, jak bardzo jestem rad, że poznałem twoją rodzinę? - zapytał Davy. - Boże drogi, mam nadzieję, że liczy ona tysiące członków. - Pocałował ją mocno. - Jesteś cudowna, Scarlet.

- A nie okropna? - upewniła się.

- Światowa klasa. - Opuścił głowę na jej ramię. - Sądzę, że zostawiłaś ślady.

Matylda przytuliła go mocniej, jej oddech stał się wolniejszy.

- Sądzę, że ty też.

- Jeżeli tak, to tam wrócę. Cholera, jesteś dobra.

- Och, przestań. - Poruszyła się tak, że on stoczył się z niej, a potem przylgnęła do niego. - Mówisz tak, jakbyś nigdy dotąd się nie kochał.

Polizała wnętrze jego ucha, tak zafascynowana jego ciałem, że miała ochotę zacząć wszystko od początku.

- W ten sposób nie kochałem się nigdy. Było w tym prawdziwe szaleństwo, Scarlet. Zwykle podczas seksu nie obawiam się o własne życie, ale tym razem...

- Och. - Matylda uśmiechnęła się, wyczerpana, ale radosna.

- Dziękuję. To, co mówisz, jest takie urocze. Davy roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Może powinniśmy działać wolniej. Było tyle rzeczy, które moglibyśmy jeszcze zrobić...

- Naprawdę? - Matylda ożywiła się na samą myśl. Po raz pierwszy nieznane wydawało jej się interesujące, a nie niebezpieczne.

- Na przykład co? Nagle pozbyłam się uprzedzeń. - Gdy Davy milczał, oparła się na łokciu i zobaczyła, że marszczy brwi. - O co chodzi?

- Chodziło o to, prawda? - powiedział. - Przez cały czas bałaś się, że ja to odkryję. - Wskazał szerokim gestem całą suterene. - Że dowiem się o tym wszystkim.

- Tak - potwierdziła Matylda. - Boże, co za ulga. Ale nie możesz o tym nikomu powiedzieć. Nawet Simonowi. Obiecuj.

- Obiecuję. Ale dlaczego?

Matylda pomyślała o obrazach Scarlet i o wstydzie, jaki by przeżywała, gdyby wszystko się wydało. Jej radość prysła. Davy przytulił ją do siebie.

- Już dobrze, zapomnij o tym pytaniu. I na miły Bóg, nie miej takiej miny.

Pocałował ją mocno, a ona poprosiła:

- Po prostu nikomu nie mów.

- Nigdy - obiecał i znowu ją pocałował.

A potem jeszcze raz i jeszcze, dopóki się nie odprężyła.

- W porządku. Już mi przeszło. Już dobrze.

- Jest lepiej niż dobrze. Ty...

- Co? - zapytała i zorientowała się, że on patrzy na obrazy Scarlet stojące pod ścianą. - Co takiego?

- One są tobą. - Nie wypuszczał jej z objęć. - Cały ten kolor i światło, i gniew, i seks - to ty.

Spojrzała na obrazy, starając się patrzeć jego wzrokiem, bez poczucia winy i udręki. I obrazy okazały się piękne, pełne śmiechu, namiętne, radosne.

- Boże, jaka ty jesteś piękna - zachwycił się Davy, wciąż patrząc na obrazy.

- O! - Matylda poczuła, że coś w jej wnętrzu pęka. A on uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

- Scarlet - powiedział, rozkoszując się jej imieniem, i pochylił się nad nią. - Matylda Scarlet Goodnight. Jej dzieło.

Pocałował ją delikatnie.

Kocham cię - pomyślała i odwzajemniła pocałunek, naga i wyzbyta wstydu.

Rozdział siedemnasty

Na drugi dzień rano Matylda zastała w biurze Ewę jedzącą słodkie bułeczki.

- Boże drogi - zdumiała się Ewa, widząc jej promienny uśmiech.

- Co ci się stało?

- Mnie? - Matylda spróbowała stonować trochę swoją radość.

- Davy odzyskał ostatni obraz Scarlet. Jestem wolna.

- I co zrobił potem? - zapytała Ewa.

Matylda wyjęła z lodówki sok i nalała go sobie do szklanki.

- O, rozmawialiśmy trochę. Davy domyślił się, że to ja jestem Scarlet.

- Coś podobnego. - Uśmiech zniknął z twarzy Ewy. - No i co, był wściekły?

- Nie zauważyłam - odrzekła Matylda. - Ale to go podnieciło.

- Wszystko, co jest związane z tobą, podnieca Davy'ego. To żadna nowina.

Matylda, zaskoczona, zachłysnęła się sokiem.

- Podnieca go? Żartujesz.

- Ależ tak. On świata poza tobą nie widzi. I nie wie, jak sobie z tym poradzić.

- No cóż, dziś w nocy znalazł sposób - uśmiechnęła się mimo woli Matylda.

- Naprawdę? No i co? Było dobrze?

- Świetnie! - Matylda zajrzała przez drzwi do wnętrza galerii. Było tam wciąż pełno jej mebli, było też tak czysto i jasno, że pomyślała sobie: Uwielbiam to miejsce. Dziękuję ci, Davy.

- Więc Davy nie był wściekły - zastanawiała się głośno Ewa. Matylda odstawiła szklankę.

- Powiedz Simonowi, że jesteś Luizą.

- Nie.

Ewa wstała i chcąc ukryć wyraz twarzy, podeszła ze szklanką do zlewu.

- Ja też byłam tym podniecona - wyznała Matylda. - A poza tym nie musiałam się już bać, bo on wiedział przecież wszystko.

- A ja na odwrót: zaczęłabym się bać, gdyby Simon wiedział wszystko - stwierdziła Ewa.

- Wcale by tak nie było - zapewniła ja Matylda. - Bo człowiek w takiej chwili staje się wolny. To znaczy w chwili, gdy znajduje kogoś, komu może powiedzieć wszystko i kto go rozumie.

Ewa pokręciła głową.

- Wydaje mi się, że przesadzasz.

- Ani trochę! - rzekła Matylda. - Ja sędzę...

- Że to jest właśnie to? - Ewa wzniosła oczy do nieba. - Znasz tego faceta zaledwie od dwóch tygodni i uważasz, że to właśnie ten? Ten jeden jedyny?

- Tak do końca tego nie wiem. - Matyldę nieco zaskoczył sceptycyzm Ewy. - Nie wiem, czy to prawdziwa miłość. No, taka na zawsze, do końca życia. Davy zdecydowanie nie jest księciem z bajki. Ale ja mu ufam. I znam go.

- Wcale go nie znasz. - Ewa znowu odwróciła głowę. - Człowiek nie zna drugiego człowieka. Ty się po prostu tego i owego domyślasz.

- W porządku. - Matylda była bardziej zmartwiona niż obrażona. - Przyjdiesz dziś wieczorem do galerii?

- Simon spodziewa się chyba Luizy. - Ewa sprawiała wrażenie trochę zmęczonej. - Obiecała mu, że skończy pracę wcześniej, bo chce zdążyć na końcówkę tej imprezy.

- To do niej niepodobne.

- Ja chcę zdążyć na końcówkę tej imprezy - uściśliła Ewa.

- No to daj Luizie wolny wieczór. Przyjdź w swojej obecnej postaci. Ewa pokręciła głowę.

- Ona ma bardzo ładną sukienkę. - Wyprostowała plecy. - Ta sukienka byłaby też dobra dla ciebie.

- Akurat. Ja bym się przecież nie wcisnęła w ciuch Luizy. W twoje wciskam się tylko dlatego, że kupujesz sobie wszystko o dwa numery za duże.

- Ta jest luźna - kusila Ewa. - I drapowana.

- Drapowana?

- No i bez pleców.

Matylda przypomniała sobie Cleę Lewis.

- Jaki ma kolor?

- Granatowy. Jak niebo na obrazach Scarlet.

- Wchodzę w to - zdecydowała Matylda i ruszyła za Ewą na górę. W drzwiach spotkały Gwennie. Była bardzo blada, a w ręce trzymała torbę z dokumentami bankowymi.

- Co się stało? - zapytała Matylda.

- Hipoteka. - Gwen położyła torbę na biurku i usiadła na kanapie. - Próbowałam zapłacić pieniędzmi zarobionymi wczoraj, ale mi na to nie pozwolili.

- Dlaczego? Przecież spłacamy raty, więc nic nie mogło się stać.

- Dlatego że hipoteka została spłacona. - Gwen była śmiertelnie blada.

- Spłacona? - powtórzyła Matylda.

- Naprawdę? - zapytała Ewa z ostrożnym zachwytem. - Naprawdę? Więc ta spłata już nad nami nie wisi?

Gwen, patrząc na nią, pokręciła głowę.

- Kto to zrobił? - zapytała Matylda.

- Mason - odrzekła Gwen. - To musiał być on. Jest naszym jedynym znajomym, który posiada sześćset tysięcy dolarów. To musiał być on. I sądzę, że on chce się ze mną ożenić.

- Och. - Ewa usiadła obok niej na kanapie. - Po prostu zwrócimy pieniądze. Chyba że go lubisz.

- Jest miły - stwierdziła Gwen.

- Miły. - Matylda także usiadła na kanapie. - Posłuchaj, Gwennie, nie wychodzi się za mąż dlatego, że ktoś jest miły. Ani dlatego że posiada sześćset tysięcy dolarów. Nie zrobisz tego przecież, żeby nas wyciągnąć z kłopotów finansowych. Możemy zwrócić pieniądze. Wyjdziemy z długów za...

- Czterdzieści lat - dokończyła Gwen. - Ale ja nie dlatego myślę o tym małżeństwie. Mason jest uroczy.

- Uroczy, to już lepiej - powiedziała Matyllda tonem powątpiewania. - Gdy ja będę chciała się ustatkować, poszukam słodkiej bułeczki.

Tu przyszedł jej na myśl Davy. No cóż, gdyby poszerzyć trochę definicję słodkiej bułeczki, to może i on by...

- Mason jest właśnie słodką bułeczką - stwierdziła Gwen.

- Ale może nie tą, co trzeba. - Matyllda wzięła matkę za rękę.

- Jest jak dla ciebie trochę za bardzo... beznamiętny.

- Bułeczki są beznamiętne. Gdy są namiętne, stają się pączkami bez dziurek.

- No cóż, wypróbuj go najpierw - doradziła Ewa. - Bo nawet za sześćset tysięcy dolarów człowiek nie powinien nudzić się w łóżku.

- Słusznie. - Matyllda spojrzała na siostrę z niedowierzaniem.

- Doskonała rada, Luizo.

- Będzie nam dobrze razem - rzekła Gwen, wstając. - Ale jak ja go mam zapytać, czy to on spłacił hipotekę?

- On sam ci to powie - zapewniła Ewa, wciąż będąc Luizą. - Faceci uwielbiają mówić takie rzeczy.

Na górze Davy zapytał Simona:

- Co byś sobie pomyślał, gdybym spłacił hipotekę tego domu. Tylko nie mów o tym Matyldzie - dodał pośpiesznie.

- Pomyślałbym, że zwariowałeś - odrzekł Simon. - Dlaczego miałbym powiedzieć o tym Matyldzie?

- Powiedziałeś przecież Luizie, że pracujesz dla FBI.

- Bo wydawało mi się, że tak będzie dobrze - tłumaczył się Simon. - Ale ty o tej hipotece nie mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. Powiedziałeś Luizie, że pracujesz dla FBI, ale nie poinformowałeś jej chyba, że jesteś złodziejem?

- Och, na Boga, nie. - Simon usiadł na brzegu stołu. - A co do tej hipoteki, to chyba jesteśmy tutaj już wystarczająco długo. Co powiesz na powrót do Miami?

Davy miał ochotę dać mu w łeb.

- To, że jesteś złodziejem, podziałałoby na Luizę bardziej podniecająco niż świadomość, że pracujesz dla FBI.

- Ona by o tym powiedziała Ewie - oznajmił Simon. - Jesteśmy tu już dwa tygodnie. Czas wracać do domu.

- O FBI też jej powiedziała - zauważył Davy. - A Ewa poinformowała Matyldę. Która powiedziała o tym mnie, a ja się wtedy zorientowałem, dlaczego mnie unika. Myślała, że jestem agentem. Zrujnowałeś moje życie seksualne, kolego.

Simon wstał i wyciągnął spod łóżka walizkę.

- Nie rozumiem, w jaki sposób - powiedział.

- Uważam, że moją dziewczynę mogę okłamywać tylko ja sam.

- Twoją dziewczynę? - Simon pokręcił głową. - Stanowczo musimy wracać do Miami.

- I zostawimy Luizę?

- Ja jestem gotowy do powrotu. Ty odzyskałeś swoje pieniądze...

- Nie mów o tym nikomu - rozkazał Davy.

- A to ciekawe. Moim zdaniem to podnieciłoby Matyldę znacznie bardziej niż wieści o FBI.

- Nie znasz Matyldy. Mówię poważnie. Nikt nie ma prawa o tym wiedzieć.

- W Miami znacznie łatwiej dojść z tobą do ładu - skrzywił się Simon. - Ohio sprawia, że stajesz się jakiś taki spięty.

- To nieprawda - zaprzeczył Davy, przypominając sobie, co robił z Matyldą. - Czy spotkałeś w życiu kobietę, której chciałbyś oddać wszystko? Po prostu wszystko, co masz?

- Nie - odrzekł stanowczo Simon. - Jestem przecież przy zdrowych zmysłach.

- Ja też jak dotąd nie. Clea była największą miłością mojego życia, ale nigdy nie miałem najmniejszej ochoty kupić jej brylantu.

- To bardzo rozsądnie z twojej strony.

Davy usiadł na brzegu łóżka.

- Wczoraj wieczorem jednak patrzyłem na pieniądze, które mam na koncie, i nagle poczułem nieodpartą potrzebę spłacenia hipoteki Matyldy.

- A zatem powinniśmy natychmiast wyjechać. - Simon otworzył walizkę. - Bawiliśmy się tu świetnie, ale czas się pożegnać.

- To zaledwie sześćset tysięcy. - Davy spojrział w sufit. - A potem... - Popatrzył na Simona. - Czy widziałeś kiedyś, jak jakaś okularnica śpiewa *I Can't Stay Mad at You*? To głupia piosenka, ale Matylda robi z niej arcydzieło.

- Natomiast ja zrobię rezerwację. - Simon podniósł słuchawkę telefonu. - Czy chciałbyś, żebym przechowywał twoją książeczkę czekową?

- Nie. Słuchaj, ja mogę sobie na to pozwolić. Okazałbym w ten sposób hojność. Nie zapłaciłem jeszcze za noclegi.

- Nigdy nie dawaj pieniędzy kobietom - Simon wygłosił tę sentencję, wybierając numer - bo one albo źle na to reagują, albo przyjmują ofiarowaną sumę, po czym żądają więcej. A ty, tak czy tak masz przechlapane.

- Mógłbym jej powiedzieć, że to inwestycja.

- W podupadającą galerię, którą nawet ona nie ma ochoty zajmować? Nie rób tego - ostrzegł Simon, po czym zaczął mówić do słuchawki: - Witam, kotku, to ja, pani ulubiony klient. Kiedy najwcześniej może nas pani zabukować na lot do Miami? Nas - znaczy Davy'ego i mnie. Chcemy lecieć z Columbus.

- Ja w niedzielę muszę odwiedzić siostrę - oznajmił Davy.

- W niedzielę wieczorem - powiedział Simon do telefonu.

- Wiesz, ktoś inteligentny mógłby tę galerię przywrócić do życia - mówił Davy. - Zainwestować trochę, trochę wszystko rozkręcić...

- Wykluczone - zaprotestował Simon, a potem zwrócił się do słuchawki: - To nie było do pani, kochanie. Wspaniale. Dwa bilety w jedną stronę.

- Słuchaj, Simon, ja już to zrobiłem - przyznał się Davy, a Simon odłożył słuchawkę.

- Sandy załatwiła nam lot w niedzielę o dziesiątej - powiedział z werwą. - Dzięki temu ty zdążysz zobaczyć się z Sophie, a ja pożegnać z Luizą. A właściwie dlaczego nie miałbyś pojechać do Sophie już w tej chwili? I spędzić z nią weekendu?

- Nie mogę, bo dziś wieczorem jest impreza w galerii - odrzekł Davy. - Słyszałeś, co mówiłem: wczoraj wieczorem przelałem pieniądze na konto rodziny Goodnightów. To się już stało.

Simon założył ręce na piersi.

- Naprawdę? A co na to Matylda?

- Nie powiedziałem jej. Trudno mi będzie to wyjaśnić. Simon pokiwał głową.

- Bo kobiety, otrzymując dużą sumę, spodziewają się z reguły, że ofiarodawca pobędzie z nimi przez jakiś czas.

- No tak. - Davy wstał. - I tak naprawdę, to ja myślę o tym, żeby z nią pobyc.

- Ty myślisz, ale nie o tym. - Cierpliwość Simona była zaiste anielska. - Ty myślisz o seksie.

- Lepiej już wyjdź. - Davy miał ochotę trzepnąć Simona, który i właściwie miał rację. - Jest piątek. Muszę zadzwonić do siostry.

- Lepiej do niej pojedź. I to natychmiast - poradził Simon, ale wyszedł, gdy Davy zaczął wystukiwać numer na komórce.

- Rezydencja Tuckerów - odezwał się Phin, a Davy pomyślał: O, do diabła, że też musiałem na ciebie trafić.

- Cześć, stary. To ja. Jest Sophie?

- Nie - odrzekł Phin. - Jest na zebraniu rady. Wróci wściekła, więc raczej zadzwoń jutro.

- Dobra. Ale jeżeli to mi się nie uda, nie mów jej, że w ogóle dzwoniłem.

- Masz kłopoty?

- Dempseyowie nigdy nie miewają kłopotów - powiedział ze swadą Davy. - My po prostu przeżywamy takie bardziej interesujące okresy.

- A do jakiego stopnia interesujący jest okres, który przeżywasz teraz?

Davy przypomniał sobie, jak Matylda wyśpiewuje, zdejmując stanik.

- Bardzo interesujący.

- Jest aż tak źle? - Phin był spokojny jak zawsze. - Wszedłeś w konflikt z prawem czy ktoś cię próbuje zamordować?

- Nic z tych rzeczy. Jestem czysty jak łąa i wszyscy mnie kochają. - Oczyma wyobraźni zobaczył twarz Clei, nie mówiąc już o obliczu Forda. - No cóż, prawie wszyscy. - No i był jeszcze Michael. - Czy Sophie opowiadała ci kiedyś o naszym tacie?

- Tak - przyznał Phin, a po chwili go olśniło. - Och nie, tylko nie to! - zawołał.

- Niestety, właśnie to - pognębił go Davy. - Ja jednak spróbuję się tym zająć. On nie wie, gdzie mieszkanie, ale w końcu się dowie. A wtedy zabierze się za fundusze edukacyjne dzieci, zacznie sprzedawać ziemię na Florydzie i oskubie Sophie ze wszystkich pieniędzy.

- Dzieci nie mają funduszy edukacyjnych. A reszta, jeżeli się zdarzy, będzie katastrofą.

- Mam nadzieję, że on się zmęczy i gdzieś wyjedzie. Jeżeli jednak pojawi się u was, zamknij drzwi na klucz. I nie mów o jego przybyciu Sophie, bo ona może się poczuć w obowiązku zaprosić go do środka.

- Dobra - obiecał Phin.

- Aha, a dzieci mają już fundusze edukacyjne. Mówię ci o tym bo i tak się dowiecie.

Rozłączył się i pomyślał, że znalazłszy się w miasteczku Temptation, okantuje chyba kogoś - tak po prostu z nudów. A potem wzdrygnął się na myśl o tym, co tam zrobi ojciec.

Oraz o tym, że w tym spokojnym miasteczku nie ma Scarlet.

- Okropne miejsce - powiedział sobie i poszedł sprawdzić, co robi Matylda.

Wieczorem, kiedy Matylda zeszła na dół, zastała Davy'ego lustrującego galerię. Davy czynił to ze zmarszczonymi brwiami.

- O co chodzi? - zapytała.

- Nie wiem, czy przypadkiem ta liczba mebli nie jest za duża. Nie znam się do tego stopnia na prowadzeniu galerii... - Urwał, wpatrując się w Matyldę. - Ooo - wyrwało mu się.

Matylda wygładziła spódnicę, starając się ukryć uśmiech.

- To jest właściwe słowo, dziękuję - powiedziała i obróciła się, prezentując suknię w całej jej okazałości. - Podoba ci się?

Davy milczał.

- Davy! - upomniała go.

Davy kiwnął głową.

- Czy jest zbyt elegancka?

Pokręcił głową.

- Powiedz coś.

- Czy mógłbym się z tobą spotkać na górze? - powiedział w końcu. Uśmiechnęła się, podeszła do niego i wtuliła się w jego ramiona.

- Jesteś piękna, Scarlet - szepnął jej do ucha, a ona, zamiast udawać zdziwioną i skromną, powiedziała:

- Tak, wiem.

Davy roześmiał się i pocałował ją w czubek głowy, ale zaraz puścił, bo do biura weszła Gwen i zaczęła się zachwycać suknią. Po chwili to samo uczyniła Luiza udająca się właśnie do klubu, a Ethan stwierdził:

- To nic jest suknia, to jest po prostu film z Audrey Hepburn.

Nadine trzepnęła go po głowie, zanim zdążył wyjaśnić, że to cytat z filmu. Nawet Steve patrzył na Matyldę z szacunkiem, choć mogło to być złudzenie spowodowane tym, że znowu miał na sobie brokatową kamizelkę.

- Nasz piesek był w „Dispatch” - oznajmiła Nadine, pokazując Matyldzie zdjęcie, na którym Steve w muszce wyglądał na intelektualistę i przypominał Woody'ego Allena. - Co ty na to?

- Uważam, że jest zadziwiający - powiedziała Matylda, patrząc na Davy'ego.

Gdy do galerii zaczęli się schodzić ludzie, Davy okazał się znacznie bardziej zadziwiający od Steve'a. Rozdawał uśmiechy, śmiał się i sprawiał, że kolejni klienci dokonywali zakupów. Poznawał po wyrazie ich twarzy, co ich interesuje, i nakłaniał do podejmowania właściwych decyzji.

- Ten facet to prawdziwy as - skomentował jego działalność Jeff gdzieś w połowie wieczoru.

- Ty go jeszcze nie znasz - odrzekła Matylda, także cała w uśmiechach. Od tych uśmiechów rozboleły ją już mięśnie policzków, tymczasem Davy był wciąż odprężony i swobodny.

- I nie tylko on - dodał Jeff. - Jego ojciec sprzedał kolejne obrazy Dorcas Finster.

- Żartujesz. Gdzie on jest? - Matylda rozejrzała się po sali.

- O tam. - Jeff wskazał głową w lewo. - On chyba swoją klientelę odurza narkotykami.

- On ludzi po prostu kantuje. - Matylda zmrużyła oczy. - Nie widzę dobrze, bo nie mam okularów. Ale on ich nie przypiera do muru, prawda?

- Nie - uśmiechnął się Jeff. - Cała jego klientela to kobiety. Czy to nie charakterystyczne?

Matylda popatrzyła znowu na Davy'ego, który - ubrany w koszulę i krawat Simona - wyglądał bardzo pociągająco.

- Nie. Jestem pewna, że to nie ma żadnego znaczenia.

Podeszła do Davy'ego, a gdy ten sprzedał kolejny mebel, powiedziała:

- Jesteś moim bożyszczem.

- Dlaczego? - zapytał z nagłą czujnością. Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Odzyskałeś wszystkie obrazy Scarlet, a teraz pozbywasz się wszystkich tych mebli.

- O - odetchnął z ulgą. - Posłuchaj, te rzeczy sprzedają się same. Na dole już prawie nic nie zostało. Wraz z Ethanem załadowałem do twojej furgonetki nawet łóżko. Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebym w niedzielę zawiózł je do Temptation?

- Pod warunkiem, że wrócisz - odrzekła, starając się nie ścisnąć go mocniej za ramię.

- Na pewno - obiecał Davy, patrząc ponad jej głowę. - Muszę iść. Tam jest kobieta, która próbuje kupić krzesło z fioletowymi nietoperzami.

- A co ją od tego powstrzymuje? - zapytała Matylda. - Nie widzę szczegółów, bo nie mam okularów.

- To, że obsługuje ją Mason - powiedział Davy ponuro. - Z pewnością mówi jej, że krzesło z czasem zyska na wartości, co zwiększy jej dochód po przejściu na emeryturę. Patrz, stoi z założonymi rękami i uśmiecha się, bo uważa, że już ją ma.

- On robi to samo przy pokerze. - Matylda zmrużyła oczy. - Kiedy sądzi, że ma dobre karty. Nietoperze mają zwiększyć jej dochód po przejściu na emeryturę?

- Ja też nie widzę w tym żadnej logiki.

Davy pocałował ją w policzek i ruszył w stronę Masona.

- Zaraz - zatrzymała go Matylda. Davy zawrócił.

- Chyba nie zaczynasz być mną zmęczony, co, Ralphie? - zapytała, starając się mówić lekkim tonem. - Zostawiasz mnie dla fioletowych nietoperzy i dla miasteczka Temptation? Czyżbyśmy już weszli w koleiny?

- My nigdy nie wejdziemy w żadne koleiny, Celeste - odrzekł. - Bo jesteśmy ludźmi pomysłowymi. Kiedy sobie spowszedniejemy, zacniemy improwizować.

Matylda przysunęła się do niego bliżej, stęskniona za jego ciepłem.

- W jaki sposób? Pochylił się do jej ucha.

- Pokażę ci przed wyjazdem. Ty będziesz wtedy swoją babcią, a ja Mussolinim. - Wyprostował się i spojrział ponad jej ramieniem na Masona. - O, do diabła - zaklął i ruszył w jego kierunku, nie oglądając się za siebie.

- Przed wyjazdem? - powtórzyła Matylda.

Czy to oznacza przed wyjazdem do Temptation, czy przed wyjazdem na zawsze, do Australii? - pomyślała i zajęła się klientem, który chciał zapytać o biblioteczkę pomalowaną w lawendowe żaby.

Davy'emu przez cały wieczór szło świetnie, mimo że Michael co jakieś pół godziny podchodził do niego i mówił:

- Cholera, co za żyła złota.

Luiza przed wyjściem do pracy powiedziała z uznaniem:

- Zaimponowaliście mi, panowie Dempseyowie.

Miała na sobie czarną obcisłą sukienkę, a on - mimo że wiedział, że to Ewa w czarnej peruce i szklach kontaktowych - myślał o niej jako o Luizie, bo Ewa nigdy by się tak nie ubrała.

- Twój ojciec - oznajmiła - sprzedaje obrazy Dorcas prawie tak szybko jak ty dzieła Matyldy Weroniki.

- Nie mów nic więcej - poprosił ją Davy, czując, na co się zanoszą.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni - dokończyła jednak Luiza i oddaliła się.

Kilka minut później do Davy'ego znowu podszedł Michael.

- Dlaczego Ewa ubrała się jak Elvira Królowa Nocy?

- Co takiego?

- I mówi, że jest Luizą. To taki kant, tak?

- Do diabła! - Davy był pełen podziwu. - Mnie rozszyfrowanie tej zagadki zajęło dwa tygodnie.

- Byłeś rozproszony - rzekł ze współczuciem Michael. - Tak na mężczyznę działa seks.

- Więc ty nie sypiasz z Dorcas? - zdziwił się Davy.

- Dżentelmen nigdy nie mówi o takich sprawach - odrzekł Michael.

- A więc z nią sypiasz. I sprzedajesz jej obrazy. Rozumiem.

- To są dzieła sztuki - powiedział Michael z taką powagą, że uwierzyłyby w to każdy prócz Davy'ego.

- No cóż, ona chyba docenia twoje wysiłki. Dotychczas nikomu nie udało się sprzedać żadnego z jej obrazów.

Michael położył sobie rękę na sercu.

- Dzięki za komplement, mój chłopcze. Jestem wzruszony. Davy machnął ręką.

- Musiałem ci oddać sprawiedliwość. Jesteś w tym świetny.

- To prawda. - Michael uśmiechnął się do Dorcas, która w szarej krepie wyglądała blado, ale prześlicznie, po czym wrócił do sprzedawania jej obrazów.

Davy obserwował przez chwilę, jak najnowsza ofiara Michaela rozkwita pod wpływem jego uśmiechów. To nie jest w porządku - pomyślał. Kobieta, którą obsługiwał Michael, była jednak tak uszczęśliwiona, że przeczyło to temu twierdzeniu.

Może kiedy obudzi się rano i zobaczy, że kupiła akwarelę przedstawiającą rybaków-sadystów... może wtedy potwierdzi się moja opinia - pomyślał Davy. Chociaż, gdy przypomni sobie, jak wspaniale się czuła, kupując ten obraz... Może będzie nadal uszczęśliwiona?

Chyba za dużo rezonuję - powiedział sobie i zabrał się do sprzedawania kredensu w zielono-błękitne słońce.

Dziesięć minut później kredens był sprzedany, a on, czując, że mu czegoś brakuje, poszedł poszukać Matyldy. Znalazł ją za kontuarem. Rozmawiała właśnie z wysokim, przystojnym facetem w drogim garniturze. Wyglądała na uszczęśliwioną.

Nie jestem zazdrosny - nakazał sobie Davy i zatrzymał przechodzącego właśnie Andrew.

- Już się prawie spóźniłem - wykręcał się Andrew. - Mów szybko.

- Kto to jest ten w garniturze? - zapytał Davy, kiwając głową w stronę kontuaru.

- To Scott - odrzekł Andrew. - Dawny chłopak.

- O. - Davy popatrzył na roześmianą Matyldę i poczuł, że zaciskają mu się zęby.

- On jest prawnikiem - dodał Andrew. - Bardzo dobrze mu się powodzi. Traktował ją jak boginię. Tworzyli wspaniałą parę.

- Wcale nie. - Davy patrzył na Matyldę, która położyła dłoń na ramieniu garniturowca. - On nie jest stworzony dla niej.

- Aha - przytaknął Andrew, odwrócił się i omal nie wpadł na Michaela.

- Kto to jest ten idiota, który rozmawia z Gwennie? - zwrócił się do niego ojciec Davy'ego. - Był tu także wczoraj. Zupełnie nie umie sprzedawać.

- To Mason Phipps - poinformował Andrew. - Traktuje Gwennie jak boginię. Tworzą wspaniałą parę.

- Wcale nie - zaprzeczył Michael. - On nie jest stworzony dla niej.

- Czy ty wkrótce wyjeżdżasz? - zapytał Davy ojca. - Bo jeżeli nie, to ja się upiję.

- Upijesz się? Teraz, kiedy Matylda ma na sobie taką suknię? Tak się nie traktuje kobiety, mój synu. Nic dziwnego, że ona flirtuje z kimś innym.

Co rzekłszy, Michael poszedł emablować Gwennie i denerwować Masona.

- Nie chcę usłyszeć, że niedaleko pada jabłko od jabłoni - zwrócił się Davy do Andrew, nie spuszczać oka z Matyldy.

- On ma wiele zalet - stwierdził łagodnym tonem Andrew.

- Ale i wad - powiedział ponuro Davy.

- To nie jest mężczyzna dla niej.

- Kto? Tato dla Gwennie? Ależ oczywiście że nie. Podobnie zresztą jak Mason. Ona rysuje zęby na paragonach, a to nie jest dobry znak.

- Rzeczywiście - przyznał Andrew. - Ale ja miałem na myśli Scotta i Matyldę. Czy ty zostajesz?

Davy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale milczał, bo nie mu nie przychodziło do głowy.

- Tak właśnie myślałem - powiedział Andrew z obrzydzeniem.

- Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Chwileczkę - zaprotestował Davy, ale Andrew już się oddalił.

- O rany, jak to się stało, że znowu zostałem złoczyńcą i krzywdzicielem?

W tejże chwili Matylda oderwała wzrok od Scotta, a Davy pochwycił jej spojrzenie. Założył ręce na piersi i uniósł brwi. Matylda zmieszała się na chwilę i wskazała palcem Scotta. Davy kiwnął głową. Matylda podniosła dumnie głowę, ale uśmiechnęła się i gdy Davy kiwnął na nią palcem, podeszła do niego. Davy'emu serce zaczęło bić szybciej.

- Przestań flirtować z obcymi mężczyznami, Vilmo. - Przyciągnął ją do siebie.

- Ja nie flirtowałam, a on nie jest obcy - odrzekła i wtuliła się w niego. - Jest uroczy. Nie złości się nawet o to, że mu dałam kosza.

- Dałaś mu kosza?

- Chciał się ze mną ożenić - roześmiała się. - Co ci jest?

- On ci się oświadczył?

- Sześć miesięcy temu. Mówiłam ci o tym.

- O! - Davy'emu zrobiło się głupio. - Słusznie. Przepraszam.

- Ależ Davy, to cudownie, że jesteś zazdrosny.

- Ja nie jestem zazdrosny - oświadczył Davy z godnością. - Jeżeli jednak on się do ciebie zbliży, porachuję mu kości.

- Nie masz się czym martwić, Ralphie. - Pocałowała go w policzek. - On nie potrafi żyć tak intensywnie jak ty. Niewielu mężczyzn to potrafi. - Uśmiechnęła się i jej wzrok padł na Michaela sprzedającego kolejny obraz Dorcas. - Oczywiście ty miałeś wspaniałego nauczyciela. - Uwolniła się z jego ramion, zanim on zdążył zaprzeczyć. - No, trzeba dalej sprzedawać meble. Sprzedaj ten podnózek pomalowany w pancerniki, a później spotka cię coś cudownego.

I tak spotka mnie coś cudownego - pomyślał, gdy się oddaliła. Spojrzał na Michaela. Okej, może coś po nim mam - myślał dalej. - Jego urok. Ten urok to spadek, który chętnie przyjmuję. W drugim końcu galerii jakaś kobieta zainteresowała się podnóżkiem w pancerniki, Davy przerwał więc swoje rozmyślenia i podszedł, żeby go jej sprzedać.

Zdażył jeszcze sprzedać trzy podnóżki, szafę i ławkę ogrodową, gdy do galerii weszła z ulicy Nadine. Była wściekła.

- Ach ten pański ojciec! - wyszczała.

- O co chodzi?

- Wpadł Kyle, a pański ojciec go przepłoszył. Nie zamierzam się spotykać z Kyle'em, ale chciałam mu o tym powiedzieć sama. - Spiorunowała wzrokiem Davy'ego. - Co z wami jest, Dempseyowie?

- No cóż, lubimy chronić nasze kobiety - odrzekł Davy. Nadine rozpogodziła nieco twarz.

- Myślałam, że pan wyjeżdża do Australii.

- Wyjeżdżam - potwierdził.

- Więc ja nie jestem pańską kobietą. - Nadine znów się nachmurzyła. - Jeżeli nie zostaje pan z ciocią Matyldą, to niech się pan odczepi.

- Słusznie. Już się odczepiam. A ty rzuć się w ramiona bezwartościowego osobnika.

- Kobiety z rodziny Goodnightów często to robią - westchnęła i poszła ratować Steve'a, do którego szczebiotała coś właśnie kobieta trzymająca krzesło pomalowane w żyrafy.

- Ja nie jestem bezwartościowy - zawołał za nią Davy, nie patrząc na ojca, który z całą pewnością wkrótce miał opuścić Dorcas.

Najwyraźniej to los sprawił, że trafił tutaj, żeby się przekonać, że naprawdę ma w sobie dużo z Michaela i - uzyskawszy tę świadomość - poczuć, że z jego dotychczasowym życiem wszystko jest nie tak. Powinien był uciekać w chwili, gdy Matylda poprosiła, żeby ukradł dla niej obraz. Uciekać, gdzie pieprz rośnie. Był tego pewien już wtedy, w garderobie. I nie powinien był wynajmować tego mieszkania. Miał co do tego pewność w chwili, gdy zobaczył w oknie ogłoszenie. Nie powinien był...

- Co się z tobą dzieje? - zagadnął Michael, znalazłszy się tuż za jego plecami. - Masz minę żalobnika.

Davy pokręcił głową.

- Powinienem być cię słuchać, kiedy mówiłeś: jeżeli coś jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, to się wycofuj.

- Czasami - oznajmił Michael - lepiej jest zostać i dać się wciągnąć.

Wskazał ruchem głowy Matyldę, która pochylając się nad Steve'em, czarowała właśnie uśmiechem jakiegoś klienta.

- Ona jest świetna - powiedział. - Naprawdę.

Matylda spojrzała na nich z tym swoim niesymetrycznym uśmiechem.

- Święta racja - przyznał Davy.

- Czy masz pewność, że ona nie jest oszustką? To byłoby już zbyt piękne...

- Nie mówmy o tym, tato. - Davy podszedł do Matyldy, by przyjąć za dobrą monetę wszystko, co ona będzie miała do powiedzenia.

Dla Gwen ten wieczór okazał się trochę trudniejszy niż dla Davy'ego. Impreza się udała, to było jasne. Nie przyszły na nią tłumy, ale pojawiło się sporo ludzi - co w znacznym stopniu zawdzięczali artykułowi w „Dispatch”. Ludzie przychodzili, by zobaczyć Steve'a i by zażyć trochę rozrywki. Meble sprzedawały się tak szybko, że Ethan i Simon musieli wciąż schodzić do suterenu po kolejne sztuki. O dziesiątej pojawił się też Ford i zaczął im pomagać, a wkrótce potem przyniósł jej stolik pomalowany w psy i oznajmił:

- To koniec. Teraz będziesz musiała sprzedać meble z mojego pokoju.

- Zaczekamy z tym do twojego wyjazdu na Arubę - odparła.

Ford kiwnął głową, a ona poczuła się rozczarowana. Pojawiła się amatorka stolika, która stwierdziła, że psy mają mordki i łapki takie same jak jej Pete. Gwen nie była pewna, czy ów Pete to pies, czy mąż tej kobiety, ale - cała w uśmiechach - sprzedała jej stolik.

Wkrótce potem podszedł do niej Tomasz i położył jej dłoń na ramieniu.

- Proszę pani?

O, do diabła - pomyślała Gwen - to FBI.

- Tak?

- Sprzątałem biuro - powiedział z fałszywym uśmiechem - i znalazłem tam ciekawy obraz. Przedstawiający las.

- Las? - powtórzyła Gwen i zaklęła w duchu.

Cholera, to obraz Homera. Dlaczego on nie znajdował się w suterenie wraz z obrazami Scarlet?

- To obraz malarza noszącego nazwisko Homer Hodge - mówił dalej Tomasz. - Stanowił część kolekcji Cyryla Lewisa. Tej, która spłonęła wraz z magazynem.

- O! - Gwen usiadła na stołku przy kontuarze.

To wyjaśniało, dlaczego ten obraz znajdował się u Masona, choć ten rozdał swoją kolekcję obrazów Homera. Ale jak on się dostał w jego ręce?

- Czy otrzymała pani ten obraz od Clei Lewis? - zapytał surowo Tomasz.

- Ja nie wiem, o jakim obrazie pan mówi - odrzekła Gwen. - Ten obraz jest w biurze? My nie magazynujemy obrazów w biurze.

- Był wetknięty za biurko - wyjaśnił Tomasz.

- A co pan robił za biurkiem? - zapytała Gwen.

- A co ten obraz robi w pani rękach? - odpowiedział pytaniem na pytanie Tomasz.

- Czy jest jakiś problem? - zagadnął Mason, który stanął właśnie po drugiej stronie kontuaru. - Tomaszu - nasrożył się - proszę nie zawracać pani Goodnight głowy szczegółami dotyczącymi jedzenia. Proszę zająć się swoją pracą.

Podeszła do nich Clea. Minę miała ponurą. Wzięła Masona pod ramię.

- Za każdym razem, gdy cię szukam - powiedziała z wymuszonym uśmiechem - znajduję cię tutaj.

Mason wyzwolił ramię, a Tomasz, z twarzą bladą i posiniaczoną, zakończył:

- Porozmawiam z panią później.

- Później to ja chcę z tobą porozmawiać - zwrócił się do niej Mason, gdy Tomasz odszedł. - W biurze. Sam na sam.

Clea się nachmurzyła, a Gwen odrzekła wesoło:

- Och, dobrze. Z przyjemnością. A teraz proszę cię, odsuń się, bo za tobą stoi pani, która chce kupić podnózek w pancerniki.

Pod koniec wieczoru Gwen nękał potężny ból głowy, który zawdzięczała tyleż Masonowi, który co kwadrans przychodził poklepać ją po ramieniu, co Clei, piorunującej ją co pięć minut wzrokiem, Michaelowi, sprzedającemu obrazy Dorcas przy akompaniamencie oburzających obietnic („Czy ona naprawdę jest następczynią Wyetha?” - zapytała ją szeptem jedna z klientek, a Gwen pomyślała z uśmiechem: Och, Michael, a niech cię) oraz Fordowi, który znudzony wnosił meble do oczekujących na klientów samochodów. Zawsze znajdujesz się w drodze do wyjścia - zwróciła się do niego w myślach, widząc, jak niesie krzesło w tchórzofretki. - Ale to dobrze, bo jesteś pączkiem. Nie mówiąc już o tym, że wykonujesz zawód płatnego mordercy. W drugim końcu sali Luiza, która wróciła wcześniej z klubu, patrzyła na Simona tak, jakby go sobie wymodliła, co było bardzo w stylu Ewy, a znowu w rogu, obok krzesel w motyle, Davy całował Matyldę w policzek, a ona się rumieniła. Oj, niedobrze - zmartwiła się Gwen - bo przecież żaden z tych facetów nie zagrzeje tu miejsca. Dlaczego moje córki tego nie widzą?

Przecież to pączki. Tak sobie myślała, ale około wpół do jedenastej, gdy Tomasz zniknął już z horyzontu, przestała się tym przejmować.

- Czy nie wiesz, gdzie jest Tomasz? - zapytał ją Jeff. - Brakuje nam szklanek. Mason mówi, że widział, jak Tomasz rozmawia z Cleą Lewis, ale teraz zniknęła także i ona.

- Może uprawiają seks w suterenie. - Gwen patrzyła na Matyldę opierającą się o Davy'ego. - To ostatnio popularne zajęcie.

Pokręciła głową. Dość labiedzenia i negatywizmu - nakazała sobie. Rodzina przez cały wieczór spisywała się doskonale, zwłaszcza Nadine była znowu w pełnej formie, a także Matylda, która - pełna wdzięku i sprawna - trzymała wszystko w ryzach.

Prawdziwą rewelacją okazał się jednak Davy.

- Ten Davy - powiedział Andrew pod koniec imprezy - swoją umiejętnością nakłaniania ludzi do kupna przypomina...

- Tony'ego - dokończyła Gwen.

Davy uśmiechał się, a ludzie kiwali głowami. Pochylał się i mówił, a oni rozważali kupno. Cofał się i rozkładał ręce, a oni kupowali. I wszyscy byli zakupem zachwyceni - zarówno klienci, jak i sam Davy.

Davy różnił się jednak bardzo od Tony'ego. Podchodził bowiem do ludzi z absolutną swobodą. A gdy Matylda z kimś rozmawiała - spokojnie i z dużą znajomością rzeczy - on cofał się i uśmiechał do niej, chłonąc każde jej słowo. Tony odsunąłby ją na bok, gdy tymczasem Davy przyprowadzał do niej ludzi. „Musi pani porozmawiać z Matyldą - usłyszała Gwen jego słowa. - Ona wie wszystko”. Kręcił się po sali przez cały wieczór, sprzedając wszystko, co mu się nawinęło pod rękę, ale to Matylda była jego słońcem, ku któremu wciąż się zwracał.

Davy to nie Tony - westchnęła Gwen, czując równocześnie ulgę i smutek. Cóż, kobieta często czuje smutek, myśląc o przeszłości. Przypomniawszy sobie tę niezaprzeczalną prawdę, Gwen przekazała Nadine kasę i oświadczyła:

- Dostyc już chyba na dzisiaj. Zapytaj Matyldę. Jeżeli się zgodzi, to będziemy zamykać.

- Super! - Nadine patrzyła na pieniądze.

- Czy ten chłopak, którego tu widziałam, to był Kyle?

- Tak. Ale pan Michael go przepłoszył - odrzekła Nadine. - Okropni są ci Dempseyowie.

- To mu się chwali - powiedziała Gwen. - Ale nie dopuszczaj go w pobliże szuflady z gotówką.

W biurze Gwen dolewała sobie właśnie wódki do soku ananasowo-pomarańczowego, gdy wszedł Mason.

- Było wspaniale. - Zatarł nerwowo ręce. - Gwen, kochanie, było naprawdę świetnie.

- Wiem. - Wzniosła szklanke w geście toastu.

Mason przez cały wieczór robił wszystko, by utwierdzić ją w przekonaniu, że jest najgorszym sprzedawcą, jakiego w życiu spotkała. Z drugiej strony, ona wcale nie pragnęła kolejnego sprzedawcy, a poza tym Mason spłacił hipotekę i był bułeczką. I znał słowo „występny”, co najwyraźniej stanowiło znak.

- Teraz - powiedział Mason, oglądając się przez ramię - trzeba tylko mieć oko na tego Davy'ego.

- Na Davy'ego? - zdziwiła się Gwen, trzymając szklanke przy ustach.

- On się nie zna na galeryjnej etykietce. Śmiał się i gadał jak jakiś zwykły człowiek. Nie zdaje sobie sprawy, że galeria to bardzo poważna sprawa. Musi stąd odejść.

Jest zazdrosny - pomyślała Gwen.

- Mówię serio - ciągnął Mason, daremnie usiłując przybrać stanowczy ton. - Ten Davy musi stąd odejść.

- O tym zadecyduje raczej on sam wraz z Matyldą - rzekła Gwen. - A gdzie jest Clea?

- Pojechała do domu jakiś czas temu - oznajmił Mason. - Rozmawiała z Tomaszem, a potem stwierdziła, że jedzie do domu i tyle ich oboje widziałem. - Mason odetchnął głęboko. - Nie chciałem ci tego mówić, ale miałem nadzieję, że Davy po prostu wyjedzie.

Oho, zanoszi się na jakąś okropną gadkę.

- Gwen, on jest oszustem - rzekł Mason tonem tak łagodnym, że Gwen nabrała pewności, że nie kłamie i że nie robi tego z czystej chęci zaszkodzenia Davy'emu. To nie było w jego stylu. - Clea znała go jeszcze w Los Angeles. Trudnił się tam sprzedawaniem fikcyjnych działek. Gdy Clea się z nim widziała po raz ostatni, pracował dla jakiegoś producenta pornosów, był jego prawą ręką. To nie jest facet dla Matyldy.

O cholera - pomyślała Gwen. - A dziś wieczorem spisywał się tak doskonale. No, ale oszust musi być w takich rzeczach doskonały. To oczywiste. Biedna Matylda, jest taka szczęśliwa.

- Może on wyjedzie tak sam z siebie - powiedziała do Masona. - Nie mów nic Matyldzie.

- Oczywiście, nic jej nie powiem. Nie wspomniabym o tym wszystkim i tobie, tylko że...

Mason zamilkł, najwyraźniej strapiony, a ona położyła mu uspokajająco dłoń na rękawie.

- Doceniam, że mi o tym powiedziałaś - stwierdziła. - Powinnam o tym wiedzieć.

- Dziękuję ci. - Mason przysunął się do niej. - Naprawdę nie chciałem być zwiastunem takich wieści.

- Jesteś uroczy - pochwaliła go Gwen, a on pocałował ją po raz drugi, co było nawet przyjemne.

Jest taki miły. Nie jest żadnym oszustem ani płatnym mordercą. To dobry człowiek. Czas, żeby wreszcie dojrzała i przestała się zadurzać w kowbojach, którzy są pączkami - pomyślała Gwen.

- Chciałem z tym poczekać - odezwał się Mason - ale... Tu wyjął pudełeczko z pierścionkiem.

- O! - zachłysnęła się Gwen i powtórzyła: - O! - gdy je otworzył i gdy w środku rozbłysnął co najmniej dziesięciokaratowy kamień.

- Posłuchaj, Gwennie, możemy razem poprowadzić galerię. Która oczywiście będzie nadal Galerią Goodnighatów. Wszystko pozostanie tu po staremu. Tylko ja zastąpię ci Tony'ego. Wyjdź za mnie, Gwennie.

Mason wypowiedział te słowa głosem z lekka drżącym, a Gwen zapytała:

- Czy to ty spłaciłeś galerię?

- Słucham?

- Wiem, że to niegrzeczne pytanie, ale ktoś spłacił hipotekę - mówiła Gwen. - I ja jestem pewna, że to ty.

- O - Mason był wyraźnie zaskoczony. - Yyy... no... tak.

A zatem postanowione! Była to dobra oferta i należało ją przyjąć. Bo ona, Gwen, i tak nigdy nie uwolni się od galerii. A Mason jest uroczy - nie pochwalił się wcale tą hipoteką. Matylda będzie wolna. Nadine pójdzie na studia. Gwen pochyliła się i pocałowała swego kandydata na męża - wdzięczna, ale przygnębiona.

- Czy to oznacza „tak”? - zapytał, a ona kiwnęła głową. A wtedy on włożył jej na palec pierścionek i objął ją mocno. - Będziemy tacy szczęśliwi - wzruszył się, trzymając ją w ramionach, ona tymczasem zgięła palec, bo pierścionek był za duży i mógł się zsunąć.

- Tak - szepnęła Gwen z ustami przy jego ramieniu. - A czy na miesiąc miodowy pojedziemy nurkować z aparatami tlenowymi?

- Oczywiście. Pojedziemy tam, gdzie zechcesz.

- Tylko nie na Arubę - zastrzegła się. W drzwiach stała Nadine.

- Mmm. Ciocia Matylda mówi, że czas zamykać - oznajmiła, a tymczasem Gwen wyzwoliła się z ramion Masona. - Nie możemy znaleźć Tomasza. Czy on wyszedł? Bo wszystkie jego rzeczy zostały.

- Zaraz przyjdę. - Gwen poprawiła suknię, choć ta wcale nie była w nieładzie. - Muszę iść...

- Rozumiem - rzekł Mason.

- Więc do jutra! - Uśmiechnęła się do niego jak najradośniej.

- O! - Wydawał się rozczarowany. Spojrzał w górę, wskazując wzrokiem jej mieszkanie.

- Bo musimy... no wiesz... zamknąć galerię... - Gwen starała się znaleźć powód, dla którego nie może zaprosić narzeczonego na górę. - I posprzątać. No wiesz.

- Oczywiście. - Mason sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Zobaczymy się jutro.

Pocałował ją, a Gwen, patrząc ponad jego ramieniem, zauważyła, że Nadine jest bardzo niezadowolona. No cóż, ja właściwie czuję to samo co ona - pomyślała.

Tymczasem w galerii Davy stanął za plecami Matyldy, objął ją i szepnął jej do ucha.

- Vilmo, mam wobec ciebie pewne plany. Świetnie, pomyślała Matylda.

- Widzisz, tam stoi ostatnia klientka, która chce kupić tę okropną komodę w wombaty. - Matylda przytuliła się do Davy'ego mocniej.

- Nie sądzisz, że powinieneś ją jej sprzedać?

- Nie - odrzekł Davy. - Jestem zmęczony. Impreza się skończyła. Chcę tu posprzątać, a potem przekonać się, czy ta suknia łatwo się zdejmuje.

- Niezmiernie łatwo. - Matylda poprawiła ramiączko. - Przez cały wieczór musiałam się bardzo starać, żeby ze mnie nie spadła. Nie wiem, jak Luiza radzi sobie z takimi ubraniami.

Z biura, gdzie znajdowała się Nadine, dobiegły dźwięki piosenki o ostatnim tańcu. Davy zmarszczył brwi.

- Co to za piosenka? I dlaczego, słuchając jej, czuję się tak dobrze? Matylda roześmiała się.
- Bo przy jej dźwiękach wygrałeś nasz zakład.
- Możemy posprzątać jutro. - Davy wziął Matyldę za rękę i pociągnął za sobą do biura.
- Byłeś dzisiaj wspaniały - pochwaliła go Matylda.
- Ty mnie jeszcze nie znasz, Celeste.

W drzwiach biura Matylda zatrzymała się i odwróciła, żeby po raz ostatni popatrzeć na galerię. Połowa mebli już się sprzedawała, a reszta miała się sprzedać w ciągu następnych kilku tygodni. Te meble nie były żadną rewolucją w sztuce - ani w meblarstwie - ale klientom się podobały. I trzeba uczciwie przyznać, że kupowali je dzięki Davy'emu. Suterena została zatem opróżniona dzięki Davy'emu.

Och nie - poprawiła się w myślach Matylda - ona została opróżniona jedynie w połowie.

- Wiesz, taka przydługa cisza zawsze mnie denerwuje - rzekł Davy. - A poza tym znowu masz taką minę...
- A ty jesteś oczywiście gotowy rozwiązać wszystkie moje problemy.
- Zapewniam cię, że potrafię je rozwiązać. Chodź na górę, to ci pokażę, jak to robię.
- Najpierw ty chodź na dół - odrzekła. Davy pokręcił głową.
- Łóżko jest już zapakowane do furgonetki. A od tej betonowej podłogi porządnie ciągnie.
- Muszę ci coś pokazać. Matylda ruszyła do sutereny.
- Czy nie możesz mi tego pokazać na poddaszu? - grymasił, ale poszedł za nią na dół.

Gdy wystukiwała kod otwierający drzwi pracowni, powiedział tonem poważnym:

- Matyldo, nie musisz tego robić.
- Muszę. Ponieważ tutaj, Dempsey, znajduje się ostatni z moich sekretów. Przekonamy się teraz, jak sobie radzisz z problemem, który jest naprawdę wielki.

To rzekłszy, Matylda otworzyła drzwi.

Rozdział osiemnasty

Tymczasem na górze, po wyjściu ostatniej klientki, która uszczęśliwiona uniosła ze sobą wombaty, Nadine i Ethan zbierali filizanki.

- Sprzątniemy biuro i idziemy na górę - zwróciła się Nadine do Gwen - bo musimy o czymś porozmawiać.
- Nie założyliście chyba nigdzie więcej podsłuchu? - zapytała zaniepokojona Gwen.
- Nie - zapewnił ją Ethan. - Ale dochodzenie trwa.
- A o czym to chcecie rozmawiać? - Gwen przyjrzała się Nadine zmrużonymi oczami.
- Mamy zamiar mówić o przyszłości mebli Matyldy Weroniki - odrzekła Nadine. - Ponieważ wkrótce ich zabraknie, chcemy zacząć zbierać stare meble na wysypiskach. Matylda rysowałaby na nich kontury, a my byśmy je malowali.

Mam wątpliwości, czy Matylda zechce się podjąć czegoś takiego. - Gwen rozejrzała się po opustoszałej galerii. Mason nie byłby zadowolony, musząc sprzedawać kolejne meble. On woli sprzedawać obrazy. Gwen poczuła narastający ból głowy. - Nawet nie wiem, kiedy Matylda wyjeżdża malować następny fresk.

- Dlatego musimy szybko o tym porozmawiać - wyjaśniła Nadine. - Plan jest wciąż mglisty, ale gdy dopracujemy szczegóły, ciocia z pewnością się zgodzi. W końcu to my wykonamy większość pracy. No nie? - Trąciła łokciem Ethana i uśmiechnęła się do niego serdecznie. - Ethan i tak nie ma nic innego do roboty.

- A co ty o tym sądzisz, Ethanie? - chciała wiedzieć Gwen.

Ethan wzruszył ramionami.

- Jest przecież lato - powiedział.

Tu nie chodzi o lato - pomyślała Gwen. - Chodzi o Nadine.

- Wyglądasz na zmęczoną, babciu - stwierdziła Nadine. - Idź spać. My z Ethanem wszystkim się zajmiemy.

- Może masz rację. - Słowom Gwen zawtórowało dobijanie się do drzwi od ulicy. - Kto to może być? Jest po północy.

- Mam otworzyć? - zapytał Ethan.

- Nie, ty sprzątaj. - Gwen podeszła do drzwi. Za nimi stał Mason.

- Zamknięte - oznajmiła Gwen, otwierając.

- Pomyślałem, że moglibyśmy się jeszcze napić - Mason był trochę zażenowany.

- Witamy pana - odezwała się grzecznie Nadine. - Chodź, Ethanie, posprzątam galerię.

Wzięła szczotkę i wyszła, a za nią Ethan z workiem na śmiecie i zboląłą miną.

- Świetne dzieciaki - obwieścił Mason, a tymczasem Gwen wyjęła sok pomarańczowy i wódkę.

- Dobrze dzieciaki - potwierdziła, patrząc przez szybę w drzwiach.

Nadine atakowała właśnie podłogę szczotką, a Ethan zbierał filiżanki i talerze, wpatrując się w jej pośladki.

Oj, chyba czas odesłać go do domu...

- Pomyślałem sobie... - zaczął Mason, a potem wyrzucił z siebie bez ogródek: - Nie chcę dziś wracać do Clei. Pozwól mi tu zostać.

- Och - wyrwało się Gwen.

- Nie chcę cię ponaglać. - Mason przysunął się do niej. - Wiem, że jesteś zmęczona.

Jak to dobrze, że wyglądam na zmęczoną - pogratulowała sobie w duchu Gwen i wstała.

- Jesteś bardzo hojny, Masonie - rzekła.

- Wcale nic jestem hojny. I otrzymuję wiele w zamian. Tam, w domu, czuję się taki samotny.

Wiem - pomyślała Gwen. - Ja też się tak czuję, tutaj, w tym domu. I wcześniej czy później...

- Czy chciałbyś zobaczyć moje mieszkanie?

- Tak - odrzekł uroczyście. - Bardzo.

- Świetnie. Chodźmy tędy.

Gdy Matylda zapaliła światło, pomieszczenie w suterenie wydało się Davy'emu bardzo duże. Na trzech ścianach wisiały tu drogie metalowe szafki, a na czwartej półki pełne różnych narzędzi, z których część należała do wyposażenia malarza, a przeznaczenie pozostałej części było Davy'emu nieznane. Całość była biała, tak jak pozostałe pomieszczenia w suterenie.

Matylda wzięła gięte krzesło, które widziało z pewnością lepsze czasy, i powiedziała:

- Siadaj.

Davy usiadł twarzą do najdłuższej ściany z szafkami. Matylda otworzyła pierwszą szafkę i wyjęła z niej obraz przedstawiający zboże pod wirującym, pełnym niepokoju niebieskim niebem.

- Czy wiesz, co to jest? - zapytała.

- Obraz van Gogha? - odrzekł Davy, wcale o to nie dbając. - Masz świetne nogi.

- To obraz Goodnighta. Namalował go mój pradziadek. No i oczywiście podpisał nazwiskiem van Gogha.

- A dlaczego twój pradziadek nie sprzedał tego obrazu?

- Bo obraz jest byle jaki. - Matylda zaczęła otwierać kolejne szafki.

Wyjmowała z nich kolejne płótna, a jej zrelaksowane przedtem ciało napinało się stopniowo coraz bardziej pod śliskim materiałem granatowej sukni. Okazało się, że tych płócien są całe tuziny. Stały oparte o ściany, leżały u stóp Matyldy, a Davy, patrząc, jak ona się wśród nich porusza, zapragnął jej tak, że aż poczuł zawrót głowy.

- Wszystko to są obrazy Goodnightów - oznajmiła Matylda. - Tkwią tu od dziesiątków lat, a w rodzinie są od stuleci. To nasza wielka tajemnica. Powinniśmy je spalić, ale nie możemy. Bo te obrazy tworzą historię. Są częścią nas samych.

- Spalić je? - powtórzył Davy, nie wykazując wielkiego zainteresowania. - A dlaczego ich nie sprzedaliście?

Po tym pytaniu Matylda wzięła się pod boki i spojrzała na niego groźnie, co sprawiło, że on w ogóle przestał myśleć o obrazach.

- To są falsyfikaty. Sprzedając je, złamalibyśmy prawo.

- Naprawdę, Scarlet? I co jeszcze powiesz na ten temat?

- No dobra - skapitulowała Matylda. - Nie zostały sprzedane, bo są to kiepskie obrazy. A także dlatego, że niektóre są przeznaczone dla przyszłych generacji, bo my przekazujemy je z pokolenia na pokolenie.

- Dlaczego? - zapytał Davy, próbując się zorientować, jak długo będzie musiał z nią rozmawiać, zanim zdejmie z niej suknię.

- Wyjaśniałam ci to już. Najtrudniej jest rozszyfrować falsyfikaty robione przez współczesnych artystów, te malowane w jego czasach. Nauka jest wobec nich bezsilna. Dlatego każde pokolenie Goodnightów maluje dla kolejnego pokolenia.

- Bo po śmierci artysty nikt nie jest w stanie odróżnić oryginałów od falsyfikatów - domyślił się Davy, czując zdwojony szacunek dla Goodnightów. - Ile wy macie takich dzieł?

Jakaś mała część jego ja interesowała się tą sprawą z powodów czysto finansowych, ale reszta modliła się równocześnie, żeby Matylda nie zechciała pokazać mu całego dorobku Goodnightów. To trwałoby godzinami, a on nie miał już siły czekać.

- Ponad dwieście, razem z rysunkami i grafikami - poinformowała go Matylda. - Niektóre wyszły spod pędzla Antonia Giordano, który zapoczątkował całą naszą linię. Zmieniliśmy nazwisko na Goodnight po przyjeździe do Ameryki.

- Żeby się lepiej przystosować?

- Nie. Żeby ukryć to, że jesteśmy spokrewnieni z moim stryjecznym dziadkiem Paolem Giordano, który sprzedał obraz Leonarda wprost ze ściany i został na tym przyłapany.

- Wprost ze ściany? - zainteresował się Davy. - Wskazał go po prostu palcem i powiedział...

- Nie. Obiecał klientowi, że ukradnie dla niego obraz Leonarda. I ukradł go, a potem poinformował klienta, że maluje kopię, którą podłoży policji po to, żeby ta przestała szukać oryginału.

- I w efekcie kto otrzymał kopię?

- Klient. To znaczy klienci, bo on tę samą historyjkę opowiedział czterem różnym kolekcjonerom. Ci kolekcjonerzy zasługiwali na to, żeby ich oszukać, bo chcieli na drodze kradzieży zagarnąć dobro narodowe. Byli chciwi.

- To klasyczny kant - brzmiał komentarz Davy'ego. - Jeleń, który sam jest nie w porządku, nie może poinformować glin. Chodź tutaj i pogadajmy o tym.

- Taki człowiek jest nieuczciwy i w związku z tym zasługuje na to, żeby go okpić - rzekła Matylda. - Taka jest zasada, którą tato wbijał mi do głowy setki razy.

Podeszła do ostatniej szafki i wyjęła kolejny obraz.

- A co się dzieje, gdy ktoś kupuje obraz, bo ten obraz mu się podoba? - zapytał Davy.

- Taki ktoś otrzymuje to, za co zapłacił, zgodzisz się z tym chyba? - odrzekła Matylda, pokazując Davy'emu obraz przedstawiający kobietę o wylupiastych oczach górującą nad jakąś dobrze odżywioną matką i jej budzącym niepokój widza dzieciątkiem.

- Oto nasze arcydzieło. *Święta Anna* Dürera - powiedziała. - Jest to Dürer wykonany przez Goodnighta, ale zawsze Dürer.

- No tak - powiedział Davy.

- Antonio namalował ten obraz w roku 1553. Obraz nie był jednak tak dobry jak inne dzieła, które wyszły spod jego ręki, więc rodzina zatrzymała go w swoim posiadaniu. I ma go w swoich zbiorach od czterystu lat. Gdyby był dobry i gdyby został sprzedany jako Dürer, analiza farby i płótna wykazałaby, że to oryginał. Na aukcji poszedłby za kilka milionów i nikt by się w niczym nie zorientował.

- Ale czy ten obraz jest zły? - Davy przyglądał się płótnu. - Na mój gust jest w porządku. Wygląda na stary.

- Nie jest zły. Nie jest też jednak wystarczająco dobry. Mamy tutaj ze sześć obrazów, których sprzedaż rozwiązałaby wszystkie nasze problemy. Ale my nie możemy ich sprzedać.

- Twoje zasady moralne są imponujące - powiedział Davy. - Ale teraz zapomnij o nich i chodź ze mną na górę.

- Tu nie chodzi o zasady moralne - sprostowała Matylda. - My po prostu nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nas przyłapano. Jeżeli nie liczyć pojedynczego przypadku Paola Giordano, naszej rodziny nigdy nie kojarzono z oszustwami. Gdyby wydało się jedno fałszerstwo, wszyscy nasi klienci zaczęliby przyglądać się podejrzliwie wszystkiemu, co u nas kupili. A my nie możemy przecież zwrócić pieniędzy ludziom, którzy kupowali u nas obrazy przez dziesiątki lat. - Matylda odłożyła Dürera na miejsce. - Ja nie potrafię tak kombinować jak tato. Mam poczucie winy. I denerwuję się łatwo. Dlatego wszystko to zalega suterenną i doprowadza mnie do szału. Spaliłabym te obrazy, gdybym mogła. Ale nie mogę. To są dzieła członków mojej rodziny. I wiele z nich to po prostu dobrze namalowane obrazy, które powinny ozdabiać ściany w domach miłośników sztuki.

- Sprzedaj je jako falsyfikaty - zaproponował Davy.

- No tak, to świetny pomysł - rzekła Matylda ironicznym tonem, a potem pochyliła się, żeby wziąć do ręki kolejny obraz.

- Masz wspaniałe pośladki - Davy spodziewał się, że go ofuknie. Ale ona powiedziała:

- Dziękuję. Wiem, że je mam. Ale mam też problem, który ci właśnie przedstawiłam.

- Sprzedaj je - powtórzył Davy, pragnąc, by znów się pochyliła. - Ogłoś, że są to obrazy, które Goodnightowie kupili jako oryginały i których nie mogli sprzedać, bo odkryli, że to podróbki. Poinformuj publiczność, że jest ich tak dużo, bo Goodnightowie to bardzo uczciwi marszandzi,

- No tak - zastanowiła się Matylda. - To mogłoby się udać, bo uczciwość to rzecz łatwa do sfalszowania. Popatrzyła na falsyfikaty z wyrazem takiego cierpienia na twarzy, że Davy zapomniał, że jej pragnie.

- Mnie się wydaje - mówił powoli - że ty masz jeszcze inny problem. Wczoraj wieczorem byłaś zgnębiona tym, o czym mi właśnie opowiedziałaś, prawda? Nie rozumiem, dlaczego to jest takie straszne i jak mają się do tego obrazy Scarlet.

- Nijak. Ja nie zostałam wykształcona w tym celu, żeby malować obrazy Scarlet, tylko po to, żeby robić rzeczy takie jak te tutaj.

Davy pokręcił głową.

- Nie rozumiem.

- Tato wykształcił mnie na klasyczną malarkę. Sam zresztą otrzymał takie wykształcenie od swojego ojca, a ten od swojego. Ale któregoś dnia przyszedł do mnie z obrazem Homera Hodge'a i rozkazał: „Maluj w ten sposób”. To było takie łatwe, że... - Matylda przerwała. - Że namalowałam sześć takich obrazów, a potem wyprowadziłam się z domu.

- Wyprowadziłaś się z domu? Dlaczego? Matylda przygryzła wargę.

- To był w moim życiu zły okres - odpowiedziała bez namysłu, ale głos jej zadrżał. - Byłam wtedy jeszcze dzieckiem. Zresztą mniejsza z tym. Zdarzyło się to bardzo dawno i należy do przeszłości.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Siedemnaście. Davy wyprostował się.

- Ale u diabła co takiego się stało?

- No wiesz, to naprawdę nie jest...

- Matyldo, przestań kłamać.

Matylda spróbowała się uśmiechnąć, ale bezskutecznie.

- Ja nie kłamię. To naprawdę nie ma znaczenia. Ewa zaszła w ciążę z Andrew. Andrew był moim najlepszym przyjacielem. Przyjaźniliśmy się tak jak Ethan i Nadine. Ale on zaprzyjaźnił się także z Ewą, a ona była taka piękna. Zaprosił ją na szkolny bal i... - Machnęła ręką. - To nic wielkiego.

- I dlatego wyprowadziłaś się z domu? - Davy miał wątpliwości. - Nie. Tu chodzi o coś innego. O coś, co ma związek z twoim ojcem.

Matylda stanęła do niego plecami i włożyła jakiś obraz do szafki.

- Nie pójdziemy na górę, dopóki nie powiesz mi wszystkiego - oznajmił Davy stanowczo. - Wyrzuć to z siebie.

- To nic takiego. Dowiedzieliśmy się, że Nadine jest w drodze, a zaraz potem ja zeszłam do suterenu, żeby pracować nad ostatnim obrazem Scarlet. - Znowu usiłowała się uśmiechnąć. - Nad tym, który ty wycygałeś od Colby'ego. No, tym z tancerzami.

- Z kochankami - poprawił ją Davy.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Kiwnęła głową.

- Pracowałam nad nim tutaj, na dole, płacząc rzewnymi łzami. I wtedy... Wtedy przyszedł tato i powiedział: „Kiedy ty przyjmiesz do wiadomości, że urodziłaś się po to, żeby malować, a nie po to, żeby być kochana?”.

- Co za wstrętny typ! - W Davym wezbrała wściekłość.

- Nie, to nie tak - tłumaczyła Matylda. - On tylko próbował uświadomić mi moje przeznaczenie. I właściwie miał rację. Chociaż... ja byłam kiedyś kochana. Kochał mnie Scott.

Davy ponownie poczuł ukłucie zazdrości.

- Ale tato miał rację - mówiła dalej Matylda, próbując się znowu uśmiechnąć. - Malując, byłam zawsze szczęśliwsza niż w kontaktach z ludźmi. Uwielbiałam malować meble, a także obrazy Scarlet. Nawet falsyfikaty, które robiłam, były dla mnie ciekawsze niż ludzie. - Westchnęła. - Tylko... ja naprawdę kochałam Andrew. Kochałam też Ewę. Nie było w moim życiu mężczyzn łajdaków. Po prostu nie ułożyły mi się te sprawy. Ale wtedy... w tamtym momencie... ja... nie chciałam tego usłyszeć. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Tato naprawdę powiedział to nie w porę.

- Był wyzyskiwaczem i sukinsynem - stwierdził Davy.

Matylda odetchnęła głęboko.

- Więc słysząc te jego słowa, przejechałam pędzlem po twarzach tancerzy, cisnęłam w niego obrazem i opuściłam dom. Wsiadłam w pierwszy lepszy autobus jadący do Cincinnati, znalazłam tam pracę kelnerki, po czym zawiadomiłam o tym Ewę. Ewa z kolei zawiadomiła Gwennie, która zaczęła przysyłać mi pieniądze. Przysyłała mi je co tydzień i nigdy nie zdradziła tacie, gdzie jestem. No i wszystko się jakoś ułożyło. Rok wcześniej skończyłam szkołę średnią, bo tata chciał, żebym mogła poświęcić się malowaniu. I dzięki temu, podając się za starszą, niż byłam, mogłam pracować. W końcu tato dowiedział się, gdzie jestem. Zadzwoił, nawrzeszczał na mnie i wyrzekł się mnie. Ale wtedy ja już umiałam żyć na własny rachunek. - Matylda nieco się odprężyła. - I pewnego dnia właściciel restauracji, w której pracowałam, powiedział, że chce odnowić lokal. Zaproponowałam, że namaluję mu fresk, a on się zgodził. A potem ktoś z gości zauważył to moje malowidło i zapragnął mieć coś podobnego w domu. Od tego czasu interes z freskami powoli się rozkręcał. Skończyło się więc na tym, że - jak wszyscy Goodnightowie - malowałam dla chleba. I to falsyfikaty. Tak jak przewidział tato. Zatem tato miał rację.

- Nie, nie. On się mylił - powiedział ponuro Davy.

- Najgorsze było to, że styl obrazów Scarlet... no... ten styl okazał się moim naturalnym stylem. A gdy ojciec je sprzedał, ja nie mogłam już w ten sposób malować. Chyba że znowu malowałabym jako Scarlet. To jednak nie wchodziło w grę. Rezultat był taki, że w ogóle przestałam malować obrazy.

- Jak on mógł zrobić coś takiego? - oburzył się Davy. - Był przecież artystą. Rozumiał, co to znaczy. Jak mógł zrobić coś takiego własnemu dziecku?

Matylda zaczerpnęła powietrza.

- On nie był artystą - powiedziała.

- Jak to?

- Ano tak. Tato był bardzo kiepskim malarzem. - Matylda oparła się plecami o szafki, a potem zsunęła się w dół i usiadła na dywanie. Przypominała teraz szmacianą lalkę w ślicznej jedwabnej sukni i wyglądała na tak strasznie zmęczoną, że Davy'emu ścisnęło się serce. - Człowiek może się nauczyć każdego rzemiosła - wyjaśniła. - Jeżeli jednak nie urodził się z wyczuciem światła, koloru, linii i bryły, nie może malować. Tato nie mógł, nie potrafił malować. Był doskonałym nauczycielem, ale malować nie potrafił. Przypominał człowieka pozbawionego słuchu należącego do rodziny muzyków. - Skrzywiła się. - Ewa także nie potrafiła malować. Próbował ją tego nauczyć, ale nie zdało się to na nic. A ja potrafiłam.

Nie zniosę tego dłużej - pomyślał Davy i usiadł obok Matyldy.

- Malowałam, zanim nauczyłam się pisać własne imię - wyjawiała Matylda, a on objął ją ramieniem. - Uwielbiałam wszystko, czego mnie uczył. - Pociągnęła nosem, próbując powstrzymać łzy, a on przytulił ją mocniej. - Miał chyba o to do mnie pretensję. Bardzo kochał Ewę, ale ona nie miała zdolności... Nic z tego nie rozumiałam. Myślałam, że tato będzie mnie bardziej kochał, jeżeli będę lepiej malowała. Nie rozumiałam, że on... Więc starałam się, jak mogłam, i byłam coraz lepsza, a on...

- Och Boże, Matyldo. - Davy przygarnął ją do siebie. - Tak mi przykro. A twój ojciec to był naprawdę wstrętny typ.

- Nie - zaprzeczyła Matylda, wtulając twarz w jego koszulę. - On się bardzo starał. No, ale ja się w końcu uwolniłam. Odeszłam z domu. Nie mogłam tylko zabrać ze sobą Scarlet. - Podniosła głowę. - Czy wiesz, że on chciał, żebym podpisywała te obrazy imieniem James? James Hodge, syn Homera. Ale ja zaprotestowałam i sama wymyśliłam imię Scarlet. I podpisywałam się tym imieniem.

- Spisałaś się bardzo dobrze. - Davy tulił ją jeszcze mocniej.

- Nie, nie - zaprzeczyła Matylda, patrząc na niego wilgotnymi oczami. - To ty spisałeś się bardzo dobrze. On je sprzedał, a ty je dla mnie odzyskałeś. Wszystkie, co do jednego.

- Och, kochanie.

Davy pocałował ją, czując, że policzki ma mokre od jej łez.

- Przepraszam - wyszeptała. - Wiem, że kiedy się tak mażę, wyglądam okropnie.

- No tak, oczywiście, to ma w tej chwili ogromne znaczenie. - Davy przytulił ją znowu. - Chryste Panie, Matyldo. - Rozejrzył się naokoło. Falsyfikaty kojarzyły mu się z nieboszczykami. - Musimy się tego wszystkiego pozbyć.

- Nie mogę. Bardzo chcę, ale nie mogę nawet o nich spokojnie mówić, bo zaraz płaczę. Więc wyobrażasz sobie, co by było, gdybym...

- Ja ich się pozbędę - zadeklarował ponuro Davy. - A poza tym dopilnuję, żebyś i ty wyniosła się z tej cholernej sutereny.

- To jest dobra pracownia - zaprotestowała Matylda.

- To jest dno piekiel! Możesz tu nie wiem ile razy pomalować wszystko na białą, a na ścianach i tak pozostanie krew. Przeniesiemy twoje rzeczy na poddasze. Jeszcze dziś. Tam jest dość miejsca. Jutro będziesz malowała w świetle słońca.

- On nie był złym człowiekiem - rzekła Matylda. - On...

- Tak, tak. Wiem. Po prostu nie potrafił malować. Do diabła z nim. - Davy puścił Matyldę i wstał. A potem wyciągnął rękę i pomógł wstać także jej. - Co trzeba przenieść na górę?

- Davy, ja nie...

- Wszystko pójdzie na górę, Matyldo! Nie mogę zbić twojego ojca, bo ten sukinsyn już dawno nie żyje, ale mogę wyciągnąć cię z tej sutereny. Pakuj się.

To rzekłszy, Davy zabrał się za wstawianie falsyfikatów do ich krypt, a Matylda zapytała:

- Czy ty mówiłeś poważnie?

- O czym?

- O tym, że możesz je sprzedać.

- Ja potrafię sprzedać wszystko - odrzekł. - Ale z tymi obrazami nie chcę mieć nic wspólnego. Myślę o powierzeniu ich jakiemuś domowi aukcyjnemu.

- Ja też o tym myślałam. Ludzie kolekcjonują falsyfikaty. Moglibyśmy je sprzedać anonimowo. Ktoś mógłby się jednak w tym wszystkim połapać... No wiesz, zawsze bywa tak, że ktoś się połapie... A gdyby tak się stało, ja...

- Ja się tym zajmę. - Davy zamknął kolejny obraz w szafce. - Pakuj się.

Matylda nie ruszyła się z miejsca. Davy odwrócił się i popatrzył na nią uważnie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie zamierzałam obarczać cię tym wszystkim. Nie miałam zamiaru być taka... - Machnęła ręką.

- Melodramatyczna. - Spróbowała się roześmiać. - Ty na pewno nie znosisz płaczliwych kobiet.

- Rzeczywiście, nie znoszę ich. - Davy podszedł do niej i przytulił ją do siebie. - Ale ciebie, Scarlet, to nie dotyczy. - Pocałował ją w czubek głowy. - Ty możesz robić, co chcesz, a ja i tak będę cię kochał. - Matylda zamarła w jego ramionach, a on dodał: - Wiem. Sam nie wierzę, że to powiedziałem.

- Możesz to odwołać. - Matylda wtuliła się w niego. - Powiedziałeś to po prostu ze współczucia.

- Nie, nie - zaprotestował. - Wcale nie ze współczucia. Powiedziałem to dlatego, że ty pocałowałaś mnie w garderobie i dlatego że przygarnęłaś Steve'a, a także dlatego, że utrzymujesz rodzinę, że pomalowałaś podnóżki w pancerniki i że namalowałaś te seksowne syreny. Powiedziałem to dlatego, że jesteś Matyldą Scarlet i dlatego, do cholery, że urodziłem się po to, żeby cię kochać.

- Matylda podniosła na niego wzrok, a on dodał: - I kocham cię bezgranicznie całym sobą, co oznacza, że ten twój cholerny ojciec się mylił.

Matylda wspięła się na palce i delikatnie go pocałowała. Gdyby Davy jeszcze jej nie kochał, ten pocałunek sprawiłby, że wezbrałaby w nim miłość.

- Pakuj się - wyszeptał, tuląc ją do siebie. - Wynosimy się stąd. Matylda rozejrzała się.

- Masz rację - westchnęła i odprężyła się w jego ramionach.

- Chociaż szkoda. To dobre pomieszczenie.

- Wiem. Namalujemy tu fresk z syrenami i wstawimy stół bilardowy. I szafę grającą z muzyką z obecnego stulecia. - Usłyszawszy te słowa, Matylda, wtulona w Davy'ego, roześmiała się. - Kocham cię, Matyldo - dodał Davy na zakończenie, wdychając zapach cynamonu.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała, a on, słysząc wreszcie te słowa, odetchnął z ulgą. - Ale nie gram w bilard.

- Będziesz grała. To gra w sam raz dla ciebie. A teraz pakuj się.

Gwen zastanawiała się, co zrobić z Masonem. Był miłym człowiekiem i sprawnym kochankiem, ale ona marzyła o tym, żeby wyrzucić go ze swego pokoju, ze swego domu, a także - jeżeli to możliwe - ze swego życia. Czy on nie mógłby zachowywać się jak inni mężczyźni - pomyślała - czy nie mógłby wyskoczyć szybko z łóżka, gadając coś o porannym zebraniu?

Tymczasem Mason, całując ją po raz kolejny, powiedział:

- Było cudownie, Gwennie.

- Rzeczywiście, ale chyba powinieneś już iść. Na dole jest Nadine, a ja nie chcę, żeby pomyślała...

- Oczywiście. - Mason przyciągnął ją do siebie. - Masz najzupełniejszą rację.

Pocałował ją jeszcze raz, a potem wstał, co pozwoliło jej chwycić szlafrok. Zastanawiała się, dlaczego jest taka rozdrażniona. Mason był naprawdę uroczy i ich pierwszy raz okazał się bezproblemowy. A przecież z pierwszym razem zawsze są trudności. No, w każdym razie były, gdy ona przeżywała go po raz ostatni - jako nastolatka - ile to lat temu?

- Nie musisz mnie odprowadzać - odezwał się Mason, kiedy już ubrany, podszedł do łóżka, żeby ją jeszcze raz pocałować. - Zobaczymy się jutro. - Tu spojrzął na zegar wskazujący dwunastą trzydzieści i dodał: - A raczej dzisiaj. - Uśmiechnął się do niej prawie nieśmiało. - Mamy już nowy dzień, Gwennie.

- Tak - przyznała, odwzajemniając uśmiech i myśląc: Idź już wreszcie.

Odprowadziła go do drzwi i poklepała po ramieniu. Gdy Mason już był w holu, na schodach pojawił się Ford. Minęli się na podeście, a Ford, widząc, że Gwen stoi w drzwiach, przystanął.

O co ci chodzi? - Pomyślała Gwen, unosząc dumnie głowę. - Ty jesteś płatnym mordercą. Daj mi spokój.

Ford pokręcił głową i wszedł do swojego mieszkania, trzaskając drzwiami. Wskutek czego ona, choć to było całkiem bez sensu, poczuła się okropnie.

Wróciła do sypialni i popatrzyła na skotłowane łóżko, białe w świetle lampy i przypominające ołtarz, na którym dokonała się dziewicza ofiara. Po chwili ta myśl wydała jej się śmieszna, bo sobie przypomniała, ile lat upłynęło od chwili, gdy była dziewczicą, i jak się prowadziła przed poślubieniem Tony'ego.

Chyba trzeba się napić wódki - postanowiła. - No cóż, zaczynam chlać na całego. Ale mam przecież powód. Mam problemy. Poprawiła na sobie szlafrok i wyszła do holu. W tej samej chwili Ford otworzył drzwi swojego mieszkania.

- Słuchaj - powiedziała, zanim zdążył się odezwać. - Oszczędź sobie gadania. Ja i bez tego mam ciężkie życie.

- Jesteś idiotką - stwierdził lakonicznie.

- Zaraz, zaraz, co ty sobie myślisz? Sama muszę dokonywać wyborów.

- Ale nie takich głupich - obruszył się Ford. - Nie mogłaś poczekać jeszcze tydzień?

- Dlaczego właśnie tydzień? - zapytała i w jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy: Davy! - Słuchaj, ty musisz skończyć z zabijaniem ludzi - powiedziała.

- Z zabijaniem ludzi? - zdziwił się Ford.

- Ktoś podsłuchał pewną rozmowę telefoniczną - poinformowała go, patrząc w sufit.

Usłyszała, że Ford wykonuje jakiś ruch, a kiedy oderwała wzrok od sufitu, on był przy niej. Jego rosłe ciało przesłoniło jej całe światło, a usta, spotkawszy się z jej ustami, wymazały wszelką myśl. Powinnam go spoliczkować - przemknęło jej przez głowę.

Tymczasem jej ciało przyłgnęło do niego tak mocno, że chcąc jej spojrzeć w oczy, musiał ją od siebie odsunąć.

- Okej - powiedział - to, co zrobiłaś, było pomyłką. Jeżeli jednak zrobisz to jeszcze raz...

- Chwileczkę. - Gwen podniosła lewą dłoń. - Ja jestem zaręczona. Ford bez ceremonii zdjął jej pierścionek z palca.

- Teraz już nie jesteś. - Schował go do kieszeni.

- Co ty sobie u diabła wyobrażasz? - Gwen próbowała udawać, że nie podniecają jej dominujący mężczyźni, co zakrawało na żart, zważywszy, że w jej życiu był przecież Tony. - Będę całowała, kogo zechcę. Będę się zaręczała, z kim zechcę. Będę spała, z kim zechcę. Oddaj mi ten pierścionek.

- Nie - odrzekł krótko i stanowczo.

- Nie to nie. A ja i tak jestem zaręczona - oznajmiła i weszła do swojego mieszkania, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem.

Nareszcie czuła się dobrze. Oto jednego i tego samego wieczoru chcieli się z nią bzykać aż dwaj mężczyźni. To nieźle jak na była śpiewaczkę w średnim wieku i na dodatek babkę jednej wnuczki - pomyślała. Przypomniały jej się dawne czasy, gdy faceci ustawiali się do niej w kolejce, a jej pozostawało tylko wybierać. Cóż, wszystko to dzieje się za jej zgodą. Potrzebuje jakiejś odmiany i nie życzy już sobie dłużej przesypiać życia.

A co do Matyldy, to niech się wyprowadza, jeżeli chce.

Po raz pierwszy od wielu lat Gwen nie pomyślała nawet o krzyżówkach.

Myślała natomiast o sobie, Masonie i Fordzie, i doszła do wniosku, że chociaż robi, co chce, to wcale nie oznacza, iż zadaje się z właściwymi facetami. W każdym razie Mason nie jest facetem dla mnie. - Teraz była już tego pewna. - O czym ja myślałam, wdając się w tę historię? - zdziwiła się. Odpowiedź była oczywista: myślała o hipotece. Równocześnie jednak miała nadzieję, że między nią a Masonem wszystko się jakoś ułoży. To tyle jeżeli chodzi o Masona, ale ten płatny morderca też nie jest przecież facetem, z którym powinna się związać. Zdecydowanie nie. Bo czarującego oszusta już miała. Był nim Tony. I to wystarczy.

Ktoś musi się pojawić w moim życiu - powiedziała sobie. - I pojawi się na pewno, bo ja wracam do gry.

Powziąwszy takie postanowienie, poszła prześcielić łóżko, a zmieniając pościel, nuciła jakąś okropną piosenkę o błahych słowach i wpadającej w ucho melodii. Równocześnie jej nogi same wykonywały rytmiczną cza-czę. Gdy łóżko było już gładkie i świeże i należało znowu tylko do niej, zatelefonowała na dół, do biura.

- Ethanie - powiedziała, gdy chłopak podniósł słuchawkę. - Co to jest?

Zanuciła fragment, a Ethan zawołał Nadine.

- O co chodzi? - zapytała wnuczka, a Gwen znowu zanuciła melodię. - To jest coś Beach Boysów. Coś o Jamajce.

- Aruba, Jamajka - powiedziała Gwen, a piosenka zamarła na jej ustach.

- Gdzie jest Aruba? - zainteresowała się Nadine.

- Na Karaibach. Przynieś mi tu wódki, dobrze, kochanie?

- A co do Mussoliniego i babci, to... - zaczęła Matylda, gdy leżeli w łóżku z Davym i gdy on, obejmując ją, zapadał w sen.

- Zanim to zrobimy, musisz mnie zapytać... - powiedział sennym głosem.

- Dobrze. - Matyldo usiłowała wysunąć spod niego swoje ramię. - Więc kiedy...

- Kiedy tylko zechcesz - wymamrotał.

- Ach, ale mnie tak naprawdę nie o to chodzi. Chcę tylko wiedzieć, kiedy...

Zamilkła, bo Davy zaczął chrapać.

Steve potraktował to jako sygnał i wskoczył na łóżko.

- Chcę wiedzieć - zwróciła się Matylda do śpiącego Davy'ego - kiedy mnie zostawisz, ty draniu. I czy zamierzasz wrócić. Bo ja w ciebie wierzę, a to dobrze nie wróży.

Davy zachrapał, a ona przez moment miała wrażenie, że udaje.

A potem przypomniała sobie, że nie spał zeszłej nocy, że przez długie godziny sprzedawał meble, że przeniósł całą pracownię z sutereny na poddasze i że jeszcze przed chwilą kochał się z nią namiętnie.

- On naprawdę śpi - poinformowała psa. - Ale jutro zadamy mu to pytanie. Bo my, mój piesku, nie jesteśmy przecież ludźmi, którzy najpierw zwlekają, a potem tego żalują. Powiedział, że mnie kocha. Powiedział też, że pobędzie się falsyfikatów. Więc zostaje. Prawda?

Steve westchnął i wsunął nos pod kołdrę. Matylda podniosła jej róg, a on wczuł się pod spód.

- Ty mnie nigdy nie opuścisz, prawda Steve? - szepnęła do niego, po czym, spojrzawszy na Davy'ego, dodała stanowczo: - Ty też nie.

Następnie rozejrzała się po swoim poddaszu, pełnym teraz sztalug, farb i blejtramów, i pomyślała: Tak jest znacznie lepiej. Tak właśnie powinno być.

Ponownie spojrzała na śpiącego Davy'ego i pocałowała go w policzek. Wsunęła się pod kołdrę i leżąc między dwoma mężczyznami swego życia, zasnęła.

Zszedłszy na śniadanie, Matylda zastała w biurze Ewę. Siostra wyglądała jak śmierć.

- O co chodzi? - zagadnęła Matylda, wciąż upojona wydarzeniami zeszłej nocy. - Co się stało?

- Możemy gdzieś wyjść? - zapytała Ewa.

- Oczywiście. Ale co się stało?

- Powiedziałam Simonowi, że ja to ja - oświadczyła Ewa.

- O Boże - przeraziła się Matylda. - Chodźmy.

Rozdział dziewiętnasty

- Więc jak to było? - dopytywała się Matylda, gdy zasiadły już w taniej restauracji, czekając na omlety.

- On wyjeżdża - rzekła Ewa zachrypniętym głosem.

- O. - Matylda wzięła ją za rękę. - Czy to dobrze? - Przyjrzała się twarzy siostry. - Niedobrze?

- Z początku mi nie uwierzył - opowiadała Ewa. - Dotarło to do niego w pełni dopiero, kiedy mu pokazałam perukę.

- A potem?

- A potem okropnie się wściekł. Więc mu powiedziałam, że gdyby patrzył uważnie, to sam by się zorientował. Tak jak Davy zorientował się, że ty to Scarlet. Powiedziałam mu też, że zamiast jednej kobiety ma aż dwie. I że sam prawdopodobnie też coś przede mną ukrywa, ale ja jestem gotowa wszystko zrozumieć.

- On jednak nie przyjął tego do wiadomości - domyśliła się Matylda, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. - Może gdybyś mu dała czas.

- On jest złodziejem - oznajmiła bezbarwnym głosem Ewa.

- O!

- Powiedział mi o tym, gdy go zapewniłam, że jestem gotowa wszystko zrozumieć. Nie wierząc zresztą w to moje zapewnienie. Gdy FBI zaproponowało mu rolę konsultanta, był złodziejem od wielu lat. Od wczesnej młodości. Okradał kogo popadło.

Matylda przełknęła nerwowo ślinę.

- Każdy popełnia błędy.

- Ale on kradł. - Ewa cofnęła rękę. - Wchodził do cudzych domów i wynosił stamtąd różne rzeczy. Tak po prostu: wynosił. I do tej pory nie ma wcale poczucia, że robił źle. Twierdzi, że brał tylko od ludzi, którzy mieli tyle, że mogli się objeść bez tego, co im ukradł. - Ewa pokręciła głową. - To tak jak Ford, który zabija tylko tych, którzy zasługują na śmierć. Ale prawda jest inna: liczy się to, że kradł, a nie to, że okradał ludzi, którzy mieli dużo.

- On się już poprawił - wysnuła przypuszczenie Matylda. - Może...

- Ludzie jego pokroju nie poprawiają się - odrzekła Ewa. - W jego psychice jest jakaś skaza. Zresztą on wcale nie żałuje swego postępowania. Jest po prostu wściekły z powodu Luizy. Mówi, że go okłamałam. A ja przecież tego nie zrobiłam. Nigdy nie mówiłam, że nie jestem Luizą.

- Moim zdaniem nie o to chodzi - powiedziała Matylda. - Chyba...

- Staliśmy i patrzyliśmy na siebie tak, jakbyśmy się widzieli po raz pierwszy - stwierdziła Ewa.

- No bo na dobrą sprawę tak było. Ewa pokręciła głową.

- Myślałam tylko o tym, że spałam ze złodziejem. A on powtarzał: „To nie do wiary, że spałem z matką Nadine”. Tyle że nie użył słowa „spałem”. Nie powiedziałam mu nawet, że to nie byłam ja, tylko Luiza, bo on by tego nie zrozumiał.

Matylda westchnęła.

- Posłuchaj. Poszliście do łóżka po piętnastu minutach znajomości, a potem okłamywaliście się przez prawie trzy tygodnie. Więc moglibyście to robić dalej. Fiasko waszego związku nie jest żadną niespodzianką. Czy nie możesz tego wszystkiego potraktować jako kolejnego doświadczenia? I cieszyć się z udanego seksu?

- A czy ty masz zamiar postąpić w ten sposób w stosunku do Davy'ego? - zapytała Ewa.

- Nie - odrzekła Matylda - bo Davy jest na zawsze. Davy jest na zawsze, dlatego że ja znam prawdę o nim, a on zna prawdę na mój temat.

- Davy jest oszustem - obwieściła Ewa. - Wiedziałaś o tym?

- Tak - potwierdziła Matylda. - Sam mi o tym powiedział. Ewa spojrzała na nią z oburzeniem.

- I to ci nie przeszkadza?

- On jest tym, kim jest. Zresztą teraz już nie łamię prawa. Ja także nie. I dzięki temu możemy żyć w zgodzie i harmonii.

Ewa patrzyła z niedowierzaniem.

- Nie rozumiem, jak, znając prawdę, możesz z nim być.

- Jeżeli ludzie są sobie przeznaczeni, to mogą sobie powiedzieć wszystko. Może się przy tym zdarzyć tak, że każde z nich usłyszy nie to, co chciało usłyszeć. Ale to i tak nie będzie miało znaczenia, bo jeżeli są sobie przeznaczeni, to ze sobą zostaną.

- Tak bywa, ale tylko wtedy, gdy jest między nimi miłość. - Ton Ewy był sceptyczny. - No cóż, Matyldo, zachowujesz się jak wielka optymistka, ale przecież ufasz oszustowi.

- A on ufa fałszerce dzieł sztuki. - Matyldę zirytowała ta rozmowa. - Nikt nie jest doskonały. Każdy, kto kocha, musi się z czymś pogodzić. I godzi się, bo tak naprawdę nie ma wyboru. Nie może tej drugiej osoby opuścić.

- To jest mrzonka. - Ewa powiedziała to z wyższością, co sprawiło, że Matylda straciła dla niej resztkę współczucia.

- Ty kochasz Andrew - wytknęła.

- No oczywiście, ja... - zaczęła Ewa.

- A on szesnaście lat temu wykorzystał cię, żeby przekonać samego siebie, że nie jest gejem - wpadła jej w słowo Matylda. - Wiedział, że jest gejem, zawsze o tym wiedział, ale nie chciał, żeby to była prawda. Wiedział też, że ty go kochasz i zrobisz wszystko, o co cię poprosi. I spał z tobą, żeby okłamać siebie.

Twarz Ewy zastygła w kamiennym wyrazie.

- A potem czuł się z tym okropnie - mówiła dalej Matylda. - Wszyscy uwielbiamy Nadine, ale przez niego twoje życie utknęło w martwym punkcie w chwili, gdy miałaś osiemnaście lat.

- Jego życie też utknęło w martwym punkcie - powiedziała Ewa.

- Wcale nie. On poszedł do przodu, znalazł miłość swojego życia, wykonuje też zawód, który mu odpowiada. Andrew nie tkwi w martwym punkcie z niczyjego powodu. I ma oczywiście rację, bo tak trzeba. Ale popełnił w przeszłości coś złego, a ty mu wybaczyłaś.

- Ja też popełniłam coś złego - Ewa była całkiem zgnębiona.

- Wiedziałam, że on jest gejem, ale myślałam, że go zmienię, jeżeli go będę wystarczająco mocno kochała. - Przerwała na chwilę.

- Okłamałam go. Powiedziałam mu, że wzięłam pigułkę, a powinnam była zostawić go w spokoju, pozwolić mu być sobą. Wykorzystałam go, tak jak on mnie.

- A zatem nie powinniście się kochać - zirytowała się Matylda.

- Popełniliście wobec siebie okropne rzeczy. Podobnie jak ty i Simon, więc...

- To nie to samo - stwierdziła Ewa.

- Wiem, że to nie to samo - zgodziła się Matylda. - Ty nie kochasz Simona. I o to właśnie chodzi. Opuść go sobie. Pocałuj go na do widzenia, życz mu szczęścia i idź do przodu.

Kelnerka przyniosła omlety, więc Matylda zajęła się soleniem swojego, czekając, aż Ewa coś powie. Gdy z omletu Matyldy została już tylko połowa, a omlet Ewy był wciąż nietknięty, Ewa w końcu się odezwała:

- Myślałam, że będziesz mnie wspierała, że będziesz po mojej stronie.

- Ja jestem po twojej stronie. Zawsze - zapewniła ją Matylda. - Ale ty go nie kochasz. Więc dobrze, że to się skończyło. Tak powinno być.

- To dlaczego czuję się tak okropnie?

- Bo chciałaś, żeby było inaczej. - Matylda znowu jej współczuła.

- Chciałaś, żeby Simon był uczciwym człowiekiem, dobrym ojczymem dla Nadine i idealnym mężem dla ciebie. A tak nie mogło być. Simon nie jest uczciwy, tak jak Andrew nie jest heteroseksualny. Powtórzyła się ta sama historia.

Ewa siedziała przez chwilę w milczeniu, patrząc na stygnące śniadanie, a potem odsunęła talerz.

- Ale to bardzo boli.

- Och, kochanie. - Matylda obeszła stolik i usiadła obok niej.

- Wiem, że to boli. - Objęła siostrę. Ewa położyła jej głowę na ramieniu. - Moje biedactwo. Tak mi przykro. Naprawdę tak mi przykro.

- Nie mogę uwierzyć we własną głupotę - rzekła Ewa stłumionym głosem.

- Ty nie jesteś wcale głupia. - Matylda przytuliła ją mocniej.

- Moje biedactwo.

- Czy mnie kiedyś coś wyjdzie z jakimś facetem? Mam już trzydzieści pięć lat, a potrafię tylko wszystko spieprzyć.

- Gwennie ma pięćdziesiąt cztery i też zanosi się na to, że się nieźle wpakuje. W tych sprawach nie istnieje granica wieku. Miejmy nadzieję, że Nadine nie odziedziczyła naszych skłonności do idiotycznego postępowania w sprawach z mężczyznami.

- Myślałam, że ty i Davy...

- Mam wielką nadzieję, że Davy zdejmie ze mnie klątwę Goodnightów. Jeżeli jednak tak się nie stanie, ja i tak przetrwam. I po całej tej historii będę w znacznie korzystniejszym położeniu niż poprzednio. Może tak samo jest z Simonem i tobą...

Ewa milczała tak długo, że Matylda zajrzała jej w końcu w oczy.

- Czy ty się kiedykolwiek zastanawiasz, czy jesteś Matyldą udającą Scarlet, czy też Scarlet udającą Matyldę?
- zapytała wreszcie Ewa.

- Nie - odrzekła Matylda. - Ale to jest cholernie dobre pytanie.

- Bo ja myślę, że tak naprawdę jestem Luizą.

- O Boże - jęknęła Matylda.

- Ewa nie kocha Simona. Ale Luiza byłaby zdolna do tej miłości. Matylda zawołała kelnerkę.

- Czy możemy się napić soku ananasowo-pomarańczowego? Nie? Otworzyła torebkę i położyła na stoliku pieniądze za omlety.

- Chodź, kotku - powiedziała, wyciągając siostrę z boksu. - Na sok ananasowo-pomarańczowy idziemy do domu.

Mason i Clea jedli właśnie śniadanie. Clea była wściekła jak diabli. Bo najpierw zawiódł ją Tomasz, który nie pokazał się tego ranka, nie przygotował posiłku. Potem Ronald wystawił ją do wiatru, a teraz Mason pił spokojnie kawę, tak jakby poprzedniej nocy nie wrócił do domu bardzo późno i nie odrzucił jej propozycji, gdy chciała pomóc mu się zrelaksować.

Spał z Gwen Goodnight. Tego była pewna.

Mason podniósł na nią wzrok znad filiżanki, a ona, uśmiechając się, pomyślała: Ty cholerny draniu, a głośno zapytała:

- Jeszcze kawy?

- Cleo, to już skończone - powiedział Mason tonem życzliwym i współczującym.

- Co jest skończone? - zagadnęła wesoło, choć przeszedł ją zimny dreszcz.

- To, co było między nami - odrzekł. - Było dobrze, ja bawiłem się świetnie i ty się świetnie bawiłaś...

Akurat!

- ... ale to już koniec. Jestem zakochany w kimś innym.

- W Gwen Goodnight - domyśliła się Clea.

- Przykro mi, Cleo. - Mason mówił to takim tonem, jakby naprawdę było mu przykro. - Po prostu się zakochałem-

- W jej galerii - wypaliła Clea. Twarz Masona spochmurniała.

- Wiedziałem, że tego nie zrozumiesz. Gwen to osoba autentyczna.

- A czym ja jestem? Ja też jestem autentyczna, do cholery. Jestem ludzką istotą, kimś, z kim rozmawiałeś, z kim się kochałeś, z kim snułeś plany. A teraz chcesz, żebym cię zrozumiała?

- My nie snuliśmy żadnych planów - zaprotestował stanowczo Mason. - My nigdy...

- Zamierzaliśmy wspólnie stworzyć kolekcję dzieł sztuki. - Clea poczuła, że coś ją ściska w gardle. To wszystko było takie niesprawiedliwe. - Rozmawialiśmy o tym, chodziliśmy do muzeów, kupowaliśmy obrazy...

- To ja chodziłem do muzeów i kupowałem obrazy. A ty byłaś do towarzystwa.

Clea odłożyła serwetkę.

- Dziwne, że nie wspomniałeś mi o tym na samym początku.

- Myślałem, że o tym wiesz. - Mason sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Że wiem o czym? O tym, że mnie wykorzystujesz? - Clei łzy napłynęły do oczu. - To nie fair z twojej strony.

- Cleo! - W tonie Masona brzmiała uraza, a Clei łzy popłynęły po policzkach. Te łzy były prawdziwe. I ten drań na nie zasługiwał.

- Ja cię kocham - zaszlochała Clea i pobiegła na górę.

Łzy bardzo szkodzą na cerę, więc potrzebna jej była papierowa chusteczka.

A także kij bejsbolowy, żeby dać Masonowi łeb.

W chwili gdy Clea myślała o tym, żeby dać łeb Masonowi, Davy zszedł na dół i, zamiast Matyldy, zastał Nadine.

- Cześć, Lucy - powiedział do niej. - Wczoraj wieczorem świetnie się spisałaś.

- Wiem. Sądzę, że w przyszłości zajmę się tym zawodowo.

- Świetny wybór - przyklasnęła jej Davy. - A gdzie jest ciocia? Zgubiła mi się.

- Poszła gdzieś chyba z mamą.

- Okej. - Davy przypomniał sobie, że od zeszłego wieczora nie widział Michaela. - A czy nie wiesz, gdzie jest mój tato?

- Wiem. Pojechał z Dorcas w odwiedziny do pana siostry. Davy'ego zamurowało.

- On nie wie, gdzie moja siostra mieszka - powiedział po chwili.

- Poprosił Ethana, żeby odszukał ją w komputerze. W sieci można znaleźć każdego. Ona mieszka w takim małym miasteczku o dziwnej nazwie.

- Temptation - odpowiedział Davy.

- Właśnie. Pojechali samochodem Dorcas jakieś pół godziny temu.

- Do diabła.

Davy zirytowany, złapał telefon.

Odebrała Dillie - za pierwszym dzwonkiem.

- Daj mi tatę! - krzyknął Davy.

- Miałam nadzieję, że dzwoni Jordan - odrzekła. - Słuchaj, te wszystkie twoje rady...

- Daj mi tatę! Natychmiast! Chwilę później przy telefonie był Phin.

- Co się stało? - zapytał. - Dillie mówi, że sprawa jest nagła i pilna.

- To prawda - potwierdził Davy. - Tato znalazł wasz adres. I już do was jedzie. Broń twierdzy aż do mojego przyjazdu. Nie zostawiaj go samego z Sophie i nie dawaj mu pieniędzy.

- Nie jestem przecież głupi - rzekł Phin.
- On też nie jest głupi. Potrafi zbajerować każdego.
- No, no, ten wasz tato zaczyna mi się wydawać interesujący.
- Oj, uważaj lepiej, co mówisz. I pilnuj się dobrze - ostrzegł go Davy.

W sypialni na górze Clea delikatnie otarła z policzków ostatnie łzy i spojrzała w oczy oczywistej prawdzie: oto Mason porzuca ją dla pięćdziesięcioletniej kobiety, która wcale nie nawilża cery. Wywracało to do góry nogami cały porządek jej świata. Przecież spędziła czterdzieści pięć lat na skrupulatnym dbaniu o siebie. I nie zdało się to na nic, bo oto teraz traciła swego mężczyznę dla jakiegoś zera, które już wkrótce będzie miało obwisłe policzki. Bóg raczy wiedzieć, kiedy ta Gwen zdołała po raz ostatni zrobić skłon zwany brzuszkiem. A ona, Clea, robi co rano i co wieczór setkę brzuszków. Sto brzuszków dwa razy dziennie! I co z tego ma? Nic, bo zostaje porzucona dla babuleńki. Która rodziła, która ma rozstępy, która ma sterczący kałdun - tu Clea położyła dłoń na swoim zadziwiająco płaskim brzuchu - i która mimo to wygrywa. To nie jest w porządku.

Ta cholerna Gwen tym razem jednak weszła w paradę nie tej kobiecie, co trzeba.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała Clea głośno. - O nie! Wyrzuciła zawartość torebki na łóżko i znalazła numer Forda

Browna.

- Słuchaj, Brown, mieliśmy umowę - warknęła do słuchawki, gdy odebrał telefon.

- Jaką?

- Miałaś dopilnować, żeby Gwen nie zbliżała się do Masona.

- To przecież pani sama przyprowadziła go do galerii - odrzekł Ford. - Ona nie odwiedziła was w domu, prawda?

- Nie - przyznała Clea. - Ale ja Masona tam nie zawiozłam. Pojechał z własnej woli.

- No cóż, ja go nie mogę powstrzymać od odwiedzania galerii. Pani jest jedyną osobą, która jest w stanie to zrobić.

- A poza tym Davy ciągle kręci się w pobliżu.

- Czy to pani przeszkadza?

- Tak - potwierdziła Clea. - Przeszkadza mi samo jego istnienie.

- Mogę się tym zająć, jeżeli pani chce. Proszę tylko powiedzieć wyraźnie.

Clea przełknęła nerwowo ślinę.

- Gwen stanowi większy problem. - Rozejrzała się naokoło, chcąc się upewnić, że nikt jej nie słyszy.

- Gwen? - zapytał zaskoczony. - Chce pani, żebym zamordował kobietę?

- Nie, nie chcę, żebyś ją zamordował. Chcę, żebyś...

Jej wzrok padł na drzwi garderoby, w której schowała obraz. Pociągając za sobą kabel telefoniczny, zajrzała do środka. Obrazu Scarlet nie było.

- O co chodzi? - Ford był zdziwiony przydługą ciszą.

- Chwileczkę. - Serce Clei podeszło do gardła.

Odłożyła na bok słuchawkę, weszła do garderoby, a potem skierowała się ku laptopowi.

Po trzech minutach powiedziała do słuchawki:

- Słuchaj, Brown, nie rób żadnej krzywdy Davy'emu Dempseyowi. Potrzebuję go żywego.

Boże kochany, jej pieniądze są w rękach Davy'ego! Clea usiadła na łóżku, starając się opanować dygot. Zabrał jej wszystko. Mason wymyka jej się z rąk, a ona jest bez grosza i ma czterdzieści pięć lat.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Ford.

- Nie - odrzekła drżącym głosem. - Niedobrze. Posłuchaj, Brown, ty nie dopilnowałeś, żeby Davy Dempsey trzymał się z daleka od tego domu. Davy ukradł mi obraz i zagarnął wszystkie moje pieniądze. Teraz nie możesz go zabić, bo jeżeli to zrobisz, ja nigdy tej forsy nie odzyskam. Więc tylko go obserwuj.

Clea pochyliła się i włożyła głowę między kolana, żeby nie zemdleć. Jestem bez grosza - pomyślała. A kobieta bez grosza nie zdoła znaleźć mężczyzny z pieniędzmi. Musi w tym celu mieć forszę. Albo młodość. Boże, co ja teraz zrobię!

- Jak długo? - dopytywał się Ford.

- Słucham?

Clea z trudem powstrzymywała się od płaczu.

- Jak długo mam go obserwować?

- Dopóki nie odzyskam tych pieniędzy.

Nie ma powodów do paniki. Jest jeszcze czas. Jakoś z tego wybrnie. Zasluguje na to, żeby z tego wybrnąć, do cholery. Zane zostawił ją z pustymi rękami. I Cyryl też. Ale teraz nadeszła jej kolej. Teraz ona zostawi faceta bez grosza.

- Obserwuj go, dopóki nie odzyskam pieniędzy, a potem będziesz mógł skończyć robotę - powiedziała rzeczowo, po czym wyprostowała się i spojrzała w lustro, próbując wypogodzić twarz. Przerazenie ją postarzało. A ona nie mogła sobie pozwolić na to, żeby być stara.

- W porządku - odrzekł Ford. - A co dokładnie oznaczają słowa „skończyć robotę”?

- Nie wiem, co masz na myśli - wykręciła się od odpowiedzi, wciąż zmagając się z lustrem. - Muszę skończyć. Obserwuj go, do diabła, i staraj się bardziej niż wczoraj wieczorem. To nie do wiary, że...

- On wczoraj wieczorem w ogóle nie wychodził z galerii - poinformował ją Ford. - Obserwowałem go przez cały czas. Po zamknięciu galerii poszedł na dół z Matyldą.

- Skoro tak, to może nie zrobił tego wczoraj wieczorem. Tak czy tak, wyprowadził tę forszę z mojego konta.

Przypomniała sobie dawne czasy, czasy gdy była z Davym. I pomyślała, że teraz on jest z Matyldą. Wspominając dobre chwile, które przeżyli razem, i wspomniały seks, pożałowała jednak, że w ogóle go znała. Wszystko to nie było warte ceny, którą płaciła w tej chwili.

- Chciałabym, żeby on nie żył - wyrwało jej się.

- Czy to jest polecenie? - domagał się sprecyzowania Ford.

- Nie! Na miłość boską, słuchaj mnie uważnie. On ma w swoich rękach moje pieniądze. Musi żyć, dopóki ich nie odzyskam. Jeżeli go zabijesz, wszystko odziedziczą jego siostry, a ja nie zobaczę ani grosza. - Przypomniała sobie Sophie mającą lekką obsesję na punkcie swego młodszego braciszka. - Nie zabijaj go!

- Ja po prostu chciałem się upewnić, co pani ma na myśli. - Po tych słowach Ford się rozłączył.

Clea odłożyła słuchawkę i zaczęła gorączkowo myśleć. Nie potrafi samodzielnie wydobyć pieniędzy z konta Davy'ego. Poprzednio zrobił to Ronald, może więc i tym razem...

Na myśl o Ronaldzie wyprostowała się. Skąd Davy znał numer mojego konta i hasło? - zastanowiła się. W jaki sposób je zdobył?

Wykręciła szybko kolejny numer i powiedziała do telefonu:

- Ronaldzie, byliśmy umówieni. Zbieraj się natychmiast i przyjeżdżaj. Musisz się przede mną wytłumaczyć.

Po powrocie do galerii Matylda i Ewa zastały tam Nadine pakującą śmiecie do plastikowych worków.

- Czy widziałaś Davy'ego? - zapytała Matylda siostrzenicę.

- On wyjechał - odrzekła Nadine. - Pojechał do Temptation, do siostry.

Matylda odetchnęła głęboko.

- Czy coś mówił? O mnie? Nadine pokręciła głową.

- Najpierw pojechali tam Michael i Dorcas, a Davy za nimi.

- Czy Davy zostawił jakąś wiadomość? - pytała dalej Matylda.

- Nie. Bardzo się spieszył. O której otwieramy galerię?

- Nie wiem. - Matylda odwróciła się i jej wzrok padł na Ewę, która patrzyła na nią ze współczuciem, powstrzymując się równocześnie od wypowiedzenia sakramentalnego „A nie mówiłam?”. - On wróci.

- Oczywiście - zapewniła ją Ewa.

- Muszę iść pracować. - Matylda skierowała się na poddasze.

On wróci - myślała gorączkowo. - Nie mogę jak jakaś idiotka wpadać w panikę tylko dlatego, że pojechał do siostry i nie zostawił wiadomości. On wróci, żeby sprzedać falsyfikaty. I żeby się ze mną zabawić w babcię i Mussoliniego. Obiecał mi to przecież. A on zawsze dotrzymuje obietnic.

On jest oszustem - przemknęło jej przez myśl, zaraz jednak powtórzyła sobie z uporem: On wróci, ty głuptasie.

Musi wrócić. Pojechał przecież jej furgonetką.

Ronald, zjawiwszy się wreszcie, nie sprawiał wrażenia człowieka, który czuje się winien, a to jeszcze bardziej rozwścieczyło Cleę. Wciągnęła go do sypialni i zamknęła dokładnie drzwi, choć to ostatnie chybiało celu, bo przecież ten drań Mason pragnął nie jej, tylko Gwen Goodnight.

- Dałeś Davy'emu Dempseyowi numer mojego konta - wyrzuciła z siebie z wściekłością. - Zdradziłeś mnie.

- On mnie pobił! - Ronald wcale nie wyglądał na pobitego. - A poza tym, jakie ty masz prawo mówić o zdradzie? Ty, która żyjesz z innym. Ty, która...

- Davy opróżnił moje konto, Ronaldzie - powiedziała Clea, zbliżając się do niego. - Zabrał mi wszystkie pieniądze. Mężczyźni, którym w życiu ufałam, zostawiali mnie zawsze bez grosza. Teraz znowu jestem bez grosza. I zawdzięczam to tobie, bo pomogłeś Davy'emu, który mnie pozbawił pieniędzy.

- Ty wcale nie jesteś bez grosza - zaprotestował Ronald. - Możesz sprzedać swoją kolekcję.

- Kolekcji też mnie pozbawił. - Clea poczuła wściekłość na samo wspomnienie obrazu Scarlet. - Pozbawił mnie wszystkiego.

- Jest jeszcze to.

Ronald wskazał malowane krzesło, które Mason nabył dla Clei w galerii.

- Ależ Ronaldzie, to jest chłam - wysyczała Clea. - Ja straciłam majątek, a ty chcesz, żebym została handlarzką starzyzną?

- To nie jest wcale chłam ani starzyzna - oświadczył Ronald - To jest dzieło Scarlet Hodge.

- Wcale nie. To jest... - Clea przyjrzała się krzesłu, które rzeczywiście trochę przypominało obraz Scarlet. - To jest dzieło innego artysty - dokończyła.

- To jest dzieło Scarlet - upierał się Ronald. - Dla mnie stało się to oczywiste, kiedy wczoraj w galerii przyjrzałem się tym meblom. No wiesz, po tym jak mnie zostawiłaś samego koło bufetu. Chciałem ci o tym powiedzieć. Ale ty rozmawiałaś z VIP-ami. Takimi jak Mason.

Clea znów popatrzyła na krzesło. Ono rzeczywiście musiało wyjść spod ręki Scarlet - pomyślała.

- Spójrz na te motywy - mówił Ronald. - Na dobór kolorów. Na pociągnięcia pędzlem. To jest malowane tą samą ręką. A teraz co do Masona...

Clea machnęła ręką i usiadła, zastanawiając się gorączkowo. Może Ronald ma rację? Może to Matyllda Goodnight jest Scarlet Hodge? A jeżeli tak, to czy to jest zgodne z prawem?

- Cleo, ty mnie nie słuchasz - powiedział Ronald.

- Ronaldzie, czy malowanie pod cudzym nazwiskiem jest sprzeczne z prawem?

- Tak - potwierdził Ronald. - To fałszerstwo. Ale mnie to nie obchodzi. Ja chcę ci powiedzieć, że Mason nie jest człowiekiem, za jakiego go masz. On...

- Zaleca się do Gwen Goodnight - dokończyła Clea. - Wiem o tym. Ale daj mi się zastanowić.

Po co Matyllda Goodnight podrabiała prace Scarlet Hodge? Musiały się za tym kryć pieniądze, ale ją, Cleę, interesuje teraz jedynie to, że ma coś na Matyldę, z którą sypia Davy. A Davy ogromnie troszczy się o kobiety, z którymi sypia - o tym ona sama wie najlepiej, z własnego doświadczenia.

- Cleo...

- Cicho bądź! Ja myślę.

Musi więc zagrozić, że wyda sekret Matyldy. I to wystarczy - Davy odda jej pieniądze. Clea zmarszczyła brwi. Chociaż nie - on nie zrobi tego tak łatwo. Trzeba mieć przeciwko Matyldzie jakiś dowód. A takim dowodem będzie obraz. Jaki stąd wniosek? Ano taki, że musi ten obraz zdobyć.

Davy z całą pewnością dał go Matyldzie Goodnight. Tak, obraz jest w jej rękach, nie ma co do tego wątpliwości.

- W jaki sposób można udowodnić, że coś jest falsyfikatem? - zapytała RONALDA.

- Są różne sposoby - odrzekł Ronald, marszcząc brwi. - Ale my teraz musimy pomówić o nas.

- Przedstaw mi jeden z tych sposobów - poprosiła.

- Trzeba obraz pokazać domniemanemu autorowi - odrzekł zirytowany. - Cleo, ja do tej pory byłem bardzo cierpliwy. Ale nadszedł czas, by...

- Możesz wymienić kolejny sposób? - obstawała przy swoim Clea.

- Trzeba obraz pokazać komuś, kto z jego autorem pracował, kto był świadkiem, jak obraz powstawał - odrzekł Ronald. - A teraz pomówmy o nas...

Homer Hodge! To oczywiste. Mason jeszcze go nie odnalazł, musi więc to zrobić sama. I zrobi, takie zadanie to dla niej pestka. Chociaż z drugiej strony może się ono okazać niemożliwe do wykonania. Jednak w takim wypadku Matyllda przecież nie będzie miała o tym pojęcia.

- Cleo, czy ty mnie słuchasz? - nalegał Ronald, przerywając tok jej myśli.

- Ronaldzie, ty mnie zdradziłeś!

Ronald poczerwieniał i zaczął się tłumaczyć:

- On mnie do tego zmusił, Cleo...

- Ale ja ci wybaczę - mówiła dalej Clea - jeżeli przez parę dni będziesz trzymał Davy'ego Dempseya z daleka ode mnie.

- Davy'ego tu nie ma. Dzwoniłem do niego dziś rano, a jego nie było.

Wziął moje pieniądze i uciekł - pomyślała Clea. - Biedna Matylda Goodnight - dodała w myśli z ironią, a głośno powiedziała:

- Nie było go? To świetnie. Ale Ronaldzie, ja muszę odzyskać swoje pieniądze.

- Posłuchaj, Cleo, ja nie mam numeru jego konta - zarzekał się Ronald. - On zmienił ten numer. I z całą pewnością mi go nie ujawni, przecież mi nie ufa.

- Dość tego - warknęła Clea. - Sama odzyskam pieniądze! Ale muszę mieć na to czas. Więc idź już sobie!

- Cleo, nie możesz mnie wciąż tak odpychać - zaprotestował Ronald. - Ja wiem coś, co ci się może przydać.

- Ronaldzie, ja przez ciebie straciłam trzy miliony. Powinieneś być mi wdzięczny, że nie kazałam Fordowi wyrzucić cię na bruk z górnego piętra jakiegoś wieżowca.

Ronald przełknął nerwowo ślinę.

- Ale teraz mam do ciebie prośbę: bądź tak dobry i idź już sobie. - Clea była stanowcza. - Muszę się zastanowić.

Ronald próbował protestować, ale ona to zignorowała i pozbyła się go wreszcie. Potem zaczęła planować. Najpierw odzyska obraz.

A raczej obrazy - wszystkie, które są w posiadaniu Matyldy. Mason mówił, że jest ich sześć. Matylda zapewne ma je u siebie, bo Davy bez wątplenia zdobył je dla niej. No więc ona, Clea, odzyska wszystkie sześć obrazów Scarlet Hodge i podaruje je Masonowi. Tak, tak zrobi. A wtedy Gwen Goodnight nie zdoła jej przebić.

Następnie zadzwoni do Davy'ego i zagrozi, że wpakuje Matyldę do więzienia, wskutek czego on zwróci jej pieniądze. Bo Davy jest mężczyzną, który dla swojej kobiety zrobi wszystko. Na tę myśl poczuła ukłucie w sercu. Pożałowała także, że wtedy, przed laty, rzuciła Davy'ego. Zaraz jednak przypomniało się jej, że Davy był wówczas bez grosza, a Zane miał duże pieniądze. Davy później doszedł do pieniędzy, ale jedynie dzięki temu, że ją okradł. Wysnuła z tego gorzki wniosek, że człowiek w życiu może liczyć tylko na siebie. A więc plan jest następujący.

Najpierw odbierze obrazy Matyldzie.

Następnie odbierze pieniądze Davy'emu.

Potem podaruje obrazy Masonowi i będzie go uwodziła tak długo, aż on zapomni o Gwen. A jeżeli o niej nie zapomni, to zajmie się nią Ford.

- Dobrze - powiedziała głośno i rozejrzała się po pokoju, w którym już od dawna nie było RONALDA.

- Dobrze - powtórzyła i ubrała się. Pora zobaczyć się z Matyldą.

- On jest w środku - poinformował Phin Davy'ego, stojąc na stopniach przed wejściem. - Podoba mu się Temptation. Chce tu osiąść, gdy przejdzie na emeryturę. I przywiózł ze sobą tę albinoskę.

- Dorcas nie jest albinoską - sprostował Davy. - Ona tylko nie wychodzi zbyt często na słońce. Czy prosił o pieniądze?

- Nie. Ale jest całkiem możliwe, że czyni to w tej chwili - oznajmił Phin. - Korzystając z mojej krótkiej nieobecności. Boże, jakież on męczący! Chyba dam mu jakąś sumę, po to tylko, żeby się stąd wyniósł.

- Taki rozwój wypadków jest prawdopodobnie zgodny z jego własnym planem - powiedział Davy.

- To jest rozsądny plan. I skuteczny - stwierdził Phin.

- Wcale nie - zaprzeczył Davy, otwierając drzwi. - Cześć, tato - powiedział, wchodząc. - Zabawne, że się tutaj spotykamy.

- Davy! - zawołała Sophie i zerwała się z kanapy, na której siedział Michael, kołysząc na kolanie rumiane dziecko.

Sophie uściskała Davy'ego, a potem trzepnęła go po ramieniu.

- Gdzie ty się podziewałeś? Davy pocałował ją w policzek.

- Cieszę się, że cię widzę. Prezent z okazji waszej rocznicy ślubu jest w samochodzie. Weź męża i idź go zobaczyć.

- Nasza rocznica jest dopiero we wrześniu - zdziwiła się Sophie.

- Mimo to chodźmy zobaczyć ten prezent. - Phin wziął ją za rękę.

- Ale... - zdążyła wyjąkać Sophie i już jej nie było, bo Phin pociągnął ją za sobą.

- Musimy porozmawiać - zwrócił się Davy do Michaela. Wziął małego Dempseya i dał go przerażonej Dorcas, która siedziała obok, zakłopotana i całkiem w tym wszystkim zagubiona.

- Ja wracam do domu - oświadczyła, patrząc na Dempseya, tak jakby był kosmitą.

- Jego matka zaraz się tu zjawi - uspokoił ją Davy i szarpnął Michaela za ramię, zmuszając go, żeby wstał. - Spodoba ci się weranda na tyłach domu - zapewnił go. - Można tam porozmawiać w cztery oczy. Ruszaj się, tato.

Rozdział dwudziesty

- Słuchaj no - próbował zaprotestować Michael, ale Davy wyprowadził go siłą.

- Cześć, wujku - przywitała go stojąca koło lodówki Dillie, gdy przechodzili przez kuchnię. - Chcesz czekoladkę Dove?

- Cześć, kotku - odrzekł Davy. - Nie, nie chcę.

Otworzył siatkowe drzwi i wyprowadził Michaela na werandę.

- Słuchaj... - Michael wyprostował się. - Ja...

- Rozejrzałeś się tutaj? - zapytał Davy. Michael sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Ja nie... - zaczął, ale Davy mu przerwał.

- To jest bardzo małe miasto - powiedział. - Takie samo jak wszystkie poprzednie, w których nas kompromitowałeś. Co więcej, w tym mieście mieszka Sophie. Ma tu męża i dwoje dzieci. I jest burmistrzem, na miły Bóg. A ty, swoim zwyczajem, możesz jej to wszystko w jednej chwili odebrać.

- Ależ ja nie mam zamiaru skrzywdzić mojej córki! - zarzekał się Michael.

- Nie masz zamiaru! Oczywiście że nie masz zamiaru. Ale zrobisz to! Jak zawsze. Przecież się nie powstrzymasz i będziesz oszukiwał. Ty oszustwo masz we krwi! Chociaż chcesz być uczciwy.

- O nie, co to, to nie! Ja wcale tego nie chcę - zaprzeczył gwałtownie Michael. - I nigdy nie chciałem.

- A ja tak - wyznał Davy z westchnieniem. - Ja chciałem żyć uczciwie. Rzecz w tym, że to nie wychodzi. Człowiek taki jak ty czy ja musi oszukiwać, żeby czuć, że w żyłach krąży mu krew. Tato, ty zniszczysz Sophie. Mając najlepsze intencje pod słońcem, zniszczysz ją. Ja ci to mówię.

- Przesadzasz - odrzekł Michael. - A teraz puść mnie. Ja wracam do mojego wnu...

- Na ile masz zamiar ją naciągnąć? - zapytał Davy, a Michael, chyba po raz pierwszy w życiu, zaczerwienił się. - Tylko na małą pożyczkę, prawda?

- Potrzebne mi pieniądze, które będę mógł postawić. Niewielka suma.

Davy wyjął z tylnej kieszeni kopertę.

- W tej kopercie jest sto tysięcy - powiedział, a Michael zamarł w bezruchu. - Zamierzałem dać ci te pieniądze, żebyś wyjechał. One będą twoje, jeżeli obiecasz, że nigdy tu nie wrócisz. Chyba że w moim towarzystwie.

- Ale przecież tutaj jest moja rodzina - zaprotestował oburzony Michael. - Mój wnuk...

- Posłuchaj, tato. Ja w ciągu ostatnich paru dni nauczyłem się bardzo wiele. Między innymi przekonałem się, że to, co mi powiedziałeś w zeszłym tygodniu, jest prawdą. Muszę przyjąć do wiadomości, że jestem tym, kim jestem. Bo inaczej marny mój los. A jestem twoim synem.

- Czy to źle? - zapytał Michael. - Ja przecież dałem ci wykształcenie, jakiego nie zapewniłby ci nikt inny.

- Wiem - odrzekł Davy. - I jestem ci za to wdzięczny. Ale teraz chodzi nie o mnie, tylko o Sophie. To ona po śmierci mamy uratowała nas wszystkich. Dlatego ja zrobię co w mojej mocy, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Zrobię w tym celu wszystko, łącznie z wrzuceniem ciebie do rzeki z kamieniem u szyi. - Tu Davy podniósł w górę kopertę. - To jest dla ciebie, pod warunkiem że wyjedziesz i zostawisz Sophie w spokoju. Jeżeli chcesz, możesz przeliczyć.

- Nie - powiedział Michael. - Ja ci ufam.

- Mówisz to chyba ironicznie.

- Tu wchodzi w grę złodziejski honor.

- Weź te pieniądze - rzekł Davy. - I pamiętaj: od tej chwili, gdy zjawisz się w Ohio, przyjeżdżasz prosto do mnie. I twoja noga nie postanie w tym domu bez mojej eskorty.

- Ty masz zamiar mieszkać tutaj? - Przerazona mina Michaela świadczyła o tym, co myśli o miasteczku Temptation.

- Będę mieszkał w Columbus. - Davy podał Michaelowi kopertę. - Weź to. Może z pomocą tych pieniędzy jeszcze bardziej się obłowisz. A jeżeli nie, to przez parę miesięcy dobrze za nie pożyjesz.

Michael wziął kopertę.

- Nie miałem zamiaru tu zostać - tłumaczył się tonem człowieka zmęczonego i skruszonego. - Chciałem tylko zobaczyć Sophie i Amy. I dzieciaka. Małego Dempseya. Chciałem się upewnić, że nasz ród nie wygaśnie.

- Nie wygaśnie. Mogę cię o tym zapewnić.

- Matylda. - Michael pokiwał domyślnie głową. - Świetnie - pochwalił i spojrzał na Davy'ego, przekrzywiając głowę. - Może będę mógł do was przyjechać na Boże Narodzenie? Żeby się zorientować, jak wszystko się układa.

- Ale najpierw zadzwoń - uprzedził Davy. - Bo możemy być zajęci.

- Jesteś bezwzględny sukinsynem - orzekł Michael, chowając kopertę do kieszeni marynarki. - Masz to po rodzinie ze strony matki. Po tych wszystkich klekach, którzy człowieka chcą zbawiać nawet kosztem jego śmierci.

- Możecie z Dorcas wrócić do Columbus dziś wieczorem - zezwolił łaskawie Davy.

- Dorcas wraca natychmiast - oznajmił Michael. - Mówi, że dobrze się bawiła, ale chce malować. Natomiast ja muszę tu zostać na noc. - Uspokoił Davy'ego gestem podniesionej dłoni. - Naprawdę muszę. Amy zaprosiła nas na jutro na obiad. Jest bardzo tym przejęta. Poza tym jutro po południu Dillie ma mecz softballu, na który obiecałem

przyjść. Nic złego nie zrobię, Davy - obiecał, poklepując kieszeń marynarki. - Teraz już nie muszę. Daj mi te dwa dni.

- Jeżeli ograniczysz się do gry w Piotrusia z Dillie, to pozwolę ci... - zaczął Davy.

- Masz moje słowo - przerwał mu Michael ku jego zaskoczeniu.

- A więc dobrze - zgodził się Davy w chwili, gdy na werandzie pojawiła się Sophie.

- To łóżko jest cudowne! - zawołała. - Ale co się dzieje? - dodała zaraz, widząc minę Michaela.

- Nic. - Davy uśmiechnął się. - Słyszałem, że jutro idziemy na mecz softballu, a potem na wyzerkę do Amy.

A później, w niedzielę, musimy jechać - dodał trochę głośniej, widząc, że w drzwiach stoi Phin.

- To za krótko będziecie - Sophie patrzyła na niego, a nie na Michaela. - Jak się miewa twoja gospodyni?

- Ona ma na imię Matylda - odrzekł Davy. - Opowiem ci o niej.

Tymczasem Matylda na swoim poddaszu przyglądała się sześciu obrazom Scarlet. Ustawione w szeregu, stanowiły niezłą zbieraninę. Pierwszy miał okropną tanią ramę, drugi i trzeci były w dobrym stanie, a pozostałe trzy wymagały oczyszczenia.

A szósty i ostatni był niedokończony.

I należało go dokończyć.

Matylda usiadła przed nim na podłodze i dotknęła zamazanych głów tancerzy. Pamiętała dawną ranę, nie czuła już jednak bólu. Andrew jest dobrym człowiekiem. I ona go kocha. Ale Andrew to nie Davy.

Eqże - powiedziała sobie - czy ty nie wmawiasz sobie tej miłości do Davy'ego? Przecież nie jest trudno przekonać siebie, że kocha się faceta, który kradnie dla ciebie obrazy, który przywraca ci galerię, który traktuje cię po partnersku, który ci mówi, że jesteś wspaniała i piękna, który się z tobą kocha aż do utraty tchu i który zapewnia cię o swojej miłości...

Nietrudno, ale ja sobie tej miłości nie wmawiam. Ja go kocham naprawdę.

Ponownie dotknęła obrazu. Chyba czas najwyższy, żeby go dokończyć. Czas stać się znowu Scarlet i zacząć malować...

- No, wreszcie cię znalazłam - powiedział ktoś za jej plecami.

Matylda odwróciła się raptownie i zobaczyła Cleę Lewis stojącą w całej swej krasie na środku pokoju.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała, tak zaszokowana jej obecnością, że zapomniała o grzeczności.

- Znalazłam cię i te obrazy - mówiła dalej Clea. - Davy zdobył dla ciebie wszystkie sześć, prawda?

- Yyy... - Matylda nie bardzo wiedziała, jak z tego wybrnąć.

- Byłam pewna, że to zrobi. Davy zawsze zdobywa to, czego pragnie. - Na twarzy Clei pojawił się uśmiech.

- On wyjechał, prawda?

- Na parę dni. - Matylda podniosła dumnie głowę.

- Nie - zaprzeczyła Clea. - Davy, wyjeżdżając, wyjeżdża na dobre. Ale zostawił ci obrazy. To do niego podobne, bo on jest bardzo hojny. Co za szkoda, że nie jest bogaty - dodała z żalem.

- On wróci - powiedziała Matylda stanowczo. - Ale co ty robisz w mojej sypialni?

- Przyszłam po te obrazy. To oczywiste - odrzekła Clea.

- I ja mam ci je tak po prostu dać? - Matyldę zdumiał jej tupet. - Niby dlaczego?

- Ponieważ wtedy ja nie rozgłoszę, że ty jesteś Scarlet - odparła Clea - a osoby, od których wycygniłaś obrazy, nie dowiedzą się, kim jesteś. I nie pójdiesz dzięki temu do więzienia, a rodzina, którą utrzymujesz, nie będzie musiała głodować. Sądzę, że to dobra propozycja.

Clea mówiła tonem przyjaznym, jej oczy były jednak lodowate. Ona wie o Gwennie i Masonie - pomyślała Matylda, a głośno zapytała:

- Wydaje ci się, że dzięki tym obrazom odzyskasz Masona? Na twarzy Clei pojawił się brzydki grymas.

- To nie twój interes - warknęła.

Matylda kiwnęła głową, próbując zyskać na czasie.

- Te obrazy trzeba oczyścić. Poza tym pierwszy trzeba wyjąć z tej taniej ramy. Mason by na taką ramę nawet nie splunął. No i... - Spojrzała na ostatni obraz, ten który pomazała pędzlem i którym cisnęła w ojca, gdy ten powiedział jej, że urodziła się, by malować, a nie być kochaną - ... jest jeszcze ten, który muszę dokończyć. Przyniosę ci je jutro.

- Jutro? - powtórzyła podejrzliwie Clea.

- Do jutra farba wyschnie - zapewniła ją Matylda. - Przyniosę ci je do domu. Możesz mi zaufać.

- Nie mogę ufać nikomu - rzekła Clea. - Ale tym razem będę musiała. A zatem jutro rano.

- Tak - obiecała Matylda, patrząc na ostatni obraz. - Jutro będziesz je miała u siebie.

Popołudnie w galerii upłynęło spokojnie. Było sporo klientów, a gdy ostatni z nich wyszedł o piątej i gdy Mason poszedł już do domu, Gwen zamknęła na klucz drzwi frontowe i zwróciła się do Nadine.

- Czy masz numer Tomasza? Jego rzeczy są wciąż u nas. Aha, i jeszcze jedno, czy możesz wynieść śmiecie?

- Oczywiście. - Nadine poklepała ją po plecach. - Nie mam numeru Tomasza, ale muszę wyprowadzić Steve'a. Więc za jednym zamachem wyniosę śmiecie. Przyznasz mi rację, gdy powiem, że Steve był dzisiaj dobrym pieskiem galeryjnym?

Gwen popatrzyła na Steve'a, który położył się na podłodze i westchnął.

- Wiem - zwróciła się do niego. - Ciężkie życie.

- On takie życie uwielbia - stwierdziła Nadine i otworzyła drzwi biura. - Chodź, szczeniaczku, wyniesiemy śmiecie i wysiusiamy się koło śmietnika. Lubisz to przecież robić.

Steve podreptał za nią, podobnie jak Ethan, a Gwen pokręciła głową nad podejściem do życia wnuczki. Tej dziewczyny nic nie wyprowadzało z równowagi.

Chwilę później Nadine była z powrotem, cała rozdygotana.

- Zadzwoń pod 911 - powiedziała zdyszana. - Za śmietnikiem jest trup.

- Davy?! - zawołała Gwen ze ściśniętym sercem.

- Nie - sprostowała Nadine. - To nie Davy. To Tomasz.

Matylda wyjęła pierwszy obraz z taniej ramy, oczyściła te, które wymagały oczyszczenia, i zabrała się za ostatni, niedokończony. Oświetliła go odpowiednio i zaczęła mu się przyglądać. Musi dopasować swój obecny styl do dawnego sposobu malowania. Żadnych szkiców, żadnego podmalowywania, tylko szerokie pociągnięcia pędzlem. I żadnych wahań, bo wtedy obraz natychmiast zacznie skrzeczeć: „Jestem podróbką!”. I będzie kompletnie zepsuty.

A ona nie chce go przecież zepsuć.

Potrzebna mi praktyka - pomyślała. - Muszę poćwiczyć swój dawny styl. Pociągnęła kilka razy pędzlem po papierze gazetowym, ale to, co spod tego pędzla wyszło, nie było zadowalające. No cóż, nie jestem już Scarlet. I na dodatek nie mam pewności, kim właściwie jestem.

Ale Davy ma taką pewność - myślała dalej. Tylko że Davy znajdował się w Temptation. A ona tutaj, zupełnie sama, musiała znowu wyprodukować falsyfikat.

Potrafię to zrobić - powiedziała sobie i rozejrzała się po białym pokoju. - Muszę sobie tylko przypomnieć. Wzięła do ręki kawałek węgla i zaczęła rysować na ścianach kontury liści. Z rozmachem, tak jak Scarlet. A potem wypełniała kontury kolorami. Liście natychmiast ożyły, stały się liśćmi, których chciało się dotykać. Tak właśnie czyniła Scarlet - tworzyła obrazy, w które po prostu chciało się wejść. Była młoda, szczęśliwa i zakochana. I całą swoją radość zawarła w swoich...

Ach tak, radość. Radość, a raczej jej brak - to jest klucz do ostatniego obrazu, uświadomiła sobie Matylda, malując zamazyście kolejny liść. Scarlet przestała tworzyć, bo Andrew pokochał Ewę i ona z tego powodu nie potrafiła już namalować radości. Brak miłości spowodował jej twórczą niemoc. Ale teraz znowu kocha. Kocha Davy'ego. Więc może czas, żeby zaczęła znowu tworzyć. Bo przecież kocha i wierzy w przyszłość, i wie, że Davy do niej wróci.

Spojrzała na dżunglę namalowaną na ścianach. To jasne, że urodziła się, by malować właśnie tak.

Wzięła ostatni obraz Scarlet, oświetliła go dobrze i bez wahania zabrała się do malowania dwojga ciemnowłosych kochanków, którzy przy świetle księżycy wyciągają ku sobie ramiona, by się połączyć na zawsze.

W uścisku stanowiącym prorocstwo jej własnej przyszłości.

Gwen wykręciła 911, wezwała policję, po czym wybiegła z domu. To naprawdę był Tomasz. Leżał rozciągnięty na ziemi za śmietnikiem. Był blady jak ściana, a głowę miał całą zakrwawioną.

- Czy jesteś pewna, że on nie żyje? - zapytała Gwen Nadine.

- Zresztą mniejsza o to. Poczekamy, nie dotykając ciała i... - Przerwała, przypominając coś sobie nagle. - Muszę iść na górę. Odwróćcie się do niego tyłem i niczego nie ruszajcie.

- Ależ, babciu, my nie jesteśmy kretynami - powiedziała Nadine, wciąż dygocząc.

- Po prostu nie patrzcie na niego - rozkazała Gwen i pobiegła na pierwsze piętro.

- Zabawne - powiedziała drżącym głosem, gdy otworzył jej Ford.

- Nadine poszła wyrzucić śmiecie, a za śmietnikiem był trup.

- Czy to ktoś, kogo znamy? - zapytał Ford.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? - oburzyła się Gwen, a serce zamarło jej w piersi. - Nie wyglądasz na zaskoczzonego.

- Jestem zaskoczony - stwierdził spokojnie Ford. - Czy to ktoś, kogo znamy?

- To Tomasz. Ten, co zajmował się cateringiem, organizował przyjęcia. Ale tak naprawdę to on był z FBI.

Tu go trafiłam - pomyślała z satysfakcją, bo przez ułamek sekundy widziała w jego oku błysk.

- Z FBI? Organizował tam u nich przyjęcia? - Ford zadał to pytanie z kamienną twarzą.

- Nie bądź taki dowcipny. Policja już tu jedzie.

- Jesteś dziś trochę wrogo do mnie nastawiona - zauważył Ford.

- To prawda. Spowodował to trup leżący za śmietnikiem. - Gwen założyła ręce na piersi, odetchnęła głęboko i zapytała: - A ty nie wiesz przypadkiem, jak on tam się znalazł?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Ford. - A jak go zabito?

- Miał w głowie dziurę. Domyślam się, że to jest przyczyna jego śmierci.

- Hm, dziura w głowie. To wyklucza przyczyny naturalne oraz samobójstwo.

Gwen zacisnęła zęby.

- Czy to ty go zabiłeś? - indagowała. Ford popatrzył na nią z wyrzutem.

- Tak źle o mnie myślisz?

- No... - zaczęła zaskoczona Gwen.

- Posłuchaj - wpadł jej w słowo - gdybym to ja go zabił, on nie leżałby za twoim śmietnikiem. Ja nie jestem głupi.

- Och! - odetchnęła Gwen z widoczną ulgą. - Rzeczywiście, nie jesteś.

- Mogłabyś mieć trochę wiary we mnie.

- Słusznie. - Gwen cofnęła się. - Przepraszam.

- Jedynym facetem na świecie, którego mam ochotę zabić, jest Mason - oznajmił Ford. - Czy on jeszcze się tu kręci?

- Chyba tak. - Gwen nie miała pojęcia, co począć z takim oświadczeniem.

- To źle. - Ford cofnął się do wnętrza swojego mieszkania. - Kiedy pojawią się gliniarze, przyślij ich tutaj.

To rzekłszy, zamknął drzwi, zanim Gwen zdążyła coś powiedzieć.

- A wiesz? - zawołała. - Takie twoje zachowanie wcale mi nie poprawia samopoczucia!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, westchnęła głęboko i zeszła na dół, by spotkać się z policją.

Matylda dowiedziała się o Tomaszu dopiero wtedy, kiedy ekipa policyjna dotarła na jej poddasze. Zeszła więc na dół i zapytała:

- Co jest, do cholery?

- Sprawy nie przedstawiają się aż tak źle, jak sądziliśmy - odrzekła wesoło Gwennie, popijając wódkę z sokiem. - On nie jest martwy.

- Więc przedtem myślałaś, że on nie żyje, i nie przyszłaś po mnie? - Matylda naląła sobie drinka. Powinna chyba martwić się o Tomasza. Biedny człowiek. Czy on się z tego wykaraska? Ach, nie chcę o tym myśleć. Chcę malować!

- Wyglądał tak okropnie - powiedziała Gwen. - Leżał za śmietnikiem przez dwadzieścia cztery godziny. Policjanci sądzą, że rozmawiał tam z kimś wczoraj wieczorem i to ten ktoś walnął go kamieniem. Wcale nie zamierzając go zresztą zabić.

- O! - Matylda kiwnęła głową. - A jak się ma Ford?

- Mówi, że nie zostawiłby ciała za moim śmietnikiem - wyjaśniła Gwen. - A poza tym wydaje mi się, że gdyby on próbował kogoś zabić, to ten ktoś straciłby życie na amen. Bo on jest sprawny w działaniu.

- To prawda - potwierdziła Matylda. - Więc kogo podejrzewają?

- No cóż, nas. Oraz wszystkich, którzy odwiedzili galerię. Chcą rozmawiać z Davym i Michaelem, bo oni zniknęli stąd tak nagle.

- Z Davym... - powtórzyła Matylda.

- Zawiadomili już chyba policję w Temptation.

- O. Może dzięki temu Davy wróci.

- Właśnie - ucieszyła się Gwen. - Trzeba się koncentrować na tym, co jest naprawdę ważne.

- Muszę iść malować - oznajmiła Matylda i wróciła do dżungli wypełniającej jej pracownię na górze.

Skończyła obraz, gdy księżyc zaglądał do pracowni przez świetliki w dachu. Spojrzała na swoich tancerzy-kochanków - zmęczona i już spokojna. Oto zakończył się jeden etap jej życia, a zaczyna nowy. A potem popatrzyła na porośnięte niedokończoną dżunglą ściany. Steve leżał na łóżku, wyczerpany obserwowaniem jej.

- Powinniśmy malować, Steve - powiedziała do niego. - Jesteśmy na fali.

Włączyła odtwarzacz stereo i wzięła pędzel. Dusty Springfield zaśpiewała jej *I'd Rather Leave When I'm in Love*, a Brenda Holloway *Every Little Bit Hurts*. Potem jednak Matylda przestawiła się na Dixie Chicks. Davy był zdania, że trzeba słuchać muzyki z bieżącego stulecia. Podrygiwała na łóżku, malując złoty listek na wezglowiu. A zakończyła pracę o czwartej nad ranem, kiedy na ścianie nad łóżkiem zakwitły ogromne, pełne radości i szczęścia słoneczniki. Tymczasem Pippy Shannon śpiewała *I Pretend*.

- To nasza piosenka - poinformowała Matylda Steve'a, tak zmęczona, że nie mogła się śmiać.

„Kogo oszukuję? Oszukuję siebie” - zaśpiewała Pippy, a ona stwierdziła:

- A właściwie nie nasza, tylko moja. Powinam zwracać większą uwagę na słowa.

Cofnęła się, by popatrzeć na słoneczniki, i przypomniała się jej Klarysa, która mówiła: „Podpisz większymi literami”.

- Wiesz co, Steve - powiedziała, a Steve podniósł głowę i spojrzał na nią zamglonym wzrokiem. - Trzeba podpisywać swoje prace. To bardzo ważne.

Wybrała cienki pędzelek, wyszukała tubkę z czerwoną farbą, wycisnęła kroplę wielkości dziesięciocentówki, zanurzyła pędzelek w farbie i nabrała powietrza w płuca. A następnie drżącą ręką podpisała pierwszy obraz, dopisując imię „Matylda” ponad imieniem „Scarlet” i nazwisko „Goodnight” pod nim.

- Matylda Scarlet Goodnight - odczytała głośno. - Jej dzieło.

Zanurzyła pędzelek jeszcze raz i podeszła do krów. Tym razem jej ręka była pewniejsza.

- Matylda Scarlet Goodnight - odczytała znowu, tym razem z ogromnym przekonaniem. - Jej dzieło.

Podpisała wszystkie kolejne obrazy, a potem usiadła i przyjrzała się efektom. Czuła się cudownie.

- To są moje obrazy - zwróciła się do Steve'a. - Nikt mi już ich nigdy nie odbierze.

Nikt oprócz Clei, przypomniała sobie i spochmurniała. No cóż, pomyślę o tym jutro - obiecała sobie.

A potem włożyła pędzle do wody, położyła się do łóżka razem ze Steve'em i zapadła w głęboki sen.

Matylda wstała o dziewiątej, spakowała obrazy, włożyła bejsbolówkę - na szczęście - oddała Steve'a pod opiekę Ewy i Gwen i powiedziała im, dokąd się wybiera.

- Nie powinnaś tego robić - stwierdziła Ewa. - Popelniasz błąd.

- Mam nadzieję, że nie - odrzekła Matylda. - Mam nadzieję, że postępuję słusznie. Sądzę, że to musiało się zdarzyć i że zdarzyło się po to, żebym mogła podpisać swoje obrazy.

- Nie masz racji - zaprzeczyła Ewa, ale Matylda uściskała ją na do widzenia, pojechała do Clei samochodem Jeffa i zaparkowała przed domem.

Nie chcę ich oddać - pomyślała, patrząc na zapakowane obrazy. - A poza tym chcę dalej malować w ten sposób. I nie chcę już malować fresków.

Posiedziała przez chwilę bez ruchu, po czym znalazła w torebce telefon komórkowy i zaczęła dzwonić do klientów, w których domach miała namalować freski. Było ich sześcioro. Uspokajała każdą z tych osób, oferując jej

w zamian za fresk obrazy lub meble, a z każdym kolejnym telefonem malało napięcie, które czuła w karku. Zajął jej to wszystko ponad godzinę, a gdy skończyła, znowu spojrzała na zapakowane obrazy. Jeżeli ma z nich zrezygnować, to powinna za nie zyskać coś więcej.

Była już spóźniona. Nie wysiadła jednak z samochodu, tylko, usadowiwszy się wygodniej, przystąpiła do opracowywania planu.

- Gdzie jest Matyllda? - zapytał Davy, wchodząc.

- A ty gdzie się podziewałeś? - zawołała Gwen, bardzo na niego zła. - Tutaj wszystko się wali, a ty...

- Policja - wyjaśnił Davy. - Policja rozmawia jeszcze z tatą. Gdzie Matyllda?

- U Clei - odrzekła zgnębiona Gwen. - Zawiozła jej obrazy Scarlet.

- Dlaczego? - zdumiał się Davy.

- Ktoś poinformował Cleę, że Matyllda to Scarlet. To jest szantaż, ale co można na to...

- Cholera - zaklął Davy. - Nie ma mnie zaledwie przez jeden dzień, a u was od razu wszystko przewraca się do góry nogami!

Po tych słowach wyszedł, zanim Gwen zdążyła wymyślić jakąś ciętą odpowiedź.

- Do diabła z tobą - powiedziała, gdy już dawno zniknął, po czym poszła na górę po broszurę z krzyżówkami.

W holu natknęła się na Forda.

- Co się znowu dzieje? - dopytywał się Ford. - Słyszałem twój wrzask.

- Davy... - zaczęła.

- On wrócił? To dobrze, bo jest mi potrzebny. Gdzie on jest?

- Znowu wyszedł z domu. Pojechał do Clei, żeby ratować Matylldę.

- Do Clei?

Ford wszedł do swojego mieszkania, a Gwen ruszyła za nim.

- Co ty robisz? - krzyknęła, widząc, że bierze kaburę. - Nie, nie, ja na to nie pozwolę!

Stała w drzwiach, zasłaniając przejście.

- Na co mianowicie? Słuchaj, Gwen, robi się późno...

- Ja wiem, że ludzie, których... wiem, że skoro pojawiłeś się u ich drzwi, oni na to zasługiwali...

- *Zabijanie na śniadanie* - uśmiechnął się Ford. Gwen straciła pewność siebie.

- Wszyscy płatni mordercy znają ten film - oznajmił Ford. - To nasza *Casablanca*.

- W tym nie ma nic śmiesznego - stwierdziła Gwen. - Tony zawsze mawiał: „Jeżeli ktoś kupuje dzieła sztuki, które mu się nie podobają, po to tylko, żeby się popisać, to zasługuje na to, żeby być oszukany”. Ale moim zdaniem to nie jest w porządku. Ja... - Pokręciła głową. - Posłuchaj Ford, czy ty nie możesz po prostu przenieść się na Arubę? Proszę cię, zrób to. I załóż tam sierociniec.

- A po co u diabła miałbym zakładać sierociniec? - Ford był najwyraźniej zdumiony.

- Żeby odkupić swoje winy - rzekła Gwen. - Jeżeli natychmiast przestaniesz wykonywać ten swój zawód, to może...

- Ależ, Gwen...

- No bo wiesz, Matyllda naprawdę kocha Davy'ego. My nie chcemy, żeby on... - Gwen zająknęła się. - Żeby Davy... skończył tak jak Tomasz.

- Organizowanie przyjęć to nie jest życie dla mężczyzny - zgodził się Ford.

- Cholera jasna, Ford! - Gwen zatrzasnęła drzwi. - Mam dosyć mężczyzn, którzy nie traktują mnie poważnie. Najpierw, przez trzydzieści lat, Tony głaskał mnie po głowie. Teraz Mason chce się ze mną ożenić dla mojej galerii. A na dodatek ty stroisz sobie żarty, zamierzając równocześnie zabić mojego przyszłego zięcia. Niedobrze mi się robi od tego wszystkiego. Ja jestem kimś, z kim trzeba się liczyć! I, do jasnej cholery, nie zgodzę się na to, żeby ktoś mnie traktował protekcyjnie. Nie zgodzę się na kiepski seks ani na... - przerwała, widząc, że Ford zmienia się na twarzy. - Jeżeli zaczniesz się ze mnie wyśmiewać, zginiesz.

Ford podszedł tak blisko, że przyparł ją do drzwi.

- Kiepski seks, co? - powiedział.

Gwen westchnęła.

- Ja za niego nie wyjdę.

- O tym wiedziałem i bez twojego zapewnienia. A co do mnie, to wcale nie traktuję cię protekcyjnie. Ale teraz puść mnie, bo muszę wykonać do końca to swoje ostatnie zadanie.

- Nie - zaprotestowała Gwen, podnosząc dumnie głowę. - Nie puszcze cię. On jest przyszłością Matyldy, a ja nie pozwolę, żeby ktokolwiek stanął na drodze do szczęścia którejkolwiek z moich córek.

Ford popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Posłuchaj, Gwen, ile chcesz dać za uratowanie nędznego życia Davy'ego Dempseya?

Gwen przełknęła ślinę.

- Sporo.

Ford pochylił się i dotknął wargami jej ust.

- I co jesteś gotowa poświęcić dla tego celu? Gwen zagryzła wargę, żeby go nie pocałować.

- Prawie wszystko. - Dała się ponieść szlachetnym uczuciom. Ford nachylił się do jej ucha, a ona zamknęła oczy.

- A co by było, gdybyś nie musiała poświęcić niczego? Gwen zaczerpnęła powietrza.

- Upierałabym się - odrzekła.

- Davy Dempsey ma u ciebie dług wdzięczności - powiedział Ford i odłożył kaburę.

Na dole Simon natknął się na wychodzącego Davy'ego.

- Wróciłeś - powiedział. - To dobrze. Możemy wyjeżdżać.

- Ja zostaję - odrzekł Davy. - A teraz muszę iść. Pogadamy później.

- A ja nie zostaję - oznajmił Simon. - Rozmawiałem wczoraj z Ewą.

Davy zatrzymał się.

- A właśnie. Miałem ci powiedzieć: Luiza to Ewa.

- Wiem - odparł ponuro Simon. - Czy ty masz pojęcie, co ja wyrabiałem z matką Nadine?

- Mniej więcej - zachichotał domyślnie Davy.

- Nigdy nie będę mógł spojrzeć temu dziecku w oczy - westchnął Simon.

- Przejdzie ci. Ale ja muszę już iść. Przyjedź na wesele.

- Zaczekaj - poprosił Simon, ale Davy już zmierzał do furgonetki.

Clea siedziała właśnie przy toalecie - czekając na Matyldę i planując sobie, że ofiaruje Masonowi sześć obrazów oraz najlepszy pod słońcem seks - gdy do jej sypialni wkroczył Ronald i zamknął za sobą drzwi.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział z taką dozą stanowczości, na jaką go było stać.

- Nie teraz, Ronaldzie. Jestem umówiona.

- Czas, żebyś wybrała, Cleo. - Ronald podniósł dumnie głowę i usiłował wysunąć do przodu swój cofnięty podbródek. - On albo ja.

Cleo zamknęła oczy. Chryste Panie, ci jej mężczyźni! Może nie jest za późno, żeby zostać lesbijką. Przecież gdzieś na świecie muszą istnieć jakieś bogate starsze kobiety.

- Ronaldzie, mówiłam ci, że to nie jest dobry moment...

- To jest jedyny moment, Cleo. Ronald znowu próbował być stanowczy.

- Posłuchaj - zaczęła Cleo, ale w tej samej chwili ktoś poruszył gałką u drzwi. - To może być Mason. - Cleo wstała. - Ty mi rujnujesz życie, Ronaldzie.

Ronald rozejrzał się.

- Ja nie mogę...

Cleo wzięła go za ramię i zaciągnęła do garderoby.

- Wejdz za ubrania i bądź cicho - szepnęła, po czym zamknęła drzwi, ale zaraz otworzyła je ponownie i przykazała mu: - Trzymaj się prawej strony.

A potem, poprawiając włosy, skierowała się do drzwi, żeby otworzyć Masonowi. Okazało się jednak, że za drzwiami stoi Davy Dempsey.

- Chryste Panie! - Cleo wciągnęła go do środka. - A co ty tutaj robisz?

- Widok tego pokoju budzi moje najmilsze wspomnienia - odrzekł Davy.

- Nigdy się tu nie kochaliśmy.

- Ja nie mówię o tobie - sprostował Davy i zaraz dodał: - Chcę ci coś zaproponować.

W łagodnym świetle sączącym się przez okno sypialni wyglądał zupełnie dobrze - z szerokimi barami, wysoki i pewny siebie. Ale Cleo miała dość różnych propozycji. Zresztą, prawdę mówiąc, sama zamierzała złożyć propozycję jemu.

- Nie - powiedziała. - Wynoś się...

Davy wziął ją pod brodę i uniósł nieco jej głowę, a ona poczuła takie podniecenie, jakiego nie doświadczała od długiego czasu, bo Mason zachowywał się w łóżku jak prawdziwy dżentelmen, a o Ronaldzie nie było co nawet mówić. Z Davym natomiast opłacało się spać, nawet kiedy był bez grosza.

- Dam ci milion dolarów... - zaczął Davy.

- Okej - szepnęła Cleo, patrząc w stronę garderoby. - Ale musimy być cicho.

- ... jeżeli zostawisz Matyldzie jej obrazy i nigdy więcej nie zbliżysz się do nikogo z rodziny Goodnightów ani do ich galerii - dokończył.

- O. - Clea odepchnęła jego rękę. - Mnie te obrazy są potrzebne. Chcę je dać Masonowi. On...

- Oświadczył się innej kobiecie - dopowiedział Davy. - Konkretnie Gwennie Goodnight. Poprosił ją o rękę. Nie rozumiem, dlaczego tak się na niego uparłaś. Rabbit cię pragnie.

- Óśś - szepnęła Clea. - Kto to jest Rabbit, do cholery?

- Ronald Abbott, twój wspólnik w przestępstwie - sprecyzował Davy. - On cię pragnie. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. - Tu zajrzał jej za dekolt. - Dobra: i Bóg, i ja wiemy dlaczego.

- Ronald jest bez grosza - szepnęła znowu Clea. - I...

- Rabbit ma pieniądze - zapewnił ją Davy. - A nawet lepiej. On umie je robić.

- Mów ciszej. - Clea spojrzała na drzwi garderoby. - I nie próbuj mnie oszukać. On mi powiedział, że nie jest bogaty, ale mnie kocha. Mówił, że możemy żyć miłością. - Już samo wspomnienie tych słów wyprowadziło ją z równowagi. - Spójrz na mnie. Czy ja wyglądam na osobę, która może żyć miłością?

- Nie - zgodził się Davy. - Ale musisz się nauczyć mówić językiem Rabbita. On uważa, że bogaczem jest ten, kto ma dziesięć milionów, a każdy, kto ma mniej, tylko chce nim być.

- I ma rację - powiedziała Clea. - Słuchaj, porozmawiam z tobą później, a teraz...

- Posłuchaj mnie uważnie, Cleo. Rabbit ma dość forsy, żeby ci kupić obiad, a nawet kilka obiadów. Co więcej, on chce ci je kupić, czego nie można powiedzieć o Masonie. A na dodatek - tu Davy pochylił się, wpatrując się w Cleę szalonymi brązowymi oczami, a jej przemknęło przez myśl: Może powinnam była się go trzymać - na dodatek on weźmie ten milion i zrobi z niego dziesięć. On zna rynek, Cleo. Jest twoją największą szansą.

Clea zastanowiła się nad tym. No cóż, miło by było nie musieć tak okropnie się wysilać, żeby zatrzymać przy sobie faceta - pomyślała. - Może.

- A ty powinnaś tę szansę wykorzystać - przekonywał ją dalej Davy. - Musisz tylko obiecać mi dwie rzeczy.

- Dwie? - Clea nie traciła czujności.

- Po pierwsze, pozwolisz Matyldzie zatrzymać obrazy i zostawisz w spokoju jej bliskich.

- Naprawdę nie rozumiem, co ty widzisz w tej kobiecie. Jej ciało brak jędrności.

- Nie rozumiesz, bo nie masz o tych rzeczach pojęcia - odrzekł Davy. - A po drugie, Cleo, ty musisz przestać zabijać.

Clea spiorunowała go wzrokiem.

- Nikogo nie zabijam.

- Obserwowałem, jak pozwoliłaś umrzeć Zane'owi - powiedział ponuro Davy. - Zane był sukinsynem, ale...

- Ja myślałam, że on się upił - wyjaśniła Clea. - A kiedy już uświadomiłam sobie, że tak nie jest, musiałam dostać się do tej książeczki czekowej. Ale go nie zabiłam. To, że nie zadzwoniłam pod 911, to jeszcze nie morderstwo.

- A potem był twój ostatni mąż - mówił dalej Davy.

- Cyryla też nie zabiłam - warknęła zirytowana Clea. - Jedyńm facetem, z którym spałam i którego chciałam zabić, jesteś ty.

- A teraz jest Tomasz - kontynuował Davy.

- Tomasz?

- Wiem, że on cię szantażował - oznajmił Davy. - I domyślam się, że to był powód... Nie mogę jednak i nie chcę ci niczego udowadniać. Chcę natomiast, żebyś się stąd wyniosła. I musisz mi przysiąc, że nie zabijesz Rabbita, bo inaczej ja zemszczę się na tobie za nich wszystkich.

- Posłuchaj - zaczęła Clea, ale w tej chwili zachrobotała gałka u drzwi. - To Mason. - Wpadła w popłoch, zastanawiając się, gdzie ukryć Davy'ego. Matylda miała zjawić się lada chwila z obrazami, dzięki którym pojawi się szansa na odzyskanie Masona, a poza tym z Davy'ego można wycisnąć ponad milion. - Garderoba! - Popychała go stanowczo. - Jest głęboka.

- Naprawdę? - zapytał Davy.

- Trzymaj się lewej strony - syknęła i zamknęła za nim drzwi. - Po prawej trzymam różne eleganckie rzeczy.

Poprawiła szlafrok i - uśmiechając się wybacząco - otworzyła Masonowi. Jakież jednak było jej zdumienie, gdy za drzwiami zobaczyła Matyldę, która miała na głowie czarną czapkę bejsbolową z napisem „Suka”, a jej twarz w połowie przesłaniały te idiotyczne okulary. W rękach trzymała pakunek, którego rozmiary świadczyły o tym, że mógł zawierać aż sześć obrazów.

- Spóźniłaś się! - Clea wciągnęła Matyldę do pokoju i zamknęła drzwi na klucz. - Miałaś...

- Czy wiesz, że drzwi frontowe są otwarte?

- Obrazy! - rozkazała Clea i wyciągnęła po nie rękę. Ale Matylda cofnęła się.

- Jest jeden warunek.

Clea zmarszczyła z niedowierzaniem brwi.

- Nie możesz mi stawiać warunków!

- Mogę. - Matylda usiadła na łóżku. - Natomiast ty nie możesz mnie wydać policji, bo gdy to zrobisz, te obrazy będą całkiem bez wartości. A poza tym stracisz Masona. Aha, i dopilnuj, żeby przed ślubem Mason nie zobaczył podpisów.

Clea zacisnęła zęby.

- Czy Mason oświadczył się twojej matce?

- Tak - potwierdziła Matylda. - Ale ona za niego nie wyjdzie. Przeżywała tylko chwilę słabości. Już jej przeszło. Więc ty wciąż jeszcze nie wypadłaś z gry. Pod warunkiem, że będziesz miała te obrazy i że nikt, ale to nikt, się nie dowie, że one są podróbkami. To leży w interesie nas obu.

- Dobrze.

Clea uświadomiła sobie, że marszczy brwi, i wygładziła czoło. Do diabła z tymi ludźmi i niech cholera weźmie ich warunki! Przecież to, co oni wyrabiają, może pchnąć kobietę w ramiona kogoś takiego jak Ronald. Clea wyciągnęła rękę.

- Wezmę te obrazy i nigdy więcej się nie zobaczymy.

- To mi się podoba - pochwaliła Matylda, nie wypuszczając obrazów z rąk. - Ale jest jeszcze jedna rzecz.

Clea westchnęła.

- Jaka?

- Musisz zwrócić Davy'emu jego pieniądze.

- Co takiego?

- Pieniądze, które za twoim poduszczeniem zdefraudował Rabbit - wyjaśniała cierpliwie Matylda.

- Kto zdefraudował?

- Cleo, nie udawaj idiotki. Jeżeli chcesz dostać te obrazy, musisz zwrócić pieniądze Davy'emu.

- On już ma te pieniądze - powiedziała Clea. - Odebrał je w czwartek wieczorem, podczas tej waszej imprezy w galerii. - Matylda otworzyła usta ze zdumienia, a Clea poczuła satysfakcję. - Daj mi te obrazy.

- Nie wierzę ci - rzekła Matylda. - On został w Columbus po to, żeby odzyskać pieniądze. A skoro już je ma, to dlaczego nie wyjechał?

- Ty z nim śpisz, prawda? - zapytała Clea.

- Yyy, no tak - przyznała Matylda. Clea kiwnęła głową.

- Davy został w Columbus ze względu na seks. On potrzebuje go dużo. Daj te obrazy.

- Chwileczkę - zaczęła Matylda, ale ktoś znowu poruszył gałką u drzwi.

Tym razem był to Mason, który zawołał:

- Cleo?

- Pod łóżko! - rozkazała Clea Matyldzie, usiłując wyrwać jej pakunek z obrazami.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Matylda.

- Bo nie chcę, żeby Mason wiedział, że dostałam od ciebie te obrazy, - Clea wyrwała jej pakunek. - On nie może wiedzieć, że ja mam coś wspólnego z tobą i z tą waszą cholerną galerią.

- Cleo? - zawołał znowu Mason.

- Dobrze - zgodziła się Matylda. - Ale nie wejdę pod łóżko. Schowam się w garderobie.

- Nie! - zaprotestowała Cela, ale dała spokój, bo Matylda już otworzyła drzwi, a ponieważ Mason wciąż wołał, poszła mu otworzyć.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozległ się klakson taksówki, więc Simon ruszył do wyjścia, zadowolony, że opuszcza ten dom wariatów. Gdy jednak znalazł się przy drzwiach, rozległ się za nim głos Luizy:

- Zaczekaj, do cholery!

Simon odwrócił się i zobaczył Ewę.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - rzekł dumnie.

- Ale ja mam coś do powiedzenia tobie - oznajmiła ona.

Ostry głos umalowanej czerwoną szminką Luizy wydobywający się z miękkich różowych ust Ewy był tak niepokojący, że Simon się zatrzymał.

- Słuchaj no, chłoptasiu! - Podeszła do niego, odgrywając dominę - jesteś mi coś winien.

- Przyślę ci czek.

Simon pchnął drzwi, ale ona zastąpiła mu drogę. Była zbyt niska jak na Luizę, miała jak na nią zbyt delikatną cerę i zbyt jasne włosy jak na osobę, z którą on uprawiał seks, jej ciało jednak napierające na niego, było ciałem Luizy.

- Moja siostra oddaje właśnie swoje obrazy ekskochance twojego najlepszego kumpla po to, żeby odzyskać dla niego pieniądze. - Wpatrywała się w niego jasnoblękitnymi oczyma, które przyprawiały go o zawrót głowy, - A ty jesteś złodziejem.

- Nic widzę związku. - Simon zaczął zmieniać zdanie na temat kobiet, które są matkami.

A ona pochyliła się ku niemu - śliczna jak Ewa, seksowna jak Luiza i w sumie zabójcza - i czarowała go tymi swoimi dziwnymi oczami.

- Ukradnij je dla nas - szepnęła, a Simon przez chwilę poczuł się oszołomiony.

Jedź na lotnisko, ty idioto, i wsiadaj jak najszybciej do samolotu - pomyślał.

A głośno powiedział:

- Oczywiście.

I przepuścił Ewę w drzwiach.

Matylda utorowała sobie drogę między ubraniami i znalazła się aż pod ścianą garderoby, wciąż mając świadomość, że Davy, choć mógł, to jednak nie wyjechał. Może... - przemknęło jej przez myśl.

Czyjaś ręka zatkała jej usta. Matylda szarpnęła się.

- Musisz być bardzo cicho - wyszeptał jej do ucha Davy, a jej ciało na dźwięk tych słów odprężyło się z ulgą.

- Myślałam, że wyjechałeś. - Bardzo się starała, żeby nie zadrżał jej głos. - I że jesteś już w drodze do Australii.

- Musisz zmienić opinię na mój temat.

Davy pochylił się i pocałował ją namiętnie, a ona chwyciła go za koszulę na piersi i poprosiła:

- Nie opuszczaj mnie.

- Wcale nie mam zamiaru.

Pochylił się i pocałował ją jeszcze raz, a ona przygarnęła się do niego.

- Nigdy, nigdy mnie nie opuszczaj. To mam na myśli - wyjaśniła.

- Wiem, że to bardzo zniechęcające, ale...

- No tak - powiedział Davy z nutą ironii - bo ja nie znoszę, kiedy kobiety mnie pragną.

- ... ale ja naprawdę potrzebuję cię na zawsze, na zawsze i bez reszty...

- Masz mnie. - Davy znowu ją pocałował, a ona czując równocześnie pożądanie, ulgę i wdzięczność, przygłęła do niego całym ciałem. - Wiesz, może będę wyjeżdżał na krótko - wyszeptał Davy - żebyśmy mogli to powtórzyć.

- Możemy to powtarzać bez żadnych podróży. - Matylda wspięła się na palce i dotknęła jego twarzy. - W każdej chwili.

- To może za pół godziny, u ciebie?

- A może już teraz? Tutaj? Boże, nie mogę uwierzyć, że jesteś. Pragnę cię już teraz.

- No tak, ty lubisz garderoby.

- Powinniśmy urządzić garderobę na poddaszu. - Matylda ugryzła go w ucho.

- Au! - Davy objął ją mocniej.

- Wprowadzisz się do nas, prawda? - wyszeptała Matylda, odsuwając się trochę. - Będziemy mieszkali na poddaszu? Dobrze się czujesz z moją rodziną?

- Tak - potwierdził Davy, ale jego uwaga skierowała się już gdzie indziej. - Świetnie się czuję na poddaszu z twoją rodziną i z tobą. Ale czy słyszysz, o czym oni tam mówią?

Matylda przytuliła się do niego.

- Do diabła z nimi. Weź mnie.

Davy przysunął się do drzwi.

- Wierz mi, że bardzo bym chciał. Ale w sypialni jest Mason z Cleą, więc...

- A co nas to obchodzi?

- Mnie nic. Za tymi drzwiami jednak może dziać się coś, czego nie rozumiem.

- Ja chcę, żeby coś się działo między nami.

Pocałowała go w szyję.

- Wiem, ale...

- Weź mnie teraz, na stojąco pod tą ścianą. - Matylda mówiła to najzupelniej serio.

- Przepraszam - rozległ się obok jakiś głos.

Matylda, zaskoczona, aż podskoczyła, a Davy objął ją mocniej.

- Rabbit? - zapytał, odwracając się w ciemnościach.

- Czy to ten twój doradca finansowy? - wyszeptała Matylda.

- Nie dość, że trudno mi usłyszeć, co się dzieje w sypialni, to jeszcze wysłuchuję tych waszych sprośności! - oburzył się Rabbit.

- Ty uważasz, że to są sprośności? - zdziwił się Davy. - Posłuchaj, Rabbit, ty nie masz pojęcia...

- Słyszałem wszystko, co do niej mówiłeś - stwierdził Rabbit.

- Nie mówiłem nic sprośnego...

- Ta kobieta to naciągaczka. Chodzi jej tylko o pieniądze.

- Zważywszy na to, gdzie znajduje się jej ręka, nie sędzę, żeby tak było - zaprotestował Davy.

- On mówi o Clei - domyśliła się Matylda.

- Jej zawsze chodziło tylko o pieniądze - ciągnął zboląły Rabbit.

- Ach, mówisz o Clei! - rzekł Davy. - Masz rację. Clea to naciągaczka. Ale czy ty zauważyłeś to dopiero teraz?

- Ja ją kochałem - siąknął nosem Rabbit.

- Skoro tak, to jej postawa nie powinna mieć dla ciebie znaczenia - oświadczył Davy. - A teraz czy mógłbyś stąd wyjść? Bo...

- Ona zawsze pragnęła jedynie pieniędzy.

Rabbit wypowiedział to zdanie z głębokim smutkiem.

- A ty pragniesz tylko seksu. I uwierz mi, Clea da ci go pod dostatkiem.

- Ja też mogę dać seks - wtrąciła Matylda.

- To prawda, ale nie Rabbitowi - zastrzegł Davy. Ktoś otworzył drzwi garderoby.

- Co to jest, do stu diabłów? - zapytał zdumiony Mason.

- Witam cię, Masonie - zwrócił się do niego Davy. - Miałem ci o tym powiedzieć już jakiś czas temu: garderoby w twoim domu są wspaniałe.

Na widok trzech osób wyłaniających się z garderoby Masona zamurowało. A Davy ze współczuciem pomyślał, że ten biedak musi się czuć jak w cyrku.

- Cholera jasna - zaklął Mason. - Co się tutaj dzieje?

- Mogę to wyjaśnić - zaczęła Clea, ale zaraz straciła na to ochotę. - Nie, nie, wcale nie mogę. Nie mam pojęcia, co się dzieje.

- Matyldo, kochanie - zagadnął Mason - co ty tutaj robisz?

- Przywiozłam obrazy - odrzekła Matylda. - Clea kupiła je dla ciebie, ale chciała, żeby to była niespodzianka, więc... ja się schowałam. - Wskazała pakunek leżący na łóżku. - Widzisz, to właśnie one.

- Obrazy? - ożywił się Mason. Clea wzięła go pod ramię.

- Tak, kochanie. Tu jest sześć obrazów Scarlet. To mój prezent ślubny dla ciebie.

- Ach, Cleo, jesteś bardzo wielkoduszna. - Mason poklepał ją po ręce, patrząc wciąż na pakunek z obrazami.

- Jestem pewien, że Gwennie także doceni twój gest...

- Co ma do tego Gwennie? - warknęła Clea. - To jest prezent z okazji twojego ślubu ze mną, a nie z nią!

- Ale ja nie zamierzam ożenić się z tobą - oznajmił Mason i zapytał: - A co Davy Dempsey robi w twojej garderobie?

- Davy przyszedł ze mną - wyjaśniła Matyllda. - Jest bardzo opiekuńczy.

- Matylldo, co ty robisz? - zmytygował ją Davy. - Nie pomagaj jej. Niech sobie sama radzi. A najlepiej niech ginie.

- A ten trzeci to kto? - pytał dalej Mason, wskazując Ronalda.

- Ja jestem kochankiem Clea - odrzekł Ronald. - Ale między nami koniec, bo Cleę interesują tylko pieniądze.

- Ty masz kochanka? - zwrócił się Mason do Clea.

- Niezupełnie - odrzekła, ale w tej samej chwili rozległo się walenie do drzwi, więc nie wdawała się już w wyjaśnienia: - Otworzę.

Za drzwiami stała rozwścieczona Gwen.

- Czy wiesz, że drzwi frontowe stoją otworem? - zwróciła się do Clea. - To jest bardzo niebezpieczne, bo każdy może wejść do domu. Każdy, nawet płatny morderca!

Na dźwięk tych słów Clea aż się cofnęła. Tymczasem Gwen skierowała się ku Davy'emu.

- Bogu dzięki, ty żyjesz! - krzyknęła.

- Gwennie! - zawołał Mason, ale ona, nie zwracając na niego uwagi, mówiła dalej do Davy'ego.

- Posłuchaj, Davy, ty musisz stąd wyjść. Clea nasłaa na ciebie Forda, który ma cię zabić.

- To nieprawda - zaprzeczyła Clea.

- Ford jest już w drodze - ciągnęła Gwen. - Udało mi się zatrzymać go na krótki czas, ale potem zasnąłem. On prawdopodobnie już jest w tym domu. Naprawdę musisz stąd wyjść.

- Dziękuję za troskę. - Davy próbował oderwać jej dłoń od swojej koszuli. - Ale nie musisz się martwić.

- Zasnąłaś? - zdziwiła się Matyllda. - Ford ma zabić Davy'ego, a ty zasnąłaś? Jesteś narkoleptyczką?

- Z całą pewnością spowodował to seks - domyślił się Davy.

- Seks? - powtórzył Mason.

- Davy tylko tak sobie żartuje - zapewniła go Matyllda.

- Ford cię zabije - mówiła Gwen do Davy'ego, nie zwracając uwagi na resztę obecnych. - On ma broń. Clea zapłaciła mu za zabicie ciebie, a on nie pójdzie na emeryturę, dopóki nie wykona tego zadania.

- To nieprawda. Ja nie zapłaciłam mu ani grosza - oburzyła się Clea.

- Clea zwykle zabija tylko własnych mężów - wtrącił Davy.

- Więc ja bym się tym nie niepokoił.

- Powtarzam ci po raz ostatni - wrzasnęła rozwścieczona Clea - ja nie zabiłam żadnego z moich mężów.

Obaj zmarli na atak serca.

- Według FBI wcale tak nie było - odezwał się Mason. - W każdym razie w wypadku Cyryła. Cyryl został otruty.

Clea zamrugnęła ze zdziwienia.

- Ktoś otrul Cyryła? - zapytała.

- Z całą pewnością zrobiłaś to ty sama - powiedział do niej Davy, po czym zwrócił się do Masona: - Kiedy rozmawiałeś z FBI?

- Zgodnie z tym, co twierdził Tomasz, ciało Cyryla zostało ekshumowane kilka tygodni temu - rzekł Mason, kręcąc głową. - Rozmawiałem z Tomaszem podczas imprezy w galerii w piątek wieczorem. Twierdził, że FBI ma dowody na to, że Clea zamordowała Cyryla i ukradła jego kolekcję. Twierdził też, że jest agentem FBI, ale ja wciąż uważam go za właściciela firmy cateringowej.

- Po co ktoś miałby truć Cyryla? - zapytała oburzona Clea. - Przecież Cyryl miał osiemdziesiąt dziewięć lat.

- Chodziło o te pieniądze, które przypadły ci w spadku. - Davy patrzył na nią uważnie. - Tobie zawsze brakowało cierpliwości.

- Ja nie zabiłam Cyryla! - powtórzyła Clea z rozpaczą.

- Ja ci wierzę - próbowała ją uspokoić Matylda. - Nie zwracaj uwagi na to, co on mówi.

- Hola, Matyldo! - upomniał ją Davy.

- Posłuchaj, Davy. Po co Clea miałaby zabijać Cyryla, skoro miał osiemdziesiąt dziewięć lat i był bogaty?

- On wcale nie był bogaty. - Clea była doprowadzona do ostateczności. - Umarł kompletnie bez grosza!

- Naprawdę? - rzekł ironicznie Davy. - Musiałaś być tym bardzo rozczarowana. A czy sądzisz, że spowodowany przez ciebie pożar magazynu miał z tym coś wspólnego?

Clea spiorunowała go wzrokiem.

- Czy ja wyglądam na kogoś, kto mógłby podpalić magazyn?

- Nie. - Matylda była wielkoduszna. - Nie wyglądasz nawet na osobę, która potrafi zapalić własnego papierosa.

- Takie już moje psie szczęście - westchnęła Clea zgnębiona. - Cyryl, ten domniemany bogacz, wydał wszystkie pieniądze na kolekcję dzieł sztuki, o czym ja dowiedziałam się dopiero po fakcie. A potem większa część kolekcji spłonęła...

Davy, nie słuchając jej wcale, zwrócił się do Masona:

- Więc rozmawiałeś w piątek z Tomaszem?

Mason kiwnął potakująco głową.

- Tomasz przyszedł ostrzec mnie przed Cleą.

- Przede mną? - Clea usiadła i omal się nie rozplakała. - A co ja takiego zrobiłam?

- No cóż, lista twoich niecnych postępów jest długa - pognąbił ją Davy.

- Tomasz powiedział mi, że ty zabijasz swoich mężów - zwrócił się Mason do Clei. - Powiedział też, że obraz Homera Hodge'a, który mi podarowałaś, znajdował się w tym magazynie, który spłonął. W jaki sposób ten obraz znalazł się w galerii? Czy to ty go tam wstawiłaś?

- Nie mam pojęcia, o jaki obraz ci chodzi - broniła się Clea.

- A poza tym ja nie zabijam ludzi!

- Posłuchaj, Cleo - tłumaczył jej Mason. - Wcale mi nie zależy, żebyś trafiła do więzienia. Żenię się z kobietą, którą kocham, i nie chcę nikomu przysparzać cierpienia. Jeżeli natychmiast stąd wyjedziesz, nie wydam cię policji. Policja nic na ciebie nie ma, bo nie wie o tym, o czym wiedział Tomasz.

- Cleo - odezwał się Davy - o której Mason wrócił do domu w piątek?

- Po północy. - Clea patrzyła ponuro na Gwen. - Z jej powodu.

- Clea nie wie, o której wróciłem - powiedział Mason do Davy'ego - bo nie było jej wtedy w domu. Ona tylko próbuje posłużyć się mną jako alibi w sprawie Tomasza.

- Co takiego? - zapytała Matylda. - Skąd ty wiesz...?

Tu urwała, bo Davy nastąpił jej na stopę.

- Auu! - zawołała i umilkła.

Mason tymczasem skupił całą swoją uwagę na Gwen.

- Kochanie, wiem, że to jest krępujące, ale nie przejmuj się. Wszystkim się zajmę, nawet galerią. Poprowadzimy ją razem. Będę dla ciebie jak Tony.

- Ja wcale nie chcę tej choleralnej galerii! - krzyknęła Gwen z pasją.

- Ja jej po prostu nie znoszę. Chcę od niej uciec. Nie pogrzebię się w niej na resztę życia. Przykro mi, Masonie. Jestem ci wdzięczna za to, że spłaciłeś hipotekę, ale...

- Co takiego? - zdziwił się Davy.

- Mason spłacił hipotekę - wyjaśniła mu Matylda. - Nie przerywaj. Gwen rzuca właśnie Masona.

- Mason wcale nie spłacił hipoteki - oznajmił Davy. - Ja to zrobiłem.

- Więc to nie ty? - zapytała Gwen Masona.

- Mogę to wyjaśnić - zająknął się Mason.

- Ty spłaciłeś moją hipotekę? - Matylda zaatakowała Davy'ego.

- Nie - zaprzeczył. - To byłaby bezczelność z mojej strony. Ja zapłaciłem za noclegi i przerzuciłem całą sumę na hipotekę.

- No, no - Gwen zwróciła się do Masona, zakładając ręce na piersi. - Wytłumacz się.

- Zapłaciłeś sześćset tysięcy dolarów za noclegi? - dociekała Matylda.

- Zważywszy na to, co się działo w nocy, zrobiłem dobry interes - odrzekł Davy.

- Sądziłem, że w banku popełniono błąd - mówił Mason do Gwen. - Miałem zamiar spłacić tę hipotekę. Myślałem...

- Spłacić tę hipotekę? A czym? - zapytał gorzko Ronald. - Jest pan przecież bez grosza.

- Co takiego? - wyszczała rozwścieczona Clea.

- Próbowałem ci o tym powiedzieć. - Ronald popatrzył na nią z niesmakiem. - Zbadałem jego sprawy, zdobywając informacje o rodzinie Goodnightów.

- Co? - tym razem zdumiała się Matylda.

- Nie wiem, kim pan jest - zwrócił się Mason do Ronalda - ale nie ma pan pojęcia o moich zasobach.

- W rzeczywistości rzeczy mają się tak - włączył się Davy - że on ma o nich lepsze pojęcie niż ty sam. On profesjonalnie zajmuje się zasobami finansowymi różnych ludzi.

- Gwennie - poprosił Mason - chodźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie - zaprotestowała Gwen. - W moim życiu jest ktoś inny. Spałam z nim. I byłam tym zachwycona. I mam zamiar to powtórzyć. Na Arubie. Nauczę się też nurkować z aparatem tlenowym.

- Jedź, Gwennie, jedź na Arubę - pochwalił jej zamiary Davy, a potem zwrócił się do Masona: - A zatem...

- Dobrze. - Mason przybrał minę srogiego patriarchy. - Wy wszyscy nie zdajecie sobie sprawy, w jakim jesteście położeniu. Każdy z was mógłby trafić do więzienia za oszustwo. Jak znam Gwennie, to ona dałaby się zamknąć, ale nigdy nie pozwoli na to, żeby aresztowano Matyldę. Matylda także sama poszłaby do więzienia, ale nie pozwoli skrzywdzić Gwennie. - Tu Mason uśmiechnął się do Gwennie. - Ja również na to nie pozwolę. Pobierzemy się, Gwennie, i ja będę prowadził galerię. Wszystko będzie jak dawniej.

- Ona cię zdradziła - odezwała się święcie oburzona Clea głosem piskliwym z emocji. - I to z płatnym mordercą. Mason, kochanie...

- To był tylko mały błąd z jej strony. Przed ślubem tak się zdarza - orzekł Mason i zwrócił się do Matyldy: - Wszystko będzie dobrze, Matyldo. Będę się tobą opiekował jak ojciec.

- Ojcowskiej opieki to ja miałam po dziurki od nosa - odrzekła Matylda.

- Oczywiście, Davy to co innego - mówił dalej Mason. - On jest notowany, więc go zamkną.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy sądzą, że jestem notowany - zwrócił się Davy do Matyldy. - Przecież ja przez całe życie się starałem, żeby nie trafić do policyjnych kartotek.

- Sądzę, że Masonowi brakuje kontaktu z rzeczywistością - odrzekła Matylda.

- Ja mówię poważnie - stwierdził Mason.

- Oto jak kończy każdy, kto ugania się za pieniędzmi - mówiła dalej Matylda. - Czy to prawda, że Mason zarządzał finansami Cyryla? Jeżeli tak, to jest jednym z tych osobników, którym nic można ufać.

- Ja też zarządzałem cudzymi finansami, ale w moim wypadku istniały okoliczności łagodzące - wtrącił Ronald.

- Dać się wymordzić chciwej blondynce to żadna okoliczność łagodząca - zauważył Davy.

- Dosyć tego - powiedział Mason. - Ja mam plan, który będziemy realizowali. - Kiwnął głową w stronę Matyldy. - Ty, Scarlet, jesteś bardzo dobrą malarką. Mówię do ciebie Scarlet, bo podczas imprezy w galerii zorientowałem się, że nią jesteś. Będiesz malowała rzeczy, które sprzedadzą się doskonale. - Następnie zwrócił się do Gwen:

- Obiecuję ci, Gwennie, że będzie tak jak dawniej. Dawniej miałaś Tony'ego, a teraz masz mnie.

- Masonie - rzekła Gwen - wcale tak nie będzie.

- Będzie! - upierał się Mason, zakładając ręce na piersi.

- Słuchaj, Matyldo, on myśli, że ma dobrą kartę - roześmiał się Davy. - Optymista z niego. I kiepski pokerzysta.

- Mam dobrą kartę - rzekł Mason. - Znalazłem Homera Hodge'a.

- Kogo? - zapytała Matylda.

- Homerowi nie podoba się to, że twoja córka udaje Scarlet - zwrócił się Mason do Gwen.

- Co takiego? - Gwen nie wierzyła własnym uszom.

- Przekonałem go, żeby nie kazał cię aresztować...

- Ty nędzna kreaturo! - Gwen spiorunowała go wzrokiem. - Wcale nie rozmawiałeś z Homerem. Jediną osobą, która z nim rozmawia, jestem ja. Homer uważa cię za gnojka. I kłamcę. A poza tym jesteś nudny w łóżku.

Mason cofnął się o krok.

- A ja założę się, że jesteś także mordercą - dodała Matylda.

- Choć sądząc po tym, jak ci poszło z Tomaszem, niezbyt sprawnym.

- Obie blefujecie - powiedział Mason. - Ale ja żądam wyłożenia kart.

- Nie sądzą, żeby Gwen i Matylda blefowały - włączył się Davy.

- A nawet jeżeli tak jest, my mamy asa. Ten as jest za drzwiami, w holu.

- Do diabła, chłopcze, to nie było zagranie dobrego pokerzysty! - odezwał się Ford od drzwi.

- Racja. - Davy nie odwracał się. - Ale ja po prostu wyłożyłem karty na stół. Aresztuj go, Ford. Albo zastrzel. Jeżeli myślę się co do ciebie i jeżeli Clea naprawdę cię wynajęła, żebyś mnie zabił, to zrobisz to drugie.

- Ja go wcale nie wynajęłam w tym celu - zaprotestowała Clea.

- Rzeczywiście - przyznał Ford. - Ona pozostawiła tę kwestię w zawieszeniu. Ja robiłem, co mogłem, żeby się zdeklarowała, ale ona nigdy nie wypowiedziała się jasno. To Rabbit mnie wynajął. Za pośrednictwem swoich kontaktów z FBI.

- Więc to ty nasłałeś na mnie mordercę? - zwrócił się Davy do RONALDA.

- Niezupełnie. - Ronald cofnął się. Davy spojrzał na Cleę.

- Pamiętasz ten mój drugi warunek? Że masz go zostawić przy życiu? Odwołuję to. Możesz go zabić.

- Nie wiem, kim pan jest - powiedział Mason do FORDA - ale ma się pan wynosić z mojego domu. I niech pan zabierze ze sobą tę osobę - dodał, wskazując ruchem głowy Cleę.

- Dziękuję, nie skorzystam - odrzekł Ford. - Policja z Columbus już tu jedzie, żeby pana aresztować. Tomasz odzyskał przytomność i zeznał, że pan był ostatnią osobą, którą pamięta.

- Oho - brzmiał komentarz Matyldy.

- A ja mam tu pewną rolę do odegrania. Muszę dopilnować wszystkiego, zanim przyjedzie policja - ciągnął Ford. - Miałem nadzieję, że będziecie podtrzymywali konwersację, tak żebym nie musiał o tym wspominać. Ale cóż, musiałem. - Tu spojrzał na Gwen.

- A jak będzie z nami? Aruba?

- Policja z Columbus? - zdziwiła się Gwen. - Ty wezwałeś policję? Więc kim ty jesteś?

- Myślę, że on jest agentem FBI - orzekł Davy. - Jedynym prawdziwym w całym tym towarzystwie. A więc, Gwen, okazuje się, że wybrałaś w końcu zwycięzcę.

- Mason zabił Cyryla? - Clea była bardziej wzburzona niż zdenerwowana. I zaraz się ożywiła. - Czy po to, żeby zdobyć moją rękę?

- Posłuchaj mnie uważnie - zwrócił się do niej Davy. - Mason podpalił pusty magazyn po to, żeby ukraść kolekcję Cyryla, a potem ją sprzedać. Tomasz się zorientował i powiedział mu o tym. A wtedy Mason zdzielił go przez łeb.

- Ależ to się nie trzyma kupy - zaprotestował Mason; był jednak przy tym tak zmieszany, że jego słowa nie brzmiały przekonująco.

- Mówiłem ci, że on jest bez grosza - mruknął Ronald do Clei.

- Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak trudno jest sprzedawać dzieła sztuki.

- Niektórzy zdają sobie z tego sprawę aż za dobrze - pozwoliła sobie mieć odmienne zdanie Matylda.

- Czy ty jesteś agentem FBI? - zapytała Gwen FORDA, powracając do kwestii zasadniczej.

- No cóż, jest jeszcze Tomasz - przypomniała jej Matylda.

- Tomasz nie jest agentem FBI - poinformował ją Ford. - On jest po prostu wnukiem Cyryla Lewisa.

- To Cyryl miał wnuka? - zdziwiła się Clea.

- Więc ja spałam z kimś z FBI? - Gwen była pełna niedowierzania.

- Nie z kimś - poprawił ją Davy - tylko z tym konkretnym agentem.

- Mason zabił Cyryla, Tomasz śledził mnie, bo myślał, że ja to zrobiłam, a Ford jest agentem FBI? - upewniała się Clea.

- Mniej więcej - potwierdził Davy.

- Aha, to wspaniale. - Clea rozwścieczona rozejrzała się po pokoju. - Z tego wynika, że wszyscy jesteście... - Przerwała, szukając właściwego słowa.

- Kłamcami i oszustami? - dokończyła za nią Matylda.

- Tak - potwierdziła Clea i położyła dłoń na ramieniu RONALDA.

- RONALDZIE, kochanie, ci ludzie są straszni.

- Potraktowali cię tak, jak na to zasługujesz - stwierdził RONALD.

- Ależ, RONALDZIE. - Prześliczne oczy Clei napełniły się prześlicznymi łzami. - Jak możesz?

RONALD odchrząknął.

- No cóż... - zaczął.

- Po tym wszystkim, co było między nami... - Clea przytuliła się do niego. - Po tym, jak snuliśmy wspólne plany...

- Korzystaj z okazji, Rabbit - doradził RONALDOWI DAVY. - Tylko dobrzy ludzie umierają młodo. Będziesz to miał jak w banku.

Clea uśmiechnęła się do RONALDA, a RONALD westchnął.

- Chciałabym, żeby wszystko było jasne - odezwała się Matylda, patrząc czujnie na FORDA. - Jeżeli wyjdziemy z tego, nie lądując w więzieniu, wszyscy zaczynamy uczciwe życie. - Tu uśmiechnęła się do FORDA jak najdoskonalszą imitacją szczerego uśmiechu. - Naprawdę.

- Mnie nie musisz o tym zapewniać - odrzekł FORD, gdy tymczasem na schodach dudniły już kroki policjantów. - Bo ja wyjeżdżam. I zabieram twoją matkę. Na Arubę.

- Wszystko to było bardzo interesujące - powiedział DAVY godzinę później, wchodząc za Matyldą na poddasze.

Matylda kiwnęła głową.

- Jedyne, czego żałuję, to to, że straciłam obrazy SCARLET. Wróciłam po nie po odjeździe policji, ale ich już nie było. Czy myślisz, że to policjanci potraktowali je jako dowód rzeczowy i zabrali ze sobą?

- Nie. - DAVY spojrział na pakunek stojący u szczytu schodów. Matylda odwróciła się, podbiegła do pakunku i oddarła papier.

- Są! - zawołała zachwycona. - Wszystkie. Jest też karteczka od SIMONA.

DAVY wziął karteczkę i odczytał:

„Dempsey, oto prezent ślubny dla ciebie. Zostałbym, żeby ci to wyjaśnić, ale te kobiety Goodnightów są zbyt niebezpieczne. Serdeczne pozdrowienia, SIMON”.

Matylda wzięła pakunek i przycisnęła go do piersi.

- DAVY, on ukradł dla mnie moje obrazy.

- Mogę cię zapewnić, że cała przyjemność była przy tym po jego stronie - rzekł DAVY. - Otwórz drzwi.

Betty, dokończył w myśli i przysunął się bliżej. Matylda podniosła na niego oczy.

- Chcę, żebyś wiedział... - zaczęła i poprawiła okulary. - Chcę, żebyś wiedział... Ja rozumiem, że teraz musisz wyjechać do Australii.

DAVY uśmiechnął się szeroko.

- Szczerze mówiąc, SCARLET, ja...

- Nie mów tak. - Matylda zmarszczyła brwi. - Nie oszukuj mnie.

- Masz rację, to zbyt łatwy chwyt. - Davy objął ją. - Vilmo, ja już się nie wybieram do Australii. Otwórz drzwi.

Pochyliła głowę, a on przytulił ją mocno. Ugryzła go w ramię, a jemu zabrakło tchu.

- Czy moglibyśmy wejść do środka? - zapytał. - Co prawda na schodach też można to zrobić, ale...

- Powiedz mi, że wybierasz się do Australii - szepnęła mu Matylda do ucha.

- Dobrze - zgodził się. - Wybieram się do Australii. Jadę tam wkrótce. - Otworzył drzwi i wepchnął ją do środka. - A teraz czy możemy... - zaczął i zatrzymał się w drzwiach oniemiały.

Bo ściany sypialni nie były już białe.

A całą sypialnię oplatała dzika, bujna, rozrastająca się dżungla. Ogromne liście, żywe i soczyste, pełzły po ścianach i obrastały kąty pokoju. Zza krzewów wyglądały różne małe zwierzątka, roześmiane węże i uwodzicielskie flamingi. Tuż przy podłodze, pod dużym liściem bananowca, stał spokojnie namalowany Steve. Ze ściany nad łóżkiem wychylały się na pokój słoneczniki w stylu van Gogha przypominające jakieś zmutowane słońca. A pod słonecznikami pyszniło się wezglowie, na którym wśród zielonego listowia widniał zrobiony gotyckim pismem ogromny złoty napis:

Australia.

- Więc doczekaliśmy się w końcu słoneczników. - Davy zamknął drzwi i spojrzał w szalone oczy swojej prawdziwej miłości.

A ona położyła pakunek z obrazami na podłodze i przesuając w górę dłoń po jego torsie, powiedziała okropnym włoskim akcentem:

- Namalował je van Gogh. Czy chciałby pan je kupić, Il Duce?

A potem wspięła się na palce, żeby go pocałować. Jej gorące usta zbliżyły się do jego ust, a zapach cynamonu przyprawił go o zawrót głowy.

- Nie mogę - odparł Davy surowo, odsuwając ją od siebie. - Przykro mi, ale to wykluczone.

- O. - Matylda zachwiała się na nogach. - A ja harowałam tu tyle godzin! Tyle godzin tu malowałam, po to, żebyś ty mógł się w to zabawić.

Davy pochylił się i porwał ją w ramiona.

- Nie zabawię się w to, bo wyjeżdżam - powiedział. - I zabieram do Australii moją żonę - Matyldę Scarlet Celeste Weronikę Betty Vilmę Goodnight. To wzruszająca historia. Poznaliśmy się w garderobie...

- Czy ty mi się oświadczasz? - zapytała Matylda.

- Tak - potwierdził Davy. - Ja cię kocham, Matyldo. Wyjdź za mnie i zamać mi już tak do końca w głowie.

Matylda zamrugęła i rozchyliła usta, a Davy przez jedną okropną chwilę bał się, że powie „Nie”.

Ale ona uśmiechnęła się tym swoim niesymetrycznym uśmiechem, więc odetchnął z ulgą.

- Bierz mnie, Ralphie i gwałć! - zażądała.

- Potraktuję to jako przyjęcie moich oświadczeń - oznajmił Davy.

I tak też uczynił.

KONIEC